FROM THE *SUNDAY TIMES* BESTSELLING AUTHOR OF *CRUSADE*

REQUIEM

ROBYN YOUNG

Young Robyn

Requiem

Bractwo Tom 3

Requiem aetemam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis.

PROLOG

Młody człowiek ukląkł i poczuł, że lodowaty chłód posadzki przenika cienki materiał nogawic. Kamień był

twardy, uwierał w kolana, lecz zarazem krzepiący, albowiem w całym pomieszczeniu tylko te szorstkie płyty wydawały się namacalne. Smugi dymu wiszące poziomo w powietrzu wyciskały mu łzy z oczu. Kadzidło miało gorzki zapach jak palone liście; z pewnością nie było tym samym, którego woń z lubością wdychał w kościele.

Pod ścianami krążyły rozmazane cienie nieznajomych postaci. Migotliwe świece, rozstawione z rzadka na posadzce, tylko go dezorientowały. Kilka kroków na lewo widział ciemną, wilgotną plamę. W mroku wydawała się prawie czarna, ale wiedział, że blask dnia ukazałby jej jaskrawą, szokującą czerwień. Wciąż miał w nozdrzach ostry metaliczny odór, wyczuwalny mimo kadzidła. Przełknął ślinę, powstrzymując torsje.

Nie tego się spodziewał. Może to i dobrze; nie sprostałby próbie, gdyby z góry wiedział, czego zażądają od niego tej nocy. Jedynym, co pomogło mu wytrwać, wykonać rozkazy, była obecność niewidocznych w mroku mężczyzn i strach, co go spotka, jeśli odmówi. Nie chciał okazać słabości. Chciał zrobić wszystko jak należy, toteż mimo drżenia patrzył prosto przed siebie, prężąc nagą bladą pierś i zaciskając z tyłu mokre od potu ręce.

Cienie znieruchomiały i zapadła cisza tak głucha, że słyszał świergot ptaka dolatujący przez wysokie okno szczelnie zasłonięte czarną tkaniną. Musiało świtać.

Z lewa ktoś nadchodził — wysoka, budząca lęk postać odziana w błyszczącą szatę uszytą z setek zachodzących na siebie kolistych kawałków jedwabiu we wszystkich odcieniach błękitu i różu — kobaltowych, szafirowych, liliowych — obwiedzionych srebrną nicią, która odbijała światło, potęgując wrażenie, że mężczyzna okryty jest rybią łuską. Młody

człowiek wiedział, że jest to mężczyzna, gdyż jego głos prowadził go przez kolejne etapy wtajemniczenia. Do tej pory głowę miał okrytą kapturem z tej samej migocącej tkaniny, zsuniętym nisko, po brodę, aż dziwne było, że widzi, gdzie stąpa. Głowa pod kapturem zdawała się nieforemna, głos niski i stłumiony.

Wybrałeś swoją drogę i wybrałeś mądrze. Złożyłeś przysięgę, nie ugiąłeś się przed pokusą ni lękiem. Teraz czeka cię ostatnia, najgroźniejsza próba. Bądź mi posłuszny, tak jak ślubowałeś, a wyjdziesz z niej cało.

Mężczyzna milczał przez chwilę, po czym spytał: — Czy będziesz mi posłuszny teraz i zawsze?

Tak — szepnął młodzieniec.

Dowiedź więc teRg O

o B Y N

— w Y

arO U

knąNł G

mężczyzna, odrzucając kaptur i pochylając się nad klęczącym, który cofnął się

odruchowo przed upiornie wyszczerzoną trupią czaszką. Blask świec zabarwił kość ohydną żółcią i zmienił

ziejące oczodoły w studnie czerni.

Choć wiedział, że to tylko maska, choć dostrzegł w oczodołach czaszki błysk ludzkich oczu, groza nie pierzchła, a kiedy tamten dobył spośród fałd szaty mały złoty krucyfiks i mu go podsunął, serce młodzieńca omal nie wyskoczyło z piersi.

Pluń na krzyż.

Co?

Dowiedź, że nie ma nad tobą mocy. Dowiedź, że mnie jednemu jesteś wierny, że mówisz jednym głosem ze swymi braćmi.

Spojrzenie młodzieńca uciekło w bok. Z mroku wyłaniali się kolejni mężczyźni. Oni także byli w maskach, dla odmiany szkarłatnych z białym jelenim łbem.

Pluń!

Czując zacieśniający się wokół krąg, odcięty teraz nawet od blasku świec, młody człowiek pochylił się nad krucyfiksem. Z trudem zebrał ślinę w wyschniętych ustach. Zacisnął mocno powieki i splunął.

1

Nieopodal Bordeaia Dwudziesty dziewiąty dzień listopada roku Pańskiego 1295

Ręce Mateusza były śliskie od potu. Zacisnął w nich mocniej miecz i zerknął niepewnie w prawo, szukając krzepiącego spojrzenia dowódcy. Ten jednak nie patrzył na nich, wzrok utkwił w wierzejach na końcu sali.

Taran grzmotnął ponownie, drzwi zadygotały, a dziewięciu strażników zgromadzonych w sali wzdrygnęło się gwałtownie. W nagłej ciszy słychać było płytkie, świszczące oddechy. Po twarzy Mateusza spłynęła powolna strużka potu. Chwilę później kolejne uderzenie zatrzęsło drzwiami, lecz tym razem nie dana im była chwila przerwy. Dębowe drewno pękło, sypiąc drzazgami, odłamki zagrzechotały na posadzce i odbiły się miękko od zdobiących ścianę kobierców. Okutą żelazem głowicę tarana z przeraźliwym zgrzytem wyciągnięto na zewnątrz, a przez otwór do sali wdarli się zbrojni.

Mateusz poczuł przypływ obezwładniającego strachu. Przez głowę przemknęły mu niezborne strzępki modlitw.

Miał dopiero dziewiętnaście lat i nie tak to sobie wyobrażał, kiedy ojciec załatwił mu przyjęcie do straży. Boże drogi, pomyślał z rozpaczą, oszczędź mnie! Potem dotarł do niego ryk dowódcy i towarzysze zerwali się do ataku. On także zmusił do biegu oporne nogi. Wszystko działo się za szybko. Ledwie miał czas zarejestrować zbliżającą się długą tarczę z żelaznym umbem, rozmytą plamę błękitu i szkarłatu, a już musiał rozpaczliwym, ukośnym cięciem odbić spadające na jego głowę ostrze. Inni też starli się z napastnikami, otaczała go plątanina stłoczonych ciał i świszczących głowni. W zamkniętej przestrzeni szczęk żelaza rozdzierał uszy, zderzające się tarcze nawet brzęk zbroi zdały się ogłuszać. Tamci mieli na sobie długie kolczugi i hełmy, strażnicy zamkowi tylko nabijane ćwiekami kabaty z twardej skóry i watowane jaki chroniące korpus i uda.

Chłopak zacisnął zęby, odpierając kolejny cios, którego wściekły impet omal nie wytrącił mu miecza.

Najchętniej wziąłby nogi za pas, ale żołnierz pchał go przed sobą, przypierając do ściany, i nie miał dokąd uciec. Krzyknął z rozpaczy, bezskutecznie próbując go odepchnąć. Pot palił w oczy, oślepiał. Mateusz cudem uniknął szybkiego pchnięcia wymierzonego w jego bok, odbił kolejne tuż przed piersią i sam zadał

niezgrabny cios. Żołnierz uchylił się w lewo, nietknięty, pole widzenia Mateusza wypełniły nagle czerwień i lazur, a zaraz potem okuta tarcza wyrżnęła go w twarz. Krew puściła mu się z nosa i ust, miecz na chwilę opadł i niemal w tejże samej chwili poczuł paskudny przeszywający ból wysoko w boku, gdzie ciała pod pachą nie chronił skórzany kubrak. Zrobiło mu się słabo, chyba krzyknął. Napastnik stęknął lekko, wbijając ostrze głębiej.

Miecz wyśliznął się z dłoni Mateusza. Przez długość sali widział, jak kolejni zbrojni w czerwono-

niebieskich barwach wdzierają się przez roztrzaskane drzwi, żeby wspomóc pierwszą falę atakujących. Nie było nawet takiej potrzeby, miejscowa załoga nie dorównywała im ani liczbą, ani umiejętnościami. Za szybko, wszystko działo się za szybko. Chwilę wcześniej ujrzeli, jak straż bramna pada pod ciosami mieczy; napastnicy w mgnieniu oka wypełnili dziedziniec, ledwie dając im czas na zaryglowanie drzwi. Ostrze utkwione w boku Mateusza cofnęło się, rozdzierając ciało. Osuwając się po ścianie, zobaczył jednego z druhów zgiętego wpół

nad głownią, która przeszyła mu brzuch. Inni cofali się w nierównym szyku ku schodom wiodącym na galeryjkę. Jak przez mgłę posłyszał nad sobą czyjś krzyk, ale nim zdołał zlokalizować jego źródło, legł na posadzce, znacząc ścianę za sobą szeroką smugą krwi.

Głos przybrał na sile, przekrzykując hałas walki. Napastnicy przystanęli, pozwalając pokonanym strażnikom się wycofać. Po schodach, wymachując mieczem, zbiegł pan domu, krzycząc w podnieceniu tak, że jego francuszczyznę ledwie dało się zrozumieć. Minął swoich ludzi i zatrzymał się przed obcymi żołnierzami, którzy stali teraz bez ruchu, dysząc ciężko przez szczeliny w hełmach. Twarz szlachcica zmierzchła, gdy rozpoznał barwy.

Co to ma znaczyć? — zawołał. Głos trząsł mu się ze strachu i oburzenia. — Jak śmiecie napadać na mój dom? Ranić moich ludzi?

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wskazał ręką leżące na podłodze ciała, zatrzymując przez chwilę wzrok na skulonym pod ścianą

najmłodszym Mateuszu. — Kto wami dowodzi? Chcę z nim mówić!

Odpowiedziała mu cisza.

Zadałem wam pytanie!

Ze mną możesz pomówić, panie de Bourg.

Do sali, przestąpiwszy spiętrzony w drzwiach rumosz, wszedi rozglądając się mężczyzna. Był nieco po trzydziestce, miał ciemne oczy i pociągłą twarz o nieco żółtawym zabarwieniu, jak gdyby smagła dawniej cera długo nie oglądała słońca. Włosy okrywał biały jedwabny czepek, ramiona zaś długi do ziemi płaszcz, który spadał schludnymi fałdami ze szczupłych barków, sprawiając wrażenie, że jego właściciel jest i wyższy, i bardziej krzepki niż w istocie. Płaszcz był pozbawiony ozdób, ale z dobrej materii, spięty srebrnym łańcuchem łączącym dwie brosze naszyte po obu stronach.

Kim jesteś? — spytał Piotr de Bourg.

Nie spuszczając z niego wzroku, mężczyzna zdjął rękawice, odsłaniając szczupłe, poznaczone sinymi żyłami dłonie.

Nazywam się Wilhelm de Nogaret.

Mówił językiem Północy, ale Piotr wychwycił w jego mowie lekki południowy akcent zmiękczający

twardy langue d'oïl. Żołnierze rozstąpili się, przepuszczając go naprzód, ale broń trzymali w pogotowiu, czujnie śledząc wzrokiem gospodarza, który stał z dobytym mieczem, otoczony niedobitkami swojej straży.

Opuść broń — rzekł do niego Nogaret.

Piotr próbował zachować niewzruszoną postawę w obliczu drażniącego spokoju intruza.

Nie uczynię tego. Napadłeś na mój dom, pozabijałeś ludzi. Z czyjego rozkazu?

Jestem pierwszym legistą króla Filipa i na jego rozkaz tu przybyłem.

Spojrzenie Piotra pobiegło w stronę żołnierzy w czerwono-niebieskich

barwach gwardii królewskiej stacjonującej w Bordeaux pod dowództwem królewskiego brata, Karola de Valois.

Zostaliśmy powiadomieni — ciągnął Nogaret — że szpiegujesz i donosisz Anglikom w Bajonnie o ruchach naszych wojsk.

Bzdura! Kto tak twierdzi? Kto śmie mnie oskarżać?

Opuść broń — powtórzył Nogaret — bo zostaniesz do tego zmuszony.

Po dłuższej chwili Piotr usłuchał.

Teraz każ swoim, żeby złożyli oręż na podłodze i cofnęli się pod ścianę.

Rycerz niechętnie skinął głową swoim ludziom. Gdy tylko wykonali rozkaz, w pomieszczeniu znów

zapanował gwar. Żołnierze Nogareta zebrali broń i zgromadzili pokonanych, rozgoryczonych strażników w kącie sali. Ciała poległych zawleczono na stos pod ścianą.

Ilu ludzi jest w zamku?

Tylko moja rodzina i słudzy, ale to co masz do mnie, ich nie dotyczy.

Przeszukajcie komnaty na piętrze. — Nogaret kiwnął na pięciu żołnierzy. — Sprowadźcie wszystkich na dół.

Jeśli ktokolwiek będzie się opierał, użyjcie siły w sposób, jaki uznacie za stosowny.

Błagam, nie róbcie im krzywdy! — krzyknął rozpaczliwie rycerz w ślad za tupiącymi po schodach

żołnierzami. Obrócił się do Nogareta.

Proszę! Tam jest moja żona i dzieci!

Dajcie go tu. — Legista wskazał ciemny korytarzyk wychodzący z sali. — To przejście prowadzi do kuchni, tak? — Kiedy Piotr nie odpowiedział, powtórzył ostro: — Tak?

Szlachcic bez słowa skinął głową. Żołnierze popchnęli go w głąb korytarza. Nogaret ruszył za nimi, zostawiając resztę, by pilnowała jeńców.

Kuchnie były przestronne, główne pomieszczenie przedzielał długi stół na krzyżakach. Stały na nim dwa garnki z posiekanymi jarzynami, obok leżał spory pęk gruzłowatych marchwi i nóż. Nad paleniskiem bulgotał kocioł, z którego unosiła się para; na haku wisiał pęk upolowanych bażantów, w padającym z wysokich okien świetle mieniły się brązowe i turkusowe pióra. Było tu ciepło i pachniało ziołami.

Wzrok Nogareta padł na stół upstrzony plasterkami marchwi.

Gdzie służba?

Na górze. Gdy podniesiono alarm, kazałem wszystkim się tam schronić, dopóki nie będzie wiadomo, co się dzieje. — Piotr obrzucił Wilhelma gorzkim spojrzeniem. — Nawet się nie opowiedziałeś, tak ci było pilno do zabijania.

Zdrajcom nie daje się czasu na obronę. Straż nie chciała mnie wpuścić, musiałem użyć siły. To twoi ludzie pierwsi sięgnęli po broń.

Nie jestem zdrajcą!

To dopiero ustalimy. — Nogaret podszedł do stołu i podniósł nóż.

Przytrzymajcie go.

Nie! To bezprawie! — krzyknął szamocząc się rycerz.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nogaret przyjrzał się ostrzu. Było cienkie, poplamione sokiem z warzyw.

Wiemy, że porozumiewałeś się z angielskim garnizonem w Bajon- nie. Przekazywałeś dane o naszych siłach w Bordeaux, ich liczbie, umocnieniach...

Nie wiem, skąd masz takie wiadomości, ale zapewniam cię, że są fałszywe. Nigdy się nie spotykałem z angielskimi żołnierzami.

W to akurat nie uwierzę — rzekł kwaśno Nogaret. — Musiałeś ich spotykać, kiedy w Bordeaux rezydował

król Edward.

Nie to miałem na myśli.

Byłeś jego wasalem, gdy władał tym księstwem. Dostarczałeś mu nawet robotników, kiedy stawiał te swoje zameczki — w głosie Nogareta zabrzmiała pogarda — którymi upstrzył tę ziemię jak pies, który znaczy swoje terytorium.

Skoro więc, jak sam mówisz, dzierżę swoje ziemie z nadania króla Anglii, jakże mógłbym ja czy

którykolwiek inny szlachcic w Gujennie nie mieć z nim wcale styczności?

Edward przestał być twoim seniorem — poprawił go ostro Nogaret.

Nie jest nim już od roku, odkąd władzę nad księstwem przejął król Filip. Mimo to zdaje mi się, żeś czy to z obowiązku, czy z chęci pozostał mu wierny...

To nieprawda. Jestem lojalnym wasalem króla Filipa. — Piotr uniósł głowę. — Mimo tego, czego się tu dopuszcza.

Czego się dopuszcza? — powtórzył jak echo Nogaret.

Nie jestem ślepy. Wiem, co się dzieje w całym księstwie. Królewskie wojska wciąż napływają z północy, przejmują zamki i miasta, a teraz na dodatek rugują szlachtę, konfiskując jej ziemie i majątek. Patrzyłem na to od miesięcy i zaciskałem zęby, ale znosiłem wszystko w pokorze. Nie porozumiewałem się z Anglikami ani nie zamierzam tego czynić.

Znosiłeś? — powtórzył cicho Nogaret. — Zdawać by się mogło, że mówisz o krnąbrnym dziecku, a nie o swym prawowitym władcy. Suweren tej krainy władny jest odebrać ziemie obcego monarchy, który przez swoje własne czyny postradał je na rzecz Francji, a ty rzeczesz: „znosiłem”?!

W ciemnych oczach Nogareta zalśnił twardy błysk. — Połóżcie mu dłoń na stole.

Pokonując rozpaczliwy opór rycerza, żołdacy pociągnęli go na środek kuchni. Jeden przygiął mu kark przedramieniem, drugi ujął za przegub i przycisnął jego dłoń do blatu. Nogaret podał mu nóż.

Powiadam ci, Piotrze z Bourg, to co dotąd znosiłeś, było niczym.

Z korytarza dobiegły odgłosy szamotaniny i obcy, podniesiony gniewnie głos. Drzwi się otwarły, do kuchni wtargnął mężczyzna mniej więcej w wieku Nogareta, niski i wątły, o haczykowatym nosie i wygiętych w podkówkę wargach nad cofniętym podbródkiem. Na jego zarumienionej z podniecenia twarzy malował się niepokój. Tuż za nim przestępował niepewnie z nogi na nogę królewski gwardzista. Nogaret, puszczając mimo uszu jego usprawiedliwienia, przyjrzał się intruzowi. Ów miał na sobie długi fałdzisty płaszcz z kapturem podbity ciemnym futrem, a pod nim sięgającą podłogi białą szatę. Zapewne więc był duchownym.

Przybysz z trudem oderwał wzrok od noża trzymanego nad ręką Piotra de Bourg.

Zaklinam cię — rzekł — wypuść tego człowieka!

Czego tu szukasz? — spytał Nogaret. — I kim jesteś?

Bertrand de Got, biskup Comminges. — Hierarcha zerknął na Piotra, który przestał się szarpać i patrzył na niego z nadzieją.

Dalekoś się zapędził od swojej diecezji.

Odwiedzałem krewniaka, który jest proboszczem w Bordeaux. Tu się dowiedziałem, że król wysłał wojsko, by uwięzić pana de Bourg.

To sprawa króla, nie Kościoła.

Bertrand zaczerpnął tchu, żeby uspokoić głos.

Piotr de Bourg jest człowiekiem pobożnym i hojnym dobroczyńcą tutejszej parafii. Z pewnością nie zrobił

nic, co uprawniałoby was do przemocy. Wysłałem gońca do arcybiskupa, informując go o tej sprawie dodał znacząco.

Nogaret najwyraźniej się tym nie przejął.

Ten dobry chrześcijanin jest zdrajcą. On i inni w tym księstwie donosili Anglikom o ruchach królewskich wojsk. Edward zaś szykuje się do kontrataku, by odzyskać te ziemie.

Przenigdy w to nie uwierzę.

Wiadomo, że pozostawał w bliskich stosunkach z królem Anglii. Dziwi waszą wielebność przypuszczenie, że nadal popiera swego dawnego pana?

Ależ większość szlachty w tym regionie siłą rzeczy spotykała się z królem Edwardem — zaprotestował

biskup. — Sam parokrotnie się z nim zetknąłem, kiedy bawił w Gaskonii.

Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, księże. — Nogaret podkreślił ostatnie słowo, w jego głosie po raz pierwszy pojawił się cień emocji. Zwrócił się do żołnierza, który stał za Bertrandem. — Wyprowadź biskupa i dopilnuj, by został usunięty poza obręb majątku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

To oburzające! — Bertrand wbił w legistę wyzywające spojrzenie.

Arcybiskup nie puści wam tego płazem.

Ten dom został zajęty i stanowi teraz własność króla Francji. Wyjdź albo trafisz do lochu za bezprawne najście na jego ziemie.

Nie ujdzie wam to na sucho. — Biskup obejrzał się na gospodarza i pokręcił głową. — Wybacz,

Piotrze.

Teraz jestem bezsilny.

Na Boga, Bertrandzie, pomóż mi! — Rycerz rozpaczliwie szarpnął się w uścisku.

Nogaret podszedł do niego, krzywiąc usta.

Bóg nie ma już władzy na tej ziemi.

Bertrand! — wrzasnął Piotr. Ale biskup już znikał w korytarzu, szachowany mieczem przez gwardzistę. Drzwi się zatrzasnęły i nóż opadł.

Po skończonej torturze Nogaret wrócił do wielkiej sali, pozostawiając półprzytomnego rycerza pod strażą jednego z żołnierzy. Drugi wyszedł za nim, wycierając ręce w gałgan. W sali pojawiło się jeszcze trzech mężczyzn i cztery młode dziewki służebne, sądząc po ubiorze, oraz smukła kobieta

o

bladej twarzy, odziana w strojną suknię, przyciskająca do siebie dwóch małych chłopców. Jeden z malców płakał, trąc piąstkami oczy.

Kiedy Nogaret wszedł, kilku domowników podniosło na niego wzrok przesycony bezsilną wściekłością. Kobieta zbladła jeszcze bardziej, patrząc na zbryzganego krwią żołnierza. Jeden ze sług, starszy już człowiek, rzucił się naprzód, ale cofnął się przed obnażonym mieczem. Nogaret zauważył, że przybyło kolejne martwe ciało, a jeden z gwardzistów najwyraźniej jest ranny. Podszedł do dowódcy oddziału odzianego w tunikę lamowaną żółtym jedwabiem.

Co tu się działo?

Mężczyzna podprowadził go w stronę drzwi, poza zasięg słuchu jeńców.

Kiedy posłyszeli krzyki, rzucili się na nas. Jeden zdołał wyszarpnąć miecz mojemu człowiekowi. Mam nadzieję, że ten przeklęty zdrajca się przyznał?

Jeszcze nie.

Przesłuchanie zdawało się... pieczołowite. — Rycerz uniósł brwi.

Nogaret puścił mimo uszu tę uwagę.

Zrobiliście, co rozkazałem?

Właśnie ładują wóz. — Dowódca gwardii zawahał się nieznacznie.

Ale skoro się nie przyznał... Może powinniśmy zaczekać, aż zarzut się potwierdzi? Co będzie, jeśli mówi prawdę, a nasze informacje są fałszywe?

Nie są — uciął Nogaret. — Tych ludzi trzeba nauczyć moresu, zanim zdążą nam zaszkodzić. Jak dotąd skutecznie wypieramy Anglików, ale nie wolno dopuścić, by okrzepli. Zaraz na początku wojny odebrali nam Blaye i Bajonnę. Mając lepsze dane, mogli byli i wciąż mogą posunąć się znacznie głębiej.

Dowódca w milczeniu skinął głową.

Dopilnuj, żeby rycerz i jego rodzina trafili do lochu w Bordeaux. Ich los rozstrzygnie się w stosownej chwil'

Pozostawiwszy kapitana, który zaczął wydawać rozkazy żołnierzom, Nogaret wyszedł w jasne listopadowe popołudnie. Przed domem panowała ożywiona krzątanina. Wprowadzone na dziedziniec konie karmiono i pojono. Żołnierze ładowali do dużego wozu wynoszone z dworu kosztowności: zdobione świeczniki, naręcze powłóczystych jedwabnych sukni (młodzik, który je niósł, czerwienił się obsypywany docinkami przez kolegów), stosy srebrnych mis, księgi, dwa miecze w bogato zdobionych pochwach, puzdro na przyprawy z drzewa różanego.

Nogaret zajrzał do wozu. Coś zalśniło na dnie; schylił się i podniósł sznurek szklanych paciorków. Krzywiąc z pogardą usta, wrzucił go z powrotem. Miał nadzieję, że łup, kiedy doda się go do pozostałych zdobyczy z innych dworów, usprawiedliwi czas, jaki tu spędził, zwłaszcza że konfiskaty były jego pomysłem.

Panie... — Jeden z gwardzistów wskazał główną bramę.

Mrużąc oczy w słońcu, Nogaret zobaczył zbliżającego się w kłębach

kurzu jeźdźca. Przemknęło mu przez myśl, że to biskup wraca, ale po chwili dojrzał szkarłatno-czarne barwy królewskiego gońca. Rozpoznał jego twarz, był to człowiek z Paryża.

Szlachetny panie — wysapał bez tchu jeździec, osadzając konia i zsuwając się z siodła — w garnizonie powiedzieli mi, gdzie cię znajdę.

Sięgnął do zakurzonej sakwy i wydobył z niej opatrzony pieczęcią zwój.

Nogaret złamał pieczęć i przebiegł oczyma treść listu.

Panie? — Zwabiony odgłosem kopyt dowódca gardii wyszedł na dziedziniec. Zza jego pleców dobiegł

rozpaczliwy krzyk. Wywlekana przez potrzaskane drzwi kobieta wyrywała się do swoich dzieci.

Skończcie tutaj. — Nogaret podniósł głos, żeby go słyszano w hałasie. — Odprowadź wóz prosto do księcia Karola. On dopilnuje, żeby kosztowości trafiły do królewskiego skarbca.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Tak jest. — Zaciekawiony rycerz zerknął na posłańca. — Czy wasza dostojność nas opuszcza?

Jadę do Paryża. — Nogaret pstryknął palcami na giermka, który trzymał jego konia. — Król mnie wzywa.

Paryż, brzeg Sekwany Dziewiętnasty dzień grudnia roku Pańskiego 1295

Galera niezdarnie przesunęła się wzdłuż brzegu, trąc burtą o kamienne obmurowanie. Żeglarze chwycili rzucone im liny i przewlekli je przez żelazne pierścienie, wybierając naddatek, żeby przyciągnąć statek do nabrzeża.

Przerzucono trap i na ląd zaczęła schodzić grupa mężczyzn

o

twarzach spalonych słońcem i wiatrem. Ich białe szaty nasiąkły wilgotną mgłą, która unosiła się nad rzeką, owijając niczym mokra płachta maszt ozdobiony mokrym czarno-białym proporcem.

Will Campbell oparł się o burtę, czekając na swoją kolej. Rozejrzał się wokół, wdychając zimne wilgotne powietrze. Na brzegu tłoczyły się chaotycznie budynki kupieckiej części miasta. We mgle ich szachulcowe ściany traciły materialny pozór, zdawały się dryfować pomiędzy masywniej- szymi bryłami kościołów i klasztorów. Niemal naprzeciw, nad placem Grève, górował imponujący Dom pod Filarami, tkwiąc niczym pająk w sieci domów, warsztatów i targowisk osnuwającej prawy brzeg Sekwany. Will wyłowił okiem jeszcze kilka sylwetek zapamiętanych budowli, lecz mimo to miasto zdawało się obce; mgła i upływ czasu zatarły znany ongiś obraz. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni stał na tym brzegu. Zerknął za siebie na garbaty grzbiet île de la Cité, wyrastający z okrytej białym oparem rzeki. Serce Francji. Nad zachodnim skrajem wyspy rysowały się zamkowe blanki. Will zacisnął usta.

Wygląda, jakby nic się nie zmieniło, prawda?

Szymon stanął obok, opierając tęgie łapska na biodrach. W czasie rejsu wyhodował sobie potężną krzaczastą brodę, ale gęsta dotąd kasztanowa czupryna zaczynała się przerzedzać na ciemieniu. Will, niemal o głowę wyższy od krępego stajennego, zauważył jaśniejszą łysin- kę.

Zastanawialiśmy się właśnie z Robertem, jak długo nas tu nie było. Na mój rachunek ponad trzydzieści lat.

Dwadzieścia dziewięć.

A zatem Robert wygrał. — Szymon uśmiechnął się z rezygnacją, pokazując uszczerbiony przedni ząb.

Czy ktoś tu o mnie mówi?

Obejrzeli się. Szedł ku nim wysoki rycerz o szarych oczach i twarzy wciąż jeszcze młodzieńczo przystojnej mimo znaczących ją delikatnych zmarszczek.

Wygrałeś zakład — poinformował go Szymon.

Byłem tego pewien. Nie doliczyłbyś się palców u jednorękiego!

Robert uśmiechnął się szeroko i klepnął Szymona w plecy, a potem spojrzał na Willa, który stał w milczeniu, patrząc na miasto. Jego uśmiech zgasł. — Dziwnie jest wracać po tylu latach, prawda? Tyle się wydarzyło...

Szymonie, powinieneś dopilnować koni — odezwał się ostro Will i ruszył w stronę trapu, na który wchodzili już ostatni rycerze, zostawiając na pokładzie serwientów i załogę.

Robert wymienił z Szymonem spojrzenia i poszedł za nim.

Wielki mistrz życzy sobie, żebyśmy mu towarzyszyli. Przypuszczam, że zapomniał już drogi do Templum.

Zeszli na nabrzeże po uginających się, chybotliwych deskach. Ostatni krok zadudnił głucho o kamienie i Will doznał uczucia, że był to krok decydujący, nieodwołalny. Miał ochotę zawrócić i wypłynąć znów w morze.

Przeszli umocnioną keją ponad tonącym w cuchnącym mule brzegiem rzeki, pełnym wszelakiego śmiecia: widać było połamane pułapki na węgorze, drewniany chodak, zdechłego ptaka z rozpostartymi skrzydłami.

Dopiero wyżej grunt robił się twardszy; spłacheć brunatnego piachu porośniętego zmrożoną trawą przechodził

bezpośrednio w błotnistą ulicę. Sporo ludzi śpieszyło do pracy po rannej mszy. Minął ich otwarty konny wózek wiozący dwie zamożnie odziane niewiasty. Pojazd ścigała gromadka brudnych dzieci, nagabując o datek, kobiety jednak patrzyły w drugą stronę z obojętnością wynikającą z długiej praktyki. Po chwili z zaułka wybiegło stado świń. Pastuch gnał je kijem do wodopoju, nie zważając na przekleństwa robotników, którzy ładowali drewno na wozy stojące przy nabrzeżu.

U wylotu ulicy grupa rycerzy Templum otoczyła wielkiego mistrza. Jakub de Molay był potężnie zbudowanym mężczyzną niewiele po pięćdziesiątce, o gęstych szpakowatych włosach spadających na ramiona. Jak wszyscy templariusze nosił brodę, lecz w przeciwieństwie do innych nie strzygł jej wcale, sięgała więc niemal pasa.

Ponoć przed każdą bitwą splatał ją w warkocz i wpychał pod koszulę. Jakub zwracał się właśnie twardą gardłową francuszczyzną do jednego z funkcyjnych zakonu:

Rozmów się z prewotem i dowiedz, gdzie mamy zacumować statek. Każcie serwientom znieść bagaże. Mam nadzieję, że goniec dotarł do preceptorium i są przygotowani na nasz przyjazd.

W tej chwili, panie. — Rycerz przepuścił jadący wóz i skręcił w stronę ratusza.

Jakub odczekał, aż wszyscy dołączą, i skinął na Willa.

Prowadź, komandorze.

Przystanąwszy na chwilę, by ustalić kierunek, Will poprowadził sześćdziesięciu rycerzy ku kościołowi Świętego Gerwazego. Strzeliste wieże budowli ginęły we mgle. Część ludzi oglądała się za maszerującą kolumną, ale większość mijała ją obojętnie, zajęta swymi sprawami. W Paryżu, europejskiej stolicy zakonu, templariusze stanowili powszedni widok. Należeli do społeczności miasta w takim samym stopniu jak profesorowie i żacy uczelni rozpartej na lewym brzegu rzeki czy dwór królewski osiadły na Ile de la Cité. Tuż CZĘŚĆ PIERWSZA

przed kościołem Will skręcił w wąską boczną uliczkę, która wiła się w plątaninie zaułków i schodów. Domy po obu stronach nachylały się tak blisko, że sąsiedzi z naprzeciwka mogliby podać sobie ręce. Pranie, rozwieszone na przeciągniętych górą sznurach, rosiło deszczem kropel głowy rycerzy, którzy przebijali się w kierunku rue du Temple. Dla Willa te ciemne uliczki były boleśnie znajome. Zza każdego rogu nawoływały doń echa przeszłości, majaczące blado w spłowiałych szyldach i obłażących z farby okiennicach, wyraźniejsze dopiero, gdy w prześwicie między budynkami pojawiła się nagle strzeżona przez gargulce kościelna wieża. Wraz z nimi wracały wspomnienia zapisane na zawsze w spaczonych drzwiach warsztatów i sypiących wapnem fasadach, w sylwetkach ludzi, którzy mijali ich szybkim krokiem. To wszystko, o czym starał się nie myśleć podczas długiej, otępiającej podróży z Cypru, teraz ogarnęło go gwałtowną falą.

Oto w sieni odpoczywali dwaj rzeźnicy wzbryzganych krwią fartuchach. Piekarz mówił o czymś z

ożywieniem, wręczając starszej niewieście dwa bochny chleba. Will zastanawiał się, czy po tylu latach będzie w stanie rozpoznać jakąkolwiek twarz. Nieco dalej młoda kobieta pośliznęła się w błocie i upuściła koszyk.

Kiedy się po niego schyliła, odrzucając na plecy luźny rąbek zawicia, spod cienkiego płótna wymknęły się kręte rudozłote pasma włosów. Will stanął jak wryty. Nawet gdy się wyprostowała i uświadomił sobie, że jej nie zna, wciąż nie mógł oderwać od niej wzroku. Wzdrygnął się, kiedy Robert dotknął jego rękawa.

Co się stało?

Nie, nic — bąknął Will zmieszany. — Zapomniałem drogi.

Robert zerknął za oddalającą się dziewczyną, ale zmilczał. Podjęli

marsz bez słowa.

Z dala od rzeki mgła była rzadsza. Wkrótce wyrosły przed nimi najeżone basztami mury miejskie z bladożółtego kamienia. Przy Bramie Templariuszy zebrał się tłumek. Słychać było wołanie:

Płaczcie, dzieci moje! Płaczcie nad utratą królestwa Bożego na ziemi! Płaczcie nad upadkiem Jeruzalem i wzrostem Babilonu! Płaczcie nad ludźmi, których grzechy sprowadziły na nas wiek ciemności!

Na stopniach kościoła stał mężczyzna i z uniesionymi ramionami przemawiał do tłumu ochrypłym, zdartym już głosem. Był młody, wystrzyżona na czubku głowy tonsura odcinała się bielą od ciemnych

włosów. Miał na sobie wystrzępiony szary habit i był boso. Will z niejakim trudem rozpoznał w nim jednego z duchowych uczniów świętego Franciszka z Asyżu. Na Wschodzie ich nie spotykał; ów żebrzący zakon wędrował po Europie, głosząc ewangelię i zdając się na innych w zaspokajaniu swych doczesnych potrzeb.

Płaczcie nad możnymi, którzy sprzedali święte miasto, aby wypchać sobie kiesy złotem i obsypać nim ladacznice!

Część przechodniów mijała go obojętnie, lecz liczniejsi przystawali, słuchając namiętnej przemowy młodego zakonnika. Niektórzy głośno przytakiwali jego słowom.

...Lecz najgłośniej płaczcie nad rycerzami Templum, dzieci moje, albowiem ich odwaga budzi się tylko wówczas, gdy przyświeca jej zysk. Jeśli go nie widzą, gotowi są wydać na rzeź niewiernym chrześcijańskie niewiasty, dzieci i starców, nie poświęcając im nic prócz modlitwy! — Franciszkanin zamaszystym gestem wskazał Bramę Templariuszy. — Uczynili stos płonący z Bożego miasta; stos, na którym nadzieja obróciła się w popiół!

Odpowiedziały mu gorące okrzyki poparcia spośród tłumu.

Co tam się dzieje? — Jakub de Molay rozejrzał się, marszcząc brwi.

Braciszek urwał, żeby zaczerpnąć tchu, i w tej chwili jego wzrok padł

na rycerzy. Oczy mu rozbłysły.

To ci ludzie! — zawołał. — To ich chciwość i bezbożnictwo stały się przyczyną nieszczęścia!

Ludzie zaczęli się oglądać. Widząc zbliżający się oddział, niektórzy od razu czmychnęli, mierząc trwożnym spojrzeniem zakonnych rycerzy. Ale inni patrzyli templariuszom prosto w oczy, a na ich twarzach malowało się oskarżenie.

To oni uciekli z Ziemi Świętej, by ocalić swe dobra, porzucając tych, których ślubowali bronić!

Nie zważaj na niego, mistrzu — rzekł francuski templariusz, który wyszedł im na spotkanie. — Ten człowiek nie wie, co mówi.

Zatem ja go oświecę — warknął Jakub i ruszył w tłum, roztrącając ludzi. Górował nad nimi wzrostem, jego płaszcz z wielkim bramowanym złoto czerwonym krzyżem odcinał się ostro wśród burych samodziałów.

Rozstępowali się przed nim jak morze przed Mojżeszem.

Za mną! — Francuz skinął na Willa i Roberta.

Z całym szacunkiem, panie — wtrącił pośpiesznie Robert, widząc, że tamten sięga po broń. — To chyba niepotrzebne. Ci ludzie nie są uzbrojeni. Wywołamy tylko panikę.

Kim jesteś? — spytał Jakub, podchodząc do franciszkanina.

Dlaczego oczerniasz moich braci?

Jestem głosicielem prawdy — odparował tamten wyzywająco, schodząc ze stopni na spotkanie templariusza.

Tłum zafalował, oczekując dramatycznego starcia. — Przychodzę tu co dzień, żeby mówić mieszkańcom Paryża to, o czym powinni wiedzieć.

A o czym powinni wiedzieć?

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zew godzinie próby ty i twoi bracia opuściliście Ziemię Świętą.

Franciszkanin obrócił się do gapiów i podniósł głos. — Przez dwieście lat potężne Templum brało złoto nie tylko od królów i książąt, ale i od hojnych, poczciwych ludzi takich jak wy, utrzymując, że bronią chrześ-

cijańskich pielgrzymów. Gdzież byli, gdy ruszyła saraceńska nawała? Pierzchli w trwodze o własne życie, własne bogactwa! — Spojrzał znów na Jakuba. — Może dawniej wasz zakon czynił dobro, może kiedyś służył

chrześcijaństwu, ale teraz rządzą wami pycha i chciwość. Obracacie ludzkie datki na wygodne siedziby, piękne stroje, mięso i wino do posiłku. śluby ubóstwa nic dla was nie znaczą, bo nawet jeśli wstępując do zakonu zrzekacie się tego, co posiadacie, czeka was tam wygoda i dostatek.

Stojącym w zasięgu głosu templariuszom twarze pociemniały z gniewu, tylko dycyplina utrzymywała ich jeszcze w szyku.

Jesteś głosicielem oszczerstw — powiedział Jakub — nie prawdy. Tysiące moich braci położyło głowy w obronie Ziemi Świętej.

Will patrząc na nich, zobaczył nagle inną scenę. Stał na podwyższeniu u boku innego wielkiego mistrza, który starał się przekonać rozjuszony tłum do zawarcia pokoju z muzułmanami. Mieszkańcy Akki nie chcieli go wysłuchać, nazwali zdrajcą. Zapłacili za to, ginąc w masakrze.

Nie mogliśmy powstrzymać przemożnej siły wroga, tak jak nie zdołalibyśmy powstrzymać fali przypływu —

ciągnął Jakub, wodząc przenikliwym spojrzeniem po słuchaczach. — Kiedy mury Akki runęły, daliśmy schronienie tysiącom mieszkańców miasta, przewożąc ich na Cypr, gdzie byli bezpieczni. Ostatni statek... —

Głos nagle mu zachrypł. — Ostatni statek wypłynął w dniu, gdy padła nasza twierdza. Zabraliśmy nim ponad stu uchodźców R O

, z B Y

ostaNw iYa O

ją U

c N G

na pewną śmierć wielu naszych braci.

Oczyma duszy Will znów zobaczył mameluków wlewających się przez wyłom w murach. Ponad splecioną masą walczących powietrze czarne od dymu i gęste od strzał. Świdrujące w uszach krzyki konających deptanych na usianej trupami ulicy. Smród ciał palących się w ogniu greckim. Chaos i rzeź, a potem pożar.

Will zacisnął powieki. Straszliwy pożar.

Czy to są czyny ludzi pysznych? Tchórzy? Odpowiedzcie! — ryknął Jakub.

Nikt się nie odezwał. Ludzie zaczęli się rozpraszać, spuszczając oczy pod jego stalowym spojrzeniem. Jakub zwrócił się ostro do zakonnika:

Jeśli jeszcze raz usłyszę te kłamstwa, każę cię kijami gnać po mieście. Moi bracia przez dwa wieki bronili Ziemi Świętej, walczyli i ginęli za takich jak ty. Okaż im szacunek, bo na niego zasługują!

Odwrócił się, by odejść, lecz rozjuszony zakonnik skoczył za nim, nie bacząc na groźbę malującą się na sposępniałych twarzach rycerzy.

Gdybyście zrobili więcej, nie upadłaby Akka! Kiedy sułtan gromadził wojska, wyście walczyli między sobą!

Wiadomo, że wasza waśń z joannitami podzieliła i osłabiła chrześcijan!

Will otworzył oczy. Zgrzytliwy głos kaznodziei drażnił i jątrzył.

Hańba wam! Nazywacie siebie żołnierzami Chrystusa? Powiadam wam, Chrystus was potępi!

Will doskoczył, złapał go za habit na piersiach.

Byłeś tam? — wrzasnął. — Byłeś?

Za jego plecami rozległy się krzyki, ale Will był głuchy na wszystko poza tym nieznośnym dźwiękiem dobywającym się z ust franciszkanina. Niewiele myśląc, zamknął je pięścią, czując, jak żółtawe zęby ustępują pod ciosem. Ból obitych knykci przyniósł mu częściową ulgę. Szykował się do następnego ciosu, ale ktoś złapał go wpół i odciągnął, ktoś inny przemocą rozprostował palce zaciśnięte na burym habicie.

Dość tego! — Głos wielkiego mistrza przedarł się przez zasłonę ślepej furii. Franciszkanin zatoczył się w tył, ściskając zakrwawioną szczękę. Jakub warknął wściekle: — Opanuj się, komandorze! Nawet sprowokowani nie wszczynamy bójek jak zwykli obwiesie.

Wybacz mi, panie — szepnął Will, dysząc ciężko. Otarł usta i wilgotną od śliny brodę.

Odprawisz za to pokutę.

Tak, panie.

Pozostawiwszy skulonego kaznodzieję, oddział w napiętej ciszy ruszył do bramy, którą straż opróżniła, dając im swobodne przejście. Posępna biała kolumna przelała się za mury. Will oparł obitą dłoń na głowicy miecza, ignorując spojrzenia Roberta i czując, jak rozkwaszone kostki coraz mocniej pulsują bólem. Skoncentrował się R E Q U I E M

na tym nieprzyjemnym doznaniu, schodząc ze zwodzonego mostu na drogę, przy której pojawiło się kilka nowych dworów, szpital lazarystów i liczne gospody. Mury Paryża zostały wzniesione przed stu laty, lecz już dwa pokolenia później rozrastające się miasto rozsadziło kamienny pierścień; klasztory, domy i ogrody wyległy na równinę, stając się ludnymi przedmieściami. Jeszcze dalej horyzont pstrzyły rozrzucone sioła otoczone polami uprawnymi. Za masywnymi wieżami kluniackiego opactwa Świętego Marcina z Pól wśród brunatnej połaci zimowych ugorów sterczał jeszcze większy zespół budynków otoczony potężnym murem.

Templum powitało Willa niczym stary przyjaciel, dawno nie widziany, lecz niezapomniany. Od opuszczenia Akki nie zdarzyło mu się pozostać w jednym miejscu tak długo, aby poczuł się tam jak u siebie. Tu, na tych mokrych polach, oddzielonych całym światem od suchych równin Palestyny, zaskoczyło go nagłe poczucie, że wrócił do domu. Ku jego zdziwieniu okazało się ono silniejsze od innych, mniej miłych wspomnień. Pomyślał

o

pozostałych miejscach, gdzie kiedyś mieszkał — o Londynie i rodzinnym dworze pod Edynburgiem

— i po raz pierwszy od lat zapragnął je znów zobaczyć.

Najwyższym budynkiem w obrębie murów był wielki donżon zwieńczony iglicami rysującymi się ostro na tle białego nieba. Ze środkowej powiewał biało-czarny sztandar. Donżon otaczało wokół kilkanaście innych budynków o różnych wysokościach i dachach różnego kroju, które tworzyły razem nieregularny zygzak. Kiedy pochód dotarł do baszty bramnej, stojący na warcie giermkowie wyprężyli się jak struny przed wielkim mistrzem i naparli na skrzydła, które rozwarły się ze zgrzytem, odsłaniając pogrążony w cieniu baszty dziedziniec. Jeden z wartowników popędził obwieścić przybycie wielkiego mistrza. Will wszedł do środka spowity wspomnieniami.

Znał to miejsce na wylot; każdą budowlę i przybudówkę. Znał ostry odór stajen i żar kuchni, w której gorączkowo krzątali się słudzy. Znał kojący zapach chleba unoszący się z piekarni i winny aromat jabłek gnijących w składziku, i przenikliwy chłód kaplicy wypełnionej modlitwą pięciuset mężczyzn

podczas jutrzni.

Wiedział, jak bolą zęby, kiedy pije się wodę wprost ze studni, i że w porze karmienia oba stawy kotłują się od ryb niczym ukrop. Znał ogłuszający łoskot kutej przez miecznika stali i wibrującą w każdej kości twardość zmrożonego pola ćwiczeń w czasie dotkliwej listopadowej musztry. Przybył tutaj jako krnąbrny, uparty trzynastolatek, świeżo osierocony przez opiekuna. Tu pochował Oweina, tu poznał Ewe- rarda, tu właściwie wszystko się zaczęło. Miał ochotę pobiec z powrotem przez czas w ślad za echem prędkich chłopięcych stóp, odnaleźć tamtego znękanego troskami młodzika i powiedzieć mu, żeby nie słuchał Ewerarda, nie jechał na Wschód. Nie stałby tu dzisiaj wyzuty ze wszystkiego, oglądając się wstecz na gorzki dorobek śmierci, kłamstw i złudzeń.

W górze ozwał się dzwon. Słudzy przystawali, gapiąc się z czcią na wielkiego mistrza i z zaciekawieniem na ogorzałych rycerzy. Chwilę później drzwi kancelarii otworzyły się i na zewnątrz wyszła grupa mężczyzn. Na ich czele kroczył niski, krępy mężczyzna o naoliwionych włosach odczesanych gładko od czoła, co podkreślało duży bulwiasty nos sterczący nad cienkimi wargami okolonymi szorstkim wąsem i brodą. Will ocknął się z rozmyślań na widok przemiany dawnego towarzysza. Ostatni raz widział Hugona z Pairaud przed ponad dziesięcioma laty w Akce; obaj zbliżali się wówczas do czterdziestki. Lata odcisnęły piętno na twarzy wizytatora zakonu

zasnuły mu włosy siwizną, zwiotczyły skórę na policzkach, rozluźniły mięśnie ciężkiego ciała, przez co pokaźny bandzioch napinał mu tunikę.

Hugo pochwycił jego wzrok i powitał go pełnym rezerwy skinieniem, po czym całą uwagę skupił na swym zwierzchniku.

Panie — skłonił się nisko. — To dla nas zaszczyt.

Jakub niecierpliwie skinął głową.

Otrzymałeś wiadomość?

Dwa miesiące temu. Wypatrywaliśmy twego przybycia. Rozesłałem listy z wieścią do naszych preceptoriów w całym królestwie oraz w Anglii.

Miło słyszeć, że przynajmniej ktoś się cieszy — sarknął Jakub.

Hugo zmarszczył pytająco brwi, toteż mistrz streścił mu incydent

z franciszkańskim kaznodzieją.

Wiemy o tym mącicielu. Próbowaliśmy już go stamtąd przepędzić.

Próbowaliście?! Jeśli nie usłuchał rozkazu, powinien był zostać wtrącony do lochu! Jeszcze nie tak dawno obrazę naszego zakonu karało prawo królewskie! Czyżby obyczaje tak bardzo się zmieniły, że każdy może stanąć na rogu ulicy i obrzucać nas błotem ku uciesze gawiedzi?

Stojący obok Hugona rycerz odparł:

Nie chcieliśmy przydawać wiarogodności oskarżeniom, a tak by się stało, gdybyśmy nadali sprawie rozgłos.

Gdyby ten głupiec trafił do więzienia, ludzie zaczęliby myśleć, że mówił prawdę.

Zapewniam cię, panie — wtrącił pośpiesznie Hugo widząc, że mistrz mruży ze złością oczy — że zostanie uciszony, jeśli taka jest twoja wola.

Nie chodzi mi o niego samego, lecz o posłuch, jakim zdaje się cieszyć. Czy lud rzeczywiście wini nas za utratę Ziemi Świętej?

Wyłącznie niezadowolona mniejszość — odparł Hugo po krótkim wahaniu. — Zresztą nie tylko nas, innych także. Joannitów, Krzyżaków...

R O B Y N Y O U N G

zaśmiał się niewesoło — nawet franciszkanów za to, iż nie modlili się dość gorąco. Na wieść o upadku Akki wybuchła panika. Ludzie myśleli, że Bóg nas opuścił. Co poniektórzy uciekali do Granady, gotowi przyjąć islam, inni starali się dociec powodu, dla którego chrześcijan dotknęło to nieszczęście, i oczywiście szukali winnych. Ale ten ferment już powoli stygnie.

Hugo umilkł, lecz po chwili odezwał się ponownie: — Dziś większym zmartwieniem jest abdykacja papieża Celestyna i rzecz jasna wojna.

Jakub fuknął ze złością.

Zaiste. Wspominałeś o tym w liście, który dostarczono mi na Cyprze, ale odkąd opuściliśmy Rzym, trudno było otrzymać wiarygodne informacje. Chętnie wysłucham szczegółowego sprawozdania.

To oczywiste, panie. Lecz przenieśmy się najpierw w wygodniejsze miejsce. Każę sługom ogrzać twoje komnaty, a tymczasem skorzystajmy z mojej świetlicy.

Zwołaj starszych. Oszczędzi nam to powtarzania wszystkiego wielokrotnie. Resztę ludzi każ, proszę, zaprowadzić na kwatery.

Jakub przywołał gestem sześciu wyższych stopniem braci.

Ty też chodź, Campbell — dorzucił, zerknąwszy na Willa. — Jako komandor przekażesz niezbędne informacje pozostałym.

Hugo skinął na dwóch rycerzy, którzy zaopiekowali się zmęczonymi przybyszami. Robert poszedł za nimi.

Obejrzawszy się jeszcze, Will dostrzegł wchodzącego na dziedziniec Szymona, który wraz z grupą braci służebnych przyprowadził konie ze statku.

Wieść o zgonie wielkiego mistrza Gaudina tak krótko po jego wyborze wielce nas zasmuciła — mówił Hugo.

— Kolejny, zbyt prędki cios po śmierci Wilhelma z Beaujeu w Akce. Wszyscy jednak cieszymy się z twego wyniesienia, panie — dodał szybko.

Jakub zerknął na niego.

Mnie najbardziej zaskoczył ów wybór, bracie Hugonie — rzekł.

Jestem żołnierzem, nie dyplomatą, jak niektórzy z moich niedawnych poprzedników.

Cóż, przede wszystkim masz dłuższy staż w zakonie niż większość z nas. Wprowadził cię, o ile pomnę, mój wuj Humbert, kiedy był mistrzem Anglii?

Tak było.

Ponieważ Jakub nie rozwodził się nad tym dłużej, Hugo zmienił temat:

Podróż z Włoch odbyliście bez przeszkód?

Tak. Pożeglowaliśmy z Genui do Montpellier, jak nam zalecano, choć bardzo żałuję, że nie dane mi było odwiedzić naszego preceptorium w Collioure.

Lepiej, że wybraliście szlak wschodni. Odkąd siły angielskie zajęły Bajonnę i Blaye, wojska francuskie stacjonujące w Gujennie pod wodzą królewskiego brata Karola mają coraz cięższą rękę. Nadchodzą doniesienia o aktach przemocy, zwłaszcza wobec mieszkańców Gaskonii i jej okolic. Ponoć Filip nakazał konfiskatę mienia wszystkich wasali króla Anglii. Ponieważ zaś większość tamtejszej szlachty złożyła Edwardowi hołd, kiedy zajął księstwo, zatem niemal każdy właściciel ziem na południe od Garon- ny siedzi w lochu.

Zatrzymał się, zapraszając gestem wielkiego mistrza. Jakub schylił się lekko, żeby zmieścić się w drzwiach.

Z tego co wiem, spór zaczął się od zatopienia kilku statków kupieckich. Czy nie można było tego jakoś załagodzić?

Na nieszczęście sprawa jest trochę bardziej złożona, panie. — Hugo ruszył przodem po

wypolerowanych drewnianych schodach do dużej, oświetlonej pochodniami sali. Znajdujący się w niej rycerze i klerkowie stanęli w dwóch rzędach, tworząc szpaler, którym przeszedł wielki mistrz i jego świta, odprowadzani podekscytowanymi spojrzeniami. W blasku pochodni złoty otok krzyża na płaszczu mistrza zdawał się jarzyć własnym światłem.

Minęło ponad trzydzieści lat od chwili, gdy król Ludwik podpisał w Paryżu traktat z trzecim tego imienia Henrykiem a ***2 6***

ngielskim, w którym scedował jemu i jego spadkobiercom Gujennę wraz z jakże bogatą Gasko-

nią. Król Filip nie lubi dzielić się władzą, a to, że inny monarcha dzierży ziemie, które przywykł uważać za swoje, jest dla niego ciężkim do uniesienia krzyżem. Nawet jeśli Edward składa mu z nich hołd, jest to wasal stanowczo zbyt potężny. Filip długo nie chciał uznać traktatu, imał się wszelkich sposobów, prawnych i bezprawnych, aby przeszkodzić Edwardowi w objęciu pełnej władzy w księstwie.

Hugo pchnął podwójne drzwi i weszli do dużej komnaty. Pod oknem stał pokaźny stół zarzucony dokumentami i mapami, za nim krzesło z wysokiem oparciem. Nad kominkiem wisiał sztandar zakonu, ale poza stołem i olbrzymią almarią komnata była zupełnie pusta.

Jakub omiótł wnętrze spojrzeniem i zadowolony z jego surowego wystroju odwrócił się do Hugona.

Mówisz tak, jakby winę za ten spór ponosił tylko Filip. Słyszałem jednak, że to angielskie okręty zaatakowały i zatopiły nawy francuskich kupców.

Po obliczu Hugona przemknął cień irytacji.

R E Q U I E M

Tak było i jak sam powiedziałeś, panie, należało rzecz załatwić zwyczajowym odszkodowaniem. Król Filip jednak wykorzystał incydent jako pretekst do zajęcia Gujenny.

Will przysunął się do komina, nasłuchując z zainteresowaniem.

Na początku zeszłego roku — ciągnął Hugo — Filip wezwał Edwarda do Paryża, aby Anglik zdał przed nim sprawę z napaści. Edward wysłał brata, hrabiego Lancasteru, który w jego imieniu zgodził się na czasowe poddanie kilku miast oraz propozycję, by Filip umieścił w Bordeaux niewielki garnizon swoich żołnierzy. W

geście pokoju Filip ofiarował Edwardowi rękę swej przyrodniej siostry i obiecał dalej cedować księstwo, jeśli Edward dotrzyma słowa. Anglik zgodził się i poddał miasta. Ale rzekomo mały garnizon okazał się silną armią, która wkroczyła do Gujenny. Kiedy Edward zaprotestował, Filip po prostu zajął księstwo.

A Edward wypowiedział mu wojnę?

Tylko to mógł zrobić, chcąc odzyskać posiadłości po tej stronie morza.

Jakub podszedł do okna.

Jaki jest jej wynik? — spytał w zapadłej ciszy marszałek zakonu.

W tej chwili obie strony wzajemnie się szachują. Anglicy odzyskali część miast, ale Bordeaux i przyległe do niego obszary Gujenny pozostają w rękach Francuzów. Od jakiegoś czasu żaden z przeciwników nie poczynił

zdecydowanych kroków, może poza niedawnymi aresztowaniami miejscowej szlachty. — Hugo spojrzał na Jakuba, który zapatrzył się w dal za mury Templum, na pola spowite pasmami snującej się nad nimi mgły. W

kępie drzew zebrały się wrony kraczące skrzekliwym chórem. — Ale te sprawy można będzie omówić

szczegółowo, kiedy odpoczniesz po podróży, panie. My z kolei jesteśmy bardzo ciekawi wieści, j akie przywozisz. Byłeś w Rzymie na intronizacji nowego Ojca Świętego?

Jakub odwrócił się od okna.

Tak. Mam wrażenie, że papież Bonifacy okaże się silnym przywódcą w tych niespokojnych czasach.

Czy udało ci się zdobyć poparcie dla krucjaty?

Will miał wrażenie, że w głosie wizytatora wychwycił nutkę czujności.

Moje słowa wzbudziły zainteresowanie — odparł Jakub.

W istocie pode Rjr O

z B

e Y

w N

a

m Y O

, żeU zN t Gego właśnie powodu rada trzynastu wybrała mnie zwierzchnikiem po śmierci

Gaudina. Teraz niepotrzebna nam dyplomacja, konieczna jest za to siła. Aby móc wrócić do Ziemi Świętej i wyrwać ją z rąk mameluckich, musimy najpierw zogniskować działania na zdobyciu wojskowego i

pieniężnego wsparcia władców Zachodu. Bez niego każdą nową wyprawę czeka klęska. Musimy połączyć siły i zadać jeden zdecydowany cios. Toteż bez wytchnienia namawiam możnych, by pomogli mi zebrać wojska.

— Jakub wyprostował swe potężne ciało.

Kiedy to się stanie, całe chrześcijaństwo ujrzy, że rycerzom Świątyni Salomona nie zabrakło ani odwagi, ani poczucia celu. Chcę prosić o pomoc i Filipa, i Edwarda. Przyjmuję, że mimo zadrażnień da się zorganizować spotkanie?

Twarz wizytatora była nieodgadniona. Milczał przez chwilę, jakby wahał się przed udzieleniem odpowiedzi. W

końcu rzekł:

Tak się składa, że wkrótce będziesz miał, panie, sposobność mówić z Edwardem.

Będzie tutaj?

Serce Willa zaczęło bić jak oszalałe.

Nie, ale najwyraźniej do niego także dotarła wieść, że masz przybyć do Paryża, albowiem w zeszłym miesiącu doręczono nam list od niego, w którym prosi, abyś w sposobnej porze udał się do Anglii i wziął udział w spotkaniu w londyńskim Templum.

Czego ma dotyczyć?

Tego nie wiemy, panie. W liście była mowa tylko o tym, że omawiane będą sprawy nader pilne i że w naradzie weźmie udział legat papieski, jak również sam król Edward.

Posypały się domysły co do natury tego niezwyczajnego zaproszenia. W gwarze nikt nie dostrzegł, że dłoń Willa bezwiednie zacisnęła się na rękojeści falcjona, aż zbielała mu skóra na posiniaczonych knykciach.

Dzielnica żydowska w Paryżu Dwudziesty pierwszy dzień grudnia roku Pańskiego 1295

Błądząc nieco w labiryncie ciasnych uliczek, Will dotarł wreszcie do stłoczonej w ciasnych murach dzielnicy żydowskiej, przytulonej do wschodniego odcinka miejskich fortyfikacji. Był wczesny ranek i widoczny nad głową skrawek nieba miał zaskakująco jaskrawą błękitną barwę. Idąc, Will wydychał białe obłoczki pary. Od czasu do czasu zatrzymywał się, zerkał na wymięty pergamin i bacznym spojrzeniem mierzył mijane budynki.

W końcu znalazł wymalowany na pomarańczowo dom, wciśnięty między sklepiki dwóch księgarzy. Drzwi były otwarte na oścież, z wnętrza dobiegały przytłumione głosy. Zastanawiał się, czy pukać czy od razu wejść, kiedy z domu wypadło dwoje ciemnowłosych dzieci, chłopiec i dziewczynka, omal go nie przewracając. Dziewczynka pokrzykiwała zwycięsko, unosząc z zasięgu ramion chłopca skórzaną piłkę.

Czy to jest dom rabina? — zawołał za nimi Will.

Dziewczynka obejrzała się przelotnie.

Tak! — zawołała. — Nie dogonisz mnie! — I pobiegła dalej.

Will wszedł do środka

Ciepła barwa zewnętrznych ścian domu znajdowała nawiązanie i wewnątrz, w sieni leżał ciemnoczerwony chodnik, a na ścianach wisiały wzorzyste tkaniny. W powietrzu unosił się słaby zapach kadzidła i przypraw.

Przez krótką chwilę, mimo chłodu na zewnątrz i resztek szronu, który przywarł mu do butów, Will miał

wrażenie, że znów się znalazł w Akce. Kilka wejść prowadziło do ciemnych pomieszczeń. Tylko z jednego, w końcu sieni, dobiegało światło i głosy.

Za drzwiami niewielkiej kuchni siedziało trzech mężczyzn zajętych ożywioną dyskusją. W pomieszczeniu było gorąco, na palenisku buzował wysoki ogień. Dwóch mężczyzn miało zaczerwienione, pokryte potem

twarze. Minęło parę chwil, nim trzeci, usadowiony za stołem w pobliżu ognia, zauważył stojącego w progu rycerza.

Zamilczcie — rzekł starczym, szeleszczącym głosem, który choć niewiele donośniejszy od szeptu, wystarczył, by dwaj młodsi mężczyźni natychmiast ucichli.

Starzec powoli podniósł się z siedziska. Włosy miał całkiem białe, skórę pomarszczoną i brązową jak suszona figa.

Wilhelmie... — Uśmiech rozjaśnił jego spłowiałe oczy.

Rabbi Eliaszu... —jeden z mężczyzn przeniósł spojrzenie na Willa i w jego oczach odmalowała się podejrzliwość — sprawa nie jest rozstrzygnięta.

Byłaby, gdybyś przyznał, że się mylisz — odparował drugi.

Dość, Izaaku — rzekł z mocą Eliasz. — Wróćcie jutro, kiedy obaj ochłoniecie. — Zmarszczył brwi, słysząc głośny brzęk i okrzyk, który dobiegł z sieni. — I bardzo proszę, zabierzcie stąd wasze dzieci, zanim obrócą cały dom w perzynę.

Obaj mężczyźni z ociąganiem, lecz i z szacunkiem skłonili głowy. Kiedy go mijali, Will zauważył przypięte do odzieży kółka z jaskrawoczerwonej tkaniny — oznaki, które król Ludwik IX kazał nosić Żydom, by się odróż-

niali od reszty ludności.

Zawsze jest coś do naprawienia na tym świecie, nieprawdaż?

Eliasz podszedł do gościa. — Słyszałem, że wasz wielki mistrz objeżdża ziemie chrześcijańskie. Miałem nadzieję, że cięR O

pr B

z Y N

y ni Y

m O

z U N

oba Gczę.

Uścisnęli się serdecznie. Obejmując szczupłe ramiona starca, Will miał wrażenie, że ściska parę kruchych kostek bez krzty ciała ukrytych pod szatą.

Wyglądasz na zmęczonego, Eliaszu — rzekł, przechodząc na arabski. Śpiewne słowa smakowały w ustach dziwnie, lecz przyjemnie, jak ulubiona potrawa, której dawno nie miał okazji skosztować.

Nie jestem zmęczony, tylko zajęty. Czasem większy tu tłok niż w synagodze — zachichotał Żyd. — Nie skarżę się. Opuszczając Cypr, miałem tyle dobytku co na grzbiecie, przybyłem tu z niczym, rad więc jestem, że mogę odpłacić sąsiadom za ich hojność. Nauczam młodszych mężczyzn i mam z czego żyć. A co u ciebie? —

Zmarszczki na czole starca pogłębiły się. — Wyglądasz, jakby coś cię gnębiło.

Po prostu dziwnie się czuję, wróciwszy po tylu latach. — Will zdjął prosty wełniany płaszcz, który miał na tunice, i usiadł, gdy Eliasz gestem wskazał pusty stołek. — Już nie sprzedajesz książek?

W Akce na długi, zbyt długi czas odsunąłem się od gminy, zaszyłem pośród ksiąg. — Rabin wrócił na swe siedzisko przy kominie. — Straciłem z oczu swoje powinności. Albowiem mym zadaniem, a zarazem pragnieniem jest być pośród ludzi, uczyć ich, patrzeć, jak dojrzewają. — Uniósł krzaczastą brew. — I pośredniczyć w ich sporach.

W sieni trzasnęły zamykane drzwi. Starzec wychylił się ze swego miejsca, lecz po chwili spokojnie wrócił do rozmowy.

Nie poznałeś Izaaka, prawda?

A powinienem był?

To jeden z tych, których ocaliłeś w Akce. Wraz z żoną i córką... to ta, która bawi się teraz na podwórku, terroryzując moich sąsiadów.

Eliasz spoważniał. — Uratowałeś tego dnia mnóstwo ludzi, Wilhelmie, mam nadzieję, że jesteś tego świadom.

Niewiele pamiętam. Właściwie nic. — Will odwrócił wzrok.

Rabin przyjrzał mu się bacznie.

Nie pamiętasz bitwy? Naszej ucieczki?

Może chciałem zapomnieć — odparł zmuszając się, by wytrzymać wzrok Eliasza.

Słowa brzmiały wiarygodnie, toteż nie rozumiał, dlaczego starzec przypatruje mu się z niedowierzaniem.

Nieraz słyszał podobne stwierdzenia z ust innych. Mówili zmieszani, że całe godziny, nawet dni oblężenia Akki i ostatecznej bitwy zamazały im się w pamięci. Jakże zazdrościł tym ludziom! On nie

zapomniał, od czterech lat wciąż wracał myślami do ostatnich dni Akki. Pamiętał każdą godzinę, każdą sekundę z rozdzierającą ostrością. Stał na kruszącym się wschodnim molo zewnętrznego portu, niemal tuż pod stopami kłębiło się ciemne, żarłoczne morze. Za jego plecami płonęło miasto. Trzymał w ręku miecz śliski od krwi. Ciało tamtego przechyliło się w tył i pochłonęła je woda.

Wilhelmie?

Podniósł wzrok. Eliasz stał przy palenisku, nad którym wisiał żelazny sagan.

Pytałem, czy nie jesteś spragniony.

Will z roztargnieniem potrząsnął głową.

Nie mogę się rozsiadać. Wpadłem tylko, by dać ci znać, że jestem w Paryżu.

Eliasz zdjął garnek z ognia, chwytając go przez szmatę, i nalał do pucharka gorącego naparu pachnącego cynamonem i goździkami.

Zostaniesz w Paryżu? — spytał, krzywiąc się boleśnie przy siadaniu.

To zależy od wielkiego mistrza.

Eliasz w zadumie objął rękami puchar.

No tak... skoro wasz wizytator jest członkiem bractwa, zapewne nie ma znaczenia, gdzie stacjonujesz. Masz kogoś, kto będzie dbał o wasze interesy tu, na Zachodzie. — Kiedy Will milczał, Eliasz pochylił się do przodu.

— Chodzą słuchy, że wielki mistrz Templum przygotowuje następną krucjatę. To prawda?

Po to właśnie przybył, żeby zdobyć poparcie.

I co w związku z tym zamierzasz?

Ja?

Ty, Wilhelmie — rzekł z naciskiem Eliasz. — Jesteś zwierzchnikiem bractwa. Co planujesz zrobić, żeby temu zapobiec?... — Westchnął ciężko i podjął: — Istotnie, nie chodziło nam przecież o to, żeby mamelucy wygnali nas z Akki. Nikt, kto chciał końca wieloletniej wojny między Wschodem a Zachodem, nie przewidywał, że zakończy się ona masakrą. Ale sam przyznaj: teraz, gdy wojska chrześcijańskie zostały zmuszone do wycofania się z Ziemi Świętej, wasze bractwo bez przeszkód może kontynuować działalność. Nie wydaje ci się, że będzie to łatwiejsze dziś niż wówczas, gdy zachodnie armie okupowały Palestynę? — Eliasz utkwił w rycerzu pałające spojrzenie. — Możliwe, że właśnie teraz Anima Templi ma największą szansę ziścić swój cel: doprowadzić do pojednania trzech wielkich wyznań. Korzystając wspólnie ze zgromadzonej wiedzy,

stalibyśmy się światlejsi, poprzez handel bogatsi, a żyjąc w pokoju, szczerym sercem chwalilibyśmy

Pana.

Ewerard nauczył nas, że muzułmanie, chrześcijanie i żydzi wszyscy są dziećmi jednego Boga, choć nadają Mu różne imiona. Czyniąc szkodę naszym braciom, powiadał zawsze, sami siebie ranimy. — Odetchnął głęboko i rzekł już

R

spokoj O

ni B

ej Y: N Y O U

— My N

ślę G, że teraz, gdy emocje przycichły, byłaby właściwa pora, aby wysłać emisariusza

do sułtana. Powinieneś przynajmniej zaprosić go do rozmowy. — Potrząsnął głową. — Oczywiście jeśli wasz wielki mistrz przeprowadzi swój plan, wojna wybuchnie od nowa. Musisz temu zapobiec.

Templum nie ma dość środków ani ludzi, żeby rozpocząć skuteczne działania wojenne na Wschodzie — rzekł

sucho Will.

Płomienna przemowa Eliasza niezbyt go poruszyła. Ileż razy słyszał te same słowa z ust Ewerarda? Wydawały mu się teraz mrzonką starego człowieka obróconą w popiół w w pożarze zdobytej Akki. Fakt, w ciągu stulecia od założenia bractwa Dusza Świątyni walnie się przyczyniła do zapobieżenia wielu starciom, działając w tajemnicy poza tronami i szykami zbrojnych, lecz nie zdołała uśmierzyć nienawiści między chrześcijaństwem a islamem.

Z tego zaś co słyszę, władcy Zachodu są zbytnio uwikłani we własne spory, aby dać Jakubowi to, czego chce

— dokończył.

Co więc zamierzasz? Czy zgadzasz się ze mną, że należałoby wysłać posła na Wschód?

Prawdę mówiąc, Eliaszu, nie miałem dość czasu, by się nad tym zastanowić. — Oparte na stole dłonie Willa zwinęły się w pięści. — Miałem co innego na głowie.

Oczyma wyobraźni ujrzał wyniosłą twarz i zimne, drwiące z niego stalowoszare oczy. W ciągu minionych dwóch dni, od przybycia do Paryża, wszystkie jego myśli zajmował król Edward. Jego oblicze, jego imię zaczadziły mu duszę, przyćmiewając wszystko inne.

Oczy Eliasza zwęziły się.

Myślałbym raczej, że czego jak czego, ale czasu masz pod dostatkiem. Jak widać, zbytek to też zło — mruknął

pod nosem.

Co mam robić? — prychnął Will. — Ponad połowa braci poległa w Akce, pozostała garstka rozproszyła się po całym Zachodzie. W ciągu czterech lat zakon miał trzech wielkich mistrzów, z których każdy prowadzi! nas w innym kierunku. Jakub de Molay jest opętany myślą o krucjacie. Przemierza wzdłuż i wszerz całe

chrześcijaństwo w nadziei, że ktoś pomoże mu wszcząć wojnę. Widzisz tu miejsce dla Anima Templi? Nie mamy już bazy na Wschodzie, a po śmierci Kalauna straciliśmy kontakt z muzułmanami. To koniec.

Póki istnieje Świątynia, póty będzie istnieć jej Dusza. Ewerard przewraca się w grobie, jeśli słyszy, co mówi jego następca! Jakże to ma być koniec, skoro Wschód i Zachód wciąż na siebie warczą, szukając tylko sposobnej chwili, by ukąsić, pomścić straty, znów rozpalić ogień nienawiści i zniszczenia? — Eliasz machnął

ręką w stronę drzwi. — Powiedz, czy to może być koniec, kiedy moi ziomkowie muszą nosić te znaki na odzieży niczym piętna? Skoro Anima Templi miała nas pojednać, dlaczego wciąż dzieją się takie rzeczy? —

Ściszył głos. — Ewerard złożył na twych barkach brzemię, które z czasem stało się jeszcze cięższe. Ale nie wolno ci zaniechać rozpoczętego dzieła. Nasi ziomkowie muszą wypracować sposób, aby współżyć ze sobą w zmieniającym się świecie. Pokój między narodami jest tak samo ważny, jak pokój między wyznawcami różnych religii. I jest nam potrzebny tu i teraz, gdy Francja toczy wojnę z Anglią, a Szkocja lada chwila się do niej włączy.

Will poderwał głowę.

Szkocja?

Poselstwo z Edynburga przybyło do Paryża na rozmowę z królem Filipem. Powiada się, że oba królestwa zewrą szyki przeciw Anglii. Twoje dzieło dalekie jest od końca. W istocie rzekłbym raczej, że dopiero się zaczyna. — Eliasz wyprostował się na krześle, sapnął i dopił resztkę naparu. — Niemniej dopiero co przyjechałeś. Musisz się zadomowić, przekonać, jak sprawy stoją. Mogę ci w tym pomóc. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, tylko powiedz. — Starzec odprężył się, uspokoił. — Jak się miewa Róża?

Will podrapał paznokciem plamkę na blacie. Poruszyła go wieść, że jego ojczyzna ma wziąć udział w wojnie.

Tak słabo pojmował to, co się tu działo. Znał tylko strzępy wieści, jakie docierały do Akki, i niekompletne, sprzeczne informacje, które zebrał po drodze. Teraz rozumiał, jakim był głupcem wyobrażając sobie, że pod jego nieobecność niewiele się tu zmieni. Tam, na pustyniach Palestyny i

Syrii rozdartych wojną i politycznymi konwulsjami, przez lata dodawała mu sił myśl, że być może kiedyś poczuje znów pod nogami pewny grunt.

Odkrycie, że nie jest on wcale pewny, wytrąciło go z równowagi.

Dotarło do niego, że Eliasz czeka na odpowiedź.

Jeszcze jej nie widziałem. Zamierzałem iść do niej po wizycie u ciebie.

Zatem nie będę cię zatrzymywał. — Rabin wstał i wyciągnął do niego rękę. Kiedy Will ją uścisnął, starzec nakrył prawicę rycerza drugą dłonią. — Nie zapominaj o rzeczach ważnych, Wilhelmie. Nie zapominaj, kim jesteś i do czego jesteś zdolny.

Zamek królewski w Paryżu Dwudziesty pierwszy dzień grudnia

Trawa w królewskich ogrodach była sztywna i krucha, zwarzona mrozem. Chrzęściła pod butami Wilhelma de Nogaret, gdy szedł szpalerem równo przystrzyżonych cisów. Dwaj słudzy zmiatający nawiane z sadu zeschłe liście usunęli się z szacunkiem, żeby go przepuścić. Ruszył wprost do sklepionej furty w wysokim murze.

Prowadziła do ogrodzonego czworoboku będącego zakończeniem dworskiego kompleksu już na samym cyplu île de la Cité. Stało tam kilka murowanych budynków, ale większość przestrzeni zajmowały rzędy malutkich drewnianych R O

dom B Y N

ków Y

, z O

m U

aj N

st G

rowanych tak, że wyglądały jak prawdziwe, łącznie z zamocowanymi na frontach

barwnymi okiennicami. Każdy otoczony był płotkiem i przed każdym sterczała grzęda, na której siedział ptak.

Tuziny małych błyszczących oczek odprowadzały królewskiego doradcę. Były tu jastrzębie gołębiarze i krogulce przycupnięte na wygiętych pałąkach, sokoły, kobuzy, dwie samice raroga. Większe i zdobniejsze domki mieściły stadko białozorów. Było ich w sumie dwanaście, wygrzewały się w słońcu, siedząc na drewnianych pieńkach okrytych lnianą tkaniną. Jedna z sokolic o śnieżnobiałych cętkowanych piórach, iskrzących się niczym śnieg, poderwała się nagle i rzuciła na Nogareta. Ledwie zdążył odskoczyć.

Przyczepione do nogi białozora dzwoneczki rozbrzęczały się wściekle, ptak przez chwilę bił skrzydłami, szarpiąc się na uwięzi, po czym z wdziękiem usiadł znów na pieńku, orząc go szponami. Kiedy zdenerwowany dworzanin ruszył z miejsca, posłyszał za plecami krzyk brzmiący jak urągliwy śmiech. Przyśpieszył, kierując się ku widocznej nieco dalej grupce ludzi. Młody mężczyzna o ciemnozłotych włosach, przewyższający o głowę towarzyszy, odwrócił się na dźwięk jego kroków. Na przegubie obleczonym grubą skórzaną rękawicą trzymał samicę sokoła wędrownego o złożonych popielatych skrzydłach. Nogaret zgiął się w ukłonie. Kiedy się wyprostował, napotkał spojrzenie dwu par oczu. Jedna była czarna ze złotą obwódką, druga lodowatobłękitna, rozstawiona szeroko w przystojnej twarzy, obie zaś jednakowo drapieżne.

Co tak długo?

Wybacz, panie. Na drogach leży już śnieg.

Król milczał przez chwilę, jakby rozważając wiarygodność tego usprawiedliwienia. Pozostali też umilkli.

Jeden, odziany w taką samą dobrze skrojoną czarną szatę, jaką pod opończą miał na sobie Nogaret, przyglądał

mu się z wyższością, odąwszy usta. Ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie Piotra Flotte, kanclerza i powiernika pieczęci królewskiej, Nogaret czekał.

Po chwili Filip uśmiechnął się lekko i napięcie zelżało.

Moja Panna złamała lotkę, ale ptasznicy naprawili ją po mistrzowsku. — Podniósł rękę. Sokolica krzyknęła i rozpostarła skrzydła, gotowa do lotu. — Trzeba wytężyć wzrok, żeby wypatrzyć miejsce, gdzie zostało wczepione nowe pióro. No, podejdźże, Nogaret, stamtąd nic nie zobaczysz. Panna cię nie ugryzie. Prawda, Flotte? — Król zaśmiał się, kanclerz mu zawtórował.

Nogaret dołożył starań, żeby zachować godną minę. Wciąż miał na szyi bliznę po ostrym jak brzytwa dziobie sokolicy. Król nagrodził ją wówczas przysmakiem za waleczność.

Henryk przeszedł sam siebie. — Filip spojrzał na stojącego obok mężczyznę w czapce ozdobionej pękiem gołębich piór.

Królewski sokolnik uśmiechnął się z zadowoleniem.

W tym tygodniu damy jej zdrowo polatać, żeby nabrała sił.

Chcę, żeby była gotowa do łowów po Bożym Narodzeniu — rzekł żywo Filip, podając sokolicę Henrykowi, który chwyciwszy pęto, zręcznie przeniósł ją na swoją rękawicę. Król zdjął ochraniacz i podał go jednemu z giermków, a następnie skinął na Nogareta i Flotte'a: — Chodźcie. Porozmawiamy w moich komnatach.

Ścieżki w ogrodach królewskich były wąskie, mieściły tylko dwie osoby obok siebie. Ku wyraźnemu niezadowoleniu Flotte'a Nogaret wysforował się zręcznie przed niego i zajął miejsce u boku władcy.

Filip szedł

wyciągniętym krokiem, przez co o kilka cali niższy odeń legista musiał niemal biec.

Twój szlachetny brat przesyła pozdrowienia z Bordeaux, naj- milościwszy panie. Wkrótce prześle ci fundusze, które dotąd zebraliśmy.

Ile tego będzie?

Wedle naszych szacunków dość, by utrzymać armię w Gujennie do jesieni przyszłego roku.

Tylko tyle? — Filip zatrzymał się gwałtownie.

Bogactwo tego księstwa tkwi w ziemi; to posiadłości, winnice, miasta. Wyciśnięcie z nich złota zajmie więcej czasu.

Miałem nadzieję, że usłyszę od ciebie lepsze wieści. — Król ruszył dalej. — Potrzeba mi więcej, jeśli mam wykurzyć angielskiego kruka z mojego królestwa. Szkutnicy upominają się o pieniądze; bez nich nie dokończę budowy okrętów.

Nogaret otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Filip powstrzymał go uniesieniem dłoni.

Nie, czekaj. Muszę pomyśleć.

Nachmurzony skierował się do swoich komnat. Gwardziści otwarli przed nim wysokie drzwi.

Nie to chciałem od ciebie usłyszeć — powtórzył.

Moglibyśmy zaoszczędzić gdzie indziej, panie. — Flotte skwapliwie zajął miejsce po lewicy króla, korzystając z tego, że korytarz zrobił się szerszy.

Jak rozumiem, rezygnujesz ze swoich poborów, czy tak? — warknął kwaśno Filip, wchodząc krętymi

schodami do swej świetlicy.

Musimy wymyślić sposób, by zapełnić królewski skarbiec, a nie hamować lub co gorsza zaprzepaścić dobrą robotę, która już została rozpoczęta — zripostował Nogaret patrząc na Flotte'a. — Nie da się prowadzić działań wojennych bez odpowiednich funduszy, a w tej chwili konieczna jest manifestacja silnej władzy królewskiej.

Nie mając środków, by ją wyegzekwować, nasz pan będzie tak samo zależny od krnąbrnych wasali, biskupów i książąt, jak jeg R

o O B Y

popr Nz e Y O

dni U

c N

y. G

— Nogaret wysforował się naprzód, żeby otworzyć przed Filipem drzwi

świetlicy.

Kiwając głową, król wszedł do zalanej słońcem komnaty.

Nogaret ma rację. Za rządów mojego ojca kapetyńska dynastia straciła autorytet. Aby odzyskać mir, jakim cieszył się mój dziad, muszę zmusić ich wszystkich do posłuszeństwa.

Za pozwoleniem, panie — rzekł Flotte. — Król Ludwik nie zyskał szacunku poddanych, nabywając miasta i biskupstwa, lecz biorąc udział w wyprawie krzyżowej.

Nogaret uśmiechnął się w duchu, widząc zimne spojrzenie, jakie król utkwił w swym kanclerzu.

Mawia się, że prawnicy zbytnio mielą ozorami — wycedził Filip.

Uważaj, Flotte, bo jeśli uznam, że tak jest w istocie, to nie pensję każę ci obciąć.

Racz mi wybaczyć, najjaśniejszy panie.

Minąwszy stół z pulpitem, na którym leżały równiutko ułożone czyste arkusze pergaminu, pióra i kałamarze, Filip zrzucił z siebie ciepłą szubę podbitą miękkim jak puch gronostajem i podał ją kanclerzowi. Usiadł na wyścielanej ławie pod oknem wychodzącym na ogród i skrzyżował przed sobą długie nogi.

Sprawa Bordeaux wymaga szczegółowszego omówienia — rzekł

tymczasem jednak otrzymałem niepokojące wieści, nad którymi trzeba się zastanowić w pierwszym rzędzie. —

Błękitne oczy Filipa zatrzymały się na twarzy Nogareta. — Dwa dni temu przybył do Paryża wielki mistrz templariuszy. Niewiele wcześniej odkryliśmy, że został zaproszony na spotkanie, które ma się odbyć w londyńskim preceptorium zakonu. Wezmą w nim udział król Edward i legat papieski imieniem Bertrand de Got.

Ten biskup?

Znasz go?

W pewnym sensie. Natknąłem się na niego w Bordeaux. — Nogaret pokrótce zrelacjonował interwencję Bertranda podczas jednego z aresztowań. — Może nam narobić kłopotów, jeśli zyska

poparcie arcybiskupa, jak zapowiadał.

Bertrand mnie nie martwi. Miałem już z nim do czynienia. Obchodzą go tylko kościelne stanowiska, które rozdaje swoim krewnym. Ten człowiek to mała chciwa wesz, która większość duchownej kariery spędza na próbach wśliznięcia się w łaski papieża. Wątpię, czy zechce robić kłopoty, a w razie czego lukratywne biskupstwo dla jakiegoś pociotka załatwi sprawę. Niepokoi mnie natomiast planowane spotkanie. Obawiam się, że Edward zechce posłużyć się templariuszami przeciwko mnie.

Na czole Nogareta zarysowały się zmarszczki.

Nie bardzo wiem, w jaki sposób. Templum podlega tylko papieżowi. Edward nie może im niczego nakazać.

Właśnie. — Filip zerwał się z miejsca. — I dlatego obecny będzie papieski legat. Mam dość sił, by walczyć z Anglikami, ale gdybym miał do tego stanąć przeciwko całej mocy Templum?... — potrząsnął posępnie głową.

Nawet gdyby angielscy templariusze wsparli Edwarda, francuscy tego nie zrobią. Podobnie jak członkowie zakonu osiedli w cesarstwie, Portugalii czy prowincjach hiszpańskich. Ich byt zależy od donacji z rąk królów i książąt. Nie zechcą się narażać.

Tu muszę się zgodzić z Nogaretem — wtrącił Flotte.

A jakiż cel ma przed sobą Templum teraz, po upadku chrześcijańskiej Ziemi Świętej? — spytał Filip. —

Czymże jest, jeśli nie armią gotową do wojny? Zjednoczeni wyrwaliby nam Gujennę w dwie niedziele.

Nie są zjednoczeni — zauważył Flotte. — Połowa zakonu koczuje na Cyprze, druga połowa jest rozproszona po całym chrześcijaństwie. Ta ostatnia od upadku Akki większość sił poświęciła wzmocnieniu swego monopolu na handel wełną. Zresztą z tego co wiemy, Jakub de Molay przyjechał szukać poparcia dla nowej krucjaty, a nie po to, by walczyć w cudzej wojnie.

Niemniej wolałbym być pewny, że nie mam się o co martwić. Może i templariusze nie będą walczyć za Edwarda, lecz Anglik przypuszczalnie zechce ich nakłonić, żeby wspomogli go finansowo. Wiem, że goni resztkami. Z trudem utrzymuje silną władzę w Gaskonii, a rewolta Walijczyków musiała go wiele kosztować.

A jeśli rzeczywiście go poprą? — bąknął Nogaret.

Wtedy będę musiał znaleźć złoto dla szkutników i być może sam najechać Anglię. — Król odwrócił się do Nogareta. — Pojedziesz do Londynu. Wydam rozkazy; musisz się pośpieszyć, żeby dotrzeć tam przed Jakubem de Molay. Dowiesz się, jaki cel ma to spotkanie.

Łatwiej przyjdzie to któremuś z naszych ludzi na angielskim dworze

zauważył cierpko Nogaret urażony pomysłem, że on, królewski legista i były profesor sławnej uczelni w Montpellier, miałby się skradać po zaułkach Londynu jak pospolity szpieg. Zerknął na Flotte'a, zastanawiając się, czy on to uknuł, ale kanclerz nie patrzył mu w oczy.

Nie — powiedział Filip. — Zależy mi na czasie. Po przybyciu udasz się prosto na dwór w Westminsterze, jakoby z posłaniem od mojej żony do jej matki. To pozwoli ci uniknąć rozgłosu związanego z oficjalną wizytą, choć i tak wątpię, czy ktokolwiek domyśli się, kim jesteś, i nabierze podejrzeń. Powiedz jej, żeby się dowiedziała, ile zdoła.

To może być trudne, jako że brat królewski dowodzi wojskami Edwarda w Bajonnie. Królowa matka może nic nie wiedzieć. R O B Y N Y O U N G

Jest kobietą na królewskim dworze, Nogaret. Nie sądzisz chyba, że rozmawia tylko ze swoim małżonkiem?

Zanim Nogaret zdążył odpowiedzieć, rozległo się stukanie do drzwi. W progu pojawi! się jeden z kancelistów.

Posłowie ze Szkocji przygotowują się do wyjazdu, najjaśniejszy panie.

Zaraz tam będę.

Posłowie ze Szkocji? — powtórzył zdziwiony Nogaret, kiedy klerk zamknął za sobą drzwi.

Przybyli pod twoją nieobecność, proponując sojusz przeciwko Edwardowi, który bezustannie miesza w ich królestwie. Zgodziłem się im pomóc. Dwa miesiące temu podpisaliśmy traktat.

To barbarzyńcy! — prychnął Nogaret pogardliwie. — Żyją w norach w ziemi i wciąż rżną się między sobą o przywództwo.

Możliwe, ale są wrogami Edwarda, co czyni ich mymi sojusznikami. Zwiążą jego siły na szkockiej granicy, dzięki czemu łatwiej mi będzie go wyprzeć stąd. Zmuszony do podzielenia wojsk nie zdoła długo utrzymać Gaskonii. Być może Edward wie już o tym sojuszu i dlatego poprosił templariuszy o spotkanie. To chyba zrozumiałe, że twoje sprawy w Bordeaux muszą zejść na drugi plan. — Filip zaczerpnął tchu. — A teraz odejdźcie obaj. Chcę się przebrać, nim pożegnam naszych barbarzyńskich przyjaciół.

Pozostawszy sam, król przeszedł przez komnatę do wysokiego srebrnego zwierciadła. Zdjął z głowy złoty diadem i położył go na stole. Następnie bez pośpiechu rozsupłał nabijany srebrem pas spinający fałdzistą szatę koloru wina, zrzucił ją przez głowę i powiesił na poręczy ławy. Przez cały czas wzrok miał utkwiony w lśniącej powierzchni lustra. Przyglądał się sobie chłodno, obojętnie, jakby obserwował obcego człowieka. Pod szatą miał włosiennicę, ciasną koszulę utkaną z szorstkiej koziej sierści. Wciąż śmierdziała capem, zwłaszcza gdy się spocił. Zauważył, że wytarła się nieco, i odnotował w pamięci, aby kazać sobie uszyć nową. Nosił ją niemal codziennie; z czasem sztywny włos szorujący wciąż o skórę tracił ostrość. Gdy rozluźnił rzemienie i sztywny przyodziewek odkleił się od skóry, poczuł taką ulgę, że tylko siłą woli powstrzymał się od krzyku. Rozwiązał

resztę troków, zdjął włosiennicę i starannie ułożył ją obok szaty. Obejrzał w lustrze skutki całodziennej pokuty.

Podrażniona skóra miała jaskrawo- czerwone zabarwienie. Obróciwszy się bokiem, dostrzegł rząd świeżych śladów po ugryzieniu wszy, które lęgły się w koziej sierści. Na plecach białawe wygojone blizny splatały się ze świeżymi strupami znaczącymi miejsca, gdzie bicz rozciął ciało do krwi. Ślady umartwień zaczynały się od łopatek i ginęły pod nogawicami. Wyżej skóra była czysta i jasna, podobnie jak piękna twarz. Kontrast był

uderzający, jak gdyby twarz i ciało należały do różnych osób.

Półnagi podszedł do okna, gdzie zimny powiew rozkosznie koił skórę. Jego wzrok wędrował po ogrodach, w których pracowali słudzy. Przyglądając im się, poczuł mgliste zadowolenie. Obejmując tron w wieku lat siedemnastu, bał się, że dwór nie będzie spełniać jego rozkazów tak gorliwie jak rozkazów ojca czy niezłomnego dziada. Jeszcze dziś, choć panował od dziesięciu lat, zastanawiał się czasem, czy dostatecznie go poważają. Była to jedna z przyczyn, dla których otaczał się dworzanami zbliżonymi do siebie wiekiem, jak Nogaret. Nad nimi górował bez trudu.

Kątem oka zauważył ruch tuż pod oknem. Jakaś kobieta zmierzała do furty dla służby w murze okalającym zamek. Szła szybko, zebrawszy suknie jedną ręką, żeby nie nurzały się w błocie. Uwagę Filipa przykuło napięcie, z jakim wciąż oglądała się za siebie. Zaintrygowany odprowadził ją wzrokiem. Zniknęła za wysokim zamkowym murem i chwilę później pojawiła się znów na brzegu rzeki. Zdjęła z głowy welon, rudozłote włosy rozsypały się na ramiona. Filip zmarszczył brwi, widząc mężczyznę, który czekał na nią na wąskim brzegu opadającym stromo ku wodzie. Zbliżył się do służebnej i objął ją na powitanie. Prędko wyswobodziła się z uścisku, zerkając w stronę pałacu. Bystre oczy Filipa utrwaliły w pamięci rysy jej twarzy. Każe majordomusowi wygnać tę dziewkę za nieprzystojne zachowanie. Rozpustna służka to zaraza, rozsiewa nieposłuszeństwo pośród innych. Nauczył się tego od ojca. Filip nie brał sobie zbytnio do serca nauk swego rodzica, człowieka chwiejnego i słabego, ale tę zachował w pamięci. Dwór jest przedłużeniem władcy. To co robią domownicy, odbija się na monarsze, nie pozwoli zatem, by plamili jego dobre imię. Jest wnukiem Ludwika Świętego. Poddani winni znać tylko jego wielkość. Zawróciwszy do ławy, wziął włosiennicę, nałożył

ją z powrotem i zaciągnął rzemienie, ignorując pieczenie podrażnionej skóry.

île de la Cité Dwudziesty pierwszy dzień grudnia

Minęła ponad godzina i Will zaczął już wątpić, czy sługa przekazał wiadomość. Mury zamku wznosiły się nad jego głową, obojętne i gładkie jak zawsze. W ich obrębie zaszły jednak widoczne zmiany. Powyżej mostu wzniesiono dwie nowe wieże strzegące imponującej bramy. Za nią, wśród znajomych stromych szarych dachów, pięły się gęsto w górę nowe budynki zwieńczone wieżyczkami, z których powiewały barwne

proporce. Po przeciwnej stronie rysowała się na tle nieba majestatyczna bryła Sainte-Cha- pelle. Świątynia ta, zbudowana przez króla Ludwika jako pomieszczenie dla bezcennej relikwii — fragmentu korony cierniowej Chrystusa — przydawała urody paryskiemu zamkowi, który bez niej

zdawałby się tylko posępną, niedostępną warownią.

Kątem oka zobaczył szczupłą dzieweczkę idącą ku niemu po błotnistym brzegu i nagle zabrakło mu tchu, gdy sobie uświadomił, że nie jest to już dziewczynka, lecz kobieta. Domowa suknia z jasnej wełny, ściągnięta w talii paskiem, podkreślała wysmukłą postać. Złociste włosy targał wiatr wiejący znad rzeki. Odgarnęła je szybkim, nieci R

er O

pl Bi Y

w N

y mY O

geUstNe G

m. Twarz miała bladą i trochę mizerną, wystające kości policzkowe podkreślały

mocny podbródek. Widok tej twarzy, zarówno znajomej i obcej, sprawił mu ból, zadał cios w samo serce.

Witaj, Różyczko — powiedział.

Przystanęła gwałtownie, ale przeszła resztę drogi i objęła go. Włosy miała miękkie, pachniały dymem drzewnym. Od czasu gdy ostatni raz ją do siebie tulił, minęły dwa lata, a jemu zdawało się, że to cała wieczność.

Już zacząłem się obawiać, że nie przyjdziesz.

Mam obowiązki — mruknęła, wyzwalając się z jego objęć, i ukradkiem obejrzała się na zamek.

Will odetchnął ostrożnie. Nie powinien był oczekiwać, że stęskniona rzuci mu się na szyję. Rozstanie nie było łatwe, a w drodze nie miał okazji, by przesłać jej wiadomość.

Jak ci się powodzi? — spytał i zaraz tego pożałował. Pytanie było takie suche, takie banalne.

Skrępowana wzruszyła ramionami.

Andréas obiecywał, że jego stosunki zapewnią ci tutaj dobrą pozycję. Osobiście zwrócił się w tej sprawie do królowej. — Will spojrzał pod nogi, nie mogąc znieść wyrazu malującego się na twarzy córki.

Zatem chyba musi mi się dobrze powodzić — odparowała. Wiatr uniósł jej włosy i znów je odgarnęła.

Dostrzegł czerwone, zawęźlone blizny na poparzonej ręce.

Zauważyła to i splotła ramiona.

Zależy mi na tym, żebyś była szczęśliwa — rzekł bezradnie.

Żebyś nie musiał się już mną przejmować! — Szafirowe oczy dziewczyny pociemniały z gniewu. — 1 czuć się winny, że mnie odesłałeś.

Nienawistne słowa zapiekły go do żywego, trafiły w sedno. Położył jej dłonie na ramionach. Ile miała lat?

Siedemnaście? Nie, w zeszłym miesiącu skończyła osiemnaście.

Wiem — rzekł powoli — że było ci ciężko, ale...

Nie wiesz, jak mi było! Zniknąłeś, gdy tylko wylądowaliśmy na Cyprze. Nie widywałam cię całymi

miesiącami!

A jak miałem postąpić? — rzekł cicho. — Na statku wszyscy zakładali, że jesteś zwyczajną sierotą ocaloną z Akki, ale kiedy przybyliśmy na Cypr, musiałem cię opuścić. — Popatrzył na zieloną Sekwanę płynącą bezgłośnie tuż obok. — Jestem zakonnikiem, Różo. Wiesz o tym. Ale zadbałem, żebyś miała dobrą opiekę.

Prychnęła pogardliwie. Twarz Willa stwardniała.

Zrobiłem, co mogłem. U Eliasza nie było ci źle.

Nie. Ale zmusiłeś mnie do przyjazdu do Paryża.

Eliasz jest Żydem, Różo. Zresztą on także wyjeżdżał. Ja miałem towarzyszyć wielkiemu mistrzowi w podróży.

Nie mogłem cię zostawić całkiem samej w Limassol. Dzięki Andreasowi Paryż był najlepszym wyjściem. —

Will potrząsnął głową. — Inne dzieci z Akki nie miały tyle szczęścia. Większość z nich straciła oboje rodziców. Uwierz mi, żebranie na ulicy to jeszcze nie najgorszy los.

Ja też straciłam oboje rodziców!

Poczuł się tak, jakby go uderzyła. Milczał. Róża zaczerwieniła się, spuściła wzrok. Will walczył ze sobą przez chwilę, ale nie mógł się powstrzymać.

Co to miało znaczyć?

Nic — mruknęła.

Chcę wiedzieć, co miałaś na myśli.

Nie chciał wiedzieć. Ale mimo to zapytał.

To — odwróciła się do niego — że w Akce zginęła nie tylko moja matka.

Przez chwilę w jej ciemnoniebieskich oczach Will widział obcego, który z niego szydził. Z trudem się powstrzymał, żeby nie wymierzyć jej policzka.

Mur, który zbudował wewnątrz siebie, pękł; nagromadzony gniew, ból i bezsilność mrowiły we wzniesionej już do ciosu dłoni. Nie było go, kiedy stawała się kobietą, zwierciadlanym obrazem matki, który ranił go tym bardziej, tym dotkliwiej przypominał o jej zdradzie. Te oczy o barwie wzburzonego morza nie były jego ani nawet Elwiny, a człowieka, którego imię chciał zapomnieć.

Cofnęła się, obróciła i bez słowa ruszyła do zamku. Zawahał się, zrobił krok naprzód, wyciągając rękę, jakby chciał ją zatrzymać, ale była już za daleko. Dłoń zawisła w powietrzu, potem opadła. Zaczekał chwilę, ale Róża już się nie obejrzała. Zniknęła za furtą. Will uniósł głowę i patrzył prosto w słońce, aż rażące światło wycisnęło mu z oczu łzy.

Zanim przeszedł Wielki Most i znalazł się na drodze prowadzącej do Templum, mroczki w oczach ustąpiły i znów ogarnęła go dawna martwota. W dormitorium rycerzy zastał Hugona i Roberta.

Musimy porozmawiać — rzekł wizytator. — Chodźcie. Nie mamy wiele czasu.

Robert pytająco uniósł brwi, widząc płaszcz zwinięty pod pachą Willa. Nie zauważając tego, Hugo poprowadził ich do budynku kancelarii, gdzie miał komnatę.

Wkrótce nona, a wielki mistrz polecił odprawić specjalne nabożeństwo, w trakcie którego chce się zwrócić do braci. — Zamknął za sobą drzwi. — Dziś rano dostałem list z Londynu od brata Tomasza. Prosiłem go, by sprawdził, jaki R

c O

el B Y

m N

a Y

pl O

a U N

now G

ane spotkanie. — Usta Hugona zacisnęły się w wąską linię. — Jak się zdaje,

papież zamierza połączyć Templum z zakonem Świętego Jana i wysłać oba z powrotem do Ziemi Świętej jako zjednoczoną armię na następną krucjatę, którą razem sfinansujemy.

Will ściągnął brwi, ale potrząsnął głową.

To się nie uda.

Tego nie możesz wiedzieć — odparł ostro Robert.

Will spojrzał na niego, potem na Hugona.

Czy Jakub o tym wie?

Powiedziałem mu dziś rano. Powołałem się na mistrza Anglii, bo to właściwie prawda, informacja wyszła od niego, tyle że przez pośrednika. Tomasz widział list od króla Edwarda do mistrza, w którym była mowa o

zamiarach papieża. Inicjatywa zrodziła się więc na Lateranie, a Edwarda najwyraźniej poproszono o mediację jako wpływowego władcę, który pozostaje z nami w bliskich stosunkach. Papież zapewne chce, żeby poparł jego plan.

I co na to Jakub?

Chce ruszyć na Wschód, to oczywiste, i gotów jest za to zapłacić. Obawiam się, że dla krucjaty doprowadziłby zakon do bankructwa. Ale pragnie sam dowodzić. Nie będzie współpracował z joannitami i ja go za to nie winię. Z wojskowego punktu widzenia byłaby to katastrofa. Jeśli kiedykolwiek pojawiła się szansa na zgodę między nami, dawno już przepadła.

Hugo pił do wydarzeń w Akce. Konflikt narosły wokół zwalczających się pretendentów do tronu

jerozolimskiego doprowadził w końcu do napaści templariuszy na Szpital Świętego Jana i choć minęło wiele lat, joannici nigdy im tego nie wybaczyli. Odtąd w każdym sporze między chrześcijanami w Ziemi Świętej oba zakony konsekwentnie stawały po przeciwnych stronach. Zjednoczyli się dopiero — i tylko — w ostatnich dniach przed upadkiem Akki. Obaj wielcy mistrzowie wspólnie szarżowali na nacierające mameluckie hordy.

Lecz na złożonej politycznej scenie Zachodu, gdzie linie sił i frontów nie przebiegały jawnie, a sojusze miały kruche podstawy i krótki żywot, było bardzo wątpliwe, aby taki cud miał się powtórzyć. Zadawnioną waśń wpajano młodym pokoleniom rycerzy zakonnych. Hugo miał rację, nie był to grunt, na którym można by budować pojednanie.

A jeśli papież wyda rozkaz?

Wówczas czeka nas walka. Choć z tego, że legatem jest zwykły biskup, można sądzić, że papież nie zamierza zbyt mocno naciskać. Może po prostu chce poznać nasze zdanie w tej materii? Czy w czasie waszego pobytu w Rzymie wspominał choć słowem o fuzji zakonów?

Nie — odpowiedział Will — ale nic w tym dziwnego. Bonifacy miał silnych przeciwników w Collegium Sacrum i po intronizacji poświęcił się zwalczaniu opozycji. Jakub z kolei często i na długo wyjeżdżał, odwiedzał króla w Neapolu, nasze preceptoria w Wenecji i Genui, tak że poza kilkoma spotkaniami na wiosnę prawie nie widzieliśmy Ojca Świętego.

Jeśli zaproszenie, choćby nawet formalnie, wyszło od Edwarda

wtrącił Robert — to popiera on papieskie plany. Tego się w sumie obawialiśmy, odkąd zaczął żądać pieniędzy od Ewerarda. Stary podejrzewał, że prędzej czy później król Anglii podporządkuje Ziemię Świętą swoim ambicjom. A teraz, kiedy wielki mistrz za wszelką cenę chce tam wrócić... — Robert wzruszył ramionami. —

W gruncie rzeczy go rozumiem. Sam pragnę pomsty za to, co nam uczyniono w Akce, i czasem nie jestem w stanie pojąć, jak mogłem uważać muzułmanów za braci. — Spojrzał na nich. — Ale czas krucjat przeminął i to chyba dobrze, choć tyle straciliśmy. Król Edward ślubował wierność celom Anima Templi i powinien wraz z nami dążyć do stworzenia trwałego pokoju między Wschodem a Zachodem, a nie pchać nas z powrotem na wojnę, nawet jeśli papież sobie tego życzy.

Will milczał. On sam dobrze wiedział, jak daleko Edward jest gotów się posunąć, aby dostać to, czego chce.

Pokój był mu potrzebny tylko dla zrealizowania własnych planów. Zawierał i zrywał sojusze, nie dbając zupełnie o to, kogo i co zniszczy swoimi działaniami, a przy tym był zdumiewająco wręcz skuteczny i bezwzględny.

Mówiłeś o swoich obawach co do Edwarda, kiedy wprowadziłeś mnie do Anima Templi — dodał Hugo. —

Ale po podpisaniu rozejmu z Bajbarsem Edward przestał się palić do wyprawy krzyżowej. Skąd pewność, że działa przeciwko nam? Gdyby Ewerard istotnie miał co do niego uzasadnione podejrzenia, nie wybrałby go na opiekuna bractwa. Przyznaję, nigdy nie poznałem Ewerarda bliżej, ale w czasie spędzonym z naszymi braćmi w Akce jedno stało się dla mnie jasne: Ewerard wierzył w Duszę Świątyni ponad wszystko i nie zrobiłby nic, żeby ją narazić.

Ewerard popełnił błąd — rzekł cicho Will. — Kradzież Księgi Graala omal nas nie zgubiła. Gorączkowo pragnął umocnić bractwo i wybrał niewłaściwego człowieka. Żałował tego aż do końca swoich dni.

Nie wiemy, jaką rolę odegra na spotkaniu Edward — ciągnął Hugo.

Miał jakieś sprawy z Bertrandem de Got w Gaskonii. Może chce nas bronić? Jeśli ktokolwiek miałby wyperswadować papieżowi powzięty plan, to właśnie on.

Edward nie jest naszym przyjacielem. — W głosie Willa zadźwięczała stal. — Zdradził nas już niejeden raz.

Tak? A kiedy t R O

o? B Y N

— w yYc O

e U

dz Nił G

Hugo. — Poza ciągnięciem z nas pieniędzy, co mógł czynić z

najszlachetniejszych pobudek, cóż takiego zrobił? Czytałem pisma Ewerarda, które mi przesłałeś przed upadkiem Akki. Nie było w nich żadnych wzmianek o zdradzie, tylko lęki Ewerarda, ukształtowane, niech dodam, wyraźnie pod twoim wpływem, że król został naszym opiekunem nie z chęci czynienia pokoju, a z myślą o funduszach na wojnę z Walią. Nawet jeśli to prawda, ujarzmienie Walii było konieczne. Umiłowanie pokoju nie oznacza uległości w obliczu buntowników i podżegaczy.

Tak samo nazwiesz Szkotów? Od lat szukał sposobu, by ich podbić. Po zdobyciu Walii już nic nie stoi temu na przeszkodzie.

Po śmierci Aleksandra Szkocja pogrążyła się w chaosie. Wielmoże walczyli między sobą o władzę. Edward przyszedł im z pomocą.

Próbując ożenić pięcioletnią wnuczkę Aleksandra ze swoim synem, przez którego mógłby rządzić!

I gdyby Panna Norweska wyżyła, oba królestwa cieszyłyby się dziś pokojem dzięki tej unii. — Hugo pokręcił

głową, widząc niedowierzające spojrzenie Willa. — Szkoci zaufali Edwardowi, inaczej nie powierzyliby mu władzy po śmierci małoletniej królowej. Od tamtego czasu stara się przywrócić porządek w ich królestwie, umacnia zamki, osadza posterunki w miastach, gdzie napięcie między rywalizującymi rodami jest największe. I jak odpłacają mu Szkoci? Zamiast usiąść do rozmów, załagodzić różnice, podpisali traktat z jego wrogiem.

R O B Y N Y O U N G

Od kiedy to zostałeś Anglikiem, Hugonie? — zapytał z kwaśną miną Robert.

Staram się tylko spojrzeć na tę sprawę oczyma Edwarda — odparł spokojnie Hugo. — I zrozumieć, skąd się bierze podejrzliwość wobec niego. Jesteśmy przecież braćmi, czyż nie? — Wyciągnął ręce do dwóch zagniewanych mężczyzn stojących przed nim. — Jesteśmy po tej samej stronie. Ja chcę mieć pewność, że cokolwiek się stanie, nasz zakon będzie bezpieczny. To niespokojne czasy. Wielki mistrz chce wyruszyć na wyprawę krzyżową, a papież chce nas połączyć z naszym wrogiem. Każdy z tych zamysłów może nam

przynieść nieobliczalne szkody. Jakub zaplanował przeprawę do Anglii tuż po Bożym Narodzeniu.

My trzej będziemy mu towarzyszyć. Dopilnowałem tego.

Jedziemy z nim?

Tak. I uważam, że powinniśmy w tej sprawie traktować Edwarda jak naszego przyjaciela.

A zatem dyskusja skończona. — Will obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Twarz Hugona pokryła się krwistą czerwienią.

Stać, komandorze! Jak śmiesz pokazywać mi plecy!

Will zawrócił tak gwałtownie, że Hugo cofnął się o krok.

Rozmawiamy o sprawach Anima Templi. Przypominam, że to ja jestem zwierzchnikiem bractwa. Jeśli mówię, że dyskusja skończona, to jest skończona.

Niech go piekło pochłonie — mruknął Hugo, gdy Will wyszedł z komnaty. — Nie, Robercie, nie

usprawiedliwiaj go. Jeśli jeszcze raz się tak do mnie odezwie, doprowadzę do tego, żeby został wykluczony z zakonu.

Londyn, Nowa Świątynia Siódmy dzień stycznia roku Pańskiego 1296

Miasto płonęło. W rozjaśniające się wraz z brzaskiem niebo wznosiły się słupy czarnego dymu, zaćmiewając wschodzące słońce. Kamienne pociski wyrzucane z machin dziurawiły mury, gruchotały kamień i ludzkie ciała.

Kobiety i dzieci o twarzach umazanych sadzą tłoczyły się na koronie portowego muru, usiłując się dopchać do nielicznych łodzi, którymi gęstniejąca ciżba pragnęła dopłynąć do ostatnich zakotwiczonych w porcie statków.

Will wparł konia w tłum, utkwiwszy wzrok w skulonej postaci kuśtykającej chwiejnie po zniszczonym wschodnim molo.

To zawsze Edward pociągał za sznurki. Byłem jego kukłą, skakałem, jak mi kazał, zanim jeszcze kazał.

Wszystkie twoje marzenia stawały się ciałem, moje gasły...

Will usiadł gwałtownie. W głowie cichło mu echo słów Garena. Czuł ucisk w piersi, z trudem łapał oddech.

Wstał i przeszedł przez puste dormitorium do okna, oparł dłonie na gzymsie. Wyjrzał na zewnątrz, na porośnięty trawą czworobok otoczony krużgankiem. W powietrzu snuł się bagnisty odór Tamizy. To miejsce także było tłumne od wspomnień, ale bledszych, mniej wyrazistych niż paryskie. W Nowej Świątyni spędził tylko dwa lata.

Tu jednak po raz ostatni widział ojca, co napawało go bolesną nostalgią. Czuł się tak, jakby wracał po własnych śladach, najpierw do Paryża, potem do Londynu. Myśl o Szkocji, w której się urodził, stawała się coraz bardziej natarczywa. Nadal woził ze sobą list od Isendy. Ona i starsza od niej Eda zapewne wciąż żyły.

Przez trawnik szła grupa zakonnych giermków, czarne tuniki wisiały na szczupłych ramionach, jeszcze nie umięśnionych dzięki pracy lub walce. Kiedyś był taki jak oni, młody i naiwny, pełen nabożnego podziwu dla rycerzy, którzy górowali nad nim jak archaniołowie w swej nieskazitelnej

bieli. Pamiętał, jak chętnie pomagał Szymonowi w stajni, pamiętał zimowe poranki na polu ćwiczebnym, gdy Garen biegi u jego boku. To były inne czasy, inne życie.

Odezwał się dzwon na wieży. Giermkowie przyśpieszyli kroku i zniknęli w krużganku. Will podszedł do pryczy.

Przykucnął i wyjął spod niej sakwę. Zawahał się, nim ją otworzył.

Straciliśmy wszystko. Możemy jeszcze co najwyżej umrzeć — odezwał się w pamięci Garen.

Sięgnął do sakwy i wyjął z niej nóż — używany na co dzień zwykły nóż z drewnianą rękojeścią, cienki i dobrze wyostrzony. Położył go na dłoni. Był niewielki. Łatwy do ukrycia. Nikt się nie spostrzeże, zanim będzie po wszystkim.

Garen był tylko pionkiem, narobił wiele złego, lecz nie działał sam. To Edward przesuwał go na szachownicy, wygrywając każdym posunięciem, od zabójstwa Owena w Honfleur poprzez upokorzenie Willa w paryskim zamtuzie, co samo w sobie było podobne do śmierci, poprzez zasadzkę pod Mekką aż do pożaru w domu Andreasa. Król nie brudził sobie rąk, lecz stał za wszystkimi czynami Garena, był ich siłą sprawczą w takim samym stopniu, jakby osobiście przypieczętował każdy zbrodniczy czyn dokonany dla jego korzyści. Drogę do celu znaczyły spiski, zabójstwa i kłamstwa pod płaszczykiem honoru, którym wywiódł w pole nawet Ewerarda.

To przez niego Will stracił wszystko, co było dla niego cenne w życiu. Nie mógł dłużej znieść poczucia krzywdy.

Poprzysiągł Edwardowi zemstę na pokładzie Feniksa, gdy wypływali ze zniszczonej Akki. Wówczas jego furia była czystym ogniem. Minione lata zmieniły ją w szary popiół, który dusił, brudził każdą jego myśl. Po powrocie na Zachód płomień już tylko pełgał, lecz tu, w Londynie, tak blisko wroga, rozpalił się jak pochodnia.

Oświetlona jej blaskiem dumna twarz Edwarda majaczyła przed nim, ilekroć przymknął oczy.

Palce Willa zacisnęły się na rękojeści i rozwarły z powrotem. Gwałtownie wypuścił powietrze, uświadomiwszy sobie, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Zaklął pod nosem, owinął nóż w zapasową koszulę i wepchnął

go do sakwy.

Drzwi się otwarły i wszedł Robert.

Co ty tu robisz? — spytał.

Nic. — Will kopnął sakwę pod łóżko.

Nie słyszałeś dzwonu?

Will zdał sobie sprawę, że wciąż dociera do niego monotonny dźwięk z zewnątrz.

Już tu jest — powiedział Robert. — Powinieneś przyjść.

Will ruszył do drzwi, oglądając się na pryczę.

Główna brama londyńskiego preceptorium była otwarta, a na dziedzińcu roiło się od ludzi. Konie w pięknych czaprakach prowadzono do stajen. Will przystanął. Naprzeciw, prowadzony przez mistrza Anglii, na czele licznej świty szedł król Edward.

Czas odcisnął piętno na towarzyszach Willa, ale dla angielskiego monarchy okazał się jeszcze mniej łaskawy.

Zmienił nie do poznania wyniosłego młodzieńca, którym był dwadzieścia trzy lata temu. Edward zachował atle-tyczną posturę, a jego wzrost wciąż wyróżniał go w każdym zgromadzeniu, ale tu kończyły się podobieństwa.

Will wyobrażał sobie twarz otoczoną ciemnymi lokami, tymczasem pięćdziesięcioszścioletni władca włosy miał białe jak puch łabędzi. Srebrzysta, krótko przystrzyżona broda podkreślała ostre rysy, a lekko opadająca powieka była teraz bardziej widoczna. Poruszał się trochę sztywno, choć krocząc godnie wyprostowany, z mieczem u pasa, wydawał się równie żwawy jak otaczający go młodsi mężczyźni.

Edward prześliznął się spojrzeniem po twarzy Willa i w pierwszej chwili zdawać się mogło, że go nie rozpoznał.

Zaraz jednak w jego oczach pojawiła się czujność.

Campbell.

Brian le Jay, młody i energiczny rycerz o czarnych kędzierzawych włosach, piastujący stanowisko mistrza Anglii, zerknął na króla, a następnie na Willa, który w przeciwieństwie do innych nie skłonił się na powitanie.

Znasz jednego z braci, panie?

Z dawnych czasów — odparł król, nie spuszczając wzroku z Willa. Mówił doskonałą, górnolotną

francuszczyzną.

Komandorze...

Will zerknął w prawo i zobaczył, że Hugo wpatruje się weń znacząco.

Ukłoń się — podszepnął bezgłośnie.

Na czole mistrza Anglii pojawiła się zmarszczka. Will nie mógł zlekceważyć rozkazu. Zacisnął zęby i skłonił

głowę przed Edwardem. Po twarzy króla przemknął wyraz satysfakcji, potem Brian le Jay ruszył dalej i napięcie prysło.

Najjaśniejszy panie — rzekł, wskazując drogę do sali kapitulnej

pójdźmy. Wielki mistrz cię oczekuje.

Templariusze ruszyli za orszakiem. Wielki mistrz siedział na podwyższeniu obok niskiego mężczyzny z wygoloną tonsurą, którym jak się domyślano, był Bertrand de Got. Jakub wstał na powitanie monarchy. Edward wszedł na podwyższenie i zajął jedno ze środkowych miejsc. Brian i Hugo usiedli po bokach. Pozostali rycerze i królewscy doradcy stłoczyli się na ławach w niższej części sali. Zamknięto drzwi, ale Jakub nadal stał.

Prawie dwieście lat temu — rozpoczął — pierwsi krzyżowcy odzyskali Jerozolimę dla chrześcijaństwa. Święte miasto stało się celem licznych pielgrzymów. Na Wschód wyruszył także Hugo z Payns, wasal hrabiego Szampanii, wraz z ośmioma druhami. Onże miody rycerz dostrzegł, ile niebezpieczeństw czyha na pątników pragnących odwiedzić święte miejsca. A przecież, pomyślał, winni byli swobodnie, bez strachu przed niewolą lub śmiercią z rąk Saracenów, kroczyć przez ową ziemię, którą kiedyś przemierzał sam Chrystus. Ustanowił

przeto rycerski zakon mający bronić pielgrzymów. — Donośny głos Jakuba niósł się echem w wielkiej sali.

Rycerze milczeli, słuchając znanej im opowieści. — Objął godność pierwszego mistrza, a choć zakon nasz z owych skromnych początków rozrósł się wielce, rok za rokiem zyskując na sile i godności, pozostał wierny swej pierwotnej misji. Jesteśmy wszak strażnikami Ziemi Świętej. Po to nas stworzono. To nasz jedyny cel. Cel, któremu winniśmy służyć ciałem

duszą.

Will był zaskoczony. Małomówny na ogół Jakub, który podobnie jak wielu rycerzy Templum nie umiał pisać, rzadko bywał tak elokwentny. Zauważył, że skryba wielkiego mistrza siedzący w pierwszej ławce rytmicznie potakuje głową, i domyślił się, że wniósł on spory wkład w to wystąpienie.

Zadanie nasze na Wschodzie nie zostało jeszcze wypełnione

ciągnął Jakub. — Mam honor być dwudziestym trzecim mistrzem zakonu Świątyni Salomona i jak wszyscy przede mną nie spocznę, dopóki Jerozolima nie zostanie ponownie wyzwolona dla Boga i chrześcijaństwa.

Odpowiedział mu aplauz rycerstwa. Jednakże na twarzach dostojników siedzących na podium malowały się mieszane uczucia. Brian le Jay słuchał z pełnym szacunku zainteresowaniem, Hugo w zamyśleniu wpatrywał się w podłogę, Bertrand de Got z zapałem kiwał głową, zaś z twarzy Edwarda, chłodnej i obojętnej, w ogóle nie dało się nic wyczytać.

Jakub zwrócił się do biskupa:

R O B Y N Y O U N G

Wierzę, że Ojciec Święty jest tej samej myśli.

Bertrand wstał, wygładzając na sobie szatę.

To prawda, mistrzu Jakubie, a piękne słowa, któreś właśnie wyrzekł, odzwierciedlają pragnienia jego świątobliwości. Rozmawiałem z nim jednak długo i uważamy, że sami twoi rycerze nie zdołają wypełnić trudnego zadania, jakim będzie wyrwanie Ziemi Świętej z rąk Saracenów. Dlatego Ojciec Święty pragnie, by Templum połączyła siły ze Szpitalem

Świętego Jana. Działając wspólnie, oba te zasłużone zakony mogłyby osiągnąć cel.

Przez salę kapitulną przeleciał pomruk, w którym wyraźnie dało się wychwycić niezadowolenie. Nie było jednak jawnych głosów oburzenia, których spodziewał się w duchu Will, co mogło dowodzić, że większość rycerzy znała wcześniej cel tego spotkania.

Jakub milczał przez chwilę. Potem rzekł:

To się stać nie może.

Bertrand zdumiał się, widząc nagłą przemianę miodoustego mówcy w szorstkiego żołnierza.

Ależ mistrzu, wszak po tośmy się zebrali. Zechcesz chyba wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Nie muszę. Już postanowiłem. Chętnie ujrzę rycerzy Świętego Jana na nowej wyprawie, ale obok nas, jak było dotąd.

Istnieją obawy, że wasza rywalizacja przyczyniła się do utraty Ziemi Świętej. — Bertrand podniósł ręce, uciszając protesty. — Stwierdzam tylko to, co wielu sądzi.

Nasza rywalizacja była pomocą, nie zawadą. Zakony współzawodniczyły ze sobą w tym, co najlepsze dla chrześcijaństwa. Na polu bitwy gdy jeden z nas dowodził strażą przednią, drugi strzegł tyłów.

I tak pozostanie — argumentował biskup. — Jedyną różnicą będzie to, że staniecie pod wspólnym

sztandarem.

Czyim? — spytał z naciskiem Jakub. — Czy wielki mistrz joannitów bardziej niż ja kwapi się ustąpić ze stanowiska? A może będziemy mieć dwóch wielkich mistrzów, dwóch wizytatorów, po dwóch mistrzów każdej prowincji? — Wskazał ręką Hugona i Briana le Jay. — Czy rycerze przywykli do swego dowódcy chętniej będą wypełniać rozkazy kogoś, kogo dotąd mieli za rywala? To co proponujesz, nie będzie zjednoczoną armią, tylko bezładną, skłóconą zbieraniną, która dotrze najwyżej do Marsylii, zanim zacznie walczyć między sobą.

Bertrand wydął wargi i rozejrzał się wokół, szukając poparcia. Jego wzrok padł na króla Anglii.

Panie, byłeś orędownikiem tej debaty. Powiedz, co ty myślisz.

Oddawszy głos, Bertrand z ulgą wrócił na swoje miejsce.

Myśl o wyprawie na Wschód jest mi droga... — zaczął Edward.

Will czuł, jak krew zaczyna mu tętnić w skroniach. Pochylił się do

przodu.

...ale obecnie zaprzątają mnie inne sprawy.

Bertrand zmarszczył brwi, król jednak zwracał się do Jakuba de Molay.

Jak zapewne wiesz, mistrzu, Jan Balliol w imieniu Szkocji zawarł sojusz z królem Filipem francuskim. Miałem nadzieję, że zdołamy rozstrzygnąć nasz spór rozsądnie, jak ludzie cywilizowani. Teraz widzę, że z tymi ludźmi taka rzecz jest niemożliwa. Traktat ów jest w istocie wypowiedzeniem wojny i muszę nań zareagować szybko i zdecydowanie. Wczoraj wydałem rozkaz, by wszyscy przebywający w Anglii Szkoci zostali uwięzieni.

Palce Willa zacisnęły się na brzegu ławy.

Panie! — oburzył się Jakub. — Wszak i my mamy w zakonie Szkotów...

Templariuszy to nie dotyczy. — Edward nie spuszczał oczu o barwie krzemienia z wielkiego mistrza. — Musisz zrozumieć, że to konieczność. Szkoci stanęli u boku Filipa przeciwko Anglii. Nie mogę dawać im bezpiecznej przystani w granicach mego królestwa, gdzie w każdej chwili mogą na nas uderzyć.

Po chwili wielki mistrz skinął powoli głową.

Istotnie, panie, nie możesz.

Bertrand patrzył na Edwarda osłupiały. Najwyraźniej spodziewał się usłyszeć z jego ust całkiem co innego.

Z należnym szacunkiem, panie, mówisz tu o wojnie z drugim chrześcijańskim narodem, podczas gdy mieliśmy radzić o odzyskaniu Ziemi Świętej z rąk niewiernych. To musi być dla nas najważniejsze!

Księże biskupie, w przeciwieństwie do naszej matki Kościoła ja nie mam tyle szczęścia, by wybierać wrogów.

Filip i Szkoci podnieśli na mnie rękę. Gdybym jej nie odciął w obronie mego ludu, jakiż byłby ze mnie król?

Edward popatrzył znów na Jakuba. — Przygotowuję się teraz do wymarszu na północ, naprzeciw wojskom Balliola, ale gdy mój brat dowodzi angielskimi wojskami w Gaskonii, a inni dowódcy wciąż tłumią bunty w Walii, brak mi ludzi. Potrzebuję zdyscyplinowanych żołnierzy i ciężkiej jazdy. I dlatego, czcigodni rycerze, szukam u was pomocy.

Will z ulgą spostrzegł, że wielki mistrz niewiele się tym przejął.

Z tegoż powodu i ja tu przybyłem, panie — rzekł — aby szukać pomocy królów, prosić ich o ludzi i oręż. Nie spodziewałem się, że sam stanę przed podobnym żądaniem. Moi ludzie potrzebni są na Wschodzie.

Czoło Edwarda się zachmurzyło. Chciał coś powiedzieć, ale Hugo wstał raptownie.

Moi panowie, pozwólcie, iż zaproponuję, abyśmy zakończyli na dziś to spotkanie. Skoro przybrało tak niespodziewany obrót, rozsądnym będzie dać sobie czas na przemyślenia, zanim podejmiemy decyzje. — SpojR O B Y N Y O U N G

rzał na Jakuba. — Możemy zebrać się ponownie jutro.

Wielki mistrz skinął głową.

Dobrze, wizytatorze. Co na to wasza wysokość?

Edward milczał przez chwilę, po czym skłonił głowę.

Ja także jestem za tym — oznajmił sztywno Bertrand, rzucając królowi posępne spojrzenie.

Zebrani zaczęli się podnosić, rozmawiając cicho. Will odprowadził wzrokiem Edwarda, który szybkim krokiem skierował się do drzwi i wyszedł z sali, a za nim orszak jego doradców i straży.

Ktoś w Paryżu podpisał kawałek pergaminu. Teraz Anglia i Szkocja szykowały się do wojny.

Zamek londyński Siódmy dzień stycznia

Hugo zatrzymał się u szczytu krętych schodów, które opadały w ciemność. Uderzył go w nozdrza ostry smród odchodów. Zerknął na towarzyszącego mu mężczyznę.

Trzeba zejść, panie... — Mężczyzna ruchem ręki wskazał drogę.

Hugo zaczął schodzić, ostrożnie stawiając stopy. Po chwili przestał

cokolwiek widzieć i musiał wymacywać strome, nierówne stopnie, przytrzymując się rękoma kamiennej ściany.

Stopniowo rdzawy blask pochodni jął się przebijać od dołu, dzięki czemu templariusz pewniej przebył ostatnie stopnie i znalazł się w sklepionym korytarzu. Ostry zwierzęcy odór omal go nie zadławił. Starał się oddychać jak najpłycej przez usta. Na końcu korytarza światło było jaśniejsze, widział poruszające się sylwetki. Należały do pięciu zwalistych strażników.

Powiedziano mi, żebym tu przyszedł — odezwał się Hugo łamaną angielszczyzną. Skądś dobiegł do jego uszu stłumiony krzyk.

Król cię oczekuje, panie — rzekł jeden ze strażników. — Idź za mną.

Skręcili w poprzeczny, nieco szerszy korytarz mający po jednej stronie rząd masywnych drzwi. Za kolejnym zakrętem strażnik wskazał na lewo.

Tędy, panie. Tylko patrz pod nogi.

Zerknąwszy w dół, Hugo zobaczył, że środkiem korytarza biegnie wycięty w kamieniu ściek pełen brudnej cieczy.

Odchody — wyjaśnił strażnik.

Poznawszy źródło smrodu, Hugo poczuł jeszcze silniejsze mdłości. Siłą opanował chęć, żeby zatkać sobie nos.

Strażnik zatrzymał się przy drzwiach, odczepił od pasa pęk kluczy i włożył jeden z nich do zamka. Rozległ się kolejny krzyk, tym razem o wiele bliżej. Drzwi się otwarły.

Wewnątrz znajdowało się czterech mężczyzn. Trzej obejrzeli się, gdy wszedł templariusz. Czwarty, wiszący za nadgarstki na łańcuchu biegnącym od stropu, nie podniósł głowy. W celi unosił się smród przypalonego mięsa, nasuwający niepożądane skojarzenia z pieczenią wieprzową.

Witam, wizytatorze.

Hugo skłonił się, przenosząc wzrok z króla na więźnia. Był nagi poza brudną przepaską na biodrach. Jego skóra, mokra od potu w żarze bijącym z kosza pełnego węgli, nosiła wypalone ślady żelaza do cechowania, które właśnie rozgrzewano od nowa. Poza nimi znaczyły ją liczne rany, piasek na posadzce przesiąknięty był krwią.

Hugo z trudem powstrzymał torsje.

Czy mam przyjść później, panie?

Nie — uciął lakonicznie Edward. — Porozmawiamy tutaj.

Więzień zakaszlał, z ust spłynęła mu strużka krwawej plwociny. Hugo

zmarszczył nos.

Kto to?

Szkocki szpieg. — Edward odsunął się na bok i skinął na oprawcę, który wepchnął żelazo głębiej między węgle.

Z kosza sypnęły się iskry. Słysząc ich syk, więzień wyraźnie się wzdrygnął. — Wśliznął się na mój dwór niczym robak kilka miesięcy temu. Szpiegował, by o wszystkim donieść swoim panom. Na szczęście schwytano go w porę, inaczej Szkoci znaliby marszrutę moich wojsk, zanim jeszcze straż przednia opuściłaby Londyn.

To nieprawda — dobiegł ich świszczący szept. — Jestem niewinny.

Jeszcze raz. — Edward kiwnął na pachołka, który przytknął czerwone żelazo do piersi więźnia. Nieszczęśnik zawył i zwisł bezwładnie na utrzymującym go w pionie łańcuchu.

Pytam jeszcze raz. — Edward nachylił się nad więźniem. — Czy Balliol wie o moich planach?

Nie — wyszeptał więzień. Milczał przez chwilę i z wysiłkiem podniósł głowę. — Ale to bez znaczenia. I tak będzie gotów.

No sam widzisz — mruknął Edward.

Szkoci was wyrżną do nogi, ty kłamliwy psie. — Więzień zacisnął oczy i odrzucił w tył głowę. — Niech żyje król Jan!

Teraz możecie go zabić. — Edward dał znak strażnikom.

Jeden z mężczyzn sięgnął po nóż i sprawnie poderżnął więźniowi

gardło.

Szkoci zwrócili się do mnie o pomoc — rzeki Edward, idąc do wyjścia. — Błagali mnie o mediację po śmierci R O B Y N Y O U N G

ich króla i jego jedynej dziedziczki. Nie szczędząc kosztów i fatygi, przeprowadziłem proces mający ustalić, który z pretendentów ma największe prawa do tronu. Po koronacji Balliola nareszcie zapanował spokój —

Obejrzał się od progu.

Myślałem, że będą mi wdzięczni. Pomyliłem się. Musisz przekonać wielkiego mistrza, żeby dal mi ludzi do stłumienia buntu Balliola.

Hugo wyszedł za nim.

To może być trudne, panie. Jakub myśli tylko o wyprawie do Ziemi Świętej. Wątpię, by chciał uszczuplić środki zebrane na ten cel.

Ruszyli po ciemnych schodach. U ich szczytu Hugo musiał zmrużyć oczy. W otwarte drzwi na dziedziniec, zastawiony wielką szopą mieszczącą królewską menażerię, świeciło zimne styczniowe słońce.

Idący przed nim Edward odwrócił się gwałtownie.

Zgodzi się, jeśli w zamian pomysł połączenia was z joannitami pójdzie w zapomnienie.

Co sugerujesz, panie?

Znam Bertranda de Got. Zdawać się on może bezwolną marionetką, ale ma posłuch u papieża. Jeśli go odpowiednio zachęcę, zdoła mu to wyperswadować. Ty i ja zawsze dobrze się rozumieliśmy. Udzieliłeś mi już pomocy, kiedy o nią prosiłem. Pomóż i teraz.

Obiecałeś mi coś w zamian, panie. Straciliśmy bazę w Akce. Szpitalnicy umocnili się na Cyprze, Krzyżacy osiedli w Prusach; musimy iść za ich przykładem i zapewnić sobie własne ziemie, wolne od władzy świeckiej kaprysów Kościoła. Dotąd wystarczyła nam reputacja, by zdobyć donacje, przywileje i rekrutów. Teraz, gdy nasza pozycja osłabła, musimy znaleźć sobie trwalszą podstawę dalszego istnienia. A to oznacza przede wszystkim ziemię.

Tę zaś łatwiej będę wam mógł zapewnić, kiedy stłumię szkocką rewoltę. Może właśnie Szkocja stanie się bazą waszego zakonu? Macie tam już swoje komandorie. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

Hugo milczał przez chwilę.

Zrobię, co będę mógł — rzekł w końcu. — Postaram się nakłonić Jakuba, żeby udzielił ci pomocy. Ale najpierw trzeba przerwać te niedorzeczne zamysły o połączeniu nas z joannitami. Lokalizację przyszłych nadań możemy omówić w sposobniejszym czasie.

Wyszli na dziedziniec. Z szopy dobiegł bolesny ryk jakiegoś zwierzęcia.

Campbell to przełknie? Jest zwierzchnikiem Anima Templi i wychowankiem Ewerarda, a na dodatek Szkotem.

Nie będzie mu to w smak.

Campbell rządzi bractwem, a ja zakonem. Zrobi, co mu rozkażę.

Londyn, Nowa Świątynia Ósmy dzień stycznia roku Pańskiego 1296

Wszedłszy wraz z innymi do sali kapitulnej, Will rozejrzał się za Hugonem. Wizytator stał z przodu,

obok wielkiego mistrza. Will zajął miejsce na jednej z bocznych ław, usiłując pochwycić jego spojrzenie.

Po wczorajszym zebraniu zwołał pośpiesznie członków bractwa, ale stawili się tylko Robert i Tomasz. Will był

zbity z tropu zarówno żądaniami Edwarda, jak i nieobecnością Hugona, debata zaś spełzła na niczym. Potem szukał go w wielkim refektarzu przy wieczerzy, ale wizytator zniknął, w końcu więc po komplecie Will udał się do dormitorium targany niepokojem. Długo w noc leżał bezsennie. Nóż wrócił na swoje miejsce w sakwie, ale nie pozwalał o sobie zapomnieć.

Kiedy Hugo ruszył się, żeby usiąść obok Briana le Jay, jego wzrok spoczął na Willu. Jeśli nawet zauważył

pytającą minę, nie dał tego po sobie poznać. Król Edward zajął miejsce, po nim siedli pozostali.

Jakub de Molay wyglądał na zmęczonego, ale głos miał stanowczy. Przemówił do zebranych:

Spędziliśmy wiele godzin na naradach, lecz konkluzja pozostaje ta sama: zjednoczenie z zakonem Świętego Jana wyrządzi więcej szkody niż pożytku toczącej się walce o przyszłość Ziemi Świętej. Nie mogę się na to zgodzić

— dodał, zwracając się do Bertranda de Got.

Biskup, blady i zniechęcony, wstał.

Ja też miałem czas na przemyślenia. — Zawahał się. Will ściągnął brwi, widząc, że biskup zerka na Edwarda. —

Miałem czas to przemyśleć

powtórzył — i uważam, że macie rację.

Przez salę przebiegł szmer aprobaty, lecz i zaskoczenia. Jakub nakazał ciszę.

Dziś, mistrzu — Bertrand spojrzał z żalem na templariusza — chylę głowę przed waszym doświadczeniem.

Wrócę do Rzymu i przekażę jego świątobliwości rekomendację, by zakony Świątyni i Szpitala pozostały odrębne i osobno działały na rzecz nowej krucjaty.

Will był równie jak inni zdumiony tą nagłą zmianą stanowiska, lecz w przeciwieństwie do pozostałych nie czuł

radości, tylko niepokój. Za tą wymianą zdań kryło się coś jeszcze, jakiś plan kreślony z dala od oczu ludzkich.

Nie musiał długo czekać na potwierdzenie swych podejrzeń.

Biskup usiadł, ale wielki mistrz stał nadal.

W sprawie poruszonej wczoraj przez króla Edwarda także podjąłem decyzję. — Jakub skłonił się lekko przed królem. — Templum da ci to, o co prosisz, panie. Poprzemy twoją kampanię przeciwko Szkotom.

Will zerwał się na nogi. Siedzący obok rycerze oglądali się zdziwieni, ale on widział tylko Edwarda —

R O B Y N Y O U N G

opanowanego jak zwykle i bynajmniej nie zdziwionego słowami wielkiego mistrza.

Mistrz Brian udzieli ci wszelkiej pomocy. Wyruszą z wami jednak tylko rycerze stacjonujący w Anglii. Nie chcę rozgniewać sojuszników zakonu we Francji i gdzie indziej.

To się rozumie samo przez się — przytaknął Edward. — Ale chętnie wykorzystałbym jako bazę wasze główne preceptorium w Szkocji. Zamierzam przeprawić się przez rzekę Tweed koło Berwicku jeszcze przed Wielką Nocą. Kiedy miasto się podda, droga do Szkocji stanie otworem

ruszę dalej na północ. Balantrodoch będzie sposobnym miejscem postoju, by dać wojskom wytchnienie. Stamtąd ruszę prosto na Edynburg.

Nie widzę przeszkód.

Jak rozumiem, rycerze z Balantrodoch poprą mnie niezależnie od możliwych proszkockich sympatii? —

Spojrzenie Edwarda padło na Willa, który wciąż stał.

Wykonają moje rozkazy — rzekł spokojnie Jakub. — W Balantrodoch jest pięćdziesięciu rycerzy. Dośle tam jeszcze stu pieszych. Mistrz Brian omówi z tobą resztę szczegółów. On sam obejmie dowództwo nad naszą chorągwią.

Will opadł na ławę. Z podium padły deklaracje odnoszące się do przyszłej wyprawy krzyżowej, ale on już nie słuchał. Kiedy zebranie dobiegło końca, przepchnął się do wyjścia, słysząc jeszcze, jak Edward mówi do jednego z towarzyszących mu dworzan:

Wezwij baronów. Niech się stawią w Newcastle pierwszego dnia marca. Stamtąd ruszymy na północ.

Will dogonił wizytatora na dziedzińcu.

Hugonie!

Zawołany odwrócił się ze złością.

Zachowuj właściwe formy, kiedy się do mnie zwracasz, komandorze!

Co się stało? Dlaczego Jakub się na to zgodził?

Mów ciszej — warknął Hugo, bo rycerze tłumnie wychodzili już z sali. Wskazał ręką kwatery dostojników zakonu. — Tam porozmawiamy.

Weszli do komnaty zajmowanej przez Hugona i Will już otwierał usta, ale wizytator nie pozwolił mu dojść do głosu.

Co ty wyprawiasz? — syknął. — Twoje zachowanie zaczyna zwracać uwagę. Upadek Akki był ciosem dla nas wszystkich, ale minęły cztery lata

pora przestać rozdrapywać rany.

Wiem, że nieraz różniliśmy się w poglądach, Hugonie, ale mam szacunek dla stanowiska, które piastujesz, a także dla ciebie osobiście. Musisz porozmawiać z mistrzem. Przekonać go, żeby odstąpił od tego planu.

Nie mogę tego zrobić. — Hugo poszedł do okna.

Dlaczego nie?

Hugo wyjrzał na dziedziniec. Wysoka postać Edwarda górowała nad innymi, korona w blasku słońca lśniła jak aureola.

Próbowałem ci to wytłumaczyć w Paryżu, ale nie słuchałeś.

Obrócił się do Willa. — Zachód się zmienia. Jakub jest wychowankiem starego porządku, wciąż patrzy na Wschód, wciąż chciałby nieść krzyż do Jeruzalem. Nie możemy my pozwolić na wciągnięcie zakonu w tę wojnę.

Zgadza się. Musimy z nim pomówić.

Znam go od miesiąca i już wiem, że nie zmienia raz powziętych decyzji. Jakub jest na wskroś żołnierzem, najlepiej czuje się na polu bitwy. Od dwóch lat jeździ po całym chrześcijaństwie, starając się porwać za sobą innych, a ty z nim. Dwa lata to dość czasu, byś zdołał go przekonać do zmiany zdania, gdyby to było możliwe, prawda?

Will nie znalazł na to odpowiedzi. Hugo podjął:

Jakub zrobi swoje, choćby miał sam jeden ruszyć zbrojnie do Ziemi Świętej. Nie powstrzymamy go, ale możemy i musimy zapewnić zakonowi bezpieczeństwo. W tym zmieniającym się świecie ziemia jest wszystkim.

To

o

nią walczą tak zaciekle Edward z Filipem. Ziemia daje potęgę, a wraz z nią niezależność. Od dwustu lat stoimy ponad prawami królów i książąt, bo nie ma nad nami władzy nikt poza papieżem, ale potęga papieska chyli się ku upadkowi. Namiestnik Boży nie ma dość własnych ziem, by stawić czoło rosnącej potędze wojowniczych królów. Jeśli nie odetniemy się od papiestwa, możemy upaść wraz z nim. Ale mając rozlegle posiadłości, wzrośniemy w siłę, pozostając najpotężniejszym i najbardziej wpływowym zakonem na świecie. —

Oczy Hugona błyszczały. — Będziemy wpływać na decyzje królów, trzymać w swojej pieczy ich skarbce, panować na ziemi

morzu, sprzedając własne towary czy chroniąc statki kupieckie, jak to było w czasach naszej największej potęgi.

Krucjaty się skończyły, w oczach świata nasz zakon stracił rację bytu. Musimy sami znaleźć sobie nową, zanim ktoś zadecyduje za nas. A takie zakusy już są, dowodem pomysł, by połączyć nas z joannitami.

Will kręcił głową.

R O B Y N Y O U N G

A Dusza Świątyni? Jej cele?

Bractwo nie ma już sensu ani celu. Sam dobrze o tym wiesz, inaczej zacząłbyś je odbudowywać po upadku Akki. Czy zrobiłeś cokolwiek w tym kierunku? — Hugo uniósł rękę. — Nie, i wcale cię nie winię. Bo w istocie co mogłeś zrobić? Jakże po utracie Ziemi Świętej mamy nadal krzewić współpracę z muzułmanami?

Will nie odpowiedział. Słowa Hugona były echem pytania, które sam sobie przez cały czas zadawał: jaki cel miało teraz istnienie Anima Templi? Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z seneszalem, człowiekiem, o którym zawsze myślał jako o następcy Ewerarda. Zobowiązał go wówczas, by kontynuował dzieło bractwa na Zachodzie i zabezpieczył Templum przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Seneszal nie wiedział, że zadanie okaże się niewykonalne.

Złożył w ofierze życie, byś mógł je wykonać — upomniał go cichy głos, ale Will zmusił go do zamilknięcia.

Hugo pokiwał głową, biorąc milczenie za zgodę.

Gdy zapewnimy sobie przyszłość — podjął — możemy odbudować bractwo, znaleźć nowy cel. Sam nieraz mówiłeś: Anima Templi nie może istnieć bez zakonu, bez złota i środków, które on nam zapewnia, nawet o

tym nie wiedząc. Jeśli pozwolimy, by zawładnęły nim inne siły, przekonamy się w końcu, że

zmiażdżyły nas cudze ambicje. — Hugo milczał przez chwilę. — Edward może nam pomóc osiągnąć to, czego chcemy. W istocie mógłby być naszym największym sprzymierzeńcem.

Will poczuł, jak jego serce zamienia się w ołów.

Dobry Boże. Hugonie, coś ty zrobił?

To co musiałem.

To nie Jakub zdecydował się wesprzeć kampanię przeciw Szkocji, tylko ty. Namówiłeś go, żeby się zgodził.

W istocie.

Edward chce się nami posłużyć. Nie dotrzyma tego, co ci obiecał.

Już nam pomógł. W zamian za wsparcie wojskowe w Szkocji zobowiązał się wyperswadować legatowi

połączenie zakonów. Dotrzymał słowa. Kiedy w Szkocji znów zapanuje porządek, nada nam tamtejsze ziemie.

Zyskamy stałą siedzibę, miejsce, z którego będziemy mogli decydować

o

własnej przyszłości.

Sam to powiedziałeś, Hugonie: Edward pożąda ziemi. Naprawdę sądzisz, że ścierpiałby pod bokiem niezależne władztwo potężnej armii, która rośnie i staje się coraz silniejsza? Edward może być okrutnikiem, tyranem i kłamcą, ale z pewnością nie jest głupcem.

Dostrzeże korzyść płynącą z przymierza z nami.

Jeśli nawet, ujrzy w nas tylko najemników, których zechce używać wedle woli. Sam oddajesz nas w jego ręce!

— Will podszedł do niego.

Hugonie, przysięgam, że to nas zniszczy. Tym sojuszem nie ratujesz Templum, a gotujesz mu koniec... — Głos mu się załamał. — Pamiętasz Garena z Lyonu? — spytał po chwili.

Jak mógłbym zapomnieć? Skradł Księgę Graala i omal nie ujawnił bractwa. Robert mi o nim opowiadał.

Ale Robert nie wie, nikt nie wie, dla kogo to zrobił. W dniu upadku Akki wyznał mi, że pracował dla Edwarda.

To Edward zorganizował atak na templariuszy przewożących klejnoty koronne do Francji. Plan się nie powiódł, postanowił przeto wykraść księgę, żeby z jej pomocą szantażować Anima Templi. Odzyskaliśmy księgę i może na tym by się skończyło, gdyby zwiedziony przez niego Ewerard nie mianował go Opiekunem. Odtąd żądał już tylko złota na swoje kolejne wojny... — Will mówił coraz szybciej. — Chciał nawet... zdobyć Czarny Kamień z Mekki i wziąć za niego okup, by w ten sposób zdobyć środki na podbój Szkocji i swoją przyszłą krucjatę.

Na twarzy Hugona mieszały się zakoczenie, szok i niedowierzanie.

Garen ci to powiedział?

Tak.

Co się z nim stało? Gdzie jest teraz?

Zginął w Akce.

Jesteś tego pewien?

Will pokiwał głową. Hugo westchnął.

Mógł cię okłamać. Masz jakieś dowody, że mówił prawdę?

Will otworzył usta i zamknął je z powrotem.

Nie — przyznał z goryczą.

Wiesz, co o tym myślę? — Hugo podszedł do stołu i przysiadł na nim, składając ręce na piersi. — Myślę, że przemawia przez ciebie osobista niechęć do króla Edwarda. To ty, nie Ewerard, doszedłeś do wniosku, że działa przeciwko nam, wyraźnie to wynika z pism Ewerarda. Starał się nie ujawniać zbyt wiele, ale prawdę wyraźnie widać między wierszami. Wyrażał się o Garenie jako o zbłąkanej, chybionej strzale; uważał, że w Ziemi Świętej Garen działał na własną rękę. A to, że Garen starał się zrzucić winę na kogoś innego, wcale mnie nie dziwi.

Nie, to nie...

Uważam — Hugo nie dał mu dojść do słowa — że w głębi duszy poczułeś zazdrość, kiedy twój mistrz i mentor wyróżnił Edwarda, podnosząc go do godności Opiekuna. Dotąd byłeś jego najbliższym powiernikiem. Wraz z pojawieniem się Edwarda to się zmieniło. Poza tym oczywiście jesteś Szkotem. Wiem, że masz tam rodzinę, i R O B Y N Y O U N G

rozumiem, jak ciężko ci się pogodzić z faktem, że będziemy walczyć z twoimi rodakami, ale nie możesz pozwolić, by emocje zaciemniły ci szerszy osąd. Możliwe, że Edward to w ogóle jedyna szansa, jaką mamy na przetrwanie. Nie pozwolę, by cokolwiek ją zniweczyło. Przykro mi, Will.

Muszę ufać swojemu instynktowi, a on mi mówi, że zdradził Garen i tylko on.

Will czuł się tak, jakby przyniótł go ogromny ciężar.

Nie możesz tego zrobić!

Moja decyzja jest ostateczna.

Jestem twoim zwierzchnikiem — warknął, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

Hugo bezwiednie powtórzył jego gest, oczy mu się zwęziły.

Zwierzchnikiem tajnego bractwa, o którym nikt nie wie? — Zrobił krok w jego stronę. — A ja jestem wizytatorem potężnego zakonu, podległym tylko wielkiemu mistrzowi. Powiedz mi, kto stoi wyżej? Albo podporządkujesz się mojej decyzji, albo wykluczę cię z Templum za nieposłuszeństwo. — Jego głos złagodniał.

— Kiedy Edward uspokoi szkockich buntowników, będzie to z korzyścią dla królestwa, a my zdobędziemy to, czego nam trzeba, żeby przetrwać.

Edward wykrawa sobie państwo po trupach!

Jak to mówił stary Ewerard? Ze pokój trzeba czasem kupować za cenę krwi? Musimy się pogodzić z tym, że trzeba coś poświęcić dla większego dobra. — Hugo zdjął dłoń z miecza. — Uspokój się, Will. Zaufaj mi. Nie każ mi używać wobec ciebie siły.

Will okręcił się na pięcie i wypadł z budynku. Właśnie wyprowadzano konie ze stajen. Edward wciąż był na dziedzińcu, rozmawiał z Jakubem.

Przeskakując po dwa stopnie, Will wbiegł do dormitorium na piętrze

wyciągnął spod pryczy swoją sakwę. Zamajaczyła mu twarz ojca, dumnego Szkota i templariusza, ale przede wszystkim człowieka pokoju. Odpędził ją niecierpliwym gestem i wytrząsnął zawartość sakwy na posłanie.

Wypadła z niej zapasowa koszula, para gatek, wytarty medalion na łańcuszku, zmięty list od siostry i nic więcej.

Od razu wydała mu się za lekka.

Tego szukasz?

Robert stał w drzwiach, bawiąc się jego nożem. Will ciężko usiadł na pryczy.

Nie wiem, co tu się dzieje, Robercie.

Poza tym, że planujesz królobójstwo?—odparował przyjaciel ostro.

Masz to wypisane na twarzy, odkąd się dowiedziałeś, że przyjeżdża.

Will się zawahał. Czy to prawda? Sam już nie mógł się połapać we własnych myślach. Żył w otępieniu, które tylko czasem przerywała nagła błyskawica bólu.

Wiem, że winisz Edwarda za czyny Garena — mówił dalej Robert —ale niezależnie od szkód, które nam wyrządził, jego krucjatowych ambicji

zakusów w stosunku do Anima Templi, to Garen, a nie on jest odpowiedzialny za los Elwiny. To Garen, nie on, wywołał pożar.

Przestań, na miłość boską, nie wymawiaj jej imienia!

Nie chciałeś o tym mówić, ale Szymon i Róża rozmawiali ze mną trochę w drodze na Cypr. Nie wszystko zrozumiałem, ale wiem jedno: to się musi skończyć. Od wyjazdu z Akki chodzisz jak błędny. Teraz widzę, że już posunąłeś się za daleko. Może to moja wina, powinienem był z tobą wcześniej porozmawiać, ale bałem się, jak zareagujesz. Na rany Chrystusa, Will, nie widzisz, co się z tobą stało? Chcesz podstępnie zamordować namaszczonego władcę. Pójdziesz do piekła.

Już jestem w połowie drogi.

Duszę Świątyni stworzono po to, aby krzewiła pokój poprzez dyplomację, nie przemoc. Jeśli zejdziesz na dziedziniec, zaprzepaścisz wszystko, co zdziałali dotąd Robert z Sabie i inni: Ewerard, Hasan, twój ojciec...

Zniszczysz ideę większą niż ty czy ja, większą niż nienawiść i zemsta.

Will pochylił się, wplótł dłonie we włosy. Robert przyglądał mu się przez chwilę.

Jeśli tam zejdziesz — podjął — stanie się jedno z dwojga: albo zdążysz go zabić, zanim cię rozsieką, albo w ogóle nie zdołasz się do niego zbliżyć. W obu przypadkach zginiesz i może tak naprawdę tego właśnie chcesz, ale zarazem pociągniesz za sobą nas wszystkich.

Will spojrzał mu w oczy.

Anima Ternpli już skazana jest na klęskę. To Hugo, nie Jakub, zaprzeda! nas Edwardowi.

Robert zaklął pod nosem, lecz nie ustępował:

Porozmawiamy z nim. Ja z nim pomówię.

Za późno. Zobowiązania już zostały podjęte. Czas dyplomacji minął. A ja nie chcę, żeby dzieło wielu pokoleń naszych braci posłużyło ambicji jednego człowieka. Pokój nie jest wart tej ceny. — Spojrzał na nóż w ręku Roberta, potem na swój miecz. — Jeśli tego nie zrobię, utopi Szkocję we krwi, a my mu w tym pomożemy.

Robert podszedł i przysiadł obok niego.

Przecież nie jesteś mordercą — rzekł łagodnie.

Will odwrócił wzrok. Przypomniał sobie tamtą chwilę na molo, miecz wchodzący niemal bez oporu w plecy Garena. Pamiętał uniesienie, jakie wtedy przeżył. Eliasz mówił mu kiedyś, by nie zapominał, do czego jest zdolny, lecz on przez cały czas wiedział o tym aż za dobrze. Kłamstwo, zdrada, świętokradztwo, mord z zimną krwią — to wszystko już popełnił.

Nie oszukuj się — rzekł Robert wstając. — Baronowie angielscy popierają ambitne plany króla. Syn Edwarda jest za młody, żeby rządzić bez ich opieki. Uderzą na Szkocję tak czy owak i nie zrobisz nic, żeby ich powstrzymać. Możesz co najwyżej przekonać Hugona, żeby nas wyplątał z tego sojuszu.

Will jeszcze raz spojrzał na swój oręż, stare szkockie ostrze należące ongiś do jego ojca i dziada. Spojrzał na kupkę rzeczy rozrzuconych po pryczy. Czy tylko tyle mu zostało po życiu wypełnionym walką?

Nagle przyszło mu na myśl, że nie jest bezsilny. Dysponował wiedzą. Znał plany Edwarda, przynajmniej na tyle, by dać Szkotom cień szansy.

Wstał. Zrzucił biały płaszcz ozdobiony czerwonym krzyżem i poczuł się nagle lżejszy. Ściągnął również tunikę i cisnął ją na bok. Pochyliwszy się, upchnął resztę rzeczy na powrót do sakwy. Wdział kolczugę, na wierzch zaś zwykłą ciemną wełnianą tunikę, której używał jako poduszki.

Co ty wyprawiasz? — Robert przyglądał mu się zdumiony.

Will wyciągnął rękę po nóż.

Wracam do domu.

Zdumienie Roberta ustąpiło miejsca niedowierzaniu.

Chcesz zdradzić... zdradzić własnych braci?! Szukasz sprawiedliwości? Nie znajdziesz jej, Will. Znajdziesz tylko rozlew krwi.

Hugo zacytował mi dziś słowa Ewerarda: pokój czasem trzeba kupować za cenę krwi. Chętnie zapłacę za niego krwią Anglików.

A Róża?

Will zatrzymał się w progu. Przypomniał sobie słowa, które cisnęła mu w twarz.

Lepiej jej będzie beze mnie — mruknął. — Zajrzyjcie czasem do niej, ty albo Szymon.

Twój ojciec opuścił rodzinę i nigdy mu tego nie wybaczyłeś. Teraz robisz to samo.

Ojciec odszedł, żeby dokonać czegoś dobrego dla świata. Nie udało mi się dokończyć jego dzieła. Może powinniśmy byli zrobić coś więcej dla Ziemi Świętej. Stawić większy opór wrogom, częściej obracać mieczem, a mniej językiem.

Miecz jest dobry wówczas, gdy zawiodą rokowania.

Czyli teraz.

R O B Y N Y O U N G

Robert oddał mu nóż i położył rękę na ramieniu.

Nie będziesz mógł tu wrócić. Znasz karę za dezercję.

Will poczuł, jak tężeje w nim powzięta decyzja.

Nie chcę wracać.

Odsunął dłoń przyjaciela i wyszedł na korytarz.

Zamek królewski w Paryżu Czternasty dzień stycznia roku Pańskiego 1296

Słysząc otwierające się drzwi komnaty, Filip uniósł głowę. Weszła jego żona, za nią dwie dworki niosące przybory do haftu. Powrócił do pergaminu, który trzymał w dłoni, lecz po chwili znów podniósł wzrok i utkwił

go w dziewczynie, która układała szpulki jedwabnych nici na skrzyni obok rzeźbionego łoża, zajmującego znaczną część komnaty. Odprowadził ją spojrzeniem, gdy wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Coś się stało? — zapytała Joanna, widząc jego minę. Głos miała niski i miękki.

Kim jest ta młódka? — Filip odłożył pergamin i wstał.

Małgorzata?

Nie, ta druga. Kto to jest?

Królowa zmarszczyła brwi.

Na imię ma Róża. Od pewnego czasu służy na dworze. Wzięłam ją do siebie.

Widziałem ją w zeszłym miesiącu. Spotyka się z mężczyzną za murami zamku. Kazałem rządcy, żeby ją wyrzucił. — Filip ruszył do drzwi.

Zaczekaj. — Joanna łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu. — To nieporozumienie. Człowiek, z którym się spotyka, nie jest jej kochankiem, jak powiedziałeś rządcy. To jej ojciec.

I dlaczegóż widuje się z nim w sekrecie nad rzeką jak ladacznica?

On jest templariuszem.

Filip uniósł brwi.

Cnotliwy rycerz ojcem?

Jej matka była ongiś dworką twojej babki. Róża przyszła na świat w Ziemi Świętej. Andreas di Paolo, wenecki kupiec bławatny, który zaopa-truje moje szwaczki, napisał do mnie z prośbą, bym znalazła jej miejsce. Parokroć miałam okazję z nim mówić i zrobił na mnie wrażenie rozumnego człeka. — Joanna podeszła do skrzyni i wzięła do ręki jaskrawoniebieski kłębek. — Róża rzadko wspomina o swojej rodzinie. Czasem krzyczy przez sen, jak mówią mi inne służki. Jej matka zginęła w Akce. — Joanna westchnęła i odłożyła jedwab. — Chyba jest mi jej po prostu żal.

Spojrzenie Filipa złagodniało. Podszedł do żony, objął ją i zajrzał w jej brązowe oczy, zawsze tak pełne wyrazu, uczucia. Obwiódł palcem twarz, która była tak samo okrągła i delikatna jak całe ciało Joanny. Składała się z samych krągłości. Miała smagłą, nieco może pospolitą urodę i gęste czarne włosy jak wszyscy Nawarczycy. Po urodzeniu szóstego dziecka jeszcze przytyła, ale w oczach Filipa była równie piękna jak wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczył w niej kobietę. Zostali zaręczeni ponad dekadę temu, kiedy ona miała jedenaście, a on szesnaście lat, lecz wcześniej wychowywali się razem na zamku królewskim w Vincennes. Joanna, która jako niemowlę odziedziczyła tron Nawarry, została oddana na dwór francuski przez owdowiałą matkę. Dwoje dzieci zżyło się ze sobą i Filip nigdy do końca nie wyszedł z opiekuńczej roli starszego brata.

Przyciągnął ją do siebie i pogładził po włosach.

Serce mi krwawi, kiedy się smucisz — powiedział.

Objęła go, jej dłonie przesunęły się po jego plecach poznaczonych świeżymi szramami po biczowaniu. Filip skrzywił się mimo woli.

Joanna oderwała policzek od jego piersi.

Pragnęłabym, żebyś nie umartwiał się tak bezlitośnie — szepnęła. Z jej oczu biła troska o niego.

Filip uwolnił się z objęć,

Wilhelm z Paryża uważa, że to konieczne.

Twój nowy spowiednik wydaje się człowiekiem, którego niełatwo zadowolić. Mniej jest miłosierny od Pana naszego.

Jestem królem, Joanno. Od monarchów Bóg wymaga więcej. Podobnie jak poddani — dodał, posępniejąc. —

Mój dziad nie został jeszcze nawet kanonizowany, a lud już okrzyknął go świętym. Czyja kiedykolwiek zyskam taki mir?

Daj im czas. Kiedy poznają cię, jak ja cię znam, pokochają tak, jak kochali Ludwika.

Filip zerknął na pulpit zasłany pergaminami, które przyniósł mu rano Flotte. Były wśród nich rachunki ze skarbca — zestawienia wydatków na kampanię w Gujennie i sporządzone ręką skarbnika oszacowanie kosztów utrzymania tam armii w nadchodzących miesiącach. Gdziekolwiek się zwrócił, kolejny wasal usiłował się wyrwać spod kontroli, przeszkodzić w skonsolidowaniu królestwa: Edward, chciwi diukowie z południa, uparci hrabiowie sąsiedniej Flandrii. Do ich okiełznania potrzebne mu złoto. Jeśli go nie zdobędzie, równie dobrze może okrzyknąć się królem île de la Cité i na tym poprzestać.

Lud może poznać moją wielkość tylko poprzez wielkie czyny, Joanno — powiedział. — Aby być postrzeganym jako wielki król R O

, m B

us Yz N

ę Y

dz O

ia U

ła N

ć G

tak, jakbym nim był. Ale ty się tym nie kłopocz. — Ucałował ją w czoło i podał

jej zgubiony kłębek.

Pozostawiwszy żonę nad wyszywaniem, Filip ruszył w zamyśleniu przez wysokie korytarze królewskich apartamentów. Słudzy kłaniali się w pas, gdy ich mijał. Przez podwójne drzwi wyszedł na kryty balkon wiodący wprost na piętro Sainte-Chapelle. Niżej, na dziedzińcu, krzątali się kanceliści i słudzy. Żaden z nich nie spostrzegł króla, który zatrzymał się nad ich głowami, utkwiwszy oczy w kamiennym Chrystusie strzegącym rzeźbionego wejścia do świątyni. Po chwili przeniósł wzrok na znajdujący się wyżej fryz przedstawiający scenę Sądu Ostatecznego. W kłębiącej się masie grzeszników każde uderzenie dłuta wycięło z kamienia inną twarz, inny grymas cierpienia i lęku. Stojący pośrodku archanioł Michał kładł na szali dusze. Jeśli patrzyło się wystarczająco długo, postaci zdawały się ożywać. Serce Filipa zabiło szybciej. Ruszył do wejścia, nerwowo przełykając ślinę w wyschniętym gardle. Zawahał się jeszcze chwilę i pchnął drzwi. Otworzyły się na przepastną pustą przestrzeń wypełnioną szkłem i brzęczącą w uszach ciszą.

Najjaśniejszy panie...

Król wzdrygnął się i odwrócił zły, że dał się zaskoczyć. Ujrzał za sobą Flotte'a. Na widok mężczyzny stojącego obok kanclerza gniew stajał, zastąpiony przez czujność.

Wilhelm de Nogaret skłonił się nisko.

Przywożę wieści z Londynu, najjaśniejszy panie.

Z ulgą większą, niż którykolwiek ze stojących przed nim dworzan mógł przypuszczać, Filip oburącz przyciągnął

do siebie drzwi kaplicy i zamknął ziejącą za nimi otchłań. Zawrócił, otulając się ciaśniej podbitą futrem opończą.

Mów.

Edward zawarł z Templum przymierze, jak się obawiałeś, panie

odparł Nogaret — ale przeciw Szkocji, nie przeciwko tobie. Królowa matka mówi, że spotkanie zwołano początkowo w celu omówienia papieskiej propozycji połączenia Templum z zakonem Świętego Jana, ale pierwszeństwo wzięły plany Edwarda związane ze Szkocją. — Kiedy król milczał, Nogaret dodał: — Czcigodna pani Blanka przesyła pozdrowienia królowej.

Przekażę jej — mruknął z roztargnieniem Filip i spojrzał na Flotte'a. — Co o tym myślisz?

Powiedziałbym, że to dobra nowina. Rozwiewa obawy, że Edward zechce użyć Templum przeciwko tobie.

Mimo to ich sojusz mnie niepokoi. — Król machinalnie skubnął palcami dolną wargę. — Dowiedziałeś się czegoś jeszcze, Nogaret?

O

planach Edwarda co do Gaskonii? Ruchach wojsk?

Niestety, pani Blanka nie zna treści raportów, które jej mąż posłał Edwardowi. Odniosłem wrażenie, że król jej nie ufa i dba o to, żeby nie wiedziała zbyt wiele. Jasne jest wszakże, iż obecnie Edward większość uwagi poświęca Szkocji. Wszystko wskazuje, że chce najpierw zdusić bunt Jana Balliola, zanim wkroczy głębiej na twoje ziemie. Moglibyśmy to wykorzystać i nasilić własne działania w Gujennie.

Filip pokiwał głową, ale Flotte wtrącił pośpiesznie:

Najjaśniejszy panie, jeśli miałeś czas przejrzeć pisma, które dostarczyłem ci dziś rano, wiesz, że nie ma środków na rozwój jakichkolwiek działań w tamtych stronach. Dochody skarbca ledwie wystarczają na bieżące wydatki.

Może najlepszym rozwiązaniem byłby czasowy rozejm z Edwardem, przynajmniej dopóki jest zajęty w Szkocji?

Tymczasem my zyskalibyśmy czas na zgromadzenie środków i...

Nie — sprzeciwił się Nogaret. — Najjaśniejszy pan musi dać pokaz siły. Każdy objaw słabości

mógłby mieć nieobliczalne następstwa. Anglik nie może się domyślić, że jesteśmy w tak trudnej sytuacji.

Proponujesz do reszty ogołocić skarbiec? — prychnął wściekle Flotte.

Obłóż podatkiem duchowieństwo, panie. — Nogaret zwrócił się do króla.

Nie możemy zrobić sobie wroga z pierwszego stanu. — Flotte zdecydowanie kręcił głową. — Danina nałożona w zeszłym roku wywołała gwałtowne protesty. Wielu biskupów wprost odmówiło zapłaty.

Więc tym razem trzeba użyć siły — odparł szorstko Nogaret.

Opływają w dostatki! Kiedy ostatnio widziałeś biednie odzianego biskupa? Albo chudego kardynała?

A franciszkanie? — warknął Flotte. — Dominikanie?

Oba zakony powstały dlatego, że sami ich założyciele czuli wstręt do chciwości naszej matki Kościoła!

Dość — uciął Filip. — To dobry pomysł. Kanclerzu, zredaguj zaraz stosowny dekret. — Flotte chciał

zaprotestować, ale król nie dopuścił go do głosu: — Za jakiś czas sami mi podziękują, że dzięki ich ofierze królestwo jest silniejsze. Możecie obaj odejść.

Nogaret skłonił się i odszedł, Flotte jeszcze się ociągał.

O co chodzi, kanclerzu?

Najjaśniejszy panie, to plan dobry na krótką metę. Musimy jednak myśleć o przyszłości. — Flotte zniżył głos.

— Nogaret jest młody i ambitny, lecz jego brak wiary i szacunku dla Kościoła mnie niepokoi. Obaj wiemy, że powoduje nim nienawiść.

To nie ma nic do rzeczy, Flotte. Nogaret ma wyczucie równowagi sił. Kościół jest matką: nauczycielką i pocieszycielką. Król natomiast ojcem: to on broni poddanych i daje im prawa. Niech biskupi troszczą się o

dusze mych poddanych, moim obowiązkiem jest zadbać o bezpieczeństwo kraju. — Filip ruszył w

stronę królewski Rc O

h B Y N

kom Y

na O

t U N G

. — Świat się zmienia, Flotte. Dziś władzę nad nim przejmują prawnicy. Myślałbym,

że to cię ucieszy?

Cieszy, panie. Ale to nie oznacza, że mamy się stać bezbożni.

Filip nagle przystanął, spojrzał na zamknięte drzwi kaplicy.

Słucham, panie? — Flotte skonsternowany ściągnął brwi.

Nic — mruknął król. Spojrzał na Flotte'a. — Napisz ten dekret.

Odwrócił się i pokonując wewnętrzny opór, poszedł z powrotem do Sainte-Chapelle.

Midlothian, Szkocja Siódmy dzień lutego

Było grubo po południu i szybko się zmierzchało. Ilekroć koń zwalniał, Will poganiał go bez litości. Kopyta ogiera mieliły lodowate błocko, rozbryzgując ciężkie krople, które tężały, tworząc skorupę na bokach zwierzęcia i nogach jeźdźca. Raz czy drugi kopyto przebiło cienki lód, zapadając się w jamę pełną czarnego mułu i grożąc Willowi wyrzuceniem z siodła, a co gorsza — okaleczeniem wierzchowca. Pomimo to nie przystawał. Był już prawie na miejscu. Jeszcze tylko parę mil.

Minęło trzydzieści dni, odkąd zrzucił habit i skradł konia ze stajni Nowej Świątyni. Trzydzieści dni temu zbiegł

z zakonu.

Głównym traktem wyjechał z Londynu na północ i w dobrym tempie pokonał rozrzucone po okolicznych hrabstwach królewskie lasy, podróżu-jąc tylko we dnie od osady do osady i mając baczenie, by nie wpaść w ręce rabusiów. Samotny jeździec na dobrze odpasionym koniu stanowił kuszący cel; połyskująca spod płaszcza kolczuga także była łupem nie do pogardzenia. Dni zrobiły się krótkie i pod kopułą drzew panował mrok, a nawet gdy lasy ustąpiły rozległym falistym polom, rzadko było naprawdę jasno. Niebo stawało się coraz ciemniejsze i cięższe, aż w końcu się otwarło i spadł pierwszy śnieg, wytrawiając ziemię z resztek barw. Gościniec, choć szeroki, był zryty koleinami, a dziury i wyboje wkrótce zawiał śnieżny pył i zamiast pokonywać dwadzieścia pięć mil dziennie jak przedtem, Will zwolnił do piętnastu. Na dodatek kilkakrotnie musiał nadłożyć drogi, żeby znaleźć bród, omijając punkty poboru myta. Jako templariusz byłby z niego zwolniony i mógłby dostać darmowy nocleg wszędzie na trasie, ale on nie był już templariuszem. Przeklinał się w duchu, że nie miał dość rozumu, by zabrać ze sobą zakonny płaszcz. Jego dumne odrzucenie wydawało mu się teraz głupie, zwłaszcza że już na drugi dzień zmuszony był

sprzedać jedyną wartościową rzecz, jaką posiadał poza mieczem.

Siedział przez dłuższy czas na stopniach kościoła w St. Albans, zgrabiałymi palcami trąc medalion. Spod patyny z wolna ukazała się postać świętego Jerzego. Pamiętał, jak Elwina stanęła na palcach, żeby mu przełożyć łańcuszek przez szyję. Wciąż czuł na szyi jej ciepły oddech. Myślał, że sprzedaż medalionu złamie mu serce, ale w rzeczywistości poczuł ulgę. Było to kolejne brzemię, którego się pozbył, kolejne wspomnienie, któremu zwrócił wolność. W zamian dostał dość monet, by przy oszczędnym gospodarowaniu starczyło na prowiant i noclegi aż do Edynburga.

Krajobraz powoli się zmieniał, pośród pól coraz gęściej wyrastały osady. Ścierniska i nakryte śniegiem zasiewy ozimej pszenicy ustępowały miejsca składom i młynom, a drogą nad podziw licznie jeździli kupcy. Will się spodziewał, że gospody będą tętnić od wieści o nadchodzącej wojnie, ale poza strzępkiem rozmowy, z której się dowiedział, że Anglicy w Szkocji wsadzani są do lochów, i innej, że Szkoci planują najazd, więcej nie usłyszał.

Zycie w wioskach i miastach Anglii toczyło się normalnie, a jeśli ludzie w ogóle zdawali sobie sprawę, że ich król prowadzi wojnę, uważali chyba, że ich to nie dotyczy. Dopiero gdy przekroczył kruszący się wał

zbudowany ongiś przez Rzymian, by odgrodzić barbarzyńską Północ, atmosfera zaczęła się zmieniać. Z

początku zmiana była ledwie uchwytna; mężczyźni w karczmach mniej kwapili się do rozmowy, potem zauważył, że podróżni formują karawany, najczęściej strzeżone przez zbrojną eskortę. Na omiatanej wichrem wyżynie nortumbryjskiej, gdzie przyprószone śniegiem góry i białe niebo zdawały się odprawiać gody, gościnny dom trafiał się bardzo rzadko. Przeważnie nocował wraz ze zwierzętami w kamiennych owczarniach

przycupniętych na zboczach.

Przed tygodniem śnieg wreszcie przestał sypać i zza chmur wyjrzało zaczerwienione z mrozu słońce. Cztery dni później przekroczył rzeki Tweed i Teviot pod Kelso i wjechał na pogranicze. Tu napięcie zdawało się już niemal namacalne. Grody były pełne żołnierzy, bramy strzeżone i często zaparte. Kilkakrotnie zatrzymywano go i wypytywano, ale znajomość tych stron pozwalała mu się wykręcić. Pomimo nerwowej atmosfery poczuł

przypływ nadziei. Pełni zapału miejscowi gotowali się do boju. Zbierali się w grupki przed nowo wzniesionymi palisadami i powtarzali niewybredne żarty o Anglikach. Słysząc ich śmiech, Will poganiał wyczerpanego wierzchowca w stronę Edynburga. Zapał to jedno, ale ich buńczuczność poważnie go niepokoiła, wiedział bowiem, co się święci.

Hrabiowie i baronowie, wezwani przez Edwarda w wojennej potrzebie, opuszczą swoje zamki wraz ze wszystkimi wasalami. Zakute w żelazo poczty pociągną wszystkimi drogami Anglii, by spotkać się za trzy tygodnie w mieście Newcastle. Zebrane pod lwim sztandarem Edwarda ruszą dalej na północ jako jedna armia, wielka tak, jak w Szkocji nie widziano od stulecia z okładem. Ci młodzi ludzie zbrojni w cięty dowcip i dębowe pałki nie byli na to przygotowani.

Ale mimo że czas naglił, Will nie mógł zignorować podniecenia, jakie budził w nim widok

znajomego krajobrazu. Im R

ba O

r B

dziYe N

j

z Y O

bli U

ża N

ł G

się do Edynburga, podążając brzegami płytkich kamienistych rzek, tym silniej

czuł zew rodzinnego domu, aż w końcu pewnego ranka, zaledwie siedem mil od królewskiego miasta, nagle zmienił kierunek i skręcił na zachód w góry.

Pogonił konia wzwyż po stromym zboczu, aż dostał się na wąski trakt poznaczony śladami kopyt i osłonięty z jednej strony ośnieżonym skalistym grzbietem. Pięćdziesiąt kroków dalej był zakręt. W dali na końcu traktu stał

dwór, w którym się urodził. Częścią duszy prawie zwątpił, że go tam zobaczy, jak gdyby i sam dom rozmył się w przeszłości wraz ze wspomnieniami jego mieszkańców. Lecz o dziwo, nie zniknął ani się nie zmienił, otoczony niskim murem, którego pierścień okalał główny budynek, kilka przybudówek i majdan. Zdrętwiały z zimna Will zsunął się z konia, z którego rozdętych chrap buchały obłoczki pary. Sprowadził wierzchowca z traktu. Odkąd jego ojciec przywdział biały płaszcz, a matka i siostry przeniosły się do klasztoru pod Edynburgiem, posiadłość należała do Templum. Wątpił, czy wieść o jego dezercji mogła tu dotrzeć szybciej niż on sam, ale wolał się z nikim nie spotkać.

Wspiął się wyżej, do zagajnika, z którego ongiś brali drewno na opał. Przywiązał konia do drzewa i skulony podkradł się do muru. Na majdanie wygrzebywało zmrożoną trawę kilka kóz. Z obory, w której widać było masywne sylwetki krów, wyszedł jakiś mężczyzna, niosąc skopek, i zniknął za domem. Will schował się prędko.

Po chwili ruszył dalej. Warzywnik był nieco większy, lecz poza tym niewiele się zmieniło. Przykucnął pod murem, dręczony wspomnieniami dzieciństwa: ręce matki pełne szałwii, której aromat otaczał ją niczym obłok kadzidła, Maryjka kręcąca się w kółko na majdanie, ojciec siodłający konia, starsza siostra Alicja śpiewająca przy ogniu. I ona, jak tamci, przed kilkoma laty spoczęła w grobie.

W końcu nogi mu zdrętwiały, więc się podniósł. Posłyszał za sobą szelest. Zdążył jeszcze zobaczyć młodzieńczą twarz stężałą z lęku, jasne włosy i wzniesioną rękę; potem dłoń opadła i trzymany w niej kamień uderzył go prosto w czoło.

Midlothian

Siódmy dzień lutego roku Pańskiego 1296

Słyszai nad sobą głosy, głuche i stłumione, jakby dobiegały spod wody. Powoli odzyskiwał ostrość widzenia.

Przed sobą za otwartymi drzwiami widział kilka par nóg. Perspektywa wydała mu się dziwna, dopóki sobie nie uświadomił, że leży na ziemi. Ktoś zdjął z niego płaszcz; okrycie wisiało teraz na haku przy palenisku, na którym buzował ogień. W głowie go łupało i czuł, że ma twarz umazaną czymś lepkim. Kiedy spróbował się poruszyć, odkrył, że ręce są związane na plecach. Głosy ucichły i ktoś wszedł do pomieszczenia. Will podniósł

przymglony jeszcze wzrok. Z góry patrzył na niego tęgi ciemnowłosy mężczyzna. Za nim stał jasnowłosy młodzik, nonszalancko zatknąwszy kciuki za skórzany pas.

Ocknął się! — zawołał przez ramię grubas. Mówił zbliżonym do angielszczyzny dialektem używanym przez Szkotów w Midlothian.

Will poznał człowieka, którego widział ze skopkiem na majdanie. Młodzik natomiast był tym, który go uderzył.

Niemal równocześnie zdał sobie sprawę, gdzie jest. Leżał w kuchni swojego rodzinnego domu. Nawet urządzonej w większości tak jak dawniej.

Kim jesteś?

Usiłując jak najmniej poruszać bolącą głową, Will podciągnął kolana i zdołał się podnieść. Obaj mężczyźni cofnęli się o krok.

Weź nóż, Dawidzie! — usłyszał dziewczęcy okrzyk.

Powiedzcie mi — wymamrotał — zawsze w ten sposób traktujecie gości?

Tylko angielskich szpiegów — odpowiedział starszy. Chłopak tymczasem zajrzał na półkę, zapewne szukając noża.

Skoro więc takowym nie jestem, może byście mnie rozwiązali i pozwolili się wytłumaczyć?

Nie jesteś zakneblowany. Mów.

Will zachwiał się na nogach i oparł o ścianę.

Nie zamierzałem was pokrzywdzić ani okraść. Kiedyś tu mieszkałem. W drodze do Edynburga

postanowiłem wstąpić i zobaczyć, jak dziś wygląda miejsce, gdzie się urodziłem.

On kłamie — dobiegł od drzwi inny, kobiecy głos.

Niewiasta, która weszła do kuchni, dobiegała czterdziestki, była wysoka, szczupła, płowe włosy splecione w dwa długie warkocze upięte miała nad uszami. Ciemnozielone oczy przypominały jego własne, a twarz, pociągła i koścista, wydała się Willowi dziwnie znajoma.

Nie podchodź, pani — ostrzegł tęgi mężyczyzna.

Nie zwracając nań uwagi, kobieta podjęła:

Przez trzydzieści lat ziemia ta należała do templariuszy. Wcześniej była w posiadaniu tylko jednego rodu, który dobrze znam. Ten tu nie ma więcej niż czterdzieści lat, jakżeby więc mógł się tu urodzić?

Mam czterdzieści dziewięć lat — poprawił ją Will. — I też znam rodzinę, o której mówisz. Byłem jej najstarszym synem.

Kobieta ucichła, podniosła ręce do twarzy, tak że widać było tylko zogromniałe nagle oczy.

Słodki Jezu... — szepnęła.

Kto to jes R

t O B

, maYt N Y

ko? O U N G

— Z sieni weszła młodsza kobieta, żeby przyjrzeć się intruzowi. Zza jej pleców

wyglądała dzieweczka parunastu wiosen, nachmurzona, bo gdy chciała wśliznąć się do kuchni, tamta powstrzymała ją stanowczym ruchem ręki.

To mój brat.

Will poczuł ucisk w piersi, uświadamiając sobie nagle, że stojąca naprzeciw kobieta o jego oczach jest tą siostrą, którą widział po raz ostatni, kiedy on miał lat jedenaście, ona zaś ledwie cztery miesiące pomarszczone, kwilące stworzonko w ramionach matki. Teraz w jej osobie ucieleśniła się dlań brutalna rzeczywistość: miniony bezpowrotnie czas, wszystkie stracone lata i zbliżający się nieodwołalnie kres.

Przeniósł wzrok z kobiety na trójkę młodych ludzi skupionych wokół niej, gotowych jej bronić. Jej dzieci? Wypuścił powstrzymywany oddech. To także jego krewni.

Isendo...

Kobieta machnęła ręką na tęgiego mężczyznę.

Rozwiąż go, Tom, proszę.

Tom zmarszczył brwi i nieufnie zbliżył się do Willa. Rzemienie opadły. Will skrzywił się, rozcierając ścierpnięte ręce.

Matka myślała, że nie żyjesz — powiedziała młodsza córka Isendy, wysuwając się naprzód.

Miała taką nadzieję — sprostowała szorstko starsza.

Wyjdźcie stąd — odezwała się nagle Isenda. — Wszyscy.

Matko!

Precz, mówię. Ty także, Tom.

Kiedy wyszli do sieni, zamknęła drzwi. Podeszła bliżej. Will już myślał, że go obejmie, ale przystanęła obok stoł R O

u i B

w Y

y N

su Y

nęO

łaU N G

spod niego zydel. Usiadła, sztywno splatając ręce na blacie.

Będziesz tak stał? — spytała kwaśno.

Schylił się i wyciągnął stołek z przeciwnej strony. Nie wiedział, co powiedzieć, poruszył więc pierwszy temat, jaki przyszedł mu do głowy.

Jak to się stało, że tu mieszkacie?

Templariusze z Balantrodoch dzierżawili posiadłość pewnemu hodowcy owiec. Rok temu zmarł;

postanowili ją raczej sprzedać, niż szukać innego dzierżawcy. — Isenda nieco się odprężyła, rozplotła dłonie.

Widuję się czasem z ich kapelanem, który był przyjacielem matki. Dał mi znać o sprzedaży, poprosiłam więc męża, żeby kupił tę ziemię.

Twój mąż musi być zamożnym człowiekiem.

Duncan uznał, że jest tyle warta, a ponieważ ostatnio wiele czasu spędza w Edynburgu, przenieśliśmy się tutaj i mamy z niej jeszcze większą korzyść, niż się spodziewaliśmy. — Isenda wstała i podeszła do półki, na której skwierczał rząd łojowych świeczek. Na zewnątrz niebo miało barwę ołowiu. Zdjąwszy kawałek płótna, namoczyła go w cebrzyku i podała Willowi.

Przyłóż sobie — wskazała gestem jego głowę.

Twój syn ma krzepę w garści — mruknął Will, przyciskając okład do czoła i ścierając skrzepłą krew. —

Będzie z niego rycerz na schwał.

Spodziewam się, że w przyszłym roku zostanie pasowany.

Jako templariusz? — Will zerknął na nią zza gałganka.

Nie — zaprzeczyła gwałtownie.

Zachowałem twój list. Ten o matce. — Will zawahał się. — Czy... czy odeszła spokojnie?

Miała lekką śmierć. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o jej życiu. Dlaczego nie wróciłeś?

Nie mogłem.

Nie mogłeś czy nie chciałeś?

Will poczuł ukłucie wyrzutów sumienia, choć dotyczyły one czasów znacznie bliższych.

Wyjeżdżając, miałem jedenaście lat — rzekł wolno. — Nie pytano mnie o zdanie.

Matka nigdy nie chciała mi powiedzieć, dlaczego wyjechaliście z ojcem. Później, kiedy byłam starsza, wyjaśniły mi to Eda i Alicja. Powiedziały, że zabiłeś ich siostrę, Maryjkę.

To się stało przypadkiem. A Maryjka była także moją siostrą. Boże, gdyby można było cofnąć czas... —

Will rozgarnął palcami włosy. — Ale muszę z tym żyć.

Isenda milczała przez dłuższą chwilę. W końcu powiedziała cicho:

Rzekomo jestem do niej podobna.

R E Q U I E M

Tak, trochę.

Ciężko mi było żyć z jej twarzą.

Oboje zamilkli.

Czy Eda...? — Will znów się zawahał, niepewny, jak sformułować pytanie. Czuł się jak obcy, intruz w życiu rodziny, do której już nie należał.

Czy żyje? Tak. — Isenda kiwnęła głową. — Parę lat temu przeniosła się z mężem do Elginu. Odkąd

zaczęły się walki, rzadko trafia się okazja, żeby przekazać list. Lecz o ile wiem, dobrze jej się powodzi.

Ma trzech synów, już dorosłych. — Isenda zaczerpnęła tchu. — Jaki on był?

Kto?

Ojciec.

Długo by opowiadać, a w tej chwili nie mam czasu, żeby zrobić to rzetelnie.

Zmarszczyła brwi, patrząc ponad jego ramieniem na płaszcz rozwieszony przy ogniu.

Gdzie twój habit? Dawid znalazł konia w zagajniku, ale w jukach nie było zakonnej odzieży.

Odszedłem z Templum. — Nim zdążyła mu przerwać, wstał.

Jadę do Edynburga. Mam nowiny, które muszę pilnie przekazać królowi Janowi. Armia Edwarda

maszeruje na północ. Będą tu za miesiąc.

A więc to prawda? Anglik na nas idzie? — Dłoń Isendy machinalnie uniosła się do szyi, gdzie wisiał

cienki srebrny krzyżyk.

Muszę się spotkać z królem. To co wiem, może mu pomóc.

Jan Balliol nie dzierży już władzy w królestwie. Przejęła ją rada możnych, kiedy Jan ugiął się przed żądaniami Anglika. Teraz powiada, że będzie walczył, ale musi dawać im posłuch.

Znajdę ich w Edynburgu?

Objeżdżają nadgraniczne twierdze, król z nimi. Zbierają ludzi do walki. Po całej Szkocji rozesłano ogniste krzyże. — Isenda zamyśliła się na chwilę. — Ale w Edynburgu jest mój mąż. Jemu możesz zdać sprawę.

Z całym szacunkiem, Isendo, ale muszę przekazać wieści komuś, kto je wykorzysta.

Duncan jest wasalem sir Patryka Grahama z Kincardine, bardzo wpływowego człowieka. Dopilnuje, żeby cię wysłuchano. Pojedziecie z Dawidem jutro o świcie. Dziś już jest za późno — ucięła stanowczo, gdy chciał zaprotestować. — A poza tym chcę usłyszeć, co się z tobą działo... bracie..

Zamek królewski w Edynburga, Pierwszy dzień marca

Słońce błyszczało na mokrych dachach budynków ciasno wypełniających zbocze opadające w stronę

opactwa Świętego Krzyża, którego jasna sylwetka niknęła na tle urwistego masywu górskiego. Stojąc na wałach, Will ocienił dłonią oczy. Wiatr dmący znad ujścia rzeki Forth przeciskał się przez strzelnice i unosił w górę kurz i źdźbła siana.

Panie Wilhelmie!

Obrócił się, przytrzymując kaptur, który wiatr usiłował zerwać mu z głowy. Dwaj mężczyźni szli w jego kierunku stromą ścieżką, która wybiegała spod sklepionej bramy górnego zamku, stojącego na skalnej ostrodze. Dawid uśmiechał się na przywitanie, ale twarz jego towarzysza pozostała chłodna.

Wystarczy „Wilhelmie” — poprawił Will siostrzeńca. — Nie jestem już rycerzem.

Byłeś komandorem Templum. Czy nosisz wciąż płaszcz zakonny, czy nie, pozostałeś rycerzem. — Dawid wzruszył ramionami.

Stojący obok mężczyzna położył mu rękę na barku.

Chciałeś się ze mną widzieć — zwrócił się do Willa.

Spojrzenie Willa przeniosło się z siostrzeńca na jego masywniejszą

i poważniejszą wersję.

Niepokoi mnie ta zwłoka, Duncanie. Czekam już trzy tygodnie. Wiesz, co poświęciłem, żeby przynieść wam wieści. Goryczą napawa mnie myśl, że wszystko pójdzie na marne.

Duncan był nieporuszony.

Do powrotu mojego seniora nic nie mogę zrobić.

Jest tu chyba przecież szeryf albo konetabl? W tej chwili Anglicy są już pewnie w Newcastle. Edward zamierzał oblec Berwick jeszcze przed Wielką Nocą. To za niespełna miesiąc!

Zamek jest po dach pełen zbrojnych, napełniamy spiżarnie, umacniamy mury, z całego hrabstwa

napływają raporty o gotowości bojowej. Nikt nie ma czasu na audiencje.

Nawet jeśli audiencja może ocalić królestwo?

Duncan milczał.

Wierzysz mi? — spytał zdesperowany Will.

Nie mnie oceniać prawdę i ścisłość twoich słów. Gdy tylko sir Patryk wróci, przyjmie cię. Nie mam zwyczaju łamać słowa — dodał sztywno Duncan.

A co mam robić do tego czasu?

Czekać. My wszyscy mamy zajęcie. — Szwagier ruszył dalej, zabierając ze sobą ociągającego się

Dawida. ROBYN YOUNG

Will przełknął gniewne słowa cisnące się na usta. W gruncie rzeczy rozumiał nieufność Duncana. Był tu obcy; ciążyły na nim powiązania z wrogiem, a w dodatku przed laty wyrzekł się rodziny. Rozumiał, ale rozwścieczało go to ponad wszelkie wyobrażenie. Przez lata budził szacunek, nawet postrach, dowodził

zbrojnymi i rozmawiał z władcami jak równy z równym. Gdy zrzucił płaszcz zakonny, stał się nikim. Nie miał munduru, pieniędzy ani władzy. Jedyne do czego mógłby się tu odwołać, to więzy rodowe, lecz jak na złość Campbellowie, z którymi jego dziadek wziął rozbrat dawno temu, osiedleni byli daleko na zachodzie i w życiu nie widzieli go na oczy.

Rozdrażniony oparł dłonie na koronie muru. W dali, w estuarium, cztery statki zmierzały do przystani w Leith. Tafla wody była prawie czarna, odbijały się w niej spiętrzone obłoki, a tam gdzie spomiędzy chmur przebił się długi złoty promień, rozbłyskiwała pod jego muśnięciem. Wszystko tu było wielkie i dzikie.

Sama ziemia pulsowała dziwną pierwotną mocą, wydzierającą się z jej łona podobnie jak czarne

wulkaniczne skały, na których Szkoci zbudowali swoją twierdzę. W zamku i przytulonym do jego stóp mieście było coś niepokornego; stanowiły gest buntu wobec tej niegościnnej krainy.

Raz, kiedy był dzieckiem, przywiózł go tu ojciec. Przybyli w orszaku templariuszy z Balantrodoch, aby spotkać się z królem Aleksandrem. Chodziło chyba o renty dzierżawne, nie był już pewien. Wówczas dwór królewski i kancelarie, a także siedziby edynburskich dostojników w większości

były zbudowane z drewna. Dziś zastąpiły je większe budowle, kamienne. Wokół wielu wciąż krzątali się mularze;

drewniane rusztowania chwiały się w porywistym wietrze.

Czując kogoś za sobą, Will się obrócił i zobaczył Dawida.

Powinienem pilniej strzec tyłów. Potrafisz się skradać jak lis.

Palcem popukał czoło, gdzie wciąż miał szramę po uderzeniu.

To konieczne, jeśli czasem chce się zjeść wieczerzę poza domem.

Dawid uśmiechnął się przepraszająco i oparł o wilgotny kamień.

Rycerz i myśliwy?

Rycerzem dopiero będę — odparł skromnie chłopak i patrząc w dół na ujście rzeki, dodał: — Nie miej za złe ojcu, że jest szorstki. Stara się chronić matkę.

Długo miała do mnie żal?

Dawid wzruszył ramionami.

W ogóle niewiele nam opowiadała, ale po śmierci babki strasznie płakała i słyszałem, jak mówi, że babci serce pękło z żalu.

Will spuścił wzrok. Dawid przez chwilę bawił się końcówką pasa, potem zerknął na niego.

Naprawdę ocaliłeś życie wielkiego mistrza?

Dawno temu.

Opowiedz mi jeszcze o Akce.

Will uśmiechnął się pod nosem. Zawarli między sobą niewypowiedziany układ: on opowiadał chłopcu o Ziemi Świętej, a w zamian za to Dawid uzupełniał braki w jego wiedzy o Szkocji i wojnie z Edwardem.

Tak Will poznał szczegóły wydarzeń sprzed dziesięciu lat, kiedy to król Aleksander skręcił sobie kark, spadając z konia. Poważnym tonem, którym łudząco przypominał Duncana, Dawid snuł opowieść, jak

Panna Norweska, królewska wnuczka, zmarła wkrótce potem i od tego zaczęły się nieszczęścia Szkocji.

Wystąpiło nie mniej niż czternastu pretendentów do tronu. Groziła wojna domowa, toteż poproszono

o mediację Edwarda jako szwagra starego króla. Zwołał on prawników, którzy mieli wyłonić prawowitego kandydata, ale powodowały nim niskie motywy, które wkrótce stały się oczywiste, gdy zażądał, aby Szkoci uznali w nim seniora i poddali mu królewskie miasta i zamki. Nie mając większego wyboru, magnaci się zgodzili, z zastrzeżeniem, że po koronacji króla Szkocji Edward zrzeknie się wszelkich praw do ziem królestwa.

Proces trwał rok i w jego wyniku na tronie zasiadł Jan Balliol. Wkrótce potem Edward zręcznie zaczął

podkopywać jego rządy. Jako król i suwe- ren, Jan winien był swobodnie wymierzać sprawiedliwość w swym kraju, ale Edward się uparł, by pewne roszczenia zanoszono do niego w Anglii, zamiast rozstrzygać je w Sz

kocj ***6*** i. Trwało to kilka lat, Balliol raz po raz był upokarzany, wezwano go nawet pod sąd w Westminsterze. Edward starał się w ten sposób wykazać, że król Szkotów jest tylko wasalem podległym władzy angielskiego monarchy. Sprawy stanęły na ostrzu noża w zeszłym roku, kiedy szkoccy wielmoże, rozwścieczeni postępkami Edwarda i uległością Balliola, sformowali radę regencyjną i wysłali do Filipa po pomoc.

Słuchając, Will czuł, jak rośnie jego nienawiść do Edwarda. Opuszczając zakon, by ostrzec Szkotów o jego planach, miał uczucie, że bierze zadowalający odwet na człowieku, który zniszczył mu życie, ale gdy nikt nie chciał słuchać przyniesionych przez niego wieści, ogarniała go coraz większa bezsilność.

Chciałbym ją kiedyś zobaczyć.

Will, zatopiony w myślach, spojrzał pytająco na siostrzeńca.

Akkę—wyjaśnił ze śmiechem Dawid. — Założę się, że nie słyszałeś ani... — urwał, gdy z góry ozwał się dźwięk rogu, i wychylił się za obwarowania, wytężając wzrok. — Patrz!

R E Q U I E M

Spoglądając we wskazanym kierunku, Will ujrzał kolumnę jeźdźców posuwającą się szybko w górę

stoku. Nad kolumną widać było barwne smużki łopocących na wietrze proporców. Wiatr niósł w stronę zamku tętent kopyt.

To król! — Dawid złapał Willa za ramię i pociągnął za sobą.

Chodź, powiemy ojcu. Załatwi ci to posłuchanie.

Ale pewność siostrzeńca okazała się przedwczesna, gdy bowiem orszak pojawił się w sklepionej bramie wjazdowej, Will został stanowczo odsunięty na bok przez strażnika. Ponad głowami innych ujrzał Jana Balliola, który z pomocą giermka zsiadał z konia, monarcha jednak nie poświęcił mu więcej uwagi niż chłopcu stajennemu, który podbiegł, by zająć się spienionymi końmi. Tymczasem wielmoże przeszli szybko do wielkiej sali zamkowej i zaraz zatrzaśnięto za nimi podwoje.

Prawie pięć godzin później Will wciąż krążył nerwowo po dziedzińcu. Od przybycia króla Jana w zamku panował ożywiony ruch; słudzy i posłańcy biegali w tę i nazad, podobnie rycerze i ich giermkowie. Czas mijał. Najwyższym wysiłkiem woli Will powstrzymał się od wdarcia się do wewnątrz i zażądania, by król go wysłuchał.

Campbell?

Odwrócił się i serce podskoczyło mu w piersi na widok Duncana. Gdy jednak zobaczył wyraz twarzy szwagra, nadzieje zgasły.

Mówiłeś z sir Patrykiem?

Duncan skinął głową.

No i?

Wielmoże nie chcą słuchać — rzekł przepraszająco rycerz.

Will nie potrafił uwierzyć, że przez ich ośli upór jego ofiara pójdzie na marne.

Przekazałeś dokładnie moje słowa? Powiedziałeś im, że Edward chce zdobyć Berwick, a potem

korzystając z bazy w Balantrodoch, ruszyć na Edynburg?

Sir Patryk powiedział to Balliolowi, ale rada poczyniła już plany i nie ma zamiaru od nich odstępować.

Will usiadł ciężko na jednej z beczek z wodą ustawionych przy stajniach.

Moim zdaniem źle robią. — Duncan westchnął.

A więc wszystko na nic... — Will nie był w stanie wykrzesać z siebie nawet tyle sił, by docenić lojalność szwagra.

Duncan usiadł obok niego i skrzyżował umięśnione ramiona.

Przygotowują się od miesięcy — mruknął. — Traktat z Francją zawarty, umocnienia graniczne

poprawione...

Wszystkie te umocnienia będą diabła warte, jeśli Edward przedrze się przez Berwick.

Miasta broni sir Wilhelm Douglas. To jeden z najdzielniejszych rycerzy w królestwie. Jeśli to co mówisz, jest prawdą i Edward uderzy na Berwick, będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

Jeśli? — powtórzył jak echo Will. — Nie uwierzyli mi, tak?

Są nieufni — przyznał Duncan. — Mieli szpiega na dworze Edwarda, ale został wykryty. Niektórzy

wielmoże wietrzą w twoim pojawieniu się podstęp Anglika. Podejrzewają, że cię wysłał, żeby zasiać bezład, skłonić nas do koncentracji sił w jednym mieście i pozostawienia innych bez obrony. Paru żądało, żeby wtrącić cię do lochu

Will spojrzał na niego bez słowa.

Sir Patryk poręczył za ciebie na moją prośbę — dodał szybko Duncan i pokręcił głową. — Mam nadzieję, że nie wystrychniesz nas na dudka.

Wstał.

Wielmoże planują atak na Carlisle. Od roku broni go ród Bruce'ów, którzy przeszli na stronę Edwarda.

Zdaje się, że nie w smak im było wyrzec się posiadłości, które mają w Anglii. Pod Carlisle rusza siedmiu hrabiów, mój pan także, więc i ja razem z nim, ale Dawidowi załatwiłem miejsce tutaj, w załodze zamku.

Nie jest jeszcze gotowy do takiej bitwy. — Duncan wysunął podbródek. — Chcę, żebyś przywiózł tu

moją żonę i córki. Jeśli

Edward rzeczywiście zaatakuje Berwick i jeśli... — urwał. — Chcę wiedzieć, że są bezpieczne.

Przewidziałeś dla mnie rolę ich stróża?

Jesteś to winien Isendzie. — Widząc w oczach Willa wymuszoną zgodę, Duncan pokiwał głową, a potem odszedł.

Will wstał i miał właśnie ruszyć do zimnej kwatery, którą dzielił z czterdziestoma żołnierzami, kiedy podszedł do niego krępy mężczyzna o gęstych rudawych włosach. Will widział, jak wcześniej

obserwował z boku jego rozmowę z Duncanem.

Wilhelm Campbell? — odezwał się chropawym głosem.

Skinął ostrożnie głową, mierząc wzrokiem wielki miecz przypasany do

boku tamtego i zastanawiając się, czy ma wierzyć zapewnieniu szwagra, że nic mu nie grozi.

Nazywam się Patryk Graham.

R O B Y N Y O U N G

Zaskoczony Will skłonił głowę.

Sir Patryk się uśmiechnął.

Z tego co mówi o tobie mój wasal, wynika, że to ja powinienem się przed tobą skłonić. Na nieszczęście większość moich rodaków nie docenia twego poświęcenia. Robiłem co mogłem, żeby ich przekonać, ale się uparli.

Dziękuję ci za porękę. Wiem, że udzielenie jej było ryzykowne.

Niebezpieczeństwo, jakie grozi Szkocji, jest znacznie większe.

Graham westchnął. — Niestety, nienawiść do króla Edwarda podsyca bojowy zapał, a ten łacno zmienia się w pewność zwycięstwa. To prawda, Szkoci są dzielnymi wojownikami i już od paru lat pielęgnują w sobie żądzę walki, ale koniec końców decydują liczby. Czyli coś, co twój ojciec łatwiej by zrozumiał. —

Uśmiechnął się szerzej, widząc zaskoczenie Willa.

Nie mogłeś go przecież znać? — Will przyjrzał się twarzy rozmówcy. Graham wyglądał najwyżej na

trzydzieści pięć lat, a Jakub Campbell nie żył od prawie tyluż.

Nie znałem go. Mój ojciec nabył od templariuszy z Balantrodoch szmat ziemi. Z poruczenia mistrza Szkocji transakcję przeprowadzał Jakub Campbell. Zrobił to rzeczowo i bezstronnie. Gdy umowę

zawarto, ojciec poprzysiągł, że jest jego dłużnikiem. Pozostawali w kontakcie przez kilka lat, zanim Jakub wyjechał. Później nie było już o nim wieści, ale ojciec zachował go we wdzięcznej pamięci, skoro przekazując mi dziedzictwo zaznaczył, że część ziem zawdzięczam Jakubowi. Nigdy nie zdołaliśmy

spłacić długu, kiedy więc Duncan powiedział mi, kim jesteś i dlaczego przybyłeś, pomyślałem, że pora oddać przysługę.

Dziękuję — szepnął Will, nie do końca pewien, czy dziękuje za wstawiennictwo czy za dobre słowa o ojcu.

Obawiam się, że nie mamy dość wojsk, by pewnie odeprzeć Anglików. Na nieszczęście w tej chwili nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić. Pozostaje walczyć i modlić się, by Bóg był po naszej stronie. I dlatego cieszę się, że przybyłeś, Campbell. Poza wszystkim innym jesteś doświadczonym żołnierzem.

Przy tym znasz Edwarda i jego strategię, możesz więc być dla nas bardzo cenny. Dopilnuję, byś otrzymał

R E Q U I E M

odpowiednie stanowisko przy obronie Edynburga, jeśli zgodzisz się stanąć u naszego boku.

Will przypomniał sobie nagle słowa, którymi żegnał go Robert: „Nie znajdziesz tam sprawiedliwości, tylko rozlew krwi". Odsunął je z myśli.

Stanę i będę walczyć — rzekł.

Berwick

Trzydziesty dzień marca roku Pańskiego 1296

Czterej chłopcy wdrapali się na wał, wbijając palce w twardo ubitą ziemię porośniętą ostrą szczeciniastą trawą, która kłuła ich po gołych kolanach. Umocnienia ciągnęły się w lewo, w stronę zamku sterczącego nad brzegiem rzeki Tweed, oraz w prawo, masywnym ziemnym pierścieniem opasując całe miasto aż do bramy wodnej.

Szczytem wału biegła głęboko wkopana drewniana palisada, wyszczerbiona co jakiś czas strzelnicami, przez które można było wyjrzeć na zewnątrz. Chłopcy stłoczyli się pod jedną z nich, z wysiłkiem wspinając się do otworu. Z ust unosiły im się obłoczki pary. Za wałem grunt opadał stromo do wąskiej fosy, dalej ciągnęły się faliste pola nakrapiane domami, spichrzami i oborami. Poranek był chłodny i wilgotny, ale bez mgły; w czystym powietrzu było wyraźnie widać armię stojącą na niskim wzgórzu niecałą milę na północny wschód od miasta. Z

tej odległości nie sposób było dostrzec szczegółów, jedynie masę ludzi i koni przetykaną barwnymi proporcami i połyskującą stalą.

Ilu ich jest? — spytał szeptem najmłodszy, ubrany w czerwoną filcową czapkę.

Jeden z jego kompanów przymrużył oczy, jakby starał się policzyć zbrojnych. W nieruchomym powietrzu niosły się nawoływania, ujadanie psów i metaliczny chrzęst przesuwających się oddziałów.

Sto tysięcy — zawyrokował po chwili.

Najmłodszy rozdziawił usta ze zdumienia, ale jego brat, najstarszy z czwórki, wymierzył sójkę samozwańczemu rachmistrzowi.

Głupek — skrzywił się. — Nie więcej niż dziesięć

Dziesięć tysięcy? — wyszeptał najmłodszy. Różnica między tymi dwiema liczbami najwyraźniej niezbyt go pokrzepiła.

Nie dojdą tu — rzekł pogardliwie jego brat, nasuwając mu czapkę na oczy. — Nasi łucznicy ich

wystrzelają. — Wygrzebał z ziemi kamień i stanąwszy na palcach, przerzucił go przez palisadę. —

Angielskie psy!

wrzasnął najgłośniej jak umiał.

Kamień wpadł w krzaki tuż za fosą, co zostało skwitowane gromkim śmiechem. Tymczasem wroga

armia ruszyła, powoli zbliżając się do miasta. Teraz już wzdłuż całych umocnień słychać było klątwy i złorzeczenia. Chłopcy podciągnęli się na rękach, żeby wyjrzeć poza palisadę.

Angielskie psy! Chodźcie, to poodcinamy wam ogony! Najmłodszy, który został na dole, zsunął czapkę z powrotem na tył

głowy. Tamci śmiali się buńczucznie, ale jakby zbyt piskliwie, wyczuwał w ich głosach lęk. Nagle czubek pala, którego uczepił się jego brat, pękł. Przed upadkiem ocaliło go tylko to, że chwycił się wiszącego obok kolegi. Wszyscy nagle zamilkli, patrząc na spróchniały ułomek drewna, zaciśnięty wciąż w dłoni chłopca.

Hej, wy tam!

Obrócili się jak na komendę i ujrzeli za sobą oddział zbrojnych w barwach miejskiego garnizonu

dowodzonego przez Wilhelma Douglasa.

Złaźcie, ale to już! — warknął jeden z żołnierzy.

Na poły zeszli, na poły zjechali na błotnistą uliczkę.

Może powinniśmy wystawić ich na pierwszą linię? — zaśmiał się któryś z mężczyzn.

Zmykajcie do domów — ponaglił ich drugi i trzepnął najstarszego w ucho.

Przedpola Berwicku Trzydziesty dzień marca

Król Edward z zaciętą miną obserwował wschodnie umocnienia miasta. Czuł ucisk w głębi

oczodołów i pulsujący, lekki, lecz nieprzyjemny ból głowy. Kichnął. Wilgoć i chłód mu nie służyły, przeziębił się już po kilku dniach kampanii. Rzadko niedomagał i kiepska kondycja wprawiała go w rozdrażnienie. Za jego plecami rozległ się tętent kopyt; na wzgórze wjechał Antoni Bek, biskup Durhamu. Fioletowy płaszcz przerzucony przez tęgie ramię odsłaniał misternie splecioną kolczugę i przypasany na biodrze długi miecz.

Statki są już w ujściu rzeki, najjaśniejszy panie. Czekają na twój znak.

l

Edward zerknął na niego. Bek był stalową podporą Kościoła, lecz w istocie zdawał się stworzony na żołnierza. Z energią i rutyną wytrawnego dowódcy komenderował całkiem liczną armią, którą

przyprowadził z ziemi świętego Cuthberta. W swojej diecezji Bek był władcą absolutnym i silną ręką stworzył z niej obronny bastion na północnej granicy ziem angielskich. Edward mianował go swym

porucznikiem na Szkocję przed sześciu laty, kiedy jego syn miał poślubić spadkobierczynię Aleksandra.

Od tamtej pory Bek służył mu nieocenioną pomocą w przygotowywaniu ofensywy.

Edward przeniósł uwagę z powrotem na miasto, labirynt drewnianych budynków stłoczonych za

palisadą, przetykany tu i ówdzie przysadzistymi kamiennymi kościołami. Za nim wąskie srebrzyste pasmo Morza Północnego zlewało się z popielatym niebem. Trudno było sobie wyobrazić, że ten

skromny kasztel wciśnięty w bagniste zakole ujścia Tweedu jest najbogatszym miastem Szkocji. Wśród dwunastu tysięcy jego mieszkańców byli nie tylko Szkoci, lecz także prężne gildie cudzoziemskich kupców, głównie niemieckich i flandryjskich, którzy wywozili stąd wełnę, zboże i skóry, przywozili zaś między innymi ładownie pełne czerwonej flandryjskiej cegły.

Nasi słyszeli, jak mieszczanie obrzucali ich wyzwiskami. — Bek zmarszczył nos, przyglądając się miastu. — Ta hołota nie ma pojęcia

o

rycerskości.

Zasłużyli na nauczkę. — Edward uniósł dłoń w rękawicy i wskazał umocnienia. — Tam.

Biskup zmrużył oczy.

Wał jest niższy — zauważył.

Zwiadowcy znaleźli ścieżkę wiodącą nad fosą. Znać na niej ślady zwierząt; pewnie prowadzą nią bydło na pastwiska. Tamtędy wedrzemy się do miasta. — Silnym ruchem łydki król zawrócił

okrytego zbroją rumaka

o

imieniu Bayard. — Pójdź! — zawołał do biskupa. — Czas rozpocząć pasowanie.

Zegnani stłumionymi przez odległość szyderstwami, które wiatr niósł od strony Berwicku, zjechali szerokim zboczem do podnóża, gdzie czekała angielska armia uszykowana już do bitwy.

Gros piechoty i jazdy stanowiły chorągwie wystawione przez dwustu angielskich wasali Edwarda.

Wojska te, liczące ponad osiem tysięcy, zasilił zaciąg walijskich łuczników oraz templariusze pod wodzą Briana le Jay. Wszyscy chętnie by już rozgrzali sztywne od chłodu kości i dowiedli swej odwagi przed królem.

Ruszyli na Berwick trzy dni po Wielkiej Nocy, nieco później, niż Edward planował, a to z powodu niegodnej nawet wspomnienia potyczki w mieście

Wark. Tamtejszy kasztelan, angielski szlachcic, przeszedł na stronę Szkotów. Pierwszą krew rozlali Szkoci, którzy uderzyli na Wark, przez co Edward musiał zawrócić, by uwolnić miasto. Uczyniwszy to bez wysiłku, przekroczył Tweed brodem we wsi Coldstream, przysięgając rychło nauczyć Szkotów

moresu. Wielki most w Berwicku został zmyty przez powódź dwa lata temu i bród w Coldstream był

najbliższym punktem, w którym można było przebyć rzekę. W ślad za angielską armią posuwało się

morzem ponad czterdzieści galer, które czaiły się teraz u ujścia Tweedu, poniżej miasta.

Zeszłego wieczoru zwiadowcy przynieśli wieść, że szkocka armia kieruje się na Carlisle, daleko na południowy zachód. Edward nie zamierzał słać tam posiłków. Gród był mocny, a bronił go Bruce z

Annandale, jeden z jego najwierniejszych szkockich wasali. Powinien się utrzymać, a jeśli nawet nie, zwiąże na dłuższy czas siły szkockie, zapewniając mu wolną drogę do Edynburga. Na przeszkodzie stała tylko ta nadbrzeżna osada pełna szkockiej i cudzoziemskiej hołoty. Im szybciej ją zmiażdżą, tym bliższy będzie zwycięstwa. Edward nienawidził zimnej Północy i rozwścieczała go myśl, że gdyby wnuczka

Aleksandra pozostała przy życiu, oszczędziłby sobie wiele trudu i wydatków.

Przed sześciu laty, z aprobatą papieża i przy niechętnej zgodzie szkockich magnatów, zaręczył swego syna i dziedzica, Edwarda z Caernarvonu, z malutką królową Szkotów. Miałby ich już w ręku, ale przez niespodziewaną śmierć Panny Norweskiej wszystko spełzło na niczym i od wielu lat musiał się z nimi szarpać. Sądził, że popierając najsłabszego z pretendentów, podda koronę szkocką swojej woli, i zapewne tak by się stało, gdyby magnaci nie zbuntowali się przeciwko Balliolowi. Teraz musiał ich okiełznać siłą, a nie chytrością, tak jak wcześniej Walijczyków, i z tego powodu jeszcze bardziej nimi gardził.

Podobnie jak Filip, jego kuzyn i rywal, Edward chciał rządzić niepodzielnie. Uważał, że jako król Anglii ma prawo podporządkować sobie słabo zorganizowanych sąsiadów i włączyć ich ziemie do swej

dziedziny, tworząc silne feudalne państwo, którym będą władać pokolenia jego spadkobierców. Pewien wyższy urzędnik na dworze Edwarda — uparty, lecz skuteczny Hugo Cressingham — określił to kiedyś jako wygładzanie rąbka szaty. Edwardowi spodobała się ta metafora. Dziś, nim noc zapadnie,

zmarszczka zwana Berwick zniknie.

Przed czołem straży przedniej dowodzonej przez hrabiego Surrey czekało trzydziestu młodych ludzi, ledwie mogąc ustać z podniecenia. Na widok zbliżających się króla i biskupa wszyscy zamilkli. Edward zsiadł z konia, ignorując wyciągnięte dłonie giermków. Najpierw wezwał do siebie gestem hrabiego Surrey i innych dowódców. Kiedy plan uderzenia został ostatecznie sprecyzowany, król podszedł do młodzików, z których wszyscy byli synami rycerskich rodów. Uklękli, kłoniąc głowy. Edward wyjął

miecz z pochwy. Zgromadzone wojska umilkły i na tę uroczystą chwilę zapanowała niemal absolutna cisza, mącona tylko szczękaniem uprzęży i broni i pochrapywaniem wierzchowców. Król z obnażonym mieczem podszedł do pierwszego w rzędzie młodzieńca. Za nim postępowało dwóch klerków, by

szeptem podawać mu imiona pasowanych. Król podniósł miecz i z rozmachem oparł go na ramieniu

młodego człowieka, który bez zająknięcia, czystym i donośnym głosem wyrecytował przysięgę

wierności. Pasowany wstał — już jako mężczyzna, rycerz, jeszcze nie ochrzczony krwią, ale gotów dowieść, ile jest wart. W szeregach podniósł się aplauz i młody rycerz uśmiechnął się szeroko. Gdy okrzyki ucichły, od strony Berwicku dobiegło skandowanie. Król zmarszczył brwi, podszedł do drugiego kandydata na rycerza, uniósł miecz, ale się zawahał, słysząc z oddali swoje imię. Przechylił głowę, nasłuchując. Krzyki rozległy się znowu, głośniejsze.

Edwardzie, Edwardzie, ty wieprzu wszeteczny, przyszedłeś do Berwick po spoczynek wieczny!

Klęczący młodzieniec zakłopotany spuścił wzrok, widząc rumieniec zalewający policzki króla.

Biskup Bek obrócił się do stojących za nim oficerów.

Wiwatujcie na cześć króla! — warknął. — Ty — skinął na chorążego, który trzymał królewski sztandar z trzema złotymi lwami. — Podnieś sztandar w górę!

Chorąży zawahał się, nieprzywykły wypełniać rozkazów duchownego. Bek przyskoczył doń.

Podnieś ten sztandar, bo inaczej wepchnę ci drzewce w zad!

Rycerz uniósł proporzec i zaczął nim powiewać. Wiwaty przybrały na

sile, zataczając coraz szersze kręgi, zagłuszając urągliwe wołanie z Berwicku. Edward pochylił się nad pasowanym i gniewnie zaciskając zęby, opuścił miecz na jego ramię.

Ceremonia trwała, a przyjęcie każdego kolejnego giermka w poczet rycerstwa witane było coraz

głośniejszym aplauzem. W końcu równina pod miastem rozbrzmiewała zgodnym rykiem ośmiu tysięcy

ludzi. Hrabia Surrey pierwszy dostrzegł statki wpływające do estuarium. Zmarszczył brwi i uniósł się w strzemionach, żeby mieć lepszy widok, a potem zaklął i galopem podjechał do króla, który pasował

właśnie ostatniego młodzieńca.

Najjaśniejszy panie! — Hrabia ściągnął wodze, wskazując lejkowate ujście rzeki.

Szare oczy Edwarda rozszerzyły się ze zdumienia. Z drugiej strony nadbiegał już Bek, krzycząc:

Dlaczego atakują? Nie daliśmy jeszcze znaku!

Wiwaty — rzekł nagle Edward. — Wiwaty i sztandary. Myślą, że zaczęliśmy atak. — Rzuciwszy

rozkazy najbliżej stojącym, wskoczył na siodło.

Armia zawrzała jak podrażniony rój; ludzie biegli do koni, dociągali paski tarcz. Nowo pasowani rycerze gotowali się do boju z bijącymi sercami. Łucznicy luzowali strzały w kołczanach, piechota dobywała mieczy i mocniej ujmowała topory. Tymczasem rycerze stali już w szyku, bojowe rumaki rżały i darły kopytami ziemię.

W dali nad rzeką niebo nagle pojaśniało — to wzbiły się w powierze setki wytrzelonych z miasta

płonących strzał. Zatoczywszy łuk, spadły na prowadzący okręt. Edward wychylił się z siodła. Nawet z tej odległości widział, że coś jest nie w porządku: galera stała w wodzie jak martwa. Król zaklął

wściekle; domyślił się, że ugrzęzła na mieliźnie. Pod gradem płonących pocisków główny żagiel

rozgorzał jak pochodnia.

Za mną! — ryknął Edward wbijając ostrogi w umięśnione boki Bayarda.

Angielska jazda runęła za nim po szerokim zboczu. Hrabia Surrey prowadził awangardę u boku króla. Na czele prawej flanki ruszyli templariusze, ich białe płaszcze łopotały w powietrzu, końskie kopyta waliły w ziemię jak w bęben. Po lewej pędzili rycerze świętego Cuthberta pod wodzą biskupa w fioletowym płaszczu. Łucznicy wbiegli na wzgórek, z którego mogli pokryć ostrzałem najbliższy odcinek umocnień, ułatwiając atak rycerzom i biegnącej za nimi piechocie. Na rzece prowadząca galera płonęła już jak pochodnia, dobiegały z niej krzyki, lecz nie było ich słychać w łoskocie kawalkady.

Dwa dalsze okręty podpłynęły na pomoc, lecz mieszkańcy Berwicku wybiegli przez bramę wodną i

brodząc w nurcie, siekli na miazgę ludzi uciekających z płonącego statku. Kolejna chmura strzał

pomknęła w stronę nadpływających, część z sykiem uderzała w wodę, inne dosięgały celu. W ślad za nimi z brzegu rzucano płonące żagwie. Natłuszczone drewno zajmowało się prawie natychmiast, silny wiatr podsycał ogień, tak że uwijające się pod ostrzałem załogi nie nadążały gasić. Ludzie skakali za burtę, żeby nie spłonąć żywcem. Wciągał ich lepki muł, część od razu tonęła w ciężkich zbrojach. Kłęby dymu walące z pierwszego statku osłaniały nadbiegających Szkotów, którzy w lekkich kaftanach z

utwardzonej skóry mogli bezpiecznie przebyć grząskie błotniste łachy.

Edward poprowadził Bayarda prosto ku miejscu, gdzie szeroki wał opadał ku drodze biegnącej nad fosą, umocnionej faszyną i kamieniami. Brama wydawała się mocna, lecz drewniana zapora nie mogła

wytrzymać szturmu ośmiu tysięcy zbrojnych, którym honor nakazywał pomścić obelgę. Wściekłość

pokryła twarz Edwarda szkarłatem. Szyderstwa mieszczan wciąż dźwięczały mu w uszach, a widok

własnych statków płonących na rzece wprawił go w furię, którą dało się ugasić tylko krwią. Jeśli obrońcy miasta mieli jakąkolwiek szansę na godną kapitulację, zaprzepaścili ją w tamtej chwili. Teraz w pełni odczują na sobie jego gniew.

Kiedy Anglicy zbliżyli się do umocnień, spadł na nich deszcz strzał. Pierwszy rycerz, strącony z siodła, zginął pod kopytami. Groty odbijały się od żelaznych hełmów, więzły w oczkach kolczug i kolczych kapturów. Część trafiała konie, które stawały dęba, zrzucając jeźdźców. Edward podniósł tarczę, lecz pociski go omijały, żaden nawet nie świsnął w pobliżu. Z tyłów odpowiedzieli walijscy łucznicy, celując wysokim lukiem za palisadę, skąd wkrótce dobiegły krzyki rannych obrońców. Zbliżywszy się do fosy, Edward zwolnił, pozwalając się wyprzedzić innym. Zrobił to wbrew sobie, najchętniej pędziłby dalej i sam sforsował bramę, ale trzydziestu świeżo pasowanych rycerzy było rozjuszonych jak psy gończe, nozdrza mieli rozdęte zapachem zwierzyny. Należało wykorzystać ich zapał. Ci młodzi ludzie znali dotąd tylko kontrolowane emocje szranków; nie doświadczyli jeszcze zamętu pola bitwy, nie nauczyli się go bać. Byli dumni, śmiali i nieustraszeni. Przedrą się do środka albo zginą.

Jeden z hrabiów, weteran bitwy pod Lewes, który walczył pod sztandarem Edwarda w Walii, dał znak kilku swoim rycerzom. Ruszyli pod bramę, mając w rękach tęgie haki gotowe do zarzucenia. Jeden, którego koń został ugodzony strzałą w oko, z krzykiem stoczył się wraz z nim do fosy. Reszcie udało się zahaczyć krawędź bramy. Walijczycy strzelali bez ustanku; ktokolwiek wychylił się zza palisady, znikał.

Rycerze zawrócili równo, liny zamotane o łęki siodeł napięły się i szarpnęły. Jeden z haków wyrwał

kawał próchniejącego drewna i spadł luźno; inne trzymały przez ułamek sekundy, a następnie

pociągnęły za sobą wyłamaną górną część bramy.

Brama jest spróchniała! — wrzasnął jeden z rycerzy.

Za zniszczoną zaporą zapanował chaos. Część obrońców uciekła. Pozostali zwarli szyk, mierząc w

nacierających.

Naprzód! — ryknął Bek i popędził ku bramie. Koń, spięty w ostatniej chwili, zahaczył kopytem o

sterczącą z dołu deskę, ale drewno się ukruszyło i wierzchowiec nieco chwiejnie wylądował na ulicy miasta. Ludzie Beka poszli za jego przykładem. Wraz z nimi wdarli się za mury świeżo pasowani

rycerze, dysząc żądzą krwi i ścigając się wzajem, bo każdy chciał być pierwszy. Jeden z koni w ostatniej chwili spłoszył się i skręcił, uderzając bokiem w tę część bramy, która pozostała w całości. Drewno zatrzeszczało, lecz nie pękło, a jeździec stracił władzę nad zwierzęciem, które stoczyło się z nasypu, pociągając go za sobą. Po nim jeszcze dwóch miało podobny kłopot, obaj jednak zdołali bezpiecznie zawrócić.

Łucznicy zaczęli pierzchać. Zniecierpliwiony Edward poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Dał Bayardowi ostrogę i runął do bramy. Ciężki bojowy rumak przesadził deski jednym płynnym susem. Widząc, że król wjechał do miasta, rycerze jak szaleni runęli naprzód, rzeka zbrojnych rozniosła resztki wyłamanej bramy.

Pewność siebie żołnierzy, którzy nie tak dawno urągali Anglikom, zmieniła się w popłoch, gdy stanęli naprzeciw zakutych w żelazo rycerzy. Pozbawione wyrazu stalowe zasłony hełmów i odkryte twarze

wykrzywione morderczym grymasem budziły jednaką zgrozę. Ostrza mieczy i toporów druzgotały

czaszki i karki. Wielkie bojowe konie wierzgały, kopały i tratowały ciała. Większość obrońców za całe opancerzenie miała kaftan z twardej skóry, tylko straż kasztelańska nosiła kolczugi. Byli nadzy, bezbronni. Karny początkowo odwrót pod nawałą angielskiego rycerstwa przeobraził się w paniczną

ucieczkę.

Dwóch młodych rycerzy pognało za dmącym w róg Szkotem, oczy im błyszczały radośnie jak na

łowach. Pierwszy zamachnął się mieczem na grzbiet uciekającego, ale ten w ostatniej chwili rzucił się w boczną uliczkę i rycerz klnąc głośno, przegalopował mimo. Drugi jadąc za nim, zdołał zawrócić w biegu konia i podjąć pościg; wąska uliczka była niczym szranki, przygotowując się do zderzenia, nachylił

kopię i trafił nią ofiarę między łopatki. Ostrze kopii przebiło skórę, mięśnie i kości, przechodząc na wylot. Uderzony na krótką chwilę zawisł w powietrzu. Później rycerz puścił kopię, Szkot upadł na ziemię, a gdy wierzchowiec go mijał, podkute kopyto rozłupało czaszkę niczym dojrzały owoc, drugie zaś strzaskało róg. Rycerz dobył miecza i pogalopował dalej, szukając kolejnych, na których

mógłby dowieść swej sprawności bojowej.

Róg ostrzegł załogę zamku, która pod wodzą sir Wilhelma Douglasa wyjechała naprzeciw nieuchronnej klęsce. Rycerze Douglasa byli zaprawieni w bojach i waleczni, ale było ich tylko dwustu. Naprzeciw ośmiu tysięcy jawili się niczym rząd kamyków wobec fali przypływu. Nie udało im się skoordynować obrony miasta. Anglicy rżnęli ich ze wszystkich stron, ścigając mieszkańców po wąskich uliczkach, na których trwała nieustająca rzeź. Idąca za jazdą piechota wdzierała się do domów, przepychając się i dysząc żądzą gwałtu, krwi i łupu. Dowódcy kazali młodszym rycerzom zaganiać potoki uciekinierów na większe place, gdzie łatwiej było się do nich dobrać. Tu i ówdzie napotykali barykady, zza których obrońcy razili ich strzałami i kamieniami, ale na jednego poległego Anglika ginęło dziesięciu mieszczan, łuskanych ciosami włóczni i toporów. Obrońcy płaskiego brzegu nad Tweedem, spaliwszy trzy statki, wycofali się za wały, bo do estuarium wpływały już kolejne. Powiadomieni o mieliznach dowódcy galer sterowali ostrożniej, a wysadzone na brzeg załogi w krótkim czasie zdobyły słabsze umocnienia portowe.

Grupka chłopców kluczyła przez labirynt uliczek, ścigana przez pohukujących rycerzy. Zaułek za

kościołem okazał się ślepy. Chłopcy zbili się w grupkę, drżąc ze strachu. Najmłodszy skulił się pod ścianą, próbując stać się niewidzialny. Doleciał go chóralny krzyk druhów, gdy siedmiu rycerzy

zatrzymało konie u wlotu zaułka. Jeden z chłopców podniósł kamień, ale go nie rzucił. Stojący z przodu rycerz zawołał, że ich oszczędzi, jeśli się poddadzą. Czujnie, z ociąganiem, ruszyli w jego stronę, wszyscy prócz najmłodszego, który pozostał skulony pod murem. Ale patrzył, jak tamci dochodzą do ulicy. Patrzył dalej, gdy rycerze otoczyli ich końmi, zamykając w szczelnym pierścieniu. Miecze wzniosły się i opadły, krew obryzgała mury. Najmłodszy zerwał się na nogi i zaczął się wspinać na mur kościelny. Udało mu się dotrzeć do połowy, choć pozdzierał paznokcie na szorstkich kamieniach, gdy usłyszał za sobą grzechot kopyt i poczuł, jak coś ciężkiego wbija mu się w plecy. Kiedy spadł, czerwona filcowa czapka zsunęła mu się z głowy.

Nikt zdybany na ulicy nie uniósł głowy spod miecza; ginęli mężczyźni i niewiasty, starcy i dzieci. Rzeź

trwała przez cały dzień i część nocy. Edward własną osobą wraz z pięciuset rycerzami twardo spychał

Douglasa i jego ludzi, którzy w końcu musieli się wycofać do zamku. Douglas ostatni zniknął za bramą, jego wściekłe ryki słychać było mimo wrzasków rozbrzmiewających w całym mieście. Pod wieczór król kazał naszykować sobie kwaterę w kościele Najświętszej Marii Panny, wywleczono więc z niego zwłoki zaszlachtowanych ludzi, którzy szukali azylu, a znaleźli śmierć. W całym mieście szalały pożary, nocą było jasno jak w dzień. W szkarłatnym świetle zbryzgane krwią twarze Anglików przywodziły na myśl obraz piekieł.

O

świcie pionąt też Czerwony Dom, siedziba flamandzkich kupców. Wewnątrz w kłębach

duszącego dymu broniło się czterdziestu mężczyzn. Jeden ze strzelców, raczej przez przypadek niż miarę, trafił prosto w wizurę hełmu królewskiego krewniaka, zabijając go na miejscu. Gorzka to jednak była radość — nie mieli szans się obronić, poddać ani uciec, uwięzieni w płonącym budynku słyszeli przez trzask płomieni, jak rycerze ze śmiechem i urąganiem barykadują drzwi.

Nim nadszedł świt, szary i zimny, Berwick otulił całun dymu. Wąskie uliczki blokowały sterty trupów, odór śmierci bił pod niebiosa, przyprawiając o mdłości nawet najbardziej doświadczonych żołnierzy.

Konie ślizgały się w wyprutych trzewiach. Przelano tyle krwi, że spłynęła do rzeki i wody Tweedu zabarwiły się na czerwono. Rzeź nacechowało już zobojętnienie, stała się odruchowa. Ludzie byli zmęczeni, zapał bojowy osłabł, furia wygasła, honor został odzyskany. Pomimo to król nie chciał dać rozkazu zakończenia masakry.

Po wysłuchaniu mszy w kościele i spożyciu śniadania Edward dosiadł konia, żeby obejrzeć pobojowisko.

Towarzyszył mu biskup Bek oraz Brian le Jay, który kilka godzin wcześniej prosił go o zaprzestanie rzezi.

Najjaśniejszy panie — argumentował — rzuciłeś Berwick na kolana. Czy nie pora położyć temu kres?

Berwick musi stać się przykładem — odpowiedział król. — Niech wszyscy Szkoci wiedzą, co ich czeka, jeśli mi się sprzeciwią.

Le Jay chciał protestować, ale Bek odciągnął go na bok i szeptem przypomniał o gwałtownym

charakterze Edwarda i tym, co spotykało ludzi, którzy się z nim spierali, zwłaszcza gdy był w kiepskim nastroju.

Teraz mistrz templariuszy jechał u boku króla, milcząc zawzięcie, skupiony na omijaniu zalegających ulice trupów. Za nim podążali w milczeniu jego rycerze.

Gdzieś z przodu rozległ się mrożący krew w żyłach, nacechowany straszliwym cierpieniem wrzask.

Trudno było nawet określić, czy głos jest męski czy kobiecy. Po chwili zabrzmiał od nowa. Kiedy wyjechali zza węgła, zobaczyli jego źródło. Wyjąc jak zwierzę, młoda kobieta pełzła na czworakach w stronę warsztatu szewca, którego wyłamane drzwi ziały prostokątem czerni. Jej ogromny brzuch kołysał

się z boku na bok, jasną suknię splamioną miała krwią albo od rany w boku, widocznej przez rozdarcie, albo krwią porodu, który najwyraźniej już trwał. Za nią jakiś żołnierz podniósł się z ziemi, gdzie upadł

lub może został odepchnięty, i z rykiem wściekłości chwycił miecz. Zanim ktokolwiek z przybyłych zdążył krzyknąć, podbiegł i jak oszalały zaczął rąbać mieczem kobietę. Krzyk wkrótce ucichł.

Pełen obrzydzenia na widok tego bezmyślnego okrucieństwa Brian le Jay podjechał do Edwarda.

Połóż temu kres, panie. Odwołaj swoich ludzi i weź ich w ryzy.

Król, który posłał już dwóch giermków, żeby odciągnęli zbryzganego

krwią żołnierza pastwiącego się nadal nad trupem kobiety, spojrzał na mistrza Anglii, unosząc brwi.

Wydajesz mi polecenie?

Daję ci wybór — odparł szorstko templariusz. — Wycofaj ludzi albo ja wycofani swoich. Będziesz

toczył tę wojnę bez naszych posiłków i twierdzy w Balantrodoch.

Wielki mistrz oddal was pod moje rozkazy.

Wielki mistrz rozkazał, byśmy ci pomogli stłumić rebelię, nie mordować brzemienne niewiasty na

ulicach.

Zapadła cisza. Posłyszeli brzęknięcie upuszczonego miecza i odgłosy wymiotów jednego z żołnierzy, którego torsje dopadły nieopodal zmasakrowanej kobiety i jej na wpół urodzonego dziecka.

Najjaśniejszy panie — rzekł ostrożnie Bek. — Może rzeczywiście to trwa już zbyt długo. Nie możemy marnować tyle sił na jedno miasto, gdy czekają nas kolejne bitwy.

Edward zerknął na niego i ołowiany, zacięty wyraz szarych oczu ustąpił miejsca namysłowi. Po dłuższej chwili skinął głową.

Obwołaj zakończenie szturmu. Pchnij posła do Douglasa. Jeśli się podda, oszczędzę życie jego ludzi.

Przeszukajcie domy. Kobiety i małe dzieci puśćcie wolno, ale macie zabić każdego mężczyznę, chyba że złoży okup. Ta hołota nie będzie dłużej płodzić buntowników.

Zawrócił konia, lecz mijając Briana le Jay, przystanął.

Dziś postawiłeś na swoim — syknął — ale jeśli jeszcze raz mi się sprzeciwisz, zapłacisz głową. —

Podniósł głos, zwracając się do Beka i pozostałych: — Po oczyszczeniu ulic zaczniemy ponownie

fortyfikować miasto. Berwick zostanie odbudowany jako gród angielski.

Późnym rankiem odwołano rozproszonych żołnierzy, zlanych krwią i wyczerpanych. Teraz mieli czas opatrzyć rany i odmówić modlitwy za poległych towarzyszy. Część wracała do szeregów z sakwami

napchanymi srebrem i złotem. Później czekało ich jeszcze jedno zadanie, ciężkie i znojne, bo zginęło ponad osiem tysięcy mieszkańców miasta. Trzeba było pozbyć się ciał. Zwłoki podawano z rąk do rąk i wrzucano do Tweedu. Kołysały się w leniwym nurcie, obijając się o siebie wzajem i blokując

ujście rzeki jak olbrzymia ławica śniętych ryb. Kruki i mewy zataczały kręgi w górę i w dół, ucztując na trupach.

Templum w Paryżu Dwudziesty trzeci dzień kwietnia roku Pańskiego 1296

Trzeba jeszcze raz wyczyścić poidło. — Wyszedłszy z refektarza, Szymon kiwnął na ospowatego pachołka. — I jeśli tym razem nie zobaczę w wodzie ślicznego odbicia twojej gęby, to zobaczę jej odcisk w kupie gnoju.

Tak, panie. — Serwient w te pędy puścił się w stronę stajni.

Szymon zachichotał pod nosem przyjemnie połechtany tym, że młodzi

koniuchowie tak do niego mówią. Był synem londyńskiego garbarza i służebnym jak oni, ale jako starszy podlegał rangą tylko mistrzowi koniuszemu, a to stanowisko zapewniało mu szacunek niewiele ustępujący temu, jakim cieszyli się rycerze. Spoważniał, widząc wysoką postać o niemal białych włosach wchodzącą do budynku po drugiej stronie majdanu.

Panie Robercie! — wrzasnął i puścił się za rycerzem, ignorując zgorszone psyknięcie, jakim skwitował jego okrzyk przechodzący kapelan.

Rycerz zniknął w środku. Pobiegł za nim. Złapał go w krużganku łączącym kwatery rycerskie z palatium wielkiego mistrza.

Tym razem Robert się obejrzał na wołanie. Powitał go lakonicznie, przystając w plamie słońca, które wpadało przez arkadę, rzucając ostre cienie na przeciwległą ścianę.

Szymon pomyślał nagle, że Robert się postarzał. Był stary i zmęczony.

Słyszałem, że wróciliście dziś rano, ale szukam wszędzie Willa i nikt nie wie, gdzie on jest. — Kiedy rycerz nie odpowiedział, Szymon dodał:

Nie sądziłem, że zabawicie aż tak długo.

Wielki Mistrz chciał odwiedzić kilka preceptoriów w Anglii.

Znajomy Willa z Akki, ten rabin, wciąż o niego pyta. Był bardzo zawiedziony, że Will go unika.

Eliasz? — Robert ze znużeniem kiwnął głową. — Przy pierwszej okazji zajrzę do niego, wyjaśnię, co się stało.

A co się stało? — spytał z niepokojem Szymon. Kiedy Robert odwrócił wzrok, koniuszy zastąpił mu drogę. —

Co się stało, Robercie? Gdzie jest Will?

Widząc przechodzących rycerzy, Robert zniżył głos do szeptu.

Najpewniej w Szkocji. — Westchnął. — Odszedł i nie byłem w stanie go zatrzymać.

Szymon w milczeniu wysłuchał relacji.

To chyba jakaś pomyłka — szepnął. — Will nie zbiegłby z zakonu.

Spojrzał bacznie na Roberta, zmarszczył brwi i powtórzył: — Nie zrobiłby tego! A już z pewnością nie porzuciłby Róży. Pewnie coś źle zrozumiałeś. Może chciał się tylko upewnić, że siostra jest bezpieczna, a potem zamierzał wrócić?

Przyglądałem się, jak ściąga habit. — Na twarzy Roberta znać było napięcie. — Nie wróci.

To przez Elwinę. Oszalał z żalu. Mówił coś jeszcze? Czy kazał coś przekazać Róży? — Zmarszczki na czole Szymona pogłębiły się. — Albo mnie?

Tylko żebyśmy mieli nad nią pieczę.

Szymon przysiadł na murze dzielącym krużganek od wirydarza.

Czy wielki mistrz kogoś za nim posłał?

Hugo zdołał na razie zatuszować jego zniknięcie, mówiąc, że wysłał go z listami do Szkocji. Wiem tylko ja, on i teraz ty, lecz wątpię, aby coś takiego dało się ukrywać w nieskończoność.

Zawsze sądziłem, że wizytator bardzo ściśle przestrzega reguły.

Robert zawahał się na moment.

Wizytator sądzi, że Will pojechał tylko ostrzec swoją rodzinę

o

najeździe Anglików. — Mówił cicho, lecz stanowczo. — Nie wspomniałem mu, że Will chce

przekazać Szkotom informacje o planach króla Edwarda, i tobie też nie wolno tego zdradzić. Za dezercję trafiłby do lochu, ale zdrada zaprowadziłaby go wprost na szubienicę. Swoim czynem naraził życie własnych braci w zakonie. — Zacisnął usta. — Chyba go to nie obeszło.

Przecież mówię, że z rozpaczy postradał zmysły — powtórzył Szymon uparcie. — Nie wie, co czyni... —

Milczał przez chwilę. — Pojadę za nim.

Co?

Pojadę do Szkocji i przemówię mu do rozumu.

Szymonie, nie bądź głupcem.

A cóż w tym głupiego? Nie chcesz, żeby wrócił?

Skąd myśl, że zdołasz go przekonać, gdy ja nie zdołałem?

Warto przecież spróbować! — rzekł błagalnie Szymon, wstając, żeby spojrzeć mu w oczy.

Przez twarz Roberta przemknął uśmiech, który zresztą zaraz zgasł.

Musiałbyś wyjechać, nie wzbudzając podejrzeń...

Załatw mi przeniesienie do Balantrodoch. Nie muszę nawet jechać do preceptorium, daj mi tylko listy. Znajdę Willa i przekonam go, żeby ze mną wrócił, a ty dopilnujesz, żebym dostał przeniesienie z powrotem tutaj. Masz dostateczną władzę — nalegał, widząc, że Robert się waha. — Wiem, że masz.

Tak, to nie problem — odparł machinalnie Robert i przyjrzał się grymasowi determinacji na twarzy koniuszego.

— Tam jest niebezpiecznie. Trwa wojna.

On zrobiłby dla nas to samo.

A jeśli nie zechce wrócić?

Wróci, jeśli mu powiem, że Róża go potrzebuje.

Po dłuższej pauzie rycerz ze świstem wypuścił powietrze.

Pomyślę nad tym — obiecał.

Pozostawiwszy Szymona, który udał się do stajen, Robert ruszył dalej w stronę kancelarii. Jego nastrój, ożywiony na krótko optymizmem koniuszego, znów sposępniał. W minionych miesiącach wciąż wracał

myślami do tamtej rozmowy w Nowej Świątyni, zastanawiając się, czy mógł zrobić więcej, skłonić Willa do zmiany zdania. Dawno doszedł do wniosku, że nie było to w jego mocy, a jednak pozostały wyrzuty sumienia, że nie działał bardziej zdecydowanie, widząc, jak Will po upadku Akki pogrąża się w mroku. Will nie był dla niego tylko bratem w zakonie i towarzyszem broni, lecz także — a może przede wszystkim — zwierzchnikiem Anima Templi. To, że porzucił bractwo, podważało w jakiś sposób zaangażowanie Roberta. Szymon przyjaźnił

się z Willem od dzieciństwa; Robert wiedział, jak bardzo jest mu oddany. Jeśli istniał choć cień szansy, że Szymonowi uda się dokonać tego, czego on nie zdołał, powinni ją wykorzystać.

Spóźniłeś się — mruknął Hugo, kiedy Robert wszedł do świetlicy. Wstał zza pulpitu i prędko zwinął jakiś pergamin. — Zamknij drzwi.

Robert stłumił w sobie chęć przytarcia mu nosa. W ostatnim okresie wizytator źle znosił jego żartobliwe docinki.

Byłem dziś rano na posłuchaniu u wielkiego mistrza — rzekł.

Zamierza za kilka tygodni wyjechać na Cypr i zająć się przygotowywaniem nowej krucjaty. Ma nadzieję, że poparcie, które obiecali mu władcy Zachodu, przybierze namacalną postać do wiosny przyszłego roku.

Nie wydajesz się o tym przekonany.

Sam widziałeś, co jest dla nich ważniejsze. Kiedy król Edward podbije Szkocję, zewrze rogi z Filipem w Gaskonii, korzystając z poparcia hrabiego Flandrii, który rozpaczliwie pragnie powstrzymać Filipa od prób zagarnięcia jego ziem. Filip tymczasem wszczął otwartą wojnę z Kościołem. Obłożył duchowieństwo kolejnym podatkiem. Podobno gwardziści zabili jakiegoś księdza. Pewnie chcieli złupić mu skarbonę, a on się nie zgodził. Dwór wysłał obwoływaczy, którzy mieli zdementować tę pogłoskę, głosząc, że ksiądz napadł na królewską straż, ale chyba tylko najbardziej łatwowierni paryżanie dali się na to nabrać. — Hugo odłożył zwój i podszedł do Roberta. Kładąc mu rękę na ramieniu, ciągnął: — Dlatego właśnie poprosiłem wielkiego mistrza, żeby pozwolił ci zostać tu ze mną, kiedy on wróci na Cypr. Czasy są niespokojne.

Zgodził się?

Przekonałem go. Muszę mieć kogoś, komu mogę zaufać, kto pomógłby mi zarządzać na co dzień zakonem, no i prowadzić dalej Anima Templi.

Objąłeś więc przywództwo? — Robert przyjrzał się staremu towarzyszowi, z upływem czasu coraz bardziej różniącemu się od człowieka, którego znał kiedyś.

Ktoś musiał. Bractwo powinno mieć zwierzchnika.

A jeśli Will wróci?

Hugo się nachmurzył.

Campbell sam wyrzekł się stanowiska, kiedy zbiegł. Przedłożył ród nad zakon i Duszę Świątyni. — Po chwili wahania dodał: — Jeśli wróci i odprawi pokutę za nieposłuszeństwo, przyjmę go z powrotem. Pozostanie jednak moim podwładnym.

Robert dojrzał wyraz jego twarzy i zwątpił, czy Will będzie tu mile widziany. Przypomniała mu się uwaga Szymona, że wizytator twardo przestrzega reguł. Nie był całkiem otwarty w rozmowie z koniuszym, który wszak nie miał pojęcia o Duszy Świątyni. W głębi serca wiedział, dlaczego Hugo przeszedł do porządku nad zniknięciem W'illa. Pod nieobecność wielkiego mistrza przywykł sam sprawować władzę, a było jasne, że ma własną wizję przyszłości Anima Templi i że różni się ona od wizji Willa. Jeśli Will nie mylił się, mówiąc, że Hugo dał się przeciągnąć na stronę króla Anglii... Obawy Roberta przybrały na sile.

Potrzebuję tu dobrych, sprawdzonych ludzi, Robercie. Razem musimy uczynić co w naszej mocy, żeby zakon zachował posiadane wpływy.

Hugo wrócił do pulpitu. — Kiedy Jakub wyjedzie, musimy zacząć myśleć

przyszłości. Takiej — dodał z naciskiem — w której Templum przetrwa jego beznadziejną staroświecką krucjatę.

Pałac papieski na Lateranie, Rzym, Czternasty dzień maja

Bertrand de Got musiał szybko przebierać nogami, żeby nadążyć za klerkiem, który prowadził go przez plac w stronę wejścia do palatium stojącego obok katedry laterańskiej. Dzień byl oślepiająco wręcz słoneczny leżące na zachód od wzgórza miasto skrzyło się niczym klejnot. Eleganckie wieże i krągłe kopuły kościołów opasywała błękitna wstęga Tybru, wijącego się leniwie wokół nowo zbudowanych pałaców i kruszących się ruin starożytnej cywilizacji, która kiedyś władała całym znanym światem.

Bertrand miał już zadyszkę i czuł, że się poci w grubym podróżnym płaszczu. Wreszcie jego przewodnik, nie zmniejszając tempa, wprowadził go na szerokie marmurowe schody w chłodny cień wnętrza budynku, w którym roiło się od urzędników dworu papieskiego.

Muszę cię przestrzec, księże biskupie, że znajdziesz jego świątobliwość w nie najlepszym nastroju. — Klerk sapnął posępnie. — Śmierć Celestyna przyczyniła mu niespodziewanych kłopotów.

Celestyn nie żyje?!

Nie słyszałeś o tym? — Rzymianin z niedowierzaniem ściągnął brwi.

Dopiero co przybyłem.

Klerk przystanął i rozejrzał się ostrożnie. Bertrand wykorzystał tę okazję, by złapać oddech.

Celestyn zmarł w celi dwie niedziele temu — rzekł klerk przyciszonym głosem. — Gdy tylko wyniesiono ciało, Giacomo i Piętro Colonnowie natychmiast zażądali śledztwa. Zgon uznano za naturalny, bo taki właśnie był.

Ale to ich nie powtrzymało przed rozpuszczaniem złośliwych plotek, jakoby doszło do niego z woli jego świątobliwości.

Colonnowie oskarżyli papieża o skrytobójstwo? — zdumiał się Bertrand.

Nie wprost. Ale dla wielu jest jasne, że instygatorem plotek jest kardynał Giacomo, zaprzysięgły wróg papieża od czasu, gdy ten uwięził Celestyna za opuszczenie Stolicy Piotrowej. Kardynał nie cofnął się nawet przed twierdzeniem, jakoby jego świątobliwość zmusił Celestyna do abdykacji, chcąc przywdziać papieską tiarę.

Giacomo nie dba o Celestyna, tylko własne dobro ma na względzie. Nigdy nie przebolał tego, iż to

Bonifacy został wybrany... — W korytarzu pojawili się dwaj czarno odziani urzędnicy i klerk urwał raptownie. — Pójdź

— rzekł, kiedy nieznajomi ich minęli.

Ale serdecznie ci doradzam nie mówić niczego, co mogłoby rozdrażnić jego świątobliwość.

Świadom wieści, jakie miał przekazać, Bertrand zasępił się nie na żarty. Klerk poprowadził go kilkoma ciągami spiralnych schodów i długim majestatycznym korytarzem ku olbrzymim podwójnym drzwiom. Zapukał szybko i otwarł je na oścież.

Ogromna komnata pełna była kosztownych, bogato zdobionych sprzętów, które przykuwały wzrok, i dopiero po chwili Bertrand, rozglądając się po wnętrzu, dostrzegł jej mieszkańca. Papież Bonifacy VIII siedział w obszernym wyścielanym krześle pod oknem. Stojący za nim balwierz grzebieniem z kości słoniowej

rozczesywał mu włosy wokół starannie wygolonej tonsury. W wieku lat sześćdziesięciu dwóch Bonifacy wciąż miał bujne uwłosienie, choć białe już jak mleko. Jego ciemne oczy spoczęły na Bertrandzie, który się obejrzał, słysząc za sobą stuk zamykanych drzwi.

Witaj, księże biskupie — powitał go władczym tonem. — Wystarczy.

Bertrand zawahał się i dopiero po chwili zrozumiał, że ostatnie słowo skierowane było do balwierza, który zdjął

z ramion Ojca Świętego okrywające je płótno, skłonił się nisko i na palcach przeszedł po zaścielonej kobiercami posadzce do mniejszych drzwi w przeciwległej ścianie komnaty.

Papież wstał i wyciągnął rękę. Bertrand podszedł bliżej, czując rumieniec zalewający mu policzki. Zdążył już zapomnieć, że przy tym człowieku czuje się zawsze jak niezdarny, wystraszony nowicjusz. Nakazał sobie spokój, zgiął kolano i musnął ustami złoty pierścień.

Bonifacy podszedł do marmurowego stołu, szeleszcząc krwistoczerwoną jedwabną szatą.

Spodziewałem się ciebie wcześniej — zauważył, podnosząc wysadzaną drogimi kamieniami tiarę i wkładając ją sobie na głowę.

Proszę o wybaczenie, wasza świątobliwość. Przez wiele miesięcy byłem nieobecny w swej diecezji i pragnąłem się upewnić, że moi wierni żyją w pokoju, nim udam się do Rzymu.

Jak się powiodła twoja misja w Anglii?

Gorzej, niż się spodziewałem — przyznał Bertrand. — Napisałem list do króla Edwarda, sugerując połączenie zakonów rycerskich. List ten długo pozostawał bez odpowiedzi, w końcu jednak otrzymałem zaproszenie do Londynu na spotkanie z Edwardem i Jakubem de Molay. — Bertrand zdał sobie sprawę, że jego głos przybrał

płaczliwe tony, ale nie był w stanie temu zapobiec; chciał zresztą wzbudzić w papieżu gniew na angielskiego króla, jaki sam odczuwał. Po nagłej wolcie Edwarda wciąż trawiła go wściekłość, że jej nie przewidział. — Z

listu można było wnosić, że król chętnie rozpatrzy moją propozycję, ale jak się okazało, zwołał to spotkanie, mając na uwadze tylko własne cele.

Jakież to? — Mars na czole Bonifacego się pogłębił.

Chce, żeby Templum wsparło go w wojnie przeciwko Szkotom. Ostrzegłem go, że waszą świątobliwość bardzo zmartwi wieść, iż wojuje z innym chrześcijańskim narodem miast z Saracenami, ale w ogóle mnie nie słuchał.

Rad jestem, że wypowiadasz się w moim imieniu.

Pod spojrzeniem papieża biskup nieco się skurczył.

Wasza świątobliwość, ja... — urwał. W oczach Bonifacego trudno było się doszukać łaskawości. Z drugiej strony Edward obiecał bratankowi Bertranda zyskowne beneficjum, kiedy już odzyska swoje włości w Gujennie... pod warunkiem, rzecz jasna, że Bertrand spełni jego życzenia. Przełykając złość, podniósł oczy na papieża. — Co prawda król angielski rzecze, iż poprowadzi nową krucjatę, gdy tylko załatwi swoje sprawy w Szkocji. Jakub de Molay jest zdecydowany ruszyć na Wschód. Wciąż możemy mieć nadzieję na odzyskanie Jeruzalem.

Nadzieja ta będzie chyba musiała nieco poczekać. Podaj mi krzyż.

Idąc w ślad za jego palcem wskazującym, Bertrand zbliżył się do długiej

zdobionej skrzyni stojącej pod oknem. Otworzył wieko. Leżał tam złoty papieski krzyż owinięty w białą tkaninę. Kiedy go podniósł, krzyż zalśnił w świetle wpadającym przez okno.

Poczekać? — powtórzył, wręczając go papieżowi.

Przedkładane mi są niepokojące doniesienia od francuskiego duchowieństwa, dotyczące nowych danin nałożonych na kler przez króla Filipa. Król i jego poborcy imają się coraz bezwzględniejszych metod. Księża, którzy sprzeciwili się bezczelnym żądaniom, zostali ograbieni, niektórzy pobici. Otrzegałem Filipa, by nie robił

sobie wroga z Kościoła, gdy uczynił to samo w zeszłym roku. Najwyraźniej nie wziął sobie tego do serca. Tym razem mu nie popuszczę.

Co uczynisz, panie?

Już uczyniłem. Wydałem bullę „Clericis laicos", w której zakazałem świeckim nakładania danin na osoby duchowne bez zgody papieża. Każdy kto ów zakaz złamie, zostanie obłożony ekskomuniką.

Bertrand nie zdołał ukryć zdumienia.

Ależ, Ojcze Święty, królowie Francji i innych krajów zawsze czerpali ze szkatuł Kościoła, zwłaszcza ilekroć wojna nadwerężyła ich środki.

A teraz będą musieli prosić mnie o pomoc. Wówczas to ja osądzę, czy na pomoc tę zasłużyli czy też nie.

Kardynałowie o tym wiedzą? — Bertrand zastanawiał się, jak rywale w kolegium przyjęli tę nowinę.

Colonnowie, jak wiedział, popierali Francję, toteż wątpił, by pokornie przyjęli prowokacyjną bullę, skoro już rozpętali skandal wokół śmierci Celestyna.

Większość wie R O B

— rzYe N

kł Y O

sucU N G

ho Bonifacy. — Reszta dowie się za godzinę. Przemówię do nich na konsystorzu.

— Przyjrzał się chłodno zmartwionej minie Bertranda. — Nie bój się, księże biskupie. Nagnę ich do swojej woli. Jestem następcą świętego Piotra i podlegam jedynie Bogu. Filip wkrótce się o tym przekona. — Ująwszy papieski krzyż w obie ręce, Bonifacy przyjrzał się z aprobatą swemu odbiciu w zwierciadle i dodał: Podobnie jak wszyscy ci, którzy zechcą mi się sprzeciwić.

Zamek królewski w Edynburgu Piętnasty dzień maja roku Pańskiego 1296

Will ocknął się ze snu i zobaczył schylonego nad sobą siostrzeńca.

Co jest? — ziewnął, odpędzając go ręką. Przez dwa dni pełnił straż na murach i niewiele przed brzaskiem zwalił

się na pryczę, nie zadając sobie nawet trudu, by ściągnąć buty. Usiadł, przecierając twarz.

Dawid przykucnął obok.

Ojciec wrócił — rzekł półgłosem.

Widząc jego minę, Will otrząsnął się z resztek snu. Odrzucił szorstki pled i dźwignął się na nogi. Kiedy wkładał

kolczugę i płaszcz, Dawid schylił się i bez słowa podał mu pas z pochwą. Will zapiął go mocno i wyszedł za siostrzeńcem na dziedziniec.

Prawie już świtało; rozgwieżdżone niebo przybierało na wschodzie turkusowy odcień. Podnóże zamkowego wzgórza zasnute było mgłą. Można było odnieść wrażenie, że zamek jest nawą płynącą

po widmowym morzu.

Panował chłód; w powietrzu unosił się gryzący dym z pochodni. Na dziedzińcu zebrało się spore zbiegowisko, a przy stajniach tłoczyło się około trzydziestu koni. Giermkowie zdejmowali z nich siodła i nosili wodę do poideł.

Nieco dalej leżało kilkoro noszy, na trojgu wciąż byli ranni. Jeden z nich miał odciętą nogę. Rana nie wyglądała na świeżą, plamy krwi na ciasno ściągniętym opatrunku zdążyły już poczernieć. Nawet w ciepłym świetle pochodni pokryta lśniącą warstewką potu twarz okaleczonego miała chorobliwe zielonkawe zabarwienie. Will rozpoznał oznaki zakażenia i domyślił się, że tamten niedługo skona. Zauważył Duncana, który stał obok szeryfa Edynburga. Przepchnął się bliżej, doleciały go strzępki rozmowy:

Zdobyty?

Poszliśmy w rozsypkę. Trudno obliczyć straty.

...większość poległa...

Duncan też był ranny, twarz rozcinała mu paskudna szrama. Cięcie zostało niezgrabnie zszyte nicią, pomiędzy ściegami widać było zaschnięte kropelki krwi. Wyglądało to tak, jakby po policzku pełzła mu wielka włochata gąsienica. Zbroję i płaszcz też miał splamione krwią, śmierdział jej odorem. Kiedy się odwrócił, Will zobaczył

wyraz oczu szwagra. Wynędzniały, przybity Duncan nie był już tym samym butnym mężem, którego przed dwoma miesiącami widział na zamku w towarzystwie Patryka Grahama i innych szkockich feudałów. Dawid podszedł cicho i stanął obok, nie odrywając wzroku od okaleczonej twarzy ojca.

Duncan zerknął na Willa i odezwał się do syna:

Obudziłeś matkę?

Dawid pokręcił głową.

Mądry chłopak. — Duncan spojrzał w dół na swe odzienie. — Chcę się trochę ogarnąć, zanim mnie zobaczy.

— Wysilił się na uśmiech, który przypominał grymas.

Co się stało? — Will musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć narastający gwar. Obudzeni hałasem ludzie zewsząd zbiegali się na dziedziniec. Rannych dźwigano i znoszono do infirmerii.

Duncan się zawahał, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

Byliśmy pod Dunbarem — rzekł w końcu — niecałe trzy niedziele temu. Nie udało nam się zdobyć Carlisle.

Bruce'owie dali nam odpór, ruszyliśmy więc dalej w głąb północnej Anglii. — Duncan zniżył głos, rozglądając się nieznacznie. — Nasi ludzie palili wioski i klasztory, plądrowali majątki, niszczyli stada i zasiewy. Tracili siły i czas na błahostki, podczas gdy Edward ze swoją armią siedział w Berwicku niczym ścierwojad przycupnięty nad trupem.

Znów przez chwilę milczał, nim zdołał mówić dalej. Will to rozumiał. Edynburg dowiedział się o zdobyciu Berwicku przed miesiącem, a i tak mało kto zdążył się z tym oswoić.

Opuściliśmy Nortumbrię objuczeni łupami i zatoczyliśmy łuk w stronę Dunbaru. Tamtejszy hrabia wziął stronę Edwarda. — Duncan zacisnął szczęki. — Ci dranie nazywają się Szkotami, ale mają w żyłach krew rzadszą od wody. Za to żona hrabiego jest niewiastą silnego ducha. Otwarła przed nami bramy, ale jej odstępstwo i wieść, że się zbliżamy, pobudziły Anglików do działania. Przybyli pod wodzą hrabiego Surrey, Jana de Warenne.

Otoczyli zamek, uniemożliwiając tym, którzy byli w środku, połączenie się z nami, a następnie stawili nam czoło. Staliśmy na wzgórzu, oni niżej. Mieliśmy przewagę. — Duncan potrząsnął głową i spojrzał na jaśniejące niebo. — Byliśmy rozwścieczeni losem, jaki spotkał

Berwick, żądni angielskiej krwi, pomszczenia wymordowanych. Anglicy schodzili w dót stromej doliny. Jej dnem musiał płynąć potok, którego nie widzieliśmy. Tamci zaczęli się rozdzielać, zapewne po to, żeby go przebro- dzić, ale przysięgam Bogu, wyglądało to tak, jak gdyby szli w rozsypkę, gotowi oddać pole. Widząc to, pognaliśmy w dół ze wzgórza, jakby wszystkie zastępy niebieskie nas wspomagały, a sam Jezus Chrystus zagrzewał do boju. Ale u podnóża ujrzeliśmy uszykowane siły wroga, gotowe do odparcia ataku. Było już za późno, by powstrzymać szarżę. Uderzyliśmy w nich jak woda uderza o klif. Wielu naszych poległo już w tych pierwszych chwilach, a gdy Anglicy ruszyli do przeciwnatarcia, rżnęli nas setkami. — Ręka Duncana

machinalnie uniosła się do rany. — Potem nastąpiło kompletne zamieszanie i musieliśmy uciekać albo ginąć na miejscu. — Głos mu zadrżał. — Mój pan nie chciał opuścić pola. Stracił konia, lecz walczył z trzema Anglikami na raz, rycząc jak lew. Widziałem jeszcze, jak padł pod ciosami ich mieczy.

Will spotkał Patryka Grahama tylko jeden raz, mimo to poczuł ostry żal na wieść o jego śmierci.

Większość tych, którym udało się uciec, skierowała się do lasu Selkirk. Spędziłem tam kilka dni z niedobitkami mej chorągwi; leczyliśmy rannych i grzebali zmarłych. Doszły nas wieści, że wielu możnych, w tym trzech hrabiów, trafiło po bitwie do niewoli.

A syn Patryka? — zapytał nagle Dawid.

Sir Dawid Graham także został ujęty. Rozesłano ich do lochów po całej Anglii. Jeśli nie uda się ich wykupić, pewnie tam sczezną. — Duncan uścisnął ramię syna. — Współczuję ci, bo wiem, że byliście przyjaciółmi.

Szeryf powiada, że nie było żadnych wieści od króla Jana — dodał, zwracając się do Willa.

Podobno jest pod Stirlingiem albo jeszcze dalej na północ.

Zamilkli. Wokół odgłosy niedowierzania i rozpaczy także cichły, przeradzając się w posępną ciszę. Do wszystkich zaczynał docierać sens wieści, jakie przyniósł ze sobą zdziesiątkowany oddział.

Po masakrze w Berwicku atmosfera w Szkocji uległa zmianie. Wszyscy to czuli. Wcześniejsza pewność łatwego zwycięstwa ustąpiła miejsca ponurej determinacji. Wycięcie w pień sporego miasta wywarło potężny wpływ na nastroje Szkotów. Ludzie, którzy poprzednio kpili z króla Jana i jego słabości wobec żądań Edwarda, teraz skupiali się pod jego sztandarem. Całą Szkocję obiegło wezwanie do boju. Nadało mu mocy wstrząsające świadectwo tych nielicznych, którym udało się ujść z Berwicku z życiem. Początkowe szemranie zmieniło się w ryk wściekłości.

Ale dziś, tu, na pogrążonym w ciszy zamkowym dziedzińcu, pod niebem krwawiącym pierwszymi smugami świtu, czuli tylko przygniatające brzemię klęski. Jak mają toczyć wojnę bez przywódcy? To pytanie widniało na twarzy każdego mężczyzny.

Ciszę przerwał łoskot otwieranych drzwi. Na dziedziniec wybiegła Isenda, otulając się pośpiesznie szalem.

Głowę miała gołą, rozplecione włosy zwisały jej na plecach, w oczach odmalowała się ulga, choć przeraził ją widok rany męża.

Dobry Boże, Duncan!

Nic mi nie jest, kobieto — rzekł szorstko, tuląc ją do siebie. — Nic mi nie jest.

Objęła delikatnie jego zakrwawioną twarz i pocałowała go w usta. Will odwrócił wzrok, zakłopotany tym, że ich uczucie, które powinno go cieszyć, wywołało w nim gorycz.

Duncan zerknął na niego ponad ramieniem żony.

Chodzą słuchy, że Roxburgh został zdobyty — rzekł. — Teraz przyjdą po nas.

Zamek w Edynburgu Siódmy dzień lipca

Rozległ się stłumiony łoskot i ze stropu posypał się kurz. W ciemności ktoś kichnął. Cienki płacz niemowlęcia odbijał się doprowadzającym do obłędu echem w lochu wykutym w skale, na której stał zamkowy donżon.

Ludzie podnosili głos z szeptu do pomruku, żeby się wzajem słyszeć. Kolejny łoskot wprawił skałę w drżenie.

Will wziął bukłak podany mu przez Isendę, wypłukał usta i splunął, a potem łapczywie pociągnął kilka łyków.

Jak tam jest na górze? — szepnęła, kiedy oddał jej bukłak.

Trzymamy się. — Will obrzucił spojrzeniem kobiety i dzieci stłoczone w podziemiu. Tu i ówdzie migotało trwożnie parę świec, ale poza tym w mroku widać było tylko zarysy postaci i błyski paru setek oczu. Panowała potworna duchota, już po paru chwilach Will miał wrażenie, że został zamurowany żywcem. Zastanawiał się, jak one to znoszą, od siedmiu dni i nocy ściśnięte pomiędzy worami ziarna i beczkami piwa, tak że mało kto mógł się położyć, nieustannie wdychając stęchły odór zużytego powietrza. Rozległ się kolejny huk. Przez twarz jego młodszej siostrzenicy Alicji przebiegł skurcz. Pochylił się i wziął ją pod brodę.

Zamek stoi na skale. Ona nie runie.

Alicja uśmiechnęła się blado w odpowiedzi i oparła głowę na ramieniu matki. Starsza Małgorzata objęła ją troskliwie, patrząc chłodno na Willa.

Opatrzę ci to. — Isenda wskazała jego dłoń.

Zerknął w dół. Skóra na kostkach była zdarta, postrzępiona na brzegach, z rany wolno sączyła się krew. Nie pamiętał nawet, kiedy to sobie zrobił.

Przyschnie — machnął ręką. — Muszę iść.

Błagam, pilnujcie Dawida. — W blasku świeczki twarz Isendy miała barwę popiołu.

Nie martw się. — Will spróbował się uśmiechnąć. — Owszem, pchał się na górę, ale Duncan dopilnował, żeby dostał zajęcie na dziedzińcu.

Wstał, ale siostra złapała go za przegub.

Na siebie też uważaj.

Pokiwał głową i uścisnął jej dłoń. Bacząc, żeby nie następować na ludzkie nogi, dotarł do schodów. Na dziedzińcu powietrze, chociaż gęste od kurzu, było jednak o wiele świeższe. Po pełnej napięcia ciszy panującej w lochu bitewny hałas na chwilę go oszołomił.

Zamek był pełen ludzi. Prócz załogi musiał pomieścić uciekinierów, którzy zbiegli się z miasta do warowni.

Zbrojni właśnie wybiegali z wielkiej sali, dopinając pancerze. Pośród nich przemykali gońcy przenoszący rozkazy między dowódcami a ludźmi na murach. Pod okapem rezydencji konetabla leżeli na siennikach ranni.

Krzątało się między nimi dwóch medyków z twarzami szarymi ze zmęczenia. Co chwilę któryś wołał do pomagających kobiet o wodę, płótna albo księdza. Przed kaplicą Świętej Małgorzaty spoczywały rzędy zwłok.

Niektóre były spowite w całuny, inne odsłonięte; krwawe wloty po strzałach wabiły roje much. Najbardziej okaleczone ciała, zmiażdżone tak, że już nie przypominały szczątków ludzkich, wniesiono do kaplicy, z dala od ludzkich oczu.

Will wziął głęboki wdech i zaczął się przepychać ku murom, wstrząsanym coraz to nowymi uderzeniami. Tutaj zdawały się głośniejsze, nieraz towarzyszył im rumor sypiących się kamieni i krzyki ludzkie. Ziemia w pobliżu murów zasłana była gruzem. Pod nogami żołnierzy uwijali się chłopcy, zbierając strzały i zanosząc je łucznikom. Tu i ówdzie leżały świeże zwłoki, którymi nikt nie zdążył się jeszcze zająć.

Uskoczywszy w prawo przed sporym głazem, który spadł na dziedziniec w deszczu odłamków, Will popędził

do schodów wiodących na górę. W drewnianej platformie biegnącej wzdłuż muru ziały wyrwy po nieprzyjacielskich pociskach. Z korony dobiegało skrzypienie napinanych mango- neli i stukot belek, o które uderzało ramię po wyrzuceniu ładunku. Kilku ludzi obsługujących machinę obejrzało się na niego. Na początku oblężenia każda twarz miała własne rysy, teraz, pokryte pyłem, były nie do odróżnienia.

Will podskoczył, żeby pomóc dźwignąć głaz ze zmniejszającej się sterty i załadować go do łyżki wydrążonej w obrotowym ramieniu. Kamień był tylko z grubsza obciosany i miał inny kolor niż te, których używali na początku tygodnia. Domyślił się, że nadleciał ze strony oblegających. Teraz im go odeślą. Mężczyźni chwycili liny przywiązane do krótszego końca belki. Starszy uniósł rękę i machnął nią w dół.

Teraz!

Równocześne pociągnęli liny. Ramię wyskoczyło w górę i zderzywszy się z poprzecznicą, wyrzuciło umieszczony w zagłębieniu pocisk, który zniknął za murem. Will podbiegł do blanków i wyjrzał przez strzelnicę, śledząc jego lot. Znów poczuł smak porażki: kamień uderzył w ziemię, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Przeniósł wzrok na sześć trebuszy ustawionych na równinie. Co chwilę wypuszczały pocisk, który walił w mury albo przelatywał nad nimi. Anglicy przywieźli je ze sobą, każdy ciągnęło dwadzieścia wołów.

Trebusze wyrzucały pociski za pomocą skórzanej procy, dzięki czemu łatwiej było nimi celować. Tydzień temu załoga zamku śmiała się na ich widok, pewna, że kamienie będą się rozbijały o dolną część murów. Stracili tę pewność, gdy Anglicy zaczęli wznosić wysokie platformy dla każdej wyrzutni, zwożąc wozami obrobione drewno ze statków, które widać było w ujściu rzeki Forth. Wokół machin stanęły drewniane osłony chroniące trebusze i ich obsługę. Okryto je skórami moczonymi w occie, przez co łucznicy nie byli w stanie ich podpalić.

W przerwie między rozkołysanymi procami widać było świadectwo jedynego zwycięstwa Szkotów: strzaskaną wieżę i szczątki machiny trafionej kolejno trzema ciężkimi kamieniami. Zniszczyli ją drugiego dnia oblężenia.

Później nie mieli już powodów do radości.

Za pierścieniem wojsk widać było setki rozbitych namiotów. Przed największym z nich, w biało-niebieskie pasy, powiewał czerwony proporzec. Wyszyte na nim godło zlewało się z tłem, ale Will wiedział, że zdobią go trzy złote lwy. Namiot stał daleko poza zasięgiem machin, a jednak Will od tygodnia próbował w niego trafić, łudząc się jak dziecko, że samą siłą woli zdoła rozpędzić pocisk. Jeden szczęśliwy strzał, jeden cud boski i wojna dobiegnie końca.

Odrywając wzrok od chybionego pocisku, zawrócił, by pomóc ponownie naciągnąć machinę. Z dołu nadleciał

kamień, uderzył w platformę parę

kroków dalej, zabijając ukrytego za blankami łucznika i strącając go wraz z lawiną gruzu. Will zacisnął zęby.

Belka mangoneli wystrzeliła w górę i kolejny kamień poszybował w przestrzeń. Kilka chwil później podniósł

się krzyk. Obejściem biegli dwaj ludzie w barwach szeryfa.

Przerwać ostrzał! — wołali. — Stać!

Żołnierze przystanęli, dwóch zrzuciło z powrotem na stertę dźwigany kamień.

Co się dzieje?

Jeden z ludzi szeryfa pobiegł dalej do załóg pozostałych machin, drugi zatrzymał sięR E Q U I E

obok ni M

ch.

Poddajemy się — wydyszał.

Co?! — Will przyskoczył do niego. — Nie możemy!

To już postanowione. Szeryf pojechał układać się o warunki.

Ludzie odstępowali od machin, rozglądali się pytająco. Skądś dobiegł

dźwięk trąbki. Łucznicy opuszczali łuki, wyzierali przez strzelnice.

Kiedy goniec pobiegł dalej, Will podszedł do korony muru. Zobaczył konny orszak jadący z angielskiego obozu w stronę zamku. Nad głowami jeźdźców łopotał królewski sztandar. Dostrzegł postać w środku kawalkady, nie w hełmie na głowie, lecz w złotej koronie.

Okręcił się i rzucił w stronę sterty pocisków.

Pomóżcie! — zawołał do pozostałych, którzy patrzyli zdumieni, jak sam chwyta kamień. Napiął mięśnie, żyły wystąpiły mu na szyi, zacisnął zęby i jęcząc z wysiłku, zataszczył kamień do machiny i upuścił go z krzykiem ulgi w zagłębienie łyżki. Roztrącając ludzi, złapał jedną ze zwisających luźno lin.

Dowódca machin podbiegł do niego, wołając:

Rozkazano przerwać ostrzał!

Will go odepchnął, szarpnął linę. Poczuł, że czyjaś dłoń łapie go za ramię i obraca w miejscu, a zaraz potem otrzymał mocny cios pięścią w twarz. Zatoczył się, zahaczył stopą o podstawę mangoneli i runął na ziemię.

Dowódca schylił się nad nim.

Jeśli wydaję rozkaz, masz go wykonać!

Will dźwignął się na nogi, otarł krew z twarzy i ruszył na niego w furii. Tym razem powstrzymał go Duncan.

Co ty u diabła wyprawiasz? — warknął, popychając go na mur.

Ja się nim zajmę, panie — dodał, oglądając się na komendanta.

Nie możemy się poddać — wychrypiał Will. — Nie jemu...

Szeryf i konetabl są zgodni. Straciliśmy już ponad stu ludzi.

Jeśli się poddamy, on zwycięży!

Ale zachowamy życie, a być może także ziemie. Wolisz, żeby urządził tu drugi Berwick?

Ojcze... — Na platformę wyjrzał Dawid.

Duncan zerknął przez ramię.

Odsuń się — mruknął.

Will się zawahał, słysząc troskę w głosie szwagra. Z wysiłkiem skupił wzrok na siostrzeńcu, który krwawił z rany na czole. Twarz mu się skurczyła. Spojrzał znów na Duncana.

Nie pozwolę mu zwyciężyć — szepnął. — Nie mogę!

Nie masz wyboru. — Duncan zdjął ręce z jego piersi. — W każdym razie nie dzisiaj.

Odszedł, a Will osunął się bez sił na kupę gruzu.

Pod murami Edynburga Osmy dzień czerwca

Edward spojrzał w taflę wody, z której patrzyło na niego jego odbicie. Zaprawdę był już mężem w zimie żywota. Śnieżnobiałe włosy okalały chudą, zapadniętą twarz. Czoło pokrywały zmarszczki rysujące się też gęsto wokół oczu. Mógł naliczyć jedną za każdy rok od śmierci ukochanej Eleonory. Przeżył ją i większość dzieci. Nie masz wiele czasu, powiedział mu cichy głos. Na to, by umocnić swoją władzę, podporządkować sobie opornych, pozostawić synowi silne królestwo...

I zostać zapamiętanym.

Odbicie rozmyło się, gdy trzymający misę paź zmienił pozycję.

Trzymajże porządnie — warknął poirytowany Edward i umoczył w wodzie biały lniany ręcznik. Otarł nim twarz. Było nieznośnie parno, a namiot zdawał się gromadzić upał z minionych kilku dni. Kazał palić kadzidło, by zagłuszyć odór potu i smaru, którym natłuszczano zbroje, ale

tak śmierdziało. Król podniósł wzrok na Jana de Warenne, który rozsiadł się wygodnie i zachłannie wgryzł w kurzą nogę. Pod pachami miał ciemne plamy potu. Edward poczuł ochotę, żeby kazać paziowi wylać zawartość

misy na hrabiego, który niewątpliwie był głównym źródłem unoszącej się tu woni.

Poły namiotu się rozchyliły i wszedł przysadzisty mężczyzna w czarnych szatach — Hugo Cressingham, zwierzchnik kancelarii królewskiej.

Panie — rzekł wysokim, przenikliwym głowem — ostatni już wychodzą.

Edward wrzucił płótno do misy i wyszedł przed namiot, odsuwając pazia. W dali, poza platformami oblężniczymi, które już rozbierano, widać było długi rząd ludzi schodzących stromą drogą od bramy zamkowej.

Ocieniwszy dłonią oczy przed słońcem, mógł wyróżnić jaskrawe tuniki swoich gwardzistów spośród burych sukien Szkotów. Spojrzał wyżej, ku murom zamku, zza których unosiły się kłęby dymu.

Biskup Bek dopilnował, by zamek dokładnie przeszukano. Nie zostanie w nim żywa dusza — poinformował go Cressingham.

Jan de Warenne także wyszedł z namiotu i stanął obok nich. Rzuciwszy ogryzioną kość psu, wytarł tłuste palce o szatę.

Z naszego biskupa robi się królewiątko — oznajmił i beknął głośno.

Cressingham, zawsze bardzo dbały o schludny wygląd, obrzucił go spojrzeniem pełnym niesmaku i wydął usta, R O B Y N Y O U N G

przez co w pulchnym podbródku zarysował się dołek. Nieświadom jego dezaprobaty Warenne machnął

gwałtownie ręką, odganiając muchę.

Bóg z nim — mruknął — dopóki ich goni. Im szybciej opuścimy tę kupę gnoju, tym lepiej. Do diabła z tymi muchami! Dlaczego mnie wciąż prześladują?

Cressingham miał taką minę, jakby chciał odpowiedzieć, ale zerknął na króla i zrezygnował.

Wypuścisz jeńców, panie? — spytał.

Edward splótł ręce za plecami, przyglądając się mężczyznom, kobietom i dzieciom schodzącym ze wzgórza.

Oczywiście. A kto ma orać pola, mleć ziarno i strzyc wełnę, która zasili nasz skarbiec? Nie możemy pozbyć się siły roboczej.

Co prawda, to prawda — przyznał hrabia.

Teraz na Stirling — rzekł król, nie odrywając oczu od pokonanych.

To ostatnia przeszkoda.

Ostatnia? — powtórzył Cressingham.

Stirling to klucz do Północy — wyjaśnił mu Jan de Warenne.

Zamek strzeże brodu na Forth. — Gdy zdobędziemy Stirling, Szkocja będzie nasza — uśmiechnął się z zadowoleniem.

Chcę ich widzieć na kolanach przed świętym Michałem. — Edward odwrócił się do nich. — Kiedy będą pokonani, objadę miasta i miasteczka, żeby każdy zobaczył swego nowego pana i oddał mi cześć. Robotnicy z Nortumbrii wkrótce skończą odbudowę umocnień Berwicku. Tamtejsza twierdza posłuży nam za główną kwaterę na północy. Chcę, żebyście objęli tu najwyższe urzędy.

Uśmiech hrabiego spełzł; Cressingham przeciwnie, rozpromienił się jak nagrodzony żaczek.

Omówimy to dokładniej, gdy... — Edward urwał, widząc dwóch gwardzistów prowadzących człowieka ze skórzaną sakwą przerzuconą przez ramię. — Co to za jeden?

Posłaniec, panie — odparł jeden z gwardzistów. — Mówi, że przybywa z obozu Balliola.

Król przyjrzał się mężczyźnie, który patrzył nań posępnie.

Jaką wieść przynosisz?

Gwardzista podał mu zwój pergaminu. Na skinienie Edwarda Cressingham wziął od niego pismo i przebiegł

oczyma tekst. R O B Y N Y O U N G

No co tam? — spytał niecierpliwie król.

Balliol pisze, że zerwie traktat z królem Francji. — Cressingham uniósł głowę znad listu. — Zgadza się na bezwarunkową kapitulację.

Kącik ust Edwarda wygiął się w uśmiechu. Zerknął na hrabiego.

Mówiłem: na świętego Michała? Być może nie będziemy musieli czekać aż tak długo. — Zwrócił się do Cressinghama. — Napisz zaraz odpowiedź. Powiedz, że przyjmujemy kapitulację. Kiedy już odbiorę bun-townikowi koronę, zmuszę wszystkich szkockich lordów, żeby złożyli mi hołd.

A potem, najjaśniejszy panie?

Potem wrócę do Anglii. — Edward zmarszczył brwi, jakby odpowiedź była oczywista. Spojrzał na ponurego posłańca i dopiero teraz uśmiechnął się od ucha do ucha. Zachichotał. — Zaiste, pozbywszy się gówna, człek zaraz czuje się lżejszy.

Midlothian, Szkocja Piąty dzień lipca roku Pańskiego 1297

Las był cienisty i chłodny, gęsty baldachim listowia skutecznie chronił przed żarem stojącego w zenicie słońca.

W powietrzu sennie brzęczały owady odurzone słodkimi zapachami lata. Na polanie pasł się jeleń. Gdy pochylił

zwieńczoną gładkim porożem głowę, Will podjechał odrobinę bliżej. Gończy, przywiązany do łęku siodła długą smyczą, wydał ledwie słyszalny, zdławiony skowyt. Will szturchnął go lekko końcem pejcza, żeby siedział

cicho, i zerknął znów na jelenia. Zwierzę podniosło łeb, zastygło czujnie, węsząc. Czarne oko przez chwilę patrzyło wprost na Willa, który ustawił się pod wiatr, za kępą pokrzyw. Siedział nieruchomo w siodle, pozwalając koniowi skubać trawę. W zielonej tunice stapiał się z tłem lasu, twarz miał osłoniętą liśćmi zwisającymi z nasadzonego na głowę wieńca. Lekki wiatr przebiegł przez poszycie, liście zaszeleściły. Jeleń znów zaczął się paść, ale był już czujny, mięśnie miał napięte, widać jednak go zwęszył. Will lekkim ruchem kolana podsunął konia bliżej. Jeleń zaczął się wolno przesuwać z wiatrem w kierunku, który Will sobie zamierzył. Był zaniepokojony, choć nie widział myśliwego, a tylko innego, najwyraźniej obojętnego czworonoga. Will skupił całą uwagę na rogaczu. Pole widzenia ograniczała mu liściasta maska, nie zauważył

więc zwisającej gałęzi do chwili, gdy przejechała mu po twarzy. Zaskoczony szarpnął głową, zrzucając wieniec.

Jeleń poderwał łeb i w okamgnieniu zniknął między drzewami.

Will zaklął i uderzył piętami konia.

Idzie na ciebie ! — krzyknął i w ostatniej chwili szarpnął wodze, by nie wyrżnąć kolanem o pień. Koń cwałował

przez las, a podniecony gończy mknął za nim na smyczy.

Przyczajony w pewnej odległości Dawid, słysząc krzyk, zerknął w lewo. Rogacz gnał prosto na jego kryjówkę.

Chłopak zacisnął zęby i napiął długi

cisowy iuk. Łęczysko wygięło się z cichym skrzypieniem, strzała legła na cięciwie, gotowa do lotu. Nagle jeleń zboczył i rzucił się w prawo. Dawid zaczerpnął tchu i obrócił się, już celując. Zmrużył oczy, utkwiwszy je w punkcie tuż przed zwierzem, a potem zwolnił cięciwę. Ząbkowany grot rozdarł bok ofiary i przebił klatkę piersiową. Jeleń ryknął krótko, zachwiał się, runął na bok, łamiąc zeschłe gałązki. Dawid rzucił się ku niemu, wolną ręką wyciągając sztylet, by go dobić, ale jeleń już konał, tylne nogi wierzgnęły i znieruchomiały.

Czysty strzał — skwitował chłopak, podnosząc się i chowając nóż, kiedy wuj zatrzymał się obok niego. Will zeskoczył z siodła i z podziwem pokręcił głową.

Szedł pod takim kątem, że nie powinieneś był go nawet trafić.

Dawid wzruszył ramionami, ale pokraśniał z dumy.

Zawaliłem — przyznał Will, kiedy razem zarzucili ubite zwierzę na koński grzbiet i związali mu nogi. —

Obawiam się, że wciąż bardziej przeszkadzam, niż pomagam.

Dawid sięgnął do sakwy zwisającej u pasa, wydobył z niej kawałek miękkiego sera i dał go psu,

tarmosząc mu pieszczotliwie długie uszy.

Z czasem się nauczysz.

Z czasem? Uczysz mnie od roku! — zaśmiał się Will.

Chłopak wyszczerzył zęby.

Bo za wolno się ruszasz, jak to starzy ludzie! — zawołał i uskoczył, nim Will zdążył go zdzielić po głowie.

Ten kościany dziadek jeszcze by cię pokonał w szrankach.

Śmiech Dawida ucichł. Will sklął się w duchu, kiedy chłopak odwrócił

się i ujmując smycz, mruknął:

Powinniśmy wracać.

Will ruszył za nim, prowadząc konia dźwigającego zdobycz; martwy łeb rogacza kołysał się bezwładnie. Kiedy uszli nieco, zapytał siostrzeńca:

Mówiłem ci, że długo czekałem na pasowanie?

Co takiego? — Dawid obejrzał się przez ramię.

Czekałem na pasowanie znacznie dłużej od ciebie.

Dlaczego? — Dawid przystanął.

Za karę. Upiłem się winem mszalnym. — Will uśmiechnął się na wspomnienie. Zasnął wtedy w kaplicy i Ewerard obudził R gOo B Y N

kopnYi O

a U

kieNmG.

Dawid nie oddał uśmiechu. Potrząsnął głową, jasna grzywa spadła mu na oczy.

To nie to samo. Ja niczym nie przewiniłem — burknął i ruszył dalej, szarpnięciem przywołując do nogi psa, który już wybierał się w pościg za królikiem.

Doczekasz się, kiedy sytuacja się zmieni.

To znaczy kiedy? — spytał gorzko Dawid. — Co się ma zmienić?

jak?

Na to Will nie znał odpowiedzi. Zapadło niezręczne milczenie. Słychać było tylko chrzęst gałązek poszycia i świergot ptaków.

Kiedy wyszli z lasu w rozleniwiający lipcowy upał, Will po raz kolejny poczuł się zaskoczony, że zewsząd emanuje taki spokój. Wzgórza skąpane w złotym świetle, wysoka, kołysząca się w lekkim wietrze trawa, kwiaty znaczące im odzież smugami pyłku — wszystko to pozostawało w tak jaskrawej sprzeczności z wydarzeniami minionego roku, że wydawało się niemal grzeszne. Ziemia wciąż kwitła, jakby nic się nie stało. Dni nadal płynęły, pory roku następowały po sobie, a zmiany zaszły tylko w ludzkich sercach. Część żyła jak dotąd, może trochę biedniej. Innym jednak było

wiele ciężej, wszyscy zaś mieli poczucie, że sprawy zatrzymały się w swym biegu, jakby na coś czekały, niezdolne ruszyć naprzód, choć minął już rok, odkąd Edynburg poddał się wojskom Edwarda. Rok, odkąd Szkocja stała się angielskim lennem.

W czasie gdy Will wraz z rodziną siostry wrócił do Midlothian, armia Edwarda pociągnęła pod Stirling. Później nadeszła wieść, że zastali zamek opuszczony przez wszystkich prócz odźwiernego, który wręczy! klucze triumfującemu Edwardowi. Zdobywszy w ten sposób bród na Forth

złamawszy resztki szkockiego oporu, król udał się dalej na północ, aż do Elginu, zatrzymując się w każdym mieście i zamku i wzywając znaczniejszych właścicieli ziemskich, by oddali mu hołd. Podobno przyjął Balliola w Montrose, gdzie szkocki król złożył formalną kapitulację i został pozbawiony insygniów monarszych.

Człowiek, którego Edward wybrał na swoją marionetkę, który się zbuntował i zerwał smycz, pokonany i upokorzony, został przewieziony do londyńskiej Wieży. Wraz z nim odesłano królewską pieczęć Szkocji, przełamaną na czworo, oraz — co ostatecznie zdruzgotało Szkotów — Kamień Przeznaczenia, przeniesiony z opactwa Scone do Westminsteru. Ten prastary kamień, koronacyjne siedzisko władców Szkocji od ponad czterystu lat, był czymś więcej niż pamiątką; był symbolem narodu, a jego zagarnięciem Edward ostatecznie przypieczętował podbój. Jeszcze przed zimą Berwick otoczyły nowe mury, a miasto, odbudowane na ziemi nasiąkniętej krwią jego dawnych mieszkańców, stało się ośrodkiem angielskich rządów. Pozostawiwszy Jana de Warenne jako namiestnika królestwa oraz Hugona Cressinghama jako skarbnika, a także mrowie angielskich urzędników i szeryfów, Edward wrócił do Anglii.

Niewątpliwym aktem miłosierdzia było uwolnienie w jakiś czas potem szkockich wielmożów uwięzionych po klęsce pod Dunbarem. Był wśród nich także Dawid Graham, syn i dziedzic Patryka. Ludzie ci wraz z półtora tysiącem swoich ziomków zostali zmuszeni do złożenia przysięgi lennej królowi Anglii i teraz dzierżyli swoje ziemie z jego nadania. Drobniejsze rycerstwo, do którego należał Duncan, zostawiono w spokoju. On sam większość czasu spędzał w Kincardine z sir Dawidem. Isenda i dzieci siedziały w Midlothian, dostatecznie oddalonym od głównych ośrodków, by rzadko się tam zapędzali wysłannicy znienawidzonego Cressinghama.

Pocąc się na stromym podejściu do dworu, Will przystanął, uniósł głowę. Zauważył smużkę dymu unoszącą się w zamglone niebo.

Wygląda na to, że obiad już czeka — powiedział, czując, że mu burczy w brzuchu na myśl o jedzeniu.

Idź — bąknął Dawid. — Zajmę się wszystkim.

Czując, że siostrzeniec, który wracał z lasu milczący, chce być sam, Will usłuchał. Chłopak odprowadził konia wraz z ubitą zwierzyną. Pies, szczekając radośnie, pobiegł za nim, płosząc dwie samotne kozy. Resztę stracili w zimie i jak dotąd nie zdołali uzupełnić stadka. Spichrze były puste; znaczna część zasiewów została zniszczona, resztę zbierali z pól starcy, niewiasty i dzieci, mężczyźni bowiem poszli na wojnę.

Will ruszył do kuchni, obchodząc budynek dookoła przez matczyny warzywnik.

Isenda siekała szałwię. Podniosła głowę, gdy wszedł.

Upolowaliście coś?

Twój syn zastrzelił jelenia.

To dobrze — uśmiechnęła się. — Będzie co jeść przez dłuższy czas.

Will zdjął zabłocone buty, przyciągnął sobie stołek i usiadł przy stole,

ocierając pot z czoła. Czuł, że cały się lepi.

Duncan jeszcze nie wrócił?

Potrząsnęła głową, zeskrobując zioła z deski do kociołka, w którym bulgotał rosół. W upale jej jasne jak rzeczny piasek włosy zwijały się na skroniach w drobne pierścionki.

Zapach ziół przywołał Willowi na myśl matkę i przez chwilę, gdy zamknąwszy oczy, słyszał zgrzyt noża na desce, rozkoszował się tym wspomnieniem. Wszyscy poza nim mieli obowiązki, które zajmowały im czas, nie pozwalały myśleć o przeszłości... czy przyszłości. Tylko on imał się to tego, to owego, pomagając im po kolei, bo w istocie nie R

mOiaBł Y

t N Y

u wł O

a U N

sne G

go

miejsca. Czuł się zawieszony, zamrożony — jak cata Szkocja. Czekał na zmianę. Na to, aż wreszcie

puszczą lody.

Obiad już gotowy? — rozległ się dźwięczny głos i do kuchni wpadła Alicja.

Uśmiech zamarł Willowi na wargach. Utkwił wzrok w małym srebrnym medalionie, który miała na szyi. Zerwał

się, słysząc jakby z oddali łoskot przewracanego stołka. Alicja stanęła jak wryta na widok jego stężałej twarzy.

Will przyskoczył do dziewczynki.

Skąd to masz?

R E Q U I E M

Co? — Alicja wytrzeszczyła oczy.

To. — Will pochwycił medalion. — Grzebałaś w moich rzeczach?

Will, co ty wyprawiasz? — Isenda z trzaskiem odłożyła na stół stertę misek.

Od... od Małgorzaty — wyjąkała przerażona Alicja. — Dała mi go w trzynaste urodziny. A ona z kolei dostała go od ojca, kiedy była w moim wieku. — Alicja obejrzała się na siostrę, która właśnie weszła do kuchni.

Powiedz mu, że był twój!

Ale Will obróciwszy medalion w dłoni, zdał już sobie sprawę z pomyłki. Zamiast rycerza depczącego węża ujrzał na nim delikatną postać kobiecą ukoronowaną krzyżem. Była to święta Małgorzata, patronka Szkocji.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że sam był świadkiem rodzinnej ceremonii, gdy starsza siostrzenica wręczyła medalion młodszej przy jakże rzadkim uśmiechu Duncana.

Małgorzata stanowczo wyjęła mu wisior z ręki i odprowadziła siostrę na bok.

Co się z tobą dzieje? — syknęła Isenda.

Przepraszam — wymamrotał Will. — Myślałem, że to... Przepraszam.

Podniósł stołek i usiadł. Jakże mógł zapomnieć, że nazajutrz po swej ucieczce sprzedał medalion handlarzowi w St. Albans?

Isenda wróciła do mieszania polewki, popatrując na niego od czasu do czasu. Alicja czmychnęła do kąta, zasłaniając wisior ręką, a Małgorzata zaczęła rozstawiać miski. Willową trzasnęła w stół tak mocno, że aż zbeształa ją matka. Will zwiesił głowę. Dopiero co zaczął nawiązywać z tą dziewczyną

serdeczniejszą więź i znów wszystko popsuł.

Drzwi się otwarły, wszedł uśmiechnięty od ucha do ucha Dawid.

Patrzcie, kogo znalazłem!

Tuż za nim pojawił się Duncan.

Ojcze! — Alicja rzuciła mu się na szyję. Rycerz stęknął zaskoczony.

Myślałby kto, że nie było mnie przez miesiąc.

Tak się właśnie stęskniliśmy — przyświadczyła Isenda, całując go w policzek.

Atmosfera napięcia powoli się rozproszyła. Duncan zrzucił z siebie zakurzony płaszcz, Dawid postawił luk przy drzwiach, a Isenda tymczasem napełniła miski.

Jutro będzie dziczyzna — uśmiechnęła się do syna, siadając.

Ucztujemy jak królowie.

Mamy szczęście — mruknął Duncan zmęczonym głosem. — Bogu niech będą dzięki.

Wszyscy pochylili głowy, gdy półgłosem odmawiał modlitwę. Will podniósł łyżkę, ale zaraz ją opuścił. Nagle odechciało mu się jeść.

Po żniwach będzie chyba lepiej? — zauważyła Isenda, przyglądając się, jak mąż je.

Może, jeśli złodziej zostawi ludziom dość, by nie pomarli z głodu.

Dawid uśmiechnął się zimno, słysząc nienawistny przydomek, jakim

określała Hugona Cressinghama większość Szkotów.

Zabierają gros zbiorów, ledwie trafi do spichrzów, i wywożą na południe, tak samo jak nasze daniny i wełnę.

Widziałem w Kincardine rodziny pozbawione wszystkiego, niezdolne wykarmić dzieci, a odkąd zaczęły się zamieszki, jest jeszcze gorzej. Angielscy szeryfowie korzystają z okazji, żeby jeszcze srożej nas uciskać. —

Duncan nachmurzył się i wbił wzrok w miskę. — Ludzie powinni siać i zbierać, co się da, jak my, a nie burzyć tę odrobinę spokoju, którą nam jeszcze dano!

Uśmiech Dawida znikł.

Nie mamy spokoju, ojcze. Powinniśmy popierać buntowników, nie krytykować.

Milcz, Dawidzie. — Isenda rzuciła synowi ostrzegawcze spojrzenie.

Ale to prawda. — Dawid zerknął na Willa. — Wiem, że ty też tak uważasz, wuju. Nie powinniśmy siedzieć bezczynnie, udając, że wszystko jest w porządku.

Spojrzał na ojca, który nagle umilkł.

Kiedy Tom był w Edynburgu, słyszał, że Wallace zabił szeryfa Lanarku i wygnał justycjariusza ze Scone. Sir

Wilhelm Douglas przyłączył się do niego, inni też. Czy nie chciałbyś sam czegoś zdziałać, jak nakazuje duma?

Duncan zerwał się na nogi z twarzą pociemniałą z gniewu. Uniósł dłoń do uderzenia, ale powstrzymał go wystraszony krzyk Alicji.

Tylne drzwi się otwarły i wszedł pośpiesznie Tom. Ściągnął brwi, wodząc wzrokiem od ojca do syna, potem zwrócił się do Duncana:

Drogą zbliża się pięciu jeźdźców.

Daj mi chwilę — mruknął Duncan, patrząc na zbuntowanego syna.

Wyjdź im naprzeciw.

Kto to może być? — zatroskała się Isenda, kiedy Tom zniknął.

Nie wiem. — Duncan wytarł dłonie w ręcznik. — Wyjdę sam

rzekł ostro, widząc, że Will się podnosi. — Ja jestem tu panem. Ruszył do drzwi, czując, jak gniew pali go w żyłach. Trzeźwiło go jednak

R E Q U I E M

zimne poczucie wstydu. Jego syn miał słuszność. Nie powinien na rozkaz sir Dawida Grahama co tydzień objeżdżać ziem młodego lorda, wyciskając z mieszkańców Kincardine haracz, którym tuczyli się Anglicy.

Powinien był stanąć twardo po stronie swych rodaków przeciwko tyranii. Tyle że musiał zapomnieć o dumie, chcąc wyżywić i ochronić rodzinę.

Wyszedłszy zza węgła, ujrzał przybyłych. Na widok kolczug poczuł ciężar w sercu. Angielscy żołnierze. Jeden z piątki ubrany był inaczej, w piękny płaszcz z zielonej materii przetykanej złotą nicią. Pozostał na koniu, gdy tamci zsiedli.

Duncan podszedł bliżej, nakazując sobie spokoj.

Dobrego dnia życzę — rzekł.

Kto jest tu panem? — spytał władczo mężczyzna w płaszczu, patrząc na niego z góry. Akcent miał ciężki i rozwlekły, słowa w jego ustach zdawały się ze sobą sklejać. Jego koń rzucił głową, ale jeździec mocno ściągnął

cugle.

Oczy Duncana spoczęły na wypchanej kalecie, którą tamten miał u pasa.

Ja.

Przybyłem po daninę za ten kwartał.

Duncan potrząsnął głową.

Zapłaciłem ją w zeszłym miesiącu.

Od zeszłego miesiąca podatek wzrósł.

O ile? — spytał Duncan, starając się zapanować nad głosem. Poborca wymienił kwotę.

Ile? — spytał Duncan z niedowierzaniem. — To niemożliwe. Nie zdołam tyle zapłacić.

Przyjmujemy nie tylko kruszce. — Poborca ruchem głowy wskazał majdan, na którym stał koń Duncana, srokaty rumak o jedwabistej sierści.

To piękne zwierzę.

Duncan zacisnął zęby.

Potrzebny mi koń, żeby objeżdżać ziemie mego pana, jeśli mam zbierać daniny dla waszego króla.

Poborca zmarszczył czoło.

Czyż król Edward nie jest również twoim królem?

Duncan spojrzał na żołnierzy. Coś w ich wzroku sprawiło, że poczuł się niepewnie. Pożałował raptem, że wyszedł nieuzbrojony.

Wróć do domu — rzekł, słysząc za sobą kroki.

To twój syn? — spytał poborca. — Rosły młodzian i dobrze odżywiony. Nie sądzisz? — dodał, zwracając się do jednego z żołnierzy.

Z pewnością, panie. — Mężczyzna uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Nieco pobladły Tom wysunął się do przodu, stając między Dawidem

a tym, który przemówił.

Czasy są ciężkie. — Poborca wzruszył ramionami. — Jeśli szukasz winnego, to wiń swoich ziomków. Gdyby się nie burzyli przeciw królowi, nie trzeba byłoby podnosić danin. Skądś przecież trzeba wziąć środki na uśmierzenie tego śmiesznego buntu. Oni walczą, wy za to płacicie.

To co zbierzesz, i tak trafi do rąk Wallace'a. Spytaj justycjariusza ze Scone! — warknął z tyłu

Dawid.

Duncan obrócił się gwałtownie.

Kazałem ci wejść do domu! — syknął.

Oczy poborcy się zwęziły.

Na twoim miejscu trzymałbym szczeniaka krócej. Jeśli uznam za stosowne, mogę podnieść daninę jeszcze bardziej. — Patrzył Duncanowi prosto w twarz. — Ale jestem uczciwym człowiekiem. Niech twój sługa przyprowadzi tu konia i będziemy kwita.

Już mówiłem, że nie mogę go oddać. — Duncan podszedł bliżej

zniżył głos. — Następnym razem dam więcej. Jestem wasalem sir Dawida Grahama, on za m *1*

ni *1 1*

e poręczy.

Mówię po raz ostatni: oddaj konia.

Wysłuchajże mnie, niech cię diabli! — Duncan nie wytrzymał.

Zabijcie najpierw sługę. — Poborca wskazał Toma.

Duncan i Dawid krzyknęli równocześnie, gdy jeden ze zbrojnych przyskoczył, topiąc miecz w ciele krzepkiego Szkota. Tom wydawał się bardziej zdumiony niż oni. Żołnierz dwoma brutalnymi ruchami okręcił głownię wyszarpnął ją z powrotem. Tom zgiął się, ściskając brzuch, z którego tętniącą strugą tryskała krew. Popatrzył

niedowierzająco na Duncana

upadł na bok z twarzą wykrzywioną grymasem bólu. Nim jeszcze dotknął ziemi, Duncan rzucił się na żołnierza.

Równocześnie Dawid podbiegł do

Toma, a pozostali Anglicy chwycili za broń. Z drzwi domu dobiegi krzyk Isendy.

Duncan zrobił szybki unik przed ostrzem i uderzył w tamtego ciałem, rycząc z wściekłości. Upadek pozbawił

tchu ich obu. Żołnierz wypuścił miecz i zgubił hełm, który potoczył się na bok. Duncan, głuchy na krzyki żony i syna, złapał go za włosy i począł tłuc jego głową o ziemię, myśląc tylko

tym, by zdążyć dosięgnąć miecza. Kiedy przeciwnik zmiękł mu w rękach, rzucił się naprzód, złapał za rękojeść i stoczył się z powalonego, zanim dopadł go następny. Odbił cios jeszcze na leżąco, zerwał się na nogi i natarł na drugiego przeciwnika. Ten zablokował jego uderzenie, ale cofnął się pod impetem, potknął na nierównym R E Q U I E M

gruncie i machnął bezładnie ręką z mieczem, co wystarczyło, żeby Duncan przebił go na wylot. Wyszarpnął

ostrze, słysząc tętent kopyt i ochrypły krzyk syna, a potem poczuł, że coś uderza go w plecy między łopatkami.

Palce straciły władzę, broń wyśliznęła się i upadła. Duncan zobaczył, że jego żona nieruchomieje z rękami wzniesionymi do góry jak w tańcu lub modlitwie. Dopiero wtedy poczuł ból, który powalił go na kolana, a potem na twarz.

Bić ich! Zabić ich wszystkich! — wrzeszczał z konia poborca.

Dawid odskoczył przerażony, widząc pędzącego na siebie żołnierza,

ale gdy obrócił się do ucieczki, zahaczył nogą o ciało Toma i upadł jak długi. Powietrze rozdarł krzyk. Isenda rzuciła się do syna, drugi żołnierz za nią.

Stójcie albo go zabiję!

Zza naroża budynku wyłonił się Will z lukiem Dawida w dłoniach. Strzała wycelowana była w poborcę, który słysząc wołanie, obrócił się w siodle. Miecz miał wzniesiony, krew spływała po głowni aż do jelca. Przed nim leżał nieruchomo Duncan, rozpostarty na ciele zabitego przez siebie żołnierza. Dwaj pozostali zatrzymali się, wodząc wzrokiem od Willa do swojego pana.

Poborca warknął coś i dał koniowi ostrogę, kierując się w stronę Willa. Ten wypuścił strzałę.

Poborca schylił się w siodle, żeby uniknąć trafienia, ale Will nie celował w niego. Trafił konia w szyję, grot rozdarł miękkie ciało. Koń stanął dęba

runął, przygniatając jeźdźca, któremu noga uwięzła w strzemieniu. Poborca krzyknął. Żołnierz ścigający Isendę zawrócił i pobiegł mu na pomoc. Will wyszarpnął z kołczana następną brzechwę i

wystrzelił do tamtego, który był już o krok od Dawida. Chybił, strzała wbiła się w ziemię o parę stóp dalej. Will zaklął, cisnął luk i wyszarpując z pochwy falcjona, zaczął biec.

Dawid przetoczył się po ziemi, robiąc unik spod miecza, i na czworakach rzucił się po strzałę tkwiącą w ziemi.

Isenda krzyknęła, żołnierz pchnął ponownie, ale Dawid znów się wywinął i z całej siły pchnął grot w pachwinę tamtego, ponad watowane nogawice osłaniające uda. Żołnierz zawył

osunął się na kolana. Will już był nad nim, ciął w szyję, opaloną i brudną pod krawędzią hełmu. Dawid szarpnął

się w tył, spod fontanny krwi. Will pchnął zabitego stopą i ruszył na żołnierza, który usiłował wydobyć poborcę spod konia. Potężne uderzenie omal nie rozpołowiło ciała.

Nie zabijaj! — wrzasnął poborca, gdy Will stanął nad nim.

Błagam...

Sztych przebił mu gardło, przygwoździł do ziemi. Will wyszarpnął miecz i podszedł do nieprzytomnego żołnierza leżącego pod Duncanem. Jego też zabił, odciągnąwszy najpierw delikatnie zwłoki szwagra. Potem dobił konia, który wciąż dygotał i rżał z bólu. Była to jedyna śmierć, której żałował. Wytarł miecz w tunikę martwego żołnierza.

Isenda dopadła Dawida i porwała go w objęcia, upewniając się, czy jest cały. Jej twarz skurczyła się boleśnie na widok męża leżącego na wznak z rozrzuconymi ramionami. Podbiegła i przyklęknęła nad nim, wykrzykując jego imię. Kiedy dotarło do niej, że nie odpowie, krzyk zmienił się w wysoki, bezsłowny skowyt bólu, który wzniósł

się ku niebiosom. Dawid, biały jak ściana i zbryzgany krwią, podszedł do niej i mocno objął jej ramiona.

Will schował falcjona do pochwy i odgarnął z czoła mokre włosy. Pot ściekał mu po nosie, wsiąkał w brodę.

Słodki Jezu — wyszeptał między spazmatycznymi oddechami

Słodki Jezu. — Nic więcej nie mógł z siebie wydobyć.

Ruszył w stronę domu. Małgorzata klęczała w drzwiach, obiema rękami kurczowo trzymając się framugi. Jej usta się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Will poniósł ją, łagodnie, lecz stanowczo. Nie opierała się, patrzyła poza niego, na matkę i brata skulonych nad ciałem ojca.

Zbierz wszystkie cenne rzeczy, jakie tu macie. Spakuj też koce, jedzenie i wodę. Alicja niech ci pomoże. Nie wypuszczaj jej na podwórze.

Nie słuchała go.

Małgorzato! — potrząsnął nią za ramiona. Powoli skupiła na nim wzrok. — Rób, co mówię!

Obrócił ją i wepchnął do sieni. Gdy odeszła, potykając się co krok, wrócił na zewnątrz, do tamtych. Złapał

Dawida pod ramię. Chłopak wyrwał się i uderzył go w szczękę.

Will zatoczył się pod impetem ciosu.

Potrzebna mi twoja pomoc — syknął — więc zachowuj się jak mężczyzna!

Dawid dyszał ciężko, ale skinął głową.

Spróbuj złapać ich konie i zbierz broń. Osiodłaj oba wasze. Potem pomożesz mi wynieść ciała do lasku. Dasz radę?

Tak — odparł Dawid szorstko.

Will nachylił się nad Isendą. Zanosiła się urywanym, nieopanowanym szlochem. Wspomnienie przeszyło mu serce. Znał taką boleść aż za dobrze. Objął ją i przyciągnął do siebie.

Musimy stąd odejść — szepnął. — Kiedy ci ludzie nie wrócą, inni zaczną ich szukać. Wymordują was wszystkich bez sądu.

Nie mogę zostawić męża — załkała z twarzą wtuloną w jego pierś.

R O B Y N Y O U N G

Nie mogę!

Pochowamy go. Nic więcej nie możesz dla niego zrobić.

Dokąd pójdziemy? — szepnęła. — Dobry Boże, gdzie my się podziejemy?

Will namyślał się przez chwilę.

Schronimy się w lesie Selkirk. To niedaleko. Przeczekamy tam, aż wrzawa ucichnie. Przy pewnej dozie szczęścia Anglicy będą mieli poważniejsze zmartwienia niż śmierć poborcy.

Podniosła na niego zapuchnięte oczy.

Idźmy do Kincardine, do Dawida Grahama.

To pierwsze miejsce, w którym nas będą szukać. — Will wstał

spojrzał na zachód w stronę wzgórz tonących w zielonkawej mgiełce.

Musimy iść do lasu.

Zamek londyński Szósty dzień lipca

Pchnij natychmiast posłańca do hrabiego Surrey.

Tak jest, panie — wysapał kancelista, podbiegając, żeby nadążyć za długim krokiem Edwarda.

Na pewno siedzi w Yorkshire — dodał kwaśno król. — Jeśli mu się wydaje, że może dowodzić armią z zacisza swego dworu, będzie musiał zmienić zdanie. Niech spotka się z Cressinghamem w Berwicku. Stamtąd poprowadzą wojska. — Przez twarz króla przemknął skurcz. — Jeśli ci buntownicy chcą wojny, na Boga, będą ją mieli. Powiedz hrabiemu, że

zanim powrócę, ma zdusić powstanie i przyozdobić Most Londyński głowami jego przywódców.

Odprawiwszy kancelistę, który natychmiast czmychnął, Edward ruszył długimi schodami na dół, krzywiąc się, gdy strzykało go w stawach. Wieść

o

szkockiej rebelii, do której przyłączyło się również kilku uwolnionych przez niego wielmożów,

wyprowadziła go z równowagi. Były jednak bardziej palące sprawy, którymi musiał się zająć. Podczas gdy jego uwaga skupiona była na północnej granicy, Filip umocnił się w Gujennie. Niektórym baronom sprzykrzyła się przedłużająca się wojna we Francji i mniej lub bardziej jawnie odmawiali stawiennictwa. Co gorsza, zyskiwali rosnące poparcieR, O

a B

wYi N

e Y

dzi O

ał U

, jNa G

k niebezpieczni potrafią być zbuntowani baronowie. Nauczył go tego Szymon de

Montfort.

Wyszedł na dziedziniec w duszny popołudniowy upał. Tam niezwłocznie podeszli do niego dwaj dworzanie.

Statek gotowy, wasza miłość — rzekł pierwszy, idąc u jego boku.

Możemy odpływać, kiedy rozkażesz.

Chcę się znaleźć we Flandrii jeszcze przed niedzielą. — Edward obejrzał się na wznoszącą się za nimi Wieżę, białą i dumną. — Przekonajmy się, ile zechcą z siebie dać wrogowie mojego drogiego kuzyna, żeby zrzucić francuskie jarzmo.

Las Selkirk

Dwudziesty dzień lipca roku Pańskiego 1297

Dotarłszy do szczytu urwiska, Will przystanął i otarł pot z czoła zgięciem ramienia. Odwrócił się, wyciągając rękę do Dawida, który gramolił się za nim. Siostrzeniec zerknął na nią podejrzliwie, ale chwycił mocno i Will wciągnął go na górę. Objuczeni pełnymi bukłakami ruszyli z powrotem przez las, zostawiając za sobą strumień pluszczący na dnie rozpadliny.

W miarę zbliżania się do polany nastrój Willa, podniesiony na krótko praktyczną czynnością czerpania wody, znów się zwarzył. Obozowali tu zaledwie od trzech dni, a już znienawidził tę duszną przestrzeń zamkniętą wałem ciernistych krzewów. Isenda roztkliwiała się nad Alicją, która kulała po upadku. Uraz był niegroźny, więcej strachu niż bólu. Co prawda kostka spuchła, ale pod mokrym okładem, który Will zrobił ze swojej zapasowej koszuli, opuchlizna szybko zeszła. Pomimo to Alicja skarżyła się coraz żałośniej, aż w końcu usiadła z płaczem, oznajmiając, że dalej nie pójdzie.

Isenda obejrzała się, kiedy weszli na polanę, a potem zajęła znów córką. Dawid rzucił bukłaki obok stosu pakunków i wyciągnął się w cieniu olbrzymiej sosny o rudym pniu, szturchając psa, który ział z upału.

Nieopodal konie oganiały się od gzów, które krążyły w powietrzu nasyconym żywicznym sosnowym aromatem.

Małgorzata siedziała skulona przy dogasającym ognisku, dziobiąc patykiem popiół. Will nieco się zirytował, widząc, że nie nazbierała chrustu, o co ją prosił.

Potrzeba mi trochę wody — zawołała Isenda.

Kiedy Dawid się nie ruszył, Will zacisnął zęby i poszedł po bukłak. Alicja z bolesną miną siedziała oparta o drzewo. Isenda zdjęła kompres,

delikatnie podtrzymując stopę. Will podał jej bukłak, notując w duchu, że kostka nie jest zaczerwieniona ani spuchnięta.

Kiedy strumień lodowatej wody dotknął stopy, dziewczyna syknęła.

Boli? — spytała Isenda zmartwiona.

To tylko z zimna — powiedział Will ostrzej, niż zamierzał.

Skąd wiesz? — Alicja rzuciła mu niechętne spojrzenie. — Nie ty zwichnąłeś kostkę.

Ty też nie. — Starał się mówić łagodnie, chociaż miał ochotę krzyczeć. — Trochę ją tylko naciągnęłaś. Udajesz, że cię boli.

Alicja oblała się szkarłatnym rumieńcem, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a w końcu wybuchnęła płaczem.

Jak śmiesz? — Isenda zerwała się na nogi. Po twarzy spływał jej pot, wokół wycięcia sukni niczym naszyjnik biegł rząd ukąszeń, z których część już rozdrapała. Odkąd weszli do lasu, nękały ich gzy, muchy i kleszcze, które szczególnie upodobały sobie Isendę. — Jeśli mówi, że ją boli, to znaczy, że

boli!

Mówi tak, bo nie chce się ruszyć. — Will podniósł głos, przekrzykując łkania Alicji. — Gdybyś jej nie ulegała, bylibyśmy już daleko!

Dawno miał ochotę to powiedzieć, ale od opuszczenia dworu niewiele się do siebie odzywali, a nie chciał

przerywać posępnej ciszy kłótnią. Teraz było już za późno.

Jesteśmy daleko! — Głos Isendy podniósł się do wrzasku. Machnęła gwałtownie ręką, wskazując gęstą knieję otaczającą ich ze wszystkich stron. — Od dwóch tygodni błąkamy się po lesie! Dokąd zamierzasz trafić?

Otworzył usta, ale nie dopuściła go do głosu.

Chciałam szukać pomocy u Dawida Grahama, ale nie, zmusiłeś mnie, żebym zostawiła wszystko, co posiadam, i uciekła do lasu jak złodziejka!

Małgorzata upuściła patyk i zatkała dłońmi uszy, Dawid zaczął pogwizdywać, pies usiadł na zadzie i rozszczekał

się głośno. Isenda zatoczyła kółko po polanie, wykrzykując:

Wmówiłeś mi, że nie ma innego wyjścia, ale to nieprawda!

Dopadła juków i zaczęła wpychać do nich koce.

Isendo, to właśnie na ziemiach Grahama nas szukają...

Można było iść na północ, do Elginu. Eda chętnie by nas przyjęła. Pojawiasz się po tylu latach znikąd, a ja głupia cię słucham!

Kiedy miałaś ostatnią wiadomość od Edy? Wiesz przynajmniej, czy żyje?

Przestańcie! — krzyknęła Małgorzata, zrywając się na nogi. — Nie mogę tego słuchać!

Przez ciebie — wrzeszczała Isenda — zabrałam dzieci z domu! Od ojca! — Głos jej się załamał na ostatnim słowie

Małgorzata chw R

ycOił Ba Y N

się Y

z O

a U

gł N G

owę i pobiegła w las.

Wracaj! — zawołała za nią Alicja, która też się zerwała, patrząc z przerażeniem na wykrzywioną twarz matki.

A niech idzie — odezwał się nagle Dawid. — Jeśli wilki jej nie zeżrą, sama wróci.

Isenda doskoczyla do niego i uderzyła go w twarz. Złapał ją za ręce i teraz wrzeszczeli już oboje. Pies szarpał się na smyczy, ujadając wniebogłosy.

Will westchnął i podszedł, żeby ich rozdzielić, Zatrzymał go krzyk, który dobiegł zza drzew.

Isenda zamarła. Will już biegł po miecz leżący w pochwie na kocu. Wyszarpnąwszy go, pognał dalej.

Przedzierając się przez chaszcze, nie był pewien, czy posuwa się w dobrym kierunku, lecz krzyk rozległ się znowu, bliżej. Jeszcze parę kroków i dostrzegł Małgorzatę. Biegła w stronę wąwozu.

Małgorzato!

Obróciła się z ulgą, wskazując za siebie. W tejże chwili noga jej ujechała na grubej warstwie sosnowych igieł i dziewczyna zaczęła się staczać po pochyłości w lawinie szyszek. Will cisnął miecz i puścił się pędem, czując, że sam nie wyhamuje. Rzucił się w przód, zdołał złapać jej suknię, a drugą rękę oplótł wokół pnia. Szarpnięcie omal nie wyrwało mu jej ze stawu. Ostrożnie podniósł się na kolana i upewniwszy się, że nie grozi mu upadek, puścił drzewo, złapał dziewczynę za rękę i pociągnął ją do siebie. Zerknął w dół. Gdyby stoczyła się na dno wąwozu, niechybnie połamałaby kości. Potrząsnął głową, odsuwając od siebie tę myśl. Miała we włosach pełno igieł i skaleczenie na policzku, ale poza tym wyglądała na całą.

Rany boskie, Małgosiu, dobrze, że tak niewiele ważysz, bo zostałaby mi w ręku sama suknia!

Nie słuchała. Wzrok miała utkwiony za jego plecami.

Jeszcze nim się odwrócił, doleciał go okrzyk zakazujący im się ruszać. Powód paniki Małgorzaty stał się jasny, gdy zobaczył trzech uzbrojonych w pałki mężczyzn schodzących po pochyłości. Czterech innych pozostało na grzbiecie, mierząc do nich z łuków. Jeszcze dwóch prędko okrążyło ich z boku. Jeden sięgał właśnie po jego falcjona.

Zamek królewski w Paryżu, Dwudziesty dzień lipca

To znakomita wieść, najjaśniejszy panie. Zwycięstwo.

Filip się uśmiechnął, jego bladoniebieskie oczy zalśniły w słońcu wpadającym przez okno świetlicy.

Owszem — przyznał, zwijając pergamin. Położył go na pulpicie i usiadł, patrząc na Wilhelma de Nogaret. Jego uśmiech zgasł. — Oczywiście powinno się to było zrobić wiele lat temu, ale lepiej późno niż wcale.

Spojrzał na wiszącą przy pergaminie papieską pieczęć, znak jego triumfu. Miał ochotę powiesić pismo na drzwiach katedry, żeby cały Paryż mógł je zobaczyć, a w nim dowód wielkości swego króla. Poddani mogli nazywać jego dziada świętym, ale to dzięki jego, Filipa, staraniom został nareszcie kanonizowany. Na szczęście wieść o tym wkrótce się rozniesie po całym królestwie. Teraz paląc świeczki w kościołach i prosząc świętego Ludwika

wstawiennictwo, ludzie będą myśleć też o jego wnuku i jego także wychwalać. Wyobrażał sobie ich modlitwy jak stado wróbli wzbijających się w nawach kościołów i lecących przed tron Boży.

Drzwi się otwarły i wpadł Flotte, ściągając go z przestworzy do paryskiego zamku.

Najjaśniejszy panie... — wy sapał.

Filip sięgnął po pergamin.

Słyszałeś już, Flotte? Papież Bonifacy uczynił zadość mym żądaniom. Mój dziad zostanie wyniesiony na ołtarze.

Tak, ale...

Spójrz tu — przerwał Filip, podchodząc do kanclerza i pokazując mu dokument. — Nogaret miał rację, wystarczyło nie dać się zastraszyć

papież ugiął się pierwszy. — Król spoważniał i zerknął na Nogareta. Jego ton nieco ochłódł, jakby pochwała nie płynęła ze szczerego serca. — Zakaz wywozu srebra i złota z Francji był trafnym krokiem. Stanąwszy wobec niemożności poboru świętopietrza z kościołów francuskich, papież nie miał wyboru, musiał się wycofać.

A przy tej okazji wyszedł na świątobliwego głupca. — Nogaret uśmiechnął się pogardliwie. — Najpierw proklamował bullę „Clericis laicos” z całą pompą, na jaką go było stać, a potem musiał ją odwołać, kiedy zdał

sobie sprawę, że przyniesie mu więcej szkody niż pożytku. Teraz zna już swoje miejsce. A my mamy go w ręku.

Najjaśniejszy panie!

Filip zmarszczył brwi, odwracając się do kanclerza.

Nie krzycz do mnie, Flotte.

Pokornie błagam o wybaczenie, ale właśnie otrzymałem wieść, że flota króla Edwarda wyruszyła do Flandrii.

Do Flandrii? — Nogaret oklapł jak przebity pęcherz.

Flotte nie patrzył na niego.

Podobno Edward chce utwierdzić sojusz norymberski, żeniąc swego syna z córką Gwidona de Dampierre.

Filip opuścił rękę, mnąc papieskie pismo w zaciśniętej pięści. Spojrzał na pergamin, cisnął go na pulpit i podszedł do okna, gdzie stanął w milczeniu, plecami do nich.

Niech go szlag — mruknął Nogaret.

Wieści nie są beznadziejne — ciągnął Flotte, zwracając się do wciąż odwróconego króla, którego wysoką sylwetkę bramowały promienie słoneczne wpadające przez okno. — Baronowie Edwarda burzą się przeciw wojnie w Ga

R

skoni O

i B Y

, ni N

e

c Y O

hcą U

z N

a G

niego walczyć, Zmuszają go do szukania wojskowego poparcia gdzie indziej.

Ten ruch, by połączyć siły z hrabią Flandrii, jest bardziej rozpaczliwy, niż się wydaje.

Nie. — Filip odwrócił się od okna. — Mój kuzyn idzie za moim przykładem. Chce wciągnąć mnie w wojnę na dwa fronty, zmusić do podzielenia sił między Gujennę i Flandrię. W tej samej sytuacji diciałem go postawić, zawierając sojusz ze Szkocją.

Ale Edward nie ma dodatkowych wojsk, które mógłby wystawić do boju — rzekł w zamyśleniu Nogaret. — On także musi podzielić armię i ją osłabić.

Filip nie słuchał.

A tymczasem flota wciąż niegotowa, choć złoto codziennie wycieka ze skarbca. — Usiadł przy

pulpicie, patrząc chmurnie na zwój z papieską pieczęcią. Miał wrażenie, że ten kawałek wosku teraz się z niego natrząsa. Konflikt z papieżem kosztował go sporo złota i czasu w minionym roku. Czuł się jak kawał mięsa, o który walczą psy.

Wszyscy topili w nim kły i każdy szarpał w swoją stronę, nie pozwalając mu skupić wysiłków.

Był pewien, że udało mu się skutecznie okaleczyć sojusz zawarty przed trzema laty w Norymberdze przez Edwarda i hrabiów niderlandzkich. Dowiedziawszy się o nim, natychmiast przekupił hrabiego Holandii, by się z niego wycofał, podminowując całą koalicję. Filip zdawał sobie sprawę, że mimo to napotka zacięty opór ze strony Gwidona de Dampierre, który od dawna bronił się przed próbami rozciągnięcia władzy francuskiej nad Flandrią, a wspierały go w tym potężne cechy tkackie, do których należała spora część Flamandów. Myślał

jednak, że Flandrią będzie mógł się zająć później, kiedy już pokona Anglików w Gujennie. To, że wrogowie połączyli siły właśnie teraz, było dla niego ciosem tym mocniejszym, że nieoczekiwanym.

Powinienem był to przewidzieć — mruknął. Mrużąc ze złością oczy, przyjrzał się doradcom. — Wy również.

Jakże, panie? — żachnął się Nogaret.

To prawda. — Flotte ruchem ręki uciszył legistę. — Powinniśmy byli to przewidzieć, i to nawet bez ostrzeżenia, jakim był sojusz norymberski. — Spojrzał na Nogareta. — Flandria stoi tkactwem, Anglia zaś sprzedaje przede wszystkim wełnę. Byli więc dla siebie naturalnymi sojusznikami od dawna. Ich związek trwa znacznie dłużej niż lenna podległość hrabiów Flandrii królowi Francji. Bywał już cementowany ożenkami koronowanych głów. To, że Edward zechce umocnić alians z najbliższym sojusznikiem, wydawało się, by tak rzec, nieuniknione. —

Spojrzał na króla. — Pytanie brzmi, jak możemy temu zapobiec.

Może gdybyśmy... — zaczął Nogaret.

Jeśli wystawię nową armię — przerwał mu król — na jak długo zdołam jej zapewnić odpowiednie zaopatrzenie?

Flotte wydął usta w zadumie.

Musiałbym pomówić ze skarbnikiem, ale na moje oko dobre parę miesięcy, jeśli wliczyć w to środki uzyskane z opodatkowania kleru.

Filip przysiadł na brzegu stołu, całą uwagę skupiwszy na kanclerzu.

Jeśli podejmiemy zdecydowane kroki już teraz, zanim anglo-fla- mandzki związek zdąży okrzepnąć, możemy ubić kilka ptaszków jednym strzałem. Odniósłszy zwycięstwo, zyskam kontrolę nad Flandrią, czyniąc z naszego bogatego sąsiada wiernego francuskiego wasala. Ale równocześnie zniszczę część wojsk Edwarda... — Filip uśmiechnął się, złożył dłonie i przytknął czubki palców do warg — i resztki jego dobrej sławy.

A jeśli na pewien czas wstrzymamy budowę okrętów — dodał Flotte

będzie można utrzymać wojska we Flandrii przez resztę roku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

I tak właśnie zrobimy. Jak najszybciej wyruszymy na północ, zmuszając Anglików i Flamandów do kontrataku, zanim jeszcze ich mariaż zostanie skonsumowany. Z Bożą pomocą zmiażdżymy ich jednym szybkim ciosem.

Najjaśniejszy panie — włączył się Nogaret — martwi mnie myśl, że zrezygnujemy z budowy floty, która kosztowała nas już tyle czasu i złota.

Powiedziałbym, zacny panie, że właśnie ów stracony czas i pieniądze każą z niej zrezygnować — odparował

Flotte, nim król zdążył się odezwać.

Ciemne oczy Nogareta błysnęły, rumieniec powlekł jego woskowobiałe policzki.

Filip ominął ich i ruszy! do drzwi.

Flotte, zwołaj sztab na jutro po nonie. Pora działać.

Tak jest, panie.

Nogaret odprowadził wzrokiem Flotte'a, który wyszedł ze świetlicy w ślad za królem. Przez okno wpadł wiatr, zaszeleścił papieskim listem porzuconym na pulpicie.

Pogrążony w myślach Filip skierował się do swej sypialni. Mimo wściekłości na Edwarda, że zapędził go w ślepy zaułek, z którego mógł się wydostać tylko walcząc, czuł rozpierającą go Niewytłumaczalną radość. Jeśli Anglik myślał, że zbije go z tropu tym pociągnięciem, to się mylił. Czyż to nie on, Filip, właśnie pokonał

papieża? Na tę myśl — a raczej na satysfakcję, jaką mu sprawiła — poczuł wyrzuty sumienia. Nie może wzorem Nogareta chełpić się zwycięstwem nad Kościołem. Działania, które podjął — a musiał je podjąć, gdyż namiestnik Piotrowy okazał się omylny i grzeszny jak każdy człowiek—winny go napawać skruchą. Jest pokornym pasterzem, a nie butnym zdobywcą. Musi jak najszybciej wezwać spowiednika, odprawić pokutę i oczyścić duszę.

Otworzył drzwi komnaty i zobaczył kobietę odzianą w suknię jego żony, stojącą przed dużym srebrnym zwierciadłem. N RieOmBa Yl N Y

od r O

a U

z N G

u uświadomił sobie, że to nie Joanna.

Niewiasta wydała spłoszony okrzyk i obróciła się twarzą do niego, zakrywając rękami piersi, jakby była naga.

Właściwie była — nie zesznurowana na plecach suknia odsłaniała długi trójkąt ciała aż do pośladków, widocznych w lustrze, które miała za sobą. W ciągu paru chwil, gdy Filip usiłować pojąć, co się dzieje, dziewczyna porwała z łóżka rzuconą niedbale suknię z niebarwionej wełny i koszulę.

Najjaśniejszy panie... — wyjąkała, tuląc je do siebie — wybacz, nie pomyślałam...

Gdzie królowa? — spytał. Suknia była za duża na szczupłą dziewczynę, wisiała na niej jak czerwony dzwon. —

I dlaczego stoisz tu w jej sukni?

Rozdarcie — wypaliła. — Najjaśniejszej pani zdało się, że suknia jest rozdarta. Pomyślałam... pomyślałam, że jeśli ją włożę, prędzej znajdę to miejsce.

Filip zacisnął szczęki. Dziewka łgała w żywe oczy i był tego świadom. Oprócz wściekłości czuł jednak zażenowanie. Ta sprawa wykraczała poza jego domenę. Powie Joannie, niech sama ukarze służkę. On ma na głowie wojnę.

Precz — wskazał ręką drzwi wiodące do izby, w której spały dworki.

Oblana rumieńcem dziewczyna czmychnęła, jedną ręką ściskając

własny przyodziewek, drugą usiłując zebrać z tyłu rozsznurowaną suknię. Zanim zatrzasnęły się za nią drzwi, zdążył jeszcze raz zobaczyć nagie plecy, mlecznobiałe przy szkarłatnym jedwabiu.

Las Selkirk Dwudziesty dzień lipca

Co z nami zrobią?

Will obejrzał się, słysząc szept Isendy. W jej oczach malował się strach, ale szła dumnie wyprostowana, jakby chciała ukryć targające nią uczucia

może przed dziećmi, a może przed dziewięcioma eskortującymi ich mężczyznami.

Myślę, że w najbliższym czasie nic nam nie grozi — odszepnął, zerkając na strażników, którzy stanowili dość dziwaczną grupę.

Dwóch szło przodem, prowadząc objuczone konie i psa uwiązanego do siodła srokacza. Towarzyszył im trzeci

— przysadzisty, niechlujny mężczyzna, bosy, odziany tylko w gatki i wytarte skórzane nogawice.

Uzbrojony był

w tęgą pałkę i wyglądał, jakby od urodzenia mieszkał w lesie. Jego szeroką pierś i ramiona znaczyły liczne blizny. Tamci dwaj byli drobniejszej budowy i znacznie lepiej przyodziani — w krótkie kolczugi i zdobione tuniki. Obaj mieli łuki i strzały w plecionych kołczanach wiszących u pasa. Jeńców flankowało kolejnych czterech mężczyzn, jeden z długą włócznią i trzej, którzy wyglądali raczej na pasterzy niż wojaków. Straż tylną stanowili dwaj górale ubrani wedle swego zwyczaju w farbowane wełniane koszule sięgające ud. Ci wyglądali na dobrze zaznajomionych z użyciem toporów na długich trzonkach, które mieli w rękach, lecz zapewne umieliby się też sprawnie posłużyć zdobycznymi mieczami.

Skąd masz pewność, że nic nam nie grozi? — Isenda pochyliła głowę, żeby ukryć szept, choć ich głosy i tak zagłuszał trzask deptanych

gałązek. Alicja i Małgorzata szły przodem, Dawid obok z drugiej strony Willa. Małgorzata wciąż się na nich oglądała, Alicja za to szła, patrząc prosto przed siebie, i już nie udawała, że coś ją boli. Milczała od chwili, gdy obcy trafili na teren ich biwaku, kierując się krzykami Isendy.

Gdyby chcieli nas obrabować albo zabić, zrobiliby to na polanie

rzekł Will spokojnie. — Z tego co podsłuchałem, kiedy zbierali nasze rzeczy, prowadzą nas do swojego obozowiska.

R E Q U I E M

Mieszkają w lesie?

Myślę, że to buntownicy.

Wiedziałeś, że tu będą! — Isenda podniosła głos.

Tom mówił, że ukrywają się w lesie Selkirk.

Dlatego nas tu sprowadziłeś! Żeby się do nich przyłączyć!

Ciszej! — upomniał ją ten, który niósł włócznię.

Policzki Isendy spąsowiały ze złości. Kiedy mężczyzna odwrócił wzrok, syknęła przez zęby:

Sprowadziłeś niewinne dzieweczki pomiędzy zbójców i złodziei, za których głowy naznaczono cenę!

Bezpieczniejsze będą tu niż gdzie indziej — odszepnął. — W Kincardine prędko by was pojmano, a sama słyszałaś, jak angielscy żołdacy traktują więźniów. Po tej stronie granicy nie ma miejsca na rycerski honor.

Myślisz, że nie tknęliby twoich córek?

Ale Isenda nie chciała tego słuchać. Przyśpieszyła kroku, kładąc dłonie na ramionach dziewcząt.

Dawid, chodź tu! — warknęła.

Idźże prosto, kobieto, nie wierć się bez przerwy — zniecierpliwił się jeden ze strażników i grupa ruszyła dalej.

Prawie godzinę później, gdy złotawe światła plamiące ziemię zbladły, a skrawki nieba widoczne wśród listowia zaczęły przybierać dymny fiołkowy odcień, dobiegły ich z dala głosy ludzkie. Zwalisty mężczyzna wydał

trzykrotny przenikliwy świst. Z gąszczu doleciała odpowiedź. Rozglądając się, Will zauważył nierzucające się w oczy sylwetki ludzi ukrytych w krzakach i za drzewami. Byli uzbrojeni; domyślił się, że gdyby nie sygnał, nie uszliby wiele dalej. Przed nimi cichy gwar zaczął nabierać mocy, punktowały go śmiechy i okrzyki, stuk siekiery, szczekanie psów i rżenie koni. Widać już było krzątające się postacie, czuć zapach dymu i warzonego jadła. Isenda przygarnęła córki do siebie. Weszli do rozległego obozowiska rozrzuconego wśród sosen.

Po obozie kręcili się mężczyźni odziani w najrozmaitsze stroje i najroz- maiciej uzbrojeni. Pożywiali się przy ogniskach, doglądali świń, owiec, kóz

i krów trzymanych w ogrodzonych wybiegach, niektórzy drzemali na mchu pod płóciennymi wiatami rozpiętymi między drzewami. W głębi widać było chaty z plecionki nakryte darnią, a także parę namiotów. Odprowadzały ich liczne spojrzenia. Jakiś mężczyzna gwizdnął zaczepnie do Małgorzaty, wywołując gromki śmiech towarzyszy. Dziewczyna wcisnęła głowę w ramiona, a Isenda obejrzała się na Willa z wściekłą miną. W tejże chwili z szałasu wyskoczyła młoda niewiasta, zdzieliła dowcipnisia w ramię i uśmiechnęła się do niej przepraszająco. Isenda obejrzała się za nią z zaciekawieniem, ale szli już dalej, zmierzając ku kręgowi namiotów na środku polany. Zerkając przez ramię, Will spostrzegł, że część eskorty już ich opuściła.

R O B Y N Y O U N G

Kiedy zbliżyli się do namiotów, z jednego wyszedł chłopak.

Jest Siwy? — spytał ich przewodnik. Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, wszedł do największego namiotu w biało-zielone pasy, pozostawiając brańców pod strażą dwóch górali. Łucznicy wręczyli chłopcu końskie wodze i też się rozeszli. Chwilę później leśny człowiek pojawił się znowu w towarzystwie niskiego, krępego mężczyzny.

Ten wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat, choć krótko ostrzyżone włosy miał już przyprószone siwizną. Na ogorzałej twarzy nosił niemal tyleż blizn co jego kamrat, a ubrany był w kaftan z grubej skóry. Miał też długi sztylet u pasa. Jego wzrok prześliznął się obojętnie po Isendzie i dziewczętach, spoczął krótko na Dawidzie i wreszcie zatrzymał się na Willu.

Mieli to przy sobie. — Leśny człowiek wręczył mu wypchany trzos znaleziony przy przeszukiwaniu sakw. Will odciął go od pasa poborcy, nim odjechali. Była w nim także danina Duncana.

Nieźle waży! — Siwy z uznaniem podrzucił trzos.

To własność mojego ojca — wyrwał się Dawid. Leśny człowiek ostrzegawczo uniósł pałkę, a Isenda krzyknęła głośno.

Ojciec powinien był cię nauczyć trzymać język za zębami. — Siwy zerknął znów na Willa.

To nie on. — Dawid spochmurniał.

A cóż robi w lesie Selkirk taka dziwna kompania? Chłopiec, starzec, trzy baby i worek złota! Czasy są zbyt niebezpieczne, by włóczyć się po lesie bez ochrony. — Siwy wyszczerzył zęby do swego kamrata. — Nigdy nie wiadomo, na kogo można trafić, nieprawdaż, Adamie?

Nie jesteśmy bezbronni — odparował Dawid, zerkając na wuja, nim Will zdążył odpowiedzieć.

A któż was obroni? On? — zaśmiał się Siwy. — Toż biedaczysko stoi już nad grobem. Co prawda trudno orzec, bo ledwie go widać. Zgubiliście brzytwę, dziadku?

r

Will uciszył Dawida, kładąc mu dłoń na ramieniu. Czuł, jak naprężone są mięśnie chłopaka.

Nie szukamy zwady — powiedział. — Musieliśmy szukać schronienia w lesie po... po sprzeczce z angielskim poborcą podatkowym.

Sprzeczka musiała być zawzięta, skoro uciekliście wraz z babami?

Poborca zginął, jego ludzie też.

Mężczyzna się uśmiechnął, ale w jego oczach błysnęła czujność.

Ty ich zabiłeś?

Will skłonił tylko głowę.

A to paradne! — zarechotał Adam. — Miałeś ze sobą armię?

On nie potrzebuje armii — warknął Dawid. — Jest templariuszem.

Uśmiech Siwego zgasł. Popatrzył przeciągle na Willa.

Pilnuj ich — kiwnął na Adama, obrócił się i zniknął w mroku pośród drzew.

Wybacz — mruknął Dawid, widząc wściekłą minę wuja. — I tak by się w końcu domyślili.

Czekali przez czas, który zdał im się wiecznością, choć w rzeczywistości mogło upłynąć co najwyżej parę pacierzy. W końcu spomiędzy drzew wyłoniło się dwóch ludzi. Jednym był Siwy, drugim istny wielkolud —

chyba najwyższy człowiek, jakiego Will w życiu widział. Wyróżniał się nie tylko wzrostem, lecz i potężną budową: na rękach i nogach prężyły się mięśnie, kanciasta czaszka osadzona była na byczym karku. Mimo swego ogromu poruszał się jednak zwinnie i z jakby nonszalancką pewnością siebie. Miał na sobie prostą niebieską tunikę; ciemne rozpuszczone, wilgotne od potu włosy wiły się na skroniach. Na oko mógł liczyć około dwudziestu pięciu lat.

To chyba on — szepnął Dawid, wytrzeszczając oczy, w których szacunek mieszał się z niepokojem.

Olbrzym zatrzymał się przed nimi. Przyglądał się Willowi dość długo i wnikliwie, potem rzekł:

Jak cię zwą?

Campbell? — powtórzył podejrzliwie Siwy, kiedy Will odpowiedział. — A skąd?

Czekajże! — uciszył go olbrzym.

Mój dziad opuścił przed laty ziemie swego rodu w Argyll—wyjaśnił Will. — Ja sam wyjechałem ze

Szkocji jako chłopiec.

Siwy mówi, że jesteś templariuszem. — Olbrzym zerknął na Isendę, która zagryzając wargi, tuliła do siebie córki. — Dlaczego bez habitu?

Will nie pałał chęcią do zwierzeń. Był zmęczony, głodny i nieufny wobec obcych, ale nie miał wyboru. Poza tym Isenda miała rację: przybył tu, bo chciał się z nimi spotkać.

W krótkich słowach napomknął o służbie w Ziemi Świętej, powrocie na Zachód i dezercji z zakonu. Dziwnie się czuł, mówiąc o sobie ludziom wyjętym spod prawa w sercu ciemniejącej puszczy. Od czasu do czasu olbrzym przerywał mu jakimś pytaniem i wówczas czuł się trochę tak jak przed pasowaniem na rycerza niemal trzydzieści lat temu. To przesłuchanie było bardziej ogólnikowe, ale banici traktowali je równie poważnie jak zakonni rycerze mający zdecydować o przyjęciu nowego brata. Sprawdzali jego wartość. Zanim doszedł do oblężenia Edynburga i śmierci Duncana, otoczył ich zwarty krąg ludzi; pochodnie błyskały pośród drzew jak świętojańskie robaczki.

R E Q U I E M

Po co tu przyszedłeś? — spytał olbrzym równie szorstko jak dotąd, ale w jego oczach Will zauważył coś nowego, błysk zrozumienia. — Nie mogę was wszystkich przygarnąć — rozłożył wielkie łapska, wskazując obozowisko. — Tu wszyscy pracują. Nawet ci, którzy nie walczą, mają obowiązki.

Mówi się, że wasze siły rosną, przyłącza się do was coraz więcej ludzi. Chyba chętnie ich przyjmujecie?

Ludzi zdatnych do walki. — Olbrzym ruchem głowy wskazał Dawida. — Nie stać nas na utrzymywanie

nierobów.

W jego tonie nie było złośliwości, tylko szczerość; mimo to Isenda pobladła z oburzenia. Will nie był pewny, czy dlatego, że olbrzym właśnie zrekrutował jej syna, czy że wzgardził nią i dziewczętami.

Moja siostra i jej córki wiele potrafią — rzekł pojednawczo.

Gotują, szyją, umieją czytać i pisać.

Olbrzym nie odpowiedział. Z mroku dobiegł głos Siwego:

Przydałoby się jeszcze parę niewiast do garnków. Żona Adama nawet wodę potrafi przypalić.

Zaczepiony obrzucił go znudzonym spojrzeniem.

Po dłuższym namyśle młody olbrzym skinął głową.

Dobrze. Ale musicie na siebie zapracować. Wszyscy. — Spojrzał wymownie na Alicję, która schowała się za matką. — Siwy, pokaż im, gdzie mogą ułożyć się do snu. Ty nie—dodał, zwracając

się do Willa. — Najpierw mi w czymś pomożesz. Chodź. — Ruszył w przeciwnym kierunku niż tamci, schylając głowę pod gałęziami drzew.

Skinąwszy Dawidowi krzepiąco głową, Will poszedł za wielkoludem. Kątem oka widział z tyłu eskortującego ich Adama.

f

Mamy tu jednego z waszych. Kiedy usłyszałem, że jesteś templariuszem, pomyślałem, że może przyjechałeś za nim.

Will przystanął.

Lepiej, żeby mnie nie widział. Mówiłem ci, jestem zbiegiem.

To jeniec, a nie gość. Zamierzaliśmy wziąć za niego okup, ale najpierw chcę się dowiedzieć, ile może być wart.

— Olbrzym wziął do ręki wbitą w ziemię pochodnię i skręcił w bok, w las.

Minęli kilku mężczyzn, którzy prostowali się z szacunkiem, przydając wiarygodności domysłom Dawida: olbrzym, który dotąd nie podał swego imienia, rzeczywiście mógł być Wilhelmem Wallace'em, przywódcą szkockiej rebelii. Po chwili Will zobaczył drewnianą klatkę obudowaną wokół kilku drzew. Wewnątrz paliła się pochodnia. W jej żółtym świetle dostrzegł około tuzina ludzi, leżących na ziemi lub opartych o drzewa, do których byli przywiązani.

Jeden z nich usiłował wstać, ale że rzemień był za krótki, zdołał się tylko podnieść na kolana.

Żądam rozmowy z waszym przywódcą! Nie wiecie, kim jestem!

Milcz, angielski psie! — warknął zza pleców Willa Adam.

Obudźcie tamtego. — Olbrzym wskazał człowieka zwiniętego na ziemi w pewnej odległości od pozostałych.

Jeden z wartowników pilnujących klatki podszedł bliżej i przez pręty lekko dziabnął śpiącego końcem włóczni.

Więzień zerwał się wystraszony.

Will dostrzegł zarys czerwonego krzyża na czarnej tunice, przerażone ciemne oczy pod rozwichrzoną czupryną, twarz umazaną brudem i krzaczastą brodę.

Szymon?!

Znasz go? — Olbrzym wyprostował się czujnie.

Will obejrzał się pewny, że Adam trzyma pałkę w pogotowiu.

Przyjechałeś po niego? Jest was tu więcej?

Nie. — Will zerknął na Szymona, który klęczał, patrząc na niego w osłupieniu. — Widziałem go ostatnio przed wyjazdem z Paryża, półtora roku temu. Masz na to moje słowo.

Wallace — bo z pewnością był to Wallace — przyjrzał się mu bacznie. Dociekliwe oczy błyszczały w świetle pochodni. Po chwili lekkim skinieniem głowy dał Adamowi znak, żeby opuścił pałkę.

Gdzie go znaleźliście? — Will ominął wzrokiem Szymona, który wołał do niego głosem ochr ***1*** y ***2*** p ***5***łym z ulgi.

Zwiadowcy natrafili na niego parę miesięcy temu. Nie chciał powiedzieć, co robi sam na pustkowiu, więc pojmaliśmy go jako szpiega. Na

szczęście moi ludzie mieli dość rozsądku, by zawiązać mu oczy i przyprowadzić na przesłuchanie. Co prawda nie usłyszeliśmy od niego nic prócz wrzasków, ale wciąż możemy go wymienić na złoto, bo nie zdoła zdradzić położenia obozu. Miałem zamiar cię spytać, ile mniej więcej wart jest serwient Templum, lecz skoro go znasz, tym lepiej.

To stajenny, nie szpieg.

A cóż robi tu stajenny z Paryża?

Will sposępniał i w końcu spojrzał na przyjaciela.

Chyba mnie szukał.

Szymon był za daleko, żeby słyszeć, o czym mówią, ale podsunął się bliżej i zawołał:

R O B Y N Y O U N G

Will! Powiedz im, żeby mnie wypuścili!

Inni więźniowie też wyciągali ręce, dołączając błagania do jego prośby.

Ręczę za niego — rzekł szybko Will. — Nie przyniesie wam szkody.

To Anglik! — prychnął Adam. — Tylko szkodzić potrafią.

Wallace milczał.

Wzięliście pieniądze, które mieliśmy przy sobie, a także konie i broń

ciągnął Will. — To warte dziesięciu serwientów.

Wzięliśmy i nic ci do nich — odwarknął Adam. — A za niego weźmiemy jeszcze parę groszy. Skoro zna się na koniach, musi być coś wart.

No właśnie. — Will wskazał Szymona, lecz nie spuszczał wzroku z przywódcy buntowników. — Zna się jak nikt; będzie dla was cennym nabytkiem. Skoro trzymacie go już tak długo, niezbyt wam zależy na okupie. Niech pokaże, co umie. Może okazać się pomocny. Jeśli nie, zatrzymacie złoto i odeślecie nas do Templum za okupem.

Wypuśćcie tego tam. — Wallace wskazał Szymona, zwracając się do wartowników.

Wilhelmie, to nierozsądne — zaprotestował Adam.

Wierzę mu. Dość miałem do czynienia z angielskim żołdactwem, by poznać zdradę — uśmiechnął się Wallace.

— Ten człowiek mówi prawdę.

Inni więźniowie podnieśli wrzawę, kiedy uwalniano Szymona, ale wartownicy wkrótce ich uciszyli. Szymon przykuśtykał bliżej. Na twarzy pod warstwą brudu miał blednące sińce.

Will! Dzięki Bogu!

Will złapał koniuszego za ramię, ignorując jego zduszony jęk, i pociągnął dalej, na ile się ośmielił, od Wallace'a i innych, którzy wciąż przyglądali mu się czujnie.

Co ty tu robisz?

1 2 6

Przyjechałem po ciebie. — Szymon najwyraźniej był zdziwiony pytaniem. — Robert załatwił mi glejt do Balantrodoch.

Will zgrzytnął zębami.

Po co?

Opuściłeś zakon. Dziwisz się, że chciałem poznać powód?

Miałem nadzieję, że uszanujecie moją decyzję.

R E Q U I E M

Mieliśmy ją uszanować? — W głosie Szymona dał się słyszeć gniew.

A czy zasługuje na szacunek? Porzuciłeś zakon, braci, przyjaciół, nawet córkę...! Wiem, że szalejesz z żalu za Elwiną, ale to nie powód, byś umywał ręce od swoich obowiązków jak ostatni tchórz i...

Will uderzył go pięścią w twarz. Szymon zatoczył się na drzewo i chwycił pnia, żeby ustać na nogach. Will znieruchomiał, patrząc, jak krew przyjaciela kapie na tunikę wiszącą luźno na ciele wychudzonym od niedojadania i poniewierki. Zrobiło mu się wstyd. Opuścił pięści.

Szymonie... — postąpił krok w stronę towarzysza, ale przeprosiny uwięzły mu w gardle. Wypowiadając je, przyznałby, że Szymon miał słuszność. A tego nie mógł zrobić, nie po to dokładał starań, żeby pogrzebać swoją przeszłość. Nie prosił, by go szukali, węszyli za nim. Nie potrzebował tu dawnych braci.

Zostawiwszy Szymona zgiętego pod drzewem, obrócił się i odszedł.

Las Selkirk

Dwudziesty piąty dzień sierpnia roku Pańskiego 1297

Szymon z poważną miną szedł przez obozowisko, zmierzając w stronę szałasu Wiłła. Już z dala zobaczył, że jest pusty; szorstki pled leżał zmięty pod dachem z gałęzi. Zatrzymał się przed wejściem i rozejrzał. Tu i ówdzie mężczyźni siedzieli w grupkach albo chodzili między rzędami szałasów, nosząc drewno i wiadra z wodą. Willa nigdzie nie było widać. Usiadł więc na kępie wilgotnego mchu, opierając się plecami o pień drzewa. Niewiele spał w nocy. Powtarzał sobie w myślach, co powie Willowi, i rano byl gotów porozmawiać z nim stanowczo.

Teraz niewypowiedziane słowa pęczniały w nim jak lepkie ciasto.

Minął miesiąc, odkąd Will się dostał do obozu powstańców i uwolnił go z klatki. W następnych tygodniach wyrzekł doń nie więcej niż parę słów, unikał jego wzroku przy posiłkach, nawet gdy siedzieli naprzeciw siebie.

W skrytości ducha Szymon był przekonany, że Will czuje się winny. Siniec po jego ciosie bladł przez dwa tygodnie i Szymon miał nadzieję, że gdy całkiem zblednie, wraz z nim rozproszy się rezerwa Willa. Ale jeśli cokolwiek się zmieniło, to na gorsze. Przyjaciel unikał go tym skrupulatniej. W końcu Szymon doszedł do wniosku, że jego nadzieja była bezpodstawna. Will naprawdę nie chciał go tu widzieć i tamten cios był

wymierzony rozmyślnie.

Minionej nocy zastanawiał się, co ma zrobić. Rozważał krótko myśl

o

powrocie do Paryża, lecz choć dałby wiele, by znaleźć się znów w swych spokojnych, bezpiecznych stajniach, wiedział, że nie może ulec tej pokusie. Gdyby teraz odszedł, pewnie nie zobaczyłby już Willa, a z tym nigdy by się nie pogodził. Kochał go jak brata, może nawet bardziej, i życie z dala odeń wydawało mu się nie do pomyślenia. Pozostawało namówić przyjaciela, aby wrócił z nim do Paryża, by zaś tego dopiąć, musiał wpierw odzyskać jego zaufanie.

Tuż przed świtem uświadomił sobie, że w tym celu będzie musiał iść za przyjacielem, jakąkolwiek drogę ten obierze — nawet gdyby to oznaczało wojnę, udział w bitwie, do której wedle słów tych ludzi miało dojść już niebawem. Upadek Akki, a niedawno uwięzienie i katusze, jakie znosił z rąk Szkotów,

zahartowały go. Nie był biegły w robieniu bronią, ale silniejszy od wielu i wiedział, jak używać mięśni.

Nie zawędrował przecież tak daleko, żeby się teraz cofnąć.

Podniósł głowę, bo padł na niego czyjś cień. Dawid trzymał w ręku łuk.

Chcesz iść ze mną na polowanie?

Szymon zerknął na pusty szałas, podniósł się i otrzepał nogawice. Wróci później i powie Willowi o swej decyzji.

Woda była lodowata. Ochlapał nią twarz i mrowiące strużki spłynęły mu po piersi. Odczekał chwilę, aż woda w misce ustoi się na tyle, by mógł się w niej przejrzeć. Powoli uniósł brzytwę i przyłożył ją do policzka. Metal był zimniejszy od wody. Znów zaczął nim skrobać szczękę, usuwając resztki czarnej szczeciny. Tam gdzie nacisnął za mocno, pojawiły się kropelki krwi.

Opłukał ostrze, czując się dziwnie, jak nagi. Odkąd przestał być dzieckiem, nie widział swojej twarzy bez zarostu. Brody jednak nosili tylko starcy

i templariusze, on zaś nie czuł się ani jednym, ani drugim.

Przerzucił przez ramię mokrą koszulę i ruszył wzdłuż rzeki. Świt wstał mglisty i opar wciąż zalegał

pośród drzew, zabarwiony na złoto promieniami słońca przedzierającymi się z trudem przez baldachim liści. Powietrze było wilgotne, pachniało trawą. Przed sobą słyszał śmiech i chlupot. Grupa kobiet klęczała na kamieniach nad zagłębieniem, w którym woda wirowała z bulgotem, i prała odzież. W

obozowisku mieszkało sporo kobiet, choć niewiele dzieci. W większości byty to żony i córki ludzi, którzy zostali wyjęci spod prawa i obawiali się o bezpieczeństwo bliskich; w każdej większej osadzie roiło się wszak od angielskich żołnierzy. Alicja i Małgorzata przycupnęły obok siebie, trąc mokre koszule o kamienie i zabawiając się ich ugniataniem tak, by wydawały różne śmieszne dźwięki. Isendę zobaczył nieco dalej obok młodej kobiety o rudych włosach splecionych w ciasny warkocz.

Na pozór jego siostra mężnie znosiła żałobę po Duncanie, ale Will się domyślał, że ukrywa uczucia ze względu na dzieci. Pomimo to czuł, że tutaj, w lesie, z dala od dawnego życia i domu, który stał się sceną tragedii, znalazła spokój w krzepiącej rutynie codziennych obowiązków i poczuciu wspólnoty.

Nawet Alicja i Małgorzata się uspokoiły, wpasowując się w rytm podobnych do siebie dni.

R E Q U I E M

Słysząc jego kroki, kobiety podniosły głowy. Isenda wytrzeszczyła oczy, widząc jego nowe wcielenie.

Rudowłosa niewiasta o imieniu Krystianna uśmiechnęła się tylko. Kiwnąwszy im głową, Will oddalił się od rzeki w stronę karczowiska, z którego dochodziły odgłosy pił i siekier. Na polanie z mgły wyłoniły się wielkie kształty powstających machin. W powietrzu wirowały otrząśnięte sosnowe szpilki. Rozległ

się ostrzegawczy okrzyk i jękliwe skrzypnięcie, gdy drzewo pochyliło się i runęło w poszycie. Will poszedł dalej, mijając rząd mężczyzn z krótkimi lukami strzelających do celów przyczepionych do odległych drzew, a także grupkę młodzików ćwiczących walkę długą włócznią pod opieką

grubokościstego górala.

Dotarłszy do obozu, rozwiesił koszulę na gałęzi. Szałasy Dawida i Szymona były puste; pewnie poszli zapolować. Oddał pożyczoną brzytwę, a potem ukląkł na mchu i wyszeptał pacierz, który nauczono go odmawiać, ilekroć w wojennym czasie nie mógł wysłuchać siedmiu nabożeństw. Z tego nie chciał

zrezygnować.

Odmawiając ostatnią modlitwę, posłyszał za sobą szelest. Obrócił się i zobaczył żylastego mężczyznę w szacie z kapturem.

Witaj, ojcze. — Wstał i skłonił się lekko przed znacznie od siebie starszym mężczyzną, którego

przedstawiono mu dwa tygodnie wcześniej jako Jana Blaira, kapelana.

Wybacz, że przerywam ci modły — rzekł Jan cicho jak zwykle.

Właśnie skończyłem.

Zastanawiałem się, Wilhelmie, dlaczego nie przychodzisz na msze do kaplicy. Wiesz, że byłbyś wśród nas mile widziany.

Will powstrzymał cisnący się na usta uśmiech. „Kaplica" księdza Jana była polaną w lesie, rolę ołtarza pełnił gruby pniak.

Przyzwyczajony jestem modlić się sam, ale dziękuję. — Will zrobił krok w tył.

Może zatem przyjdziesz kiedyś po to, żeby po mszy opowiedzieć ludziom o Ziemi Świętej? — nie

ustępował ksiądz. — Mogłoby to dodać im ducha.

Dodać ducha? — Will przystanął. — Ziemia Święta nie jest rajem, jaki ludzie chcą w niej widzieć.

Skalaliśmy ją, gdy prócz krzyża wnieśliśmy tam miecz. Jak miałbym dodać im ducha, skoro mógłbym mówić tylko

śmierci i okrucieństwie? Jeśli to, co donoszą zwiadowcy, jest prawdą

armia angielska już na nas idzie, wkrótce sami zakosztują ich aż nadto.

Jan zmarszczył brwi.

Odpierali już ataki przeważających sił.

Nie pomniejszam ich odwagi — Will zniżył głos — ale dotąd wygrywali z zasadzki, podstępem,

napadając na źle bronione posterunki i linie zaopatrzenia.

Zajęli Perth i Glasgow. — W spokojnym tonie Jana pojawiła się głębsza nuta. — Wyparli Anglików ze Scone, pokonali tego drania szeryfa Lanarku i wycięli pięćdziesięciu jego ludzi.

Will słyszał opowieści o tych czynach niemal każdego wieczoru, a z każdą otwartą beczułką wina

(zrabowaną Anglikom) liczba przeciwników rosła. Z początku był pod wrażeniem. Do Midlothian

docierało niewiele wieści; nie miał wcześniej pojęcia, jak szeroki obszar objęło powstanie i jak było skuteczne.

Zaczęło się wczesną wiosną. Na południu przywództwo objął Wallace, na północy młody szlachcic,

Andrzej de Moray, którego ojciec był ongiś justycjariuszem Szkocji. Wkrótce rewolta objęła całe

królestwo. Wallace i jego ludzie przeprowadzili śmiałe ataki na Perth, Glasgow i parę innych miast obsadzonych przez Anglików, a potem obładowani łupem zapadli w wielkie lasy pod Selkirk. Teraz i szkoccy możni zaczynali się z nimi liczyć; niektórzy nawet kładli krzyżyk na swych angielskich

posiadłościach i przystępowali do powstania.

Will chciał napawać się zwycięstwami Wallace'a i jego ludzi, czuć tę samą pewność płynącą w żyłach gorącym, wartkim strumieniem. Po to tutaj przybył; szukał nowego celu, sposobu na walkę z Edwardem i może by go znalazł, gdyby nie Szymon. Pojawił się jak cień z innego świata, przypomniał mu o

wszystkim, od czego chciał się odciąć — o bólu, niechcianych powinnościach i zobowiązaniach. Teraz, patrząc w pytające oczy Jana Blaira, czuł tę samą presję.

Wallace i jego ludzie zdobyli miasta pełne uciskanych Szkotów, gotowych na wszystko, byle pozbyć się Anglików — powiedział. — Nie stoczyli walnej bitwy z ciężkozbrojną jazdą.

Nie będzie nam łatwo wywalczyć sobie wolność — rzekł powoli Jan

i nikt tego nie twierdzi. Odnieśliśmy już ciężkie rany, na ciele i na duchu.

Wzrok kapelana był zamyślony, niemal smutny. — Ale każdy z naszych ludzi wyposażony jest w

dodatkowy oręż, który ty, jak sądzę, straciłeś.

Jaki to?

Wiarę. — Zanim Will zdążył odpowiedzieć, Jan skłonił się lekko.

Jeślibyś zmienił zdanie, moja kaplica zawsze jest otwarta. Dobrego dnia.

R E Q U I E M

Will popatrzył w ślad za nim. Walczył z wątpliwościami, chciał uwierzyć, że kapelan ma rację i Szkoci mogą wygrać. Po klęsce Edynburga potrzebował jakiegoś zwycięstwa. Ale odkąd nadeszła wieść, że

angielska armia pod wodzą Cressinghama i hrabiego Surrey wyruszyła z Berwicku, miał tylko złe

przeczucia. Widział już tę armię. W przeciwieństwie do Wallace'a i jego najbliższych towarzyszy, wyszkolonych do walki, większość powstańców stanowili pasterze, rolnicy i mieszczanie. Jakkolwiek waleczni byli ich przywódcy, ta zbieranina nie mogła się równać z zakutym w stal rycerstwem Anglii.

Naciągnął na grzbiet suchą koszulę i ruszył w stronę kręgu namiotów w środku obozowiska,

zdecydowany pomówić z Wallace'em. Zastał młodego olbrzyma w otoczeniu przybocznych.

Wyglądali

trochę jak zbójecka banda, poznaczeni szramami i brudni, ale roześmiani, odprężeni; siedzieli naokoło trzeszczącego ogniska, nad którym wisiał żelazny kociołek. Will poczuł zapach dziczyzny i ziół. W

brzuchu mu zaburczało. W zeszłym tygodniu Dawid upolował jelenia. Opowiadał mu potem z

przejęciem, że sam Wallace pochwalił jego świetny strzał.

Nie! — mówił ze śmiechem Adam, potrząsając głową. — To było w Ayr. Pamiętacie tego zapaśnika?

Siwy zachichotał, Wallace uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział. Will zatrzyma! się w pewnym

oddaleniu. Wolałby pomówić z Wallace'em sam na sam.

No i co się stało? — rozległ się chrapliwy głos irlandzkiego wojownika o imieniu Stephen.

W mieście był pewien angielski żołnierz, zapaśnik, który się zakładał, że każdego pokona. Płacić trzeba było naprzód... ile, kuzynie?

Adam obejrzał się na Wallace'a. — Trzy pensy?

Cztery — odpowiedział Siwy, zanim Wallace zdążył się odezwać.

Will zapłacił osiem — ciągnął wesoło Adam — i skręcił durniowi kark.

Jezu! — mruknął Stephen.

Kamraci tego żołnierza napadli na Willa. Zabił siedmiu.

Zabiłem trzech — zgasił ich głęboki głos Wallace'a — a poza tym nie wspomniałeś, że trafiłem do lochu. Katowali mnie przez pięć tygodni. Bili i głodzili. Czułem, jak życie ze mnie wycieka, aż w końcu... — Wzruszył ramionami. — Byłem już prawie po tamtej stronie.

Mężczyźni umilkli.

Ludzie mówią, że umarłeś — bąknął jeden z towarzyszy Stephena.

Umarł — przyświadczył poważnie Adam.

Umarłem czy nie, dość, że Anglicy tak myśleli. — Wallace wziął bukłak od sąsiada w kręgu. —

Wyrzucili mnie na gnojowisko.

Dranie — warknął ktoś.

.

Ale że Will ma szczęście — podjął opowieść Adam —jedna starsza kobieta, która znała jego matkę, dowiedziała się o jego śmierci, co i nie dziwota, bo Anglicy wszędzie o niej trąbili. Poszła z synami, znaleźli ciało i załadowali je na wózek, żeby go pogrzebać. A gdy już umytego owijała w całun,

zobaczyła nagle, że rusza powieką. Przeniosła go do łóżka i odchuchala... a właściwie nie ona, tylko jej córka. — Mrugnął do Wal- lace'a. — Opowiedz im, kuzynie.

Wallace napił się wody z bukłaka.

Stara próbowała mnie karmić — wyjaśnił — ale byłem nieprzytomny, więc powierzyła to córce. —

Kącik ust mu zadrżał i wygiął się nieco.

A córka niewiele wcześniej urodziła dziecko i karmiła je piersią.

Siwy ryknął śmiechem, za nim inni, przewidując, co będzie dalej.

Powiedzmy to tak, że ocknąłem się z pełnymi ustami — zakończył Wallace.

A ona co?

Wystraszyła się trochę, a potem uśmiechnęła się do mnie, mówiąc, że z pierwszej już starczy, i podała mi drugą.

Boże, ależ ty masz dar do kobiet! — poskarżył się żałośnie Stephen.

Za co one kochają tego niedźwiedzia?

Bo ma długi mieczyk!

Mężczyźni zaczęli się tarzać ze śmiechu, choć Adam z najpoważniejszą miną wskazał oręż oparty o drzewo za Wallace'em. Był rzeczywiście imponujący i większości przebywających w obozowisku

mężczyzn sięgałby do ramienia.

Wallace nie wziął udziału w ogólnej wesołości; przeciwnie, słysząc komentarz Stephena, umilkł, jego uśmiech zbladł, jakby słońce schowało się za chmury, twarz się ściągnęła. Upił jeszcze parę łyków, wstał i odszedł, zostawiając towarzyszy przy ognisku.

Will odczekał trochę i poszedł za nim, okrążając namioty, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

Przyśpieszając kroku, dogonił Wallace'a, który zmierzał nad rzekę.

Wallace obrócił się szybko, sięgając po sztylet, potem się odprężył.

A, to ty. Czego chcesz?

Pomówić.

Ruszył dalej, Will za nim.

Nasłuchałem się tu bohaterskich legend — zaczął.

To wszystko prawda.

Wierzę. Zastanawiam się tylko, czy przeszłe zwycięstwa nie natchnęły was nadmierną pewnością siebie.

Poćwicz robienie bronią, Campbell. Anglicy niebawem nadciągną, a jak mówi mi twój siostrzeniec, od jakiegoś czasu nie miałeś sposobności do udziału w boju.

Posłuchaj mnie. — Will zastąpił mu drogę, zmuszając do zatrzymania. — Łamanie karków straży w

ulicznych bójkach nie jest tym samym co dowodzenie armią w polu. Nie sądzę, aby twoi ludzie w pełni rozumieli, czemu będą musieli stawić czoło i jakie ofiary ponieść.

Ofiary? — W oczach Wallace'a błysnął gniew. — To ty nie rozumiesz. Opowiadamy rzeczy, które

krzepią nam serca, podtrzymują na duchu. Nie słyszałeś tych, które budzą nas po nocach, jątrzą dusze.

Miałem kiedyś żonę. Odwiedzałem ją w Lanarku w przebraniu, byłem bowiem wyjęty spod prawa za

zabójstwo Anglika, który chciał zrabować konie mego stryja. Marion to rozumiała. Jej brat zginął z angielskiej ręki, podobnie jak mój ojciec. Osierocona w osiemnastej wiośnie pozostała jedyną

dziedziczką majątku, ale poślubiłem ją z miłości, nie dla posagu, jak to przedstawiają Anglicy — Głos Wallace'a zlodowaciał. — Pobraliśmy się w sekrecie i powiła mi córkę. Za którymś spotkaniem

wytropili mnie żołnierze i Marion pomogła mi uciec. Szeryf Lanarku zażądał, by mnie wydała.

Odmówiła. Kazał zabić ją i dziecko. Więc włamałem się do jego domu i zarżnąłem go w łóżku. Nie

znasz mnie, rycerzu Templum, ani moich ludzi.

Nie jestem już templariuszem — mruknął Will, niewielką znajdując pociechę w podobieństwie losu

Wallace'a do swego.

Myślisz, że goląc brodę, stajesz się kimś innym? Nadal jesteś templariuszem, który zszedł ze swojej ścieżki, a ja wciąż jestem owdowiałym synem szlachcica poległego w obronie kraju. Las ukrywa takie rzeczy, ale ich nie zmienia. Kiedy pobędziesz tu trochę dłużej, sam się o tym przekonasz.

Wysforował się do przodu, ale Will nie miał zamiaru ustąpić.

Nie stawialiście jeszcze czoła wielkiej angielskiej armii. Masz trzy tysiące ludzi. Ich będzie ze dwadzieścia tysięcy. Naprawdę wierzysz, że uda ci się ich pokonać? Czy też zaślepiła cię żądza zemsty?

Jeszcze zanim Balliola pozbawiono korony, zanim zbuntował się przeciw Edwardowi, Anglicy

pustoszyli nasze ziemie. Podczas gdy ty walczyłeś dla Boga za morzem, my tu od siedmiu lat mamy ciągłą wojnę.

Głos Wallace'a nabrzmiał pasją. — Kiedy możni Szkocji złożyli hołd Edwardowi, wpuścili wilka do owczarni. Głodnego, wściekłego wilka. Angielscy żołnierze setkami wypełnili miasta i zamki.

Traktowali nas jak niewolników. Nazywali barbarzyńcami, dzikusami. Skargi uciszali groźba

mi, potem pięścią, a w końcu mieczem. Przemoc narastała, a możni udawali, że jej nie widzą, nie chcąc narazić swoich fortun.

Milczał przez chwilę, potem podjął:

Sześć lat temu w hrabstwie Ayr, gdzie osiadła moja rodzina, kilkoro dzieci, czterech chłopców i dziewczynka, rzucało kamieniami w stronę zamku, gdzie stacjonował angielski garnizon. Łucznicy z murów wystrzelali je wszystkie. Najstarsze miało osiem lat. Tej samej nocy oddział naszych, wśród

których byli mój ojciec i brat, zdobył garnizon. Paru Anglikom udało się uciec, pięciu wzięto żywcem.

Powieszono ich na drzewie w samym środku miasta. Przybyła nowa załoga, zorganizowali silną obławę.

Rozegrała się bitwa na wzgórzu zwanym Loudoun. Tam zginął mój ojciec, straciwszy obie nogi. —

Wallace urwał. — Nie wiesz, o co walczymy. I skąd miałbyś wiedzieć? Nie było cię tutaj.

Z tyłu dobiegł ich tętent i nawoływania. Wallace zawrócił, roztrącając poszycie. Na skraju polany dwóch jeźdźców zsiadało z koni. Otaczał ich wianek ludzi.

Co jest? — zawołał Wallace.

Są wieści o Anglikach. — Adam wyszedł mu naprzeciw, obrzucając Willa podejrzliwym spojrzeniem.

— Armia pod wodzą skarbnika złodzieja i Jana de Warenne zmierza na Stirling.

Chcą tam przekroczyć Forth — kiwnął głową Wallace — w drodze na północ. Zamierzają

odwojować

to, cośmy im zabrali, najpierw Perth, a potem Dundee. — Odetchnął głęboko i dodał opanowanym

głosem:

A zatem spotkamy się z nimi pod Stirlingiem.

To nie wszystko — ciągnął Adam; jego pokiereszowana twarz promieniała triumfem. — Andrzej de

Moray i jego rycerze chcą połączyć z nami siły.

Drapieżny uśmiech przebiegł twarz Wallace'a.

Zbierz ludzi, kuzynie — rzekł i zerknął przez ramię na Willa.

Wyruszamy.

Obóz angielski pod zamkiem w Stirlingit Jedenasty dzień września roku Pańskiego 1297

Jan de Warenne, hrabia Surrey, ze zmarszczonym czołem rozglądał się po okolicy z siodła swego rumaka.

Ranek wstał pogodny i jasny. Trawa pod kopytami skrzyła się kroplami rosy, słońce odbite od szerokiej, wijącej się rzeki oślepiało. Powietrze było rześkie chłodem zbliżającej się jesieni i hrabia z zadowoleniem otulił się grubym niebieskim płaszczem haftowanym w złote desenie, który miał na zbroi. Po przewlekłej gorączce, jakiej nabawił się na łowach, czuł się bardziej niż zwykle wrażliwy na zimno. Wciąż jeszcze kłuło go w płucach i ostatnie, czego pragnął, to konne wojaże po tym przeklętym kraju na czele armii.

Dominikanie powinni byli już wrócić — rozległ się dźwięczny donośny głos. — Nie możemy dłużej czekać.

Hrabia zmarszczył czoło jeszcze srożej, widząc Hugona Cressinghama na gniadym ogierze. Było to masywne grubonogie zwierzę dostosowane do wagi jeźdźca. Wyniesiony do godności skarbnika Szkocji, Cressingham przeobraził się z pulchnego pompatycznego urzędniczyny w otyłego i aroganckiego dworaka. Czterech ludzi musiało podsadzać go na siodło ku niezmiernej uciesze walijskich łuczników. Wciśnięty w olbrzymie siodło w swej błyszczącej kolczudze Cressingham wyglądał jak gigantyczny ślimak. Mimo chłodu twarz lśniła mu od potu, a pasek hełmu niknął między dwoma podbródkami. Jan de Warenne też nie był już żylastym młodzikiem jak ongi, ale pod brzuchem zachował mięśnie. Ten rozlazły mięczak jadący obok niego kalał strój wojownika, nie mówiąc już o tym, że miał współdo- wodzić tysiącami zbrojnych, którzy koczowali na równinie między brzegiem rzeki Forth a zamkiem.

Ruszymy, kiedy wydam taki rozkaz — warknął hrabia.

Cressingham uniósł brew.

Doprawdy? Miałem wrażenie, żeś go już wydał.

Warenne się nachmurzył, lecz nie podjął dyskusji. To prawda, wczorajszego wieczoru wydał rozkazy i o brzasku pierwsze oddziały sumiennie zaczęły się przeprawiać przez drewniany most spinający brzegi rzeki.

Straż przednią stanowiło trzystu łuczników, za nią miało ruszyć pięć tysięcy piechoty. Słońce wzeszło, a Warenne wciąż wypoczywał w namiocie. Osamotniona na przeciwległym brzegu awangarda zawróciła, klnąc i sarkając.

Hrabia swą ociężałość przypisywał chorobie, ale choć było to do pewnego stopnia prawdą, poważniejszy czynnik powstrzymał go od przeprawienia reszty sił. Przez dwa ubiegłe dni mżyło, powietrze zasnuwała mgła, w której nie sposób było się rozeznać. Dopiero tego ranka pogoda się poprawiła i zlustrowawszy wreszcie okolice przeprawy, Jan de Warenne zaczął się wahać.

Równina pod zamkiem sterczącym na skale była równa i twarda. Ale tuż za mostem, który sam w sobie stanowił wąskie gardło, rozciągały się miękkie, nasiąknięte wodą łęgi, zbyt grząskie dla ciężkiej jazdy. Od mostu aż do widocznego w dali wzniesienia zwanego Opacką Skałą biegła nadsypana grobla — niestety, mogło nią jechać obok siebie tylko czterech jeźdźców. Kiedy słońce znalazło się wyżej, dostrzeżono metaliczne błyski w zagłębieniu na lewo od skały, niecałą milę na północ. Okazało się, że czekają tam Szkoci. Za plecami mieli ciemny masyw Ochil, łysy i pobrużdżony. Żeby dostać się do wroga, wojska Warenne'a musiały najpierw przecisnąć się przez most, potem przejść odsłoniętą wąską groblą przez bagniste pola, a na koniec walczyć pod górę. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia.

Im dłużej zwlekamy, tym więcej tracimy sił i środków — perorował Cressingham. — Najjaśniejszy pan chce prędko zgnieść tę rebelię, żeby móc przerzucić wojska do Flandrii. Nakazał nam pośpiech. Poza tym ludzie się niecierpliwią. — Skarbnik pulchną dłonią wskazał za siebie. — Młodzi rycerze palą się do walki. Należałoby ich spuścić ze smyczy.

Największym marzeniem Warenne'a było w tej chwili wysadzenie Cressinghama z siodła solidnym

R E Q U I E M

kopniakiem, ale z pewnym trudem zdołał się opanować. Skarbnik Szkocji nieoczekiwanie rozwinął skrzydła na swym nowym stanowisku i mimo pogłosek, że przywłaszcza sobie część danin zebranych przez szeryfów, pozostawał w wielkich łaskach u króla. Warenne z kolei miał w nosie namiestnictwo tej dzikiej prowincji i większość czasu spędzał w Yorkshire na ucztach i łowach. Toteż pod jego zauważalną nieobecność

Cressingham stał się oczyma i uszami Edwarda i choć hrabia szczerze nienawidził skarbnika, nie miał teraz wyboru, jak pójść za jego radą. Cressingham już odesłał chorągiew posiłkową z powrotem do Ber- wicku, chcąc zaoszczędzić wydatków. Miał dostateczną władzę, by narobić jeszcze więcej szkód, jeśli się uprze.

Damy mnichom godzinę. Jeśli nie wrócą, rozpoczniemy przeprawę.

Nie zostawiając Cressinghamowi czasu na odpowiedź, hrabia zawrócił

konia i podjechał do czekających rycerzy. Mimo zdenerwowania był pewien, że dwaj zakonnicy wysłani z poselstwem do Szkotów wrócą. Był też prawie pewien, że przyniosą odpowiedź, która zaoszczędzi mu dalszych deliberacji. Ci barbarzyńcy nie dorównywali im ani siłą, ani wartością bojową. Zbieranina chłopów pod przywództwem garstki banitów! Nie mogli nawet marzyć o stawieniu czoła śmietance angielskiej szlachty.

Musieli się poddać.

Ale choć dominikanie rzeczywiście wrócili — idąc groblą w czarnych kapach łopoczących na wietrze, wyglądali jak dwa złowróżbne kruki — nie przynieśli wieści, jakich Warenne się spodziewał.

Wyżsi rangą rycerze krążyli niecierpliwie przed namiotem Warenne'a, mocząc buty i rąbki tunik w wilgotnej trawie. Pora była wreszcie coś postanowić.

No i jak? — zawołał z konia Cressingham, ruszając naprzeciw posłów. — Co mówią buntownicy?

Szkoci się nie poddadzą — odparł posępnie jeden z mnichów.

Chcą walczyć.

Ponad gwar oburzonych głosów wybił się pogardliwy dyszkant Henryka Percy'ego, ambitnego młodego lorda, wschodzącej gwiazdy na angielskim dworze.

Chcą walczyć! Czy te zwierzęta w ogóle zdają sobie sprawę, co ich czeka?

Owszem — odparł drugi — ale ich przywódca, Wallace, rzekł, iż wolą zginąć, niż żyć pod panowaniem Anglii.

Tym razem prócz pomruków ozwały się śmiechy.

Wallace mówi — ciągnął dominikanin z powagą — że przyszli tu pomścić swoje krzywdy i swoich zabitych, nie układać się z tyranami. Mieczem dowiodą, kto ma słuszność.

Szyderstwa ucichły. Ktoś zawołał:

Dajmy im to, czego chcą!

Wepchniemy im w gardła obelgę!

Warenne spochmurniał, słysząc wieści. Wyprostował się jednak i rzekł stanowczo:

Podjęli więc decyzję i wkrótce jej pożałują. Pozostaje nam tylko znaleźć im miejsce na pochówek. Ze swej obecnej pozycji będą atakować w dół... — Odwrócił się do jednego z dominikanów: — Czy trafnie oceniliśmy ich liczbę?

Mają bardzo wielu pieszych, ale tylko garstkę jazdy.

Kilku dowódców wyraziło swe opinie, lecz zagłuszył ich przenikliwy głos Cressinghama.

Nie rozumiem, nad czym tu się jeszcze zastanawiać. Dałeś już, panie hrabio, rozkaz przejścia przez most. Niech żołnierze wreszcie go wykonają i poczynajmy w imię Boże! Dość zmarnowaliśmy czasu i pieniędzy.

Policzki Warenne'a pociemniały, lecz nim zdążył odpowiedzieć, ubiegł go rycerz ze świty Percy'ego.

Rozumiem, dlaczego hrabia się waha — rzekł, skłaniając głowę przed Warenne'em. — Most jest wąski, a leżący za nim teren podmokły. Ale nieco dalej w górę rzeki jest bród, w czasie odpływu dość łatwy do sforsowania. Mogłoby nim przebyć rzekę więcej ludzi naraz. Okolica brodu jest zalesiona, zaszlibyśmy więc wroga niepostrzeżenie od północy. Piechota rozpoczęłaby przeprawę tutaj, prowokując Szkotów do ataku, jazda tymczasem uderzyłaby na nich od tyłu.

Warenne z namysłem zmarszczył brwi. Po źle przespanej nocy ciężko mu było się skupić, zwłaszcza że dowódcy poszczególnych chorągwi przekrzykiwali się wzajemnie. Ową słowną batalię wygrał znów Cressingham:

Nie i jeszcze raz nie! Czekając na odpływ, zwiększymy opóźnienie

o

kolejne kilka godzin. Przestańmy się spierać i przekroczmy wreszcie tę przeklętą rzekę! Kiedy Szkoci zobaczą nas w marszu, najpewniej podkulą ogony i czmychną. Jeśli nie, zmiażdżymy ich tam, gdzie stoją. W

Dunbarze też mieli przewagę — rzekł, odwracając się do hrabiego — a urządziłeś im tam krwawą jatkę, choć stawało przeciw tobie szkockie rycerstwo, nie ta hołota.

Zgadzam się z tym — rzekł stanowczo Percy.

Nikt nie ośmielił się kwestionować zdania tych dwóch. Wszystkie oczy zwróciły się na Warenne'a, który wodził

wzrokiem od młodego lorda do Cressinghama. Percy był nie tylko ambitny i faworyzowany na dworze, przywiódł ponadto ze sobą pod Stirling trzystu rycerzy i osiem tysięcy piechoty. Wojna z Cressinghamem, który trzymał łapę na skarbcu, była ryzykowna, ale otwarte starcie z Percym zakrawało na szaleństwo. Poza tym wczoraj i jemu samemu przeprawa przez most wydawała się właściwa. Hrabia z rozdrażnieniem potarł czoło.

Najchętniej położyłby się jeszcze

R E Q U I E M

na kilka godzin, do czasu, aż będzie w stanie myśleć jasno. Niestety, decyzję musiał podjąć teraz.

Koniec gadania — mruknął. — Zaczynamy przeprawę.

Obóz szkocki, Stirling Jedenasty dzień września

Siwy wałach niecierpliwie rzucił głową i Will ściągnął wodze. Konie wyczuwały napięcie jeźdźców, którzy ustawieni w rzędach na stoku niewielkiego wzgórza przyglądali się Anglikom przekraczającym rzekę.

Widok rzeczywiście był zatrważający.

Pierwsi przez most przeszli Walijczycy uzbrojeni w długie luki, o których mocy i zasięgu zaczynały już krążyć legendy. Dalej chorążowie unosili wysoko proporce swoich panów. W orgii barw — błękitu i purpury, żółci i R O B Y N Y O U N G

czerwieni — igrały jak żywe wyszywane jelenie, lwy, orły i gryfy. Za nimi jechali konno wielcy panowie lenni otoczeni rycerstwem; podkute kopyta opancerzonych bojowych rumaków wybijały na moście zawadiacki rytm.

W końcu ruszyli piesi, ich błyszczące jak woda hełmy spiętrzyły się w przesmyku mostu, a następnie szeroko rozlały po równinie. Oddział pięćdziesięciu jeźdźców oderwał się od głównej kolumny, popędził groblą w stronę Opackiej Skały i ustawił się w ciasnym szyku na grzbiecie wzniesienia, aby ubezpieczać pochód wojsk.

Przeprawa szła powoli. Na południowym brzegu Forth pod zamkiem wciąż stały w ordynku tysiące zbrojnych, czekając na swoją kolej. W dole ozwały się rogi, tocząc donośne echo po równinie aż do uszu Szkotów na wzgórku.

Will zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem. Wypatrywał w masie wojsk wyróżniającego się białego czworoboku templariuszy. Ich nieobecność mogła wskazywać, że Edward nie zyskał jednak efektywnego wsparcia w tej kampanii, ale bardziej prawdopodobne było to, że pewien wyniku bitwy nie wezwał ich w ogóle na pomoc. Sam także nie przybył. Podobno walczył z Francuzami we Flandrii.

Matko Boska... — rozległ się zduszony szept.

Will obejrzał się przez ramię. Młody Irlandczyk z oddziału Stephena jak zaczarowany wpatrywał się w nadciągające wojska. Czując na sobie spojrzenie Willa, spytał:

Widziałeś kiedyś coś takiego?

Will pomyślał o Antiochii, o Akce. Skinął głową. Irlandczyk gwizdnął przez zęby i nie odrywając oczu od zastępów wroga, powtórzył:

Matko Boska!

Nie on jeden okazywał zdenerwowanie. Wszędzie widać było rozszerzone oczy i stężałe twarze, żyły pulsujące na szyjach usztywnionych z napięcia, przygarbione ramiona i lśniące strużki potu. Strach

jest zaraźliwy'; rozprzestrzeniał się po zboczu wśród stu sześćdziesięciu jeźdźców i ponad dziesięciu tysięcy ustawionych na nim pieszych żołnierzy.

Poprzedniego wieczoru morale było lepsze. Przysłuchując się śmiechom i śpiewom ludzi usadowionych wokół

huczących wysoko ognisk, Will czuł bijącą od nich pewność zwycięstwa. Tym razem się nie martwił jak zeszłego roku, gdy przybywszy do Szkocji, zastał w niej lud rwący się do walki i rozpaczliwie do niej nieprzygotowany. Tym razem sam czul się podniesiony na duchu. Szkoci otrzymali od Anglików gorzką lekcję.

Zaczęła się ona masakrą Berwicku, a skończyła uwięzieniem króla i brutalnym podporządkowaniem narodu. Ich buta była teraz twardsza, zrodzona ze świetnych zwycięstw Wallace'a i Moraya, a jeszcze bardziej z kiełkują-

cego patriotyzmu — poczucia wspólnej sprawy, która ich jednoczyła, dając w bólu nadzieję. Ta świadomość wspólnoty najbardziej ujęła Willa w noc przed bitwą, gdy przy ognisku słuchał, jak ludzie niższego stanu, przybyli tu z całego niemal królestwa, opowiadają o swoich domach i rodzinach. W przeciwieństwie do angielskich piechurów, z których wielu wcielono do armii siłą lub podstępem, ci szkoccy wieśniacy walczyli z własnej woli. Nie władali rozległymi ziemiami, nieliczni mieli kolczugi zdobyte na Anglikach, niektórzy byli wręcz goli i bosi, uzbrojeni w oszczepy, topory i pałki. Ale chociaż się bali, nie uciekli przed jedną z najpotężniejszych armii świata.

Gdzieś w tej ciżbie byli Dawid i Szymon. Will rzucił okiem na rozległe linie piechoty i pomodlił się żarliwie o życie siostrzeńca. Wyruszając na wojnę, Dawid siłą musiał się wyrwać z objęć matki. Płakała rozpaczliwie w ramionach Krystianny, gdy opuszczali las Selkirk.

Przeniósł z powrotem wzrok na zbliżających się Anglików. Serce biło mu równo i zdecydowanie w tym samym rytmie co angielskie bębny. Podczas gdy niedoświadczeni wojacy wokół niego wiercili się i mruczeli, poprawiali nerwowo broń i próbowali opanować pęcherz, Will czuł, że ogarnia go niewzruszony spokój. Taki spokój rodzi się z decyzji, by walczyć; pod jej wpływem człowiek twardnieje na kamień. Teraz nie było już odwrotu. Wkrótce spokój przerodzi się w niecierpliwość, serce przyśpieszy, krew zacznie pulsować w skroniach.

Potem przez ciało przebiegnie dreszcz podniecenia i z drapieżnym uśmiechem rycerz pochyli kopię, mierząc w przeciwnika.

1 4 5

Słońce wznosiło się ku zenitowi. Will szacował, że przez most przeszło już około siedmiu tysięcy Anglików.

Lada chwila rozlegnie się sygnał do ataku. Oczekując go, podniósł wzrok na grań Opackiej Skały, gdzie jak wiedział, Wallace i Moray wraz ze swymi wojewodami przyglądali się pochodowi wroga. Zeszłej nocy na zamkniętej naradzie wojennej obmyślili pułapkę. Słuchając śmiałego planu, Will zrozumiał, jak Wallace, młodszy syn pomniejszego rycerza, zdołał dokonać tego, czego dokonał w minionych latach. Choć młody olbrzym miał ledwie połowę jego lat, czuł do niego szacunek jak ongiś do Owena, Ewerarda czy ojca.

Przybyliśmy tu walczyć za króla Jana! — ryknął Wallace do wojsk, kiedy rano ściągnęli na pole bitwy. —

Będziemy walczyć za synów i córy Szkocji, jęczących pod jarzmem okrutnika!

Kiedy niski głos rogu poniósł się nad szczytem Opackiej Skały, krew Willa gwałtownie przyśpieszyła w żyłach.

Dźwięk odbił się echem o wzgórza, zagłuszając angielskie trąby i przejmując Szkotów dreszczem. Will pochylił

ciężką kopię, przyciskając ją do ciała. W szeregach zabrzmiały bojowe okrzyki.

„Walczymy o nasze domy i ziemie!” — mówił im rano Wallace.

Najpierw ruszyła jazda. Nabierając prędkości, runęła w dół zbocza, celując w środek grobli pogrążony w R O B Y N Y O U N G

głębokim cieniu sterczącej nad nim skały.

„Walczymy o wolność!”

W ślad za kawalerią rozlała się po polu wielka pstra fala piechoty. Prawe skrzydło, złożone z włóczników, na rozkaz dowódcy oderwało się od reszty i co sił w nogach popędziło na południe, w stronę mostu, przez który wciąż szli Anglicy osłaniani przez pięćdziesięciu konnych rycerzy.

Świat rozmywał się w oczach, ciałem trząsł wściekły galop konia, a echa słów Wallace’a raz po raz rozbrzmiewały w uszach Willa, coraz głośniej i szybciej, aż stały się jego własnymi — powodem, dla którego tu był. Jak ta niewielka szkocka armia przeciw angielskiej potędze, jak Dawid przed Goliatem, tak i on wyruszał

przeciw Edwardowi. Króla tu nie było, ale była jego armia, jego duma. To już coś. To wystarczy. Nienawiść zakipiała w nim, doprowadzając krew do wrzenia, każąc dźgać ostrogami końskie boki i szczerzyć zęby pod hełmem. Anglicy pośpiesznie formowali szyk; zawracali wierzchowce,

nastawiali kopie i unosili tarcze. Will widział w nich tamtego żołnierza, który bez wahania, dla kaprysu przebił Toma mieczem; tamtego poborcę, który dźgnął Duncana w plecy — nie ludzi, lecz sięgające Szkocji chciwe palce Edwarda, które trzeba było odrąbać i zmiażdżyć.

Walijscy łucznicy na grobli wypuścili chmarę strzał, których ostre żądła wbiły się w nacierających. Nie zdołały jednak powstrzymać nawały. Ranne konie biegły dalej resztką sił, po czym dopiero waliły się na ziemię, zrzucając jeźdźców. Niektóre dźwigały się później, inne nie. Spod Opackiej Skały zjechali na równinę szkoccy przywódcy, by dołączyć do głównego natarcia. Wallace ryczał jak niedźwiedź, wywijając wielkim toporem.

Z przeszywającym szczękiem żelaza i drewna szkocka jazda wbiła się w rozciągniętych na grobli Anglików. Jej konie, lżejsze, choć krępe, lepiej dawały sobie radę na podmokłym gruncie niż obciążone zbroją bojowe rumaki Anglików. Will wybrał rycerza w hełmie bez zasłony i pchnął mocno kopią. Grot rozerwał stalowe kółka kolczugi, przeszedł przez wyścielany kubrak jak przez masło i utkwił w piersi mężczyzny. Anglik zwalił się w tył, wyrywając drzewce z dłoni Willa. Ten wyszarpnął z pochwy falcjona i parł dalej w szeregi nieprzyjaciół.

Dziadkowy oręż, choć krótszy od większości mieczy używanych przez ciężką jazdę, w ścisku sprawdzał się nad podziw. Nie było tu miejsca, żeby się zamachnąć, trzeba było kłuć i dźgać. Popchnięty z boku siwek zarżał i cofnął się, wpadając na innego konia. Czyjś miecz

cal miną! szyję Willa, inny zadźwięczał mu na hełmie, omal go nie ogłuszając. Prowadząc wierzchowca kolanami, podniósł tarczę, odpierał kolejne uderzenia, choć od ich siły drętwiało mu całe ramię.

Wallace tymczasem wyciął krwawy pokos przez pół tuzina angielskich rycerzy i wpadł na łuczników, którzy nie ustępując, nadal razili strzałami szkocką jazdę. Rozpierzchli się, dopiero gdy pierwsze szeregi padły niczym ścięty łan.

Kiedy przy północnym końcu grobli wrzała już zacięta walka, szkocka piechota dotarła do angielskiej, która zwarła szyk na jej przyjęcie. Wśród Szkotów pędził Dawid gnany żądzą zemsty, bo martwa twarz ojca paliła go w myślach. Trzymał długą włócznię tak, jak nauczył go Wallace, mierząc nią w przeciwnika. Niedaleko za nim biegł z posępną miną Szymon w prostej czystej tunice pozbawionej insygniów. On także niósł włócznię.

Dziesięć tysięcy pieszych uderzyło w podchodzących Anglików z niesłychaną siłą. Przebijani włóczniami ludzie kwiczeli niczym zarzynane zwierzęta. Pękały czaszki, wypływały trzewia. Stopy mieliły śliskie czarne błoto, ludzie warcząc jak wilki napierali na siebie w tłoku. Szkoci mieli jednak liczebną przewagę, krok za krokiem spychali wroga na urwisty brzeg rzeki. Forth była tu głęboka; ci, którzy wpadli lub zostali wepchnięci, tonęli pod ciężarem zbroi, bezskutecznie usiłując przepłynąć na drugi brzeg. Angielska jazda, rozciągnięta na grobli, znajdowała się za daleko

zbyt była zajęta walką wręcz, by zapanować nad ruchami piechoty.

Prawe skrzydło, które oderwało się na początku natarcia, wycinało oddział pięćdziesięciu konnych broniących mostu. Ziemia tu była jeszcze bardziej grząska, konie ślizgały się w błocie i potykały.

Angielscy rycerze nadaremno usiłowali wyprowadzić przeciwnatarcie. Część zawróciła, by uniknąć rzezi. Przez most jednak parła fala piechoty, chcąc wesprzeć ginących towarzyszy. Wycofujący się rycerze wpadli na nią, wzmagając chaos.

W zamieszaniu konie rżały i stawały dęba, tratując ludzi i spychając ich z mostu; kilka wpadło do rzeki, jeźdźcy skakali z siodeł i przez chwilę miotali się w wirującej wodzie, nim ich wciągnęła. Innych dosięgały oszczepy rzucane przez S *1*

z *4 6*

kotów tłoczących się na brzegu.

Will odbił tarczą cios jakiegoś rycerza i ciął go w gardło. Tamten zsunął się z siodła z nogą uwięźniętą w strzemieniu, jego koń uskoczył. Will wykorzystał powstałą lukę i dostał się na usianą ciałami groblę. Pot szczypał go w oczy. Rozproszył broniącą się jeszcze grupkę pieszych. Przed sobą widział Wallace'a. Młody olbrzym zbryzgany był krwią, a w oczach płonął mu szał. Stracił konia i walczy! pieszo, wywijając oburącz mieczem. Długie ostrze kosiło każdego, kto się zbliżył, tnąc jednako zbroje i ciała. Adam walczył u boku kuzyna, ociekając potem i błockiem, jego tęga maczuga furkotała w powietrzu, miażdżyła czaszki i szczęki.

Przedstawiali straszliwy widok.

Przesuwając się w ich kierunku, Will kątem oka zauważył łucznika, który dźwignął się z ziemi i drżącymi rękami napiął łuk. Gwałtownie nawrócił konia i wychylając się mocno z siodła, zdążył ciąć łucznika w ramię.

Walijczyk krzyknął, strzała wyleciała w powietrze i nie czyniąc Wallace'owi krzywdy, łagodnym lukiem wpadła do wody. Chwilę później jadący za Willem Siwy dobił rannego.

R E Q U I E M

Siwy zgubił hełm, a jego szorstkie włosy umazane były krwią z rany na głowie, ale uśmiechnął się do Willa, szczerząc zęby.

Ustępują! — wrzasnął, wskazując mieczem postrzępione szeregi Anglików. — Na nich!

Jan de Warenne patrzył ze zgrozą, jak szkoccy włócznicy wchodzą na most. Potężna armia została prawie rozcięta na dwie części, jej głowę odrąbano od tułowia. Teraz, gdy Szkoci bronili przeprawy ścianą włóczni, mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak na jego oczach wyrzynają sześć tysięcy ludzi. Walijscy łucznicy mogliby ich zapewne powstrzymać na czas dostateczny, by zdołał oczyścić most i wyprowadzić szarżę — ale łucznicy poszli z Cressinghamem w straży przedniej i większość dostała się pod szkockie miecze, nim zdołała oddać więcej niż dwie salwy. Warenne nie widział już sztandaru skarbnika Szkocji. Otworzył usta, żeby wydać rozkazy, ale glos go zawiódł. Zgiełk bitewny zagłuszał wszystko.

Panie — odezwał się z pobladłą twarzą towarzyszący mu rycerz.

Co mamy robić?

Jan de Warenne, hrabia Surrey, jeden z najpotężniejszych ludzi w Anglii, zasłużony dowódca kilkunastu kampanii, potrząsnął tylko głową.

Nie wiem — rzekł ochryple. — Ja nie...

Przed oczyma miał kwiat swoich rycerzy otoczony i zakłuwany przez Szkotów. Piesi zaczęli się cofać, wlokąc rannych. Szkoci wolno i ostrożnie posuwali się za nimi, dobijając to tego, to owego.

Spalcie most—wychrypiał w końcu hrabia.—Spalcie go i odtrąbcie odwrót.

Pozostawiwszy walczących jeszcze pobratymców na drugim brzegu rzeki, ocalała część armii Warenne'a rozpoczęła odwrót.

W ciągu mniej niż godziny bitwa dobiegła końca. Szkoci triumfowali. Ponury proceder dobijania rannych trwał

jeszcze czas jakiś, ale wkrótce na zdeptanym polu żywi pozostali tylko zwycięzcy. Zginęło ponad stu angielskich rycerzy i pięć tysięcy piechoty oraz duży kontyngent walijskich łuczników. Poległych obdzierano z broni i zbroi, trupy wrzucano do rzeki. Szkotów poległo niewielu, choć Andrzej de Moray odniósł poważną ranę w pierś i został zniesiony z pola. Znaleziono spasłe ciało Hugona Cressinghama rozprute włócznią. Z posępną uciechą wieśniacy obdarli do naga zwłoki znienawidzonego skarbnika, który odbierał im każdy kęs jadła. Jeden z dzikim okrzykiem odciął genitalia trupa, podjudzany przez towarzyszy. Był to sygnał dla innych.

Przepychając się wzajemnie, rozdarli ciało na strzępy, rzucili się na zwłoki jak w szale, jakby każdy chciał

przynieść swoim ziomkom dowód, czego dziś dokonali. Każdy krwawy ochlap był symbolem długo

wyczekiwanego odwetu.

Will znalazł Dawida na łęgu, nieopodal płonącego mostu. Czarny dym walił w niebo, wyciskając łzy z oczu.

Will zdjął hełm i uścisnął siostrzeńca, a cofnąwszy się, zobaczył umazanego błotem Szymona, który kuśtykał, podpierając się włócznią, ranny w udo. Choć od spotkania w lesie prawie ze sobą nie rozmawiali, podbiegł i porwał go w ramiona. Dopilnowawszy opatrzenia rany Szymona, wyczerpany przysiadł na grobli. Wokół rozbrzmiewały zdyszane wiwaty Szkotów. Lewe ramię piekło go jak ogień, prawe mrowiło boleśnie. Siedząc tak w południowym upale i wdychając odór śmierci, przymknął oczy i wyobraził sobie minę Edwarda, któremu doniesiono, że jego potężna armia została pokonana przez chłopów

i banitów. Przez chwilę rozkoszował się tą sceną. Potem padł na niego czyjś cień, otworzył więc oczy. Stał

przed nim Wallace.

Siwy mówi, że jestem ci winny wdzięczność. Ocaliłeś mi życie.

Nie musisz mi dziękować.

Wallace tylko się uśmiechnął.

Chodź. — Wyciągnął rękę, a kiedy Will ją ujął, podciągnął go na nogi. — Jeszcze nie skończyliśmy.

Gdy rozpoczął się odpływ, zebrali zmęczonych ludzi i powiedli konnicę do brodu na Forth. Stamtąd bez litości ścigali cofające R

siOę B Y

w N

oj Y O

ska, U

w Ny G

cinając piechurów, którzy zostali w tyle, i porywając juczne konie przez całą

drogę aż do granicy.

Jak później mówiono, Jan de Warenne umykał tak chyżo, że stanął na popas dopiero w Berwicku.

Las Selkirk

Dwudziesty pierwszy dzień czerwca roku Pańskiego 1298

Will z ulgą zdjął koszulę i podwinął gatki. Klucząc pomiędzy omszałymi kamieniami, zszedł do wody. W

przeciwieństwie do nagrzanego powietrza była lodowata. Pochyliwszy się, zamoczył miskę i garścią sitowia zaczął wymywać z niej resztki tłuszczu po wieczerzy. Strumień szumiał głośno.

Dzień dobry!

Obrócił się i ujrzał Krystiannę schodzącą boso na brzeg z naręczem drewnianych misek. Kiwnął jej

głową na powitanie.

Uśmiechnęła się, podwinęła rękawy bladozielonej sukni i zanurzyła w spienionej wodzie pierwszą miskę.

Słońce, przeświecając przez liście olch i brzostów porastających brzeg, rzucało jej na twarz figlarne cienie.

Dziś znów będzie upał. — Rzuciła okiem na Willa i w jej uśmiechu pojawiło się zaciekawienie. — Kto ci to zrobił?

Patrzyła na jego plecy. Will zdał sobie sprawę, że mówi o znaczących je starych bliznach po chłoście, którą kiedyś wymierzył mu Ewerard.

Mój dawny mistrz — mruknął.

Odłożyła miskę i usiadła na trawie, podciągając kolana pod brodę. Była już niemłoda, z pewnością po trzydziestce, ale z rudymi włosami zmierzwionymi po śnie wyglądała na dziewczynę. Will zdał sobie sprawę, że się na nią gapi. Wsadził swoją miskę z powrotem do strumienia, choć była już czysta.

A tamto? — wskazała zawęźloną bliznę zniekształcającą mu kolano.

Wpadłem do studni.

Przypomniał sobie oddalający się zwycięski uśmiech Angela Vitturie- go, gdy spadał w dół, w nicość. Złamana wówczas w dwóch miejscach noga wciąż mu dokuczała; zwłaszcza zimą nieraz budził go rwący ból.

Te znam. — Krystianna powiodła w powietrzu palcem, wskazując ślady na czole, ramieniu i łydce po ranach odniesionych pod Stirlingiem

i później. Przyjrzała mu się bacznie i pokręciła głową. — To już chyba wszystkie? Więcej nie widzę.

Nie, jest jeszcze jedna, poniżej łokcia.

Will spojrzał na różową plamkę na bocznej powierzchni przedramienia i zapomniał o trzymanej w ręku misce. Blizna była ledwie widoczna, zdumiał się, że w ogóle ją zauważyła. Wtedy, w płonącym domu, osłaniał się ręką przed ścianą ognia, próbując wejść na schody. Rękaw zaczął płonąć, wyszedł stamtąd w pęcherzach. A jednak blizna była taka mała, taka nieznaczna. Żałosna. Gdyby odniósł poważniejsze obrażenia, może czułby się lepiej. Ilekroć spojrzał na tę pozbawioną włosów różową łatkę, myślał ze wstydem, jak nędzne były jego wysiłki, żeby ratować żonę.

Chciałeś, żeby spłonęła, bo zdradziła cię z Garenem. Chciałeś, żeby ona też cierpiała.

Nie!

Ściągnięte brwi Krystianny uświadomiły mu, że wykrzyczał to na głos. Wyprostował się, wytrząsnął wodę z miski. Ale ręce wciąż mu drżały, miska wyśliznęła się z dłoni i zakołysała na wodzie jak dziecięca łódeczka.

Kobieta uniosła suknię i krzywiąc się lekko, zeszła na brzeg po osuwających się kamieniach.

Złapię ją — mruknął Will.

Nie słuchała go. Brodziła w wodzie, balansując jedną ręką, by utrzymać równowagę, drugą podtrzymując suknię nad kolanami.

Ostrożnie, tam jest głębiej. — Ruszył w jej stronę, niepewnie stawiając stopy na śliskich kamieniach.

Masz — wysapała, dygocąc z zimna, i podała mu miskę. Woda sięgała jej prawie po uda, zmoczona suknia nadęła się jak balon, ciemniejąc w miejscach, gdzie cienki materiał nasiąknął. Pośliznęła się w chwili, gdy Will wyciągnął rękę, miska znów wylądowała w wodzie, zamiast niej chwycił przegub Krystianny. Korzystając z oparcia, stanęła pewnie i roześmiała się zadyszana. Policzki zabarwił jej lekki rumieniec.

Will, ja...

Zgubiłaś miskę.

Patrząc nad jej ramieniem, zauważył na brzegu Szymona z Dawidem. Siostrzeniec szczerzył zęby w uśmiechu, Szymon przyglądał mu się pytająco. Will puścił rękę Krystianny i wyłowił miskę.

Sir Wilhelm chce cię widzieć—powiedział Dawid, kiedy Will wylazł ze strumienia. — Jeśli oczywiście nie jesteś zbyt zajęty.

Wyglądam na zajętego? — odwarknął, zerkając na Krystiannę, która wyżymała pociemniały dół sukni odwrócona do nich plecami. Złapał koszulę, naciągnął ją na grzbiet i ruszył w stronę obozowiska.

R O B Y N Y O U N G

Dawid dogonił go ze śmiechem.

Nie wykręcaj się, wuju. Widzieliśmy cię.

Wil obrócił się do niego wściekły.

Cokolwiek ci się zdaje, jesteś w błędzie.

Szkoda. — Chłopak posmutniał.

Lepiej poćwicz z mieczem. Wbrew twojemu mniemaniu wciąż za słabo nim władasz.

Siostrzeniec spojrzał nań z urazą.

R E Q U I E M

Gdyby tak było, sir Wilhelm by mnie nie pasował! — Skręcił w bok i odszedł, przedzierając się przez wysokie poszycie.

Zacieśniasz przyjaźnie? — doleciało z tyłu.

Wiem, nie powinienem był tego mówić.

Chodziło mi o tamto. — Szymon skinął głową w stronę rzeki.

Ty też?

Kiedy mieszka się na kupie, wszyscy wszystko widzą. — Koniuszy przyśpieszył, żeby dotrzymać mu kroku. — Na twoim miejscu byłbym ostrożny. Nie chcesz sobie chyba zrobić wroga z jej brata.

Szwagra — poprawił go sucho Will. — Krystianna była żoną jego brata.

Tak czy owak, bardzo się o nią troszczy. Isenda mówi, że ślubował to zmarłemu.

Na litość boską, Szymonie! Przyszła umyć miski. Co miałem począć? Udać, że jej nie widzę?

Co ty tu właściwie robisz? — spytał nagle Szymon. — Minął ponad rok. Jak długo masz zamiar się ukrywać, udając, że świat, który porzuciłeś, nigdy nie istniał?

Ja się ukrywam? — syknął mu w twarz Will. — Toczę wojnę!

To nie twoja wojna. Ich, owszem. Wallace'a, Siwego, Dawida. To ich ziemia.

I moja.

Już prędzej mógłbyś tak nazwać Palestynę.

Czy to przeżyte lata czynią jakieś miejsce domem?

Nie. To my. Kiedy jesteśmy zasiedziali w jakimś miejscu, kiedy daje nam ono radość i wypoczynek, wtedy możemy je nazwać domem. Znam cię, Will. Znam cię od jedenastego roku życia i wiem, że nie jesteś tu ani szczęśliwy, ani spokojny, ani zasiedziały.

Nie chcę o tym mówić. Ile razy mam ci to powtarzać?

Przestanę pytać, jeśli wreszcie odpowiesz mi uczciwie: kiedy wyjeżdżamy?

Wyjadę, kiedy Edward zostanie pokonany.

Ach tak? No to wreszcie wiem, co tutaj robisz. Pokonujesz Edwarda. Bo dotąd wydawało mi się, że grabisz i mordujesz. — Ciemne oczy Szymona patrzyły na niego twardo.

Nikogo nie zabiłem — warknął wściekle Will. — Nie jestem taki jak...

Jak kto? Jak ludzie, których nazywasz przyjaciółmi?

Will potrząsnął głową.

Wallace karze tych, którzy przebiorą miarę. Sam wiesz, że tak. Nie możesz ich winić, Szymonie.

Pragnęli zemsty, zemsty za siedem lat gwałtów i rzezi, zemsty za Berwick, za Edynburg... Ale przede wszystkim chcieli przeżyć. Zwycięstwo nie rozpleni zbóż ani bydła, prawda? Musieliśmy najechać

Anglię, bo ludzie zaczęliby mrzeć z głodu.

Ciekawe, co też jedli zimą mieszkańcy Nortumbrii i Kumbrii?

Większość znalazła schronienie w Newcastle i Carlisle — burknął Will i urwał, nie czując się

przekonany.

Po Stirlingu powstanie nie wygasło; rozgorzało jeszcze gwałtowniej. Wieści o cudownym zwycięstwie nad Anglikami rozprzestrzeniały się jak pożoga, rozpalając serca i umysły Szkotów. Wróg przestał się jawić jako przerażająca niepowstrzymana siła. Przybrał wymiar ludzki, a ludzi można zranić i zabić. Po śmierci Moraya, który zmarł od ran odniesionych w bitwie, rzesze Szkotów ściągały pod sztandary Wallace'a i ledwie kilka tygodni później pijany jeszcze żądzą krwi młody wilk poprowadził swoją armię do Anglii.

Jak burza przeszli przez Tweed do Nortumbrii, niszcząc zasiewy i stada, paląc klasztory, łupiąc miasta i mordując ludzi. Mieszkańcy północnej Anglii, z których tylko niewielu brało udział w podboju

północnego sąsiada, zapłacili za okrucieństwo swego króla. I to wysoką cenę. Ci, którzy zdołali ujść w lasy, po powrocie do domów przekonywali się, że nie mają ani schronienia, ani jadła na nadchodzącą zimę. Newcastle wkrótce było pełne po brzegi bezdomych nędzarzy. Szkoci zostawili po sobie spaloną ziemię, a to, czego nie zniszczyli, wywieźli do siebie, by nakarmić własne głodujące rodziny.

Nie napotykając oporu, mścili się teraz za lata krzywd i poniżeń. Wallace i jego dow ***1 6***

ódc ***3*** y starali się

utrzymać wojowników w ryzach, powieszono nawet kilku winnych największych okrucieństw, ale w

Stirlingu pękła tama i nie sposób było zatrzymać powodzi, póki sama nie opadnie. Ludzie Wallace'a nazywali go Wilhelmem Zdobywcą. Jego imię powtarzała z rosnącą nienawiścią cała Anglia. Król

Edward wojował we Flandrii i nie było komu bronić jego poddanych. Odetchnęli nieco dopiero w środku zimv, kiedy śnieżyce zmusiły Szkotów do powrotu za Tweed.

Dałeś mi słowo, że pomyślisz o powrocie — ciągnął Szymon. — Być

może Robert zdoła skłonić mistrzów, żeby znów cię przyjęto. Nie zakładaj z sóry, że wizytator do tego nie dopuści; w końcu kiedyś był twoim przyjacielem. Tak czy owak będziesz musiał odbyć pokutę. Ale nie możesz sterczeć tutaj, udając, że nie jesteś templariuszem. Byłeś nim przez całe żvcie. Żałoba po Elwinie nie może tego wszystkiego przekreślić. A poza tym wiem, że tęsknisz za Różą. Widzę to w twoich oczach za każdym razem, kiedy Isenda tuli Alicję, beszta Małgorzatę czy chwali Dawida. Na R O B Y N Y O U N G

Boga, sam za nią tęsknię! Tęsknię za braćmi, za domem...

Nie wierzę, że Róża jest moja — wypalił bez zastanowienia Will.

Szymon milczał przez chwilę, przyglądając mu się bacznie.

Garen? — mruknął w końcu. — Sądząc po tym, co mówił po pożarze... Ale czy wiesz to na pewno?

Will otworzył usta i zacisnął je z powrotem. Po chwili rzekł:

Obiecałem, że się zastanowię. Ale złożyłem ci tę obietnicę, zanim przyszła wieść, że Edward idzie na nas z armią. Teraz nie mogę wyjechać. Jestem tu potrzebny.

Bardziej jesteś potrzebny gdzie indziej! — krzyknął za nim Szymon, ale Will już odszedł.

Ze słowami Szymona dźwięczącymi w uszach wszedł do obozowiska. Po bitwie pod Stirlingiem na

powrót się zżyli i cieszył się, że ma go przy sobie. Stara przyjaźń krzepiła go pośród obcych. Ale po najeździe na Anglię Szymon znów zaczął wypytywać, kiedy wrócą do Templum, jak gdyby to było

nieuchronne. Koniuszy nic nie rozumiał; myślał, że Will rzucił zakon z żalu po Elwinie i lęku o rodzinę.

Nie mógł mu powiedzieć całej prawdy, bo wówczas wyszłoby na jaw, że przez tyle lat go okłamywał.

Nie był też gotowy, aby przyznać, że nie zabłąkana mamelucka strzała posłała Garena do piekła, lecz jego miecz.

A, jesteś, Campbell — powitał go sucho Wallace, kiedy Will wszedł w krąg namiotów. Trzymał

wystrzępioną mapę, Adam i Siwy zaglądali mu przez ramię. W ciągu roku, jaki minął od wielkiego

zwycięstwa, Wallace bardzo spoważniał. Odcisnęła na nim piętno śmierć towarzyszy i wrogów, lecz także odpowiedzialność. — Przyszły wieści.

Anglicy?

Idą na Roxburgh. Straż przednia dotrze tam za parę dni, król i główne siły wkrótce potem.

Znamy ich liczbę?

Zwiadowcy naliczyli siedem tysięcy jazdy. Bek i Warenne prowadzą własne chorągwie.

Hrabia chce zdjąć z siebie odium tchórza, jakim okrył się pod Stirlingiem — mruknął pogardliwie Adam.

I ponad dwadzieścia tysięcy piechoty — dokończył Wallace.

Boże miłosierny — szepnął Will.

Siwy kiwnął poważnie głową.

Chcą nam dać nauczkę.

Dowiedzieliśmy się też — ciągnął Wallace, patrząc na Willa — że templariusze przyjmą armię na popas w Listonie. Prócz tego z Edwardem ciągną angielscy rycerze pod wodzą Briana le Jay.

Will poczuł, że robi mu się ciężko na sercu.

Lojalność biskupa Durhamu i hrabiego Surrey nie podlega kwestii. Co do templariuszy jednak...

Powiedziałeś mi kiedyś, że Edward zmusił ich do pomocy. Czy chętnie będą walczyć u jego boku?

Will z ociąganiem skinął głową.

Jeśli wielki mistrz wydał im taki rozkaz, będą walczyć.

Mają więcej ciężkiej jazdy niż my oszczepów — mruknął Adam.

Postawimy im naprzeciw niecały tysiąc koni?

Spojrzenie niebieskich oczu Wallace'a spoczęło na nim twardo.

Wiedzieliśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Po cóż przez cały rok zbieraliśmy i szkolili ludzi? To niczego nie zmienia. Trzymamy się planu.

Wallace zwrócił się do Willa. — Chcę, żebyście z Siwym wzięli ludzi i spustoszyli tereny na południu i wschodzie. Większość tamtejszych mieszkańców schroniła się już w lasach, ostrzegliśmy ich

dostatecznie wcześnie. Reszta się pośpieszy, kiedy zobaczy łuny. — Wallace zacisnął zęby.

Macie spalić zboże do ostatniego ziarnka, zatruć wszystkie studnie, a trzody przegnać do lasu. Zostawcie im na drodze tylko nagą ziemię. Kiedy skończycie, skierujcie się na północ. Staniemy obozem pod Stirlingiem.

Jesteś pewien, że Anglik tędy powiedzie armię? — spytał Siwy. Will wyręczył Wallace'a w odpowiedzi: Koma

ndori ***4*** a w Listonie leży o, tutaj, przy szlaku na północ. Jeśli Edward zamierza tam obozować, to niemal na pewno jego celem jest Stirling. Nie chodzi tylko o strategiczne znaczenie zamku. Stirling to również miejsce jego największej klęski. Będzie chciał wziąć odwet.

Niech upał i głód zrobią swoje — mruknął Wallace, patrząc w rozżarzone niebo — a gdy armia osłabnie, wtedy uderzymy.

I reszta możnych Szkocji padnie ci do nóg z wdzięczności — rzekł zadziornie Siwy.

Wallace nie odpowiedział.

Patrząc na niego, Will nie był pewien, czy szkocki bohater byłby temu rad. Miało się wrażenie, że krępuje go sława, która po spektakularnym zwycięstwie stała się tak wielka, że wielmoże Szkocji zmuszeni byli uznać jego przywództwo i nagrodzić go pasowaniem na rycerza.

Ceremonii tej dokonał Robert Bruce, hrabia Carricku. Ten młody rycerz sprzeciwił się swemu ojcu, który bronił Carlisle dla Anglików, i przeszedł na szkocką stronę. Część lordów i biskupów poszła za **R E Q U I E M**

jego przykładem. Oni to okrzyknęli Wallace'a Obrońcą Szkocji.

Mimo zaszczytów Wallace pozostał w lesie Selkirk wraz ze swoimi ludźmi. Spytany kiedyś dlaczego, odrzekł, że zbytek jest niebezpieczny. To właśnie umiłowanie bogactw doprowadziło szkockich

magnatów do zdrady swego króla, a on nie chce popełnić tego samego grzechu. Wallace budził podziw i respekt, ale nie czyniło go to ulubieńcem możnych. Wielu wręcz się obawiało jego rosnących wpływów i silnej armii, którą miał pod komendą.

Powinniśmy ruszać, jeśli mamy dotrzeć tam pierwsi — skwitował Siwy.

Will także chciał odejść, lecz Wallace go zatrzymał.

Czy zdołasz walczyć przeciwko swym zakonnym braciom?

Will zawahał się, zaskoczony pytaniem i surowym tonem, jakim zostało wypowiedziane.

Wątpisz w moją lojalność? — rzekł w końcu.

Wiem, że jesteś wobec mnie lojalny, Campbell. Nie raz tego dowiodłeś w ciągu minionego roku. Ale moim żołnierzem jesteś od niedawna, a templariuszem byłeś całe życie. Zrozumiem, jeśli nie zechcesz podnieść broni przeciw ludziom, którym zaprzysiągłeś braterstwo.

Will pomyślał o czekającej go bitwie. Zamajaczyła przed nim butna twarz Edwarda. Jakże wyczekiwał

chwili, kiedy wreszcie spotka się z nim w boju! Potrząsnął głową.

Nie zawiodę cię — rzekł cicho.

Liston

Dwudziesty pierwszy dzień lipca

Edward przymknął oczy, próbując się odprężyć. Pot ściekał mu strużkami po plecach, jedwabna szata lepiła się do ciała. Z okna walił żar jak z chlebowego pieca. Za murem komandorii unosił się ciągły hałas czyniony przez ludzi i zwierzęta. Znacznie bliżej dźwięczały struny harfy. Muzyka miała go ukoić, ale działała mu na nerwy. Po chwili podniósł się z łoża.

Dość.

Muzyka umilkła.

Wina, panie? — Paź podał mu puchar.

Edward upił łyk i skrzywił się.

Ohyda. Jest ciepłe.

Wybacz, panie. Beczki za długo leżały na słońcu.

Edward cisnął pucharem, obryzgując ścianę i drugiego pazia czerwonym winem.

Więcej pożytku mam ze swojej menażerii! Zejdźcie mi z oczu!

Uciekli bez dalszej zachęty. Edward zaczął krążyć po dusznej komnacie. Nie mógł się uspokoić. Kłopoty piętrzyły się jedne na drugich. Nie rozumiał, jak sprawy mogły przybrać taki obrót. Zaledwie miesiąc temu jechał na czele ogromnej armii, nie wątpiąc, że czeka go zwycięstwo.

Zapewnił sobie poparcie całego królestwa, jego wojna stała się wojną świętą, głosili ją obwoływacze i księża z ambon. Biskupi rozsyłali listy do wszystkich zakątków królestwa, przedstawiali w nich

Wallace'a jako wcielenie Złego, Szkotów zaś jako potwory z piekła rodem, mordujące księży, gwałcące zakonnice i pożerające żywcem niemowlęta. Nienawiść do Szkotów wybuchła jak pożoga. Edward

wezwał wasali, zaciągnął pod swe sztandary piechotę i łuczników z Walii, konnych i kuszników z

Gaskonii. Wyruszającym wojskom towarzyszyły modlitwy całej Anglii. Było pewne, że zgniotą

znienawidzonych barbarzyńców, pomszczą zagładę Nortumbrii i Kumbrii, zasieką antychrysta i jego

diabelskie oddziały.

Przekroczywszy granicę, ruszyli w stronę Edynburga, jednego z garstki zamków, które przetrwały

rebelię. Ale zamiast strwożonych Szkotów, na których mogliby brać pomstę, i ludnych osad, które mogliby łupić, król i jego ludzie napotkali przed sobą tylko martwą, spaloną ziemię. Z początku ich to zaskoczyło. Później, gdy dni wlokły się w marszu pod palącym słońcem w znużeniu i otępieniu, zaczęło doprowadzać do szału.

Na drodze z Roxburgha do Listonu każda, nawet najmniejsza miejscowość była całkiem bezludna.

Otwarte drzwi nędznych chat i ziemianek ukazywały pustkę i ciszę. Angielscy żołnier ***1*** z ***6*** e ***5*** przetrząsali domy, otwierali skrzynie i beczki. Nie znaleźli niczego wartościowego ani niczego, co można by do ust włożyć. Szli więc dalej przez jałowe pola, na których nie rosło nic prócz krwistoczerwonych maków, wzniecając ogromne tumany kurzu. Pod rozpalonym stalowoniebieskim niebem skrzypiały zbroje, ludzie pocili się i dyszeli, wargi im pękały, na stopach wzbierały pęcherze.

Racje były coraz mniejsze, a potem żywność się skończyła. Czasem mijali dymiące jeszcze szczątki zabudowań. Łucznicy polowali na kruki ucztujące na gnijących trupach bydła i raczyli się sami ich gorzkim mięsem. Dla większości jednak każdy kolejny dzień marszu kończył się pustym brzuchem i

coraz bardziej fantastycznymi snami o jedzeniu.

Nikt nie wiedział, gdzie jest wróg, bo nie było gdzie zasięgnąć języka. Rozesłani zwiadowcy wrócili z niczym. Wielu żołnierzy spędzało noc bezsennie, wpatrując się w ciemność za kręgiem ogniska i

czekając chwili, gdy zalśni w niej stal nieprzyjacielskich mieczy. Dwa dni przed dotarciem do

Edynburga widzieli na północy spiętrzone burzowe chmury, porywisty wiatr miótł im piaskiem w

twarze. Wieczorem niebo rozdarły błyskawice gasnące w odległym morzu. Edward zorganizował

flotyllę statków, mającą podążać za nim wzdłuż wschodniego wybrzeża z jakże potrzebnym prowiantem.

Gdy jednak armia dotarła wreszcie do Edynburga, nabrzeże było puste. Wedle niesprawdzonych

pogłosek statki rozpędziła burza i oto nad armią zawisło widmo śmierci głodowej. Nazajutrz do portu wpłynęły trzy sponiewierane kogi, ale poza nielicznymi worami ziarna, na których rękę położyła zaraz gwardia królewska, ładownie zawierały głównie beczki z winem. Pociągnęli dalej do Listonu. Ludzie słabli i chorowali. Walijczycy i Irlandczycy, którym jako pierwszym zaczęto ograniczać racje, jedli trawę i korę z drzew. Król wysłał Antoniego Beka, aby obiegł dwa pobliskie zamki, które zagrażały ich flance, ale było to prawie tydzień temu i od tamtej pory nie miał od biskupa żadnych wieści.

Edward przestał krążyć po komnacie i opadł na łoże, przewiezione w częściach z Yorku i złożone na powrót w siedzibie templariuszy. Zeszłoroczna klęska pod Stirlingiem ogłuszyła wszystkich. Nikt się jej nie spodziewał. A już zaledwie parę miesięcy później wydarzenia we Flandrii przybrały obót, którego nie przewidywał nawet w koszmarnych snach.

Przybywszy zeszłej jesieni do Gandawy, spotkał się z Gwidonem de Dampierre, żeby odnowić sojusz przeciwko Francji. Wkrótce nadeszły słuchy, że wojska Filipa przekroczyły granicę. Połączone siły angielskie i flandryjskie zastąpiły im drogę pod Saint Bavon i w ciągu godziny zostały doszczętnie rozbite. Nim niedobitki dotarły do Gandawy, Edward otrzymał druzgoczącą wieść o porażce pod

Stirlingiem. Zostawiwszy Dampier- re'a, by sam stawiał czoło zwycięskim Francuzom, i zarzuciwszy wszelkie plany małżeńskie, wrócił do Anglii, by pomścić klęskę. Miał bolesną świadomość, że zaczyna go otaczać aura człowieka przegranego. Baronowie ochoczo podżegali do zemsty, czuł jednak, że bez spektakularnego zwycięstwa wkrótce obrócą się przeciwko niemu.

Perspektywa wojny domowej coraz częściej prześladowała go w myślach, sączyła się niczym jad,

osłabiała. Kilka miesięcy temu, przemawiając na radzie w Yorku, powiedział, że kiedy umrze, mają mu wypisać na nagrobku słowa: Scottonim Malleus, Młot na Szkotów.

Teraz, gdy głodująca armia zaczynała się burzyć, echo tych dwóch słów brzęczało mu w mózgu jak

szyderstwo.

Drzwi się otwarły i wszedł hrabia Surrey. Poniesiona w Szkocji klęska przydała Janowi de Warenne wiele lat. Posiwiał i wychudł, poruszał się sztywno i wyraźnie utykał, albowiem dokuczała mu podagra.

Za nim pojawił się w progu Brian le Jay. Spalona słońcem twarz mistrza Anglii zaczynała się łuszczyć na nosie i policzkach.

Żaden z tych dwóch nie zdobył sympatii Edwarda. Kiedy król patrzył na Warenne'a, widział klęskę. Le Jay był mu raczej zawadą niż pomocą, wykonywał rozkazy z widocznym ociąganiem i podawał w

wątpliwość prawie każdą jego decyzję.

Templariusze rozdali resztę ziarna — odezwał się chrapliwym głosem hrabia. — Więcej nie ma.

Co takiego? — Edward spojrzał na le Jaya. — Macie chyba jakieś zapasy na czarną godzinę?

Te musimy zachować, najjaśniejszy panie — odparł twardo templariusz. — Z konających z głodu

niewiele będziesz miał pożytku w bitwie.

Jakiej bitwie? — warknął Edward. — Przyszły wieści?

Żadnych. — Warenne potrząsnął głową.

Więc powiedzcie zwiadowcom, że jeśli nie mają nic do doniesienia, mogą nie wracać!

Panie — rzekł przyciszonym głosem hrabia — ludzie zaczynają się burzyć. Zaczną masowo zbiegać,

chyba że napełnimy im brzuchy i wskażemy konkretny cel ataku. Może powinniśmy rozważyć odwrót

do Edynburga. Tam będzie łatwiej o prowiant.

Nie — uciął ostro Edward. — Zaczekamy na powrót Beka. Jeśli mu się udało, przywiezie żywność ze zdobytych zamków. — Spojrzał na gąsio- rek z winem. — Tymczasem dajcie im wina. Na statkach jest go dość. Podniesie ich na duchu.

Warenne skinął głową, ale Brian le Jay zaprotestował:

Wina, pa ***1 6***

ni ***6***

e? Większość ludzi nie jadła od kilku dni. Przy tym upale...

Nie sprzeciwiaj mi się, mistrzu — odparował Edward — bo masz moje słowo, że w przeciwnym razie

każę im zaatakować komandorię.

Nadzieja, że znajdą w waszych spiżarniach mięso i piwo, da im dość sił do walki.

W oczach templariusza odbiło się zaskoczenie i gniew. Zmilczał, sztywno skinął głową i zgrzytnąwszy zębami, opuścił komnatę.

Godzinę później pod murami ozwały się słabe, lecz radosne okrzyki na widok wytaczanych beczek

mocnego gaskońskiego wina. Ludzie półprzytomni z upału i wycieńczenia pili je dzbanami, zachłannie dojąc słodki płyn, który plamił wargi i palił wyschnięte gardła. Templariusze w ponurym milczeniu patrzyli z murów, jak pijani żołnierze zataczają się i wymiotują, bo puste żołądki nie przyjmowały trunku. Wkrótce śmiechy i wiwaty ustąpiły odgłosom kłótni i przepychanek. Duży oddział walijskich łuczników, rozwścieczony gorszym traktowaniem, próbował szturmem wziąć furgon z prowiantem dla

R E Q U I E M

gwardii królewskiej. Anglicy zastąpili im drogę i rozpoczęła się zawzięta bójka. Paru księży próbowało rozdzielić walczących, przemawiając im do rozsądku. Nie wszyscy uszli z życiem.

Kiedy bójka przerodziła się w regularną bitwę, baronowie wysłali rycerzy, by położyli jej kres, ale

pojawienie się zbrojnych jeźdźców bynajmniej nie uśmierzyło nastrojów. Walijczycy przyszli na pomoc swoim, Anglicy swoim i w końcu połowa piechoty okładała się wzajemnie. Anglicy mieli znaczną

przewagę liczebną, toteż wkrótce Walijczyków wyparto z obozowiska. Schronili się w pobliskim lesie, zostawiając niemal setkę zabitych wśród walających się po ziemi pustych beczek.

Edward patrzył na spustoszenie znad bramy komandorii. Zapadał wieczór, słońce oblewało wszystko krwistą poświatą. Wykopano dół, do którego znoszono ciała zabitych. Walijczycy przysłali posła, grożąc, że przejdą na stronę Szkotów. Edward wściekł się nie na żarty; wykrzykiwał, że mogą robić, co chcą, jutro i tak wytnie ich do nogi na tym samym polu. Ale wraz z wieczornym chłodem zaczęła go przejmować rozpacz. Przez jedną pochopną decyzję mógł stracić resztkę słabnącej władzy.

I wtedy właśnie wrócił Antoni Bek. Hufiec wojowników świętego Cuthberta pojawił się na drodze

niczym zastęp aniołów, oświetlany od tyłu promieniami zachodzącego słońca.

Widząc turkoczące za oddziałem wozy pełne skrzyń i beczek, Edward rzucił się do bramy. Nadzieja zmieniła się w uniesienie, kiedy biskup Durhamu poinformował go o zdobyciu obu zamków. Przywiózł

też wieści z Edynburga: statkom udało się wpłynąć do Leith i wkrótce pojawi się żywność. Ale

najważniejsze było co innego: zwiadowcy Beka nareszcie spostrzegli wroga. Wojska Wallace'a stały ledwie trzynaście mil dalej, na południe od Stirlingu, pod miasteczkiem o nazwie Falkirk.

Falkirk

Dwudziesty drugi dzień lipca

Powietrze zdawało się nieruchome, martwe. Angielska armia formowała szyki wzdłuż wąskiego

strumienia. Naprzeciw, na porośniętej wrzosem pochyłości, rozstawiał swoje oddziały Wallace. Była pora tercji, słońce skręcało już ku południowi, świecąc w oczy Szkotom z płaskiego białego nieba wyprażonego z barw.

Piesi wyszli z lasu wieńczącego płaskowyż, niosąc dwunastostopowe włócznie. Na dany rozkaz zbiegli w dół stoku i sformowali cztery duże kręgi, zwane przez Szkotów sziltronami. Każdy zewnętrzny szereg od razu przyklękał na jedno kolano w szorstkiej trawie, drugim przyciskając do ziemi koniec sterczącej ukośnie włóczni. Następny szereg stał, opierając włócznie o ich ramiona, a kolejne dzierżyły broń w pogotowiu. Z dala wyglądały jak wielkie krągłe jeże. Odstępy między nimi wypełniły oddziały piechoty, a za tym wałem włóczni ustawiła się szkocka jazda. Wallace'a wsparli hrabiowie i lordowie wraz ze swymi rycerskimi pocztami, lecz byli oni nieliczni na tle plebejskiej armii, która stała poniżej.

Żołnierze tłumili strach, patrząc na przeciwnika zgrupowanego u stóp wrzosowiska, ale wszyscy co do jednego stali pewnie. Większość Szkocji była na powrót w ich rękach. Tu i teraz mieli o wiele

więcej do stracenia niż zeszłego lata na stokach Ochilu — i więcej do zyskania. Jeśli uda im się ponownie pokonać Anglików, tym razem na oczach króla tyrana, będzie to ostatni, decydujący cios.

Wallace jechał konno wzdłuż pierwszej linii, grzmiącym głosem zagrzewając do boju, krzepiąc siłą i pewnością. Na koniec krzyknął z uśmiechem:

Przywiodłem was do kręgu! Teraz pokażcie, jak umiecie tańcować!

Odpowiedział mu ryk tysięcy gardeł.

Edward rozejrzał się, słysząc toczący się ze wzgórza wrzask Szkotów. Zaciśnięte szczęki zadrgały mu konwulsyjnie, ale nie skomentował, tylko wydał rozkaz dowódcom, żeby zajęli pozycje. Anglicy, z niepokojem mierząc wzrokiem strumień i wznoszący się za nim teren, rozeszli się do swoich chorągwi.

Wallace dobrze wybrał pole bitwy: znów znajdował się wyżej, tyły chronił mu las. Oni musieli atakować pod górę, mając za plecami wodę. Ale mimo to żołnierze Edwarda palili się do boju. Obok

wielotysięcznej piechoty stały cztery wielkie pułki jazdy pod dowództwem hrabiów Lincol- nu,

Norfolku i Herefordu oraz biskupa Durhamu. Wspomagali je rycerze Jana de Warenne i angielscy

templariusze pod wodzą Briana le Jay. Był też konny korpus z Gaskonii oraz znaczna liczba mniejszych oddziałów pod wodzą baronów i lordów wypełniających obowiązek lenny. Sam Edwa ***1*** r ***6*** d ***7*** miał pod osobistą komendą prawie tysiąc gwardzistów odzianych w szkarłat, barwę jego sztandaru.

Kiedy Bek poprzedniego wieczoru przyniósł wieść o pozycji wojsk szkockich, wszelkie niesnaski w obozie ucichły jak nożem uciął. Walijczycy, choć wciąż wściekli, wrócili zwabieni obietnicą jadła.

Mając wreszcie cel, armia przed zmrokiem opuściła Liston. Było już po świętym Janie, ale dni niewiele się zdążyły skrócić i dotarli do Linlithgow, zanim Edward wydał rozkaz zatrzymania się na spoczynek.

Żołnierze od razu pokładli się na nagrzanej trawie. W oczekiwaniu bitwy zapanowała niezwyczajna cisza; sprawdzali broń, odmawiali szeptem pacierze. Tuż przed świtem ruszyli dalej. Zbliżając się do Falkirku, dostrzegli wroga na pobliskim wzgórzu. Znając już pozycję Szkotów, Edward zarządził postój dla odprawienia mszy. Rozważał, czyby nie rozdzielić resztek prowiantu między wojska, lecz żołnierze na widok nieprzyjaciela zapomnieli o głodzie.

Teraz, słysząc jękliwy dźwięk trąb, rycerstwo popuściło wodze niecierpliwiącym się koniom i ruszyło R O B Y N Y O U N G

naprzód. Odchyleni w siodłach zjechali w koryto płytkiego strumienia, a następnie wydostali się na drugi brzeg, gdzie konie przeszły w równy cwał. Ale mając uwagę skupioną na Szkotach, rycerze nie

spostrzegli, że grunt zmienia barwę, i pierwsze szeregi wjechały wprost w trzęsawisko porośnięte

zdradziecko trawą i dzikim kwieciem. Konie rzucały się w czarnym błocie, grzęznąc coraz głębiej, ludzie kurczowo trzymali się siodeł. Tymczasem uszykowani na wzgórzu Szkoci szydzili z nich, widząc wroga w pułapce.

Ujrzawszy swoje wojska w tak haniebnej rozsypce, Edward dał ostrogę Bayardowi i przedostał się na drugi brzeg strumienia, gdzie zaczął wykrzykiwać rozkazy. Z wolna szeregi jazdy wycofały się z bagna.

Bek pchnął rozpoznanie na przedpole i po chwili krzyknął, że grunt jest pewniejszy po stronie

wschodniej. Hrabia Herefordu stwierdził to samo od zachodu. Angielska kawaleria przeformowała szyk i okrążając bagno, ponownie ruszyła do ataku. Szkoci umilkli.

Łucznicy! — dał się słyszeć ryk Wallace'a, który stał w strzemionach na szczycie wzgórza.

Ukryci w sziltronach łucznicy wypuścili bliźniacze salwy, celując w dwie zbiegające się szarże

Anglików, którzy omijając kręgi, kierowali się wprost na jazdę Wallace'a. Ale w przeciwieństwie do długich łuków walijskich, których naciąg pozwalał przebić stalowe płyty zbroi, krótsze łuki szkockie nie miały dość mocy, by zagrozić zakutym w żelazo rycerzom. Padło kilka koni, paru ludzi, ale na każdego zabitego tysiąc pędził dalej, nabierając prędkości i grzmiąc niczym lawina. Oczy szkockich rycerzy wypełnił strach. Kilku zawróciło konie i pognało do lasu. Wallace krzyczał, żeby nie łamali szyku, lecz odwaga tych, którzy pozostali, okazała się czczym gestem. Po raz pierwszy Szkoci pojęli w całej pełni, czym jest szarża ciężkiej jazdy angielskiej.

Anglicy wbili się w nich niczym żelazny taran, rozrywając i mieląc płytki szyk. Wkrótce starcie przerodziło się w rzeź. Szkoccy chłopi skupieni w ciasnych kręgach sziltronów patrzyli ze zgrozą, jak dowódcy pozostawiają ich na placu boju, szukając schronienia w lesie, gdzie gęste drzewa hamowały impet pogoni pancernej jazdy. Został tylko Wallace i garstka jego ludzi. Widząc, że bitwa na szczycie wzgórza została przegrana, zjechali w dół, na pozycje piechoty. Wallace zeskoczył z siodła, złapał

włócznię i zaparł się w pierwszym rzędzie jednego z sziltronów, wykrzykując rozkazy, aż całkiem ochrypł. Tymczasem Anglicy zawrócili raz jeszcze na podobieństwo morskiej fali i tym razem uderzyli na piechotę. Wallace patrzył bezradnie, jak linie pękają, a ludzie rozpierzchają się po całym wzgórzu niczym spłoszone króliki. Rycerze gonili ich z wrzaskiem, powalali ciosami mieczy i kopii, tratowali końmi, wbijając ciała w czarną ziemię. W dwa pacierze na polu pozostały już tylko cztery wielkie sziltrony. Anglicy zrobili kolejny nawrót.

Trzymać szyk! — ryknął Wallace, gdy ziemia zadudniła pod kopytami — Trzymać...!

Zawróciwszy na skraj lasu, Will wychylił się z siodła, patrząc bez tchu, jak angielska jazda uderza w sziltrony. Na mgnienie oka barwy i błyski zmieszały się w pędzie, potem powietrze przecięły kwiki koni i ludzi. Szkoci stali twardo, tamci wjechali prosto na nastawione włócznie. Konie waliły się na ziemię, miażdżąc jeźdźców lub zrzucając ich prosto na najeżone groty. Odbiwszy się od sziltronu, konni

zawrócili, pozostawiając rannych i konających towarzyszy. Szereg włóczników rozluźnił się na chwilę, dobijano tych, którzy próbowali się podnieść. Wokół Willa rozległy się westchnienia ulgi. Sziltrony wytrzymały.

Wuju!... — Obrócił się i zobaczył nadjeżdżającego Dawida i Adama, zlanych potem. — Jesteś ranny...

— Dawid wskazał jego ramię. Spod pękniętej kolczugi i rękawa kaftana widać było rozcięte ciało.

Angielski rycerz zahaczył go płaskim cięciem miecza.

Nic mi nie będzie. — Will spojrzał na Adama. — Gdzie hrabiowie?

Większość uciekła wraz ze swoimi rycerzami. Popędzili przez las w stronę Stirlingu, jakby ich sam diabeł gonił. Szkoda, mówią, żeby nas tu wszystkich wytracili. — Adam splunął. — Tchórze!

Will spojrzał na szczątki jazdy Wallace'a, wbite w las naporem angielskiej szarży. Konnych było przypuszczalnie nie więcej niż pięciuset. Połowa ranna, z czego część śmiertelnie, około trzydziestu bez koni.

Miejmy ***1 6***

na ***8***

dzieję, że sziltrony wytrzymają. Ten upał wkrótce ich zmęczy. Jeśli nasi ustoją, hrabiowie

zdążą wrócić.

Jeśli zechcą wrócić — warknął Adam. — A tamci mają jeszcze piechotę.

Will nie odpowiedział. Wszyscy wpatrywali się w sziltrony.

Anglicy wyprowadzili jeszcze jedną szarżę, którą znowu odparto, wróg stracił wielu ludzi i konie.

Próbowali miotać w kręgi włócznie i topory, ale nawet gdy jakiś Szkot upadł, reszta zwierała szereg.

Wkrótce wewnątrz pierścieni leżały stosy zdobycznej angielskiej broni.

Po niedługim czasie zabrzmiała trąbka i rozjuszeni Anglicy się wycofali. Obserwując to z przejęciem wraz z innymi ze skraju lasu, Will zobaczył, że kilku konnych, zapewne dowódców, zmierza w stronę szkarłatnego sztandaru Edwarda, powiewającego wysoko na prawo od pola bitwy. Zgadywał, że tam

właśnie, w zagęszczeniu ludzi i proporców, znajduje się król. Ogarnęła go wściekłość. Tymczasem miejsce pokonanej kawalerii na stoku zajęli walijscy łucznicy. Równocześnie napięli łuki i wystrzelili.

R E Q U I E M

Już pierwsza salwa zdziesiątkowała Szkotów. Zabójczo prędkie strzały przebijały odzienie i zbroje, szyje i wzniesione ramiona, wbijały się w oczodoły i piersi, odrzucając w tył martwe już ciała. Z wolna, lecz nieuchronnie w pierścieniach zaczęły się ukazywać luki. Po raz drugi rozległa się trąbka i

przeformowana kawaleria znów ruszyła do ataku.

Boże, nie! — szepnął Will, widząc, że sziltrony zaczynają pękać, a ludzie uciekają w popłochu. Tam na dole był Wallace i Siwy, a także setka innych znanych mu ludzi, którzy w ciągu minionego roku stali się jego towarzyszami broni, przede wszystkim zaś Szymon.

Za mną! — krzyknął i niewiele myśląc, wyjechał z lasu.

Nie on jeden. Kto mógł, popędził za nim na ratunek kompanom. Część angielskich rycerzy, widząc

szczupły oddział zjeżdżający po stoku, odłączyła się i ruszyła im naprzeciw, ale większość skupiła uwagę na łamiących się sziltronach. Rozpoczęła się rzeź. Wielu Szkotów w panice gnało w dół, prosto na to samo bagno, w które chcieli wciągnąć nieprzyjaciela. Grzęźli w czarnym mule, miotając się jak muchy w miodzie.

Brian le Jay z posępną miną ścigał czterech Szkotów, źle jednak ocenił grunt i jego koń wpakował się w trzęsawisko. Miecz wypad! mu z ręki. Jeden ze Szkotów, pełznąc na czworakach w błocie, podniósł

oręż. Widząc, że templariusz na próżno się szarpie z zapadniętym po brzuch koniem, pod- czołgał się bliżej. Le Jay sięgnął po sztylet i szarpnął nogą, żeby wyswobodzić ją ze strzemienia. Stopa wyszła z błota z mokrym mlaśnięciem, ale zmiana pozycji zaburzyła równowagę wierzchowca, który przechylił

się na bok, pociągając za sobą jeźdźca. W tej samej chwili Szkot pchnął go w szyję jego własnym mieczem.

Will gna Rł O

ja B Y N

k bur Y

z O

a U

w N

st Gronę sziltronu na lewej flance, gdzie jak wiedziai, był Szymon. Krótki, szarpany

oddech świszczał mu w hełmie. Utkwiwszy wzrok w kołowrocie ludzi, nie zauważył nadjeżdżającego

Anglika, poczuł dopiero uderzenie kopii w bok koński. Zwierzę wierzgnęło i zwaliło się na ziemię, wyrzucając go z siodła. Potoczył się po ziemi, gubiąc hełm.

Przez krótką chwilę leżał oszołomiony. Kręciło mu się w głowie i miał słońce prosto w oczy. Przewrócił

się z pleców na bok i dźwignął z jękiem

w samą porę, napastnik bowiem nawrócił i już atakował. Stając chwiejnie, uchwycił wzrokiem czerwony akcent na białej tunice i uginając nogi do skoku, zdał sobie sprawę, że tamten jest templariuszem. Ciął

falcjonem po przednich nogach wierzchowca i rzucił się w bok. Koń runął do przodu, zrzucając przez łeb rycerza, który spadł i znieruchomiał. Nie dając mu czasu na ocknięcie się, Will dopadł do niego i z całej siły wbił sztych w wizurę hełmu. Krew trysnęła, ciało drgało jeszcze przez chwilę. Will wyciągnął

ostrze i ciężko usiadł na trawie.

Odgłosy bitwy i rzezi nagle jakby przycichły. Patrzył na rycerza, którego biały płaszcz plamiła teraz krew wyciekająca spod hełmu. Nagle serce skoczyło mu do gardła na myśl o Robercie, a nawet Hugonie, choć przed bitwą krążyły wieści, że Edwarda wspomogą tylko angielscy bracia. Podczolgał się na czworakach, chcąc zajrzeć pod hełm, upewnić się, że nie skrywa on znajomej twarzy. Usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego imię gdzieś blisko. Potem doszedł go tętent. Zerwał się i obrócił w samą porę, by dostrzec innego templariusza, gotowego pomścić brata. Zastawił się falcjonem, stal błysnęła w słońcu, rozległ się dźwięczny trzask i zadany w galopie cios omal nie wyrwał mu ramienia z barku. Rozpędzony rycerz pojechał dalej, Will zatoczył się do tyłu i zobaczył jeszcze złamaną głownię falcjona, zanim ziemia uderzyła go w potylicę.

Pobojowisko pod Falkirkiem Dwudziesty drugi dzień czerwca roku Pańskiego 1298

Niebo i ziemia, góra, dół — wszystko się wymieszało. W ustach pełno błota i krwi. Próbował je wypluć, ale brakło mu śliny. Całe ciało miał sponiewierane, w głowie niemal słyszalnie dudnił ból.

Podniósł się na rękach, wpijając w ziemię pancerne rękawice. W końcu udało mu się dźwignąć na czworaki.

Czuł mdłości. Nieruchome powietrze przesycone było ohydnym odorem, który dławił w gardle i przeszkadzał

oddychać. Kiedy wzrok mu się wyostrzył, dojrzał źródło smrodu. Zbocze pokryte było martwymi ciałami.

Zwłoki leżały wszędzie, poskręcane

porąbane, sprowadzone do przemieszanych części. Kończyny, wciąż odziane, oddzielone od cial. Odrąbane głowy patrzące w niebo martwymi oczyma. Jakiś człowiek niemal ginął pod masą własnych jelit, które wy-płynęły z rany w brzuchu. Will pochylił głowę, z ust pociekła mu kwaśna, żrąca strużka wymiocin. Otarł usta rękawem i znów poczuł łomotanie w głowie. Po chwili zrozumiał, że dźwięk dochodzi z zewnątrz. Rozlegał się wszędzie.

Po całym zboczu zbiegającym do bagniska przesuwali się angielscy żołnierze, dobijając rannych. Brodząc po kolana w zwałach trupów, dźgali

siekli. Konni ścigali ocalałych po lesie. Will przypomniał sobie pęd, upadek z konia. Potem... Okręcił się, macając ziemię wokół siebie. Głownia falcjona kończyła się o dłoń od jelca. Obrócił ją w ręce i przypomniał

sobie, że ktoś wołał go tuż przed upadkiem. Znał ten głos... Nagle zabrakło mu tchu. Dawid. Wetknął złamaną broń do pochwy i zaczął pełznąć naprzód, czując ból w całym ciele. Smród omal go nie udusił. Niektóre ciała drgały pod nim w agonii. Parę razy wetknął dłoń w coś miękkiego, wyściół- ka rękawic wkrótce nasiąkła krwią.

Ktoś złapał go za przegub, przyprawiając o dreszcz zgrozy.

Proszę, pomóż mi... — szkliste oczy rannego z trudem odnalazły jego twarz. — Nie czuję nóg.

Spojrzenie Willa pobiegło wzdłuż ciała. Od kolan w dół nóg już nie było.

Wybacz — rzekł chrapliwie, uwalniając rękę.

Powietrze dygotało od krzyków i jęków. Rząd angielskich żołnierzy posuwający się w górę zbocza był już blisko. Will zaczął gorączkowo unosić głowy zabitych, oglądać twarze. Z niektórych została tylko krwawa miazga. Słońce prażyło go w kark, nad poległymi i konającymi kłębiły się roje much. Kilka kroków przed sobą zobaczy! łeb zabitego konia. Przez zad zwierzęcia przerzucone było tęgie, pokryte szramami ramię. Podpełzł

bliżej. To Adam leżał tam z rozłupaną czaszką. Will przysiadł na piętach, czując, że opuszczają go resztki sił.

Ktoś pociągnął go za tunikę. Odwrócił się spłoszony

zobaczył siostrzeńca, zakrwawionego, lecz żywego.

Próbowałem go ocucić. — Dawid szczękał zębami. — Uratował mi życie.

Musimy uciekać. — Will uczynił wysiłek, by się podnieść.

Macie znaleźć mistrza! Kto go widział ostatni?

Władczy głos należał do mężczyzny siedzącego na bojowym rumaku. Był dość daleko, na głowie miał kolczy kaptur, który zasłaniał mu włosy

część twarzy, ale Will wszędzie by go poznał. Edward. Towarzyszyło mu kilku ludzi, wśród nich templariusz.

Chodź! — Dawid pociągnął go za rękę.

Biały płaszcz zabitego przez Willa rycerza odcinał się wyraźnie wśród zwłok buro odzianych Szkotów.

Templariusz ruszył w jego stronę.

Wuju!

R O B Y N Y O U N G

Will patrzył na przemian to na zabitego rycerza, to na króla. Templariusz zmierzał prosto do poległego brata, nie zwracając na nich uwagi, ale jeden z pozostałych zauważył dwóch Szkotów i dźgnąwszy piętami konia, ruszył z dobytym mieczem.

Will natychmiast odzyskał zdolność poruszania się. Zerwał się do biegu, popychając przed sobą Dawida.

Uciekaj! — wrzasnął, słysząc zbliżający się tętent.

Stać!

W tej samej chwili, w której padł rozkaz, Will potknął się o ciało poległego włócznika i upadł na kolana. Cios przeszedł górą.

Chcę ich żywych! Przyprowadźcie ich tutaj.

Zbrojni zsiedli z koni i zbliżyli się do niego z dobytymi mieczami. Jeździec tymczasem odciął drogę ucieczki Dawidowi. Will poczuł, że chwytają go czyjeś ręce, podnoszą, wloką do króla. Z tylu dobiegła go szamotanina i bolesny jęk Dawida.

Edward nachylił się nad nim z konia, wysoki jak wieża. W jego postarzałych szarych oczach odbiło się zaskoczenie.

Najjaśniejszy panie!

Król odwróci! się ze złością.

Znaleźliśmy mistrza Templum — zameldował jeździec w szkarłatnej tunice. — Utonął w bagnisku.

Ach, tak. Odwołać poszukiwania. — Edward spojrzał znów na Willa. — Tych dwóch zamknijcie. Później ich przesłucham.

Klasztor dominikanów pod Stirlingiem, Dwudziesty ósmy dzień czerwca

Drzwi się otwarły i ktoś nogą wepchnął do środka drewnianą miskę, rozchlapując ponad połowę zawartości.

Możesz jeść z ziemi, psie! — warknął strażnik i zatrzasnął drzwi z powrotem.

Will podpełzł do miski. W wodzie pływała skąpa garsteczka krup. Pozbierał te, które spadły na ziemię, i po kolei włożył do ust. Potem kurczowo ściskając miskę, przeniósł się pod ścianę, gdzie plama słonecznego światła ogrzała szare kamienie. Kasza nie miała smaku, ale była jego pierwszym posiłkiem od paru dni i czuł, jak każde ziarno dodaje mu sił. Na koniec przytknął miskę do ust i wypił wszystko aż do ostatniej kropli.

Mętny płyn namaścił wyschniętą krtań niczym najsłodszy balsam. Wylizując miskę, Will natrafił językiem na rysę w dnie. Przyjrzał się jej: w wypalonej glinie zygzakiem biegło pęknięcie. Oparł miskę na kolanie i naparł

na brzegi, aż puściła z trzaskiem. Miał teraz dwa ostre kawałki, niewiele, ale zawsze coś.

Schował je w kuble na odchody i wyczerpany oparł się z powrotem

o

ścianę, czując, jak plecy przenika mu chłód. Został w samych gatkach, wszystko inne — kolczugę, tunikę, buty, pas z pochwą, resztę odzieży

zdarli z niego pod Falkirkiem. Kiedy król odjechał, gwardziści pobili go prawie do nieprzytomności i wrzucili na wóz. Obok wylądowało bezwładne ciało Dawida i paru innych w podobnym stanie. Potem nie pamiętał nic aż do Stirlingu.

Z odrętwienia wyrwa! go gorzki zapach dymu. Z trudem otworzył zalepione skrzepłą krwią powieki i zaraz znów je przymknął, oślepiła go łuna. Zamek został zniszczony. Z domów przytulonych do jego podnóża zostały wypalone ruiny, pośród których snuły się smugi dymu niczym widma. Ogień wciąż jeszcze buchał z okopconych murów. Przysłuchując się gniewnym pomrukom żołnierzy, Will poczuł kiełkującą nadzieję. Skoro zniszczenie nie było dziełem Anglików, musieli go dokonać Szkoci. Rozpoznał taktykę Wallace'a i pomodlił

się żarliwie, aby to był znak, iż udało mu się ujść cało z pola bitwy. W każdym razie Wallace'a nie było na wozie. Dwóch jeńców umarło, zrzucono ich na drogę. Dawid nie odzyskał przytomności. Will chciał go ocucić, lecz się nie odważył. Leżał dalej bez ruchu.

Straż przednia przetrząsnęła już ruiny grodu i rozbiła obóz na równinie pod murami. Teraz reszta zmordowanych wojsk szła w jej ślady. Edward zajął jedyny ocalały budynek, stojący na uboczu klasztor dominikanów. Will został zwleczony z wozu i wciągnięty do środka. Budynek był pusty, choć pewne oznaki wskazywały, że jeszcze niedawno byli tu ludzie: nadpru- ty worek kaszy stojący w korytarzu, hełm leżący przed wejściem, porzucona ciżma. Zamknięto go w celi na piętrze, zakratowane okno wychodziło na wirydarz.

Żołnierze usunęli znajdujące się tu sprzęty — pryczę, skrzynię

stołek, następnie znów go pobili i zostawili zwiniętego we krwi na podłodze ze wzrokiem utkwionym w krzyżu zdobiącym ścianę.

Było to chyba dwa dni temu, ale nie miał pewności. Ból mąci! poczucie czasu, utrudniał śledzenie wszelkich zewnętrznych bodźców. Świat skurczył się do wnętrza ciała. Na dziwnych morzach, po których dryfował w delirium, rozrzucone były wysepki bólu. Odkrywał je po kolei, pokonując wielkie odległości między dudnieniem w głowie, drętwieniem pokrwawionych palców i kłuciem pękniętych żeber. Jadło, choć bardzo skąpe, wyostrzyło mu zmysły, przez co zarówno ból, jak i mętne dotąd myśli stały się wyraźniejsze.

Poprzedniej nocy, trzymając się krat, wołał półgłosem w ciemność, mając nadzieję, że Dawid znajduje się w jednej z sąsiednich cel. Ale nikt mu nie odpowiedział. W obozowisku Will żył tak blisko innych ludzi, że teraz cisza wydawała mu się nie do zniesienia. Pozostawiony sam ze swymi myślami, był bliski obłędu.

Gdyby nie

R

on, si O B

ostrYz N

e Y

nie O

c U

wN G

ogóle by się tu nie znalazł. To on zabrał rodzinę do lasu, szukając buntowników.

To on zbiegi z zakonu, nie mówiąc ani słowa Szymonowi, wiernemu towarzyszowi od wielu lat. Szymon przybył go szukać, ryzykując życie, a on jak go potraktował? Teraz leżał pewnie na pobojowisku pod Falkirkiem i żarły go robaki.

Raz po raz przychodził mu na myśl templariusz, którego zabił. Tego przynajmniej zapewne pochowali bracia.

Ukryta już na zawsze pod helmem twarz mogła należeć do Tomasza, jednego z ostatnich żyjących członków Anima Templi. Twarze ojca i Ewerarda majaczyły mu w głowie, patrząc na niego z wyrzutem. Zdradził ich.

Złamał przysięgę, porzucił obowiązki, braci, córkę.

Drzwi otwarły się z łoskotem. Will zaledwie miał czas podnieść głowę, nim strażnicy szarpnięciem postawili go na nogi.

Do celi wszedł król Edward. Kolczugę z kapturem zastąpił szkarłatny płaszcz i złota korona. Żołnierze wywlekli Willa na środek pomieszczenia. Jeden kopnął go z tyłu w kolano, zmuszając, by ukląkł. Na gest króla odsunęli się.

Wyjdźcie.

Ale najjaśniejszy panie, więzień...

Nie może się nawet utrzymać na nogach. Wyjść, powiedziałem.

Skłonili się i wyszli. Edward spojrzał na Willa, a potem ominął go

podszedł do okna.

Mimo bólu Will instynktownie napiął mięśnie. Przez lata obsesyjnie marzył o takiej chwili. Nareszcie został

sam na sam ze swym wrogiem. Jego spojrzenie pobiegło w stronę kubła, gdzie pod warstwą moczu spoczywały dwie połówki miski.

Wyglądałeś dziś przez okno? — spytał lekko Edward, a kiedy Will nie odpowiedział, odwrócił się do niego. —

Powinieneś. Budują tam dość wymyślną konstrukcję.

Will przypomniał sobie, że rano słyszał uderzenia młotów. Postanowił jednak oszczędzać siły. Nie podniósł się.

Wiesz, co to jest?

Will poczuł lekkie mdłości, ale udało mu się zapanować nad twarzą.

Pewnie szubienica — mruknął. Głos, nieużywany od wielu dni, wydobył się z gardła jako chrapliwy szept.

Edward odszedł od okna i stanął przed nim.

Widziałeś kiedyś, jak wieszają człowieka, Campbell? Nie jest to miły widok. Twarz czerwienieje, potem robi się fioletowa i straszliwie nabrzmiewa. Język puchnie, nie mieści się w ustach. Oczy wychodzą z orbit. Szyja się naciąga, o tak — pokazał rękami długość. — A może to trwać nawet kilka pacierzy. W tym czasie opróżnia się pęcherz, po nim jelita. Członek męski wzwodzi się i tryska ku uciesze gawiedzi. Upokarzające, prawda? —

Spojrzał mu w oczy. — Mogę ci oszczędzić takiego losu.

Will zerknął na niego i odchrząknął.

Przecież nie wypuścisz mnie stąd żywego.

Nie. Ale mogę ci ofiarować szybką i czystą śmierć od miecza zamiast powolnej tortury stryczka. I zapewnię ci ją, jeśli mi powiesz, co robisz w Szkocji.

Will spuści! wzrok, żeby pokryć zaskoczenie. Przypuszczałby raczej, że Edward jako jeden z pierwszych dowie się o jego dezercji. Skoro nie był jej świadom, to chyba dlatego, że nie kontaktował się z Hugonem od czasu spotkania w Londynie. To możliwe: był w tym czasie we Flandrii, później ruszył do Szkocji. Pytanie brzmiało: czy on może jakoś wykorzystać tę niewiedzę króla?

R O B Y N Y O U N G

Usiłował się skupić, rozproszyć mgłę spowijającą umysł, ale Edward mówił dalej:

Odpowiadaj! Czy wasz zakon wysłał cię do Wallace'a? Czy Tem- plum spiskuje przeciwko mnie?

Myśli Willa się przejaśniły. Edward nie miał pojęcia, że Will odszedł z zakonu, a co więcej, wątpił w lojalność templariuszy. Zastanawiające, co dało mu powód do takich podejrzeń. Może Hugo przejrzał na oczy i zerwał

sojusz? Przypomniał sobie szorstką reakcję króla nawieść o śmierci mistrza Anglii. Może nie wszystkim było w smak poparcie udzielone Edwardowi

jego wojnie.

Powiem ci wszystko, co wiem — rzekł powoli —jeśli puścisz wolno chłopca, którego ujęto ze mną.

Kto to taki? Templariusz? Jak go puszczę, złoży raport waszym mistrzom — w tonie Edwarda zabrzmiała pogarda. — Masz mnie za głupca? Obaj tu zginiecie, pozostaje tylko wybór, jak.

Zatem nie poznasz przyczyn. — Will uniósł głowę umocniony świadomością, że Dawid żyje. — Wiem o Honfleur, Edwardzie.

Oczy króla się zwęziły, czy to dlatego, że rozpoznał nazwę, czy z oburzenia, że więzień zwraca się doń tak poufale. Jakikolwiek był powód, jego rozdrażnienie sprawiło Willowi pewną satysfakcję.

Wiem, że próbowałeś skraść klejnoty, które zastawił u nas twój ojciec. Wiem o twojej roli w kradzieży pewnej księgi. O tym, jak wykorzystałeś Ewerarda, a później Hugona. Wiem o wszystkich twoich łajdactwach.

I co z tego? — Edward zaśmiał się pogardliwie. — Dzięki waszemu wizytatorowi Jakub de Molay dał mi, czego zażądałem, i dał mi to w porę. Naliczyliśmy pod Falkirkiem dziesięć tysięcy zabitych Szkotów.

Cokolwiek powiedziałeś Hugonowi z Pairaud, nie ma znaczenia. Wasz zakon nie jest mi już potrzebny. Sam zniszczę Szkotów. Dowiodłem, że to możliwe. Baronowie mnie poprą.

I sądzisz, że obaj, Jakub i Hugon, będą zadowoleni, że wystrychnąłeś ich na dudka? Zakon jest potężny. Nie obawiasz się reperkusji?

Reperkusje? Świątynia goni resztkami, ten głupiec Pairaud na kolanach mnie błagał, żebym pomógł ją odbudować. Czas zakonów rycerskich przeminął, teraz jest czas królów. — Oczy Edwarda błysnęły. — Czas imperiów.

Nawet najpotężniejszy król jest istotą z ciała i krwi. Śmiertelną.

Edward zamarł.

A więc po to przybyłeś — szepnął.

Will zmobilizował wszystkie siły i rzucił się do kubła.

Kiedy sięgał po miskę, król już miał w ręku miecz, wzywał straże. Nie zdążył. Nim doskoczył, wpadli gwardziści i pchnęli go na ścianę.

Ból połamanych żeber wyrwał Willowi krzyk z gardła. Odłamek miski wysunął się z palców. Wkrótce ten znany, oswojony ból utonął w gradzie spadających ciosów.

Dość.

Poprzez załzawione oczy Will zobaczył zbliżającego się Edwarda.

Chcę, żeby dożył egzekucji — syknął król. — Zanim przyjdzie śmierć, ma zaznać wszelkich wyobrażalnych tortur. Stryczek to za mało.

Nachylił się nad Willem i szarpnął za włosy, unosząc mu głowę. — Zanim skonasz na szafocie, będą cię włóczyć końmi, aż odpadną ci ręce, ale jeszcze nie umrzesz. Położą cię na stole i rozprują ci brzuch, żeby gawiedź widziała, co masz w środku. Wyjmą każdy organ i spalą go na twoich oczach, i dopiero wówczas topór zakończy twe cierpienia w tym życiu. Bo na tamtym świecie dopiero się one zaczną.

Will dojrzał kilka mętnych kropel spływających po policzku Edwarda. Uświadomił sobie mgliście, że machając miską, zbryzgał twarz króla nieczystościami. Jego wargi rozciągnęły się, ukazując w uśmiechu zakrwawione dziąsła.

Kiedy jakiś czas później odzyskał przytomność, było już ciemno, prostokąt okna usiały gwiazdy. Leżał, odzyskując z wolna czucie w kończynach. Strażnicy zabrali kubeł i szczątki miski, zostały tylko cztery ściany i krzyż. Brawura minęła, teraz czuł tylko obezwładniającą rozpacz. Zachował się jak głupiec. Do tego skazał

siebie, a może i Dawida na najgorszą z możliwych kaźni. Jutro umrze splamiony licznymi grzechami, bez szansy na

pokut *7*ę ***2*** i odpuszczenie. Złamał przysięgi złożone przed Bogiem. Ostatnie słowa Edwarda ciążyły mu na duszy jak wyrok. Miał tylko nadzieję, że król skupi się na nim i nie zechce się już znęcać nad resztą więźniów.

Podpełzł do ściany. Czepiając się kamieni zakrwawionymi palcami, wspiął się i zdjął krzyż z gwoździa. Osunął

się bezwładnie, ściskając go w dłoniach.

Boże, zmiłuj się nade mną, bo... — poruszył bezgłośnie ustami. Nie potrafił znaleźć właściwych słów, jakby jeszcze nie dojrzały. Tyle innych powinien wypowiedzieć najpierw, tyle wyrazić, wytłumaczyć.

Spojrzał na drzwi. Będą go jeszcze karmić, jeśli Edward chce, by wytrzymał tortury. Cichy szyderczy głos ozwał się w środku, pytając, jak chce pokonać uzbrojonych strażników, skoro nie może się nawet utrzymać na nogach. Odsunął od siebie ten dylemat. Nie da Edwardowi satysfakcji oglądania jego powolnej śmierci.

Zapewne nie wywalczy sobie drogi na wolność, ale będą go musieli zabić. Powoli podpełzł do drzwi. Głowa mu opadła. Poderwał ją, walcząc z wyczerpaniem, ale mimo wysiłków po krótkiej chwili zasnął.

R E Q U I E M

Obudził się ze wzdrygnięciem, oczy mętne od snu utkwił w drzwiach, zza których dobiegł stłumiony łoskot. Po chwili rozległ się drugi, głośniejszy stukot, jakby o drewno. Will podciągnął się po ścianie do pozycji stojącej, trzymając przed sobą krzyż jak sztylet. Drzwi się otwarły i ukazała się w nich głowa. Uderzył w nią najmocniej jak zdołał; człowiek upadł ze zduszonym okrzykiem, osłaniając się ramieniem. Will przelazł po nim na korytarz. Nim zdołał wyjrzeć, duża dłoń złapała go za gardło, pozbawiając tchu i głosu. Został wepchnięty z powrotem do celi, zobaczy! zarośniętą męską brodę wyglądającą spod kaptura, zamachnął się jeszcze raz, ale mężczyzna złapał go za przegub i ścisnął. Wypuścił krzyż ze zdrętwiałej dłoni. Równocześnie zdał sobie sprawę, że mężczyzna syczy jego imię. Zsunął nieco kaptur i w półmroku Will rozpoznał Wallace'a. W progu, trzymając się za głowę, podnosił się z podłogi Siwy. Na korytarzu było widać sylwetki, przelotny błysk stali.

Jak...

Później — przerwał mu Wallace. — Czy jest tu Adam?

Adam?

Wiedzą, że to mój krewniak. Mogli go tu przywieźć wraz z innymi jeńcami. Siwy widział go obok ciebie na polu.

Will milczał przez chwilę, starając się zebrać myśli.

Adam poległ — rzekł w końcu.

Prędzej! — pogonił ich od drzwi Siwy. Wallace objął Willa wr pasie i wyprowadził go z celi.

Wśród swych wybawców poznał Irlandczyka Stephena. Na korytarzu było też kilku jeńców, których

przywieziono wraz z nim na wozie. Byli w lepszym stanie niż on i dano im broń. Ciała strażników zalegały podłogę bezkształtnymi cieniami.

Czekaj — szepnął Will. — Dawida też wzięli. Muszę...

Urwał, bo w przeciwnym końcu korytarza pojawiło się dwóch ludzi. Dawid, mocno pobity, utyka! o własnych siłach. Drugim był Szymon, narzucał właśnie swój płaszcz na nagie plecy młodzieńca. Jego spojrzenie zetknęło się ze spojrzeniem Willa. Zanim ten zdołał cokolwiek powiedzieć, ktoś przerzucił go przez ramię i poniósł.

Zauważył jeszcze mnisi habit człowieka, który ich prowadził.

Zeszli na dół, przestępując u stóp schodów kolejnych martwych strażników. Siwy wyjrzał na wirydarz i przemknęli gęsiego na drugą stronę, mijając świeżo wzniesioną szubienicę. Zadzierzgnięte już pętle rysowały się złowrogo na tle wygwieżdżonego nieba. Z tyłu rozległ się okrzyk i wybiegło trzech gwardzistów. Dwaj ruszyli krużgankiem za uciekającymi, trzeci zawrócił, podnosząc alarm. Wallace postawił Willa, który się zatoczył i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Szymon. Dobywszy długiego miecza z pochwy na plecach, olbrzym ruszył naprzeciw nadbiegającym. W ciszy zaśpiewała stal i rozległy się kolejne krzyki. W klasztorze wszczął się ruch.

Prędko! — wrzasnął Siwy, prowadząc ich schodkami w dół do sklepionego przejścia.

Will poczuł zapach stęchłego jedzenia i zgadł, że są w kuchni. Zacisnąwszy zęby, chwycił się Szymona, który na poły go wlókł, na poły niósł. Dogonił ich Wallace, złapał pochodnię ze ściany. Z klingi ściekała krew.

Gdzieś wyżej zaczął bić dzwon.

Przemknęli przez kuchnię do spiżarni. Stephen się zatrzymał, żeby zastawić drzwi ciężkim workiem zboża.

Dominikanin wskazał klapę w podłodze, Siwy szarpnął ją w górę. Kiedy wbiegł Wallace z pochodnią, Will dojrzał ziejący ciemny otwór, w którym niknęły już kolejne cienie. Ktoś go szarpał, ciągnął. Will stłumił jęk bólu, a potem ogarnął go mrok.

Okolice Perth Piąty dzień sierpnia

Możemy pomówić?

Wallace obejrzał się przelotnie i znów szturchnął płonące polana kijem, który trzymał w ręku. Przepalona szczapa rozpadła się na kawałki.

Nie sądziłem, że tak szybko będziesz chodzić.

Widocznie trudno mnie dobić. — Will z grymasem bólu przysiadł na pniaku, a Wallace uniósł brew. Między drzewami niosły się pomrukiwania mężczyzn, ale było jeszcze wcześnie i większość spała skulona na ziemi przy ogniskach. — Czy wszystkim udało się uciec?

Nie pamiętasz?

Tylko oderwane fragmenty. Pomogli nam dominikanie?

Wallace kiwnął głową.

Byli nam to dłużni. Oszczędziliśmy klasztor, paląc miasto. Na szczęście dla ciebie. Gdyby go tam nie było, znalazłbyś się w szczerym polu otoczony przez całą angielską armię, a tej nie dalibyśmy rady.

Współczuję ci z powodu Adama.

Wallace pokiwał głową, ale nie odpowiedział.

Chciałem ci... wam podziękować nie tylko za siebie — ciągnął Will.

Także za Dawida.

Miałem nadzieję, że i Adam tam będzie. — Szczęki Wallace'a drgnęły. Wrzucił kij do ogniska. —

Zawdzięczam ci życie, Campbell. Nie musisz mi dziękować.

Słyszałem od Szymona, że spaliliście Perth.

R O B Y N Y O U N G

Anglicy najprawdopodobniej ruszą ze Stirlingu właśnie tam. Jedyne co w tej chwili jesteśmy w stanie zrobić, to pustoszyć ziemię na trasie ich pochodu. Nasi zwiadowcy nie spuszczają ich z oka, to od nich się dowiedzieliśmy, że pod Falkirkiem wzięli jeńców. Skończył się im już prowiant dowieziony morzem. Jeśli zdołamy ich pozbawić jadła i schronienia, prędzej czy później będą musieli zawrócić. — Wallace zapatrzył się w ogień. — Zwycięstwem nie zapełnią brzuchów.

Edward myśli, że wygrał.

Nie wygrał. — Wallace podniósł głowę. — W Szkocji jest jeszcze wielu mężczyzn. Zresztą większość jazdy ocalała.

Możni uciekli.

Uciekli spod Falkirku, ale nie wrócili na stronę Edwarda. Co więcej, w Perth słyszałem pogłoskę, że Robert Bruce obiegł Carlisle. — Wallace oparł muskularne ramiona na kolanach. Dłonie miał sinoczarne od świeżych stłuczeń odniesionych w sziltronie. Przeciągnął się. — Może inni też toczą swoje bitwy jak Szkocja długa i szeroka?

Will milczał. Sam też się nad tym zastanawiał, odkąd wczoraj odzyskał przytomność, ale wciąż nie był pewien, jak poruszyć ten temat. W końcu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie mówić szczerze.

Nie wygrasz w ten sposób — rzekł cicho.

Pod Stirlingiem zwyciężyliśmy.

Anglicy nie popełnią drugi raz tego samego błędu. Zmuszą nas do toczenia nierównych bojów i będziemy ponosić klęskę za klęską. W polu zawsze będą mieli nad nami przewagę.

Radzisz mi, żebym się poddał?

Radzę, żebyś zaatakował w inny sposób. Ten sojusz z Francją...

podjął szybko, zanim Wallace zdążył się odezwać — sojusz podpisany przez radę baronów, kiedy król Jan był

u władzy... Czy on wciąż obowiązuje?

Wallace kiwnął głową.

Kiedy obwołano mnie Obrońcą Szkocji, napisałem do króla Filipa, że czuję się nim związany i liczę na przyjaźń między naszymi królestwami.

Więc go wykorzystaj. Jedź do Filipa i do papieża. Wciągnij do pomocy ludzi, którym Edward zagraża, i tych, którzy mogą wywrzeć na niego nacisk. On też ma się czego obawiać. — Will przeczesał ręką włosy.

Zrozumiałem to wyraźnie, kiedy rozmawiał ze mną w celi. Znam Edwarda od lat, wiem, do czego jest zdolny.

Ale nigdy nie widziałem, żeby się bał. Zaczął czuć strach dopiero wówczas, kiedy myślał, że templariusze spiskują przeciw niemu.

A tak jest? — Wallace uniósł brwi.

Nie sądzę, skoro Brian le Jay i inni walczyli pod Falkirkiem. Wydaje mi się jednak, że stosunki Edwarda z mistrzem Anglii nie były zbyt dobre. Edward chyba po prostu nie potrafił uwierzyć, że odszedłem z zakonu.

Myślał, że przebywam wśród was jako wysłannik Templum, i to go przeraziło. — Will spojrzał w dół na swoje dłonie. — Niezależnie od tego wiemy, że baronowie są na niego wściekli o wojnę w Gaskonii, a po flandryjskiej klęsce z rąk Filipa musiał bardzo się starać, by odzyskać ich poparcie. To zwycięstwo podreperuje na jakiś czas jego dobrą sławę, ale jeśli Filip i papież go nacisną, na reakcję baronów nie trzeba będzie długo czekać. Ekskomunika do potężna broń. — Will rozłożył ręce. — Na wyklętego każdy może napaść, traktaty zostają uchylone, umowy handlowe tracą moc... to może okaleczyć państwo.

Wallace milczał, przyglądając mu się uważnie. Zza jego pleców dobiegł kaszel i do ogniska podszedł Siwy.

Kiwnął Willowi głową.

A więc jednak żyjesz — mruknął, podniósł bukłak i usiadł obok nich. — Brat Stephena zmarł w nocy — dodał, zwracając się do Wallace'a.

Ilu jeszcze Bóg nam zabierze?

Czując, że Wallace nie podejmie rozmowy w obecności Siwego, Will podniósł się niezgrabnie.

Przepraszam za to — stuknął się w czoło, w miejsce, gdzie Siwy wciąż miał fioletowy siniec.

Byłeś dowiódł, że warto cię było ratować... bracie.

Besztając się ***1***

w ***7 4***

duchu za myśl, że była to aluzja do Krystianny, Will odszedł. Z tyłu dobiegł go głos Wallace'a: Zastanowię się nad tym, co mówiłeś.

Kroczył powoli od drzewa do drzewa, zatrzymując się co chwilę, żeby złapać oddech. Nigdy w życiu nie czuł

się taki słaby. Kilku mijanych ludzi go pozdrowiło, ale większość milczała, przybita klęską i rzezią. Każdy stracił kogoś bliskiego.

Idąc w stronę polany na skraju obozowiska, napotkał Szymona z sakwą. Na twarzy koniuszego odmalowała się ulga.

Obudziłem się i zobaczyłem, że cię nie ma — wyjaśnił. — Przez chwilę myślałem... — Wzruszył ramionami.

— Mniejsza z tym.

Co to?

Szymon podał mu sakwę.

Miałem ci go oddać, kiedy wyzdrowiejesz, ale skoro już chodzisz...

R E Q U I E M

Will zmarszczył brwi i zajrzał do środka. Zobaczył zwinięty pas ze

skórzaną pochwą. Serce mu drgnęło. Złapał za rękojeść i pociągnął, upuszczając sakwę na ziemię.

Gdzie go znalazłeś? — spytał, przyglądając się ułamanej głowni.

W klasztorze sprawdzaliśmy wszystkie cele. W jednej leżała kupka ubrań i broni. Poznałem pochwę. Nie wiem, czy to da się naprawić.

Nie. — Will podniósł na niego wzrok. — Ale dziękuję... — Potrząsnął głową. — Byłem głupcem, Szymonie, przeklętym głupcem. Pora naprawić krzywdy. Wracam do Paryża. Mam pewien pomysł, o którym

rozmawiałem z Wallace'em. Być może pojedzie ze mną, ale tak czy owak ja ruszam najszybciej, jak to będzie możliwe. Jest parę rzeczy, które mogę tam zdziałać, i parę, które zrobić muszę.

Róża?

Opuszczenie jej było jednym z moich największych błędów. Podobnie sposób, w jaki potraktowałem ciebie.

Szymon zatknął kciuki za pas i odwrócił wzrok. Oczy mu podejrzanie zalśniły.

Mam jechać z tobą?

Tak.

A Dawid i Isenda?

Zostaną. Możliwe, że moja starsza siostra, Eda, wciąż żyje na północy. Jeśli da się ją odnaleźć, znajdą u niej schronienie.

1 7 5

Dawid nie będzie uszczęśliwiony.

Pomówię z nim dzisiaj, ale jest coś, co muszę zrobić najpierw. Przechowaj to na razie. — Will wręczył mu złamany tasak.

Rozstawszy się z Szymonem, wszedł na polankę, z której poprzedniego wieczora dobiegło go odmawiane chóralnym szeptem Ojcze nasz. Była prawie pora rannej mszy. Jan Blair był już na miejscu, mył ręce w strumieniu, który ciurkał przez las na skraju polany.

R E Q U I E M

Ksiądz odwrócił się, słysząc kroki, i na widok Willa w jego oczach odmalowało się zaskoczenie. Skinął mu głową.

Dobrego dnia — rzekł, ruszając po mszał leżący obok dymiącej kadzielnicy.

Czy wysłuchasz mojej spowiedzi, ojcze?

Jan przyjrzał mu się uważnie.

Oczywiście.

Will ukląkł na trawie przed milczącym kapelanem i zaczął mówić, z początku opornie, z wahaniem, później głośniej i szybciej. Czasem głos mu się łamał, jak wówczas, gdy mówił o miłości do Elwiny i złamanych ślubach zakonnych, o narodzinach Róży. Mówił o zdradzie żony i jej śmierci w płomieniach, o upadku Akki.

Na końcu, wypluwając słowa jak palącą żółć, opowiedział o mordzie na Garenie, który kiedyś był mu druhem, i o zabiciu templariusza pod Falkirkiem. A potem Jan położył mu ręce na pochylonej głowie i zaczął szeptać słowa odpuszczenia i wszystkie grzechy — dawne i nowe, zastarzałe i palące świeżą raną — zaczęły się rozpływać niczym dym w złotym świetle poranka.

Nabrzeże nad Sekwaną, Paryż Siedemnasty dzień września roku Pańskiego 1299

Było jasne, wietrzne popołudnie. Silne podmuchy tarmosiły skrzydła ptakom krążącym wokół wież Notre Dame i marszczyły powierzchnię Sekwany. Kołyszące się nad brzegiem drzewa muśnięte już były pierwszym jesiennym rumieńcem. Powoli nadchodziła ostatnia zima kończącego się stulecia.

Tu się rozstaniemy — Will obrócił się do Szymona — na razie.

Koniuszy zerknął przez ramię w kierunku Templum.

Dziwny to będzie powrót — mruknął — po tym wszystkim...

Znajdź Roberta. Wie, po co pojechałeś do Szkocji, więc możesz mu powiedzieć wszystko, co chcesz.

Jeśli kto inny zapyta, mów, że zostałeś przeniesiony do Balantrodoch, ale zatrzymała cię wojna.

Co właściwie będzie prawdą. — Szymon wydął policzki i sapnął.

Nie będą sprawdzać, Zresztą po śmierci Briana le Jay w brytyjskim Templum na pewno panuje zamieszanie, Także w archiwach. — Will uścisnął ramię Szymona. — Nie martw się.

A ty? Zobaczysz się z Robertem?

Will obejrzał się na wołanie Wallace'a. Reszta grupy zabrała już z barki bagaże i czekała na nabrzeżu.

Tak — obiecał. — Później.

Szymon ruszył samotnie w górę rzeki. Will podszedł do Wallace'a, zarzuciwszy sakwę na ramię.

Opowiedziawszy się strażom przy Grand Chatelet, sześciu mężczyzn wkroczyło na Wielki Most, ściągając na siebie spojrzenia kilku przechodniów. Wallace wszędzie zwracał uwagę swoim wzrostem, a choć nosił tunikę i płaszcz z dobrej wełny, buty miał wypucowane, mimo wszystko wyglądał trochę na opryszka. Długie włosy związane miał z tyłu, przez co

widać było szramy na twarzy. Kiedy szedł przez most, mijając trajkoczące przekupki, Will pomyślał, jak wyraźnie się zaznacza nieobecność Siwego u jego boku. Bez niego Wallace wydawał się samotny, ale to go nie umniejszało, przeciwnie; nadawało mu aurę mocy, która rosła w miarę, jak zbliżał się do zamku.

Will poprowadził ich do bramy wejściowej znajdującej się między wieżą Srebrną a Cesarską. Strażnicy przy bramie zlustrowali podejrzliwie egzotyczną grupę, ale przyjęli pergamin opatrzony pieczęcią króla Francji, który podał im Will. Gdy dowódca straży go czytał, Will zerknął w górę na wąskie okna wieży i potarł podbródek.

Ogolił się tego ranka na łodzi. Wątpił, czy ktokolwiek z Templum będzie w zamku królewskim, lecz mimo to czuł się pozbawiony osłony, naciągnął więc kaptur niżej, gdy wchodzili do wartowni. Szymon święcie wierzył, że dezercja zostanie mu wybaczona, Will miał jednak na ten temat inne zdanie. Mimo lęku odczuł ulgę, gdy w końcu się tu znalazł.

Podjąwszy w zeszłym roku decyzję o powrocie do Paryża, zaczął niecierpliwie przeć do wyjazdu. Wallace jednak był skrupulatny i chciał wszystko załatwić jak należy. Najpierw więc zrzekł się stanowiska Obrońcy Szkocji. Ten zaszczyt wraz z misterną siecią wiążących się z nim politycznych knowań zawsze był dla niego raczej brzemieniem niż ozdobą. Swobodniej czuł się w dziczy, wśród swoich żołnierzy. Jakiś czas później otrzymali wieść, że godnością tą podzielili się Robert Bruce i niejaki Jan Comyn. Wallace był zadowolony z ich wyboru.

W czasie gdy się to działo, Edward z armią przemierzał Szkocję, obsadzając zamki i pacyfikując miasta. Doszło do kilku drobnych potyczek, lecz żadna z nich nie była decydująca i gdy pod koniec lata jego żołnierze zaczęli się buntować, musiał wrócić do Anglii. Odniósł krwawe zwycięstwo pod Falkirkiem, ale drogo go ono kosztowało. Szkoci z posępną satysfakcją słuchali wieści, że Anglicy

musieli się karmić padłymi końmi, żeby przeżyć drogę do domu. Wojna nie dobiegła końca, przyczaiła się tylko.

Jesienią Wallace napisał do papieża Bonifacego i króla Filipa, prosząc

posłuchanie. Wiosną otrzymał od obu odpowiedzi. Zaproszono go na debatę nad przyszłością kraju, Jan Balliol bowiem nadal był więziony przez Edwarda, a w Szkocji panowało bezkrólewie. Latem wreszcie zakończono przygotowania do wyjazdu wśród niepokojących wieści o rozejmie zawartym przez Filipa i Edwarda.

Były to dla Willa dziwne dni, wypełnione na poły wyczekiwaniem

nostalgią. Na szczęście gorycz ponownego rozstania z rodziną złagodziła wiadomość, która nadeszła w samą R E Q U I E M

porę od jego starszej siostry. Jeden ze zwiadowców Wallace'a, proszony przez Isendę o przekazanie wieści, trafił w Elginie na dawnego sąsiada Edy, który skierował go do jej nowego domu. Zwiadowca przyniósł więc z powrotem entuzjastyczne zaproszenie i Isenda natychmiast wyruszyła na północ wraz z potomstwem. Dawid zgodził się jechać, ale wprzód uroczyście ślubował Wallace'owi, że stanie, by walczyć u jego boku, gdy ten wróci zza morza. Potem długo w milczeniu trzymał dłoń Willa. Dziewczęta wycałowały wuja, ale najdłużej ściskała go Isenda. Na końcu pożegnał się jeszcze z kimś. Było to nad rzeką w lesie selkirskim pewnego późnego popołudnia, gdy z nachylonych gałęzi brzostów spadały na ziemię liście jak krople płynnego złota. Nie wyjawił nikomu słów, jakie powiedzieli sobie z Krystianną, zamknął je w sercu.

Gwardziści wprowadzili ich do wielkiej sali audiencyjnej, posławszy sługę, by powiadomił króla o ich przybyciu. Will zmierzył wzrokiem marmurowe kolumny i jedwabne draperie. Co jakiś czas przechodził tędy szybko paź lub urzędnik, z reguły zerkając ciekawie na przybyłych. Kiedy Will był ostatnio w zamku, tej komnaty jeszcze tu nie było. Miał wtedy tyle lat, ile teraz Dawid. Z drgnieniem uświadomił sobie nagle, że Róża też jest w tym samym wieku. Po kilku pacierzach drzwi, za którymi znikł sługa, otworzyły się ponownie i wyszedł im na powitanie szczupły mężczyzna o bladej cerze, mierząc ich wzrokiem, w którym czujność mieszała się z lekceważeniem.

Sir Wilhelmie—zwrócił się do Wallace'a—król przyjmie cię w swej prywatnej komnacie.

Róża klęczała przy drzwiach, oparłszy na nich rozpostarte dłonie. Serce zatrzepotało jej w piersi, kiedy przyłożyła oko do dziurki od klucza, łowiąc ruch w przyległej komnacie. Filip przeszedł przez pomieszczenie, rozwiązując koszulę pod szyją. Na łożu leżała przygotowana inna koszula, cieńsza, oraz zdobna szata.

Dziewczyna skrzywiła się lekko, kiedy król ściągnął odzież przez głowę, odsłaniając siatkę blizn krzyżujących się na plecach. Królowa Joanna wyraziła się kiedyś do jednej z dam dworu, że kiedy dotyka męża, ma wrażenie, że wszystkie żyły biegną po wierzchu. Róża wyobraziła sobie, że wodzi czubkami palców po tych liniach.

Philippe le Bel. Wypowiedziała te słowa bezgłośnie, samymi wargami. Lud nazwał go Pięknym.

Właściwie nie lud, a dworzanie, lecz miano to powtarzano tak często, także w obliczu zagranicznych gości, że w końcu znała pod nim swego władcę cała Francja. Najładniej brzmiało w języku Północy, langue d'oïl. Po angielsku wydawało się szorstkie, po włosku, którym posługiwała się niemal przez całe dzieciństwo — zbyt pompatyczne.

Ale w północno- francuskim dialekcie było subtelne. Uwodzicielskie. Można je było szeptać, język delikatnie prześlizgiwał się po podniebieniu, czyniąc imię jeszcze miększym.

Philippe le Bel.

Zesztywniała, słysząc kroki na korytarzu za komnatką służek. Obejrzała się, gotowa odskoczyć, gdyby klamka w drugich drzwiach się poruszyła. Idący zmierzał jednak do któregoś z dalszych pomieszczeń. Przyłożyła oko z powrotem do dziurki i ujrzała, jak Filip, strojny już w jedwabną szatę, nakłada koronę na włosy o barwie miodu.

Stanął przodem do drzwi, założywszy ręce na plecy. Po starannie odmierzonej chwili powiedział:

Wejść.

W sypialni królewskiej pojawiła się grupa ludzi wprowadzonych przez Nogareta. Oczy Róży zwęziły się z antypatii na widok szczurzej twarzy legisty, lecz z zaciekawieniem spoczęły na nowo przybyłych. Ten, który szedł na przedzie, przykuwał wzrok. Choć odziany raczej skromnie, był ogromny, nawet Filip zdawał się przy nim karłem. Doszła do wniosku, że to musi być Wallace. Od tygodni krążyły po zamku pogłoski o zbliżającym się przyjeździe barbarzyńcy z Północy. Olbrzym skłonił się przed Filipem, a potem z miłym uśmiechem wyciągnął do niego rękę, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi.

Fról Francji spojrzał na podaną mu dłoń i zakaszlał dyskretnie.

Zapewne napijecie się czegoś, panowie? — Nogaret pstryknął palcami na stojącego przy drzwiach sługę.

Chętnie. — Olbrzym opuścił dłoń.

Sługa zabrzęczał pucharami, pokrywając krzątaniną niezręczny moment.

Proszę — Filip wskazał stół, przy którym były dwa siedziska

musicie być znużeni po podróży.

Wallace przyjął puchar wina i usiadł. Róża zerknęła ciekawie, czy sprzęt wytrzyma jego ciężar. Westchnęła z irytacją; pozostali stłoczyli się wokół stołu, zasłaniając jej Filipa. Trzech, odzianych w wełnianą odzież jak Wallace, stało do niej plecami, twarzą zwrócony był tylko Nogaret.

Zaczęli rozmawiać; wymieniać uprzejmości, jak mają w zwyczaju mężczyźni, nim przejdą do interesów.

Przypominało to walkę na miecze

najpierw każdy przyglądał się reakcjom przeciwnika na proste pytania i stwierdzenia, szukając słabych miejsc, które zaatakuje, gdy pojedynek wejdzie w decydującą fazę. Filip, jak zauważyła, był w tym bardzo zręczny. Ale dziś jego strategia spełzła na niczym, bo wielki Szkot przeszedł od razu do rzeczy.

Czy prawdą są pogłoski o twoim traktacie z Anglią, panie? — spytał podnosząc puchar do ust. — Zawarłeś pokój z Edwardem?

Jeden z jego towarzyszy przestąpił z nogi na nogę i Róża zdołała dostrzec, że król wymienia szybkie spojrzenie z Nogaretem. Potem znów zasłonił jej widok. Słyszała tylko głos:

Wieści podróżują szybko, nawet do dalekiej Szkocji. — Król urwał na chwilę. — Ta jest prawdziwa, ale mogę cię zapewnić, że w istocie jest to tylko rozejm, którego nie zamierzam tolerować zbyt długo. Musiałem na jakiś R E Q U I E M

czas przerwać działania wojenne w Gaskonii, aby zająć się bardziej palącym kłopotem, jakiego przysparzają mi Flamandowie. Niestety, Dam- pierre nie chce przyjąć opieki, jaką pragnę nad nim roztoczyć.

Nogaret zrobił kwaśną minę. W ciągu minionego roku Róża słyszała urywki wielu rozmów o flandryjskim

„kłopocie". Mówiono o nim przy wieczerzy w wielkiej sali, przy wyjściu z kaplicy, słyszała to samo nawet przez tę dziurkę. Wiedziała, iż to kanclerz Flotte wystąpił z planem zajęcia ziem hrabiego. Nogaret nie chciał

wycofywać się z Gaskonii, traktował to jak osobistą porażkę, jednakże spór wygrał kanclerz. Wojska Filipa nadal stacjonowały w Gujennie, ale walki ustały.

W głosie Wallace'a, gdy się odezwał, słychać było ulgę.

Zatem chętnie naradzę się z tobą nad przyszłością mego kraju, panie.

Chętnie będę cię gościł tak długo, jak zechcesz. Przyjaciele ze Szkocji są tu zawsze mile widziani.

Dziękuję ci za łaskawe zaproszenie, ale nie będę go długo nadużywał. Pojutrze chcę ruszyć dalej do Rzymu, gdzie mam mówić z Ojcem Świętym. Wrócę, gdy tylko zdołam. Na czas mojej nieobecności zostawię tu jednego z moich towarzyszy, który odpowie ci na wszystkie pytania.

Wallace wskazał Szkota, którego twarzy nie widziała. — Jeśli oczywiście zechcesz je zadać.

Z pewnością, ale pomówimy jeszcze przy wieczerzy. Nalegam, byś przyjął moje zaproszenie. — Rozległ się zgrzyt odsuwanego karła i Filip wstał.

W komnacie zapanował gwar, mężczyźni ruszyli do wyjścia. Widząc, że spotkanie dobiegło końca,

Róża wstała, lecz nagle wydało jej się, że słyszy swoje imię. Nachyliła się z powrotem do dziurki i zaraz odskoczyła, widząc, że pokojowy sługa zmierza do jej drzwi. Przysiadła na skrzyni i prędko zdarta z nogi ciżmę, udając, że ją poprawia. Kiedy drzwi się otworzyły, wstała i skłoniła głowę, po części z szacunku, a częściowo dlatego, żeby ukryć rumieniec.

Różo.

Oderwała wzrok od Filipa, stojącego jeszcze z Wallace'em w głębi komnaty, i przeniosła go na obcego mężczyznę, który stał w progu. Cała krew nagle odpłynęła jej z twarzy. Był gładko ogolony i bez brody wyglądał młodziej, ale to był on. Zalała ją fala zmieszanych uczuć: utraty, żalu, radości i nienawiści.

Najjaśniejszy panie? — dobiegł z komnaty głos Nogareta.

Zobaczymy się przy wieczerzy — rzucił król do Szkota i znikną! jej z oczu.

R E Q U I E M

Mężczyzna wszedł do komnatki i sługa zamknął za nim drzwi. Róża cofnęła się pod przeciwległą ścianę.

Co ty tu robisz? — wyszeptała.

Zaczął mówić, ale zasłoniła się rękami, jak gdyby jego słowa były rojem żądlących os.

Nie!

Wyciągnął do niej ręce. Odskoczyła.

Różo, proszę cię!

Szarpnęła drzwi na korytarz i z ręką na klamce obróciła się do niego, wypluwając nienawistne, jadowite słowa po francusku. Ten język znał również wiele przekleństw i obelg. Rzuciła mu w twarz wszystkie, które znała, a potem wybiegła.

Katedra Najświętszej Maryń Panny w Paryżu Dziesiąty dzień kwietnia roku Pańskiego 1302

Król zaciskał palce na poręczach tronu, przyniesionego rankiem z zamku i ustawionego na podwyższeniu w chórze. Dźwięczny głos Nogareta odbijał się od ostrołukowego sklepienia. Deszcz bijący w wąskie strzeliste okna huczał jak kamienie wyrzucane z procy i od czasu do czasu zagłuszał słowa legisty. Do wieczora było jeszcze daleko, ale niebo pełne skłębionych chmur pociemniało już zupełnie.

Filip pamiętał swoją pierwszą wizytę w tej świątyni. Miał wówczas najwyżej sześć lat, ojciec przywiózł go tu z zamku Vincennes. Kiedy wszedł przez wysokie odrzwia, zabrakło mu tchu — taka była wielka. Zadzierając CZĘŚĆ DRUGA

głowę, patrzył wzwyż zdziwiony, że nie widzi chmur; strop zdawał się sięgać niebios. Pamiętał też przykrą świadomość własnej małości i nicości, jakiej doświadczył, stojąc w domu Bożym. Czuł się wówczas jak robak na spągu otchłannej jaskini. To samo wrażenie miał i teraz, potęgowała je powaga sytuacji. Nogaret mówił do tłumu wypełniającego szczelnie wszystkie nawy:

...wezwaliśmy was więc, mężowie królestwa, abyście poparli swego króla. Sama bowiem przyszłość i wolność Francji leży na szali. — Zawiesił głos; przez wnętrze katedry przebiegły szepty. Legista wskazał ławę stojącą na prawo od tronu. — Wielce czcigodny kanclerz wyjaśni wam teraz treść wydanej ostatnio bulli papieskiej zatytułowanej „Ausculta fili". Wówczas pojmiecie w pełni, jak ciężkie są przewinienia Stolicy Apostolskiej wobec korony francuskiej i jej poddanych.

Nastała niezręczna, zbyt długa chwila ciszy. W końcu Flotte powstał, ściskając zwój pergaminu w usianych brunatnymi plamami dłoniach. Jego wzrok spoczął na Nogarecie, który usadowił się z boku. Potem, natężając drżący nieco głos, by przekrzyczeć nawałnicę, oznajmił:

Papież Bonifacy napisał do naszego łaskawego suzerena Filipa, wnuka i spadkobiercy świętego Ludwika, w piśmie owym stwierdzając, że stoi ponad naszym monarchą nie tylko w duchowej, lecz i świeckiej dziedzinie.

Zadał więc kłam temu, iż każdy monarcha samowładny jest w swoim królestwie. Zażądał uwolnienia Bernarda Saisseta, heretyckiego biskupa Pamiers, którego słusznie obwiniono o zbrodnie przeciw koronie. Samym tym żądaniem papież zaprzecza uświęconemu prawu pomazanego przez Boga monarchy, aby sam wymierzał

sprawiedliwość w swym królestwie, ergo sądził i karał swych poddanych.

Flotte zakasłał i umilkł na chwilę, jakby zbierał siły. Zerknął na pergamin.

Co więcej — podjął — papież zwołał wszystkich biskupów Francji na synod do Rzymu, gdzie zamierza przedstawić naszemu panu tak bezwstydne i oszczercze zarzuty jak te, jakoby psuł monetę, gnębił poddanych gwałtem i obciążał kler podatkiem bez miary ni potrzeby. — Mówił coraz ciszej; Nogaret poruszył się niespokojnie i zgromił go wzrokiem. — Ale czy jest tu choć słowo o jego

własnych przewinach? O ciężkich daninach nałożonych na Kościół Francji, które upuszczają nam krwi, tucząc rzymski skarbiec, a bez śladu pożytku dla chrześcijaństwa? Wszak to on gnębi swych synów, także przez to, że bezpodstawnie szkaluje naszego szlachetnego króla i miesza się w rządy świeckie.

Podczas gdy kanclerz drżącym głosem wyliczał zarzuty skierowane przeciw papieżowi, Filip coraz mocniej ściskał poręcze tronu. Czuł się tak, jakby jego ciało miażdżył ogrom powietrza zawartego w katedrze i potę-

piające spojrzenia tysięcznych obrazów Boga, jego aniołów i świętych patrzących na niego z witraży, fresków, figur i gobelinów. Mial ściśnięte gardło i był zlany potem. Powinna go rozpierać duma, świadomość własnej potęgi, gdyż rozgrywająca się tu scena nie miała precedensu w historii Francji. Po raz pierwszy zebrały się wszystkie trzy stany — duchowieństwo, szlachta i gmin. Katedra była zatłoczona do ostatniego miejsca prałatami, biskupami, hrabiami i książętami, możnowładcami i starszymi cechów. Ale Filip czuł się niepewnie.

Od chwili uwięzienia krnąbrnego biskupa, Bernarda Saisseta, wypadki potoczyły się szybko — zbyt szybko, żeby nad nimi zapanował. W dodatku Nogaret i Flotte ciągnęli go w dwie różne strony. Przelotnie pożałował, że nie zwołał tego zgromadzenia w zamku. Symbolika wystąpienia przeciw zwierzchnikowi Kościoła właśnie w świątyni nie była warta tego strasznego, miażdżącego uczucia. Była to jednak decyzja ze wszech miar słuszna.

Został dyskretnie zapewniony, że szlachta i mieszczanie głównych miast go poprą. Znaczniejszym duchownym dał do zrozumienia, że sprzeciw zostanie przezeń uznany za deklarację wojny ze wszystkimi tego kon-sekwencjami, pomimo to jednak nie był przekonany, że zgodzą się pójść mu na rękę. Należało im pokazać, że on, Filip, tronujący w tej strzelistej katedrze, został nie tylko wyposażony we władzę świecką, ale i pomazany przez Boga.

W konkluzji — kończył Flotte — prosimy was pięknie, abyście wspomogli nas w obronie naszych swobód.

Włodarze ziem i miast, dostarczcie nam listy podpisane przez waszych przedstawicieli, abyśmy je mogli przesłać papieżowi i jego kardynałom, i napiszcie w nich z mocą, że Francja nie będzie kukłą
1 9

w *7* rękach Rzymu.

Biskupi i księża, przyrzeczcie, że nie stawicie się na synodzie, protestując w ten sposób przeciwko niespra-wiedliwym zarzutom wobec waszego łaskawego króla. Miłościwy pan wysłucha waszej decyzji za godzinę.

Filip wstał i wyszedł, zamiatając posadzkę paradnym płaszczem. Odprowadzały go wszystkie oczy. Kiedy zniknął w cieniu za chórem, Nogaret ruszył za nim, zostawiając Flotte'a i resztę królewskich doradców, by mieli pieczę nad tłumem, w którym zapanowało wyraźne poruszenie.

Jeden z kanoników zaprowadził króla do paradnej komnaty przy zakrystii. Filip opadł na ławę i

wytarł spocone czoło. Nogaret byt poirytowany, lecz zaczekał, aż kanonik odejdzie, nim wybuchnął:

Najjaśniejszy panie, czuję się w obowiązku zaprotestować przeciwko temu, co wyczynia nasz kanclerz. Celowo starał się podważyć wagę argumentów tą... — Nogaret zacisnął zęby — tą dukaniną.

Czy postąpiłem słusznie?

Nogaret przyjrzał mu się uważnie.

Jesteś blady, panie. Źle się czujesz?

Powiedz mi, Nogaret, czy postąpiłem słusznie? — Filip spojrzał mu prosto w oczy. — Czy powinienem był

uwięzić Saisseta?

Po stokroć tak. Podżegał przeciwko tobie, kwestionował twoje decyzje i ośmieszał władzę. Ten człowiek obrzucał cię błotem, nazywał kurzym móżdżkiem, bezrozumnym...

Starczy! — warknął Filip. Wciągnął powietrze w płuca. — Ale nie ma dowodów, że był heretykiem. Mój spowiednik, Wilhelm z Paryża, jest przekonany, że biskup nie dopuścił się tak ohydnego grzechu.

Nogaret przygryzł wargę.

Rozmawialiśmy już o tym, panie — rzekł powoli. — Twój lud pozostaje wciąż we władzy księży, jak za dawnych czasów. Potrzebny im jaskrawy, zrozumiały powód, dla którego wysoko postawiony kapłan trafia do lochu. Herezja mieści się w ich rozumieniu.

Twoim też — odparował Filip.

Nogaret umilkł. Jego blada twarz w blasku świec przypominała maskę. Na zewnątrz deszcz wciąż tłukł wściekle w okna. W końcu legista rzekł cicho:

Robię zawsze to co najlepsze dla ciebie, mój panie, i dla królestwa. Rady, jakich ci udzielam, tylko to mają na względzie. Jeśli chcesz w swoim kraju sprawować władzę najwyższą, musisz wykazać, że jesteś większy niż księża i biskupi, nawet niż sam papież, inaczej twoja władza zawsze będzie ograniczona do tego, na co łaskawie pozwoli jej Kościół. Czy nie chcesz, by twój lud obwołał cię świętym? Aby czcił twoje imię i twoje czyny, jak dziś czci twego dziada?

Filip utkwił wzrok za plecami Nogareta, w zdobiącej ścianę wyszywanej tkaninie przedstawiającej Maryję z Dzieciątkiem. Bezpieczny w ramionach Matki, Bóg wcielony wyciąga! ku górze palec. Jego oczy były dwiema plamami czerni.

Tak — szepnął Filip. — Tego właśnie chcę.

Nie ustępuj więc, panie, a przysięgam, że pomogę ci to osiągnąć.

Zgromadzenie ponownie zasiadło w ławach, nim upłynęła godzina.

Kilku diuków i burmistrz Paryża wygłosiło kunsztowne mowy wyrażające poparcie dla władcy i odczytało listy protestacyjne skierowane do papieża. Potem wstał biskup paryski, by przemówić w imieniu duchowieństwa.

Mówił powoli, jakby z trudem dobierał słowa, lecz wynikało z nich, że kler stanie po stronie króla. Filip rozprostował zaciśnięte ręce i usiadł swobodniej.

Przyjrzał się duchownym. Na wielu twarzach widział wściekłość, lecz także rezygnację. Musieli być mu posłuszni, inaczej groziła im utrata beneficjów. W jednym z pierwszych rzędów siedział Bertrand de Got, niski, drobny człowieczek, pomniejszony jeszcze przez sute fałdziste szaty. Wyglądał na markotnego i zmęczonego, ale nie gniewnego. Filip odetchnął. Bertrand został wybrany arcybiskupem Bordeaux przed dwoma laty i był

osobą, z którą należało się liczyć, zwłaszcza że mimo rozejmu z Edwardem sytuacja w Gujennie nadal nie była pewna. Chociaż król nie znosił arcybiskupa, musiał go mieć po swojej stronie.

Po biskupie Paryża zabrał głos Nogaret. We wzniosłych słowach podziękował mężom Francji za ich pomoc i na tym pierwsze zgromadzenie stanów się zakończyło.

Co ty sobie wyobrażasz, łaskawy panie? — syknął Nogaret, chwytając kanclerza za ramię w przedsionku katedry. Zebrani wylewali się z budynku w słotny zmierzch.

Kanclerz wściekłym spojrzeniem obrzucił ministra i strącił z ramienia jego dłoń.

Zrobiłem, co musiałem.

Robiłeś to, co rozkazał ci król. Powinieneś był dołożyć wszelkich starań i przedstawić sprawę ze stosowną powagą, a nie popiskiwać jak zagłodzona mysz w pazurach kota!

Jak śmiesz!

Chwała Bogu choć za to, że nie udało ci się zaprzepaścić werdyktu.

Z góry wiadomo było, jaki zapadnie! — prychnął Flotte.

Zamiary pierwszego stanu wcale nie były jasne. Mogłeś zagrozić wszystkiemu, co chcieliśmy osiągnąć.

Źrenice Flotte'a rozszerzyły się nieznacznie.

To ty jesteś zagrożeniem dla Francji! — Pociągnął Nogareta do bocznej nawy. — Po co ci ta parodia procesu przeciwko Saissetowi? Chcesz się popisać władzą, urażony, że król za moją radą skupił się na Flandrii, kiedy ty pchałeś go do G ***1 9***

uj ***8***

enny?

Nadal uważam, że powinniśmy byli wszelkimi środkami odzyskać władzę w tym księstwie, ale nie o to...

Nie do wiary, że nadal nic nie rozumiesz! Flandria jest tak samo bogata, a znacznie łatwiej nad nią zapanować.

Rządzi w niej francuski wasal, nie obcy król. Podczas gdy w Gaskonii przepychamy się wzajem bez skutku, we Flandrii odnieśliśmy świetne zwycięstwo. Dziś nasze wojska stacjonują w Brugii i Gandawie, co daje znacznie lepsze widoki na poddanie całego hrabstwa królowi Francji — ciągnął szybko Flotte, zanim Nogaret zdążył mu przerwać. — A Flandria to tkalnie. Jeśli będziemy ją mieli w ręku, poprzez handel wełną zyskamy wpływ także na Edwarda. Wówczas być może bez rozlewu krwi rozwiążemy sprawę angielskiego lenna. Nie widzisz w tym głębszego sensu?

Ponura twarz Nogareta nie drgnęła.

Nie chodzi tu o Flandrię ani o Gaskonię, tylko o ukaranie zdrajcy. Saisset rzucał kalumnie na króla. Musiał

zostać uwięziony.

R E Q U I E M

Zapomniałeś już, czego cię uczono? Czynem tym pogwałciłeś prawo kanoniczne! Biskupi mogą być sądzeni tylko przez kurię rzymską. Papież ma pełne prawo żądać uwolnienia Saisseta. — Głos Flotte'a opadł do szeptu.

— Wiedział o tym każdy człowiek w tym zgromadzeniu, choć

mówili co innego, żeby się przypochlebić władcy. To co się tu stało, pogłębi tylko rozziew między Francją a Rzymem.

Niech będzie jak najgłębszy! Słyszałeś o uroczystości, jaką Bonifacy urządził na rozpoczęcie nowego stulecia?

Ćwierć miliona pielgrzymów, których zwabił odpustem, podziwiało papieża rozpartego na tronie, dzierżącego miecz i berło i wrzeszczącego: „Jestem cezarem!”. — Ton Nogareta był lodowaty. — Iście, skoro uwięził lub zabił wszystkich Colonnów, których zdołał dopaść, nie ma już nikogo, kto by się przeciwstawił jego pysze.

Gdyby pożył jeszcze sto lat, przy następnym jubileuszu wołałby z pewnością: „Jestem Bogiem!”.

Flotte się skrzywRiłO. B Y N Y O U N G

To nie zabawa, Nogaret. Twoja polityka wystawiła Francję na poważne niebezpieczeństwo. — Uniósł bullę, którą trzymał w czasie swego wystąpienia. — Czy ty w ogóle to czytałeś? Jeśli nie uwolnimy Saisseta, papież cofnie wszelkie udzielone nam dotąd przez Rzym przywileje.

Rozwinął pergamin. — Pisze: Wróć, drogi synu, na zbożną drogę, z której pobłądziłeś czy to przez własne grzechy, czy przez złą radę. Nie wierz, że jesteś wolny od zwierzchnictwa namiestnika Piotrowego na ziemi. To zaiste byłoby szaleństwem, każdy bowiem, kto sobie coś takiego roi, jest odstępcą i zostanie przegnany ze stada.

— Flotte podniósł oczy. — Przegnany ze stada. Nie rozumiesz? On grozi ekskomuniką.

Nie ośmieli się. Potrzebne mu złoto, które ciągnie z Francji. Kiedy raz przestało płynąć, musiał wycofać bullę

„Clericis laicos”. Teraz też ustąpi, jeśli będziemy twardzi. — Skłonił się lekko. — Pozwól, że cię pożegnam.

Obaj mamy obowiązki.

Flotte’a porwał gniew tak wielki, że zapomniał, gdzie się znajduje.

Jesteś bezbożnym bydlęciem, ty synu heretyka! I zrobię wszystko co w mej mocy, żeby król to wreszcie dostrzegł!

Nogaret się odwrócił, wbił oczy w purpurową twarz Flotte’a.

Ostrożnie, panie kanclerzu. Za bardzo się ekscytujesz. Nie jesteś już młody, może ci to zaszkodzić.

Kościół śś. Gerwazego i Protazego w Paryżu Dwudziesty piąty dzień maja

Will wyjął świecę i przytrzymał ją w płomieniu, żeby knot dobrze się zajął. Potem postawił ją przed ołtarzem i odmówił modlitwę. Wyrzeźbione w kości słoniowej twarze Gerwazego i Protazego, świętych

męczenników, których zgładzenie lud przypisywał okrutnemu Neronowi, patrzyły na niego ze smutkiem.

Posłyszał za sobą kroki i szelest płaszcza.

Usiądziemy?

Obejrzał się i skinął Robertowi głową.

Zakrystianin podszedł do ołtarza z nożem i drewnianą miską. Uśmiechnął się nieśmiało do templariusza i towarzyszącego mu mężczyzny w prostej wełnianej odzieży, a potem ukląkł i zaczął zeskrobywać wosk z R E Q U I E M

posadzki. Było późne popołudnie, między noną a nieszporami. Prócz nich tylko dwie osoby klęczały z pochylonymi głowami na przedzie nawy. Jedynym dźwiękiem był rytmiczny zgrzyt noża o kamień.

Nie byłem pewien, czy jesteś jeszcze w mieście — rzekł Robert cicho. — Myślałem, że wróciłeś do Szkocji.

Szymon by ci o tym powiedział.

Szymon mówi mi tylko, kiedy chcesz się ze mną spotkać. Zwykle mnie unika. Chyba boi się, że zacznę zadawać pytania, które ktoś mógłby podsłuchać. — Robert przeczesał dłonią rzednące już nad czołem srebrzy- stobiałe włosy. — Albo mi po prostu nie ufa.

W to nie wierzę. — Will stanowczo ściągnął brwi. — Ale dobrze, że jest ostrożny.

Chyba zanadto się martwi. Hugo jest przekonany, że od dawna nie żyjesz. Większość rycerzy, którzy cię znali, powróciła na Cypr z wielkim mistrzem. Nie zostało wielu, którzy mogliby cię rozpoznać. Jeśli tylko będziesz się trzymał z dala od preceptorium, nic ci nie grozi.

Mimo to muszę uważać.

Nie chcąc narazić swoich ważnych zadań — mruknął Robert.

Will westchnął.

Byłem pewien, że rozumiesz.

Nie — odparował Robert ostro. — Miałeś nadzieję, że rozumiem i nie musisz czuć się winny.

Zakrystianin zerknął w ich stronę, ale pod twardym spojrzeniem templariusza skwapliwie wrócił do skrobania podłogi.

O co ci chodzi, Robercie? Myślałem, że jesteśmy...

Czym? — przerwał mu Robert. — Przyjaciółmi?

A nie jesteśmy nimi?

Nie wiem. Zjawiasz się po trzech latach bez słowa wyjaśnienia i oczekujesz, że wszystko będzie jak dawniej.

Wydaje ci się to możliwe? Opuściłeś zakon, zrzucając swoje obowiązki na cudze barki. Opuściłeś też bractwo, którego byłeś zwierzchnikiem. Ślubowałeś mu wierność.

Podobnie jak ty.

Za twoją zachętą. — Dostrzegłszy urażoną minę Willa, Robert urwał na chwilę i odwrócił wzrok. — Czego się spodziewasz? Mniej więcej co pół roku posyłasz po mnie, jakbym był wynajętym przez ciebie szpiegiem, bo chcesz wiedzieć, czy Templum ma informacje na ten czy inny temat. Nawet nie pytasz o Duszę Świątyni. Wcale nie miałem ochoty dziś tu przychodzić. Zadałem sobie pytanie, dla kogo zbierasz wieści, i uświadomiłem sobie, że nie znam odpowiedzi. Dla Wallace'a? Dla króla Filipa? A może dla kogokolwiek, kto ci zapłaci!

Nie jestem najemnikiem.

Nie? Szymon niewiele mi opowiedział po powrocie, ale wiem, że obaj byliście pod Falkirkiem. Ginęli tam nasi bracia. Zginął mistrz Anglii.

Robert surowo przyjrzał się Willowi. — Chyba stanąłeś po niewłaściwej stronie.

To nie ja zmieniłem strony, tylko Templum! Wciąż walczę przeciw człowiekowi, który zdradził nasze ideały i posłużył się nami dla własnych celów.

Walczysz jako pies gończy na smyczy Filipa?

Tylko on i papież są dostatecznie silni, żeby wpłynąć na Edwarda. Już nieco spuścił z tonu dzięki ich interwencji. Wallace musi utrzymać ich poparcie, jeśli wojna w Szkocji ma się zakończyć.

Mówiłeś, zdaje się, że robisz to dla Templum? — wtrącił Robert zjadliwie.

Dopóki Edward jest uwikłany w swoje polityczne i militarne gierki, najpewniej zostawi Templum w spokoju.

Poza tym mam rodzinę w Szkocji, więc to oczywiste, że przy okazji staram się ją chronić.

Robert milczał przez chwilę.

Zatem wysługujesz się Filipowi dla Szkocji?

Powiedzmy, iż wpajam królowi poczucie, że były templariusz może mu się przydać. — Will ze znużeniem wzruszył ramionami. — Dopóki trwa konflikt w Gujennie, Szkoci są Filipowi potrzebni. Ich akcje zbrojne wiążą siły Edwarda. Dlatego Filip wciąż śle Wallace'owi pieniądze, choć rzecz jasna nie tyle, ile byłoby trzeba. Na razie pilnuję, żeby wiadomości i te skromne datki trafiały bez przeszkód do adresata. Ale jeśli równowaga sił się zmieni? Wallace chciał mieć swojego człowieka na francuskim dworze. To jeden z powodów ***2 0***

, dl ***3*** a których tu

zostałem.

Nie jedyny?

Sam go o to prosiłem. Chodziło mi też o Różę.

Krążą plotki, że Wallace poległ.

Nie, ale się ukrywa. Edward na niego poluje, a jako nagonki użył szkockich nobili. Niektórzy chętnie mu służą, inni nie mają wyjścia, gdyż wziął zakładników spośród ich bliskich.

Mówiłeś z Filipem o Anima Templi?

Nie. Wie tylko, że byłem komandorem, a powodem mojej dezercji stało się poparcie, jakiego zakon udzielił

Edwardowi. To wszystko. — Will przerwał, czekając, aż minie ich zakrystianin z miską pełną żółtawych kawałków wosku. — A jak wyglądają sprawy bractwa? Hugo wciąż intryguje z Edwardem?

Przesyłają sobie listy, ale rzadko i nie ma w nich wiele poza ogólnikowymi deklaracjami, przynajmniej o ile R O B Y N Y O U N G

wiem. Co do bractwa zaś... powiedzmy, że jest w uśpieniu.

Zaskoczeniu Willa towarzyszył cień gniewu.

Nic nie robicie?

Zostało nas trzech — prychnął Robert. — Ja i Hugo w Paryżu, Tomasz w Londynie. Co u licha mamy robić?

Spotykać się raz w roku i przez pół dnia szumnie zapewniać się wzajem, że zbawimy świat?

Choćby postarać się o nowych członków. — Willa zirytował jego ton.

Hugo jest zajęty. Ma na głowie całą działalność zakonu na kontynencie. Negocjacje handlowe, rekrutację rycerzy, budowę statków, starania o donacje. Sporo tych obowiązków zrzuca na mnie,

więc też jestem zajęty.

Poza tym są i inne sprawy.

Jakie?

Ot, plotki — rycerz skrzywił się niechętnie — ale chcę je sprawdzić.

Jakie plotki?

Robert potrząsnął głową.

Pewnie nic poważnego. Sam wiesz, jakie mrożące w żyłach brednie opowiadają sobie giermkowie o

wtajemniczeniu rycerzy Templum.

Obejrzał się. Z zakrystii wyszedł ksiądz, za nim dwóch ministrantów niosących brewiarz. — Jeśli chcesz o coś zapytać w imieniu Filipa, pytaj. Robi się późno.

Will oparł się wygodniej.

Tym razem nie przyszedłem w jego imieniu. Chodzi mi o Różę. Nie mogę do niej dotrzeć.

Dziwisz się?

Przeleciały prawie dwa lata, a wciąż zachowuje się tak, jakbym nie istniał. Kiedy się mijamy w pałacu, udaje, że mnie nie widzi. Jeśli zadaję

jej pytanie, puszcza je mimo uszu. Nie mogę jej wciąż przepraszać! Zamknęła się w sobie. Nie tylko przede mną, przed wszystkimi. — Will zmarszczył brwi. — Martwię się o nią, Robercie.

Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc.

Znasz ją od małego i zawsze cię szanowała. Wytłumacz jej, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej.

Nie jestem pewien, czy sam to rozumiem.

Proszę cię — dodał cicho Will, widząc, że Robert wstaje.

Rycerz spojrzał na swoje dłonie i westchnął ciężko.

Dobrze. Powie R

dz O

S B

zyY N

m Y O U

onowi,N żGeby jakoś zorganizował nam spotkanie. Ale nie mogę ci zagwarantować, że w

ogóle będzie chciała mnie wysłuchać.

Sainte-Chapelle w Paryżu Trzydziesty dzień maja roku Pańskiego 1302

Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie, a kto żyje i wierzy, nie umrze na wieki.

Spojrzenie Róży prześliznęło się po księdzu czytającym Ewangelię. Poranne słońce wlewało się przez witraże i górna kaplica Sainte-Chapelle skąpana była w feerii barw. Róża miała wrażenie, że znajduje się w środku olbrzymiego klejnotu.

Kochała tę kaplicę nie za jej piękno ani moc relikwii, które się w niej mieściły, ale za to, że codziennie mogła się tu niepostrzeżenie przyglądać obiektowi swoich westchnień. Dormitorium, zwykle zajęte przez inne służki, nie dawało wiele okazji do podglądania, a podczas posiłków w wielkiej sali panował za duży gwar i krążyło zbyt wiele czujnych spojrzeń. Tutaj, gdzie głowy całego dworu pochylały się nabożnie, mogła do woli napawać oczy.

Tylko ona widziała go w tej szczególnej chwili i dawało jej to podniecające poczucie władzy. Przestąpiła z nogi na nogę. Od witraży rozchodził się słoneczny żar i rozgrzana skóra zaczynała ją mrowić.

Dziś król był ubrany w czarny aksamitny płaszcz, który spływał mu z ramion i układał się na posadzce niczym kałuża atramentu. Włosy miał w słońcu koloru ciemnego miodu; część opadła do przodu, odsłaniając trójkąt ciała na karku. Róża skupiła wzrok na tym kawałku skóry, wędrując po niej w wyobraźni, przedstawiając sobie jej ciepło, pulsowanie krwi, miękkość przy dotknięciu opuszkami palców albo muśnięciu warg. Czasem takie myśli z trudem dawały się znieść. Serce jej przyśpieszało, twarz płonęła, ciało drżało, jakby uwiązł w nim rój pszczół. Czuła ich żądła, także tam, gdzie miast bólu sprawiały rozkosz.

Obok Filipa ktoś się poruszył. Wzrok Róży padł na szerokie plecy królowej opięte ciasno zasznurowaną szafirową suknią. Sama splotła jej

rano gęste czarne włosy w warkocze i upięła wymyślnie. Pulchne ramię Joanny dotykało teraz ręki męża, niwecząc marzenie. Obok stało pięcioro ich dzieci — następca tronu, trzynastoletni Ludwik, a potem Filip, Karol, Robert oraz Izabela, śliczna ciemnowłosa dziewczynka, jedyna pozostała przy życiu córka królewskiej pary. Róża bez zainteresowania powiodła wzrokiem po dziecięcych profilach i znów zerknęła na króla.

Napotkała spojrzenie Wilhelma de Nogaret, który stał po jej prawej stronie, tuż za monarchą. Prędko opuściła głowę spłoszona, a ksiądz tymczasem skończył czytanie.

Król wyszedł pierwszy, za nim rodzina, później najważniejsi doradcy. Pokojowe królowej i pomniejsi dworzanie wyszli na balkon ostatni. Kiedy Róża była nikomu nie znaną służką, słuchała mszy w dolnej kaplicy, a jadała w sali znajdującej się w przyziemiu pod paradną jadalnią o sklepieniu wspartym na białych marmurowych kolumnach. Oba te pomieszczenia były skromniejsze, przytłoczone żebrowanymi stropami i ciasne w porównaniu z górnymi — wysokimi i widnymi, pełnymi powietrza,

nieograniczonej prawie przestrzeni. W jej odczuciu było coś złowieszczego w tych fizycznych

rozgraniczeniach statusu, jak gdyby góra i dół odzwierciedlały raczej granicę między niebem a piekłem.

Na zewnątrz jaskrawe światło raziło w oczy. Królowa i pierwsza dama skierowały czeredę królewskich dzieci do wnętrza zamku, ale król zatrzymał się na balkonie z Nogaretem i Flotte'em. Stał przy nich jeszcze jeden mężczyzna w szkarłatno-czarnej tunice królewskiego kuriera. Mijając ich, Róża nieśmiało zerknęła na króla, w nadziei że się obejrzy, ale minę miał zatroskaną i w skupieniu przysłuchiwał się słowom posłańca. Gdzieżby miał zwrócić na nią uwagę!

Masakra? — Filip pokręcił głową. — Jak szybko możemy wysłać im posiłki?

Na twarzy gońca odmalowało się zmieszanie.

Racz mnie dobrze zrozumieć, najjaśniejszy panie. Ocalał tylko jeden człowiek, który zbiegł do Courtrai, by nas ostrzec. Reszta garnizonu została wymordowana. Natychmiast wysłano mnie do ciebie z wieścią.

Filip podszedł do kamiennej balustrady i zacisnął na niej obie dłonie.

Jak to się mogło stać? — Spojrzał na Flotte'a i Nogareta stojących obok w milczeniu. — Jak? — Przeniósł

wzrok na posłańca. — Na litość boską, przecież to było wojsko! Mieli zbroje, broń, konie. Jak tkacze rzeźnicy zdołali wymordować cztery tysiące francuskich żołnierzy?

Tkacze już jakiś czas temu zaczęli tworzyć zbrojną straż, by strzec swych interesów przed miejscową szlachtą

— odparł kurier. — Służą w niej krzepcy mężczyźni z gminu, uzbrojeni przez cechy. To oni napadli na naszych żołnierzy. Powstanie w Brugii starannie zaplanowano. Zaczęło się tuż przed jutrznią, kiedy większość żołnierzy spała na kwaterach, które zajęliśmy w mieście. Flamandowie chodzili od drzwi do drzwi z bronią skrytą pod odzieniem. Temu kto otworzył, kazali powtarzać hasło: „des gildens vriend", co jakoby w ich języku znaczy „przyjaciel cechów", a Francuzom niełatwo wypowiedzieć poprawnie te słowa. Jeśli kto nie zdołał, uznawano go za wroga i zabijano na miejscu. Większość naszych nie była nawet odziana, cóż dopiero uzbrojona.

Cztery tysiące... — szepnął Filip. — Cztery tysiące! — Uderzył pięścią w balustradę i obrócił się do Flotte'a.

— To podważa mój autorytet. Ledwie udało mi się przekonać poddanych, że jestem dość potężny, by zadrzeć z papieżem. Teraz wszyscy ujrzą, że mogą mnie pokonać byle chłopi!

Musimy wysłać tam więcej wojsk — odezwał się Flotte, podchodząc.

Niestety, Brugi Ra O

t B Y N

o dopiYe O

roU N G

początek, miłościwy panie.

Obaj obejrzeli się na posłańca.

Brugijska jutrznia, jak ją nazwali Flamandowie, dała sygnał do buntu w całej prowincji. Cechy chwyciły za broń, a liczebność oddziałów wciąż rośnie. Kiedy wyjeżdżałem z Courtrai, krążyły pogłoski, że idą na tamtejszy zamek, niedawno zdobyty przez nasze wojska. Podobno chcą go wziąć szturmem.

Należałoby spróbować rozmów z Gwidonem de Dampierre

odezwał się w ciszy Nogaret. — Wyciągnąć doń jakąś gałązkę oliwną i skłonić, by zapanował nad

tymi ludźmi.

Trzymaliśmy hrabiego w lochu po zajęciu Brugii — odparł sarkastycznie Flotte. — Wątpię, czy zechce przychylić się do naszych próśb. —Kanclerz spojrzał królowi prosto w oczy. — Nie mamy już wyboru, panie.

Decyzję podjął za nas flandryjski gmin.

Filip skinął głową. Twarz mu stężała.

Ściągnij wojska z Gujenny, Flotte — rzekł cicho. — Wyślij je do Flandrii wraz z siłami hrabiego Roberta z Artois. Chcę, żebyś...

Panie... — zaczął Nogaret.

Milcz, gdy król mówi — osadził go Flotte.

Chcę, żebyś i ty się tam udał, kanclerzu — ciągnął Filip, nie zwracając uwagi na tę wymianę zdań. —

Pojedziesz do Flandrii i dopilnujesz, aby moje rozkazy zostały wykonane. Będziesz mymi oczyma. Moim głosem.

To dla mnie honor, panie — skłonił się Flotte.

Tym plebejuszom łatwo było zabijać wyrwanych ze snu żołnierzy

szepnął król. — Niech więc staną naprzeciw kwiatu francuskiej jazdy. Dajmy im powąchać lilii.

Paryż

Czwarty dzień czerwca

Na targu było duszno, wszystkie wonie zdawały się więznąć w obrębie placu, mdlący smród gnoju mieszał się z zapachami jedzenia. Róża zdjęła misternie upiętą chustę, wywlekając przy tym kilka pasm włosów z warko-czy. Odgarnęła je i powachlowała się zawiciem, z ulgą czując na twarzy ożywczy powiew. Przechodzący mężczyźni zerkali na nią z uznaniem. Udała, że ich nie widzi.

Co ty wyprawiasz? Nakryj głowę! — syknęła Małgorzata, najstarsza dworka królowej.

Musiałam się ochłodzić — bąknęła.

Kiedy robisz sprawunki dla królowej, masz się zachowywać jak dama!

Róża narzuciła welon z powrotem. Część włosów przylgnęła jej do wilgotnego czoła.

Małgorzata obróciła się do drobnej ciemnowłosej dworki imieniem Blanka.

Zawsze wiedziałam, że nie da się przekuć słomy w złoto — powiedziała znacząco.

Blanka zakryła dłonią usta, żeby zdusić chichot. Małgorzata wzięła ją pod rękę.

Chodź. Musimy jeszcze kupić pierniki. Książę Ludwik będzie zły, jeśli ich nie dostanie, a kiedy on jest zły, zła jest także królowa. — Ruszyły razem przez targ, zostawiając Różę z tyłu.

Kilka kwiaciarek zaczepiło z nadzieją trzy dworki w pięknie uszytych sukniach. Zleciał się też rój brudnych dzieci, wyciągających ręce po datek. Małgorzata odegnała je i przyśpieszyła kroku.

Daj groszaka! — Siedmioletni może chłopiec zastąpił drogę Róży.

Bóg ci wynagrodzi!

Róża spojrzała na obdarte dziecko. Większość małych żebraków,

o

czym dobrze wiedziała, wysyłali rodzice, żeby żerowały na tkliwych sercach ludzi, którym się lepiej powiodło. Chłopiec nie miał dwóch palców u ręki; zastanowiła się, czy stracił je przypadkiem czy okaleczono go celowo, żeby budził większe współczucie. Zrobiło jej się przykro. Potrząsnęła głową.

Nic nie mam. Wybacz. — Rozpostarła ręce.

Twarz chłopca stwardniała. Jego spojrzenie padło na ślady oparzeń widoczne w szerokim rękawie sukni.

Szkarada! — wykrzywił się szyderczo, a potem odbiegł za innymi.

Róża stała jak wryta. Czuła się tak, jakby ją kopnął. Pochwyciła przelotne spojrzenie kwiaciarki i prędko naciągnęła rękaw na pobliźnioną dłoń. Na targu było tłoczno, straciła już z oczu dwie pozostałe dworki.

Walcząc z napływającymi łzami, okręciła się wokół, by poszukać ich wzrokiem. Ujrzała jednak tylko zbliżającego się rycerza Templum. Zaskoczona poznała Roberta, którego nie widziała od ponad roku.

Różyczka! — uśmiechnął się na powitanie. — Mam do ciebie słówko. Możemy pogadać?

Pokręciła głową.

Muszę...

Proszę. Nie zajmę ci wiele czasu.

Pozwoliła się wyprowadzić z rynku w cichy boczny zaułek.

Skąd wiedziałeś, że... — urwała. — To on ci powiedział, gdzie mnie znajdziesz, prawda? On cię przysłał? — Z

wściekłością potrząsnęła głową.

Nie chcę o nim słyszeć, rozumiesz?

Robert złapał ją za ramię.

Will nie zawsz R

e O

je BstY N

pa Y

ne O

mU N

swGojej własnej woli i powinnaś o tym wiedzieć. To twój ojciec, dziewczyno!

Chyba jesteś mu winna szacunek?

Nie jest moim ojcem i nic mu nie jestem winna! — Wyszarpnęła się, a widząc jego zdumienie, syknęła: —

Moim ojcem był Garen z Lyonu. Matka pokładała się z nim i... — urwała, ocierając łzy.

Jesteś tego pewna? — wyjąkał. — Wiesz o tym od... od matki?

Tego dnia kiedy padła Akka, matka kłóciła się z Garenem w domu Andreasa, jeszcze przed pożarem.

Powiedziała, że nie wie. — Róża spojrzała rycerzowi w oczy. — Nie była pewna, który z nich mnie spłodził.

A zatem i ty tego nie wiesz — rzekł łagodnie.

Chcesz usłyszeć, co jest najgorsze? Pamięć o tym, że kiedyś byłam kochana. Gdybym mogła wybierać, wolałabym chyba być podrzutkiem, niż budzić się co rano z myślą, że miałam rodzinę. Miałam dom.—

Wyciągnęła pokrytą bliznami rękę — Byłam cała. Teraz matka nie żyje, dom dawno przepadł, a za każdym razem gdy patrzę na człowieka, który mógłby być moim ojcem, przypominam sobie, co mi odebrano. —

Rozszlochała się, zakrywając twarz.

Robert przyciągnął ją do siebie i objął, głaszcząc po plecach, dopóki łkania nie zaczęły cichnąć.

Przymknęła oczy w jego mocnym uścisku. Szorstka wełna habitu była ciepła, pachniała sianem i dymem.

Rycerz drgnął, jakby chciał się odsunąć, ale uczepiła się go kurczowo. Coś do niej mówił, ale nie słuchała; skoncentrowała się na silnej męskiej dłoni przesuwającej się pieszczotliwie po jej plecach. Poczuła się bezpieczna jak za dawnych dziecięcych lat. Nie otwierając oczu, zarzuciła mu ręce na szyję, czując, jak mięśnie barków grają pod tuniką. Zamilkł, jego dłoń znieruchomiała. Słyszała mocne, wyraźne bicie jego serca.

Kiedy czubki palców Róży dosięgły gorącej skóry na jego karku, przebiegł go dreszcz.

Wspięła się na palce i przycisnęła usta do warg mężczyzny. Czuła ciepło oddechu, szorstki zarost, odrobinę wilgoci, kiedy jego usta się rozchyliły, budząc w niej dreszcz rozkoszy.

Trwało to tylko chwilę.

Różo... — Robert odsunął ją od siebie.

Spojrzała mu w oczy, czując, jak wraz z rumieńcem gwałtownie zalewa ją gniew i żal. Odwróciła się i pobiegła ulicą, gdzie połknął ją gwarny tłum przewalający się po rynku. Robert został; długo jeszcze stał bez ruchu, bez tchu.

Przed katedrą Maryi Panny w Paryżu Czwarty' dzień czerwca

Dopilnuj, żeby zrobiono to dokładnie tak, jak mówię.

Tak będzie. — Żołnierz wyciągnął rękę. Kiedy jego rozmówca się zawahał, uśmiechnął się bez krzty wesołości i dodał: — Uwierz mi, panie, kiedy strzały zaczną świstać, a miecze dzwonić, nikt nie zauważy przypad-kowego ciosu.

Może nie brać udziału bezpośrednio w bitwie.

Żołnierz wzruszył ramionami.

Jeśli jest tak, jak mówisz, będzie na polu. A tam wszystko może się zdarzyć. — Jego uśmiech stał się bardziej szczery, kiedy w dłoni spoczęła wypchana sakiewka.

Resztę ci dam, kiedy dostanę wiadomość o jego śmierci.

Wilhelm de Nogaret odprowadzi! wzrokiem mężczyznę, który znikną!

w labiryncie budynków otaczających katedrę. W pewnym sensie czuł ulgę, jakby krępujące go więzy pękły i nareszcie odzyskał swobodę ruchów. Wiedział, jak zdobyć dla Filipa bogactwo niezbędne dla wzmocnienia jego władzy nad Francją i zarazem podporządkowania Kościoła. Miał gotowy plan już od dawna. Wiedział

jednak także, iż kanclerz Flotte nigdy do tego nie dopuści. Nogaret sam był trochę zaskoczony

łatwością, z jaką R E Q U I E M

przystąpił do działania. Ale ostatecznie nie była to dla niego pierwszyzna. Miał już na rękach krew.

Ulicą przetoczył się wóz, zostawiając za sobą brudnożółty tuman kurzu. Nogaret zmrużył oczu w słońcu, które wyciskało mu pot z czoła. Nigdy się nie przyzwyczaił do tej ciągłej wilgoci. Na południu lata były gorętsze, ale suchsze. Czysty żar, powietrze odświeżone wiatrem spływającym z gór. Wciąż pamiętał zapach ziemi prażącej się w słońcu, nabrzmiałych sokiem owoców winorośli, cykanie owadów. Zapach dymu. I palonego ciała.

Zacisnął powieki. Jego siostra krzyczała, wołała matkę, ogień wspinając się po wyschniętym drewnie lizał jej stopy. Ale głowa matki już zwisła bezwładnie, płomienie sięgały jej prawie do pasa, giezło zetlalo i uleciało płatkami popiołu, odsłaniając przed gawiedzią krótki nieprzystojny widok jej łona, nim sczezło w ogniu.

Bóg nagradza swych wiernych synów, Wilhelmie. — Dominikanin położył mu dłoń na ramieniu. — Twoja dzisiejsza ofiara także nie pozostanie bez nagrody. Herezję trzeba wyrwać i wypalić, gdziekolwiek się rozpleni.

Dla pospólnego dobra.

Okolice Bordeaux Osiemnasty dzień lipca roku Pańskiego 1302

Zaczekaj z końmi, Gaillard. — Bertrand de Got zsiadając, skrzywił się i podał wodze pachołkowi. — Niedługo wracam.

Wilgotnymi od potu dłońmi wyjął z sakwy paczkę, którą przywiózł z Bordeaux, i ruszył pod górę, do białego domku przycupniętego na grzbiecie. Niebo było lazurowe i bezkresne, nawet powiew wiatru nie targnął jego szatą, kiedy sapiąc piął się zakurzoną ścieżką. Zanim dotarł na miejsce, obejrzał się i został nagrodzony zapierającym dech widokiem na leżące w dali miasto, okolone winnicami i łąkami. Dostrzegł wieżę katedry i przyszło mu na myśl, że być może dzwonnik w tej chwili też na niego patrzy. Zakręciło mu się w głowie. Poczuł

ulgę, kiedy wreszcie zastukał w twarde drewniane drzwi.

Otworzyła mu młódka, której nie znał.

Słucham, wasza dostojność? — bąknęła nieśmiało, wytrzeszczając oczy na jego kosztowne szaty.

Czy to ty, ekscelencjo? — rozległ się głos z głębi sieni. Tęga niewiasta o topornych rysach szturchańcem usunęła dziewczynę z drogi.—Zmykaj do kuchni, Mario.

Już pędzę, proszę pani gospodyni.

Kobieta odprowadziła ją wzrokiem, po czym zwróciła się do Bertranda:

Wybacz, przewielebny. Zabroniłam jej otwierać drzwi.

Dopiero gdy się znaleźli w małej, lecz ładnie urządzonej izbie, Bertrand

dał upust złości.

Co ona tu robi, Jolanto? — syknął, kiedy zamknęła drzwi. — Kim jest ta dziewczyna?

Służką, i tyle.

I tyle? — wycedził, czując, że w głowie mu tętni z wysiłku i przestrachu. — Widziała mnie! Czy ty masz pojęcie, co się stanie, jeśli komuś powie? — Cisnął zmięty pakunek na stół.

Nie wie, kim jesteś, panie — odparła spokojnie. — Zresztą mieszka tu ze mną. To pustkowie, komu miałaby powiedzieć? Chłopcy podrośli, sama nie daję sobie rady.

Bertrand opadł na stołek pod oknem.

Mówiłem, że ci kogoś znajdę — mruknął, pocierając śliskie od potu czoło. Skrzywił się, kiedy igła bólu przeszyła mu żołądek.

Ano, mówiłeś. — Jolanta złożyła ręce na piersi. — Będzie już pół roku temu.

Masz dom, kobieto. Czego ci jeszcze trzeba?

Nie takie życie bym sobie wybrała — powiedziała sztywno.

Gdyby Bóg był dla mnie łaskawszy, żyłabym z mężem, nie sama, w dodatku wychowując prócz własnego i cudze dziecko. — Wydęła wargi.

Zawsze mogę odejść.

Nie. — Bertrand szybko podniósł głowę. — Nie, Jolanto. Ale obiecaj mi, że dziewka nikomu się nie wygada.

Sam znalazłbym ci kogoś odpowiedniego, ale od czasu elekcji nie było mi łatwo.

Kobieta odprężyła się, widząc, że wygrała, i podeszła do stołu, żeby nalać wina.

Król Filip nie wycofał wszystkich wojsk z Gujenny pomimo rozejmu z królem angielskim. — Bertrand westchnął i znów się skrzywił, czując kolejne ukłucie bólu w trzewiach. Wziął od Jolanty kubek. — Chociaż połowa garnizonu została w zeszłym miesiącu wycofana z Bordeaux i wysłana do Flandrii, tak więc może w końcu zapanuje względny spokój, kiedy król będzie zajęty gdzie indziej.

Pokiwała głową bez większego zainteresowania.

Raul nie mógł się doczekać. Mam go zawołać?

Tak. — Bertrand usiadł wygodniej, z ulgą wystawiając twarz na lekki powiew wpadający przez

okno.

Powłócząc nogami, Jolanta wyszła z izby. Po namyśle biskup doszedł do wniosku, że istotnie przyda się tu młodsza niewiasta. Jolanta urodziła syna późno i choć zdołała go wykarmić, po odstawieniu niemowlęcia od piersi zaciążyło na niej brzemię lat. Raul zaś powinien mieć młodą matkę, troskliwą, radosną. I miałby, gdyby jej nie zabił w czasie porodu.

Bertrand poznał Heloizę pięć lat temu podczas odwiedzin u swego bratanka, który był proboszczem niedaleko Bordeaux. Siedemnastoletnia córka miejscowego władyki, nieładna, ale słodka jak miód, była pierwszą i R E Q U I E M

ostatnią kobietą, jaką kiedykolwiek kochał. Po pierwszych uniesieniach Bertrand poprzysiągł, że się już nigdy nie powtórzą. Powtarzały się jednak raz po raz, aż w końcu Heloiza wyznała mu we łzach, że jest brzemienna.

Spłodzenie nieślubnego dziecka było grzechem powszednim; duchownego wszakże praktycznie wykluczało z Kościoła. Już papież Grzegorz VII ostatecznie zakazał małżeństw księżom i biskupom. Żonatym odebrano godności, niewiasty potępiono jako nierządnice, a dzieci okrzyknięto bękartami. Od tamtego czasu ciało niewiasty zostało księżom raz na zawsze wzbronione.

Symbolika imienia ukochanej nie uszła uwadze Bertranda. Dwieście lat wcześniej to samo imię nosiła młodziutka kochanka słynnego teologa paryskiej wszechnicy. Krewni dziewczyny z zemsty pozbawili Abelarda męskości. Toteż Bertrand bojąc się, że straci nie tylko biskuptwo, namówił Heloizę, by uciekła z domu, zanim ciąża stanie się widoczna. Kupił tę chatynkę z katedralnej szkatuły i tu, na bezludziu, Heloiza powiła syna, który przyszedł na świat przed czasem. Była przy niej Jolanta, niedawno owdowiała żona ubogiego rycerza, którą zatrudnił do pomocy i jako mam- kę. W roli akuszerki jednak się nie sprawdziła. Pewnego wieczoru Bertrand zastał zimne już ciało Heloizy w kałuży na wpół skrzepłej krwi i Jolantę z wrzeszczącym noworodkiem w ramionach.

Pochował ją w lesie nieopodal domu, przeklinając siebie i Boga. Myślał w owym czasie, że Bóg go pokarał. Z

biegiem czasu — patrząc, jak syn rośnie — uwierzył, że w osobie Raula Bóg zesłał mu cudowny dar. Po wyniesieniu na stolicę arcybiskupią w Bordeaux, o którą walczył bez pardonu, łatwiej mu było wyprowadzać środki na utrzymanie dziecka. Wiedział, jak fałszować rachunki, a że wielu podwładnych było jego krewnymi, nikt rzecz jasna nie kwestionował tych działań. Heloiza stała się wspomnieniem — smutnym, lecz tak odległym, że czasem patrzył na Raula jak na owoc cudu, dziecię ziszczone bez udziału rodziców, które wzrośnie, by odmienić świat. Jego uczynkami zostaną zmazane grzechy ojca.

Drzwi się otwarły i weszła Jolanta, prowadząc malca o ciemnych włoskach i dużych czarnych oczach, które przypomniały mu Heloizę, oraz haczykowatym nosie takim samym jak jego własny. Raul ściskał wystrzępioną skórzaną piłkę. Z urazą wydął usteczka, kiedy zabrała mu zabawkę i wskazała biskupa.

Tatuś przyszedł cię odwiedzić, kochanie.

Malec przylgnął do jej spódnic.

Co z nim? — Rozczarowany Bertrand zmarszczył brwi.

Speszył się — wyjaśniła sucho, podnosząc chłopca i sadzając go na kolanach biskupa. — Wasza ekscelencja musi częściej tutaj bywać, żeby Raul lepiej poznał ojca. — W głosie kobiety zabrzmiała nagana.

Bertrand przytrzymał dziecko próbujące ześliznąć mu się z kolan.

Mam dla ciebie podarek, synku. O, tu. — Podniósł ze stołu wilgotne jeszcze zawiniątko. Raul przestał się wiercić i złapał za płótno. — Czekaj, niech rozpakuję. Wyhaftowały to dla ciebie siostry zakonne.

Pokazał chłopcu wyszywany obraz przedstawiający kopulastą świątynię na skalistym wzgórzu, otoczonym wieńcem mniejszych białych domów pod lazurowym niebem.

Raul zmarszczył brwi w wytężonym skupieniu.

Domek — rzekł w końcu, wysuwając palec.

Tak, ale to nie jest zwykły domek. To kościół Świętego Grobu w Jerozolimie. — Bertrand wymówili nazwę świętego miasta takim miękkim, pełnym czci tonem, że Raul nagle się uspokoił zaciekawiony. Żaden z nich nie zauważył, że Jolanta wyszła z izby. — To właśnie w Jerozolimie wstąpił do nieba nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus. Kiedyś cię tam zabiorę, synku — szepnął do różowego uszka. — Obiecuję ci, że pewnego dnia pojedziemy tam razem.

Godzinę później Bertrand opuścił dom i zszedł ścieżką do koni, które pasły się w gaju pod opieką pachołka.

Droga w dół nie zmęczyła go tak bardzo; był ożywiony i nawet ból w żołądku, nękający go od kilku tygodni, jakby przycichł. Gaillard, jedyna poza Jolantą osoba, która znała jego tajemnicę, nie powiedział słowa, tylko skwapliwie splótł ręce, żeby pomóc arcybiskupowi wsiąść na konia.

Kiedy wracali powoli w upale do Bordeaux, radość Bertranda z odwiedzin u syna zaćmiło wspomnienie obietnicy, którą złożył chłopcu. Z Ziemi Świętej, gdzie Jakub de Molay toczył kolejną wojnę, napływały złe wieści. Po początkowych nadziejach, łączonych z zawartym w zeszłym roku przez krzyżowców paktem z Mongołami, kampania poniosła druzgoczącą klęskę. Podobno ostatnia twierdza templariuszy na wyspie Ruad została zdobyta przez wojska mameluckie, a wielki mistrz i jego rycerze wycofali się na Cypr. Joannici nie chcieli współpracować z rywalami, Krzyżacy zaangażowali wszystkie siły w podbój pogańskich Prusów, król Edward zaś najwyraźniej zapomniał o złożonej przysiędze. Niewielu pozostało ludzi, by kontynuować bój.

Bertrand nigdy nie postawił stopy w Ziemi Świętej, ale nosił ją w sercu jak żarliwą modlitwą. Chodzić śladami samego Boga, zobaczyć, gdzie przebywał Zbawiciel ludzkości, odetchnąć tym samym co on powietrzem...

Jakże tego pragnął! Mógł był udać się w młodości na pielgrzymkę i nawet to rozważał, ale powstrzymała go myśl o wojnie toczącej się w tym dalekim kraju. Słyszał wszak opowieści o pierwszej krucjacie, o stosach trupów i krwi, która płynęła ulicami. Nie chciał zobaczyć czegoś podobnego. Marzył, że wkroczy do złotego miasta, wdychając woń drzew oliwnych i słysząc pienia ptaków, będzie się wspinał drogą do Świętego Grobu, najświętszego miejsca na całej ziemi. Rzeczą władców było zdobywać, a rzeczą żołnierzy — walczyć. Jego zadaniem było poprowadzić wiernych do bram wyzwolonej Jerozolimy.

R E Q U I E M

Co oni robią?

Drgnął wyrwany z zadumy. Gaillard patrzył w stronę potężnego dębu sterczącego wśród pól niczym wieża.

Zmierzała ku niemu spora grupa ludzi. Bertrand zdał sobie sprawę, że szum kołyszącej się pszenicy zagłusza dochodzące z oddali krzyki. Wyglądało, jakby ci ludzie wlekli coś... czy kogoś?

Przymrużył powieki. Tak, dwóch wyrywających się mężczyzn.

Czy wasza ekscelencja będzie interweniować?

Bertrand już miał pokręcić głową, ale znieruchomiał, widząc błysk metalu. Grupa była uzbrojona. To nie zwykła przepychanka.

Królewscy — rzekł nagle Gaillard. — Panie, ci jeńcy... to królewscy żołnierze.

Boże... — szepnął Bertrand, dostrzegając niebiesko-szkarłatne barwy pułku stacjonującego w Bordeaux. Ktoś z gromady przerzucił linę przez konar drzewa.

Dłoń arcybiskupa powędrowała do wysadzanego klejnotami krzyża, który miał na szyi. Zrozumiał, że za chwilę będzie świadkiem mordu, i zrobiło mu się niedobrze.

Trzeba ich powstrzymać, wasza eksce...

Nie mogę! Nie powinienem tu w ogóle być. — Bertrand obejrzał się na biały domek widoczny na wzgórzu. —

Mój syn... — szepnął bezradnie. — Gaillardzie, jedź. Dowiedz się, o co chodzi. Spróbuj im przemówić do rozsądku.

Po twarzy sługi przemknął lęk, ale posłusznie dźgnął konia ostrogą i popędził przez pole, zostawiając za sobą ślad wygnieciony w zbożu. Dwóch ludzi ruszyło mu na spotkanie, dobyli mieczy. Przez konar dębu

przerzucono drugą linę, jeńcom zakładano już pętle na szyje. Krzyki, pełne gniewu i przerażenia, przybrały na sile. Gaillard zsiadł z konia, coś mówił. Bertrand zdusił jęk, widząc groźnie wzniesiony

oręż. Gaillard cofnął

się, wsiadł na konia i zawrócił.

Tłum chwycił za liny, rytmicznie windując żołnierzy w powietrze.

Próbowałem — wydyszał Gaillard, osadzając konia — ale...

Potrząsnął głową i spojrzał w stronę dębu. — Nic nie mogłem zrobić.

Bertrand milczał wpatrzony w podrygujące na stryczkach sylwetki.

Mówią, że wybuchło powstanie przeciw królowi Francji — ciągnął Gaillard — że nie godzą się z rozejmem, który zawarł z Filipem król angielski Edward. Mówią, że sami wyprą stąd wojska królewskie, tak jak to zrobili Flamandowie w Brugii. Podobno to samo dzieje się w całym księstwie.

Królewska warownia w Luwrze Dziesiąty dzień sierpnia

Nasz najłaskawszy pan jest świadom twego położenia, dziwi go jednakowoż fakt, że jeden z najbogatszych lichwiarzy w królestwie nie zdołał złożyć tegorocznej daniny.

Cóż mogę począć, miłościwy panie! — Podstarzały Żyd ominął skarbnika i błagalnie wyciągnął ręce do króla, który siedział w krześle z wysokim oparciem za stołem zasłanym pergaminami. — Zrobiłem co w mej mocy, żeby zebrać należności, ale wielu dłużników ociąga się z zapłatą. Sam widzisz, panie. — Rozwinął kilka zwojów, wskazując widniejące na nich liczby. — Jeślibym mógł prosić o nieco więcej czasu...

Miałeś pięć miesięcy — odezwał się Filip, zanim skarbnik zdążył zabrać głos. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole. — Jestem zawiedziony, Samuelu. Będę musiał poczynić odpowiednie kroki.

Najjaśniejszy panie, twój dziad, król Ludwik, nałożył na nas prawa, które utrudniają ściąganie długów od chrześcijan. W istocie nie muszą płacić, jeśli nie chcą. Nie można ich nawet uwięzić, gdy odmówią!

Na twoim miejscu bardzo bym się strzegł, aby w niczym nie uchybić świętemu Ludwikowi — rzekł

złowieszczo Filip.

Najmiłościwszy panie, Samuel w żadnym razie nie chciał go obrazić

rozległ się suchy starczy głos z cudzoziemskim akcentem.

Filip przyjrzał się uważnie chudemu białowłosemu Żydowi.

Wciąż nie wiem, co ty masz do tego. Po co przyszedłeś?

Rabin Eliasz zgodził się za mnie poręczyć — wtrącił Samuel.

Mogę cię zapewnić, najjaśniejszy panie — Eliasz spokojnie wytrzymał nieprzyjazne spojrzenie króla — że Samuel zapłaci daninę, gdy tylko...

Przerwało mu głośne pukanie do drzwi komnaty. Filip obejrzał się przez ramię.

Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzano.

Ja się tym zajmę, wasza wysokość. — Nogaret odepchnął się od ściany, spod której w milczeniu przysłuchiwał

się rozmowie. Wyminął skarbnika i otworzył drzwi.

Król zmarszczył brwi, słysząc szeptaną wymianę zdań.

No, co tam?

Przybył posłaniec i urzędnik z pałacu, najjaśniejszy panie. Mówią, że to pilne.

Tylko szybko — warknął z rozdrażnieniem Filip, kiedy dwaj mężczyźni weszli do komnaty. — Mam dziś i tak zbyt wiele spraw bez dodatkowych wtrętów.

Przynoszę wieści z Flandrii, najjaśniejszy panie. — Posłaniec nie powiedział nic więcej, tylko wręczył królowi zwój pergaminu.

R E Q U I E M

Król rozwinął go i przebiegł oczyma. Po chwili malująca się na jego obliczu irytacja ustąpiła miejsca niedowierzaniu. Kiedy skończył czytać, opuścił bezwładnie rękę, zwój wyśliznął mu się z palców i potoczył po posadzce.

Panie? — zagadnął z niepokojem Nogaret. Kiedy król nie odpowiedział, legista podniósł pismo.

W ciszę wpadły grobowe słowa posłańca:

Kiedy nasze wojska dotarły pod Courtrai, zamek był już oblężony przez Flamandów. Mieli tylko piechotę, ale znacznie przewyższali nas liczebnie. Na czele oddziałów stali mistrzowie cechów i synowie Gwidona de Dampierre.

Nogaret wciąż czytał. Król mocno wparł dłonie w blat stołu, gniotąc jeden z pergaminów, które rozłożył przed nim Samuel.

Nasi rycerze poszli do szarży — ciągnął posłaniec — ale zatrzymał ich bagnisty teren i flandryjscy łucznicy.

Tych, którym udało się dotrzeć do linii wroga, ściągano z koni, zabijano pałkami i toporami.

Klęska...? — szepnął Nogaret ze wzrokiem wciąż utkwionym w pergaminie.

Wedle wstępnej rachuby zginęło ponad tysiąc rycerzy. Niebawem nadejdzie pełna lista poległych, lecz tymczasem proszono mnie, abym ci osobiście doniósł o śmierci dwóch ludzi. Hrabia Robert z Artois został

otoczony w bitwie. Odsiecz nie zdołała się do niego przedrzeć. Drugim...

Posłaniec spuścił głowę, unikając wzroku króla. — Drugim był kanclerz Flotte. Znaleziono go z poderżniętym gardłem na skraju pola bitwy.

Mężczyzna podniósł wzrok, w jego oczach błysnął gniew. — Ściągali poległym Francuzom ostrogi jak trofea łowieckie, panie. Ponoć zawiesili je w kościele w Courtrai.

Filip milczał. Dwaj Żydzi spojrzeli niepewnie na skarbnika, który nerwowo wyłamywał palce.

Niestety, to nie koniec złych wieści, panie. — Do przodu wystąpił towarzyszący kurierowi dworzanin. —

Dosłownie przed chwilą przyniesiono też wieść o powstaniu w Gujennie. Trudno na razie ocenić, jaki zasięg ma rebelia, lecz wiadomo już, że kilku żołnierzy straciło życie i...

Wyjdźcie! — Filip wstał, nie odrywając dłoni od blatu.

Ale panie...

Wyjdźcie stąd — król wskazał drzwi — wszyscy!

Błagam... — jęknął Samuel.

Precz!

Posłaniec i urzędnik zniknęli za drzwiami; Nogaret wypchnął obu Żydów i złapał za klamkę, by zamknąć za sobą, lecz powstrzymał go wydany ostrym tonem rozkaz:

Ty nie, Nogaret.

Pozostawiając drzwi otwarte, legista zawrócił do komnaty. Odetchnął głęboko i złożył ręce na chudej piersi.

Panie, to straszne wieści, nie zaprzeczam, ale szkody da się odrobić. Potrzeba nam tylko czasu, żeby zebrać nowe oddziały.

Czasu? — mruknął Filip. — Czas mam, tylko brakuje mi pieniędzy. Znajdujesz na to jakiś pomysł? I na dodatek zabili mi Flotte'a. — Machnął ręką przez stół, zrzucając pergaminy. — Słyszałeś, co mówi skarbnik.

Królewska szkatuła jest prawie całkiem pusta. Jak mam walczyć na dwa fronty, zdusić rebelię, pomścić naszych poległych rycerzy, kiedy nie stać mnie na to, żeby wystawić armię?

Król zaczął chodzić po komnacie.

A przecież muszę to zrobić. Nie wiem jak, ale muszę. Jeśli nie podejmę działań, zostanę uznany za słabeusza.

Władza, którą zdobyłem dzięki zgromadzeniu stanów, już wymyka mi się z rąk. Kiedy rozniesie się wieść o klęsce, a ja będę siedział bezczynnie, stracę ją do reszty. Kto wie, Nogaret, ilu jeszcze wrogów czyha na mnie w ukryciu, gotowych zaatakować, kiedy braknie mi sił? Książęta? Hrabiowie? Biskupi? — Obrócił się do ministra. — Mój dziad nigdy by do tego nie dopuścił. Zdobyłby złoto choćby i spod ziemi, ujarzmiłby Flandrię i pomścił Courtrai, powywieszałby tych gaskońskich buntowników. Jestem pokonany. — Wzdrygnął się i szarpnął szatę przy szyi. — Nie ma ratunku.

Najjaśniejszy panie, jest pewien...

Muszę pomyśleć, Nogaret. — Filip wpil obie dłonie we włosy.

Nie mogę opodatkować księży. Dałbym Bonifacemu kolejny argument, który wzmocni koalicję przeciwko mnie. Zresztą ściągnięcie danin z kleru potrwa wieki!

Nogaret zrobił krok naprzód, starając się zwrócić na siebie uwagę króla.

Żydzi! — Filip porwał z posadzki zwój pergaminu i wyciągnął go w stronę legisty. — Mój dziad to zrobił, kiedy potrzebował funduszy.

Co, panie?

Wygnał ich z królestwa, skonfiskował pieniądze i włości.

W oczach Filipa zagościł marzący wyraz. — Ojciec mi o tym opowiadał: na zamkowy dziedziniec zajeżdżały wozy wypełnione skarbami, dosłownie sypało się z nich złoto. To właśnie zrobimy, Nogaret. Wyślemy gwardię, żeby wywłaszczyła Żydów, a potem sprzedamy ich domy i ziemie. Złoto trafi wprost do skarbca. Mamy listy dłużników. — Uniósł pergamin.

Zmusimy ich do spłaty wierzytelności.

Nogaret w skupieniu kiwał głową.

To dobry plan i da nam duży dochód w krótkim czasie. Śmiałbym twierdzić, że wystarczający na kampanię we Flandrii. Jednakże fundusze w końcu się wyczerpią, a w przyszłym roku nie będzie już kolejnej żydowskiej daniny. Bezsprzecznie trzeba to zrobić, wasza wysokość, ale równocześnie zastanowić się, co dalej. Żydzi są bogaci, to prawda, lecz stosunkowo nieliczni. Skąd weźmiesz środki na utrzymanie w swoim ręku królewskich domen, także tych, które zdobędziesz w nadchodzącym roku?

Król bezradnie wzruszył ramionami.

Templariusze — oznajmił z uśmiechem Nogaret. Król ściągnął brwi, lecz legista szybko mówił dalej: —

Pomijając papiestwo, Templum jest najbardziej wpływową organizacją w chrześcijaństwie. Zakon ma na własność ziemie w całej Europie, setki dworów i folwarków, które dają dochód. Posiada nawet kilka

mniejszych miast. — Teraz Nogaret ożywiony zaczął krążyć po komnacie. — Młyny i piekarnie, winnice i składy... Dzięki specjalnej dyspensie papieskiej na pobieranie zysków od pożyczek templariusze zajmują się nawet lichwą na podobieństwo Żydów. Nie zdołałeś dokończyć floty, panie. Ich statki są gotowe, wystarczy je przejąć.

Nogaret — przerwał mu król, lecz prawnik nie usłyszał, mówił dalej:

Trzęsą handlem wełną, przewożą za opłatą pasażerów i konwojują kupców. Bez wątpienia mają skarbce pełne złota i relikwii, które także mogą dać dochód, ściągając pielgrzymki. Panie, toż oni przechowują klejnoty królewskie!

Nogaret! — powtórzył ostro Filip. — To na nic. Nie mogę tknąć Templum. Żydów owszem, nikt nie będzie za nimi tęsknił. Ale rycerzy Chrystusowych? Podniesie się wrzawa.

Czy naprawdę? — spytał z naciskiem Nogaret. — Sam wiesz, panie, jak wielu ludzi winiło ich za utratę Ziemi Świętej, kiedy doszła do nas wieść

upadku Akki.

R E Q U I E M

Co nie zmienia faktu, że wielki mistrz Templum jest chyba jedynym człowiekiem w chrześcijaństwie, który stara się ją odzyskać.

I jak wszyscy wiemy, dotąd mu się nie udało. Panie, lud już nie chce krucjat, a co ważniejsze, nie chcą ich możni. W nosie mają rycerzy i ich święte wyprawy. Obchodzą ich pieniądze, władza i ziemia. I to, żeby kró-

lestwo było silne i bezpieczne przed napaścią.

To prawda.

Po twarzy Nogareta przemknął triumfalny uśmiech, który wkrótce zgasi, gdy król podjął:

Templum to potężny i wpływowy zakon. A dlaczego? Bo od dwustu lat nikt nie miał prawa wtrącać się w ich sprawy. Ręce królów nie są w stanie ich dosięgnąć. Przeciwnie, to oni nieraz wywierali naciski na królów.

Jedyną władzą, której podlegają, jest papież.

Zdaję sobie z tego sprawę. — Nogaret kiwnął głową i zrobił parę kroków. — Ale jeśli papież opowie się po naszej stronie, nie będzie to przeszkodą.

Filip zamilkł i spojrzał na niego z uwagą.

Moglibyśmy rozwiązać dwa problemy naraz — rzekł Nogaret.

Braki w skarbcu... i Bonifacego.

Nie biorę tego pod uwagę. — Filip odwrócił się od niego. — To niemożliwe.

Wszystko jest możliwe. Bonifacy to tylko człowiek, w dodatku zepsuty, przekupny i mściwy. Sam się przekonałeś, do czego wykorzystuje swój urząd. Moglibyśmy osadzić na jego miejscu lepszego człowieka.

Takim czynem nie pokrzywdziłbyś chrześcijaństwa, ale je ocalił. — Nogaret podszedł bliżej. — Od dawna wiele nad tym myślałem. Konfiskata majątku zakonu templariuszy da ci dość, byś powiększył królestwo i umocnił granice. Papież będzie twym toporem. Jeden zamach w odpowiednim miejscu

czasie, a Templum runie.

Eliasz szedł szybko przez zamkowy dziedziniec w stronę czekającego nań Samuela. Stary lichwiarz zadał mu jakieś pytanie, ale rabin był tak pogrążony w myślach, że w ogóle go nie usłyszał.

Wybacz — mruknął z roztargnieniem. — Co mówiłeś?

Samuel ze zmartwioną miną zerknął na jego puste ręce.

Pytałem, czy ci ich nie dano? Moich rachunków — dodał, widząc, że Eliasz go nie rozumie. — W takim razie sam po nie pójdę.

Wyrwany z zadumy rabin złapał go za ramię.

Nie dopuszczono mnie do króla. Chodź — rzekł pośpiesznie, ucinając protesty. — Porozmawiamy ze

skarbnikiem. Na pewno zdoła je odzyskać. Król naradzał się ze swoim legistą. Nie mogłem im przeszkadzać.

Zamek królew R

ski O

w B Y

PaNr y Y

ż O

u U

D N

w G

udziesty pierwszy dzień sierpnia roku Pańskiego 1302

Will ściągnął wodze, widząc wyłaniającą się tuż przed koniem postać.

Szymon? — zawołał zdziwiony, choć jego głos ledwie przedzierał się przez plusk ulewy bębniącej o ziemię i zmieniającej ulicę w rwący potok. Z dachów, smażących się w upale jeszcze godzinę wcześniej, unosiła się para.

Koniuszy był bez kaptura i przerzedzone na ciemieniu włosy przyklejone miał do czaszki. Will przerzucił nogę nad końskim grzbietem i zsiadł, zesztywniały po długiej jeździe. — Co ty tu robisz?

Czekałem na ciebie. Sługa dworski powiedział, że masz dzisiaj wrócić. — Szymon zerknął na sakwy przytroczone do siodła. — Gdzie byłeś?

Z listami dla króla. Co się stało? — Widząc ponurą minę Szymona, Will zmarszczył brwi.

Odruchowo zerknął

na wznoszące się przed nimi zamkowe wieże. — Coś z Różą?

Nie. Chodzi o twojego przyjaciela, rabina.

Eliasza?

Usiłował cię znaleźć. Był... hm, zmartwiony to chyba za mało powiedziane. Kiedy się dowiedział, że nie ma cię w zamku, chciał mówić z Robertem, ale ten akurat także wyjechał tydzień temu razem z wizytatorem. Rabin kazał mi przysiąc, że spotkam się z tobą zaraz po powrocie i przekażę ci wiadomość.

Jaką?

Szymon obejrzał się na dwóch mężczyzn, którzy minęli ich szybko, rozchlapując kałuże.

Powiedział: „Mieszkasz w wilczej norze".

Tylko tyle?

I żebyś do niego przyszedł. Czekaj! — Szymon złapał Willa za rękę, gdy ten miał już stopę w strzemieniu. —

To może się okazać trudne. Od

rana całe miasto aż huczy. Po drodze słyszałem z tuzin ludzi, którzy o tym mówili.

O czymże?

Gwardia królewska wkroczyła dziś do żydowskiej dzielnicy. Król wydał dekret, że mają być wygnani.

Z Paryża? — spytał Will z niedowierzaniem.

Z Francji.

Nic o tym nie wiem! Kiedy to się stało?

O świcie, przynajmniej tak słyszałem.

Will wspiął się z powrotem na siodło. Końskie kopyta ujechały w błocie przy zmianie obciążenia.

Mam iść z tobą? — Szymon zrobił krok naprzód.

Szybciej dotrę sam. — Will uderzył konia piętami.

Ulewa przegnała ludzi do domów, ulice opustoszały. Myśląc o złowieszczym przesłaniu Eliasza,

Will ponaglił konia do szybszego biegu. Kłusem pokonał Wielki Most i plątaninę uliczek wiodących do

żydowskiej dzielnicy.

Jeszcze zanim tam dotarł, zauważył, że dzieje się coś niezwykłego. Mijała go w pośpiechu rzeka ludzi w szatach oznaczonych kółkiem z czerwonej tkaniny. Mężczyzna niósł w ramionach chłopca, a na

plecach drugie dziecko zanoszące się płaczem. Z tyłu wlekła się kobieta objuczona ciężkim worem.

Dwie młode dzieweczki, objęte, szły lamentując pod niebiosa. Z trudem wyciągały ciżmy z błota;

deszcz ściekał im z długich włosów na plecy. Tu i ówdzie widniało obuwie, które ugrzęzło w

przemielonej wieloma stopami czarnej brei; widać lepiej było iść boso, niż się ociągać. Ludzie

wyglądali z okien, przyglądając się temu pochodowi; ktoś nawet zakrzyknął z zadowoleniem, ale jego głos utonął w szumie deszczu.

Za bramą dzielnicy uwijali się królewscy gwardziści. Will zatrzymał konia, który boczył się ze

zdenerwowania. Jakiś żołnierz pchnął Żyda na ziemię i poczęstował go kopniakiem. Ten próbował mu oddać, lecz nadbiegło dwóch innych gwardzistów i Żyd dosłownie zniknął w błocie. Inny przyciskał

do piersi jakiś worek i klął żołnierza, który usiłował mu go wyrwać. Wrzaski i odgłosy tłuczonych rzeczy dobiegały z wnętrz wielu domów, których drzwi przeważnie były wyłamane. W błocie walały

się porzucone przedmioty — tu czerwony płaszcz, ówdzie świecznik albo srebrna misa, w którą bębnił

deszcz. Nieco dalej Will dostrzegł coś, co wyglądało jak kupka odzieży, a okazało się ciałem. Nie sposób było poznać, do kogo należało i czy jeszcze kołatało się w nim życie. Na ulicy stały wozy załadowane kosztownościami, zaprzęgnięte do nich woły porykiwały melancholijnie, moknąc w

deszczu. Jakiś gwardzista wyszedł z budynku i okrzyknął Willa. Ten obejrzał się przelotnie i nie reagując, ruszył w stronę domu Eliasza, minąwszy synagogę, zza której okiennic sączyły się pasma dymu.

Drzwi pomarańczowego domu były otwarte na oścież. Serce Willa ścisnął lęk. Tu na ulicy panował

spokój, ale wszędzie wokół widać było ślady zniszczeń, leżały także trupy. Will przywiązał konia przed sąsiednim domem, należącym do księgarza, i wszedł do ciemnej sieni. Z kuchni dobiegały

głosy, dobył więc miecz z pochwy i zważył w dłoni. Dostał go od Wallace'a, kiedy pod Falkirkiem stracił swój, i nie zdążył się jeszcze do niego przyzwyczaić. Skądinąd rzadko miał okazję go używać.

Skupiwszy uwagę na zamkniętych drzwiach, nie zauważył przewróconego stołka i omal się nie

pot

R

knął O B

. K Y N

opniYę O

t U N

y meGbel ujechał po posadzce z przeraźliwym zgrzytem i głosy w kuchni ucichły. Will

zaklął pod nosem, pchnął drzwi i wpadł do środka.

Pierwszym, co zobaczył, były szeroko otwarte oczy starej kobiety przyciśniętej do ściany za plecami mężczyzny, który, choć nie mniej przerażony, usiłował jej bronić, wymachując kuchennym nożem.

Przy kominie kucało trzech innych mężczyzn, otaczających rozciągniętą na podłodze postać. Will

zdążył zauważyć krew na posadzce i szacie leżącego, nim dotarło do niego, kto to.

Dobry Boże... — Schował miecz do pochwy. — Eliasz?

Cofnij się! — Najmłodszy zastąpił mu drogę.

Wilhelm? — dobiegł ich cichy głos.

Staraj się nie ruszać.—Jeden z Żydów położył dłoń na piersi starca.

Ten stojący przed Willem usunął się niechętnie. Will ujrzał z rozpaczą,

że Eliasz został oślepiony. Wyłupiono mu oboje oczu; pozostały ziejące jamy, z których krew

spływała na policzki. Rycerz ukląkł obok i złapał go za rękę.

Co tu się stało, Eliaszu? Kto to zrobił?

Królewscy — odparł jeden z otaczających rabina mężczyzn. Jego twarz wydała się Willowi mgliście znajoma. Opuszczone na kolana ręce miał zaciśnięte w pięści. — Przyszli przed świtem, bez

ostrzeżenia. Powiedzieli, że z rozkazu króla zostajemy wygnani, a cały nasz majątek przepada na rzecz korony. Każdego kto się sprzeciwił, brali na miecze. Eliasz starał się przemówić im do rozsądku.

Muszę z nim mówić — zaszemrał ledwie słyszalny szept. Eliasz próbował się podnieść.

Rabbi, proszę!

Nie, Izaaku. Muszę mówić z Wilhelmem. W cztery oczy.

Słysząc rozkaz w głosie starca, stanowczym, choć tak słabym, Żydzi z ociąganiem ruszyli do wyjścia.

Izaak mijając Willa, dotknął jego ramienia, nachylił się i szepnął mu do ucha:

Wróciliśmy po niego, kiedy żołnierze poszli dalej. — Zerknął na Eliasza. — Boję się, że niewiele mu życia zostało, a musimy opuścić miasto.

Zostanę z nim.

Kiedy wyszli, spojrzał na Eliasza, nie mogąc uwierzyć, że starego księgarza, zawsze nad wiek żywotnego, spotyka taki koniec. Widział w życiu wiele śmierci, ale tu miał przed sobą przykład okrucieństwa tak dalece pozbawionego przyczyny i sensu, że aż nim wstrząsnęło. Sumienie żądało wyjaśnień. I sprawiedliwości.

Wybacz — szepnął. — Dziś wróciłem. Szymon przekazał mi wiadomość. Gdybym wiedział cokolwiek o ataku na was, dałbym...

Nie po to cię wzywałem. — Eliasz z wysiłkiem uniósł głowę, po twarzy pociekły mu świeże strużki krwi. — Tego się nie spodziewałem. Chodziło mi o Templum. Chciałem cię ostrzec.

Głowa mu opadła. Z trudem zaczerpnął tchu i po chwili odezwał się tak cicho, że Will musiał przytknąć ucho do jego ust.

Byłem w zamku... Słyszałem rozmowę króla z tym prawnikiem... Nogaret... powiedział, że papież będzie toporem.

Toporem? — powtórzył Will, gdy Eliasz umilkł. — Co to znaczy?

Jeden zamach... — wyszeptał rabin — i Templum runie.

Odpoczywał przez chwilę.

Skarb jest pusty — podjął. — Dlatego najpierw uderzył w nas.

Chcesz powiedzieć, że Filip chce zaatakować Templum? — spytał Will gorączkowo.

Nie wiem. To mówił Nogaret. Tyle słyszałem.

To niewykonalne — orzekł po namyśle Will. — Papież nie stanie po stronie króla.

Mogą go zmusić. Albo gorzej...

Słowa zawisły w ciszy. Will rzekł szybko, z niedowierzaniem:

Istotnie, król nie zgadza się z Bonifacym, ale chodzi o kwestie czysto polityczne. Nie sprzeciwiłby się Stolicy Piotrowej.

Patrzysz na moją krzywdę i mówisz to z taką pewnością? — Przez oblicze Eliasza przebiegł skurcz; każde słowo musiało mu sprawiać ból.

Will odczuł to oskarżenie jak cios. Odwrócił wzrok od zmasakrowanej twarzy.

Filip nie jest odpowiedzią na twoje modlitwy, Wilhelmie. Za jego tronem stoi diabeł, ale ty go nie widzisz. Nie chcesz go zobaczyć, bo król obiecał być twoim sprzymierzeńcem, narzędziem twojej

zemsty. Skąd weźmie złoto, by wesprzeć szkocką sprawę? — Eliasz uniósł dłoń. — Ode mnie.

Wyciśnie je z krwi mojego ludu.

Will zamknął oczy.

Hańba ci, Wilhelmie. Hańba, bo nie chcesz zobaczyć prawdy. Dałeś się uwieść pustym słowom,

pozwoliłeś, by zawładnęła tobą samolubna i grzeszna mrzonka. Porzuciłeś to, czemu przysięgałeś

służyć, co ślubowałeś chronić. Od ponad stu lat ludzie oddawali życie za ideały bractwa. I ci, którzy do nie Rg O

o B Y

nal N

e ż Y

el O

i U

, i N

ci G, którzy je tylko wspierali. Zmarnowałeś ich poświęcenie w imię prywatnej

zemsty. — Eliasz ledwie mówił, ale chwycił dłoń Willa z zadziwiającą siłą. — Powinieneś był zostać w zakonie jako głowa Anima Templi. Odszedłeś, nie zrobiłeś nic, by zapobiec kolejnej

wyprawie

wojennej waszego mistrza, nic, żeby bractwo nie zatraciło celu. Przecież nie ty powołałeś je do istnienia, a setka ludzi przed tobą. Twój ojciec, Ewerard... Kalaun... Ja... Jak śmiałeś roztrwonić nasze nadzieje, naszą krew, przez nienawiść i słabość! Jak śmiałeś! — Eliasz wypuścił rękę Willa i odwrócił

głowę, zaciskając zęby.

Nie mów tak, Eliaszu. Ja... — Will nie dokończył. Wszystkie wymówki, którymi usprawiedliwiał

dezercję, uwięzły mu w gardle.

Byłeś komandorem, człowiekiem honoru. Synem godnym swego ojca, tak mówił Ewerard. Wybrali

cię swym zwierzchnikiem ludzie zdolni wznieść się nad uprzedzenia swej epoki i poświęcić dla dobra całej ludzkości, niezależnie od wyznawanej wiary. I czymże się stałeś? Najemnikiem tyrana, który gnębi swój lud, kradnie i łże!

Eliaszu, proszę cię...

Szczując Filipa przeciw Edwardowi, zwalczasz zło złem. Spodziewasz się, że wyniknie z tego coś

dobrego?

Will zwiesił głowę. Pomyślał o planach, jakie snuł, wróciwszy do Paryża z Wallace'em. Minęły

miesiące, potem lata i nie zostało mu nic prócz zapewnień Filipa, że mimo rozejmu król angielski jest nadal jego wrogiem. Pomyślał o nędznych groszach, o pozbawionych wartości gestach obliczonych na zachowanie przyjaźni Szkotów, gdyby byli potrzebni, żeby związać siły Edwarda na północy.

Wiedział o tym, ale wzbraniał się przed tą wiedzą. Przez dwa lata przelewał z pustego w próżne, bezwolny, niezdolny popłynąć na przekór prądom, które nim miotały. Eliasz tylko pchnął go głębiej pod wodę.

Ja... — Zacisnął szczęki. — Nie wiem, co robić. Hugo z Pairaud objął władzę w bractwie i

sprzymierzył się z Edwardem. Nienawidzę Edwarda, to prawda, ale wiem na pewno, że nas

wykorzystuje. Hugo nie pozwoli mi wrócić. Pozostał mi tylko jeden sojusznik, Robert z Paryża, a i on ma do mnie słuszny żal. To co zrobiłem... — Will spojrzał na swoje ręce, jakby się spodziewał, że ujrzy na nich brud. — Własna córka nie chce mnie znać. Przelewałem krew na nic; w Ziemi Świętej i w Szkocji... — Powoli pokręcił głową. — Nie widzę przed sobą drogi.

Więc musisz ją znaleźć. — Dłoń Eliasza odszukała jego rękę. Uścisnął ją słabo. — Przysięgnij mi, że to zrobisz. Przysięgnij na krew tych, którzy byli przed tobą, na ich nadzieję, że świat stanie się lepszy.

Nie pozwól, by przez ciebie ta nadzieja sczezła.

Ale jak.. — Will poderwał głowę, kiedy palce Eliasza zsunęły się z jego dłoni. — Eliaszu! Eliaszu, przysięgam!

Ale rabin już nie żył i odpowiedziała mu tylko cisza.

Templum w Paryżu Dwudziesty ósmy dzień sierpnia

Po dniach czterdziestu Perceval przybył na ziemię poczerniałą i spaloną przez słońce. Tam w oddali ujrzał zamek chylący się ku ruinie...

Postać w mieniącym się, jakby łuskowatym płaszczu wyciągnęła rękę; Martin de Floyran podążył za nią wzrokiem. Na ścianie chwiały się cienie i mógłby przysiąc, że widzi wśród nich wieżę, wznoszącą się ciemnym konturem za plecami jednego z zamaskowanych mężczyzn. W komnacie było duszno,

ale on zadrżał, powstrzymując chęć oplecenia ramionami swej odsłoniętej piersi. Biodra miał okryte, ale pod spojrzeniami tych zakaptu- rzonych ludzi czuł się nagi. Było mu niedobrze. Sensacje w

żołądku nękały go już od wczorajszej nocy spędzonej na czuwaniu, kiedy klęczał samotnie w mroku z obawą i podnieceniem. Długo czekał na tę chwilę; poprzedzały ją lata nadziei i oczekiwań, lecz

rzeczywistość okazała się od nich inna. Stryj mówił irai ongiś, że będzie to najwznioślejszy dzień w jego życiu. Miał być z siebie dumny, ale on nie czuł dumy, tylko narastający strach i obezwładniające mdłości.

Perceval wszedł do wieży i krętymi schodami dotarł na sam jej szczyt. Znalazł tam komnatę o

ścianach odrapanych i nagich. Z okien widać było tylko jałową, spieczoną pustynię. Na spróchniałym podwyższeniu stał strzaskany tron. Wokół podłoga zasłana była kośćmi...

Przewodnik odsunął się na bok i Martin wstrzymał oddech, widząc, że na posadzce rzeczywiście leżą ludzkie kości. Blask świec nadawał im rdzawe zabarwienie.

Na tronie siedział mąż. Głowę miał pochyloną, ciało wynędzniałe...

Dwaj zamaskowani mężczyźni postąpili krok naprzód i rozsunęli coś,

co Martin brał za ścianę, a co okazało się zasłoną z ciężkiej czarnej materii. Za nią była alkowa, w niej drewniane podwyższenie, na nim zaś poobijany tron zajęty przez człowieka w płaszczu z kapturem.

Człowiek ten wstał i zszedł z podestu, wyciągając do niego ręce.

Stań przy mnie — szepnął grobowym głosem. — Moje wojska rozbite. Zostań moim rycerzem.

Martin rozejrzał się niepewnie, ale napotkał tylko obojętne spojrzenia pięćdziesięciu czterech jelenich mase R O

k. C B

złY N

ow i Ye O

k U

w N G

kapturze utykając, zbliżył się do niego, ciągnąc za sobą nieprzyjemny zapach.

Przyłącz się do mnie! — rzekł i zrzucił z ramion płaszcz.

Martin z trudem zdołał stłumić krzyk. Oprócz wystrzępionej przepaski

na biodrach człowiek ten pod płaszczem był nagi i od stóp do głów umazany krwią. Ściekała mu z

włosów, pełzła strużkami po policzkach, zbierała się w kałuży wokół stóp. Martin zobaczył krwawe ślady biegnące od tronu.

Co powiesz, Percevalu?—spytał jego przewodnik w lśniącym łusko- watym stroju. — Czy będziesz

dla niego walczył?

Nie. — Martin, sparaliżowany odrazą, pokręcił głową. — Nie!

Okrwawiona postać osunęła się na podłogę i zniknęła za plecami

tamtego.

A kiedy Perceval odmówił krwawemu królowi, dzień zmienił się w noc...

Świece zaczęły kolejno gasnąć. Martin nie był w stanie opanować drżenia. W ciemności słychać było tylko szelest długich szat na kamiennej posadzce i jego urywany oddech. Klęczał przygotowany na najgorsze, rozpaczliwie pragnąc, by próba nareszcie dobiegła końca.

I naraz wstał świt, ciepły i piękny. — Przewodnik mówił cicho, ze czcią. Jego kaptur rozświetlił

stłumiony poblask, który nabrał mocy, gdy mężczyzna odsłonił trzymaną w dłoni świecę. — Wieża

zniknęła, Perceval znalazł się w zielonym lesie, gdzie skubał trawę szlachetny biały jeleń

o

nowym porożu. Pomiędzy drzewami dojrzał Perceval dumną warownię zwieńczoną

mnóstwem wież i wieżyczek. Proporce w barwach tęczy jaśniały w porannym słońcu, a lekki wiatr

niósł odległy dźwięk srebrnych trąb. Perceval zapragnął wejść do środka, znaleźć w zamku

schronienie i wiernych druhów. Ale mury otaczała głęboka fosa, a most był podniesiony. Przed nim na brzegu stał rycerz w białym płaszczu, nieskalanym ni krwią, ni pyłem.

Inny mężczyzna podszedł bliżej i przytknął swoją świecę do płomienia. Kiedy się rozpaliła, Martin ujrzał wysokiego rycerza odzianego w gładką

białą szatę i hełm zakrywający twarz. Atmosfera zelżała, było coraz jaśniej, toteż i serce Martina przestało się tłuc jak szalone.

Czy przyłączysz się do mnie, Percevalu? — zapytał rycerz. — Razem przebrodzimy rzekę i

wejdziemy do zamku, gdzie nikt nas nie pokona. Czy pójdziesz ze mną?

Martin z wahaniem pokiwał głową.

Tak — szepnął i zaraz zdał sobie sprawę, że rycerz czeka na bardziej stanowczą odpowiedź. Podniósł

głowę i rzekł głośniej: — Przyłączę się do ciebie.

Nie

R

potr O

zeB Y N

bnie Y O

dał U

siNę G

tak wystraszyć. Martwił się, jakie zrobił na nich wrażenie. Czy ktoś zauważył

jego lęk? Dostrzegł drżenie?

Wybrałeś więc drogę — rzekł mężczyzna w lśniącym płaszczu

i wybrałeś mądrze. Złożyłeś przysięgi i nie ugiąłeś się w obliczu pokusy i zagrożenia. Teraz czeka cię ostatnia, najgroźniejsza próba. Ale bądź mi posłuszny, jak ślubowałeś. Czy będziesz mi

posłuszny, Percevalu?

Uczynię, co rozkażesz, panie.

Zatem dowiedź tego! — Mężczyzna pochylił się nad nim i zrzucił kaptur, odsłaniając wyszczerzoną trupią czaszkę.

Martin cofnął się ze zgrozą, lecz tamten wydobył spod płaszcza i podsunął mu przed oczy mały złoty krucyfiks.

Pluń na krzyż. Dowiedź, że mnie jednemu jesteś wierny; że mówisz jednym głosem ze swymi braćmi.

Zrób to albo ponieś karę.

Martin schylił głowę, wypchnął z ust kroplę plwociny i zacisnął mocno oczy, powtarzając raz po raz w myśli Ojcze nasz.

Przewodnik schował krzyż pod płaszczem. Postawił świecę na podłodze, potem złapał wystającą

żuchwę trupiej maski. Martin myślał, że ją zdejmie, ale tylko ją obrócił. Ukazała się teraz gładka, chyba wyrzeźbiona w drewnie, biała twarz o wystających kościach policzkowych i stanowczym

podbródku młodego mężczyzny. Okalały ją przyczepione do maski ciemne włosy. Martin miał

wrażenie, że widzi zarys trzeciej twarzy, ale uciekł wzrokiem, gdy jego przewodnik rzekł:

Przeszedłeś próbę, Martinie z Floyran. Jesteś teraz rycerzem i równym między braćmi.

Cofnął się. Martin wstał, chwiejąc się na nogach. Mężczyźni stojący dotąd pod ścianami podchodzili kolejno, aby ucałować go w oba policzki. Lecz Martin wciąż miał przed oczyma tylko wspomnienie

śliny plamiącej postać Ukrzyżowanego.

22

Nieopodal zamku Vincennes Dwudziesty dzień czerwca roku Pańskiego 1303

W dole, na podmokłej równinie, gdzie bladozłote trzciny znaczyły kręty brzeg rzeki, stała na warcie czapla, wypatrując łupu. Podmuchy wiatru marszczyły błękitną taflę. Kaczki kołysały się na falującej wodzie, ich nosowe głosy brzmiały jak śmiech obłąkańca. W górze mniejsze ptaki zmagały się z

wiatrem. Jeszcze wyżej nad nimi ścigały się białe pierzaste obłoki.

Orszak prawie stu ludzi zatrzymał się na suchszym gruncie w pewnej odległości od rzeki. Psiarczyki trzymali ogary na długich smyczach, szturchając je rózgami, ilekroć któryś zawył głucho, widząc przed sobą zwierzynę. Uszy psów były przypłaszczone do czaszek, mięśnie spięte do skoku.

Dworzanie pozsiadali z koni. Doradcy i wysocy urzędnicy królewscy, hrabiowie i książęta w aksamitnych szatach i szaperonach lub czapkach ozdobionych łabędzimi bądź pawimi piórami tworzyli na tle lasu barwną, pstrokatą plamę. Pomiędzy nimi krzątali się paziowe i giermkowie, dociągając koniom popręgi i roznosząc panom bukłaki z winem i wodą.

Wielki sokolnik królewski wysłał swych pomocników na skraj polany. W przytroczonych na plecach klatkach nieśli około tuzina ptaków siedzących na wyścielanych drążkach. Wszystkie miały na głowach kapturki, ale z ożywieniem kręciły łebkami, słysząc nawoływania kaczek. Były tam białozory, para jastrzębi gołębiarzy, piękny raróg i kilka popielatych sokołów wędrownych. Pachołkowie czekali cierpliwie, aż panowie zdecydują, które ptaki będą puszczać razem. Polowanie trwało już kilka godzin; w tym czasie wypróbowano oba gołębiarze i cztery sokoły. Ich łupem padły trzy krzyżówki, dwa zające i bażant.

Panie Henryku! — zawołał król Filip z grzbietu smukłej karej klaczy. — Może wypróbujemy twój nowy nabytek?

Na twarzach kilku dworzan pojawiły się uśmiechy. Wielki sokolnik skłonił głowę i kiwnął na pachołka. Ten otworzył jedną z klatek, odwiązał pęta dropiatego raroga i trzymając mocno rzemyki, zwabił ptaka na rękawicę, a następnie wyjął z klatki i podał Henrykowi. Król Filip miał już na przegubie Pannę w karnalu z miękkiej cielęcej skóry, ozdobionym lekkim jak puch piórem gołębicy, którą zabiła tydzień wcześniej. Król szturchnął klacz piętami i podjechał do sokolnika. Zerknął na rzekę. Kaczki odpłynęły nieco dalej w dół nurtu, ale czapla wciąż dreptała po podmokłym brzegu.

Sokolnik zmówił modlitwę za powodzenie łowów i bezpieczeństwo ptaków:

In nomine Domini, volatilia celi erunt sub pedibus tuis — zakończył.

Liczymy do trzech. — Filip uśmiechnął się zadziornie.

Równocześnie zdjęli kaptury sokołom i wyrzucili je w powietrze. Srebrne dzwoneczki rozdzwoniły się gwałtownie, płosząc pomniejsze ptactwo. Raróg wystrzelił w niebo i złapał podmuch, który zniósł go dalej od rzeki. Widząc to, Henryk zaklął pod nosem. Panna frunęła na pobliskie drzewo i przysiadła wdzięcznie na gałęzi. Filip patrzył cierpliwie, jak ptak otrząsa się kilkakrotnie, porządkując dymnoszare pióra. Kilka chwil później Panna wzbiła się do lotu i wykorzystując

wznoszące prądy

powietrza, jęła zataczać powolne, leniwe kręgi, coraz wyżej i wyżej, kierując się ku podstawie chmur.

Raróg zawrócił i podążył za nią. Kaczki ucichły, wyczuwając niebezpieczeństwo, ale czapla nie

widziała dwóch drapieżników, które były teraz maleńkimi plamkami na szerokim wietrznym niebie.

To rozkosz na nią patrzeć, panie — rzekł Will, podjeżdżając do króla.

Filip się uśmiechnął, ale milczał, śledząc lot Panny.

Ile czasu zajęła Henrykowi jej tresura?

Sam ją szkoliłem. — Filip zerknął na niego. — Dwadzieścia pięć dni.

Chyba nikomu jeszcze się nie udało poskromić ptaka w tak krótkim czasie — wtrącił sokolnik,

dosłyszawszy rozmowę.

Jestem ci niezmiernie wdzięczny, panie, za zaznajomienie mnie z tą rozrywką — ciągnął Will. — Nie przypuszczałem, że jest tak podniecająca. Reguła Templum zakazuje łowów. Jedyne zwierzę, dla

którego robi wyjątek, to lew.

Reguła dba, byście nie rośli w pychę — zauważył sucho Filip.

Reguła jest staroświecka.

Filip oderwał wzrok od sokolicy i utkwi! w Willu.

Skoro jesteś tak krytyczny wobec Templum — rzek! chłodno

jakim cudem tak długo wytrzymałeś w zakonie?

Will zniósł spojrzenie, choć w głębi ducha nieco go zaniepokoiło. Od dawna próbował zdobyć

zaufanie Filipa, ale król, choć osobiście nie brał udziału w walkach, spędzi! całą wiosnę we Flandrii i nie było do tego wiele okazji.

Uzyskawszy środki ze sprzedaży żydowskich majątków, Filip wyposażył armię i ruszył pomścić

klęskę pod Courtrai. Tym razem zwyciężył. Podpisano rozejm, raczej wymuszony niż szczery.

Flamandowie się zżymali, ale w końcu uznali zwierzchność korony francuskiej. Filip wrócił

triumfalnie do Paryża, a następnie przeniósł dwór do zamku Vincennes, w którym się wychował.

Złożyłem śluby — odparł Will. — Zresztą... — wzruszył ramionami

wychowałem się w Świątyni, tylko takie życie znałem. Trzeba czasu, by dojrzeć prawdę w tym, co

najbliższe, spojrzeć na to innym wzrokiem. Później, kiedy już zacząłem sobie uświadamiać, że nie zgadzam się z regułą

celami zakonu, że dawne ideały uległy rozwodnieniu, skalaniu przez małostkowych mistrzów

oglądających się na świetną, lecz minioną przeszłość... wówczas po prostu bałem się odejść. Dopiero kiedy zakon sprzymierzył się z królem Edwardem przeciwko mej ojczyźnie, znalazłem w sobie

odwagę, by zrobić to, z czym od dawna się nosiłem.

Filip pokiwał głową. Wydawał się usatysfakcjonowany.

Jak słyszę, miałeś w zeszłym tygodniu wieści ze Szkocji. Ufam, że nasz wspólny przyjaciel, sir

Wilhelm, ma się dobrze?

Teraz z kolei Will uważnie przyjrzał się królowi. Czyżby kazał go śledzić?

Nie miałem ostatnio wieści od Wallace'a. List był od mojej siostry.

Odwrócił wzrok ku rzece, nie chcąc się zagłębiać w szczegóły.

List Isendy, pierwszy od dawna, zarazem go ucieszył i rozstroił. Pisała przede wszystkim o

zaślubinach Małgorzaty z siostrzeńcem męża Edy. Przeczytawszy, że młoda małżonka jest przy

nadziei, Will zerknął na datę. List pochodził sprzed pięciu miesięcy, może więc rodzina już się powiększyła. Dawid przez jakiś czas towarzyszył Wallace'owi, ale gdy ten musiał się ukryć,

młodzieniec wrócił do Elginu, gdzie wstąpił do drużyny miejscowego wielmoży. Zwyciężył już w

dwóch turniejach, a jeden z jego przyjaciół zalecał się do Alicji. Na koniec z lekkim ukłuciem w sercu Will przeczytał, że Krystianna mieszka z nimi. Siwy bał się o jej bezpieczeństwo, ponieważ psy

gończe Edwarda wciąż tropiły buntowników.

Od śmierci Eliasza Will czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Dręczyło go poczucie winy,

gniew i niemożność podjęcia decyzji. Przeczytawszy list, miał ochotę opuścić Francję i wrócić do rodziny. Już raz czas

oddalenie omal mu jej nie zabrały; nie chciał, by stało się to ponownie. Róża wciąż udawała, że go nie zna. Wychudła niczym duch, niemal bezcielesna mijała go w korytarzach, nie odwracając się, gdy

zagadnął. Z biegiem czasu przestał się odzywać, uśmiechał się tylko z nadzieją, a w końcu tylko kiwał

uprzejmie głową.

Ale mimo zamętu, jaki mial w duszy, jedna rzecz była stała i z dnia na dzień ważniejsza: obietnica, którą złożył Eliaszowi. Słowa konającego rabina wstrząsnęły nim do głębi, wyzwalając przemianę.

Uświadomił sobie, że mimo zdrady zakonu wciąż wierzy w Duszę Świątyni. Nadal czuł się za nią

odpowiedzialny. Nikt nie pozbawił go przywództwa, sam je oddał, a teraz stopniowo, powoli, znów zaczął się do niego poczuwać. Podczas bezsennych nocy w zamku zastanawiał się, co Ewerard,

seneszal czy jego ojciec zrobiliby w tej sytuacji. Po długim milczeniu ich duchy zaczęły go nachodzić, podszeptując sugestie. Najpierw powinien zweryfikować podejrzenia Eliasza dotyczące planów Filipa co do Templum.

Dworzanie wymieniali ożywione uwagi, zadzierając głowy i osłaniając dłońmi oczy przed słońcem.

Raróg zataczał koła u podnóża chmur, ale Panna zniknęła.

Nagotujcie wabidło! — zawołał Filip do giermków.

Wyrwany z zadumy Will podjął:

W czasie twej nieobecności, panie, Wallace pisał, że król Edward tego lata chce znów najechać

Szkocję. Wallace'owi bardzo zależy na zapewnieniu, że może nadal liczyć na twoją pomoc. Ufa, że wywrzesz nacisk na króla Edwarda i papieża.

Twarz Filipa spochmurniała na wzmiankę o papieżu i Will zbeształ się w duchu. Różnice zdań między królem Francji a biskupem Rzymu jeszcze się zaostrzyły i w tej chwili prowadzili ze sobą zawziętą wojnę intryg. Will zastanawiał się właśnie, jak udobruchać króla i skłonić go do rozmowy

o

templariuszach, kiedy jeden z giermków krzyknął.

Po niebie przemknęła ciemna błyskawica. Panna nadleciała od strony słońca i spikowała ostro w dół

niczym szary pocisk, godząc w niczego nie podejrzewającą czaplę. Spadła ofierze na głowę, topiąc w mózgu szpony jak noże. Myśliwi podnieśli radosną wrzawę. Czapla rozłożyła skrzydła, chciała

walczyć, ale F ***2*** il ***3*** i ***4*** p krzyknął na psiarczyków. Spuszczone ze smyczy dwa gończe pognały przez łąkę, żeby pomóc sokolicy w przygwożdżeniu ofiary. Para ta od lat polowała z sokołami i dobrze wiedziała, co ma robić.

Złapały czaplę za nogi, a Panna tymczasem dobiła ofiarę. Raróg zniżył lot i krążył dookoła, gotów się przyłączyć, ale to Panna była zwyciężczynią

jej miała przypaść nagroda w postaci serca upolowanego ptaka.

Will odwrócił się od ciągniętej przez psy konającej czapli i przyjrzał się królowi. Na twarzy Filipa prócz radości zwycięstwa widniał szczery podziw. Był to podziw płynący z tej samej pasji,

umiejętności skupienia się na celu bez reszty i instynktu drapieżnika, każącego podjąć śmiertelną walkę, nawet gdy przeciwnik jest o wiele większy. Filip znał to i umiał docenić. Sam w ten sam

sposób walczył z papieżem Bonifacym, tak samo drapieżnie spadł na Flandrię i Gaskonię i brutalnie stłumił powstanie w Gujennie. Po raz pierwszy od chwili, gdy Eliasz powtórzył mu strzęp zasłyszanej rozmowy, Will poczuł zimne ukłucie strachu. Jeśli Filip rzeczywiście chce zniszczyć Templum, zrobi to równie bezwzględnie.

R E Q U I E M

Jakby w odpowiedzi na jego myśli Wilhelm de Nogaret wjechał na łąkę

rzucając Willowi nieufne spojrzenie, zbliżył się do króla. Legista jak zwykle odziany był w czerń, ale teraz bramowana była ona szkarłatem, barwą powiernika królewskich pieczęci, którymi dysponował

po śmierci Flotte'a.

Nagonka znalazła ślady odyńca wiodące w głąb lasu! — zawołał.

Filip odwrócił się do trajkoczących dworzan.

Co powiecie, panowie? Jeszcze jeden pościg, zanim dzień się skończy i siądziemy do uczty?

Odpowiedział mu entuzjastyczny aplauz. Król w uśmiechu wyszczerzył zęby, dał koniowi ostrogę i ruszył w las z Nogaretem u boku. Zasępiony Will przyłączył się do ogona kawalkady.

Zamek Vincennes Dwudziesty dzień czerwca

Róża rozczesywała gęste włosy królowej. Od czasu do czasu grzebień wiązł w splątanym paśmie i wtedy delikatnie rozgarniała je palcami dotąd, aż zęby przeszły gładko. Twarz Joanny majaczyła w stojącym naprzeciw zwierciadle niczym księżyc w stawie. Róża przyjrzała jej się, korzystając z tego, że królowa ma zamknięte oczy. Była niezwykle przygaszona, odkąd dwa tygodnie temu przybyli do Vincennes. Między parą królewską dawało się wyczuć napięcie; być może miało źródło w tym, że król wyjeżdżając na wyprawę do Flandrii, stanowczo odmówił zabrania ze sobą żony. W słońcu wpadającym przez okno cera Joanny była blada, nad górną wargą wyraźnie zaznaczał się czarny meszek. Swego czasu Małgorzata taktownie zaproponowała, że go wyskubie, ale królowa żachnęła się tylko ze wzgardą.

Joannę zawsze bardziej pociągały księgi niż sposoby upiększania twarzy i sylwetki, którym poświęcała życie większość szlachetnie urodzonych dam dworu. Kupowały pachnidła, grzebienie z kości słoniowej i lśniące naszyjniki od weneckich kupców, chwaliły wzajem swoje strojne szaty, a potem obmawiały się za plecami przy wieczornej uczcie. Jako służka, na tyle wysoko postawiona, by znajdować się w tej samej komnacie co szlachetne panie, a na tyle mało ważna, że nikt nie zwracał na nią uwagi, Róża wiele się nasłuchała. Małgorzata i inne dworki wykorzystywały swój status, by wyłudzać od królowej świecidełka, i potem udawały księżniczki, snując się po zamku niczym barwne motyle i wdzięcząc do nieżonatych rycerzy dworskich urzędników. Róża, bardziej od nich niewidzialna, natknęła się raz na Blankę z pomocnikiem majordoma w ciemnym pałacowym korytarzu. Przyciskał ją do ściany, błądząc ustami po jej szyi, a ręką pod zadartą suknią. Blanka miała głowę odchyloną na bok, a na twarzy ekstazę zmieszaną z zawstydzeniem.

Ciekawe, co upolowali.

Róża drgnęła. Uświadomiła sobie, że królowa otwarła oczy i patrzy na nią.

Słyszałam, jak mówiono, że w lesie może być dzik — odezwała się Małgorzata, która krzątała się po komnacie, zbierając szaty królowej

wręczając je Blance, by ta schludnie złożyła je w skrzyni. — Jaką suknię włożysz dziś na ucztę, pani?

Ty mi wybierz.

Może tę czerwono-złotą? Wasza wysokość wygląda w niej przepięknie. — Małgorzata uśmiechnęła

się ciepło. — Król nie będzie mógł oderwać oczu!

Róża pochwyciła w lustrze wrogie spojrzenie, jakie rzuciła jej dworka. Zastanawiała się, co miało oznaczać, gdy królowa powiedziała:

Zostawcie nas na chwilę. Chcę pomówić z Różą.

Oczywiście, najjaśniejsza pani. — We wzroku Małgorzaty błysnęło coś jakby triumf. Wyszła,

zagarniając przed sobą Blankę i pozostałe trzy służebne.

Zakłopotanie Róży przerodziło się w niepokój. Starając się opanować drżenie rąk, powolnymi

ruchami przesuwała grzebień.

Wychowałam się w Vincennes. — Cichy głos Joanny brzmiał tak, jakby opowiadała bajkę ***2***. ***3***

Z ***5*** nów

zamknęła oczy. — Byłam maleńkim dzieckiem, kiedy przywieziono mnie tu po śmierci ojca. Filip

zawsze mi towarzyszył, gdy uczyłam się czytać i jeździć konno, także wówczas, kiedy moja matka

ponownie wyszła za mąż i wyjechała do Anglii. Przez całe dzieciństwo był dla mnie jak brat, a w pewnej chwili po prostu został moim mężem. Kochałam go od pierwszego dnia. — Królowa

otworzyła oczy, podniosła rękę i chwyciła Różę za nadgarstek, zatrzymując ruch grzebienia. — Wiem, że mój mąż jest pięknym mężczyzną. Ale twoje zauroczenie nim zakrawa już na bezwstyd. To się

musi skończyć.

Róża chciała zaprzeczyć, ale zdradziła ją własna twarz; widziała ją w zwierciadle, oblaną łuną

rumieńca niczym zachodzące słońce obok bladego księżyca.

Królowa puściła jej rękę.

Możesz odejść. Przyślij tu Małgorzatę, skończy mnie czesać.

Róża odłożyła grzebień i chwiejnym krokiem dotarła do drzwi. Szepczące w sąsiedniej izbie dworki rozpierzchły się, kiedy weszła. Najwyraźniej wiedziały, o czym chce rozmawiać z nią królowa. Czuła R O B Y N Y O U N G

się tak, jak gdyby obdarto ją do naga i postawiono przed nimi na urągowisko. Modliła się do Boga, żeby król się o tym nie dowiedział. Na samą myśl kuliła się ze wstydu.

Małgorzata dumnym krokiem ruszyła do drzwi.

Naprawdę ci się wydawało, że król cię zaszczyci swoimi względami?

Wymownym spojrzeniem obrzuciła poparzoną rękę Róży.

Inne dworki gęsiego pomaszerowały za nią. Róża podeszła do okna, udając, że chce przez nie wyjrzeć.

Posłyszała za sobą szelest, w izbie został ktoś jeszcze.

Powinnaś być ostrożniejsza — posłyszała cichy głos Blanki.

Królowa jest bardzo niezadowolona. Na twoim miejscu skierowałabym uwagę gdzie indziej. Na

dworze jest sporo przystojnych kawalerów. Nawet jeśli nie chcesz żadnego, możesz udawać afekt,

żeby najjaśniejsza pani nie miała powodów do podejrzeń.

I co potem? i syknęła Róża. — Mam się z nimi obłapiać w korytarzach, żeby afekt był bardziej

wiarygodny?

Z twarzy Blanki odpłynęła cała krew. Obróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami. Róża rzuciła się na wąskie łóżko. W jej żyłach krążył gniew, wrzący, nienasycony. Była wściekła na siebie za to, że zdradziła się ze swym uczuciem, wściekła na Małgorzatę za jej złośliwy język, na Blankę za to, że ośmieliła się wejść w jej położenie. Przede wszystkim zaś była wściekła na królową. Jakąż nienawiścią przejmowało ją wspomnienie tej bladej, nalanej twarzy! Zamknęła oczy, wyobrażając

sobie, że Joanna spada z konia i łamie kark. Szybka, bezbolesna, tragiczna śmierć. Filip na pogrzebie milczy, jest silny. Wieczorem Róża lekko, pocieszająco kładzie mu dłoń na ramieniu, a on ukrywa twarz na jej piersiach i wreszcie pozwala sobie na łzy. Na początku jest tylko tkliwość, uczucie narasta z czasem, w miarę upływu żałoby, ale dzięki temu gdy wreszcie dopuszczają je do głosu, wybucha jak płomień...

Zamek Vincennes Dwudziesty pierwszy dzień czerwca

Chyba mamy jakieś inne wyjście! — żołądkował się Piotr Dubois, jeden z sześciu ludzi zebranych w komnacie.

Dyskutowaliśmy już o tym, dostojny panie — rzekł kwaśno Noga-

ret.

Tak, lecz bynajmniej nie doszliśmy do zgody — odparował Dubois, spoglądając nań ostro.

A widzisz jakieś inne wyjście? W najnowszej bulli papież jasno wyłożył swoje intencje: kto się przed nim nie pokłoni, tego wyklnie. Jeśli teraz się nie sprzeciwimy, to jakbyśmy sami nałożyli Francji na szyję rzymską smycz!

Czy mamy pewność, że papież rzeczywiście grozi ekskomuniką?

Cichy głos należał do przedwcześnie posiwiałego Wilhelma de Plaisans. Ascetyczny doradca wziął ze stołu pergamin opatrzony papieską pieczęcią, która zaczynała się już kruszyć, tekst bulli bowiem byl przedmiotem wnikliwych studiów, odkąd pół roku temu dostarczono go na francuski dwór. — W

istocie to dziwny list, pełen biblijnych odniesień, a wyzbyty jasnych stwierdzeń. Tu nawet w ogóle nie ma mowy o Francji.

Nogaret nachylił się nad jego ramieniem.

Tu — rzekł, wskazuj ąc ustęp.—Kiedy Grecy i inni roją sobie wolność od władzy Piotrowej,

stwierdzają tym samym, iż nie przynależą do trzody Chrystusa. Jedno bowiem będzie stado i jeden pasterz. Ci „inni", to my. Nie uznając władzy i patronatu Rzymu, wykluczymy się z Kościoła.

Właśnie tego obawiał się kanclerz Flotte — zauważył posępnie Dubois. — Powinniśmy byli

zastosować się do jego rad.

Flotte nie żyje, a jego teorie nie są już aktualne! — wybuchnął Nogaret.

Dość tego, ministrze — włączył się do rozmowy król, widząc, że Dubois i kilku innych, czerwonych z wściekłości

2

, sz ***3***

y ***6***

kuje się do retorty.

Okaż swemu poprzednikowi szacunek, na jaki zasłużył.

Wybacz, najjaśniejszy panie — zsumitował się Nogaret.

Niemniej pan de Nogaret ma rację — ciągnął Filip, przyglądając się twarzom stłoczonym dokoła

stołu. — Musimy pozostać silni, inaczej ucierpi na tym Francja. — Zerknął na bullę trzymaną przez Plaisansa.

„Unam sanctam" to jak dotąd apogeum papieskiej buty. Istotnie, nic nie zostało powiedziane wprost, ale też Bonifacy wyraźnie jak nigdy daje wyraz przekonaniu o swojej wyższości.

R E Q U I E M

Filip zamilkł na chwilę, przypominając sobie słowa, które czytał tyle- kroć, że już znał je na pamięć.

Dlatego też stwierdzamy tu z całą mocą, iż dla zbawienia każdej istoty ludzkiej nieodzownem jest, iżby ta była poddaną namiestnikowi Chrystusowemu. — Król odetchnął głośno. — Nie daje mi

wyboru — szepnął, nie patrząc na zebranych.

Musimy w tej sprawie działać solidarnie — rzekł z naciskiem Nogaret, odwracając się do pozostałych.

— W przyszłym miesiącu powtórnie zwołamy stany do Paryża, aby zdobyć ich poparcie w tej

sprawie. Podczas zgromadzenia odrzucimy bullę „Unam sanctam" i ogłosimy papieża Bonifacego

heretykiem. — Ponadto — ciągnął, podnosząc nieco głos, gdy Dubois niechętnie pokręcił głową —

nie będzie się go już nazywać imieniem, jakie przybrał, wdziewając tiarę, lecz tym, jakie nosił

wcześniej, czyli Benedyktem Gaetanim. Przestaniemy go uznawać za naszego duchowego przywódcę

tu, na ziemi. Ponownie wprowadzimy zakaz wywozu złota do Rzymu. To samo będzie dotyczyć kleru:

aż do odwołania żadnej osobie duchownej nie będzie wolno opuścić Francji. Przeszkodzi to papieżowi zyskiwać środki oraz informacje od tych biskupów, którzy wciąż są mu wierni.

Czy dałeś na to wszystko przyzwolenie, najjaśniejszy panie?

Dubois ominął Nogareta i stanął przed królem, opierając obie dłonie

o

stół.

Filip podniósł wzrok.

Tak, dałem — odparł po chwili i machnął ręką.—A teraz już idźcie, chcę pomówić z Nogaretem sam

na sam. Zostawcie nas — powtórzył, kiedy Dubois się zawahał.

Kiedy drzwi się zamknęły, król wstał i podszedł do okna. Spojrzał na rozciągający się u podnóża zamku las. Poczucie wolności, jakim cieszył się wczoraj na łowach, już minęło. Znów był więźniem własnego umysłu, ciemnej celi pełnej bolesnych, niepokojących doznań.

Zrobimy to.

Tak, panie? — ocknął się z zadumy Nogaret.

Nie ma innego sposobu na zakończenie tej wojny. Papież mnie ekskomunikuje, gdy tylko wypowiem

mu posłuszeństwo. Możemy do reszty popsuć mu opinię, oskarżając go o herezję, ale koniec końców to on dzierży władzę. Jeśli obłoży kraj klątwą, wszystkie traktaty zawarte do tej pory z Edwardem, Flandrią, Szkocją i kimkolwiek innym utracą moc. Podobnie akty własności ziem, które nabyłem.

Ustanie handel, a każdy Francuz przebywający za granicą będzie mógł zostać pojmany, pozbawiony

mienia, towaru i statków. — Filip odwrócił się do ministra. — Nie pozwolę, by mój lud cierpiał przez jego uczynki. Zrobimy to, Nogaret. Przeprowadzimy twój plan.

W oczach legisty błysnął triumf.

To słuszna decyzja, panie. Kiedy miejsce Bonifacego zajmie łaskawszy dla nas papież, będziemy

mogli zabrać się do templariuszy. Od niemal siedmiu lat musisz się hamować, gdy przecież mógłbyś poszerzyć i umocnić królestwo. Teraz nareszcie osiągniesz wielkość za przykładem dziada, a Francję wyniesiesz do potęgi, jaką była za twoich kapetyńskich przodków.

Nogaret się uśmiechnął. — Król rycerz na czele potężnego imperium.

Filip wrócił do stołu i usiadł.

Po zgromadzeniu stanów pojedziesz do Włoch. Bonifacy większość czasu spędza w Anagni, bywa w

Rzymie tylko na soborach i uroczystościach. W Anagni łatwiej go dostaniesz, ale i tak potrzebna ci

będzie pomoc, bo w rodzinnym mieście ma wielu sojuszników.

Myślałem o Colonnach. Większość z nich uciekła do Francji, kiedy papież ich wygnał, ale są wciąż potężni i mają we Włoszech poplecznikow.

To dobry pomysł. — Król kiwnął głową. — Weźmiesz niewielki oddział, z pomocą którego uwięzisz

papieża i powieziesz go do Francji na proces.

Proces? — Nogaret zmarszczył brwi. — Błagam o wybaczenie, najjaśniejszy panie, ale chybaśmy się nie zrozumieli. Nie planowałem sądu. Zamierzałem go zabić.

Mord w trakcie napaści nie przyniesie nam żadnych korzyści. Natomiast uwięzienie i zapowiedź sądu nieodwołalnie zniszczą reputację papiestwa na całym Zachodzie. Człowiek, który mienił się

rękodajnym Chrystusa, okaże się skalany i grzeszny, a ja dowiódłszy tego, wywyższę swój tron ponad Stolicę Piotrową. Kościół będzie podlegać koronie, nie na odwrót. — Filip ciasno splótł ręce na stole.

— Bo tak przecież powinno być, czyż nie? — Spojrzał na Nogareta. — Duchowieństwo ma się

troszczyć

o

dusze ludu, a nie o byt doczesny. Nie można pozwolić, by określało posunięcia władcy.

To prawda — przyświadczył Nogaret i zawahał się. — Ale proces będzie się ciągnął w

nieskończoność i istnieje ryzyko, że stracimy poparcie...

Bonifacy nie dotrze do Paryża. Śmierć będzie wyglądać na naturalną. Ale spraw się z tym szybko. Nie chcę, żeby cierpiał.

Po twarzy Nogareta rozlał się powolny uśmiech.

Są trucizny, które...

Król przer R

w O

ał B Y

m N Y

u, w O

st U

aj N

ąc G

:

Nie chcę znać szczegółów. Bonifacy zostanie uwięziony za herezję; to powinno wystarczyć, żeby

poskromić kler. Powiemy, że zmarł na serce. Zepsucie toczące duszę musiało wszak wywrzeć zgubny wpływ i na ciało grzesznika. Potem pojedziesz do Rzymu i rozmówisz się z naszymi stronnikami w

Collegium Sacrum. Poparcie stanów Francji przemówiło do kardynałów, dziś mamy w kolegium

przewagę. Chciałbym jednak się upewnić, że będę mial coś do powiedzenia w sprawie tego, na czyjej skroni spocznie teraz papieska tiara.

Wszak to ty strącisz Bonifacego z Lateranu, panie. — W cichym głosie Nogareta zabrzmiała nutka

triumfu.

Filip w milczeniu złożył bullę i wetknął ją pod stos pergaminów leżących na stole.

Weźmiesz do Anagni oddział mojej osobistej gwardii. — Wymienił sześć imion. — I Campbełla.

Tego Szkota? — skrzywił się Nogaret. — Po co?

To były komandor. Może ci się przydać.

Prawie nic o nim nie wiemy.

Jak dotąd wykonał wszystkie moje polecenia.

Sprawdził się jako goniec, nic więcej. Wciąż nie wiemy, czy można mu ufać. Zwłaszcza zważywszy

na jego związki z Templum.

I właśnie dlatego chcę, żebyś go sprawdził. Nie zdradzaj mu prawdziwego celu porwania, podobnie jak gwardzistom. Mają być przygotowani na pojmanie heretyka. Resztą zajmiesz się sam.

To oczywiste, panie.

Kiedy przyjdzie pora na Templum, nie chcę żadnych niespodzianek. Jeśli Campbell jest tym, za kogo się podaje, może nam dostarczyć bezcennych informacji o wewnętrznych sprawach Templum, także

majątkowych.

Nogaret otworzył usta, lecz król uciszył go gestem.

Moja decyzja jest ostateczna.

Będzie wedle twej woli.

A teraz odejdź. Chcę się pomodlić.

Kiedy drzwi się zamknęły, Filip przeszedł przez komnatę. Kończyny mu ciążyły, jakby były z ołowiu.

Odsunął czarną zasłonę haftowaną w lilie i wszedł do alkowy, w której stał niewielki ołtarzyk. Król ukląkł na kamiennej posadzce i złożył wilgotne od potu dłonie.

Panie Boże, bądź łaskaw i odpuść mi ten śmiertelny grzech, który zostanie popełniony na mój rozkaz.

Ale oto na Stolicy Piotrowej zasiada człowiek, który pożąda tylko władzy dla siebie i skalał swój święty urząd prześladowaniami najwierniejszych Twoich dzieci. Dla dobra mych poddanych i zaiste dla

R O

dobra B cYa N

łe gYoO cU N

hrz Geścijaństwa trzeba go powstrzymać. Wiem, że taka jest wola Twoja, bo inaczej

po cóż byś posłał do mnie Nogareta i zezwolił, aby to się wypełniło? — Otworzył oczy i spojrzał na Ukrzyżowanego. — Jeśli błądzę, daj mi znak. Przemów, a ja cię posłyszę. Rozkaż, a ja będę ci

posłuszny. Powstrzymaj moją dłoń, jak ongiś wstrzymałeś Abrahama.

Wstał i oparł dłonie po obu stronach krzyża.

Daj mi, Boże, znak.

Lecz nie ozwał się głos z nieba, nie sfrunął anioł ani po wyrzezanej z drewna twarzy nie spłynęła łza.

Była tylko cisza—zimna, twarda, otchłan- na cisza, zdająca się rozciągać na całą wieczność. Taka sama, jaka odpowiadała mu zawsze.

Ferentino, Włochy Czwarty dzień września roku Pańskiego 1303

Will stal przy oknie i patrzył, jak kolejna grupa ludzi pnie się gęsiego pylnym traktem wiodącym do bramy zamku. Orszaki różnej wielkości przybywały od dwóch dni i dziedziniec zapchany był końmi i ludźmi. Zbrojni wylegiwali się w cieniu, popijali wodę z bukłaków i wymieniali oderwane uwagi, ich panowie zaś przebywali na komnatach. Ze skalistych wzgórz, które ciasnym pierścieniem otaczały miasteczko, dolatywał orzeźwiający zapach drzew oliwnych i dzikich kwiatów, dając wytchnienie od smrodu końskiego nawozu, którym

przesiąknięty byl nagrzany dziedziniec. Uwagę Willa przykuł nagły ruch. Zerknął w dół, to czarna

jaszczurka przemknęła po parapecie. Rumiane słońce zaczynało chylić się za góry, wokół zamku rozległ się chór cykad, a z miasta dobiegł głuchy dźwięk dzwonu.

Spojrzenie Willa przesunęło się na wieżę kościelną, a potem pobiegło wzdłuż rzędu cyprysów rosnących przy podjeździe. Wytężył wzrok, ale mimo chęci nie zobaczył tego, co miał nadzieję ujrzeć. Jego zniecierpliwienie rosło, prędko usuwając w cień wszystkie inne myśli. Minęły cztery dni, a wciąż nie było wieści. Czas uciekał z każdą nową kawalkadą wzmacniającą armię zebraną w Ferentino.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Will odwrócił się i zobaczył Gautiera, jednego z królewskich gwardzistów, których skromny oddziałek towarzyszył im z Paryża.

Pan de Nogaret wzywa nas do wielkiej sali. Przybył Colonna.

Wyszedłszy z komnaty, w której został zakwaterowany wraz z innymi, Will ruszył za Gautierem na dół. Czuł

coraz większe napięcie. Ostatnie elementy planu Nogareta składały się w całość. Już w wąskim korytarzu słychać było gwar wielu głosów dochodzący zza otwartych drzwi wielkiej

sali. Wewnątrz około sześćdziesięciu mężczyzn stało w grupkach, rozmawiając z ożywieniem. Ukośne promienie zachodzącego słońca wpadały przez łukowate okna, barwiąc ściany na czerwonawy odcień. Słudzy zapalali pochodnie. Will dostrzegł z daleka biały jedwabny czepek i czarną szatę Nogareta i podszedł do niego.

Wyjechali z Paryża w lipcu i w miarę jak posuwali się na południe, twarz ministra nabierała koloru, a wraz z opalenizną powracał zapomniany już ślad dawnego akcentu, łagodząc szorstką mowę Północy. Nogaret wydawał się młodszy, zdrowszy i swobodniejszy niż kiedykolwiek, odkąd Will go poznał. Zachowywał się tak, jak gdyby zwątpienie nie miało doń przystępu. Gdyby Will nie wiedział o jego nienawiści do Kościoła, pomyślałby, że legista spełnia świętą misję, tyle było w nim podniosłej gorliwości.

Obok Nogareta stało pięciu Francuzów, z którymi podróżował, kasztelan Ferentino, kilku miejscowych rycerzy oraz wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w szacie barwy czerwonego wina, którego twarz była Willowi nieznana, ale który ściągał powszechną uwagę — musiał to więc być ów Sciarra Colonna, na którego wszyscy czekali. Miał surowe, ogorzałe oblicze i czarne jak węgle oczy, którymi przenikliwie lustrował

zgromadzonych. W kąciku ust czaił się lekki uśmiech. Wyglądał jak człowiek, który idzie do bitwy i wie, że już ją wygrał.

Jeszcze kilka pocztów ma przybyć — mówił Rainald, kasztelan.

Ale jutro, najpóźniej pojutrze będziemy gotowi do wymarszu.

Cieszę się, że jesteś z nami, Sciarra. — Nogaret obejrzał się przez ramię, kiedy podeszli do nich Will i Gautier.

— Jego wysokość król Filip prosił, abym ci przekazał wyrazy wdzięczności za udział w tej delikatnej sprawie.

Król jest świadom, ile ryzykujesz, powracając tutaj. Wiedziałem oczywiście, że twoja pomoc będzie nieoceniona... — Nogaret z uśmiechem zadowolenia powiódł wzrokiem po ludnej sali — ale muszę przyznać: nie oczekiwałem, iż nawet ty zmobilizujesz tak wielką siłę w tak krótkim czasie.

Od dawna czekałem na tę chwilę. — Głos Sciarry był niski i matowy, w jego francuszczyźnie wyraźnie było słychać italski akcent. — Czyniłem plany. Gdybyś się ze mną nie porozumiał, sam podjąłbym ten krok. Mój ród ma więcej powodów niż inne, żeby zrzucić z tronu naszego prześladowcę.

Wszyscyśmy tu obecni jednako ucierpieli pod rządami Bonifacego

zauważył Rainald.

W istocie — przyświadczył stojący obok niego tęgi szlachcic.

Jednako? — Bystre spojrzenie Sciarry spoczęło na nich kolejno.

Jego krewniak rozwiódł się z twoją siostrą, Rainaldzie. Ty, Niccolo, straciłeś miasto. Macie uzasadnione prawo mówić o swoich krzywdach. Ale są one niczym w porównaniu z tymi, które dotknęły Colonnów. —

Nienawiść zmieniła twarz Sciarry, zniżyła jego glos do syku. — Mój stryj Giacomo i mój brat Piętro liczyli się w kolegium kardynalskim. Papież Celestyn wielkimi łaskami nagradzał ich oddanie Stolicy Piotrowej. Kiedy zaczął się wa R

haćO, B

c Y

z N

y Y O U

podoł N

a G

wymaganiom urzędu, na który go obrano, mój ród wspierał go i krzepił. To

Bonifacy sączył Celestynowi jad do ucha i w końcu skłonił go do abdykacji, a następnie pod tym właśnie zarzutem uwięził i kazał go zamordować w lochu.

W miarę jakSciarra podnosił głos, w sali cichło. Coraz więcej mężczyzn patrzyło na niego w

milczeniu.

Mój ród zaprotestował przeciwko zbrodni. Ale zagarnąwszy tron papieski dla siebie, Bonifacy zdjął z urzędu mego stryja i brata, odarł ich z godności kapłańskiej i nakazał konfiskatę majątku Colonnów, nas samych zaś obłożył klątwą. Utraciliśmy całe dobro gromadzone od pokoleń. Ale nie dość na tym! Bonifacy poszczuł na nas rzesze, obiecując każdemu, kto podniesie na nas rękę, taki sam odpust jak krzyżowcom walczącym z poganami. Pięć lat temu niedobitki Colonnów zdołały zbiec do Francji, a wojska papieskie obiegły Palestrinę, naszą ostatnią twierdzę.

Sciarra zwrócił się do Nogareta. — Wznosiła się niecałe trzydzieści mil stąd, w drodze do Anagni sam ją zobaczysz, panie: piękne i dumne miasto obrócone w ruinę. Bonifacy kazał zburzyć każdy dom, ziemię posypano solą, aby nic już na niej nie urosło. Pozostawił tylko jeden jedyny kościół na pamiątkę tego, co nam uczynił. Teraz co rano otwierając okiennice w swym pałacu, Bonifacy może się napawać naszą porażką, ja zaś co dzień przez pięć ubiegłych lat patrzyłem na obcy kraj. Dawno już nastała pora na dzień sądu.

Will rozejrzał się wokół. Wszędzie widział poważne skinienia głów i tę samą nienawiść widniejącą na twarzach. Nogaret przyglądał się sojusznikom ze zmarszczonym czołem i lekką rezerwą, może nawet niepokojem. Will rozumiał, dlaczego: prosił o wojsko, dostał zaś żądny krwi tłum.

Musimy działać szybko. — Nogaret spojrzał z powrotem na Sciarrę.

Tuż po przybyciu dotarła do nas wieść, że papież chce wykląć króla Filipa. Wraz z rycerzami, których ze sobą przywiodłeś, mamy ponad tysiąc ludzi, choć większość z nich to piesi. Czeka nas ciężkie zadanie. W Anagni papież ma nie tylko krewnych, ale i przyjaznych sobie kardynałów; pobudowali tam wszak rezydencje. Jak mi powiedziano, miasto jest obronne, wyniesione na wzgórzu i otoczone mocnymi starożytnymi murami. Wdarcie się do niego bez machin oblężniczych może nam zająć wiele czasu; tym więcej, im sprawniejsza jest tamtejsza załoga.

Will poruszył się niespokojnie i po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy jego nadzieje były płonne. Sciarra jednak wydawał się pewny swego.

Nie musisz się o to martwić, panie. Nie potrzeba nam machin. W Anagni mam człowieka, który otworzy przed nami bramy.

Kto to? — spytał Nogaret. — Czy zdoła to zrobić?

Nazywa się Godfryd Bussa — odparł Sciarra. — Tak, nikt mu nie przeszkodzi. Jest dowódcą gwardii papieskiej.

Will z trudem zapanował nad mimiką. Po obliczu Nogareta przemknęło zaskoczenie, potem uśmiech.

Zatem dzieło może istotnie potrwać krócej, niż się spodziewałem.

W ciągu minionych paru lat Bonifacy i jego ród dorobili się wielu wrogów — wtrącił Rainald. — Okoliczne miasta są gotowe do powstania przeciw Gaetanim. Nawet w Anagni, w najbliższym otoczeniu papieża wielu ludzi ucieszy jego odejście.

Iz wdzięcznością przyjmiemy ich wsparcie — dokończył Nogaret.

Trzeba jednak zadbać, by sam papież nie doznał szwanku. Musi stać się jasne dla wszystkich, że przybyliśmy w imieniu Francji, by go uwięzić za herezję.

Sciarra skłonił głowę, ale nic nie odrzekł. Jego powściągliwość zaniepokoiła Willa. Na twarzach stojących za Colonną ludzi nie widział pragnienia sprawiedliwości, lecz żądzę zemsty. Znał to uczucie, sam ulegał mu dostatecznie często, by rozpoznać je u innych.

Zebrani pozostali w sali, omawiając szczegóły planowanego szturmu na Anagni. Will stał w milczeniu u boku Nogareta, pełen złych przeczuć, aż narada dobiegła końca. Kiedy wezwano sługi, by naszykowali stoły do wieczornej uczty, mógł dyskretnie się oddalić.

Wspinał się po schodach do komnaty sypialnej tak pogrążony w myślach, że byłby ją minął. Przechodząc obok jednego ze sklepionych okien, które wychodziły na oświetlony pochodniami krąg zabudowań w pierścieniu murów, odruchowo zerknął w stronę cyprysów rosnących za bramą. Umysł z opóźnieniem zarejestrował plamę czerwonej barwy; musiał zejść trzy stopnie w dół, żeby sprawdzić, czy nie uległ złudzeniu. Nie: światło pochodni zatkniętych na murach wyłuskało z ciemności czerwony gałgan przywiązany do dolnej gałęzi drzewa.

Zawrócił, szybko zbiegł z powrotem i wyszedł na dziedziniec. Noc była duszna i gwarna od ludzkich głosów.

Przecisnął się przez ciżbę i niskim przejściem dotarł do międzymurza, gdzie stały straże przy otwartej jeszcze furcie. Jakiś ciemny kształt śmignął mu tuż nad głową, muskając włosy. Nietoperz. Wokół pochodni, malujących bursztynowym światłem spłowiały na słońcu piaskowiec, krążyły ćmy. Ilekroć któraś podleciała zbyt blisko, widać było rozbłysk płonących skrzydełek.

Campbell?

Odwrócił się, słysząc za sobą ostry głos Nogareta. W półowalu bramy zamajaczyła ciemna postać legisty.

Dokąd idziesz?

Ulżyć sobie

R O

— uś B

mYi N

ec Y O

hnąłU N

si G

ę swobodnie Will. — Latryny są już pełne.

Nie odchodź daleko. Chcę, żebyś wraz z innymi towarzyszył mi dziś przy wieczerzy.—Nogaret obejrzał się nieznacznie i zniżył głos: — Musimy mieć pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z naszym planem.

Zaraz wracam.

Will odczekał, aż minister się oddali, potem wyszedł przez furtę.

Wciąż nie miał pojęcia, dlaczego król wysłał go wraz z Nogaretem na tę „nadzwyczaj ważną misję", jak ją określił. Było to na początku lipca, wkrótce po drugim zgromadzeniu stanów, które poparły decyzję Filipa, żeby oskarżyć papieża o herezję. Will dowiedział się o tym parę dni po zgromadzeniu, ale nie kojarzył tej informacji z kłopotliwym zleceniem, dopóki nie wyjechali z Paryża, kierując się na południe. Już poza miastem, nie obawiając się, że ktoś ich podsłucha, Nogaret objaśnił Willowi i gwardzistom, dokąd jadą i po co.

Z zachowania legisty wynikało jasno, że nie on wpadł na pomysł włączenia Willa do grupy. Ale motywy tej decyzji zeszły na plan dalszy w obliczu groźby, że pojmanie papieża może być pierwszym krokiem do zniszczenia Templum. Być może Filip chciał go zmusić do współdziałania, a ceną za uwolnienie miało być potępienie zakonu. Jakikolwiek był powód, Will wiedział, że musi zrobić wszystko co w jego mocy, aby uchronić Bonifacego przed wywiezieniem do Paryża. Dlatego gdy tylko przybyli do Ferentino, pod pretekstem zwiadu udał się po pomoc do najbliższego kościoła.

Kiwnąwszy głową strażnikowi, wydostał się za mury i zszedł kawałek piaszczystą drogą do miejsca, gdzie cyprysy odgradzały ją od stromego zbocza porośniętego u podnóża krzewami, wibrującymi od śpiewu cykad.

Rzuciwszy okiem za siebie, w stronę zamku, minął drzewa i zniknął w zaroślach, wytężając oczy w gęstniejącym zmroku. Ciernie szarpały mu ciało i odzienie. Po kilku chwilach zwątpił, że ktokolwiek tu jest, gdy nagle z lewej strony dobiegł go szept i w ciemności zamajaczyła wystraszona twarz młodego mężczyzny.

Długo kazałeś na siebie czekać — mruknął Will.

Wybacz — odparł młodzieniec po łacinie, wyplątawszy się z krzaków. — Przez kilka dni nie mogłem opuścić klasztoru.

Przesiałeś wiadomość?

Nowicjusz nerwowo pokiwał głową.

Mój brat zawiózł ją do Rzymu.

Kiedy?

Tego dnia, kiedy do nas przyszedłeś.

Will zastanowił się przez chwilę. Od Rzymu dzieliły ich dwa dni drogi. Czasu było na styk. Nawet jeśli odsiecz zdąży przybyć do Anagni przed wojskami Sciarry, może nie zapobiec nieszczęściu, skoro spiskowcy liczą na pomoc z wewnątrz. Najlepiej byłoby przewieźć papieża do Rzymu, nim nastąpi atak.

Dzięki! — rzekł ciepło. — Będzie ci to policzone w niebie.

Zdążą? — szepnął z niepokojem nowicjusz. — Czy templariuszom uda się ocalić Ojca Świętego?

Will obejrzał się, odchodząc.

Mam nadzieję — rzekł. — Także dla ich własnego dobra.

Templum w Paryżu Czwarty dzień września

Esquin de Floyran śpieszył krużgankiem do palatium, odpowiadając z roztargnieniem na pozdrowienia, lecz nie zatrzymując się na pogawędki. Paryskie preceptorium zapchane było setkami rycerzy z całego królestwa, którzy zjechali na coroczne zebranie kapituły generalnej. Obradowali od prymy z przerwą na Ojcze nasz w porze tercji i seksty, a teraz już było po nonie.

W krótkiej przerwie bracia wyszli na słońce, dyskutując o różnych sprawach, które podniesiono w sali.

Strzępki rozmów, jakie dolatywały do Esquina, dotyczyły w większości niepowodzenia wyprawy wielkiego mistrza do Ziemi Świętej. Dostojnicy zakonu szczerze się tym martwili, ale w sytuacji gdy Jakub de Molay obozował na Cyprze, a kampania ugrzęzła w miejscu, niewiele mogli zrobić. Pozostawało im się skupić na sprawach krajowych — naruszeniach dyscypliny przez braci rycerzy, prośbach o donacje na odnowienie poszczególnych preceptoriów, sporach

o

ziemie. W miarę przedłużania się debaty mężczyźni tłumili ziewnięcia i zgadywali, jakie smakołyki zostaną podane na wieczornej uczcie. Jeden ze starszych wiekiem mistrzów z rozrzewnieniem wspominał

siedem łabędzi przysłanych ongiś kapitule przez króla Ludwika.

Esquin przyśpieszył jeszcze kroku, wszedł do kancelarii i bez tchu wspiął się na schody. Krótkie nogi bolały go z wysiłku, rąbkiem tuniki omiatał stopnie.

Zapukał do dużych drzwi na końcu korytarza i usłyszał gniewny głos:

Wejść.

Dodając sobie odwagi, pchnął drzwi.

Hugo z Pairaud stał przy biurku między dwoma klerkami, którzy sortowali pliki pergaminów. Podniósł wzrok, marszcząc brwi ze zniecierpliwieniem. Widok Esquina go nie rozchmurzył.

Słucham cię, bracie.

Czcigodny wizytatorze — zaczął szybko Esquin — zdaję sobie sprawę, iż nie jest to najlepsza chwila, by prosić cię o posłuchanie, ale że jutro wracam do Montfaucon, wynikła tam bowiem pewna pilna sprawa, którą muszę się zają R

ć, O

j B

e Y

st N

t Y O

o wi U

ęc N

z G

apewne jedyna okazja, abym mógł z tobą mówić...

Wizytator przerwał mu ruchem głowy.

A jesteś...

Esquin de Floyran, przeor z Montfaucon — z pewnym zdziwieniem odparł Esquin.

No tak — rzekł z roztargnieniem Hugo, biorąc od kancelisty kolejny pergamin.

Esquin postanowił brnąć dalej, choć wizytator zdawał się całkowicie zaprzątnięty treścią wręczonego mu dokumentu.

Chcę cię prosić o pomoc w sprawie będącej właściwie rodzinną. Mój bratanek w zeszłym roku złożył śluby rycerskie tu, w Paryżu. Wedle wiedzy mojej i jego ojca, miał zostać przeniesiony do Montfaucon, żeby służyć pod moją komendą, ale oznajmiono mu, że pozostanie w Paryżu. Jestem oczywiście dumny, że służy w najważniejszej placówce naszego zakonu, ale w ciągu minionych lat liczba młodych ludzi rycerskiego stanu pragnących wstąpić w nasze szeregi znacznie spadła, skutkiem czego w Montfaucon mam bardzo niewielu ludzi, głównie świeckich. Czy mógłbym go zabrać? Martin też prosił mnie wstawiennictwo. — Esquin pokręcił głową zatroskany. — Coś go dręczy, ale nie chce o tym mówić.

Hugo podniósł wzrok znad pergaminu.

Martin?

Martin de Floyran. Jak już mówiłem, jest moim bratankiem i...

Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić. Brat Martin jest cennym nabytkiem dla naszego preceptorium. Jako rycerz zakonu będzie służył tam, gdzie mu rozkażą, o czym dobrze wiedział przed złożeniem ślubów.

Po twarzy Hugona przemknął wyraz pogardy. — Niezależnie od tego, jak bardzo mu doskwiera tęsknota za domem. — Wziął od klerka kolejny dokument i skierował się do drzwi.

Ależ... — Esquin ruszył za nim —ja po prostu mam za mało rycerzy, żeby w razie czego bronić Montfaucon.

Mój bratanek służyłby zakonowi równie godnie...

Hugo odwrócił się gwałtownie.

Bez dyskusji — oznajmił. — Moja decyzja jest ostateczna. Martin zostaje.

Wyszedł wraz z kancelistami. Esquin odprowadził go wzrokiem. Na zewnątrz zaczął bić dzwon, wzywając braci z powrotem na obrady. Marszcząc brwi w zadumie, przeor zszedł z powrotem na dziedziniec. Dygnitarze zdążali już do sali kapitulnej, ale że był ich tłum, musiało minąć trochę czasu, nim się rozsiądą. Esquin obrócił

się na pięcie i pobiegł w stronę kwater rycerskich.

Zanim tam dotarł, był już rzęsiście spocony pod habitem. Martin stał przy oknie pustego dormitorium. Kiedy skrzypnęły drzwi, obejrzał się nerwowo. W oczach miał tyle żarliwej nadziei, że stryjowi ścisnęło się serce.

Młodzieniec przyglądał mu się przez chwilę, po czym odwrócił się znów do okna,

Odmówił? — spytał głucho.

Esquin podszedł do niego.

No cóż, wizytator najwyraźniej potrzebuje cię tutaj. Powinieneś być dumny. To zaszczyt mu służyć. — Kiedy Martin nie odpowiedział, przeor sapnął i podjął: — Wiem, że jest ci ciężko z dala od domu, rodziny, ale z czasem...

Błagam cię, stryju, weź mnie jutro ze sobą. Nie mogę tu zostać.

Esquin patrzył bezradnie, jak młody człowiek kryje twarz w dłoniach.

Od decyzji wizytatora mogę się odwołać tylko do wielkiego mistrza.

Złapał bratanka za ramię. — Zasypywałeś mnie listami, ale wciąż nie wiem, co się właściwie stało. Gdybyś mi wyjaśnił, może...

Nie — uciął Martin odsuwając się od niego. — Nie mogę.

Rozejrzał się dokoła, jakby się bał, że ktoś może ich podsłuchać. — Nie tutaj.

Dzwon przestał dzwonić i Esquin cmoknął z irytacją.

Teraz muszę wracać na zebranie kapituły, a potem mam jeszcze parę spraw. — Zawahał się, po czym stanowczo kiwnął głową. — Wrócę tu przed wyjazdem i wtedy się rozmówimy. Dobrze, Martinie? Dobrze?

powtórzył, kiedy młodzieniec nie odpowiedział.

Po długiej chwili Martin skinął głową.

Esquin uśmiechnął się pokrzepiająco i poklepał bratanka po ramieniu.

Wtedy się zastanowimy, co z tym wszystkim zrobić.

Anagni, Włochy Siódmy dzień września

Niebo było czarne jak aksamit. Żołnierze z bronią w ręku przekradli się cicho po kamieniach zaścielających pobocze traktu. Nie było księżyca, trochę światła dawały jedynie gwiazdy. Kopyta trzystu koni owinięto szma-tami, ale poszczękiwanie uprzęży i zbroi niosło się w ciszy, toteż dowódcy oddziałów spodziewali się w każdej chwili alarmu, który targnie przycupniętym na wzgórzu śpiącym miastem. Niepotrzebnie się obawiali.

Wysokie rzymskie mury Anagni chroniły jego mieszkańców nawet przed głosami wrogów, napastników zaś

— przed wykryciem. Oddział niepostrzeżenie wspiął się pod bramę Tufoli.

Kiedy kompania zbliżyła się do bramy, jadący na czele Sciarra wysłał naprzód dwóch ludzi. Nogaret wyciągnął szyję, patrząc, jak rycerze podjeżdżają stępa do sklepionego wjazdu. Oświetlały go dwie zatknięte w uchwytach R O

poc B Y N

hodni Y

e, O

r U

z N

uc G

ając długie cienie na ściany. Jeden z rycerzy odwrócił się i dał znak. Uśmiech

przemknął po twarzy Sciarry. Włożył hełm i dźgnął konia ostrogą. Zbrojni rzucali sobie pełne ulgi spojrzenia, widząc, że brama jest nie tylko otwarta, ale i nieobsadzona. Sciarra porwał z uchwytu jedną z pochodni, wyjął

stopę ze strzemienia i kopnął drewniane skrzydło. Brama zadygotała i skrzypiąc, rozwarła się szerzej. Unosząc wysoko pochodnię, Sciarra wjechał do miasta, za nim zaś ruszyła reszta jazdy.

Wewnątrz murów przestali się skradać. Colonna chciał, by wiedziano, kto przybył i dlaczego. Grzechot końskich kopyt na stromych uliczkach zagłuszył jego gromki głos:

Dobrzy ludzie z Anagni, zbudźcie się! Powstańcie! Z rozkazu króla Francji papież Bonifacy zostaje uwięziony jako wszeteczny heretyk i zabrany pod sąd!

Okrzyk odbił się od ścian wspaniałych kardynalskich pałaców wokół bramy. W całym niższym mieście zaczęły się otwierać drzwi i okiennice. Ludzie zrywali się ze snu, naciągali na siebie odzież. Matki porywały na ręce dzieci, gdy za drzwiami z łoskotem przetaczała się ciemna kawalkada. Biegnący za nią piesi żołnierze unosili skwierczące pochodnie, sprowadzając przedwczesny świt na ulice wijące się wzwyż do katedry i pałacu papieskiego. Spłoszone ptaki z trzepotem ulatywały w niebo.

Budźcie się! Budźcie! Przybyliśmy pojmać heretyka!

Lęk na twarzach mieszczan przerodził się w ciekawość, kiedy zyskali pewność, że nie będą ich mordować.

Część co prawda zabarykadowała drzwi i czym prędzej schowała kosztowności, inni za to wylegli na ulice, patrząc ze zdumieniem na rycerski pochód. Miało się wrażenie, że jest dzień świąteczny i zbrojna procesja przeprowadza wokół miasta jakąś świętą relikwię. Wkrótce pociągnął za nią tłum gapiów, często niekomplet-nie odzianych, za to uzbrojonych w to, co chwycili do ręki, słysząc hałasy. Kiedy oddział mijał kościół, Sciarra wydał rozkaz i kilku rycerzy odłączyło się od pochodu. Odepchnąwszy zaskoczonego księdza, zbrojni weszli do środka i po chwili na wieży rozkołysał się dzwon.

Głośny dźwięk zbudził resztę miasta. Zerkając przez ramię, Will stwierdził, że ciągnący za nimi tłum przeobraził się w rzeszę. Na wschodzie, za czarnymi garbami wzgórz, niebo zaczynało jaśnieć. Jadący obok niego Nogaret był spięty, wodził wzrokiem po podnieconych twarzach mieszczan rwących się do bitki.

Rainald miał rację, Bonifacy narobił sobie wielu wrogów. Nawet poddani Gaetanich zwrócili się przeciw niemu, rozpamiętując przeszłe krzywdy — uciążliwą daninę, odmowę jałmużny czy wyniosłą butę synów rodu. Will przysłuchiwał się ich skargom, czując się jak podrygująca na falach

gałąź. Rozkazy, które Nogaret wydał swoim ludziom podczas nocnej jazdy z Ferentino, były zwięzłe: mieli dopilnować, by papież nie został

zabity, i nie dopuścić, żeby wpadł w ręce Sciarry.

Nadzieje Willa, przygasłe na widok otwartej bramy, ożywiły się nieco. Jeśli Bonifacy przeżyje atak, może zdoła mu umożliwić ucieczkę w drodze do Paryża.

Kiedy zbliżyli się do katedry, wytężył wzrok ku odległym murom papieskiego pałacu, modląc się, by zobaczyć wokół armię w bieli. Okna budynku były ciemne, zasłonięte okiennicami. Sciarra skręcił w bok, prowadząc mieszczan na rynek. Wielu już tam czekało. Żaden mieszkaniec Anagni nie chciał pozostać na uboczu, gdy w jego mieście rodziła się historia mająca przetrwać w kronikach.

W samym środku rynku obok studni czekał na nich wysoki, muskularny mężczyzna z brodą spływającą trzema pasmami na pierś, w lśniącej kolczudze okrytej szkarłatnym płaszczem. Za nim stał tuzin mężczyzn podobnie odzianych.

Rainald pierwszy zeskoczył z konia.

Witaj, panie Godfrydzie — rzekł, idąc mu na spotkanie.

Zgadując, że musi to być Bussa, dowódca gwardii papieskiej, Will

także zsiadł. Nogaret już lawirował pomiędzy otaczającymi go rycerzami, starając się dogonić Sciarrę i Rainalda. Will przepchnął się za nim.

Tłum huczał z podniecenia i Sciarra musiał podnieść głos.

Nie widzieliśmy świateł w pałacu. Czy papież wciąż tam jest?

Sądzę, że tak — odparł z powagą Bussa — choć nie mogę mieć całkowitej pewności. Poprzedniego wieczoru, wróciwszy do pałacu, zastaliśmy bramy zamknięte. Wołałem do moich ludzi, którzy pełnili straż wewnątrz, ale nikt nie odpowiadał.

Może nikogo tam nie ma? — wtrącił Rainald.

Bussa potrząsnął głową.

Widzieliśmy ruch przez szpary w okiennicach. W środku na pewno są ludzie. Papież mógł się dowiedzieć o planowanym ataku i zabarykadować w pałacu. Może doniósł któryś z moich podwładnych? Tego nie mogę wykluczyć.

Kto będzie go bronił? — spytał Nogaret, nim Sciarra zdążył się odezwać.

Najpewniej część gwardii pozostanie mu wierna. Ma też osobistą służbę i rzecz jasna rodzinę. Ponadto dwóch związanych z nim blisko kardynałów. Większość Collegium Sacrum jest w Rzymie, a trzech kardynałów, którzy nas popierają, ostrzegliśmy, żeby opuścili miasto przed najazdem.

Sciarra zamilkł, choć otaczający go ludzie nadal wypytywali Bussę. Nagle rozepchnął ich, podszedł do studni i wspiął się na cembrowinę, przytrzymując się słupa.

Ludzie z Anag RniO! B Y N

— w Y

rzOa U N

snąłG i tłum od razu ucichł. — Jam jest Sciarra Colonna, brat Pietra i bratanek

Giacoma, pokrzywdzonego przez uzurpatora, który zwie siebie papieżem Bonifacym. Tenże człek, który żył

między wami, tucząc się waszą szczodrością, jest heretykiem i bluźniercą!

Tłum zaszemrał z przestrachu, lecz zabrzmiały też okrzyki zgody. Dzieci sadzano na barana, żeby mogły lepiej widzieć.

Przybyliśmy tu, by odpowiedział za swoje występki! Ale zamiast stawić nam czoła, otwarcie pokajać się lub zaprzeczyć, samozwańczy papież chowa się w pałacu, dufny, że skryje za murami swoje winy. Dobrzy ludzie, jeśli pomożecie nam uwolnić wasze miasto z rąk odstępcy, rozdzielę między was całe dobro z pałacu. Złoto i klejnoty z papieskiego skarbca! W zamian za pomoc w postawieniu złoczyńcy przed sądem staniecie się bogaci ponad wszelkie wyobrażenie!

Słowa Colonny zawisły w powietrzu i jeszcze chwilę trwała całkowita cisza. Potem zerwał się ryk. Tłum rzucił

się na pałac papieski, gotowy gołymi rękami wyrwać bramę. Sciarra zeskoczył ze studni na siodło, krzycząc do swoich ludzi.

Popołudnie się wlokło, słońce rozpalało do białości ściany budynków. Po drugiej stronie ulicy brama papieskiej rezydencji nadal broniła wejścia. Widniało na niej parę szram i dziur, ale wytrzymała, a nikt nie miał już ochoty ponawiać ataku. Wokół ziemia usłana była ciałami zabitych. Giezło młodej kobiety leżącej pod murem łopotało na wietrze niczym proporzec, splamiony krwią cieknącą z przebitej strzałą piersi.

Po apelu Sciarry zapanował chaos. Tłum runął przez ulice, prąc pieszo i konno na strome wzgórze, wzmocnione dodatkowo wysokim murem broniącym prócz katedry rezydencji papieża i rodu Gaetanich.

Każdy chciał być pierwszym, który wejdzie do środka, okryje się chwałą i zgarnie bogaty łup. Żołnierze Colonny i Bussy zachowywali dyscyplinę, ale krnąbrna masa pchała się naprzód, nie bacząc na wykrzykiwane rozkazy. Konie stawały dęba, ludzie padali na ziemię. Gdy pierwsi atakujący dobiegli do bramy i zaczęli w nią walić pięściami i mieczami, po ciemnym jeszcze niebie śmignęły smukłe kształty. Rozległy się krzyki. Ale trzeba było dłuższej chwili, by ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że giną od strzał łuczników rozstawionych na pałacowych murach.

Tłum zawrócił w rozsypce i zaczął uciekać. Pierwsi z tumultu wydostali się konni, za nimi żołnierze osłaniający się tarczami. Mieszczanie, w większości bezbronni, ponieśli największe straty. Ci, którym udało się ujść, pochowali się w zaułkach łub chyłkiem wrócili do domów. Zachowując posępny spokój, Sciarra zebrał swoich ludzi i przegrupował ich na sąsiedniej ulicy.

Wkrótce potem, gdy niebo przybrało perłowobłękitny odcień, okrzyknięto ich z murów, pytając, co znaczy ta napaść. Sciarra już się szykował, by odpowiedzieć, ale zdesperowany Nogaret go uprzedził, wyskakując bez broni i tarczy na zasłaną trupami ulicę.

Z rozkazu króla Francji Filipa — krzyknął — ten tu Bonifacy ma zostać pojmany jako zatwardziały heretyk!

Niech się podda! Zostanie przewieziony do Paryża, gdzie stanie przed sądem.

Chcemy zawrzeć rozejm — odpowiedział głos z murów.

Macie czas do nony — odparł Sciarra, podjeżdżając konno do Nogareta. — Bonifacy ma spełnić następujące żądania: przywrócić do Collegium Sacrum Giacoma i Pietra Colonnów, potem przekazać papieski skarbiec pozostałym kardynałom i poddać się władzy francuskiej.

Po ogłoszeniu zawieszenia broni rycerze Sciarry rozsiedli się, czekając. Żołnierzy rozesłano na zwiad wokół

murów rezydencji, a Colonna i Bussa planowali w kaplicy ewentualny atak. Mieszczanie rozeszli się zawiedzeni. Stracili w szturmie kilkunastu ludzi, a ci najeźdźcy zlekceważyli ich ofiarę. Gdy nastał dzień, obietnica zawładnięcia skarbcem okazała się próżna, wrócili więc do domów, chociaż krew jeszcze ciągle tętniła im w żyłach. Jednakże duża grupa niepokornych ruszyła w miasto na poszukiwanie innych bogactw.

Przeciągnąwszy z hałasem ulicami Anagni, uderzyli na bogate pałace kardynałów. Niemal do południa było słychać krzyki i widać dym unoszący się nad plądrowanym dolnym miastem.

Po godzinie papież przekazał odpowiedź, że się nie podda. Wściekły, choć w sumie nie zaskoczony Sciarra rozpoczął przygotowania do kolejnego ataku.

Will przyglądał się, jak grupa zbrojnych niesie pień drzewa. Kiedy ruszyli wzdłuż murów, osłaniając się trzymanymi w wolnej ręce tarczami, jeden z Francuzów odezwał się do Nogareta:

Jeśli papież spodziewał się napaści, mógł wcześniej uciec. Skąd możemy mieć pewność, że tam jest, że to nie zmyłka?

Spojrzenie Nogareta odprowadziło żołnierzy z prowizorycznym taranem.

Nie mamy pewności, ale ze słów Bussy wnoszę, że nie zdołałby uciec niepostrzeżenie. Możemy tylko mieć nadzieję, że wciąż tam jest. Cokolwiek się zdarzy, musimy wejść pierwsi.

Gwardzista skłonił się służbiście. Will wrócił do przyglądania się postępom żołnierzy pod bramą. Z

murów znów zaczęły lecieć strzały. Jeden ze zbrojnych krzyknął i opuścił tarczę, kiedy grot przeszył mu stopę. Druga strzała natychmiast wbiła mu się w bark, a wijącego się na ziemi wykończyła trzecia. Kimkolwiek byli, papiescy łucznicy znali swoje rzemiosło. Na rozkaz Sciarry inny żołnierz wybiegł zza prowizorycznej barykady, żeby zająć miejsce zabitego. Pociski szyły nadal, acz niezbyt gęsto i tylko z sześciu albo siedmiu miejsc murów, co dowodziło, że obrońcy, choć sprawni, nie są liczni. Grupa atakujących dotarła do bramy i rozkołysała tar Ra O

n, B Y

waNl ą Y

c O

niU N

m G

w trzeszczące deski.

Panie! — Do Nogareta podbiegł jeden z Francuzów i wysapał:

Byłem w wychodku. Otwiera się na pola, widziałem stamtąd oddział okrążający wzgórze wzdłuż murów.

Mieli na sobie barwy Sciarry.

Ilu?

Mniej więcej czterdziestu.

Nogaret pośpieszył do Sciarry, który stał za barykadą, wykrzykując rozkazy.

Colonna! Wysłałeś oddział pod mury?

Sciarra obejrzał się zakoczony i kiwnął głową.

Tak. Poszukają możliwości wejścia od tamtej strony. Bussa uważa, że brama przy katedrze będzie najmniej strzeżona.

Dlaczego mnie o tym nie powiadomiono?

Sciarra nachmurzył się.

Dopuściłeś mnie do spisku, bo chciałeś, żebym zadbał o sprawy wojskowe. Właśnie to robię. Więc bądź

łaskaw nie przeszkadzać.

Powiedziałem ci, że chcę być w środku pierwszy!

Nie zatrzymuję—warknął zjadliwie Sciarra, zapraszającym gestem wskazując ulicę, na której kolejni dwaj zbrojni padli od strzał obrońców. Reszta zawzięcie waliła taranem w bramę. Pośrodku skrzydła zarysowało się długie pęknięcie.

Nogaret zamaszystym krokiem wrócił do Willa i swoich gwardzistów.

Miejcie konie i broń w pogotowiu — warknął i nienawistnym wzrokiem obrzucił Sciarrę. — Nie on ma wykończyć Bonifacego.

Gwardziści już biegli po konie. Will ruszył za nimi, ale zatrzymały go ostatnie słowa Nogareta.

A ty na co czekasz, Campbell? — warknął legista, nie uświadamiając sobie, że powiedział coś niezwykłego.

W umyśle Willa zaczęły się rodzić ponure podejrzenia, lecz musiał je odsunąć na bok, albowiem z tyłów rezydencji doleciały krzyki. Rycerze Sciarry byli już w środku.

Wszystko zaczęło się dziać równocześnie. W powietrzu krzyżowały się rozkazy, rycerze pośpiesznie dosiadali koni, łapiąc broń i tarcze z rąk giermków, szeregowi żołnierze czekający w cieniu zrywali się do biegu. Taran nadal z łoskotem walił w bramę, która zaczynała kruszeć pod jego wściekłym naporem. Obrońcy przerwali ostrzał, co widząc, część żołnierzy odrzuciła tarcze i ze zdwojonym zapałem ponowiła atak. Will wraz z francuskimi gwardzistami ustawił się konno za barykadą, zostawiając Nogareta z tyłu. Nagle brama rozwarła się z chrzęstem i ukazali się w niej rycerze Colonny. Odrzuciwszy pień, żołnierze wpadli do środka, a tuż za nimi ruszyła z kopyta jazda.

Kilku martwych łuczników leżało na murach; paru, ustrzelonych przez ludzi Colonny, pod murami, niektórzy zaciskali jeszcze łuki w tężejących dłoniach. Na balkonie pałacu dał się dostrzec ruch, obrońcy barykadowali się wewnątrz. Na dziedzińcu przed katedrą trwała walka. Drzwi świątyni były otwarte na oścież, z wnętrza dobiegał szczęk mieczy. Pierwsza fala pieszych ruszyła wprost do pałacu rodziny papieskiej. Topornicy rąbali zamknięte okiennice, inni szybko rozprawili się z drzwiami i po chwili z wewnątrz dały się słyszeć krzyki.

Will wpadł przez bramę wraz z kawaleryjską szarżą, wysforowawszy się przed Nogareta i Francuzów. Widział

tyle co przez wąską wizurę hełmu

plecy jadących przed nim, błyski słońca na głowniach mieczy, unoszone tarcze. Sciarra kierował się w stronę wielkiego budynku po drugiej stronie dziedzińca. Z wprawą panując nad koniem w ścisku, Will pognał za nim.

Colonna zeskoczył z siodła. Will zrobił to samo, klepnął wierzchowca w zad, żeby przegnać go w

bezpieczniejsze miejsce. Drzwi były gęsto okute żelazem. Na rozkaz żołnierze podłożyli pod nie płonące pochodnie. Trwało to dłuższą chwilę, ale w końcu drewno zaczęło czernieć, a potem płonąć.

Znów w ruch poszły topory. Stłoczeni wokół ludzie oddychali ciężko w oczekiwaniu na walkę. Jedno skrzydło drzwi runęło, sypiąc popiołem. Will przepchnął się do przodu i wpadł wraz z oddziałem na szeroki korytarz, krztusząc się odorem spalenizny. Ludzie rozbiegli się w różnych kierunkach. Nie wiadomo, gdzie był papież... i jego skarbiec.

Sciarra jednak zachowywał się tak, jakby wiedział, gdzie iść. Pobiegł do schodów na końcu korytarza.

Odpychając łokciami blokujących mu drogę rycerzy, Will ruszył za nim, mając w duchu nadzieję, że żaden z ludzi Sciarry nie zrobi niczego bez rozkazu.

Colonna, znacznie od niego młodszy, zniknął już na górze. Klatka schodowa wypełniła się szczękiem zbroi i broni. Will biegł po spiralnych schodach, od czasu do czasu drapiąc mieczem o ścianę, dobywał ostatków tchu, a uda dygotały mu z wysiłku. Kiedy już zaczął zwalniać, wypadł wreszcie na piętro. Zbierając resztki sił, pognał marmurowym korytarzem. Sciarra był teraz daleko w przedzie, otoczony przez rycerzy. Jego miecz wskazywał kolejne podwójne drzwi.

Chryste, pomóż mi — wydyszał Will, usiłując przyśpieszyć.

R O B Y N Y O U N G

Drzwi otwarły się na oścież i oddział wpadł do znajdującej się za nimi komnaty.

I stanął.

Na tronie, odziany w wysadzaną drogimi kamieniami tiarę i haftowane złotem pontyfikalne szaty, siedział

papież Bonifacy. W jednej ręce trzymał masywny złoty krzyż, w drugiej miecz z głowicą ozdobioną olbrzymim kryształem. Jego szeroka, pobrużdżona twarz była szara ze zmęczenia i lęku, ale wzrok miał

twardy — i nie bez powodu, albowiem nie był sam. Przed nim stało rzędem dwudziestu siedmiu templariuszy z dobytymi mieczami.

Anagni, Włoch R O

y Si B Y N

ódm Y

y dO

ziUe N G

ń września roku Pańskiego 1303

Will poczuł gwałtowną, obezwładniającą radość.

Zdążyli.

Przez moment walczył z pragnieniem, by stanąć u ich boku, razem z nimi uderzyć na Sciarrę i jego ludzi. Ale zdusił tę chęć i jak inni zatrzymał się naprzeciw, kierując ostrze przeciw ludziom, których najchętniej by uścisnął. Przez okna dobiegły odgłosy starcia, szczęk broni, krzyki, trzask pękającego drewna i tłuczonego szkła.

Sciarra zerwał hełm i rzucił go na ziemię, jakby chciał, żeby papież zobaczył twarz swojego wroga.

Bonifacy wstał.

Na co czekasz, Colonna? Masz tu moją szyję wraz z głową!

Podjudzony Sciarra zrobił krok do przodu, zaciskając miecz w dłoni.

Ale jeden rzut oka upewnił go, że rycerze Templum są gotowi do ataku i skupieni przede wszystkim na nim.

Co tu się dzieje? Gdzie jest papież? — Zadyszany Nogaret usiłował się przedrzeć przez ciżbę blokującą drzwi.

— Przepuśćcie mnie!

Zbrojni rozstąpili się niechętnie. Nogaret wszedł do komnaty. On także zdjął hełm, żeby lepiej widzieć. Kiedy ujrzał otaczających papieża templariuszy, na jego twarzy odmalował się szok, a następnie furia.

Co to ma znaczyć?

Odstąp, Nogaret — warknął Sciarra. — To już nie twoja sprawa.

Krzyki na zewnątrz przybierały na sile. W powietrzu czuć było dym.

Wilhelm de Nogaret! — Głos papieża był lodowaty. — A więc to ty jesteś tym wężem, który sączy jad w ucho króla Francji, a teraz chciałby zatruć cały Kościół. Powinieneś był spłonąć wraz z matką i ojcem, bluź- nierco!

Nogaret szarpnął się do przodu, twarz skurczyła mu się z nienawiści. Dwóch ludzi Sciarry, spiętych do ataku, kątem oka zarejestrowało jego ruch i myśląc, że padł rozkaz, instynktownie skoczyło na templariuszy. Sciarra krzyknął, ale było już za późno. Dwaj rycerze zakonni postąpili do przodu. Jeden unikiem zszedł z linii ciosu i zatopił miecz w boku napastnika. Drugi zbił cios i pchnął. Pozostawiwszy krwawiące zwłoki na marmurowej posadzce, rycerze cofnęli się z powrotem do szeregu. Bonifacy ciężko usiadł na tronie. Był wstrząśnięty. Jego oszołomienie przybrało na sile, kiedy do komnaty wpadł chwiejnym krokiem Bussa. Twarz miał białą jak ściana, lewą dłonią ściskał mocno krwawiące ramię. Podszedł prosto do Sciarry.

Mieszczanie chwycili za broń — rzekł przez zaciśnięte zęby.

Wdarli się za nami do pałacu. Z miasta ciągną dalsi. Opanowali rezydencję.

Godfryd?—szepnął z niedowierzaniem papież. Wstał, niewprawną ręką trzymając miecz. — Templariusze mówili, że mam tu zdrajcę, ale nie przypuszczałem, że to ty. — Twarz mu stwardniała. — I pomyśleć, że martwiłem się o ciebie, kiedy kazali mi zabarykadować bramę i nie wpuszczać nikogo. Ilu jeszcze jest przeciwko mnie? — krzyknął, unosząc dumnie głowę.

Z korytarza dobiegły wrzaski i tupot licznych stóp. Żołnierze w drzwiach odwrócili się, wzmagając harmider.

Szła na nich niepowstrzymana fala ludzi. Mieszkańcy Anagni upomnieli się o swoją nagrodę.

Rozochoceni rajdem przez pałace kardynałów, pijani skradzionym winem i nadzieją na jeszcze większe łupy, gnali na oślep do sali tronowej. Niektórzy nieśli miecze zabrane pokonanym na dziedzińcu, inni noże i pałki.

Ludzie Sciarry nastawili broń, ale rzeka ludzi miała już za duży pęd, by się zatrzymać, i pierwsi zostali dosłownie wepchnięci na najeżony żelazem szereg przez tych, którzy napierali z tyłu. Ludzie kopali i dźgali, wymierzali ciosy pięściami i łokciami. Metaliczny szczęk broni wkrótce ucichł, zastąpiony przez głośne postękiwania i charkoty dobywające się ze zbitego tłumu.

Wykrzykujący rozkazy Sciarra zawył z wściekłości, widząc, że templariusze wyprowadzają Bonifacego mniejszymi drzwiami w tylnej ścianie komnaty. Rzucił się w pogoń, Nogaret popędził za nim. Grupka templariuszy oderwała się od oddziału i zastąpiła im drogę. Will chciał ruszyć za legistą, który wdał się w wymianę ciosów z jednym z rycerzy, ale plebs zepchnął zbrojnych i runął do sali tronowej. Przez wysokie okna wpadały smużki dymu, kalając powietrze. Stojący naprzeciw budynek płonął. Will dojrzał jakąś twarz otoczoną czarnymi kłębami, a zaraz potem człowieka, który biegł na niego z pałką.

Papież i jego eskorta zniknęli. Sciarra zabił jednego templariusza i walczył z następnym. Twarz miał purpurową z furii. Nogaret jęknął głośno; rycerz, z którym walczył, ominął zastawę i zranił go w bark. Potem oburącz wyprowadził potężny zamach, który zdmuchnąłby głowę ministra z ramion, gdyby właśnie w tej chwili nie wpadli nań dwaj mieszczanie, zbijając go z nóg. Rycerz warknął ze złości, widząc, że oddziela go od ofiary wlewający się do sali żądny łupów tłum.

Will uniknął zadanego niezdarnie ciosu i łatwo opędził się przed kolejnym napastnikiem, ale ludzi przybywało.

Wszyscy pchali się do tronu, gdzie leżał porzucony miecz z kryształem górskim oraz ciężki złoty krucyfiks.

Odwrót! — ktoś wrzeszczał — Wycofujemy się!

Rycerze Sciarry, ustępujący liczbą plebejuszom, zaczęli się przebijać w stronę przeciwną niż templariusze, którzy cięli napierających bez różnicy. Ktoś ciągnął Sciarrę do wyjścia. Ranny Nogaret

też przedzierał się na oślep do drzwi, byle dalej od templariusza, który chciał go dobić. Will wydostał się ze ścisku, pomagając sobie pięścią i głowicą miecza.

Nawoływania do odwrotu dobiegały zewsząd. W pałacu była już chyba cała okoliczna ludność. Templariusze, nie będąc w sta R

niO

e B Y

be N

z

piYe O

czU N

nie G wyprowadzić papieża z tumultu, zabarykadowali się wraz z nim w wieży.

Wojska Sciarry uciekły. O zmierzchu na placu został lud Anagni, bogatszy

o

strzępy drogocennych tkanin, srebrne misy, relikwie wywleczone ze skarbca i beczki z winem, które lało się przez całą noc.

Pałestńna Ósmy dzień września

Wyczerpani żołnierze rzucali się na ziemię, dysząc ciężko. W porannym słońcu twarze lśniły od potu, jaskrawiły się czerwone plamy krwi na sporządzonych naprędce opatrunkach. Ludzie pili łapczywie wodę z bukłaków, potem polewali nią głowy, przymykając oczy, gdy ściekała po twarzach. Spienione konie nerwowo gryzły wędzidła. Kilka wierzchowców, rannych lub okulawionych, trzeba było dobić; słychać było ich rozpaczliwe rżenie. Will oparł się o zwalony mur i patrzył, jak stromym zarośniętym traktem z wysiłkiem doganiają ich piesi. Wciąż czuł się wyczerpany, choć miał czas odpocząć. Dotarł konno do Palestriny parę godzin wcześniej wraz z częścią oddziału, której udało się wydostać z papieskiego pałacu. Nadal brakowało ponad połowy stanu. Nieznany był los Rainalda i rycerzy z Ferentino. Nikt ich nie widział od czasu, gdy wkroczyli do pałacu w pierwszym szeregu atakujących. Poległo dwóch gwardzistów Filipa. Sciarra, Bussa i Nogaret unieśli głowy. Bussa leżał w cieniu z twarzą szarą z upływu krwi.

Rozległ się przenikliwy skwir i nad ich głowami zatoczył krąg orzeł. Skrzydła ptaka połyskiwały złoto w słońcu. Kilka innych czujnie krążyło wyżej, niechętnym wzrokiem obserwując intruzów. Odkąd Bonifacy kazał

zrównać z ziemią siedzibę Colonnów, nikt jej nie odwiedzał i przyroda z łatwością zajęła miejsce ludzi. Z

trudem można było poznać, gdzie kiedyś wznosiły się budynki; resztki drewna i kamienia nie rozgrabione przez okolicznych chłopów porosło zielsko, pnącza i trawy. Ledwie tu i ówdzie z zieleni wyzierał zarys fundamentu albo kikut komina. Stała tylko kaplica, ponury świadek zniszczenia. Korzenie drzew już rozsadzały ściany, na posadzce chrzęściły odchody nietoperzy, a usiane kadłubami much pajęczyny odgradzały chór niczym półprzejrzysta zasłona.

Willa dziwiło, że Sciarra przyprowadził ich tutaj, na miejsce ostatecznej porażki swego rodu z rąk papieża. Ale jeśli chciał się przegrupować, nie będąc śledzonym przez papieskich sojuszników, tu zapewne było najbez-pieczniej. Może wrócił instynktownie jak zwierzę, żeby we własnej gawrze lizać rany. Tak czy owak, jego walka nie dobiegła jeszcze końca, to było jasne.

Padł na niego czyjś cień. Osłonił oczy ręką i podniósł głowę. Zobaczył Nogareta. Szata legisty była sztywna od krwi z prowizorycznie opatrzonej rany na ramieniu.

Nie zostałeś ranny — stwierdził.

To nie było pytanie, lecz Will uznał, że nie powinien go zostawiać bez komentarza.

Tylko drobne otarcia — rzekł, podnosząc sine pokaleczone ręce, którymi przedzierał się przez tłum.

Co za klęska.

Will wstał, krzywiąc się boleśnie. Był o głowę wyższy od Nogareta, lecz mimo to królewski doradca umiał

patrzeć na niego z góry.

Nie trzeba było wciągać w to miejskiego plebsu — rzekł, zerkając na Sciarrę skulonego w cieniu pod murem kaplicy. — Widziałem już, do czego zdolny jest tłum. Niewiele trzeba, by zmienił się w bezrozumny żywioł, zdolny tylko do rabunku i mordu. To niebezpieczne narzędzie. Nieprzewidywalne.

Powiem ci, kto jest równie nieprzewidywalny. — W głosie Nogareta zasyczal gniew. — Papiescy obrońcy w białych płaszczach. Cały czas zadaję sobie pytanie, skąd Bonifacy wiedział o planowanej napaści. Bo przecież nie od kogoś z gwardii, skoro doznał wstrząsu na wieść o odstępstwie Bussy. Sam zresztą powiedział, że to templariusze go ostrzegli, iż ma u siebie zdrajcę. A zatem drugie pytanie brzmi: skąd się tam wzięli templariusze?

Pewnie wezwał ich papież, prosząc o ochronę. Bussa podejrzewa jednak gwardzistów — odparł Will spokojnie, choć ciemne oczy Nogareta przewiercały go na wylot, płonąc chęcią znalezienia winnego.

To nie ma sensu. Jeśli spodziewał się ataku, dlaczego siedział w Anagni?

Może nie brał ostrzeżeń zbyt poważnie albo bał się zasadzki w drodze. — Will wzruszył ramionami. —

Możliwe nawet, że to Templum odkryło plan i rycerze pojawili się tu niewzywani.

Możliwe — mruknął Nogaret. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tejże chwili między ruiny wjechała grupa zbrojnych. Był to Rainald i ludzie z Ferentino. Sciarra wstał, żeby ich powitać.

Bałem się, że nie zdołaliście się wydostać — rzekł, ściskając dłoń kasztelana.

Musieliśmy się rozdzielić. Pędziliśmy co koń wyskoczy.

Sciarra pokiwał głową.

A Bonifacy? Wiecie, co z nim? Żaden z moich zwiadowców nie powrócił.

Jeden przekazał mi wiadomość dla ciebie. Dowiedział się, że templariusze mają eskortować papieża do Rzymu.

Zamierzali wyruszyć

o

świcie. — Rainald spojrzał na słońce. — To znaczy, że już są w drodze.

Taką miałem nadzieję. — Na twarzy Colonny rozlał się leniwy uśmiech.

Will nagle zrozumiał, dlaczego Włoch się zatrzymał w opustoszałym mieście. Palestrina leżała przy drodze do Rzymu. Była zresztą pewna drapieżna ironia w tym, że zjedzie z ruin swego domu, by dokonać zemsty na człowieku, któr Ry O

g B

o Y

z N

ni Y

sz O

c U

zy N

ł. G

Rainald wziął bukłak z wodą, który ktoś mu podał, kiwnął głową z wdzięcznością i napił się łapczywie.

Nogaret złapał Sciarrę za ramię.

Mam z tobą do pomówienia.

Sciarra ostrym ruchem uwolnił rękę, ale chyba dojrzał w oczach legisty groźbę, bo skinął Rainaldowi i udał się z Nogaretem do pustej kaplicy. Paru ludzi obejrzało się za nimi, lecz ogólną uwagę ściągnęli nowo przybyli.

Odprowadzono konie na porośnięty trawą placyk, wydobyto z sakiew resztki jedzenia, słuchano opowiadań o ucieczce.

Will się wahał. Dręczyła go niepewność. Słowa Nogareta, zapomniane w tumulcie, wróciły na pamięć, rodząc złe przeczucia. „Nie on ma wykończyć Bonifacego". Dotąd skupiał się na tym, by ochronić papieża przed Sciarrą. Ale jeśli Colonna nie był głównym zagrożeniem? Will podniósł pusty bukłak.

Idę po wodę — rzucił w stronę francuskiego gwardzisty, który obojętnie przytaknął.

Upewniwszy się, że nie jest obserwowany, zawrócił w stronę kaplicy. W ścianach było wiele pęknięć, ale z reguły zatkanych ziemią, z której wyrastało zielsko. W końcu znalazł szczelinę w kamiennym murze, zygzakowatą jak błyskawica, przez którą mógł zajrzeć do środka.

Nogaret czujnym krokiem ruszył w stronę chóru, rozrywając po drodze pajęczyny.

Czego chcesz? — spytał zniecierpliwionym głosem idący za nim Sciarra.

Nogaret odwrócił się gwałtownie i uderzył go w twarz.

Ty głupcze!

Sciarra się zatoczył, jego dłoń powędrowała do policzka, ale w pół drogi opadła i chwyciła miecz.

Nogaret nawet nie mrugnął, kiedy sztych zatrzymał się o cal od jego gardła.

Sądzisz, że twój ród mocno ucierpiał z rąk Bonifacego? To nic w porównaniu z tym, co wam zrobi król Filip.

Francja jest teraz waszym domem, tak? Bezpieczną przystanią. Oby się nie stała waszym grobem!

Czubek miecza zakołysał się, ale nie opadł. Na policzku Ściany wykwi- tła szkarłatna plama.

Nie przerazisz mnie pogróżkami.

To nie jest czcza pogróżka.

Sciarra zawahał się. Powoli opuścił miecz.

Posłałeś w diabły całe przedsięwzięcie! — Nogaret zrobił parę kroków i z wściekłością strząsnął z siebie pajęczynę. — Bonifacy miał być teraz w drodze do Paryża, w łańcuchach, upokorzony i

pokonany przez potęgę Francji, oczekując sądu!

Nie mogłem mu pozwolić ujść z życiem — odparł cicho Sciarra, patrząc Nogaretowi w oczy. — Nie masz pojęcia, ile krzywd nam wyrządził.

Obyś nigdy nie zaznał takiej nienawiści, jaką ja noszę w sercu. — Uderzył się w pierś. — Miałem patrzeć, jak żyje sobie wygodnie w zamkowej wieży, podczas gdy juryści spierają się o jego przyszłość? On nie powinien mieć żadnej przyszłości! Chciałem, żeby zginął!

My też! — wrzasnął Nogaret, odwracając się gwałtownie. — Papież nie dotarłby do Paryża. Miałem go otruć po drodze.

Sciarra patrzył na niego osłupiały.

Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Przysiągłem memu panu, że nikt się nie dowie. Nie powiedziałem nawet własnym ludziom. Nie byłoby śladów mordu. — Nogaret oparł się

odrapany filar. — Świat chętnie by uznał, że zabiły go wyrzuty sumienia. A teraz wszystko przepadło. Przez ciebie. Z chwilą gdy papież wjedzie do Rzymu, ekskomunikuje nas wszystkich i króla Filipa na dodatek, jeśli już tego nie zrobił.

Wciąż jest szansa... — rzekł Sciarra po chwili milczenia. — Wiemy, że będzie tędy jechał.

Nogaret pokręcił głową.

Jeśli zarżniemy go na drodze, rozniesie się, że został zamordowany

kto to zrobił.

Nie stanie się tak, jeżeli nie pozostawimy świadków. Mimo strat nadal mamy znacznie więcej ludzi. Związemy templariuszy w walce, żebyś mógł się dostać do Benedykta.

Jeśli ukryjemy ciała... — zamyślił się Nogaret — będzie tylko wiadomo, że papież nie dotarł do Rzymu.

Po rozruchach w Anagni nikt się nie doliczy ludzi. Możesz twierdzić, że przybyłeś uwięzić Benedykta za herezję, ale ci umknął. Można też rozgłosić, że zabiły go grzeszne uczynki, czy cokolwiek zechcesz, podczas ucieczki do miasta. — Sciarra zmarszczył czoło. — Garstce ludzi Bussy udało się ujść z Anagni. Skoro zależy ci na ujawnieniu jego zgonu, mogą zawieźć zwłoki do Rzymu z wiarygodną bajeczką. Nikt tam nie wie, że własna gwardia stanęła przeciwko niemu. Uwierzą im.

A templariusze? Nawet gdybyśmy zdołali zabić wszystkich, władze zakonu wiedzą o ich misji. Jeśli nie wrócą, przybędzie następny oddział.

A któż im broni? — zaśmiał się sucho Sciarra. — Mogą sobie do woli szukać druhów po górach.

Ludzie Bussy powiedzą, że próbowano zatrzymać orszak i templariusze zostali z tyłu, żeby się poświęcić w obronie heretyckiego paR O

pie Bż Y

a N Y O U

. — Wz N

r G

uszył ramionami. — Nikt poza ich braćmi nie będzie po nich płakał.

Droga do Rzymu Osmy dzień września

Bonifacy skulił się w wozie na poduszkach i futrach, urękawiczoną dłonią łapiąc się za bok, gdy chwytała go kolka od ciągłych podskoków na wyboistej drodze. Było późne popołudnie, słońce przeświecało przez czerwone płótno okrywające wóz, czyniąc je prawie przezroczystym. Bonifacy miał niepokojące wrażenie, że znajduje się w brzuchu jakiegoś wielkiego zwierza skradającego się na Rzym. Podkowy koni templariuszy wybijały na twardym gruncie głośny rytm, który odbijał mu się echem w głowie, potęgując ból. Osuszył czoło kawałkiem jedwabiu. Słuszny gniew, który nim owładnął na wieść o napaści, oraz furia, w jaką wpadł, widząc własnych ludzi u boku tego gada Colonny, już się wypaliły. Teraz czuł się tylko sponiewieranym starcem, niecnie zdradzonym.

Jego dom omal nie legł w gruzach. Plebs obróciłby go w perzynę, gdyby zamieszki nie ustały wkrótce po ucieczce Sciarry. Bonifacy w płomiennych słowach zwrócił się do ludu z balkonu. Wielu, widząc go w otoczeniu templariuszy, odzyskało rozsądek i złożyło broń. Niektórzy nawet oddali zrabowane kosztowności.

Cudem zaiste nie zginął nikt z jego rodziny, choć poległo wielu służących i pachołków. Templariusze stwierdzili krótko, że Bóg nad nim czuwał. Gdyby ich przy nim nie było, byłby już martwy albo w szponach tego heretyka Nogareta.

Bonifacy uświadomił sobie, że dłoń, którą uniósł do czoła, drży. Opuścił ją na kolana. W tejże chwili posłyszał

z zewnątrz ostry krzyk, któremu odpowiedziały inne. Rozległ się szczęk broni, wóz gwałtownie przyśpieszył.

Papież przewrócił się na miękkie futra, ale buda kołysała tak gwałtownie, że mógł się co najwyżej podciągnąć na rękach. Uczepiony burty wozu, bezradny, podrzucany jak worek jabłek, słyszał zbliżający się tętent licznych koni. Krzyki rozbrzmiały od nowa, szczęk, odgłosy ciosów i jęki ludzi.

Na czworakach dotarł na tył wozu i złapał plandekę. W następnej chwili koło wpadło w dziurę i wóz omal się nie przewrócił. Bonifacego rzuciło na bok, płótno rozdarło mu się w rękach, wyrżnął w nagie drewno, odzierając kostki palców do krwi. Uniósł głowę i wyjrzał na drogę. W tumanach kurzu dojrzał, że roi się na niej od ludzi. Setki zjeżdżały z lesistego zbocza, z wrzaskiem nacierając na

templariuszy. Wśród krzyków wyróżniało się nazwisko Colonny. Obok wozu, poganiając zaciekle konie, jechało jeszcze co najmniej czterech templariuszy, ale napastnicy już zaczęli ich oskrzydlać. W powietrzu śmignął czarny bełt. Papież rzucił się w tył, ale pocisk nie był wymierzony w niego. Trafił w zad jednego z zaprzęgowych koni, który uskoczył z kwikiem i uderzył o wóz. Inny bełt dosięgnął woźnicy, który spadł z kozła. Wóz podskoczył, kiedy koła przetoczyły się po ciele, a potem zboczył z drogi; konie pociągnęły go opadającą dość stromo łąką usianą białymi kwiatami. Jedna ze skrzyń spiętrzonych w wozie uderzyła Bonifacego w głowę. Leżał półprzytomny, aż zmęczone konie nareszcie się zatrzymały.

Odgłosy walki dobiegały i tutaj. Bonifacy podpełzł na tył, żeby wysiąść, zanim konie znów poniosą. Nim zdążył to zrobić, w wejściu ukazała się twarz lśniąca od potu i rozpromieniona triumfalnym uśmiechem. Papież cofnął się z krzykiem.

Odstąp! Precz, w imię Boże!

Nogaret wspiął się na wóz. W ręku miał sztylet.

Jak śmiesz na mnie napadać! — wrzasnął Bonifacy. — Jestem namiestnikiem Chrystusa! Następcą świętego Piotra!

Jesteś starym głupcem, stojącym na szczycie walącego się gmachu i próbującym go utrzymać samą siłą woli.

Potęga Kościoła gaśnie. Ludzie wkrótce złożą swoją wiarę w rzeczach doczesnych, zaś duch będzie niczym więcej niż fantazją.

Dlaczego? — szepnął Bonifacy. — Dlaczego tego pragniesz?

Wszyscy jesteście zepsuci do szpiku kości — syknął legista.

Hipokryci! Zabijacie w imię Boga, ale wasze ręce mordują waszych wrogów, nie Jego! Używacie dogmatów jako pretekstu, by niszczyć wszystkich, którzy się wam sprzeciwiają. To co dziś robię, to dopiero początek.

Kiedyś całkiem oczyścimy świat z waszej zarazy.

To nie ja skazałem twoją rodzinę na stos, Nogaret. — Bonifacy zatrzymał się pod tylną ścianą wozu i dźwignął

na kolana. — Jeśli mnie uwolnisz, odpuszczę im grzechy, oczyszczę ich i ciebie.

Nogaret pokręcił głową.

Uchylę ekskomunikę, którą nałożyłem na króla Francji. — Widząc, że jego prześladowca się zatrzymał, Bonifacy wyciągnął błagalnie rękę.

Zrobię to jeszcze dzisiaj. Jeśli pozwolisz mi żyć.

Nogaret stał nachylony nad nim, jego czarne szaty zasłaniały światło. Odgłosy bitwy stawały się coraz rzadsze i cichsze.

Zrobi to następny papież — rzekł szorstko i podsunął sztylet pod szyję Bonifacego.

Bonifacy otworzył usta do krzyku i nagle poczuł, że gorzki płyn rozlewa mu się po gardle. Oczy wyszły mu z orbit. Kurczowo złapał Nogareta za rękę, tę drugą, w której trzymał fiolkę, zakaszlał, próbował wypluć truciznę, ale było już za późno. Od traktu nadjechali jeźdźcy, płosząc pasące się konie. Wóz szarpnął

gwałtownie. Papież kopnął legistę w brzuch, ten zatoczył się w tył i wypadł z wozu, lądując na plecach w trawie.

R O B Y N Y O U N G

Will syknął ze złością, widząc Nogareta przy wozie stojącym samotnie w morzu zabarwionej na złoto trawy. Z

całej siły uderzył w miecz zastępującego mu drogę templariusza, usiłując go rozbroić i ominąć. Ale najwyżej dwudziestoletni rycerz był dobrym szermierzem i choć dyszał, odpierając potężne ciosy, doskonale panował

nad swą bronią i tarczą. Większość braci zakonnych leżała już martwa na gościńcu; ledwie paru, jak ten dzielny młodzieniec, wciąż walczyło zawzięcie. Rozpaczliwy krzyk dobiegający z wozu rozproszył uwagę Willa — na mgnienie oka, ale to wystarczyło, żeby rycerz przeszedł jego zastawę i wytrącił mu miecz. Natychmiast wyszedł w przód do ciosu, ale nagle przystanął i Will, który upadł na kolana, zobaczył grot strzały sterczący mu z szyi. Patrzący wciąż na niego templariusz wypuścił miecz i osunął się na ziemię. Zza jego pleców ukazał się francuski gwardzista z tukiem w dłoni.

Oszołomiony Will dźwignął się na nogi. Ujrzał Nogareta wypadającego z wozu, który potoczył się przez łąkę.

Nie ujechał daleko, zatrzymali go ludzie Sciarry. Legista wstał i nie śpiesząc się, poszedł za nim. A zatem było już po wszystkim. Will spojrzał na młodego templariusza, w którego pustych oczach odbijało się ciemniejące niebo, i upiory w jego duszy poruszyły się jak wylęknione ćmy.

Kościół pod wezwaniem świętego Juliana Męczennika w Paryżu

Dwudziesty dzień listopada

Esquin de Floyran odwrócił się, słysząc skrzypienie drzwi kościoła. Widok bratanka sprawił mu ulgę, przerodziła się ona jednak w zdziwienie, kiedy ujrzat, że młody człowiek ma na sobie brunatną szatę służącego i tobołek na plecach. Rząd świec palących się przy ołtarzu wydobył z półmroku jego twarz. Martin wydawał się chory ze strachu.

Esquin zaciągnął na piersiach czarny płaszcz, spod którego wyjrzała biała tunika. Proboszcz nieco zbyt bacznie się przyglądał nieznajomemu, a nie było powodu podsycać jego ciekawości.

Co to? — zapytał, wskazując węzełek.

Odchodzę z zakonu. Wracam dziś z tobą do Montfaucon.

Niepokój Esquina wyparła fala gniewu.

Wykluczone! Nie do tego cię wychowaliśmy, twój ojciec i ja, żebyś pierzcha! jak tchórz przy lada trudności.

Przyszedłem tu, żeby ci pomóc, ale nie pomóc w ucieczce od kłopotów, tylko w ich przezwyciężeniu.

Młody templariusz osunął się na posadzkę; tobołek spadł mu z ramienia na kolano.

Esąuin zaczerpnął tchu i przyklęknął obok niego.

Proszę cię, Martinie. Musisz mi powiedzieć, co zaszło. Czy...

Przełknął ślinę, obawiając się w duchu najgorszego. Zdarzało się czasem, że wyżsi rangą bracia nadużywali swej władzy w najohydniejszy sposób. — Powiedz, czy twój zwierzchnik źle cię traktuje? Czy zachowuje się...

niegodnie?

Ukradkowe, pełne zgrozy spojrzenie bratanka zdało się potwierdzać obawy. Esąuin poczuł mdłości.

Zastanawiał się, co powiedzieć, lecz nim zdołał znaleźć słowa, odezwał się Martin:

Nie chciałem tego, przysięgam! Ale myślałem... myślałem, że tak jest przy pasowaniu. Myślałem, że wszyscy musieli to zrobić, ty także. Ale chciałem się upewnić, więc zacząłem przepytywać niektórych rycerzy, z którymi się przyjaźniłem. — Twarz Martina była szara. — Powiedzieli, że nikt od nich tego nie żądał.

Czego? — spytał Esąuin, gdy młody rycerz zamilkł. — Czego nie żądał?

Powiedziano mi, że wezmę udział w wielkim dziele, które odmieni zakon. Powiedziano, że to jest... dobro! —

Głos Martina nabrzmiał goryczą. — Ale jakież to dobro? Kazali mi pić krew i wybrać drogę, myślałem, że chcą mnie tylko przestraszyć, poddać próbie moją odwagę i siłę ducha, ale potem... — Zwiesił głowę, od nowa przeżywając zapamiętaną scenę.

Potem kazali mi napluć na krzyż.

Esąuin patrzył na bratanka pewny, że się przesłyszał. Ludzie, o których mówił Martin, byli templariuszami, wojownikami Chrystusa. Chrześcijanami! W oczach młodzieńca nie widział jednak kłamstwa, a tylko obłąkań-

czy strach.

Kto kazał ci to zrobić? Kto cię pasował?

Miał na twarzy maskę — rzekł ochryple Martin, tuląc do siebie tobołek. — Przedstawiała trupią czaszkę.

Pokazywał też inne oblicza.

Podniósł wzrok na stryja.

Wszyscy byli zamaskowani. Później, kiedy inicjowaliśmy kolejnych rycerzy, ja także nosiłem maskę. Wciąż widzę te ceremonie. — Przycisnął knykciami oczy. — Śnią mi się po nocach. Słyszę głos Boga, który mówi mi, że jestem potępiony. Że moją duszą zawładnął szatan, że sprzymierzyłem się z czcicielami zła, oddałem się im, piłem ich krew! — Odjął ręce od twarzy i chwycił dłoń Esquina. — Błagam, stryju, powiedz, co mam robić!

Esquin złapał go za ramię.

Powiedz, kim są ci ludzie?

Czy mogę pomóc?

Przeor obejrzał się gwałtownie, słysząc głos księdza.

Nie, dziękuję. Potrzeba nam tylko chwili spokoju.

Nagły powiew R

zaOc B Y

hw N

ia ł Y O

pł U

o N

mi G

eniami świec przed ołtarzem. Ksiądz zerknął ku drzwiom i naraz zmienił się na

twarzy. Jego dłoń zacisnęła się na drewnianym krzyżyku, który miał na szyi.

Dobry Boże... — szepnął.

Esquin podniósł wzrok. Zobaczył dwudziestu paru ludzi wkraczających do kościoła. Wszyscy mieli

na sobie czerwone maski z białymi jelenimi głowami i gładkie białe płaszcze. Ostatni zamknął za sobą drzwi, w progu nakładając maskę. Esquin dostrzegł część jego twarzy, kanciastą szczękę i krótko przystrzyżoną czarną brodę.

Potem jego uwagę przyciągnęli inni, którzy już dobyli mieczy.

Martin skoczył na równe nogi i cofnął się, opierając plecami o filar.

Nie — szeptał — nie...

Słysząc za sobą prędkie kroki, Esquin się domyślił, że ksiądz uciekł. Nie oglądał się; sięgnął po własny miecz, zasłaniając sobą bratanka.

Cofnijcie się — ostrzegł zbliżających się mężczyzn. — Odstąpcie!

Mistrz obawiał się, że nas zdradzisz, Martinie — rzekł ten, który szedł na przedzie — ale ja wyżej cię ceniłem.

Myślałem, że masz na tyle honoru, by dotrzymać złożonej przysięgi.

Honor? — warknął Esquin. — Ty śmiesz mówić o honorze? Zwiedliście go z drogi ku Bogu, wydając jego duszę na zatratę! Jakże nisko upadł nasz zakon, skoro kalają go tacy ludzie! Wszyscyście powinni gnić w lochach Merlanu!

Nic nie rozumiesz — odpowiedział sucho mężczyzna głosem stłumionym przez maskę. — Ale zrozumiesz. —

Mieczem wskazał Martina.

Brać go!

Uciekaj! — krzyknął Esquin, pchnął bratanka do tyłu i natarł na prowadzącego. Zgrzytnął zębami, kiedy mężczyzna w masce z łatwością sparował jego cios.

Nie bądź głupcem, Esquin. Złóż broń.

Uderzył jeszcze raz. Tamten się uchylił, złapał go za ramię i wykręcił staw. Ktoś kopnął go w brzuch. Esquin upuścił miecz i osunął się na kolana,

rzężąc. Przez łzy widział zbliżające się białe płaszcze. Jeden z mężczyzn niósł w ręku ciemny kaptur.

Bierzcie go żywcem — warknął dowódca. — Mistrz będzie chciał go przesłuchać. Zdrajcę zabijcie.

Martin wpadł do zakrystii i zasunął za sobą rygiel. Spazmatycznie łapiąc oddech, podparł jeszcze drzwi skrzynią, a potem się rozejrzał. Za drążkiem, na którym wisiało kilka sztuk przyodziewku, zobaczył niskie drzwiczki, odrapane i poczerniałe ze starości. Zza ściany doleciał go okrzyk stryja i szybko zbliżające się kroki.

Posłyszał łoskot. Spiesznie zerwał szmaty z drążka. Drzwiczki były zamknięte, klucza nie było. Wyglądały, R E Q U I E M

jakby nikt ich nie otwierał od wielu lat. Uderzył w nie barkiem. Zadygotały, ale zamek nie puścił. Zacisnąwszy zęby, spróbował jeszcze raz. Z tyłu dobiegało rytmiczne dudnienie; tamci posłużyli się ławką jak taranem.

Martin cofnął się o kilka kroków i z rozbiegu uderzył całym ciałem. Zwietrzałe deski pękły; wytoczył się na zewnątrz i w tej samej chwili rygiel w drzwiach łączących zakrystię z kościołem wyłamał się z futryny. Martin rzucił się naprzód, ręce ślizgały mu się w błocie i gnijących odpadkach, szczury uciekały z piskiem. Zerwał się na nogi i zaczął biec.

Był w połowie zaułka, kiedy ujrzał przed sobą pochodnie. Odcięli mu drogę ucieczki. Zawrócił i zaraz znów się zatrzymał, widząc, że reszta wybiega za nim z zakrystii. Już wiedział, że nie ujdzie. Opadł na kolana i podniósł

wzrok ku niebu. Na granatowym firmamencie jaśniała jedna biała gwiazda. Martin złożył dłonie.

Święta Mario, Matko Boża, Pan z Tobą — szepnął, zamykając oczy.

25

Zamek królewski w Paryżu Dwudziesty dzień listopada roku Pańskiego 1303

Nie powinieneś był angażować Colonny.

Teraz to rozumiem — odpowiedział Nogaret, przyglądając się bacznie twarzy króla Filipa.

Szli przez ogrody w kierunku ptaszarni. Słudzy zmiatali zeschłe liście na stosy, rozpalono dwa wielkie ogniska i wznoszące się spiralnie płomienie odganiały zapadający zmierzch. Gwiazda Północna lśniła zimno na niebie, powietrze było cierpkie od mrozu i dymu. Minister wzruszył ramionami.

Ostatecznie jednak osiągnęliśmy to, na czym nam zależało. Bonifacy został oskarżony o herezję i szlag go trafi! z wściekłości, w każdym razie taka jest wersja oficjalna. Ciało zabrano do Rzymu, gdzie nasi kardynałowie potępili jego liczne grzechy, a kolegium wybrało Niccola Boccassino.

Wolałbym sam wybrać kandydata — burknął Filip.

To było niemożliwe. Kardynałowie, co zrozumiałe, chcieli jak najprędzej zastąpić Bonifacego. Po prostu nie było sposobu odwleczenia tego na czas dostatecznie długi, abym zdążył się z tobą porozumieć, panie.

Skąd pewność, że nowy papież będzie mi powolny? — Filip przystanął. — To była dla mnie ciężka próba, Nogaret. Chcę mieć dobre stosunki ze Stolicą Apostolską. Da się chyba wszystko załagodzić, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył dalej, splótłszy ręce jak do modlitwy.

Paskudna sprawa — mruknął — ale interes Francji tego wymagał.

Nowy papież, który jako jedenasty przyjął imię Benedykta, jest słaby i chorowity. Nasi sprzymierzeńcy w Collegium Sacrum uznali, że ze wszystkich możliwych kandydatów nim najłatwiej będzie manipulować.

Istotnie, już ugiął się pod naciskiem, uchylając ekskomunikę nałożoną na ciebie przez Bonifacego. Francja jest bezpieczna.

Ale odmówi! oczyszczenia ciebie i Sciarry Colonny.

Nogaret się skrzywił.

Na nieszczęście był wówczas w Anagni. Obwinia mnie i Colonnę

o

szkody wyrządzone owego dnia. Cóż, z czasem zmięknie.

Jak spisywał się Campbell? — spytał Filip, pochylając głowę w sklepionej furcie prowadzącej do wydzielonej części ogrodów.

Nogaret ściągnął brwi, ruszając za królem między rzędami domków dla ptaków. Większość drążków była pusta, mieszkańcy schronili się wewnątrz. Na końcu szpaleru paliły się pochodnie przed wejściem do domu królewskiego sokolnika.

Robił, co mu kazano, jeśli to miałeś na myśli, panie, ale nadal mu nie ufam.

Masz na myśli obecność templariuszy?

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to bardzo znaczący zbieg okoliczności. Przybywamy pojmać papieża, a ten ma obstawę złożoną z rycerzy Templum.

Jeśli Bonifacy spodziewał się ataku, to logiczne, że zwróciłby się

o

ochronę do któregoś z zakonów rycerskich. Masz jakikolwiek dowód na to, że Campbell maczał w

tym palce? Czy coś jeszcze wzbudziło twoje podejrzenia?

Nie — przyznał legista.

A więc wykonywał rozkazy? Walczył przeciw templariuszom?

Najjaśniejszy panie, możliwość wykorzystania tego człowieka w działaniach przeciwko Templum ma

przeciwwagę w postaci kluczowego pytania, czy możemy mu zaufać czy też nie. Moim zdaniem to zbędne ryzyko. Doradzałbym odesłanie go z powrotem do Szkocji. Razem z córką, rzecz jasna. Królowa jest coraz bardziej zaniepokojona...

Odpowiedz mi na pytanie. — W głosie Filipa pojawił się chłód.

Walczył razem z wami?

Nogaret namyślał się przez chwilę.

Tak, ale... — Urwał na widok Henryka, który wyszedł im naprzeciw.

Sprowadź mi tu Campbella.

Teraz?

Tak, teraz. Henryku! — zawołał król lżejszym tonem. — Czy Panna jeszcze nie śpi? REQUIEM

Nie, najjaśniejszy panie. Przynieść jej mięsa?

Nie ma potrzeby. — Filip uniósł niesione zawiniątko. — Kazałem kucharzowi, żeby zostawił dla niej resztki.

Nogaret się zawahał; miał ochotę odwieść króla od pochopnej decyzji, ale król szedł już za sokolnikiem do domku Panny, a rozkaz był jednoznaczny.

Will stał pod izbą dworek z dłonią zwiniętą w pięść, gotów zapukać. Podniósł rękę, potem ją opuścił, bo korytarzem przeszli śpiesznie dwaj słudzy. Zaczekał, aż znikną, i znów uniósł rękę, ale wciąż się wahał. W

końcu zły na siebie sięgnął do drzwi, lecz tym razem powstrzymało go własne imię wypowiedziane ostrym głosem. Obejrzawszy się, zobaczył Nogareta w ciemnym końcu korytarza.

Król chce cię widzieć.

Rzuciwszy zre Rz O

ygBnY N

ow Y

a O

ne U N

spoGjrzenie na drzwi, zawrócił w stronę legisty, nakazując sobie czujność. Wrócili do

Paryża poprzedniego wieczoru i spodziewał się, że król będzie ciekaw przebiegu misji, ale coś w

głosie i tonie Nogareta kazało przypuszczać, że nie chodzi tylko o sprawozdanie.

Przeszli do ogrodów, gdzie wiatr porywał wysoko w mroczne niebo iskry buchające z ognisk. Filip był w ptaszarni, trzymał na przegubie Pannę, która z zapałem rozszarpywała kurzą nogę. Kiedy Will z Nogaretem weszli w rdzawą plamę światła, podniósł głowę.

Najjaśniejszy panie. — Will skłonił się nisko.

Filip przez jakiś czas nie odpowiadał, przyglądał się sokolicy. Will czuł napięcie bijące od Nogareta, który stał

obok niego nieruchomy jak głaz.

Spodziewam się, że dręczą cię pytania odnośnie do wydarzeń w Italii, Campbell — rzeki w końcu Filip. —

Pytania o przyczyny naszych działań i ich ocenę moralną.

W istocie tak, panie — przyznał Will.

Czy wierzysz, że cel uświęca środki? — Filip z namysłem ściągnął brwi, jak gdyby sam zastanawiał się nad odpowiedzią. — Ze czasem trzeba robić rzeczy straszne dla dobra ogółu?

Powiedziałbym, że to zależy od okoliczności — rzekł powoli Will

ale po wojnie w Ziemi Świętej doskonale zdaję sobie sprawę, że czasem trzeba coś poświęcić w imię wyższego dobra.

Filip pokiwał głową. Przez chwilę w ciszy słychać było tylko stukot ptasiego dzioba; Panna rozłupywała kość, chcąc się dostać do szpiku.

Bonifacy był człowiekiem niebezpiecznym, może nawet szalonym. Zawziął się, że mnie zniszczy, ale wraz ze mną zniszczyłby Francję. Dlatego pojechaliście go uwięzić, choć jak się zapewne domyśliłeś, jego pojmanie było tylko przykrywką dla pozbawienia go życia. — Król odetchnął i spójrzał w niebo. — Nie chciałem tego, ale on nie dał mi wyboru. Ta ofiara, złożona dla dobra Francji, przyniesie pożytek całemu chrześcijaństwu. Także Szkocji — dodał, patrząc na Willa. — Być może jeszcze nie wiesz, że król Edward znów poprowadził wojska na północ. Nazwał się Młotem na Szkotów'. Krok po kroku wyrywa Wallace'owi to, co dotąd osiągnął.

Will zacisnął zęby. Znów poczuł się bezsilny, bezużyteczny. Powinien w tej chwili wraz z rodakami walczyć o przetrwanie ojczyzny pod naporem wroga.

R E Q U I E M

Chcę nadal pomagać Szkotom — ciągnął Filip — ale będę mógł to uczynić, dopiero gdy będę miał środki.

Władza w dzisiejszych czasach nie spoczywa już w rękach Kościoła, jak ongiś. Dają ją ziemia i złoto. Każdy król w chrześcijaństwie jest tego świadom. Angażując się w wojnę z Anglią i jej flandryjskim sojusznikiem, poważnie nadszarpnąłem swoje zasoby, a to zagraża Francji. Pomimo niedawnych zwycięstw oraz konfiskaty żydowskiego mienia skarbiec wciąż świeci pustką. Trzeba go napełnić, inaczej nie zdołam bronić nawet własnego ludu. Teraz, gdy jak ufamy, na stolcu papieskim zasiadł rozsądniejszy człowiek, chcę wprowadzić w życie plan, który ułożyliśmy z Nogaretem kilka miesięcy temu. — Przerwał, gdy Panna zadarła łepek, żeby przełknąć kości i pierze. — Zamierzam rozwiązać zakon templariuszy i przejąć jego majątek. Dzięki niemu zabezpieczę przyszłość Francji i przywrócę wielkość królestwu. Stanie się tak potężne jak w czasach świętego Ludwika.

Will czul na sobie spojrzenie Nogareta. W badawczym wzroku Filipa także dostrzegał nieufność. To próba.

Jeśli jej nie sprosta, zginie. Był pewien, że dłoń Nogareta zaciska się na rękojeści miecza, gotowa zadać cios. I równocześnie poczuł w duchu niesamowity spokój — taki sam jak wówczas, gdy ruszał do bitwy; ogarnęło go to samo krzepiące zdecydowanie. Od lat los rzucał nim z miejsca na miejsce, kazał służyć różnym panom i różnym sprawom. Teraz wreszcie ujrzał drogę przed sobą.

Szymon miał rację dawno temu, w lesie Selkirk: wojna o Szkocję nie była jego wojną. Toczyli ją Wallace, Siwy, Dawid. Jego zadaniem była obrona Templum i ukrytego w jej łonie bractwa przed wszystkimi wrogami na zewnątrz i wewnątrz. Tak mu nakazywała złożona przysięga. Nękające go duchy Ewerarda i ojca

przycichły, zastygły w oczekiwaniu. Nareszcie zawrócił na właściwą ścieżkę z manowców, po których tak długo się błąkał.

Żeby to przeprowadzić, będziesz musiał, panie, mieć poparcie papieża — rzekł z namysłem. — Tylko z jego błogosławieństwem uda ci się przejąć majątek zakonu.

I nie napawa cię to smutkiem? — wtrącił szybko Nogaret.

Odszedłeś z zakonu, to prawda, ale byłeś z nim zżyty, na pewno masz przyjaciół wśród templariuszy.

Will odwrócił się i spojrzał na niego.

Przestałem się poczuwać do wierności Templum, kiedy mistrzowie sprzedali zakon królowi Edwardowi. Jak myślisz, dlaczego odszedłem?

Możesz nam pomóc — rzekł Filip. — Jako były członek zakonu znasz się na jego sprawach. Interesuje nas rozmieszczenie załóg, siła umocnień, a także środki pieniężne i należności. Czy możemy na ciebie liczyć?

Will oderwał wzrok od Nogareta i spojrzał na króla.

Pod warunkiem, że zerwiesz, panie, układ pokojowy z Edwardem. Gotów jestem poświęcić Templum w

zamian za obronę Szkocji.

Podejrzliwość zniknęła z oczu Filipa. Will odprężył się, widząc, że zdobył jego zaufanie.

Takjak ci mówiłem, Campbell, pokój z Edwardem jest tymczasowy. Kiedy Templum upadnie, Szkocja będzie wolna. Masz na to moje słowo.

Templum w Paryżu Dwudziesty dzień listopada

Robert zapukał jeszcze raz. W świetlicy było cicho. Zerknął na mdły poblask świec sączący się pod drzwiami.

Może Hugo zapomniał je zgasić? Nie powinien ich zostawiać wśród tylu pergaminów. Nacisnął klamkę i wszedł.

Ogień na palenisku już dogasał i komnatę rozjaśniały tylko trzy stojące na stole świece. Zimny powiew przeciskał się przez okiennice, targał płomykami. Stół zasłany był dokumentami, z których część spadła na podłogę. Robert zrobił krok naprzód i zatrzymał się jak wryty na widok półleżącej na stole postaci z wyciągniętym bezwładnie ramieniem. Po rzednących siwych włosach poznał Hugona. W pierwszej chwili zląkł się, że wizytator nie żyje, ale potem posłyszał chrząknięcie i plecy Hugona poruszyły się.

Uśmiechając się pod nosem, Robert podszedł do stołu. Leżały na nim mapy; jedna, częściowo tylko rozwinięta, przedstawiała Prusy. Na niej spoczywał pergamin ozdobiony czarnym krzyżem na białym polu —

herbem zakonu krzyżackiego. Obok leżał inny z pieczęcią joannitów i cały stos dokumentów opatrzonych

wielką pieczęcią Templum, przedstawiającą dwóch rycerzy jadących na jednym koniu. Robert dostrzegł

wzmiankę

o

wyspie Rodos i coś o przyszłych intencjach, a potem jakiś zwój zatrzeszczał mu pod stopą i Hugo się obudził.

Chryste... — jęknął, półprzytomnie zgarniając pisma.

Wybacz. — Robert zaczął zbierać zwoje z podłogi. — Nie chciałem cię przestraszyć.

Hugo nagle znieruchomiał i podniósł na niego wzrok.

Co tu robisz?

Chciałem z tobą porozmawiać. — Robert był zaskoczony jego napastliwym tonem.

Jest późno.

Wiem, ale zobaczyłem światło i pomyślałem, że jeszcze nie śpisz. Zwykle jesteś zajęty albo w ogóle cię nie ma.

Hugo zerknął na niego i przełożył dokumenty tak, żeby nie było widać tekstu.

Czasem mam wrażenie, że zarządzam tym zakonem sam jeden.

Miałeś jakieś wieści od wielkiego mistrza? — Robert wskazał pergaminy.

Kiedy Ruad upadła, miałem w Bogu nadzieję, że będzie to koniec tej bezsensownej krucjaty. — W głosie wizytatora zabrzmiała gorycz. —Ale Jakub wciąż siedzi na Cyprze i co miesiąc śle żądania, żebym przysłał

mu więcej ludzi, więcej koni i więcej złota na wojaczkę. — Hugo coraz bardziej podnosił głos. — Powtarzam mu raz po raz, że ludzie potrzebni mi są tutaj. Czy on nie potrafi tego pojąć? Anglia i Szkocja wciąż są w stanie wojny. We Francji sytuacja jest coraz mniej stabilna, zważywszy na powstania, starcia nadgraniczne i całą tę wojnę podjazdową z Rzymem. Tłumaczyłem mu to wiele razy, ale on uparcie wykrwawia zakon ze wszystkiego, co w niespokojnych czasach mogłoby mu zapewnić bezpieczeństwo! Potrzebuję ludzi.

Potrzebuję środków. Dlaczego on tego nie rozumie?

Hugo umilkł, uświadomiwszy sobie, że powiedział za dużo. Rzucił resztę papierów na stół. — Późno już, bracie—powtórzył ze znużeniem. — Czego ode mnie chcesz?

Robert się zawahał. Czuł, że nie powinien przysparzać zwierzchnikowi kolejnych trosk. Ale od paru miesięcy czekał na odpowiedź.

Chcę zapytać, czy zbadałeś tę sprawę, na którą ongiś zwróciłem ci uwagę. Chodzi o pogłoski związane z inicjacją.

Hugon westchnął ciężko.

Mówiłem ci już wtedy, że to na pewno bajki rozpuszczane przez serwientów.

2 2

Mimo wszystko uważam, że powinniśmy się nimi zająć. Te, jak je nazywasz, bajki powodują ferment i nawet jeśli są zupełnie bezpodstawne, lepiej, żeby ustały. Przebieg pasowania zawsze był przedmiotem podejrz-liwych domysłów w samym zakonie i poza nim, w czym nie ma nic dziwnego, zważywszy na tajemnicę, którą się otaczamy. Reputacja zakonu bardzo na tym ucierpi, jeśli ludzie z zewnątrz nabiorą przeświadczenia, że paramy się tu jakimś diabelstwem.

Jestem ci szczerze wdzięczny za troskę o zakon, ale zbadałem sprawę i nie znalazłem żadnych dowodów, by tak było w istocie.

Nic? Nawet

R O

poszl Ba Y

k, N

k t Y O

o r U

ozN G

puszcza te plotki?

Bracie, ja naprawdę mam na głowie dosyć ważniejszych spraw, abym jeszcze się zajmował płodami

wyobraźni co młodszych serwientów. Czemu by to miało służyć?

Robert otworzył usta, ale Hugo powstrzymał go uniesieniem dłoni.

Sprawa jest zakończona. Muszę wracać do pracy.

Może ja...

Powiedziałem, nie chcę więcej o tym słyszeć! — Hugo wyrżnął pięścią w stół. — A teraz proszę, wyjdź.

Robert zgrzytnął zębami, skłonił się i wyszedł z komnaty. Skoro Hugo nie chciał kontynuować śledztwa, on niewiele był w stanie zrobić. Zanim dotarł na dziedziniec, prawie zdołał sam siebie przekonać, że wizytator ma rację. To tylko bajki rozpowiadane przez serwientów.

Nieopodal Bordeax Jedenasty dzień lutego roku Pańskiego 1305

Żołnierz otarł knykciami z oczu zacinający deszcz. Wiatr świszczał w poszyciu leśnym, siekł po

twarzach. Niósł

gorzko-słonawy zapach Garonny.

Jak długo jeszcze, Gilles?

Schowaj się, Ponsard! — Skulony mężczyzna zdzielił towarzysza w udo. Ponsard skrzywił się i przykucnął z powrotem. — Chcesz, żeby nas spostrzeżono?

Tak wysoko nie mogą nas zobaczyć.

Nie tamci, durniu. On. — Gilles sapnął z irytacją i wskazał odległą kępę drzew, w której dwa konie skubały zmrożoną trawę. Był przy nich człowiek, chodził w kółko, przytupując dla rozgrzewki.

Ponsard powędrował wzrokiem od tego człowieka do białego domu na grzbiecie pagórka i wzruszył szerokimi ramionami.

Ludzie się niecierpliwią. Sterczymy tu od dawna. Może przyszedł odwiedzić jakiegoś krewniaka? Ma ich tu co niemiara.

Więc po co te sekrety? Sfałszowane rachunki? Dlaczego nikt nie wie, dokąd jeździ? — Gilles ponuro spojrzał na dom. — Ma tam coś, czym się nie chce chwalić.

Na widok skupionej miny Gilles'a na twarzy Ponsarda wykwitł uśmiech.

Domyślasz się, co to, jak widzę?

Mam pewne podejrzenia.

Ktoś wychodzi. To on?

Gilles przymrużył oczy.

Chyba tak — rzekł, obserwując wychodzącego z domu mężczyznę w długich szatach. Gość zamienił kilka słów z kimś, kogo z tej odległości nie było widać, potem zszedł ścieżką do gaju, kuląc się w podmuchach wiatru. Pachołek podsadził go na konia. — Zwołaj ludzi. Przekonajmy się, co arcybiskup tak bardzo chce ukryć.

Pięciu żołnierzy odczekało, aż Bertrand de Got zniknął na drodze do Bordeaux, tej samej, którą tu przybył.

Potem, kryjąc się w przyginanych wiatrem trawach, wspięli się na wzgórze.

Gilles dobył miecza i przemknął wzdłuż ściany domu schylony, żeby nie było go widać z okien.

Zostańcie na zewnątrz — rzekł szeptem do dwóch podkomendnych. — Pilnujcie, żeby nikt nam nie

przeszkodził.

Kiwnęli głowami i rozeszli się w dwie strony, przyciśnięci do bielonych wapnem kamiennych ścian, w których szczelinach rósł zielony mech. Gilles kiwnął na pozostałą dwójkę i podszedł do drzwi. Zatrzymał się, sprawdził, czy wszyscy są na swoich miejscach, potem zapukał.

W sieni rozległy się kroki. Rygiel szczęknął i drzwi się uchyliły, ukazując ładną młodą kobietę. Gilles wyszczerzył zęby w uśmiechu, widząc potwierdzenie swych podejrzeń. Wzrok dziewczyny powędrował od szkarłatno- -błękitnej tuniki widocznej spod płaszcza do miecza, który trzymał w ręku. Zanim jeszcze na jej twarzy zdążyło się pojawić zaskoczenie, a potem lęk, Gilles pchnął kopniakiem drzwi, przewracając ją na podłogę. Krzyknęła. Schylił się, złapał ją za suknię pod szyją, podciągnął na nogi i jednym brutalnym ruchem przycisnął tyłem do siebie, przyduszając jej szyję ramieniem.

A więc to u ciebie znalazł sobie ziemski raj — warknął i urwał, w sieni bowiem pojawiła się druga kobieta, dla odmiany gruba i brzydka. Gilles zatrzymał ją ruchem wysuniętego miecza.

Kim jesteście? — Niewiasta cofnęła się tylko o pół kroku, ale w jej głosie czuć było strach. — Czego tu chcecie?

Odpowiedzi na pytania. Na przykład to, dlaczego arcybiskup Bordeaux tak często odwiedza ten dom na pustkowiu? Którą z was dwu chędoży?

Twarz kobiety spąsowiała.

Jak śmiesz! Jego ekscelencja jest szacownym człowiekiem! Chorzałam i nie mogłam iść kościoła, więc przyjechał wysłuchać mojej spowiedzi. Od lat jest przyjacielem mojej rodziny.

Żołnierz roześmiał się głośno i nieprzyjemnie.

Z tego łgarstwa też cię rozgrzeszył,-jędzo? — Umięśnione ramię nacisnęło mocniej szyję młodej kobiety. —

Mów prawdę albo skręcę kark tej dzierlatce!

Panią Heloizę! — pisnęła dziewczyna, z trudem łapiąc oddech.

Cicho bądź, Mar Ri O

o! B Y N

— z gYa O

niUłaN j Gą ostro starsza.

Nie, Mario, mów. — Gilíes rozluźnił uchwyt. — Gdzie jest pani Heloiza?

Umarła! Dawno temu!

Gilíes zmarszczył brwi. Miał zamiar pytać dalej, kiedy Ponsard zawołał:

Mamy coś!

Jeden z zostawionych na czatach żołnierzy wniósł do sieni dwóch wyrywających się chłopaczków.

Próbowali się wymknąć, panie.

Puść ich! — Tęga niewiasta ze zgrozą rzuciła się w stronę malców.

Gilíes zagrodził jej drogę.

Po co przychodzi tu arcybiskup de Got? Odpowiadaj! — podniósł głos, bo teraz krzyczeli już prawie wszyscy.

Żeby zobaczyć syna — wyszlochała, padając na kolana. — Błagam, nie róbcie im krzywdy!

Żołnierz przyjrzał się zapłakanym dzieciom. Jego spojrzenie szybko prześliznęło się po starszym, tęgim chłopcu podobnym do klęczącej kobiety, i spoczęło na mniejszym, ciemnowłosym. Jego oczy i miękki, lekko cofnięty podbródek zdawały się żywcem przeniesione z twarzy arcybiskupa. Pokiwał z zadowoleniem głową.

Pędź do Paryża — zwrócił się do jednego ze swoich ludzi. — Każda chwila jest droga. Powiedz panu de Nogaret, że znaleźliśmy to, czego szukał.

Zamek królewski w Paryżu Drugi dzień marca roku Pańskiego 1305

Nogaret śpieszył przez zamkowe korytarze, ignorując skwapliwe ukłony dworaków. Chciało mu się śmiać.

Długie poszukiwania zostały ukoronowane sukcesem. Nawet się nie spodziewał, że sukces będzie tak wielki i że wprawi go w taką euforię. Mimo rozpierającej go satysfakcji przyoblekł twarz w stosowną powagę, wchodząc do królewskich komnat.

Filip siedział przy stole nad miską parującej zupy. Nos miał czerwony, oczy przekrwione. Od kilku tygodni gnębiła go gorączka i miał coraz gorszy humor.

Nogaret zamknął za sobą drzwi.

Znaleźliśmy, najjaśniejszy panie. Znaleźliśmy klucz do skarbca templariuszy.

Co? — Filip odłoży! łyżkę.

Rozesłałem grupy ludzi, żeby szukali dowodów zepsucia. Narzędzi,

za pomocą których można manipulować ludźmi. I znaleźliśmy skazę u jednego z kandydatów.

Kto to?

Nogaret musiał stłumić uśmiech wypełzający mu na twarz.

Bertrand de Got.

Filip odsunął prawie nietkniętą zupę, wstał i podszedł do kominka. Trzęsły nim dreszcze.

Co zrobił?

Spłodził dziecko.

Król odwrócił się gwałtownie.

To pewne?

Pojmaliśmy chłopca w jego domu. Przed siedmiu laty biskup zadał się z młodą szlachcianką. Umarła w połogu, ale od tamtego czasu Bertrand otacza dziecko najczulszą opieką. Łożąc na nie z pieniędzy Kościoła dodał Nogaret radośnie.

Twarz Filipa zastygła w namyśle.

Arcybiskup z pewnością nie chce tego rozgłaszać. Skończyłaby się jego władza, mógłby stracić święcenia.

Strach przed ujawnieniem tajemnicy zmusi go do posłuszeństwa na krótką metę, ale co później...?

Król spojrzał na Nogareta, nadzieja zgasła w jego oczach. — Nie mamy skutecznej sankcji. Gdy sprawa wyjdzie na jaw, Collegium Sacrum go odwoła, a my znajdziemy się z powrotem w punkcie wyjścia — wyjaśnił

rzeczowo.

Nie mówię o ujawnieniu jego sekretu. — Nogaret podszedł bliżej.

Mówię o dziecku. Póki mamy je w rękach, Bertrand bez szemrania zrobi, co mu każesz. Kocha syna, inaczej nie odwiedzałby go tak często, narażając stanowisko, wolność, może nawet życie. Ze strachu o niego będzie miękki jak wosk, tego jestem pewien.

Nie. — Filip pokręcił głową. — Na to nie dam przyzwolenia. Niewinne dziecko? — Wzdrygnął się. — Wiele już krwi popłynęło, Nogaret, zbyt wiele. Czym to się skończy? Dobry Boże! — Podniósł rękę do czoła.

Dokąd zmierzamy?

Tamta krew była konieczna — rzekł cicho Nogaret. — I nie obciąża ona ciebie, panie.

Czyż łuk nie wie, że strzała została wypuszczona?

Bonifacy zniszczyłby Francję. Był szaleńcem. — Nogaret zaczął krążyć po komnacie, podkreślając słowa rękami. — Szaleńcem i zbrodniarzem, zepsutym do szpiku kości. Zasługiwał na śmierć. Usuwając go, oddaliśmy światu przysługę.

Czyżbyś zaczynał wierzyć we własną propagandę, ministrze?

Filip też zniżył głos. — A papież Benedykt? Chcesz mi wmówić, że schorowany sędziwy starzec zasłużył na śmierć tylko dlatego, że odmówił mym żądaniom? — Filip opad! na krzesło, otulił się mocniej szatą i zamknął

oczy. — Kie

R

dy o tOy B

mY N

m yYślOę,U N

wiGdzę jego duszę wznoszącą się do nieba, gdzie u bram szepcze moje imię ustami

splamionymi trucizną.

Nie ty jesteś temu winien, mój panie. Jeśli wypowiedział czyjeś imię, to moje.

Filip rozwarł powieki.

Dlaczego to zrobiłeś, Nogaret? Dlaczego? Miałeś go tylko nacisnąć, skłonić do uległości.—Wstał. —

Powinienem był cię ściąć za tak jawne nieposłuszeństwo.

Prosiłeś papieża Benedykta, aby uchylił nałożoną na mnie ekskomunikę, lecz odmówił. Prosiłeś, by ogłosił

Bonifacego heretykiem i pośmiertnie wytoczył mu proces. Na to również się nie zgodził. Ten sędziwy starzec miał silniejszy kręgosłup, niż ktokolwiek podejrzewał. Nie zmusilibyśmy go, żeby podarował nam Templum.

Już przy pierwszym spotkaniu zdałem sobie z tego sprawę. To co zrobiłem, panie, leżało w twoim interesie, twoim i Francji. Nie ma dowodów mordu. Kiedy opuścił mnie na chwilę, polałem trucizną figi, które właśnie spożywał. Uznano, że zmarł ze starości. O tym, że było inaczej, wiemy tylko my

dwaj.

Trzej — warknął Filip. — Ja, ty i Bóg.

Podszedł do legisty.

Co byś zrobił, gdyby kolegium natychmiast wybrało nowego papieża? Zostałbyś w Perugii, trując kolejnych dotąd, aż trafiłby się ktoś odpowiedni?

Na to się nie zanosiło, bo jednak mieliśmy w kolegium spore poparcie. Dzięki pracy włożonej w forowanie naszych biskupów na stanowiska kardynalskie kuria jest podzielona. Dziś Francuzów jest w niej bez mała tylu co Italczyków. Nikt z naszych stronników nie oddałby głosu na człowieka, którego byś, panie, nie poparł.

Podjąłeś wszak decyzję — Nogaret zacietrzewił się nieco — że uczynisz Francję wielką. Czy sądzisz, że twój dziad nie rozlewał krwi i nie łamał praw, dążąc do tego samego celu? Jesteś królem, pomazańcem Bożym!

Stoisz ponad prawem. Ludwik nie został świętym dlatego, że był słaby. Wojował w Ziemi Świętej, uśmiercił

setki ludzi, wygnał Żydów, ściągał podatki... Walczył o silną władzę dla dobra swych poddanych. Im prędzej to zrozumiesz, panie, tym bliższy mu się staniesz.

Filip patrzy! na niego w milczeniu. Po dłuższej chwili usiadł.

Nie będę sankcjonował żadnych więcej skrytobójstw. — Podniósł wzrok na legistę. — Jeśli złamiesz ten zakaz, Nogaret, nie zawaham się skazać cię na śmierć. Na razie zatrzymamy chłopca pod opieką i wyślemy wiadomość do Collegium Sacrum, że mamy kandydata, który przypadł nam do gustu.

Nie zapominaj, panie, że de Got ma związki z Edwardem angielskim, a więc i na tym polu może być użyteczny

— dodał Nogaret, widząc z ulgą, że król pokonał zwątpienie i jest gotów do działania.

A jeśli inni kardynałowie zagłosują przeciw niemu?

Prawnik potrzą R O

snął B

g Y

ł N

ow Y

ą. O U N G

Długotrwały wakat na stolcu świętego Piotra nikomu nie byłby w smak. Kolegium z radością powita każdą kandydaturę, a to, że Bertrand nie jest związany z żadną ze zwalczających się frakcji, może mu tylko pomóc.

Dlatego właśnie szukaliśmy kogoś z zewnątrz: żeby uniknąć tarć. Żadna frakcja nie poparłaby kandydata tej drugiej.

Nie zapominaj, że poza ludźmi mocno związanymi z Bonifacym albo Benedyktem w kolegium jest też paru kardynałów zbyt stanowczych, żeby dali sobą manipulować — rzekł posępnie Filip. — Jeśli zaakceptują Bertranda, na nas spocznie dopilnowanie, by spełniał nasze życzenia bez dalszego rozlewu krwi. Posłużymy się dzieckiem, ale tylko jako narzędziem. Włos nie może spaść mu z głowy, czy to rozumiesz, Nogaret?

Oczywiście, mój panie.

Wezwij arcybiskupa. Muszę wiedzieć, czy ten klucz da się obrócić.

Zamek Vincennes Czwarty dzień marca roku Pańskiego 1305

Róża powoli wchodziła po schodach, twarz owiewał jej zapach niesionych ziół. Kiedy słońce wyjrzało zza chmury, klatkę schodową oświetlił jaskrawy promień, który wpadł przez sklepione okno na samej górze.

Przystanęła na chwilę w srebrzystozłotej jasności niosącej zapowiedź cieplejszych dni. Z góry dobiegł jęk.

Otworzyła oczy, westchnęła i ruszyła dalej.

W sypialnej komnacie królowej było ciemno, aksamitne zasłony nie dopuszczały światła. Z nocnika stojącego obok wielkiego łoża unosił się kwaśny odór. Róża położyła zioła na skrzyni, odsuwając grzebienie i maści, i odrobinę uchyliła zasłony, wpuszczając do środka świeży wiosenny powiew. Nakrycia na łożu poruszyły się i zwinęły. Joanna z jękiem obróciła się na bok, boleśnie mrużąc zapuchnięte oczy.

Co tak czuć? — spytała z wyrzutem.

Rozmaryn, rutę i krwawnik, najjaśniejsza pani. Do kąpieli.

Wzrok królowej z wysiłkiem skupił się na służce.

Gdzie jest Małgorzata?

Róża milczała przez chwilę.

W Paryżu — odpowiedziała z wahaniem. — Nie pamiętasz, pani? Niedomagała i wyjechaliśmy bez

niej.

Joanna spróbowała się podnieść. Twarz miała barwy popiołu. Róża podskoczyła, żeby podeprzeć jej plecy poduszkami.

Może powinnam wezwać medyka? — spytała zaniepokojona, że zanik pamięci jest kolejnym objawem dręczącej królową choroby.

Nie trzeba. Jestem tylko zmęczona.

Róża odsunęła się od łóżka, czekając na polecenia. Cisza zdała się nabrzmiewać i gęstnieć. Słysząc kroki na schodach, obejrzała się z ulgą.

Słudzy wnieśli cebry z wodą i jęli je opróżniać do balii ustawionej obok kominka.

Kiedy odeszli, Joanna z pewnym trudem wygrzebała się z łoża.

A Blanka? — spytała, nie patrząc na Różę. Uniosła koszulę i przykucnęła nad nocnikiem.

Róża odwróciła wzrok. Posłyszała krótki plusk i kolejny jęk bólu.

Król posłał ją po zioła, żebyś miała zapas na czas, gdy go nie będzie.

Wołaj Blankę — mruknęła królowa, kuśtykając do wanny z dłonią przyciśniętą do pleców. — Ona mnie zawsze kąpie.

Nie ma jej w zamku. — Róża podniosła nocnik, zaciskając zęby, kiedy odór buchnął jej w twarz. Podeszła do okna, żeby opróżnić naczynie, ale zauważyła, że mocz, w ostatnich dniach ciemnożółty i mętny, dziś ma czerwonawe zabarwienie. Odstawiła nocnik, dochodząc do wniosku, że być może medyk będzie chciał go obejrzeć. — Woda wystygnie, pani.

Wzięła pęczek ziół i roztarta je w dłoniach, a następnie zanurzyła w balii, tak jak wczoraj Blanka według instrukcji medyka. Woda była letnia, wystygła po drodze z kuchni, ale słudzy mocno napalili w kominie i huczący żar przegnał chłód z komnaty. Róża podwinęła rękaw i rozmieszała w wodzie pokruszone zioła.

To pomoże — powiedziała cicho i pieszczotliwie, jakby mówiła do dziecka, choć trzydziestodwuletnia Joanna była o pięć lat od niej starsza.

A po kąpieli przyniosę leki i wino z wodą dla odprężenia.

Królowa nadąsała się, lecz nie protestowała, gdy dworka rozebrała ją

z koszuli i pomogła jej wejść do balii. Róża widziała już królową nago, ale nigdy z tak bliska. Zwykle to Małgorzata i Blanka, jej ulubienice, obsługiwały ją przy ubieraniu i kąpieli. Dziś nie mogła się powstrzymać, z zaciekawieniem obejrzała cal po calu to ciało tak różne od jej własnego

pulchne biodra i uda, oliwkową skórę z wyraźnymi czarnymi włoskami, brzuch naciągnięty po licznych ciążach i poznaczony sinawymi żyłkami, mocno owłosiony czarny trójkąt podbrzusza i wielkie piersi o dużych ciemnych brodawkach, które zakołysały się niczym dwa dzwony, kiedy Joanna pochyliła się, żeby usiąść w wodzie. Królowa oparła się o brzeg balii

zadygotała, kiedy woda zakryła jej ramiona.

Róża wzięła ręcznik przewieszony przez krawędź i przykucnąwszy, otarła jej czoło. Wystąpiły na nim drobne kropelki pot

R O

u — al B Y N Y O

bo od g U

or N

ąc G

zki, albo od żaru bijącego z paleniska. Królowa westchnęła lekko, lecz po chwili

jej twarz znów przebiegł bolesny grymas. Dłoń ześliznęła się na brzuch. Pomasowała go ostrożnie.

Dlaczego wciąż boli? Leki nic nie pomagają. Pali mnie w środku. Dlaczego nie chce przestać?

Przestanie... — Róża wyciągnęła rękę z myjką, ale Joanna usiadła gwałtownie, rozchlapując wodę.

Nie dotykaj mnie!

Ależ, pani... — Róża skurczyła się spłoszona.

W ciemnych oczach Joanny błysnęła nienawiść.

To twoje dzieło. Nie wiem, jak to zrobiłaś, pewnie czarami, tak?

Wstała, ociekając wodą spływającą między piersiami, kapiącą z włosów. Gałązka rozmarynu przylgnęła jej do uda.

Róża patrzyła na nią, nie umiejąc znaleźć słów.

Uśmiechasz się i łasisz, żebym cię nie wygnała. Powinnam to była zrobić, gdy odkryłam, że pożądasz mego męża! — Joanna wyszła z balii

stanęła nad Różą przykucniętą na podłodze. — Ty wiedźmo! Coś mi zrobiła?

Najjaśniejsza pani, błagam... Nigdy w życiu bym nie...

Co tu się dzieje?

Obie kobiety odwróciły się w stronę drzwi. Do komnaty wszedł Filip. Prędko podszedł do królowej, która osunęła mu się w ramiona.

Podaj mi jej ubranie — rozkazał, wskazując łoże, na którym leżała czerwona domowa suknia.

Róża zerwała się na nogi i skoczyła po szatę. Kiedy Filip brał ją od niej, ich palce się zetknęły. Cofnęła gwałtownie dłoń, jakby się sparzyła. Król chyba tego nie zauważył, otulił żonę i poprowadził ją ostrożnie do posłania. Joanna rozszlochała się żałośnie.

Co się stało? — zapytał.

Róża podeszła bliżej.

Najjaśniejsza pani skarżyła się, że pali ją w środku. A potem powiedziała... powiedziała... — urwała, niezdolna powtórzyć słów, które padły,

przerażona, że królowa to zrobi.

Filip kiwnął głową, ułożył żonę i okrył ją futrami.

Medyk mówi, że może majaczyć od gorączki. Każę, żeby ją zbadał.

Nie! — Joanna złapała go za przegub dłoni. — To boli. Nie chcę, żeby znów mnie dotykał. Proszę, Filipie, proszę! Po prostu posiedź przy mnie.

Przytulii ją, kołysząc delikatnie i głaszcząc po głowie.

To przejdzie, kochana. Wkrótce będzie lepiej.

Nie przejdzie — wyszeptała, chwytając się jego rękawa. — Błagam, nie zostawiaj mnie.

Muszę — odparł cicho. — Mam sprawy, których muszę dopatrzyć. Ale niedługo wrócę. — Pochylił się i ucałował ją we włosy. — A kiedy wrócę, będziesz już zdrowa.

Joanna chlipnęła i podniosła na niego załzawione oczy.

Obiecujesz?

Przyrzekam.

Na schodach rozległy się kroki Blanki i reszty dworek. Za nimi wpadła do komnaty królewna Izabela, ściskając bukiecik jaskrawych kwiatków. Twarz Joanny złagodniała, kiedy Filip podsadził dziewczynkę na łoże, narzekając ze śmiechem, że jest strasznie ciężka. Róża cofała się krok za krokiem, aż jej plecy oparły się o ścianę, gdy tymczasem dworki krzątały się wokół królewskiej pary.

Kiedy Joanna przejrzała jej tajemnicę, Róża schowała ją jeszcze głębiej, dołożyła wszelkich starań, by o niej zapomniano. W obecności króla zawsze trzymała głowę pochyloną; bała się nawet na niego spojrzeć w obawie, że zdradzi ją twarz. Robiła, co jej kazano, i pilnie wypełniała swoje obowiązki, stała się najposłuszniejszą i najcichszą ze wszystkich dworek królowej. Dopiero w nocy oddawała się marzeniom. Jej fantazje kwitły w samotności i mroku, wybujałe jak rośliny, które rosną w cieniu. Teraz, w ciemnej komnacie przesyconej zapachem potu i kwiatów, przybrały postać widma Joanny z wyciągniętym oskarżycielsko palcem. Jakże często Róża wyobrażała sobie jej chorobę i śmierć. Czyżby jej marzenia przybrały rzeczywistą postać?

Brama Templariuszy Piąty dzień marca

Dlaczego, na litość boską, zataiłeś to przede mną? — Szare oczy Roberta ciskały gromy.

Will odwrócił wzrok, spojrzał w dal, na pola. Robert jednak nie dał się zbyć. Zastąpił mu drogę.

I właściwie dlaczego mówisz mi o tym teraz? Zwietrzyłeś jakąś korzyść dla siebie lub swoich mocodawców?

Will zdusił przekleństwo cisnące się na usta, odczekał chwilę i rzekł, siląc się na spokój:

Myślałem, że już po wszystkim. Gdy po śmierci Bonifacego na papieskim tronie zasiadł Benedykt, byłem pewien, że Filip ma jego poparcie. Potem się dowiedziałem, że tak nie jest, że papież sprzeciwił się królowi Francji. Byłem rad, że intryga Filipa spełźnie na niczym. Nie podejrzewałem, że Nogaret posunie się tak daleko. — Potrząsnął głową. — Bonifacy był osobistym nieprzyjacielem króla. Mało, że nie zgodziłby się być jego narzędziem, on sam był w stanie zniszczyć Filipa. Stanowił zagrożenie dla Francji. Ale Benedykt...?

Wiesz na pew R O

no, ż Be Y N

kr

ólYe O

w U N

ski G

legista go zamordował? — zapytał ostro Robert.

Nie. Ale moim zdaniem to, że papież zmarł w czasie wizyty Noga- reta, dalece wykracza poza zbieg okoliczności. Zwłaszcza w świetle tego, co wiem o zgonie poprzedniego papieża.

W bramę wjechał z turkotem wóz; usunęli mu się z drogi. Robert spojrzał na zabudowania Templum wznoszące się białą bryłą pośród nagich pól.

Nie mogę uwierzyć, że król byłby do tego zdolny.

W czasie swego panowania Filip wykorzystał każdą dostępną okazję, żeby zapełnić skarbiec. Najpierw kler.

Potem Żydzi. Później Gaskonia

Flandria. Mimo to skarbiec jest pusty, a plany ekspansji niespełnione. Poddani zaczynają szemrać. Brutalne metody i rosnące podatki, zwłaszcza że zeszłe zbiory były marne, podważają jego autorytet. Ujarzmił Gujennę Flandrię, ale daleko mu do stabilnej władzy w tych prowincjach. Filip musi dać wasalom namacalny dowód, że jest silny, inaczej ich poparcie zacznie się kruszyć. Ale w tym celu potrzebne mu pieniądze. Robercie, król nie boi się tych, których będzie musiał zdeptać w drodze do kanonizacji.

Muszę iść do Hugona. Powiedzieć mu o wszystkim.

Nie. Nie chcę, żeby to się rozniosło.

Chyba nie mówisz poważnie? Ta sprawa nas przerasta, zarówno ciebie, jak i mnie. Jeśli król Francji zamierza doprowadzić do upadku zakonu, muszą się o tym dowiedzieć wszyscy bracia. — Robert z namysłem

zmarszczył czoło. — Trzeba wezwać z Cypru wielkiego mistrza. Większość dostojników zakonu jest przy nim.

Będą musieli wrócić.

I co wtedy? Co zrobią Jakub de Molay i Hugo? Przypuszczą szturm na zamek? Zabiją króla?

Spotkają się z nim i rozmówią rzeczowo. Sam to powiedziałeś: król traci poparcie. Wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli wystąpi przeciwko Templum? Dojdzie do zamieszek na ulicach.

Czyżby? — Will pokręcił głową. — Patrzysz na zakon z wewnątrz, oczyma templariusza. Ja z zewnątrz widzę inne Templum, takie, jakim się jawi prostym ludziom. Zachłanne i butne. Widzę ludzi bogatych i potężnych, stojących ponad prawem, aroganckich i nietykalnych. A do tego podejrzanych, albowiem prowadzą swoje machinacje w tajemnicy i nikt nie zna ich celów.

Tak sądzisz?

Mówię, jak postrzegają was ludzie. Templum otoczyło się wysokimi murami preceptoriów, niechętnie angażując się w sprawy innych, chyba że można je było wykorzystać dla dobra zakonu. Teraz, kiedy wielki mistrz forsuje krucjatę, w którą świat chrześcijański już nie wierzy, rozziew staje się jeszcze większy. Sam o tym wiesz. Templum nie ma przed sobą wytyczonej jasnej drogi. — Will odetchnął głęboko. — A powinna to być droga do pokoju. Trudna, lecz nie niemożliwa. Wszak dzięki wysiłkom braci z Anima Templi, ludzi takich jak Ewerard, udało nam się go w pewnej mierze osiągnąć.

Utrata Akki nie leżała w ich planach — rzeki cicho Robert, odsuwając się wraz z Willem, żeby przepuścić grupę mnichów z klasztoru Świętego Marcina z Pól, którzy przeszli z powagą, ścigani przez bandę rozwrzeszczanych dzieciaków.

Akka musiała upaść. Uświadomił mi to Eliasz. Jak można było roić

o

zbudowaniu trwałego rozejmu między chrześcijaństwem i islamem, skoro miałby się opierać na

zdobyczach wypraw krzyżowych? Lepsze szanse na pojednanie mamy teraz, kiedy w Ziemi Świętej nie ma już naszych wojsk. Trzeba nam słać posłów, nie żołnierzy. Jakub de Molay błądzi. Musimy go nawrócić na właściwy kurs.

My? — prychnął kwaśno Robert. — Opuściłeś zakon.

Tak, ale nie jego Duszę. — Will spojrzał mu w twarz. — Przyznaję, powody, dla których to zrobiłem, były niskie. Chciałem zemsty na Edwardzie. Nadal jej chcę. Ale to pragnienie zaczęło ustępować przed innym: żeby odbudować bractwo i zawrócić Świątynię na właściwą drogę. Zaprzysiągłem wierność ideom bractwa podobnie jak wielu ludzi, których szanowałem i którym wierzyłem, a to oznacza ocalenie Anima Templi przed nią samą.

Co mówisz?

Hugo z Pairaud nie został wybrany, sam objął przewodnictwo po moim odejściu. Nie czułbym goryczy, gdyby miał wizję i dążył do jej urzeczywistnienia, ale w minionych latach nie zrobił nic. Sam powiedziałeś: Dusza Świątyni śpi. Hugo jest zajęty sprawami zakonu, nie ma czasu dla bractwa. Nie wierzy w nie. Gdyby wierzył, nie pozwoliłby mu obumrzeć. Nie zawarłby sojuszu z naszym zdrajcą. Nie poświęciłby Szkocji i zrobiłby więcej, bo chyba tylko on mógł powstrzymać Jakuba od wyruszenia na tę beznadziejną wyprawę. Hugo nie jest moim wrogiem, Robercie. Ale nie

jest też moim sprzymierzeńcem. Templum jest w tej chwili podzielone, nie da się wytyczyć mu szlaku od wewnątrz. Musimy odbudować bractwo w oderwaniu od tych sprzecznych ze sobą wpływów, jeśli chcemy mieć choć cień szansy na ocalenie go przed zakusami królów.

Wciąż nie wiem, jak mamy to zrobić sami.

Nie sami. Filip nie wtajemniczył mnie we wszystko, bo Nogaret wciąż mi nie ufa, ale wiem, kogo zamierzają uczynić papieżem, jeśli tylko Collegium Sacrum da się przekonać. Król i jego legista wyjechali wczoraj z R E Q U I E M

zamku Vincennes, żeby się z nim spotkać. Mają coś na niego, nie wiem jeszcze co, ale użyją tego, by wywrzeć na niego nacisk. Nogaret wiele miesięcy temu rozesłał ludzi na poszukiwanie kandydata, który dałby się zmusić do współdziałania. Wybrali arcybiskupa Bertranda de Got.

Co sugerujesz?

Miałem kiedyś okazję go poznać. Wydaje się mądrym, rozumnym człowiekiem. Nawet jako arcybiskup jest bardzo wpływowy, jako papież będzie właściwie wszechwładny. Musimy go skłonić, żeby opowiedział się po naszej stronie. Jeśli wspomożemy go przeciw Filipowi, stanie się naszym dłużnikiem. Bez poparcia papieża nie zdołamy nic zdziałać, żeby ochronić zakon, a Filip z kolei bez jego poparcia nie zdoła zniszczyć Templum.

Mając sojusznika na Stolicy Piotrowej, być może zdołamy nawet zakończyć raz na zawsze wojnę Edwarda ze Szkocją.

Być może — uciął Robert. — Ale jeśli Edward wyruszy na Szkocję, ty znowu rzucisz wszystko i popędzisz jej na ratunek. Zresztą sam przyznałeś, że nie wyrzekłeś się myśli o zemście.

O Szkocję ma teraz kto walczyć. Anima Templi spoczywa na moich barkach... i twoich. Chcę, żebyś stanął przy mnie, Robercie, ale tak czy owak będę nadal działał. Nie pozwolę Filipowi i Nogaretowi zburzyć Świątyni, w której sercu wciąż tli się marzenie wypiastowane przez mojego ojca i Ewerarda. Musisz zadecydować, czy chcesz mu się poświęcić. Krótko mówiąc, z kim chcesz współpracować: z Hugonem czy ze mną.

Katedra w Bordeaux Dwudziesty dzień marca roku Pańskiego 1305

Bertrand de Got z błogim uśmiechem na twarzy kroczył przez ciche skryptorium. Klerycy pracowali pilnie, schyleni nad pulpitami; pomieszczenie wypełniało skrzypienie gęsich piór na pergaminie i zapach inkaustu z galasówek.

Będzie z nich pożytek — szepnął idący u jego boku kanonik.

Większość już może asystować przy czytaniach podczas mszy.

Który ustęp kazałeś im przepisywać? — Arcybiskup zatrzymał się, żeby zajrzeć jednemu z młodzieńców przez ramię.

Twój ulubiony, panie.

A, tak — rzekł cicho Bertrand, przebiegając oczyma schludne rzędy czarnych liter. Przymknął oczy. — Wesel się, córo Syjonu, wołaj radośnie, córo Jeruzalem! — Podniósł głos; klerycy prostowali plecy, podnosząc głowy znad pulpitów. — Oto król twój jedzie do ciebie, sprawiedliwy

zwycięski. Pokorny; jedzie na osiołku, źrebięciu oślicy.

Drzwi skryptorium zaskrzypiały i uchyliły się nieco. Inny kanonik podbiegł do Bertranda, kłapiąc ciżmami po kamiennej posadzce.

Pst! — Bertrand przyłożył palec do ust.

Wybacz, wasza dostojność, ale jacyś ludzie żądają widzenia z tobą. Kazałem im zaczekać, ale oni...

— Przerwał

mu szczęk i odgłos stanowczych kroków.

Do skryptorium weszła grupa dziesięciu królewskich gwardzistów w kolczugach i krwistoczerwonych tunikach.

Jedenasty, idący przed nimi, był niskim, szczupłym mężczyzną w czarnej szacie i białym jedwabnym czepku.

Królewski legista... — mruknął arcybiskup, czując nagłą suchość w ustach. Za jego plecami skrzypienie piór ustało, młodzi szkolarze gapili się z zaciekawieniem na wysłanników królewskich.

Piszcie dalej — polecił Bertrand i pośpieszył na spotkanie Noga- reta. — Witam, panie — rzekł, starając się, aby jego uśmiech wyglądał naturalnie. — Co za niespodzianka. Czym ci mogę usłużyć?

Pójdziesz ze mną — odparł sucho Nogaret, nie dbając o powitanie czy jakikolwiek grzecznościowy tytuł.

Uśmiech Bertranda zamarł. Arcybiskup zatrzymał się w pół kroku.

Czy coś się stało?

Nic się nie stanie, jeśli pójdziesz z nami.

Arcybiskup pokręcił głową, ściągając brwi.

Mam dziś wiele zajęć, wśród nich ważne spotkanie z biskupami prowincji, którzy zjechali się z daleka, aby się ze mną zobaczyć. Nie mogę wyjechać bez ważnego powodu.

Powód, arcybiskupie, jest taki, że twój król chce się z tobą rozmówić w bardzo pilnej sprawie.

Król?

Jest pod miastem i czeka na ciebie. A zatem...? — Nogaret wskazał gestem otwarte drzwi.

Spojrzenie Betranda spoczęło na żołnierzach, którzy się rozstąpili, żeby zrobić mu przejście. Po chwili wahania ruszył za legistą.

Pół godziny później, po szalenie niewygodnej jeździe po wyboistej drodze wozem, do którego kazano mu wsiąść, Bertrand znalazł się na rozległej zielonej łące. W jej środku przyciągał wzrok wielki czerwony namiot.

W oddali rysowały się mury Bordeaux. Bertrand stęknął, prostując obolałe kości, gdy gwardziści pomogli mu wysiąść z wozu. Chroniczny ból żołądka, prześladujący go od kilku lat, nasilił się jak zawsze, ilekroć byl zdenerwowany. Bez słowa pozwolił Nogaretowi zaprowadzić się do pawilonu, w którym czeka! na niego król Filip.

R E Q U I E M

Katedra w Bordeaux Dwudziesty trzeci dzień marca

Wykluczone. Nie pozwolę nachodzić jego ekscelencji o tej porze.

Musimy z nim pomówić. To sprawa najwyższej wagi.

Więc przyjdźcie rano i poproście o posłuchanie. — Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Will odsunął się i zerknął z irytacją na mężczyznę, który z apetytem gryzł jabłko, opierając się o fasadę budynku.

Mogłeś coś powiedzieć. Poprzeć mnie.

Robert wyłonił się z ciemności, otarł usta i cisnął ogryzek na środek pustego placu.

A czego się spodziewałeś? Arcybiskup pewnie śpi. Mówiłem, że nas nie wpuszczą, ale nie chciałeś słuchać.

Jest dopiero po komplecie — odparł Will, schodząc ze stopni na plac i zadzierając głowę ku niknącym w górze wieżom katedry. W świetle księżyca mury jaśniały upiorną bielą, gargulce i anioły przycupnięte na plintach wyglądały jak widma. Wyżej po niebie gnały jaśniejsze strzępy chmur.

Spróbujemy inną drogą.

Ruszył cicho wzdłuż ściany katedry. Robert poszedł za nim, zerkając przez ramię, czy nikt ich nie obserwuje.

Mieli na sobie ciemne wełniane płaszcze i tuniki, które zasłaniały zbroje. W fasadzie co jakiś czas były drzwi, ale Will skierował się do masywnej furty w wysokim murze. Wyglądało na to, że za nią jest otwarta przestrzeń, dziedziniec lub ogród.

Wejście dla służby — szepnął, kiedy Robert się z nim zrównał. Ujął żelazny pierścień i przekręcił go ostrożnie.

Metal skrzypnął, lecz drzwi ani drgnęły.

Nawet jeśli dostaniemy się do środka, jak chcesz go znaleźć? A skoro już o tym mowa, nie jest powiedziane, że tu nocuje. W dzisiejszych czasach wielu biskupów ma domy poza obrębem kanonii.

Nasz rozmówca oznajmił, że nie wpuści nas do niego o tej porze.

Will odsunął się nieco i zmierzył wzrokiem wysokość muru. — Jest tutaj, na pewno.

Dlaczego nie chcesz czekać do rana? Kilka godzin nie zrobi tak wielkiej różnicy. — Spojrzenie Roberta powędrowało ku szczytowi muru.

Chryste, Will, nie wygłupiaj się. Nie mamy już po piętnaście lat.

Czujesz się staro? — Z ciemności błysnęły wyszczerzone w uśmiechu zęby. Will cofnął się jeszcze trochę, rozpędził i uderzył ramieniem w zamknięte drzwi.

Huk poniósł się po placu. Robert zaklął pod nosem. Spłoszone gołębie wyfrunęły z gołębnika, bieleając w mroku jak duchy. Will spróbował jeszcze raz, stękając z wysiłku. Za trzecim razem skobel pękł i furta odskoczyła.

Zdążył ją złapać, zanim wyrżnęła o mur. Wszedł prędko, rozcierając obite ramię, i na wszelki wypadek dobył

broni. Duże płaskie kamienie poukładane w trawie tworzyły ścieżkę wiodącą do budynku przylegającego tylną ścianą do katedry. Na dziedzińcu było jeszcze parę dobudówek i cysterna.

Robert wszedł za nim i starannie przymknął furtę. Potem sięgnął po własny miecz i ruszył ścieżką do budynku.

Nie dałeś go przekuć?

Czego? — mruknął Will, nie odwracając się.

Swojego starego falcjona.

Przylgnęli do ściany po obu stronach wejścia. Robert zajrzał do środka, wytężając wzrok w ciemności. Will zerknął na trzymany w ręku miecz. Złamany falcjon, owinięty w koszulę, leżał w zamkniętej skrzyni w jego izbie na zamku. Właściwie zamierzał pójść z nim do miecznika, ale coś go powstrzymywało. Nie rozumiał co, aż pewnego dnia, całkiem niedawno, wziął go do światła i odkrył na pękniętej głowni zaschnięte drobiny krwi, które uwięzły w zadziorach metalu. Zdrapując je machinalnie paznokciem, zdał sobie nagle sprawę, iż prawdopodobnie była to krew ostatniego człowieka, którego zabił tym ostrzem: nieznanego z imienia templariusza pod Falkirkiem. Utwierdziło go to w decyzji, iż godzi się, żeby falcjon pozostał złamany.

Spojrzał na Roberta, czując, że powinien mu coś odpowiedzieć, ale właśnie wtedy posłyszeli śpieszne kroki odbijające się echem od ścian korytarza.

Z budynku wyszedł mężczyzna w szarej sukni z kapturem. W ręku trzymał pochodnię i najwyraźniej zmierzał

do wyłamanej właśnie bramy. Kaptur ograniczał mu pole widzenia, toteż nie zauważył dwóch intruzów, dopóki Will z tyłu nie zatkał mu ust. Mężczyzna wydał zduszony okrzyk i upuścił pochodnię, która z sykiem przygasła na mokrej ziemi.

Prowadź do arcybiskupa — rozkazał Will, przyciskając mu ostrze do szyi na tyle mocno, by dać znać, że nie żartuje, i na tyle lekko, by go nie pokaleczyć. — I ani słowa!

Mężczyzna potykając się, ruszył z powrotem do budynku. Will szedł za nim z mieczem, Robert

ubezpieczał ich z boku. Przeszli przez sień do oblanego księżycowym światłem, zamkniętego z czterech stron wirydarza dalej, do większego budynku ozdobionego imponującym portalem. Było późno, większość księży i diakonów już spała, żeby jeszcze przed świtem wstać na jutrznię. W końcu korytarza mignęła jakaś postać, ale kiedy przewodnik się zawahał, Will dźgnął go w plecy, skutecznie przekonując do milczenia. Bez przeszkód dotarli do podwójnych rzeźbionych drzwi na górnym piętrze.

Mężczyzna przystanął.

Błagam — szepnął — nie róbcie mu krzywdy.

R E Q U I E M

Wchodź.

Drżąca dłoń nacisnęła klamkę.

W komnacie było ciemno, pachniało kadzidłem i skądś dobiegał ledwie słyszalny szept. Spojrzenie Willa prześliznęło się po sylwetkach mebli, rozesłanym łożu, skrzyniach, wysokich srebrnych świecznikach i zatrzymało się na ciemnej zasłonie wyszywanej w setki złotych krzyżyków. Szept dochodził zza niej. Dał

Robertowi znak, by pilnował przewodnika, zbliżył się na palcach i odsunął zasłonę.

Posłyszał okrzyk zgrozy i ujrzał przerażone oczy klęczącego człowieka. Bertrand de Got modlił się przed niewielkim ołtarzem okrytym białym obrusem, na którym stała dymiąca kadzielnica i leżało Pismo Święte.

Promień księżycowego światła wpadał przez okno, połyskując na tonsurze arcybiskupa odzianego w długą białą R O B Y N Y O U N G

koszulę.

Przebacz, dostojny ojcze —jęknął pojmany przez nich mężczyzna, padając na kolana. — Ci złoczyńcy zmusili mnie, żebym ich tu przyprowadził.

Spłoszone spojrzenie arcybiskupa biegało od Willa do Roberta. Po chwili wstał i zdjął z szyi złoty krzyż, wysadzany klejnotami połyskującymi ciemno w mroku.

Weźcie to. — Podał Willowi krucyfiks. — Jest wiele wart. Zresztą bierzcie, co chcecie.

Nie jesteśmy rabusiami — burknął Will. — Chcieliśmy z tobą mówić, ekscelencjo. Nie mamy złych zamiarów.

Wyraz lęku nie zniknął z twarzy biskupa. Will schował miecz do pochwy

zapytał:

Widziałeś się, panie, ostatnio z królem Filipem?

Duchowny przyjrzał mu się z uwagą.

Kim jesteście i po co przyszliście?

Przyjaciółmi, którzy nie chcą, żeby król cię wykorzystał dla własnej korzyści.

Bertrand z trudem przełknął ślinę.

Zostaw nas samych, Piotrze — rzekł do klęczącego mężczyzny.

Czy mam... — Piotr zerknął na intruzów.

Nie trzeba. Wierzę, że mnie nie skrzywdzą.

Jakby dla potwierdzenia jego słów Robert też schował miecz. Nie potrzebując dalszej zachęty, mężczyzna wymknął się z komnaty. Posłyszeli jego prędkie kroki w korytarzu.

Myślę, że jednak wezwie pomoc. — Bertrand podszedł do łoża

wziął z niego szatę, którą narzucił na szczupłe ramiona. — Słucham: co macie do powiedzenia? Skąd wiecie o wizycie króla? — Zerknął na twarz Willa majaczącą w półmroku. — Czy ja cię przypadkiem nie znam?

Bytem na naradzie w londyńskim Templum, w której i ty, ekscelencjo, brałeś udział jakieś dziesięć lat temu.

Później widziałem cię kilka razy w zamku królewskim w Paryżu, gdzie od paru lat goszczę.

Należysz więc do ludzi króla? Nie rozumiem... — Bertrand mocniej otulił się szatą i dodał ochryple: — Czego jeszcze może ode mnie chcieć?

Źle mnie zrozumiałeś. Nie jestem sługą ani sojusznikiem króla Francji. Chcę ci pomóc, jeśli mi pozwolisz.

Bertrand zacisnął usta i odwrócił spojrzenie.

Nie wiem, co robić — szepnął. — Nie wiem...

Odpowiedz mi tylko: czy król ci powiedział, czego od ciebie żąda?

Po długim milczeniu arcybiskup skinął głową.

Mam zostać papieżem — rzekł ochryple. — Jego agenci w Perugii już teraz organizują mój wybór.

Czy powiedział ci dlaczego?

Po intronizacji mam spełnić pięć jego żądań.

Jakich?

Cofnę klątwę ciążącą na Wilhelmie de Nogaret. Nominuję do Collegium Sacrum profrancuskich kardynałów.

Wesprę funduszami ze skarbca papieskiego toczącą się wojnę z Anglią i cechami flandryjskimi

oficjalnie ogłoszę papieża Bonifacego heretykiem.

To dopiero cztery — odezwał się Robert, kiedy arcybiskup zamilkł.

Ponadto rozwiążę zakon templariuszy i przekażę jego mienie królom Francji.

Jezus, Maria! — wyszeptał Robert.

Will uświadomił sobie, że rycerz do tej pory mu nie dowierzał.

I co odpowiedziałeś?

Powiedziałem „nie” — rzekł gniewnie Bertrand. — Oznajmiłem, że nie skalam przekupstwem stolicy Pańskiej.

Powiedziałem też, że tylko rycerze Templum walczą jeszcze o odzyskanie Jerozolimy i że nie rozwiążę zakonu.

A król na to, że jeśli odmówię, to go zabiją. — Twarz mu się skurczyła. — Ci dranie mają mojego syna.

Will wymienił z Robertem zdumione spojrzenia. Podszedł do arcybiskupa, który ukrył twarz w dłoniach.

Gdzie go przetrzymują?

Niecałe siedem ***3***

m ***3*** il stąd, w domu, który dla niego kupiłem.

Bertrand spojrzał na Willa z rozpaczą. — Nie mogę go stracić — wyszeptał, chwytając rycerza za rękę. — To takie dobre dziecko!

Co ma się stać dalej?

Bertrand zaczerpnął tchu.

Kazali mi podpisać zobowiązanie. Gdy zostanę papieżem i spełnię wszystkie żądania, zwrócą mi

Raula.

Pomożemy ci, ekscelencjo — rzekł szybko Will. — Ale i ty nam pomóż. Kiedy przyjdzie czas, ocal zakon. Jako papież tylko ty będziesz władny go obronić.

Nie poświęcę syna! — Oczy Bertranda rozszerzyły się ze zgrozy.

Wasza dostojność! — Will przykucnął, zmuszając arcybiskupa, żeby spojrzał mu w oczy. — Raul nie dozna szwanku. Na razie bądź powolny Filipowi, a gdy już zasiądziesz na papieskim tronie, uwolnimy chłopca, wyrywając w ten sposób królowi narzędzie, za pomocą którego chciał tobą powodować.

Możecie go uw R

ol O

ni B

ć?Y N Y O

— Na U

t N

w G

arzy Bertranda błysnęła nadzieja.

Kiedy? Zaraz?

Nie. Filip musi myśleć, że ma twoją zgodę.Wówczas sam cię wyniesie na Stolicę Piotrową. A tam już cię nie dosięgnie. Wtedy przywieziemy ci chłopca. — Will wstał. Arcybiskup odprowadził go spojrzeniem ciemnych zrozpaczonych oczu. — To jedyna szansa, żeby uszedł z życiem.

Ale Nogaret... — szepnął Bertrand i zerwał się na nogi, słysząc biegnących ludzi i nawoływania w korytarzu.

Robert rzucił się do drzwi i zasunął rygiel. W chwilę później zabębniły w nie liczne pięści. — Podobno papież Bonifacy zmarł na serce od wstrząsu po napaści na Anagni i po tym, jak go potraktowano. Ale słyszałem też inne, straszne pogłoski, że jego śmierć wcale nie była naturalna. Nogaret ze mną może zrobić to samo.

Musisz mi zaufać, ekscelencjo. Zaufaj mi, a ocalę twojego syna.

Ufam ci — rzekł z mocą Bertrand i w tej samej chwili drzwi puściły z trzaskiem.

Zamek Vincennes Dziewiąty dzień kwietnia roku Pańskiego 1305

Filip dźgnął konia ostrogą i wjeżdżając do lasu, przyśpieszył. Gwardziści i doradcy nie mogli za nim nadążyć w tym brawurowym tempie. Słońce przeświecało przez korony drzew, zmieniając wydeptaną ścieżkę w złocisty szlak. Filip dobrze znał te lasy. Wychował się tutaj, wraz z braćmi wspinał na kasztany i dęby, uczył się jeździć konno i polować. Tu wyszkolił swojego pierwszego sokoła, wiele lat przed Panną. Wspominał młodzieńczą wolność, nie obciążoną jeszcze brzemieniem dorosłości i władzy, politycznych gier i masek. Za każdym razem kiedy jechał tym traktem do zamku, zostawiając za sobą smród i brud miasta, czuł, jak opadają z niego smutki i wraca mu młodość.

Dziś, bez ciągłego świerzbienia włosiennicy, jego radość była całkowita. Nie nosił koszuli pokutnej od dwóch tygodni i skóra zaczynała się goić, a szramy po biczowaniu zbladły. Podróż do Bordeaux okazała się skuteczna, pozwolił więc sobie na krótki wypoczynek od codziennych umartwień, którymi przed rozmową z arcybiskupem katował się surowiej niż zwykle. Teraz, uwolniony od niewygody i zmartwienia, mógł się w pełni rozkoszować powrotem do domu. Cieszył się ciepłem słońca na twarzy i aromatem listowia otaczających drzew, spowitych zielonym cieniem, w którym jeszcze brzmiały echa dawnych przygód. Tu odbywał pierwsze wyprawy łowieckie za jeleniem lub dzikiem. Te drzewa ocieniały jego i Joannę, gdy połączył ich pierwszy, nieśmiały jeszcze uścisk.

Na te same drzewa wspinały się jego dzieci, popiskując ze strachu na wyższych konarach.

Dostrzegłszy nad koronami zarys szarych wież zamku, Filip zwolnił do kłusa, chcąc przedłużyć radość. Dzień był słoneczny i wietrzny, idealny na łowy. Postanowił wybrać się jutro do lasu, sam, może tylko z sokolnikiem i paroma zaufanymi dworzanami. Tęsknił za poczuciem spełnienia

towarzyszącego udanemu polowaniu. Kiedy wypuszczał strzałę albo uwalniał ptaka, który w jego imieniu odnosił zwycięstwo, napięcie osiągało szczyt i w cudowny sposób gasło. Polityka rzadko dawała mu podobną satysfakcję. Wszystko w niej było ciasne, pokręcone, splątane. Król powinien wszak rządzić, poddani zaś —

kłaniać się nisko i robić, co im rozkaże. Tymczasem nie wszystko układało się wedle jego woli. Długotrwały i nużący spór z papiestwem, krnąbrność Bonifacego i upór Benedykta wyczerpały go ponad wszelkie

wyobrażenie. Teraz wreszcie wydawało się, że postawił na swoim. Nogaret był już w Perugii i przekonywał

kardynałów, żeby wybrali Bertranda. Jeśli nie nastąpi nieoczekiwana zwłoka, Filip jest na najlepszej drodze do umocnienia królestwa, a co ważniejsze — zapewnienia sobie zbawienia.

Uśmiechał się do siebie, nie zauważając zatroskanych min strażników przy bramie zamkowej ani przygaszonych głosów giermków, którzy wybiegli ze stajni, żeby odebrać od niego wodze zmęczonego rumaka. Dopiero kiedy wyszedł mu na powitanie majordom wraz z grupą najbliższych doradców, Filip zatrzymał się jak wryty, a uśmiech spełzł mu z warg. Patrzył na ich smutne, poważne twarze, czując, że zimna obręcz zaciska mu się wokół serca.

Najpierw pomyślał o Izabeli i Ludwiku — swojej ulubienicy i następcy tronu. Musiał chyba wypowiedzieć na głos ich imiona, bo majordom podszedł, kręcąc głową.

Najjaśniejszy panie — mówił — łączymy się z tobą w boleści. Królowa...

Nie skończył, bo Filip odepchnął go z drogi i pognał jak szalony do komnat małżonki.

Zamek królewski, w Paryżu Dwunasty dzień kwietnia

Deszcz lał się potokami z dachów, rozpuszczając zalegający ulice brud w szarą maź. Niebo było ołowiane, chmury wisiały nisko, nabrzmiałe ulewą. Wieże katedry niknęły we mgle, która przygniotła miasto. Ludzie schylali głowy pod strugami wody, twarze mieli ściągnięte z zimna. Drzwi i okiennice składów pozamykano, na targu tylko paru przekupniów kuliło się pod płóciennymi daszkami, grobowym głosem nawołując przechodniów.

Błękitne niebo i ciepła pogoda ostatnich paru tygodni wydawały się odległą przeszłością. Najwyraźniej wróciła zima.

Will zsiadł z konia za zamkowym dziedzińcu i rozejrzał się za pachołkiem, ale poza dwoma strażnikami przy bramie dziedziniec zdawał się pusty, sam więc zaprowadził wierzchowca do stajni. Był przemoczony i zbryzgany błotem po całodziennej jeździe, ale nie zmęczenie dominowało w jego myślach. Przez ostatnie kilka dni szlifował wymówkę mającą usprawiedliwić jego nieobecność, ale za każdym kolejnym razem, gdy ją sobie powtarzał, coraz bardziej wyglądała na kłamstwo — którym była. Przed wyjazdem do Bordeaux powiedział

Piotrowi Dubois, że otrzymał wiadomość od Wallace'a i jedzie do Lyonu spotkać się z człowiekiem, który gotów jest pokryRć O B

pe Y

w N

ie Y

n O

uł U

a N

m G

ek kosztów prowadzonej przez Szkotów wojny. Dubois wysłuchał go bez

większego zainteresowania, ale Will wiedział, że królowi to nie wystarczy. Z tego też powodu miał nadzieję wrócić do Paryża przed nim i zapewne byłby zdążył, gdyby nie wypadki w Bordeaux.

Kiedy kanonicy włamali się wreszcie do komnaty, Willa i Roberta zamknięto w celi, gdzie przesiedzieli kilka dni. W tym czasie kapituła przekonywała oszołomionego Bertranda, że musi ich ukarać za bezprawne najście.

Dopiero gdy arcybiskup uspokoił się po wstrząsie i ponownie silną ręką uchwycił władzę, kazał ich wypuścić.

Opóźnienie zwiększył deszcz, który lał przez całą drogę. Will był więc pewien, że król już dotarł do Paryża i docieka przyczyn jego nieobecności.

W stajni znalazł kilku koniuchów, którzy schronili się przed deszczem. Zbici w kupkę siedzieli na sianie, rozmawiając cicho. Dwóch zerwało się z miejsca na widok Willa, który wbiegł do środka, uchylając głowę przed strumieniem wody lejącym się z okapu.

Wybacz, panie — rzekł jeden z pachołków, biorąc od niego wodze.

Nie zauważyliśmy cię w tym deszczu.

W stajni było niezwykle pusto i cicho, stajenni najwyraźniej nie mieli żadnych zajęć i nikt ich nie nadzorował.

Will wyjrzał na opustoszały dziedziniec. Nawet w deszcz czy zawieruchę zawsze ktoś się tu krzątał.

Gdzie są wszyscy? — spytał.

Chłopak niepewnie obejrzał się na pozostałych. Jeden, trochę starszy od reszty, wstał i podszedł bliżej.

Na pogrzebie, panie.

Czyim?

Młody człowiek spojrzał na niego ze zdumieniem.

No jakżeby? Królowej.

Zaskoczony Will aż świsnął przez zęby. Mimo szoku zaświtała mu wątła iskierka nadziei. Wiedział, jak bardzo zżyta była królewska para. Być może żałoba odmieni Filipa lub przynajmniej dotknie go na tyle, że wykonanie planów się opóźni, dając Willowi więcej czasu na działanie. Zaraz potem otrzeźwiał. Historia nieraz dowiodła, że głęboki smutek może albo złamać człowieka, albo go zmobilizować. Edward na przykład po stracie ukochanej małżonki stał się jeszcze bardziej bezwzględny niż przedtem. Will uświadomił sobie, że przykłada do Filipa własną miarę. Żal po śmierci Elwiny na długie lata pozbawił go celu i ochoty do życia. Nie może z góry zakładać, co zrobi Filip.

Wracają! — do boksu wpadł podniecony pomocnik stajenny.

Pachołkowie natychmiast zerwali się na nogi. Z zewnątrz dobiegło

mokre kłapanie kopyt. Will wyszedł na dziedziniec. Kondukt pogrzebowy wchodził właśnie przez bramę.

Najpierw jechali gwardziści w przemoczonych tunikach, otrząsając z rzęs krople deszczu. Za nimi szedł pieszo król, sam. Tren czarnego płaszcza ciągnął się po błocie. W stosownej odległości za królem szli jego główni doradcy, Piotr Dubois i Wilhelm de Plaisans, majordom oraz królewski spowiednik, Wilhelm z Paryża. Nogareta nigdzie nie było widać. Za dostojnikami prowadzono dzieci. Mała Izabela, uczepiona ręki piastunki, w drugiej dłoni trzymała czerwoną różę. Dalej szły damy i dworki; podtrzymywana przez Blankę Małgorzata szlochała, kryjąc twarz w dłoniach. Z powagą na twarzach kroczyli urzędnicy dworscy, biskupi i duchowieństwo, książęta i dygnitarze.

Will dostrzegł w pochodzie chudą bladą kobietę w czarnej sukni. Serce mu się ścisnęło na widok córki, która w tym olbrzymim tłumie była tak straszliwie samotna. Skupienie całej uwagi na ocaleniu Templum przed knowaniami króla wbrew pozorom przyniosło mu ulgę, pozwoliło zapomnieć o przepaści, jaka oddzieliła go od Róży. Mówił sobie, że gdy tylko zakon będzie bezpieczny, postara się tę przepaść zasypać. W głębi duszy jednak wiedział, że wówczas znajdzie sobie kolejną ucieczkę podobnie jak w minionych latach. Traktował Różę jak córkę, choć nie on ją spłodził, i nigdy nie przestał jej kochać. Po prostu w pewnej chwili brakło mu odwagi.

Wyrzuty sumienia pchnęły go naprzód, kazały do niej podejść. Drgnęła, kiedy ujął ją za ramię i rozchlapując kałuże, odprowadził na bok, na przeciwległą stronę dziedzińca. Wydawała się otępiała i bezwolna. Przeszli do ogrodów, do ustronnego kątka, gdzie osłonięta starym cisem stała kamienna ława.

Jesteś cała mokra — mruknął, gdy siadali. Zdając sobie sprawę, że sam również jest przemoknięty na wylot, ograniczył się do odgarnięcia przylepionych do czoła Róży włosów. Ręka mu opadła, kiedy się jej przyjrzał.

Oczy miała zapatrzone w przestrzeń i puste, twarz białą jak płótno, jeśli nie liczyć dwóch szkarłatnych wypieków na kościach policzkowych. Uświadomił sobie, że od wielu miesięcy nie widział jej z tak bliska. Kiedy była dzieckiem, uderzało go podobieństwo Róży do Elwiny. Z wiekiem matczyne cechy się zatarły i teraz pokazywała światu własną twarz — twarz wypełnioną takim bezgranicznym smutkiem, że zaparło mu dech.

Złapał ją za zziębniętą rękę.

Córeczko, wiem, że mi nie ufasz i może nie dałem ci podstaw do ufności, ale nigdy nie przestałem cię kochać.

Musisz w to uwierzyć. Bałem się... — Potrząsnął głową. — Nie. Byłem samolubny. Przedłożyłem ból ponad ojcowski obowiązek. Pozwoliłem, by to, co się stało z Elwiną, rzuciło cień na moją miłość do ciebie. Nie spodziewam się, że mi łatwo wybaczysz, ale chciałbym...

To przeze mnie.

Mówiła tak cicho, że zajęło mu chwilę zrozumienie, co powiedziała. Serce mu zabiło. A zatem go nie odtrąciła.

To ja zabiłam kr R

ólO B

owYą N

. Y O U N G

Co?! — Na moment wstrząs wyparł z niego wszystkie inne uczucia.

Milczała, patrząc na zamglony ogród. Will złapał ją za ramiona i obrócił

do siebie.

Różyczko, opamiętaj się. Co ty mówisz?

Jej spojrzenie z pewnym trudem skupiło się na nim.

Tak często życzyłam jej w duchu, by umarła... Ale tego... — pokręciła głową — tego co ją spotkało, nie chciałam. Byłam przy jej śmierci. Dobry Boże... — Zacisnęła oczy. — Ten smród... Cuchnęła śmiercią, kiedy opanowała ją gorączka i zatruła krew. Tak strasznie cierpiała i umierała tak długo... Nie mogłyśmy zrobić nic, tylko czekać.

A więc zmarła od choroby?

Tak. Tutaj. — Róża przyłożyła dłoń do dołu brzucha.

Teraz dopiero Will poczuł ulgę.

Dlaczego, na rany Chrystusa, mówisz, że to ty ją zabiłaś?

Nie słuchałeś. — Twarz Róży stwardniała. — Życzyłam jej śmierci.

Źle cię traktowała?

Wstała, szykując się do odejścia, ale złapał ją za rękę.

Dlaczego życzyłaś jej śmierci?

Bo go kocham.

Will milczał długo. W końcu wyrzekł z trudem:

Filipa?

Kiedy kiwnęła głową, zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie on jest temu winien. Odsuwając ją od siebie, skłonił, by szukała uczucia gdzie indziej. Ulokowała je w człowieku nie dość, że całkiem dla niej niedostępnym, to jeszcze nieobliczalnym, zmiennym i niebezpiecznym; człowieku, którego on sam starał się powstrzymać od kolejnej zbrodni. Myśl o tym była bardziej niż niepokojąca. Odsuwając na razie istotę problemu, skupił się na czymś, co znał.

Posłuchaj mnie, Różyczko — rzekł, sadzając ją z powrotem na ławce. — Nie zabija się ludzi samym życzeniem.

Tego nie możesz wiedzieć.

Wiem. Sam też kiedyś popełniłem taki błąd.

Popatrzyła na niego.

Miałem siostrę, Maryjkę. Byliśmy prawie rówieśnikami, ale to ona była ulubienicą ojca, a ja nie chciałem się nim dzielić. Często myślałem, jakby to było cudnie, gdyby jej nie było. Słyszałaś, że utonęła. Nie wiesz natomiast, że stało się to przeze mnie. Pokłóciliśmy się i popchnąłem ją mocniej, niż zamierzałem. Spadła z wysokiego brzegu, uderzyła się w głowę i poszła pod wodę. Próbowałem ją ratować, ale było już za późno. Po tym wszystkim ojciec wywiózł mnie do Londynu, a sam udał się do Ziemi Świętej. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Matki także.

Wydało mu się, że w oczach Róży mignęło coś na kształt współczucia, ale zgasło, nim zdążył zyskać pewność.

Przez lata dźwigałem brzemię winy. Chyba nigdy się od niego nie uwolniłem. Przez długi czas miało ono wpływ na każdą moją decyzję, skłaniając mnie do czynów nieprzemyślanych, często głupich, popełnianych w próżnej nadziei, że zdołam odpokutować tamto. Spowodowałem jej śmierć, ale przypadkiem, nie rozmyślnie ani siłą woli. Teraz to wiem. Zmarnowałem jednak pół życia, zanim to zrozumiałem. Nie chcę, żebyś popełniła ten sam błąd. — Ujął Różę za ręce. — Nie nakładaj na siebie takiego jarzma. Wyzwól się od strachu, poczucia winy... od tej beznadziejnej miłości.

Miał wrażenie, że na jej twarzy wyrósł mur.

Beznadziejnej? — Zmierzyła go oczyma zimnymi jak kamień.

Uważasz, że takiego potwora jak ja nie można kochać?

Co ty mówisz? Jesteś piękną panną...

O! — Szarpnęła szeroki rękaw, odsłaniając pokryte bliznami ramię.

Oto właśnie dowód ojcowskiej miłości Nie śpieszyło ci się, żeby nas ratować — dodała gorzko i obróciła się na pięcie.

Wyciągnął rękę, chcąc ją zatrzymać, ale namacał tylko mokry welon. Wyrwała go gwałtownie i odeszła. Patrzył, jak znika w deszczu, i czuł, że otwiera się w nim świeża rana.

Zamek królewski w Paryżu Trzydziesty dzień czerwca

Róża przystanęła w progu, nasłuchując odgłosów dobiegających z komnaty sypialnej króla. Powtarzały się raz po raz: szybki świst, ostry odgłos uderzenia i syk spazmatycznie wciąganego powietrza. Plecy ją rozbolały, bo stała oparta o futrynę, kurczowo trzymając uchylone drzwi, żeby się

nie zatrzasnęły w ciepłym przeciągu, lecz nie chciała odejść, a nie miała odwagi przekroczyć progu. Co jakiś czas w korytarzu rozlegały się kroki, ale cichły w oddali. Po śmierci królowej ta część zamku opustoszała. Królewna Izabela spędzała większość czasu z piastunką, królewicze pobierali nauki, Nogaret był za granicą w interesach, a resztę doradców król rzadko przyjmował. Pałacowa służba wciąż chodziła na palcach, nie ważąc się zaśmiać czy podnieść głosu. Jedyną osobą, z którą Fi Rli O B Y

p nieNc Y O

o cz U

ę N

ściGej przebywał, był jego spowiednik, pobożny dominikanin, Wilhelm z Paryża. W

izbie dworek też było pusto. Małgorzata i dwie inne wyjechały na dwory braci królewskich. Zostały Róża, Blanka i jeszcze jedna. Po cichu zastanawiano się nad powtórnym ożenkiem króla, ale on sam nie chciał o tym myśleć.

W tych minionych miesiącach Róża starała się być tak blisko niego, jak to tylko możliwe bez grzechu. Wkradała się do komnaty, żeby poskładać niecierpliwie rzuconą na podłogę odzież, naprawić wystrzępione obszycie w jego ulubionym płaszczu, postawić przy łożu świeże kwiaty. Takie rzeczy mógł zrobić ktokolwiek i Filip z pewnością ich nie zauważał, ale były potrzebne jej samej.

Wbrew dawnym fantazjom, rzeczywista śmierć królowej nią wstrząsnęła. Te same pragnienia, które tak długo podtrzymywały ją na duchu, teraz obróciły się przeciwko niej. Poczucie winy i wstyd kipiały w niej niczym jad, zatruwając duszę. Podczas mszy w Sainte-Chapelle modliła się goręcej niż kiedykolwiek w życiu. Po raz pierwszy zamykała oczy nie po to, by marzyć, lecz by nic nie rozpraszało jej żalu za grzechy. Drobne przysługi oddawane królowi nie miały na celu zdobycia jego względów. Robiła to w nadziei na przebaczenie — nadziei płonnej, bo przecież nie wiedział, co się dzieje w jej sercu.

Zacisnęła oczy, gdy z alkowy mieszczącej domową kapliczkę dobiegł nieco głośniejszy jęk bólu. Filip oddychał

teraz głośno i szybko, w tempie zadawanych sobie razów. Róża kurczyła się w sobie, jak gdyby bicz spadał na jej plecy. Nie mogąc znieść tego dłużej, otworzyła drzwi i zrobiła parę kroków w głąb komnaty. Zatrzymał ją niespodziewany widok własnego odbicia w zwierciadle przy łożu — miała uniesione zaciśnięte dłonie przy-

łożone do ust. Doleciał ją kolejny świst i jej spojrzenie wróciło do czarnej zasłony haftowanej w lilie. Nie pozwalając sobie na zastanowienie czy wahanie, podeszła jeszcze bliżej i uchyliła zasłonę.

Filip klęczał przed ołtarzem. Był nagi do pasa, po obnażonych plecach spływała krew. W ręce ściskał dyscyplinę z końskiego włosia. Podłoga i białe płótno na ołtarzu spryskane były jaskrawoczerwonymi kropelkami. Obrócił

się zaskoczony, mrużąc oczy w świetle padającym z okna.

Róża przykucnęła przed nim, rąbkiem niebieskiej sukni rozmazując krew.

Błagam cię, panie — szepnęła, wyciągając rękę po bicz — przestań.

Filip pozwolił jej zacisnąć palce wokół swojej dłoni, ale bicza nie puścił.

Czy modlisz się za mnie, Różo? — spytał chrapliwym z bólu głosem.

Codziennie, panie.

Myślisz, że to wystarczy? Ze modlitwy poddanych wystarczą?

Przekrzywiła głowę, starając się pojąć, o czym mówi. Filip spojrzał na

ołtarz wzrokiem bez wyrazu.

Mój spowiednik twierdzi, że jeśli będę się żarliwie modlił i czynił pokutę, w końcu go usłyszę.

Kogo, panie?

Wciąż trzymała króla za rękę. Znieruchomieli oboje w sztywnych, nienaturalnych pozach, blizny na jej wyciągniętym ramieniu były równie widoczne jak jego szramy. W powietrzu unosił się ciężki zapach krwi.

Głos Boga. — Wzrok Filipa spoczął na niej. — Mówiło o nim tylu wielkich ludzi, papieży, królów i uczonych; o cudownym zespoleniu,

o

rozkoszy unoszenia się w cieple Bożej miłości, o potężnym jak dzwon głosie rozlegającym się w duszy.

Słyszałem od ojca, że mój dziad nieraz

o

tym wspominał. Bóg przemawiał w nim jak rzeka, której nurt porywa, ciągnie duszę za sobą. Ale ja nigdy Go nie słyszałem. — Czoło Filipa przecięła zmarszczka. — A skoro ja nie słyszę, to na pewno i On mnie nie słyszy. To znaczy, że żadna z moich modlitw nie była dość mocna, żeby do Niego dotrzeć.

Róża chciała powiedzieć, żeby się nie martwił. Ona także nigdy nie słyszała głosu Boga, ale czuła Jego obecność w niebiosach, skąd ją obserwował i osądzał. Powstrzymał ją wstyd. Jej przemyślenia były wszak nikłym, nieważnym szeptem, którym nie godzi się zakłócać grzmiących głosów koronowanych głów.

Filip chyba nie oczekiwał odpowiedzi, bo po chwili podjął:

To dlatego moja królowa nie żyje. Modliłem się do Boga, żeby miał ją w opiece pod moją nieobecność, modliłem się, żeby ją uzdrowił, ale on mnie nie usłyszał. Albo usłyszał, lecz nie spełnił prośby, chcąc mnie ukarać.

To nieprawda, panie. Ja...

Wiele złego dzieje się za moją sprawą. Przelewa się krew. Spowiednik mówi, że jedynym sposobem, by za to odpokutować, jest przelanie mojej własnej. — Uwolnił rękę i mocno smagnął się biczem po barku.

Błagam, panie! — Róża złapała go za rękę. — Ja się będę za ciebie modlić. Niech Bóg usłyszy, jak wychwalam twoje imię. Niech z moich ust dowie się o twojej pokucie!

Filip oddychał ciężko, twarz miał sperloną potem, ale kiedy pociągnęła dyscyplinę, ustąpił, rozluźnił uchwyt.

Odłożyła ją na bok i uklękła, składając ręce.

Z początku słowa błądziły jej chaotycznie po głowie, potem nabrały rytmu i zaczęły wzbierać, przeradzać się w niezbyt spójną, ale płynną modlitwę złożoną z próśb, obietnic, adoracji, fragmentów psalmów i powtarzanych raz po raz Ojcze nasz. Modliła się gorąco i szczerze, zapomniawszy o królu, który klęczał tuż za nią. Jego oddech był teraz spokojniejszy, mocniejszy, tworzył tło dla prędkiego szeptu dobywającego się z jej ust.

I odpuść mu jeg R

o O

w BinYyN,

PYa O

niUe,N j G

ak wybaczasz nam wszystkim...

Joanna powiedziała mi kiedyś, że chce cię odprawić.

Róża urwała. Była tak zatopiona w litanii, że przez mgnienie oka wydało jej się, iż to Bóg do niej przemówił.

Otworzyła oczy.

Filip zmienił pozycję.

Powiedziała, że mnie pożądasz. Ze twój afekt jest niebezpieczny.

Róża ścisnęła złożone dłonie tak mocno, że ramiona zaczęły jej drżeć.

Roześmiałem się i powiedziałem jej, że gada głupstwa. Szkoda byłoby się pozbywać sumiennej służki z powodu jakichś tam panieńskich rojeń. W rzeczywistości twoje uwielbienie sprawiało mi przyjemność.

Jego głos był teraz bliższy, oddech omiatał jej kark. — Poddana winna kochać swego króla w dowolny sposób, w jaki miłość może się przejawiać. Cieszę się, że się za mnie modlisz, Różo. Musisz się za mnie modlić.

Poczuła jego ręce na swoich ramionach. Wstrzymała oddech.

Mów dalej — szepnął.

Zamknęła oczy, ale wewnątrz siebie nie znalazła już żadnych słów, tylko rozpaloną ciemność, od której zrobiło jej się słabo.

Najjaśniejszy panie — doleciało od wejścia. Oboje drgnęli.

W komnacie stał Nogaret, jego blada twarz widoczna była w ramie rozsuniętych zasłon. Król wstał i podszedł do niego.

Czyżbyś w podróży zapomniał o manierach, ministrze? —warknął.

Dlaczego wchodzisz bez pukania?

Pukałem, ale wasza królewska mość chyba nie słyszał.

Róża zerwała się na nogi, czując na sobie zimny, przenikliwy wzrok legisty. Rumieniec palił jej policzki.

Skłoniła się przed królem i wymknęła z komnaty. Zamykając za sobą drzwi, usłyszała:

Będąc już we Fr R

a O

nc Bji Y, N Y

dow O

ie U N

dzi G

ałem się o śmierci królowej. Głęboko boleję...

Nie chcę twego współczucia, Nogaret. Wolałbym usłyszeć dobre wieści.

Rad zatem jestem, że będą ci pociechą. Zapewniliśmy sobie dwie trzecie głosów. Bertrand de Got został obrany nowym papieżem. Droga do Templum stoi przed nami otworem.

Nieopodal Bordeaux Czternasty dzień listopada roku Pańskiego 1305

Jesteś pewien, że nie pobłądziliśmy? — Robert uniósł się w strzemionach i rozejrzał po zamiatanych wiatrem polach. Krzewy winorośli dawno już oddały plon, szeleściły teraz zeschłymi żółtymi liśćmi. — Może na tamtym rozwidleniu trzeba było skręcić w lewo?

Zatrzymał się, patrząc ze zniecierpliwieniem na Willa, który został nieco w tyle i obrócił się w siodle.

Czy ty mnie słuchasz?

Co? — Will popędził konia.

Robert spojrzał ponad jego ramieniem na trakt.

Nie mów mi, że wciąż się martwisz — rzekł, mierząc wzrokiem czterech mężczyzn, którzy jechali za nimi na zmęczonych koniach. Ubrani byli w takie same ciemne proste szaty zakrywające kolczugi. Kiedy Will nie odpowiedział, Robert sapnął ze zniecierpliwieniem. — Jak mam cię przekonać?

Zostanę przekonany, kiedy wszystko się uda.

To dobrzy ludzie, znam ich od lat. Zrobią, co będzie trzeba.

Bardziej martwię się o to, że się potem wygadają. — Will znów podpędził konia, utrzymując się na przedzie. Za plecami słyszał cichą rozmowę dwóch rycerzy. Wszyscy czterej byli od niego młodsi o dwie dekady. W ich towarzystwie czuł deprymującą nostalgię. Dziwnie było znów, po tylu latach, znaleźć się wśród templariuszy.

Żaden z nich nie miał na sobie habitu, ale widać było, iż stanowią jedność; gdy w porze każdej mszy klękali solennie na skraju drogi, odmawiając Ojcze nasz, gdy łamali się chlebem przy wieczerzy, gdy jeden czuwał, kiedy inni spali. Will zatracił już wspomnienie takiego braterstwa. Uświadomił sobie, że za nim tęskni.

Przysięgli milczeć — zapewnił go Robert.

Powiedziałeś im, że tę misję zlecił mistrz Francji. A jeśli będą z nim mówić po powrocie do Paryża?

Są pod moją komendą, nie jego. Ale skoro cię to martwi, powiedzmy im prawdę. Na razie wiedzą, że mamy uwolnić dziecko miejscowego szlachcica. Co za różnica, jeśli się dowiedzą, kim jest ten szlachcic i że dziecko jest więźniem króla Francji? Przynajmniej będą w pełni zdawać sobie sprawę z wagi powodzenia misji.

Im mniej wiedzą, tym lepiej — odparł Will. — Nie chcę ryzykować, że dotrą do Hugona jakieś pogłoski, zwłaszcza o moim udziale.

Czyli dochodzimy do sedna.

To znaczy?

Robert zerknął przez ramię, żeby się upewnić, iż rycerze nie będą ich słyszeć.

Tak naprawdę chodzi o Hugona. Mniej zależy ci na tym, żeby świat się nie dowiedział o królewskim spisku, a bardziej, żeby nie dowiedział się

o

nim Hugon. Zastanawiam się tylko, czy powoduje tobą lęk, że dowiedziawszy się o twoim pobycie w Paryżu, ujmie cię i wtrąci do lochu... czy też spiskowanie ze mną za jego plecami jest dla ciebie namiastką kary wymierzonej mu za to, że zajął twoje miejsce. Niezależnie od przyczyny, boję się, że narażasz zakon.

Powiedziałem ci już, dlaczego nie chcę, żeby Hugo o tym wiedział.

Możemy nie mieć wyboru. Jeśli się nam nie powiedzie, będziemy musieli go wtajemniczyć. Przypuszczalnie w tej chwili Bertrand zakłada papieską tiarę. Jeśli nie uwolnimy chłopca, zrobi wszystko, co rozkaże mu król Francji. Między innymi poda mu Templum na srebrnej tacy. — Kiedy Will nie odpowiedział, Robert zerknął

na rycerzy. — Tak czy owak, we dwóch nie dalibyśmy sobie rady. Na Szymona się nie zgodziłeś.

I nadal się nie zgadzam.

Szymon nie jest głupcem. Przyjaźni się z nami dostatecznie długo, żeby się domyślić, że nie zawsze chadzamy tą samą ścieżką co reszta braci. Na litość boską, pomagał ci odzyskać Księgę Graala.

Domyślać się to nie to samo, co wiedzieć.

Sam mówisz, że chciałbyś odbudować Duszę Świątyni. Zawsze mieliśmy w swoim gronie jednego z braci służebnych.

Nie chcę go do tego mieszać. I już. Koniec dyskusji.

Co zatem...

Posłuchaj! — syknął ze złością Will, obracając się w siodle i patrząc przyjacielowi w oczy. — Wiesz równie dobrze jak ja, że przystąpienie do bractwa jest niebezpieczne. Wiąże się z ryzykiem, osamotnieniem, ofiarami, które trzeba ponieść. Minione stulecie członkowie Anima Templi spędzili w cieniu, działając wbrew polityce zakonu i używając jego środków do działań, które spotkałyby się z potępieniem zarówno templariuszy, jak i całego Kościoła. Działań, za które można trafić na szafot.

Szymon przyłączyłby się do nas z chętnym sercem, wiem o tym, ale nie zrobiłby tego dla sprawy, tylko dla mnie. Omal nie stracił życia, szukając mnie w Szkocji, a ja nie chcę go mieć na sumieniu. Ponad wszelką wątpliwość zostanie mianowany pierwszym koniuszym i bardzo się z tego cieszę. Chcę, żeby przeżył zimę swego życia w Templum. Bo to jest jego dom. To co tu robimy, robimy właśnie po to, żeby tacy ludzie jak Szymon nadal mieli dom i zapewniony byt.

Jechali chwilę R

wO B

miYl N

cz eY O

ni U

u. N G

Wiatr posępnie zawodził w winorośli.

Nadal chcesz jechać do Lyonu, jeśli się nam uda? — spytał w końcu Robert.

Tak. Bertrand musi wiedzieć, że się udało. Dopóki się nie upewni, że syn jest bezpieczny, będzie sługą Filipa.

Będę musiał się pośpieszyć. Droga zajmie mi dwa tygodnie jak obszył.

Może ja powinienem jechać albo ktoś z moich ludzi? Król, doradcy, Róża, wszyscy myślą, że jesteś na rozmowach z Wallace'em. I wszyscy będą w Lyonie na intronizacji. Ktoś może cię rozpoznać.

Róża nie jedzie — rzekł wymijająco Will. Zerknął na Roberta.

Wiem, że to już było bardzo dawno temu, ale kiedy rozmawiałeś z nią wówczas na moją prośbę, czy ona...

Czy ona co? — burknął zaczepnie Robert, spuszczając oczy.

Czy mówiła o swoim afekcie do króla?

A odczuwa takowy?

Jest — powiedział nagle Will, wskazując wielki dąb sterczący pośród pól, za którymi wznosiły się garby dwóch wzgórz. — Właśnie tak opisał to arcybiskup. Nie pobłądziliśmy. — Zatrzymał wierzchowca i zsunął się z siodła. — Powinniśmy ukryć konie. Dalej pójdziemy pieszo.

Robert skinął na swoich ludzi.

Wciąż jestem zdumiony, że trzymają go tutaj.

Dom jest na uboczu, prawie niewidoczny, idealny na więzienie. Wie

o

nim tylko Bertrand, a kto jak kto, on by tego nie rozgłaszał. Gdyby ujawnił swoją tajemnicę, naraziłby i siebie, i dziecko. Nam się przyznał wyłącznie dlatego, że już wiedzieliśmy, iż król ma na niego haczyk.

Zatem postanowione? Nie zostawiamy strażników przy życiu?

Jeśli przeżyją, mogą nas rozpoznać. Nie mamy wyboru.

Wiesz, myślałem, że po powrocie z Ziemi Świętej nie będę już musiał zabijać. — Robert zeskoczył z siodła.

Will popatrzył przed siebie.

Boję się, że nie po raz ostatni będziemy przelewać krew, zanim to wszystko się skończy.

Lyon

Czternasty dzień listopada

Bertrand de Got złapał za poręcz tronu, starając się nie upuścić papieskiego krzyża, gdy lektyka zakołysała się gwałtownie. Niosący ją mężczyźni z trudem torowali sobie drogę w tłumie. Wrzawa była ogłuszająca. Bertrand rad był, że ma nad sobą baldachim ze sztywnego wyszywanego jedwabiu — zewsząd sypały się na niego kwiaty i wieńce, a sądząc z głuchego odgłosu, z jakim uderzały o tkaninę niektóre z tych darów, nie wszystkie przyjąłby z wdzięcznością. Żołądek palił go żywym ogniem, w gardle czuł kwas, ale uśmiechał się dobrotliwie, od czasu do czasu pozdrawiając gestem wiwatującą rzeszę, która gęsto oblepiła drogę do katedry i brzegi Saony. Każdy chciał zobaczyć wikariusza Bożego w glorii potęgi, skrzącego się od klejnotów, którymi wysadzane były ceremonialne szaty. Tysiące przybyły do cesarstwa z Francji, wielu z Gaskonii i Bordeaux; ruchliwi jak wzburzone morze przepychali się wzajemnie, by ujrzeć rodaka ukoronowanego papieską tiarą.

Wywrzaskiwali imię, jakie przybrał po elekcji. Wciąż jeszcze nie był do niego przyzwyczajony.

Klemens! Klemens!

Dobywajac się z tylu ust naraz, brzmiało niczym bezbożne wycie potępieńców.

Ciemne chmury przemykały pośpiesznie nad Lyonem, kontrastując z nasyconym błękitem nieba odsłanianego raz po raz. Słońce na przemian to wychodziło, upodabniając rzekę do sztaby kutego srebra, to znów gasło, zmieniając ją w atramentową toń. Ściskające krzyż papieski dłonie Bertranda w jedwabnych rękawiczkach były mokre od potu. Pod obszerną szatą skóra go paliła pomimo lodowatego listopadowego wiatru. W dali widział białe wieże katedry na ciemniejszym tle

wznoszącego się za nimi wzgórza. Cienie chmur wspinały się po jej ścianach, malując kapryśne desenie i barwiąc drzewa to złoto, to znów czarno. Król Francji i kardynałowie elektorzy czekali na niego w katedrze. Ale pośród tej wielkiej pompy, świadom długiego szeregu następców świętego

Piotra, w którym i on miał stanąć, Bertrand mógł skupić myśli tylko na swoim synu.

Minęło dziewięć miesięcy, od kiedy widział Raula. Dziewięć miesięcy, odkąd król Filip rozmawiał z nim w czerwonym namiocie pod Bordeaux. W tym czasie prawie nie sypiał, co dzień miotał się bezradnie od gniewu i rozpaczy do nadziei. Dziś zwyciężyła nadzieja. Zostanie intronizowa- ny i albo Campbell spełni swoją obietnicę, albo on, Bertrand, da królowi i jego przeklętemu juryście to, czego chcą. Podjął tę decyzję w dniu, kiedy przyszli do niego z żądaniami i groźbami. Nie poświęci Raula, nawet gdyby miał zapłacić straszliwą cenę, zdradzając tych dzielnych mężczyzn, którzy mogli jeszcze spełnić jego marzenie o odzyskaniu Jeruzalem. Krzyż mogą wziąć inni. A on już nie będzie miał drugiego syna. Drugiego cudu.

Z przodu przed orszakiem tłum był jeszcze gęstszy. Droga się zwężała, wciśnięta między rzekę a mury klasztoru. Straż królewska starała się powstrzymać napór setek ludzi. Wielu wspięło się na mur; machali nogami nad głowami stojących niżej bliźnich. Tu mniej ludzi wykrzykiwało jego imię, zabarwienie ryku było inne, niższe i głębsze, jakby nabrzmiałe wrogością. Bertrand otworzył oczy. Z początku myślał, że gniewne krzyki skierowane są do strażników, którzy spychali tłum, torując drogę procesji. Potem zauważył, że oczy wzburzonych ludzi zwrócone są na niego.

Fałszywy papi R

eżO! B Y N

— kr Y

z O

yc U

z N

eliG, wymachując pięściami. — Fałszywy papież!

Wołali po francusku, ale nawet w tej kakofonii słyszał, że nie jest to ich rodzimy język. Dolatywały do niego strzępki włoskich słów ciskane weń zamiast kwiatów. Wiedział, że w Italii po jego wyborze wybuchły zamieszki; wielu uważało, że kardynałowie zostali przymuszeni. Rola Francji w brutalnym uwięzieniu Bonifacego była powszechnie znana. W dodatku Filip żądał, by poprzedniego papieża pośmiertnie sądzono jako heretyka, a jego szczątki wykopano i spalono. Pogłoski, że zgon Bonifacego nie był naturalny, przybierały na sile. Ludzie mówili, że Filip chce zawładnąć Stolicą Apostolską. Bertrand ich nie winił; sam wiedział

najlepiej, że pogłoski są prawdziwe. Lecz spotkanie z tak zapiekłą nienawiścią wymierzoną wprost w niego wstrząsnęło nim do głębi.

Kiedy lektyka przeciskała się wąskim szpalerem żołnierzy, jedwabny baldachim parokrotnie ugiął się pod uderzeniem znacznie silniejszym niż dotychczas. Potem lektyka przechyliła się gwałtownie, gdy jeden z niosą-

cych ją mężczyzn upadł, uderzony w głowę kamieniem. Pozostali przyśpieszyli, a tłum runął do przodu.

Bertrand kątem oka zauważył, że któryś z gwardzistów wali kogoś w twarz głowicą miecza. Trysnęła krew, zaskakująco czerwona, i człowiek zniknął między gestykulującymi groźnie rodakami. Tu i tam ktoś się walił

na ziemię, słychać było jęki; żołnierze bez pardonu walili tarczami w przednie rzędy ludzi, łamiąc palce i nosy.

Napór rozszedł się falą; stojący z przodu zaczęli się cofać, depcząc tych, którzy stali za nimi. Kiedy ktoś się przewrócił, tratowali go. Mężczyźni i kobiety przyciśnięci do muru poczęli krzyczeć, zgniatani przez cofającą się falę ludzi. Siedzący na murze wyciągali ręce, żeby wydostać ze ścisku bliskich, ale mur nie wytrzymał

większego obciążenia i zaczął się chylić. Zaprawa pękała, z góry osypywały się kamienie. Ktoś spadł z krzykiem, pociągając za sobą lawinę gruzu. Rozległy się trzaski, coraz głośniejsze, potem głuche dudnienie, w końcu huk i mur zawalił się ostatecznie, wzbijając tuman pyłu. Powietrze rozdarł chóralny skowyt, który trwał

jeszcze, gdy kurz osiadł. Gwardziści wynieśli Bertranda z zamieszania. Zacisnął oczy, próbując ogłuchnąć na rozpaczliwe głosy dochodzące z tyłu. Trzewia go paliły, a przed oczami uparcie wisiała twarz syna.

Nieopodal Bordeaux Czternasty dzień listopada

Ponsard klnąc, brnął przez podwórze, ślizgając się w błocie. Wepchnął kęs chleba do ust i strzepnął okruchy z piersi, a potem rozejrzał się i ruszył ku oborze. Było późne popołudnie, zaczynało się zmierzchać. Zatrzymał

się we wrotach obory i wytężając wzrok, zajrzał do ciemnego wnętrza woniejącego gnojem i wilgotną słomą.

Jego spojrzenie padło na drobną postać przycupniętą na zydlu i dojącą kozę.

Kiedy wszedł do środka, dziewczyna poderwała się nerwowo.

Siedź — wskazał ręką stołek i podszedł bliżej. Zaścielająca ziemię słoma tłumiła jego ciężkie kroki. Kilka kóz w zagródce pod wyżką z sianem zabeczało płochliwie. — Nie zwracaj na mnie uwagi.

Oparł się o słup, przekrzywiając nieco głowę, żeby nią nie trącać

o

wiszącą na haku uzdę. Maria usiadła, schyliła się sztywno, sięgając pod brzuch zwierzęcia.

Ponsard przyglądał się, jak pociąga za dójki. Jego uśmiech stał się napięty. Mleko tryskało do skopka.

Sukienczyna Marii była już mocno przetarta, prawie przezroczysta pod pachami. Mógłby policzyć kręgi na zgiętych plecach. Jolanta błagała, żeby pozwolili jej jechać do Bordeaux po zakupy, ale Gilles nie był głupcem.

Tylko on mógł opuszczać gospodarstwo i czynił to rzadko, w ciągu ubiegłych dziewięciu miesięcy ledwie kilka razy uzupełnił prowiant i raz sprowadził dwóch ludzi, których dosłał im król.

Ponsard odepchnął się od słupa, żeby lepiej widzieć. Zauważył, że dziewczyna drży, kurczowo zaciśnięte na dójkach palce bieleją. Czując, jak budzi się jego męskość, podszedł i stanął za nią.

Błagam, nie, panie — wyszeptała.

Nie grymaś, dziewczyno — mruknął, kiedy uchyliła się przed dotknięciem. — Wiesz, że tego nie lubię.

Zsunął wielkie jak bochny dłonie z jej ramion na drobne piersi. Chwycił je chciwie i miętosił przez chwilę.

Odwróć się — rozkazał gardłowo, czując, że musi się pośpieszyć.

Dziewczyna rozpłakała się, ale usłuchała, obróciła się na stołku. Ponsard jedną ręką zadarł tunikę i rozsznurował sączek, drugą chwycił dziewczynę pod brodę, ustawiając w dogodnej pozycji. Zatrzymał go szelest, obrócił się gwałtownie, spodziewając się ujrzeć w drzwiach Gilles'a albo któregoś z pozostałych. Ale nikogo tam nie było.

Niezgrabnie schował przyrodzenie i palcem położonym na ustach nakazując Marii ciszę, podszedł do wyjścia, klnąc się w duchu za lekkomyślność. Chyba rozum stracił, idąc do dziewki w czasie, kiedy powinien być na warcie. Gdyby Gilles o tym wiedział, obdarłby go żywcem ze skóry. Ponsard ostrożnie wyjrzał na podwórze.

Było puste i ciemne, przez szpary zamkniętych okiennic z domu sączyło się wątłe światło. Zawahał się, wiedząc, że powinien iść na obchód. Maria może mu usłużyć później, kiedy ktoś go zmieni. Ale żądza przemogła i poczłapał z powrotem do obory.

Szedł powoli, jedną ręką gmerając przy sączku i czekając, aż znów będzie gotów. Beczenie kóz zagłuszyło szmer cichych kroków. Kiedy oczy dziewczyny się rozszerzyły, uznał, że to ze strachu przed nim, i nie spostrzegł ostrza, które poderżnęło mu gardło.

Will przyskoczył do dziewczyny znieruchomiałej na zydlu. Widząc, że otwiera usta, zakrył je szybko dłonią, nim zaczęła krzyczeć. Przykucnął przed nią.

Nie bój się. Nie chcemy ci zrobić krzywdy.

Jej wzrok pow R

ę O

dr B Y

ow N

ał Y

z O

a U

ni N

egGo, ku martwemu mężczyźnie, który wykrwawiał się na klepisku. Robert schował

sztylet i złapał go za ręce. Razem z drugim rycerzem zaciągnęli trupa do kąta, tymczasem trzeci przyrzucił

sianem plamy krwi.

Jak masz na imię? — Will ostrożnie zdjął rękę z ust dziewczyny.

Maria.

Uśmiechnął się.

Arcybiskup wspominał o tobie. Słuchaj mnie uważnie, Mario. Przybyliśmy uwolnić chłopca, Raula. I przyda nam się twoja pomoc.

Potrząsnęła odruchowo głową, przytykając do ust trzęsącą się rękę. Znów spojrzała na strażnika, z którego ściągano właśnie niebiesko-szkar- łatną tunikę. Złote lilie na piersi zachlapane były krwią. Maria wstała i nieco chwiejąc się na nogach, podeszła do zabitego. Nie powstrzymywał jej. Przez chwilę patrzyła na ziejącą ranę, a potem zebrała ślinę w ustach, pochyliła się i splunęła na ciało. Następnie otarła usta i odwróciła się z powrotem do Willa.

Co mam zrobić?

Ilu jest tu strażników, nie licząc tego?

Siedmiu. Ich dowódcą jest niejaki Gilles.

Wszyscy są w domu?

Przytaknęła ruchem głowy.

Ponsard miał pełnić wartę, ale... — urwała. — Pozostali czekają, aż Jolanta poda im wieczerzę. Raul siedzi przeważnie w swojej izbie. Nie chcą go wypuszczać na dwór.

Świetnie. — Will zerknął na templariuszy, żeby się upewnić, czy słyszeli. — Będę cię prosił jeszcze o jedno.

— Wskazując ciemniejące podwórze, powiedział jej szybko, czego od niej oczekuje.

Maria wysłuchała go i skinęła głową. Potem trwożnie wymknęła się z obory.

Kiedy wyszła, uśmiech Willa zgasł.

Janie — przywołał jednego z templariuszy. — Idź na podwórze i ukryj się. Kiedy strażnicy wybiegną, pędź do środka i znajdź Raula. Cokolwiek się zdarzy, dziecko ma przeżyć, rozumiesz?

Jan zerknął na Roberta, który potwierdził rozkaz.

Wy trzej schowajcie się tutaj — rzekł Will do pozostałych.

Robercie, chodź ze mną. Mieliśmy wielkie szczęście, że ten żołnierz zszedł z posterunku. Oby opatrzność dalej nam sprzyjała.

Robert poprawił miecz w dłoni.

Sami jej w tym pomożemy — zaśmiał się cicho.

Z domu dobiegły podniesione głosy. Usłyszeli przeraźliwy pisk Marii:

Ratunku, ktoś jest w oborze!

Przyczaili się po przeciwnych stronach wejścia do obory, w ciemnych płaszczach całkiem wtapiając się w mrok. Ich twarze, pobrużdżone wiekiem i bitewnymi szramami, jedną brodatą, a drugą ogoloną, upodobnił

wyraz posępnej determinacji.

Wołania Marii utonęły w odgłosie ciężkich kroków na podwórzu.

Kto tam jest? — odezwał się chrapliwy głos. — Wyłaź! — Glos przycichł nieco, jakby mówiący się odwrócił.

— Ty. Znajdź Ponsarda. Dowiedz się, czy kogoś widział.

Jedne kroki się oddaliły. Chwilę później w wejściu zamajaczyła postać w czerwono-niebieskiej tunice, której barwy dawało się rozpoznać mimo zapadającego zmroku. Ręka Willa zacisnęła się na mieczu.

Dziewce mogło się poplątać ze strachu, Gilíes — dobiegł głos z tyłu.

Może wilk się tu kręci?

Mówiła, że zobaczyła człowieka — mruknął w odpowiedzi Gilíes i przystanął. — Ciemno tu, psiakrew. Nic nie widzę.

Zrobił krok naprzód i zastygł, rozglądając się wokół. Kozy beczały żałośnie.

Jeśli teraz wyjdziesz, nie doznasz szwanku!

Posunął się jeszcze dwa kroki w głąb obory, sprężony do ataku. Dwaj gwardziści weszli za nim, potem trzeci.

Rozeszli się w różne strony. Ten z prawej flanki kopnął kłąb siana i wrzasnął alarmująco, gdy skoczyło na niego coś ciemnego.

Niech to cholera! — zaśmiał się z ulgą, widząc spłoszonego kozła, który go ominął i pogalopował na podwórze.

Wszystko w porządku? — do obory wszedł czwarty strażnik.

Tak, to tylko... — Żołnierz urwał, bo w ciemności zamajaczyło coś większego od kozła. Dojrzał błysk i w ostatniej chwili zdążył zasłonić się mieczem przed opadającym ciosem.

Will zgrzytnął zębami, czując rozchodzący się w kościach impet uderzenia. Przeciwnik odbił jego miecz i błyskawicznie ruszył do ataku. Wokół zawrzało. Przybyły skoczył na pomoc towarzyszom.

Nie! —wrzasnął Gilíes, zaciekle atakując jednego z templariuszy.

Idź po dziecko!

Mężczyzna zni R O

knąBł.Y N

W i Yll O U N

okrą G

żył swojego przeciwnika, kątem oka notując ruchy pozostałych. Gwardzista miał

pod długą tuniką kolczugę i kolcze rękawice osłaniające dłonie, podobnie jak on. Bez wątpienia nosił też kolcze lub watowane osłony nóg. Nikt ze zmagających się ludzi nie miał tarczy. Templariusze zostawili swoje przy koniach. Nawet po zamalowaniu rzucających się w oczy barw duże migdałowate tarcze rycerzy zakonu były zbyt nieporęczne, kiedy trzeba się było przemieszczać pieszo i niezauważenie. Will nauczył się radzić sobie bez tarczy w Szkocji, gdzie czasem zastępował ją

mniejszym puklerzem używanym przez piechotę.

Gwardzista błyskawicznie zaatakował jego prawy bok. Po nienaturalnej pozie Will domyślił się finty. Istotnie, w ostatniej chwili miecz zboczył w lewo. Zbił go swoim i mocno kopnął przeciwnika w brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół, a Will z całej siły spuścił ostrze na jego kark. Doszło do połowy szyi i uwięzło w mięśniach.

Kiedy je wyszarpnął, gwardzista nagle się zakrztusił, upadł na kolana, wypuszczając broń. Uniósł ręce do rany, ale Will dobił go dwuręcznym cięciem.

Odwrócił się na czas, słysząc za sobą kroki. Gilles uporał się z templariuszem i szedł na niego. Po dwóch odbitych ciosach Will zdał sobie sprawę, że ma do czynienia ze świetnym szermierzem. Jego miecz osaczał go ze wszystkich stron, prędki jak atakująca żmija. Cięcie na szyję, potem na udo, trudny do sparowania sztych na wysokości krocza, płaskie cięcie na krtań i zadane z zamachu w bok. Will przestał słyszeć, co się dzieje wokół, skupiony wyłącznie na tym, by nie dopuścić do siebie tej śmiercionośnej błyskawicy. Potężne ciosy Gilles'a w każdej chwili mogły przełamać jego zastawę. Prawie każdy odłupywał drobne opiłki żelaza, które spadały na ziemię deszczem iskier. W parę chwil Will był okryty potem i czuł paskudne mrowienie w przedramieniu. Po każdym obronnym bloku i kontrze mięśnie napinały się z coraz większym trudem.

Twarz tamtego też była skupiona, ale kiedy znaleźli się bliżej wejścia, jego oczy nagle się rozszerzyły.

Widziałem cię — wydyszał. — W zamku. Z królem!

Utrata koncentracji trwała tylko chwilę, ale to wystarczyło, aby Will odepchnął jego miecz nieco dalej i wyprowadził płynny kolisty cios zza głowy, który powinien był rozpołowić przeciwnikowi czaszkę... gdyby go dosięgnął. Niezgrabnie, lecz w porę, Gilles zdążył uskoczyć. Dwie głownie skrzyżowały się w powietrzu i zastygły. Gilles, warcząc głucho, dłonią w rękawicy złapał swoje ostrze i przechylił je z całej siły w jedną stronę. Miecze zgrzytnęły, trąc o siebie. Gilles zablokował klingę Willa swoim jelcem, potem skręcił ją w dół i w bok, wytrącając go z równowagi. Will zatoczył się na bok, a dowódca straży pociągnął miecz w górę, waląc go głowicą w twarz.

Nos chrupnął nieładnie i Willa natychmiast oślepiły łzy. Poczuł na twarzy lekki powiew, skulił się w oczekiwaniu ciosu, który odbierze mu życie. Posłyszał zgrzyt głowni o kolczugę, szczęk pękających kółek, wysoki jęk, a potem ciche stuknięcie. Przez chwilę całkiem poważnie myślał, że ból złamanego nosa zdołał

zaćmić ból śmiertelnej rany, ale gdy odtoczył się na bok i otarł łzy, zobaczył Gilles'a na kolanach z mieczem Roberta w plecach. Robert wyszarpnął broń i zabity zwalił się na klepisko.

Strażnicy leżeli martwi. Jeden z templariuszy siedział pod ścianą obory pobladły, ściskając paskudnie rozpłatane ramię.

Siedź tu, reszta za mną — rzekł szybko. — Zostało jeszcze dwóch.

Obrócił się do Roberta. — Dzięki.

Miałeś zginąć i zostawić mnie z resztą roboty? — zaśmiał się rycerz.

Słuszna uwaga. — Will pochylił się i wysmarkał krew z nosa. — To by się źle skończyło.

Stężeli, gdy drzwi domu otworzyły się gwałtownie. Ale w świetle padającym z wnętrza zobaczyli Jana z mieczem gotowym do ciosu. Za nim dreptała Maria, tuląc do siebie przerażonego Raula.

Zabiłeś strażników? — spytał Will podchodząc.

Był tylko jeden. — Jan pokręcił głową. — Przybiegł po chłopca. Obrócili się, słysząc kroki. Zza węgła wybiegła tęga niewiasta uzbrojona w rzeźnicki nóż.

Dzięki Bogu! Dzięki Bogu, żeście przyszli! — wysapała. — Czy reszta... — zerknęła w stronę obory.

Kiedy Will przytaknął, schyliła się, usiłując złapać oddech.

Próbowałam złapać tego ostatniego, ale wskoczył na konia i uciekł.

Uciekł? — Robert spojrzał na Willa z niepokojem. — Jak myślisz, widział nas?

Nie sądzę. — Will zaklął pod nosem i wsunął miecz do pochwy.

Miałem jednak nadzieję, że będziemy mieli więcej czasu na zatarcie śladów.

Katedra w Lyonie Trzydziesty dzień listopada

Filip zamaszystym krokiem wszedł do komnaty, ściągając rękawice.

Możecie odejść — rzucił cierpko sługom sterczącym przy drzwiach. Spojrzał na zgarbioną postać siedzącą przy oknie. Szczęka mu drgnęła

z wściekłości, lecz zaczekał, aż zamkną się drzwi, nim rzekł:

Kazałeś mi czekać dwa tygodnie i oto jak mnie witasz? Ani ukłonu, ani nawet słowa? Dlaczego mnie nie przyjąłeś? — Kiedy siedzący mężczyzna się nie odwrócił, Filip podszedł bliżej. — Kardynałowie oznajmili mi, że leżysz w chorobie i nie udzielasz posłuchań. A jednak nie widzę, aby trawiła cię gorączka.

Papież nadal siedział nieruchomo.

Odpowiedz mi, Bertrandzie de Got! Co to ma znaczyć?!

Papież podni R

ósł O

si Bę Y N Y

pow O

oli U N G

, obramiony światłem płomiennego zachodu słońca. Podniósł głowę i spojrzał

królowi w oczy.

Nie jestem już Bertrandem de Got. Jestem papieżem i będziesz się do mnie zwracał z szacunkiem.

W oczach Filipa błysnęła furia, ale Klemens nie dał mu dojść do słowa.

Kardynałowie mówili prawdę, byłem chory. Przykro mi, jeśli to pokrzyżowało twoje plany.

Filip zawahał się, wytrącony z równowagi spokojem papieża. Miał wrażenie, że rozmawia z inną osobą. To nie był ten sam słaby, przerażony człowieczek, którego wepchnięto do czerwonego namiotu pod Bordeaux i który całkiem się załamał na wieść, że jego bękart znalazł się na lasce króla. Stojący przed nim mężczyzna nadal się go obawiał, było to widać w postawie, wyprostowanej, lecz sztywnej, z rękami zaciśniętymi przy bokach. Ale mimo widocznego napięcia Bertrand de Got wydawał się silniejszy i bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek w życiu. Filip czuł, że traci rezon. Czyżby wyniesienie na papieski tron zapewniało tym ludziom bezpośrednią łączność z Bogiem? Jakąś świętą moc, której byli powiernikami, a która dawała im nadludzką siłę?

Odchrząknął i cofnął się o krok, nagle bojąc się spojrzeć w te ciemne oczy, które wpatrywały się w niego bez zmrużenia. Bał się, że wyjrzy z nich istota znacznie potężniejsza i straszniejsza. Był teraz wściekły na siebie, że po ceremonii odesłał Nogareta do Paryża, ale nowe podatki wywołały w mieście gwałtowne zamieszki. Miał

nadzieję, że Nogaret zdoła je szybko opanować.

Przyjmuję przeprosiny — rzekł wyniośle. — Ale skoro już jesteś zdrowy, pora, abyś zaczął wypełniać zobowiązania, które podjąłeś w zamian za godność papieską.

Umilkł na chwilę, przypominając sobie rady, jakich udzielił mu Nogaret.

Najpierw, bo to najważniejsze, odwołasz Jakuba de Molay z Cypru. Muszę mieć w ręku głowę zakonu, jeśli chcę wyłapać resztę. Kiedy przybędzie, zwołamy w Paryżu sobór, którego obradom będą się przysłuchiwać wszystkie trzy stany, odpowiednio wcześniej uświadomione. Ogłosisz, że Templum stało się bezużyteczne, a jego próżne wysiłki, by odzyskać Ziemię Świętą, są tylko brzemieniem dla chrześcijaństwa. Podkreślisz, że olbrzymie sumy będące w posiadaniu zakonu lepiej posłużą Bogu, jeśli z ich pomocą da się osiągnąć pokój Boży tu, na Zachodzie, zamiast w obcych krajach. Dzięki nim podatki zostaną zmniejszone, a nasze granice umocnione. Następnie na podstawie danego ci przez Boga prawa rozwiążesz zakon i przekażesz jego mienie, wszystkie ziemie i fundusze, koronie francuskiej.

Odpowiedziała mu cisza. Filip ściągnął brwi, zastanawiając się, czy papież usłyszał cokolwiek z tej przemowy.

Otworzył usta, ale równocześnie odezwał się Klemens:

Skończyłeś już?

Mars Filipa się pogłębił.

Tak, ale...

To dobrze, synu, bo ja też skończyłem. Nie pozwolę sobą więcej poniewierać tobie i tej jadowitej żmii, Nogaretowi. Koniec z naciskami, koniec z groźbami. Jestem papieżem, wikariuszem Chrystusa i głosem Bożym na ziemi, i nie będę już pionkiem w twoim ręku. Nie spełnię twoich żądań, a zawartą z tobą umowę uznaję za nieważną, albowiem została zawarta pod przymusem. — Głos Klemensa rozbrzmiewał coraz

głośniej i pewniej. — W żadnych okolicznościach nie odwołam wielkiego mistrza templariuszy, którzy jako ostatni walczą jeszcze o Ziemię Świętą. Czy twój dziad przelewał tam swoją krew na próżno? Czy ot, tak sobie, odrzucimy marzenie wszystkich chrześcijan? — Papież pokręcił głową. — Uczynię co w mojej mocy, by wesprzeć duchowo i finansowo templariuszy na Cyprze w ich świętej misji.

Filip patrzył na niego osłupiały

Bardzo, bardzo się mylisz, jeśli sądzisz, że nie zrobię tego, co zapowiedziałem. — Dłoń króla bezwiednie sięgnęła do miecza. — Zapomniałeś, że mam twojego syna? Jeśli mi odmówisz, przysięgam na Boga, że każę go zabić!

Nie zabijesz go — szepnął Klemens, obrzucając przelotnym spojrzeniem miecz. — Dziś rano otrzymałem wiadomość, że Raul został odbity i zabrany w bezpieczne miejsce. Nie znajdziesz go, a jeśli będziesz próbo-wał, zrobię to, czego nie zdążył zrobić mój poprzednik, i wyklnę cię wraz z całym krajem. — Podszedł do Filipa, zdając się rosnąć z każdym krokiem, zmuszając go, by się cofnął. — Choćbyś ujawnił jego istnienie, ja mu zaprzeczę, a w dzisiejszych czasach samo twoje słowo, synu, już nie wystarczy. Lud, twój lud jest coraz mniej rad twoim rządom i wpływom tego mordercy Nogareta. Już zaczyna się zwracać przeciwko tobie.

Wyobrażasz sobie, że mieszkańcy Gujenny prędko zapomną o twoim okrucieństwie? Uwięziłeś wielu

możnych, odebrałeś im ziemie. Wiem, że nie masz dość pieniędzy i poparcia, żeby stłumić następne powstanie, jeśli tam wybuchnie. Wystąp przeciw mnie, a pożałujesz.

Filip kręcił głową, ale nie był w stanie wydobyć głosu. Czuł się przyparty do ściany spojrzeniem tych błyszczących czarnych oczu, które przenikało go na wylot, oskarżycielskie, pełne Bożego gniewu. Z trudem się powstrzymał, by nie osłonić przed nim twarzy rękoma.

Uległeś bezbożnikom, którzy cię otaczają. Stałeś się taki sam jak twój heretycki doradca, zabójca

dwóch papieży!

Nie! —jęknął Filip. — Nie! Czyniłem Twoje dzieło! — Opadł na kolana, wznosząc dłonie do nieba. —

Robiłem to dla Ciebie! Dla Twojego ludu!

Dla mnie?

R

— Pa O

piBe Yż N

pr Yz O

yj U

rz N

ał G mu się niedowierzająco.

Ale król Francji nie mówił do niego. Z zamkniętymi oczyma, ze złożonymi dłońmi powtarzał:

Panie, przebacz mi! Odpuść mi moje grzechy!

Katedra w Lyonie Pierwszy dzień grudnia

Już po wszystkim.

Jak wasza świątobliwość sądzi, czy król się z tym pogodzi? — Will odprowadził wzrokiem papieża, który usiadł we wnęce przy oknie i złożył ręce na kolanach. Wyglądał na wyczerpanego i postarzał się gwałtownie od czasu, kiedy Will widział go w Bordeaux. W czerwonych jedwabnych szatach zdawał się jeszcze

drobniejszy.

Myślę, że nie ma wielkiego wyboru. Skoro nie rozwiążę Templum, będzie musiał zrezygnować ze swoich ambicji. — Klemens podniósł głowę.

Raul jest cały i zdrów?

Will przytaknął niecierpliwie. Poprzedniego dnia złożył papieżowi szczegółową relację.

Moi ludzie zawieźli go na południe, jak kazałeś, wraz z Jolantą i Marią. Filip ich tam nie znajdzie.

To dobrze. — Klemens uśmiechnął się nieśmiało. — Mąż mojej siostry zapewni im ochronę.

A zatem to już koniec? Templariusze są bezpieczni?

Klemens zerknął na niego z powagą, marszcząc brwi.

Nie, to nie koniec — westchnął. — Jak długo Nogaret zatruwa umysł króla, zwracając go przeciw Kościołowi, tak długo niczego nie możemy być pewni.

Król wie, co robi, wasza świątobliwość. Zgadzam się, że to Nogaret obmyśla wszystkie intrygi, ale Filip nie jest głupcem ani człowiekiem słabej woli.

Zapewne, zapewne... — Papież machnął ręką, jakby to nie było ważne. — Wierzę jednak, że byłby znacznie mniej agresywny bez tego gada.

Wstał. — Nie dosięgnę Filipa, nie mam takiej władzy, zresztą nie chciałbym pogrążyć Francji w straszliwej wojnie. Ale Nogaret to inna sprawa. Mógłbym postawić go przed sądem za zbrodnie dokonane na moich po-przednikach, tyle że pogłoski nie wystarczą. Muszę mieć dowody.

Wiem na pewno, że król i Nogaret zaplanowali mord na papieżu Bonifacym. Król sam to przyznał w rozmowie ze mną, kiedy wyjawił mi zamysł zlikwidowania Templum.

To za mało przeciw głównemu doradcy króla. Filip ma biegłych i chytrych jurystów. Trzeba czegoś więcej niż słowo dezertera, żeby ich pokonać. — Klemens przeszedł się po komnacie. — Poza tym bardziej mi zależy na dowodach w sprawie papieża Benedykta. Jakkolwiek śmierć Bonifacego woła o pomstę do nieba, człowiek ten narobił sobie wielu wrogów w Collegium Sacrum; wrogów, których niewiele by obeszła wieść, że został

zamordowany. Pamiętaj, że połowa kardynałów to Francuzi, którzy popierają Filipa. Natomiast Benedykt był

ogólnie łubiany i do dziś mówi się o jego przedwczesnej śmierci z żalem i zgrozą. — Klemens spojrzał na Willa. — Znajdź mi niepodważalny dowód, że to Nogaret go zabił, a ja się z nim rozprawię. Z chwilą gdy ten człowiek zniknie z otoczenia Filipa, wszyscy będziemy bezpieczniejsi.

Postaram się, ale muszę to robić ostrożnie. Jak mówiłem waszej świątobliwości, jeden ze strażników uciekł.

Twierdziłeś, że nie widział waszych twarzy?

Najpewniej nie, lecz gra jest ryzykowna. Nogaret nigdy mi nie ufał. Zrobię co w mojej mocy, żeby oddać go w twoje ręce, a ciebie, ojcze, proszę, byś nadal opiekował się Templum.

Masz moje słowo. — Klemens podszedł do stolika, na którym stał dzban wina i dwa puchary. — Pomówmy teraz o zakonie. Korzystałeś z pomocy braci, żeby uwolnić mego syna. Czy któryś z nich wspominał

o

wielkim mistrzu? Czy planuje on nową wyprawę do Ziemi Świętej?

Will pokręcił głową.

Szuka środków i ludzi, ale z miernym powodzeniem.

Klemens westchnął rozczarowany, nalewając wina.

Cóż... może jeszcze usłyszymy lepsze wieści.

Może — szepnął Will. — Może...

Zamek królewski w Paryżu Dwudziesty pierwszy dzień grudnia roku Pańskiego 1305

Nie mogę sobie wyobrazić, jak do tego doszło, najjaśniejszy panie

mówił Nogaret.

Król pchnął niską furtkę częściowo zakrytą bluszczem. Schyliwszy głowę, przeszedł na drugą stronę. Idący za nim legista znalazł się w miejscu, w którym jeszcze nigdy nie byl. Byli na cyplu Ile de la Cite, mając za plecami mur otaczający królewskie ogrody. Błotnisty brzeg opadał do Sekwany, szarej i wezbranej po zimowych burzach. Z wody sterczały trzy małe wysepki, jedna za drugą, niczym kostropaty grzbiet smoka przyczajonego pod powierzchnią. Na najbliższą prowadził z brzegu stary drewniany mostek. Nogaret widywał go z dala, ale nie miał pojęcia o furcie w zamkowym murze.

Ten most kazał zbudować mój ojciec. — Filip wskazał najbliższą wysepkę. Jej żółty, omiatany wiatrem garb był

nagi, jeśli nie liczyć paru wątłych drzewek. Dwa bekasy z powagą brodziły skrajem wody. — Zamierzał łowić tam ryby.

Panie... — Noga Rr O

et B

stYa N

ra ł Y sOięU N

sk G

ierować uwagę króla na bieżące sprawy.

Chyba nigdy z niego nie skorzystał. Kłopoty z rządzeniem nie pozostawiały mu wolnego czasu. Mój ojciec był

człowiekiem słabym, chwiejnym w decyzjach i nazbyt podatnym na wpływy otoczenia, doradców,

rodziny.

Nigdy nie myślał samodzielnie i nigdy nie robił tego, co rzeczywiście chciał zrobić. Mało kto w ogóle dziś o nim pamięta. Ludzie wiedzą tylko, że jego ojciec był świętym. — Filip obrócił się do Nogareta, zimny wiatr rozwiał

mu włosy. — Czy i o mnie będą tak myśleć po mojej śmierci? Ze głupio i bezwolnie pozwoliłem sobą rządzić dworakom? Że nie dokonałem niczego wiekopomnego? Czy pozostanę tylko wnukiem wielkiego człowieka?

Zostaniesz zapamiętany jako człowiek, który zjednoczył Francję

rzekł gorąco Nogaret. — Jako władca, który zapoczątkował w swym królestwie wiek pokoju i dostatku, epokę rozumu, a nie ślepej wiary.

Nie doceniłem naszego nowego papieża — mruknął Filip, patrząc na opuszczoną wysepkę. — Czy ten żołnierz był w stanie cokolwiek powiedzieć o ludziach, którzy porwali dziecko?

Nogaret zacisnął usta.

W ogóle ich nie widział. Kiedy zdał sobie sprawę, że Gilles i reszta przegrywają walkę, po prostu uciekł.

Głupiec, powinien był ukryć się w pobliżu i dobrze przyjrzeć napastnikom. Obawiam się teraz, że nigdy się nie dowiemy, kim byli.

Pewnie najemnikami, których Klemens opłacił za odbicie chłopca.

Filip podszedł do mostu, rąbek czarnego płaszcza ciągnął się za nim w błocie. — Dowiódł, że ma więcej ikry, niż ktokolwiek się spodziewał.

Położył rękę na drewnianej poręczy, ale nie wszedł na porośnięte mchem zetlałe deski.

Możemy go poszukać. — Nogaret w zadumie potarł podbródek.

Jestem prawie pewien, że ktoś w otoczeniu Klemensa będzie wiedział, dokąd go zabrano.

To na nic. — Filip machnął ręką. — Szkoda. Bez poparcia papieża nie dobierzemy się do Templum, a moje podboje będą musiały pozostać w sferze planów. Bez pieniędzy ich nie urzeczywistnię. — Zmarszczył brwi.

Trzeba by znowu podnieść podatki.

To ryzykowne. Nastroje są dość posępne. Dopiero udało się stłumić zamieszki w Paryżu. Sytuacja w prowincjach też jest niestabilna. — Nogaret westchnął ze złością. — Tymczasem Templum...

Templum jest poza naszym zasięgiem — przerwał mu Filip, zawracając do furty. — Możemy o nim

zapomnieć.

Znajdzie się inny sposób, na pewno. — Nogaret ruszył za nim.

Trzeba go tylko wymyślić.

Głowa mi już pęka od myślenia. Odejdź. Chcę zostać sam. Nogaret zmilczał. Posłusznie został z tyłu, kiedy król długim krokiem

szedł przez ogrody. Nie był to odpowiedni moment, żeby go naciskać. Trzeba będzie poczekać, aż kurz opadnie, i spróbować jeszcze raz. Ponieśli klęskę. Bertrand de Got mógł się zdawać dojrzały do tego, żeby go zerwać i wycisnąć, ale jak się okazało, znów wybrali nieodpowiedniego człowieka. Nogaret wrócił do zamku, klnąc w duchu niekompetencję królewskich gwardzistów i nagłą przemianę, jaka dokonała się w Bertrandzie. Tem- plum nadal było najlepszą receptą na umocnienie królestwa, lecz Filip miał rację: bez poparcia papieża nie mogli tknąć zakonu.

Legista był tak zaprzątnięty myślami, że spostrzegł Szkota, dopiero gdy się mijali. Przystanął, mrużąc oczy.

Campbell?

Witam, panie de Nogaret. — Will skłonił się lekko.

Wróciłeś wcześniej, niż się spodziewałem. Zawsze mi się wydawało, że podróż do Szkocji jest długa i żmudna.

Nie musiałem jechać aż tak daleko. Spotkałem się w Anglii z jednym z przybocznych Wallace'a.

Spojrzenie Nogareta powędrowało w stronę złożonego w prostokąt pergaminu, który Campbell trzymał w ręce.

List?

Od siostry, sądząc po piśmie. — Will pokazał nagryzmolone na wierzchu swoje imię. — Czekał na mnie w zamku. Obawiam się, że nie ma w nim nic, co mogłoby zainteresować waszą dostojność. Raczej sążnisty raport o tym, jak się chowają moje cioteczne wnuki. — Uśmiechnął się.

Jak przebiegły uroczystości w Lyonie?

Było trochę niepokojów — odparł Nogaret, przyglądając się Willowi podejrzliwie, chociaż w gruncie rzeczy nie wiedział dlaczego.

Dwunastu ludzi zginęło, kiedy zawalił się mur. Przypuszczam, że król pośle po ciebie w swoim czasie. Z

pewnością ciekaw jest wieści, jakie przywozisz. Ostatnimi czasy niewiele było słychać o naszym angielskim sąsiedzie.

Rad wszystko mu opowiem.

Nogaret odprowadził go wzrokiem, zanim sam ruszył w przeciwnym kierunku, czując, że jego niepokój narasta niczym drażniący, nieustępliwy szum.

Filip bezmyślnie skierował się do swoich komnat. Zza którychś drzwi dobiegł dziewczęcy śmiech i z drgnieniem serca uświadomił sobie, że to jego córka. Ruszył dalej, przyśpieszając kroku. Chciał być sam. W korytarzach panował lodowaty ziąb, ale go nie czuł, bo niedawne wypadki rozpaliły w nim piekielny kocioł wściekłości, rozpaczy i

R

upokor O

zeB Y

ni N

a. Y

Z O

atrUz N

y G

mał się z ręką na drzwiach komnaty wstrząśnięty nagłym wspomnieniem siebie

samego na klęczkach przed zdumionym papieżem. Wówczas nie czuł nic oprócz zgrozy, lecz prawie

natychmiast po opuszczeniu Lyonu, gdy pokonany udał się w drogę powrotną do Paryża, zaczął w nim narastać palący wstyd. Jak to możliwe, że tak łatwo dał się rzucić na kolana? Ze złością pchnął drzwi i zatrzymał się jak wryty, patrząc na kobietę siedzącą na jego łożu.

Róża zerwała się bez słowa. Na twarzy króla malował się gniew, widoczny w ostrych liniach przebiegających czoło, zaciśniętych ustach, wysuniętej do przodu żuchwie. Ruszyła do wyjścia, niemal słysząc rozkaz, lecz gdy dotarło do niej, że go nie wydał, przystanęła. Król zamknął za sobą drzwi i odwrócił się do niej. Wydawało jej się, że tęskniła za nim znacznie dłużej niż od trzech miesięcy.

Co ty tu robisz? — spytał, odrywając od niej wzrok i zdejmując płaszcz.

Popatrzyła, jak rzuca zabłocone okrycie na łóżko, zastanawiając się, gdzie był.

Ja... chciałam cię ujrzeć, najjaśniejszy panie — wyszeptała słabo,

o

wiele ciszej, niż zamierzała. Niebieskie oczy Filipa patrzyły na nią lodowato. Potrząsnęła głową, uświadamiając sobie poniewczasie, że nie miała prawa go nachodzić. — Przepraszam — wyjąkała, kierując się do drzwi.

Pójdę już.

Czekaj.

Zatrzymała się z dłonią na klamce.

Zostań. — Filip zrzucił buty i usiadł na łożu, opierając się na jedwabnych poduszkach. — Posiedź ze mną.

Zawróciła powoli, wbijając wzrok w podłogę, żeby nie odczytał w nim jej uczuć, odsłoniętych i nagich.

Przysiadła nieśmiało w nogach wielkiego łoża. Patrzyła na płaszcz, z którego błoto ciekło na podłogę. Filip zamknął oczy i oparł się o wezgłowie. W przeciwieństwie do niej oddychał równo, spokojnie.

Usiądź tutaj. — Wskazał jej miejsce obok siebie.

Pochyliła się, żeby zzuć ciżmy, i wśliznęła się na miejsce, gdzie przed chwilą spoczywała jego dłoń. Czuła wyraźnie każdą część swego krnąbrnego ciała — pulsowanie krwi w policzkach, drżenie rąk, gwałtowne bicie serca. Chyba nigdy w życiu nie była równie żywa i równie przerażona. Położyła się na poduszkach sztywna jak deska. Po chwili drgnęła, czując zimne muśnięcie. Filip z zamkniętymi oczyma wodził palcami po jej dłoni, głaszcząc ją bez pośpiechu. Po chwili dłoń przesunęła się wyżej, pod rękaw czarnej sukni. Próbowała też zamknąć oczy, lecz oderwany dotyk w ciemności budził w niej nerwową wesołość. Oddech Filipa zmienił rytm, przyśpieszył. Nagle król usiadł. Zdjął z głowy złoty diadem, położył go na skrzyni przy łożu i nachylił się nad Różą. Poczuła na ustach jego wargi.

Pachniał rzeką. Po chwili znów się podniósł. Patrzyła mu w oczy bez słowa, kiedy rozwiązywał sznurówki na bokach jej sukni. Potem ją zdjął. Zadygotała; na nagim ciele powietrze wydawało się lodowate. Odruchowo oplotła piersi ramionami, starannie zasłaniając blizny.

Filip ściągnął przez głowę aksamitną szatę i szarpnął troki włosiennicy. Kiedy z niego opadła, wzrok Róży prześliznął się po zaczerwienionej skórze, wzdłuż szram po biczu, w których zapisany był jego żal i wstyd. Z

wahaniem opuściła ręce, odsłaniając własną okaleczoną skórę. Miała ochotę wyciągnąć rękę, dotknąć jego blizn.

Jakby wszystkie żyły biegły po wierzchu... — zaszeptał jej w pamięci głos królowej.

Ruchy Filipa stały się teraz prędkie i niecierpliwe. Sięgnął dłonią między jej uda i rozepchnął je na boki. Ręce wciąż miał zimne jak lód. Wolałaby, żeby robił to wolniej, delikatniej. Chciała wyszeptać

mu do ucha swoje myśli, swoje obawy i pragnienia, zwierzyć radość, że wreszcie zwrócił na nią uwagę. Chciała, żeby jeszcze raz ją pocałował. Ale nie umiałaby komenderować królem, leżała więc nieruchomo. Położył się na niej. Twarz miał

rozgorączkowaną, oczy zamknięte. Róża czuła się tak, jakby rozrywano ją na dwoje. Nie widział, że odwraca głowę, żeby ukryć grymas, nie zauważył kurczowo zaciśniętych rąk. Poprzez ból dotarł do niej jego cichy głos.

Uniosła lekko głowę, żeby słyszeć.

Joanno — szeptał, wbijając się w jej ciało. — Joanno...

Idąc korytarzem, Will czul na sobie badawcze spojrzenie Nogareta. Powstrzymał chęć, żeby się obejrzeć. Skręcił

za róg do swojej kwatery, ściskając w ręku nieco zwilgotniały i zmiękły pergamin.

Wszedłszy do izdebki, która od tak dawna była jego domem, z ulgą zamknął za sobą drzwi. W wychodzącym na dziedziniec oknie była szpara i w pomieszczeniu panował upiorny ziąb. Poza łóżkiem i stojącą w kącie zamczystą skrzynią, na której leżały teraz jego miecz, zbroja i płaszcz podróżny, w izbie był tylko stołek i stół, na nim zaś dzban z wodą i kilka wypalonych ogarków. Kiedy wrócił dziś rano, wszystko pokrywała cieniutka warstwa kurzu. Przesunął palcem po blacie. Dłoń pozostała czysta. Ktoś ze służby musiał tu posprzątać.

Zastanowił się, kto jeszcze spostrzegł jego przybycie, i naraz poczuł się niepewnie, jak gdyby dwór był pełen śledzących go oczu, czekających tylko, aż powinie mu się noga, aż się czymś zdradzi. Przysiadł na łóżku, odsuwając od siebie te trwożne myśli. Należał do bliskiego otoczenia króla, nic dziwnego, że ludzie zauważali jego obecność. Wytrąciło go z równowagi spotkanie z Nogaretem, ale nieufność legisty też nie była niczym nowym. Nikt go tu nie podejrzewał.

Skupił się na trzymanym w ręku liście. Wieści od rodziny były tak rzadkie i cenne, że nie chciał, by cokolwiek popsuło mu radość czytania. Z uśmiechem złamał woskową pieczęć i rozłożył arkusz. Kiedy jego spojrzenie przesunęło się

R O

po z B

m Y

ię Nty Y

m O U

pe N

r G

gaminie, uśmiech zgasł.

Drogi Bracie,

Ufam, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Niestety, nie mogę Ci przekazać radosnych wieści. Ani też nadziei, że następne będą lepsze. Żniwa byty kiepskie i już to samo w sobie przysporzyłoby nam dość zmartwień. Wojna z królem Edwardem bardzo nas jednak zubożyła, toteż spichrze są puste i może nas czekać głód. Jan Bałłioł pozostaje na wygnaniu i prawie zarzuciliśmy już nadzieję, że będziemy jeszcze mieli króla, chyba że samego Młota. My tu, na północy, mamy jednak to szczęście, że zostały nam zaoszczędzone okrucieństwa wojny, choć od upadku Stirlingu, który Anglicy zdobyli w zeszłym roku, niewiele było już walk.

Być może słyszałeś, że po tym wydarzeniu wielmoże musieli się poddać królowi Anglii i zawrzeć z nim rozejm, ale niewielu poza Szkocją wie, że darowano im wolność tylko pod warunkiem, że wytropią i ujmą jedynego człowieka, który wciąż opierał się Anglikowi — Twojego przyjaciela i dowódcę, sir Wilhelma Wallace'a.

Nawet Dawid Graham otrzymał taki rozkaz, choć oczywiście ani mu w myśli było go wykonać.

Tego samego wszakże nie da się rzec o innych. Choć wielu, których Edward wysłał za Wallace'em, zawiodło, sir Jan Menteith dopiął swego. Odkrył on, że sir Wilhelm ukrywa się w lasach nieopodal Glasgow. Jak wieść głosi, uderzył na nich w nocy. Z przykrością Ci donoszę, że Siwy został zabity na miejscu. Krystianna nie posiada się z żalu. Sir Wilhelm, jak mówią, walczył dzielnie i zabił wielu napastników, ale w końcu uległ, bo było ich zbyt wielu. Przewieziono go w pośpiechu do Carlisle i oddano Anglikom, którzy zabrali go dalej, do Londynu. Wszystko to stało się tak szybko, że my tu, w Elginie, usłyszeliśmy o tym znacznie później. Mój Dawid jednakże był wówczas nad granicą w interesach ze swoim panem i zdecydowali się podążyć na południe.

Nie bardzo pojmuję, co się spodziewali przez to osiągnąć. Przypuszczam, że mój dzielny syn roił sobie, że zdołają cudem ocalić sir Wilhelma. Przybywszy do Londynu, zdali sobie sprawę, jak próżna to nadzieja. Ponoć z całej Anglii przybyły nieprzeliczone rzesze, aby zobaczyć egzekucję. Sir Wilhelm był pod silną strażą, a ulice wokół jego więzienia tak zatłoczone, że nie dało się nawet podejść bliżej.

Na dzień przed świętym Bartłomiejem sir Wilhelm został zabrany do Westminstem, jakoby na proces, ale wiesz pewnie sam, że to tylko pozór. Oskarżono go o zdradę króla — jego, który nigdy nie przysiągł wierności Edwardowi. Wyrok zapadł tegoż samego dnia. Dawid po trosze nam opowiedział, co było potem, ale drugie tyle ukrył. Pewnie chce mi oszczędzić grozy, która wciąż go prześladuje mimo wszystkiego, co już wcześniej widział. Kiedy ja sama sobie wyobrażę te straszne męki w upale, na oczach ludzi, robi mi się słabo aże do samego dna duszy. Wszyscy widzieliśmy wiele rozlanej krwi, ale nie da się tego porównać z tym, co uczyniono owemu pięknemu, dumnemu mężowi tamtego dnia w Londynie. Chciałam Ci to opisać, ale teraz czuję, że słowa mnie zawodzą. Nie zdołam przelać ich na papier...

List wyśliznął się Willowi z ręki i upadł na podłogę. Linijki tekstu rozsypały mu się w oczach, umysł wypełniły obrazy i dźwięki, których nie była w stanie nazwać jego siostra.

Zobaczył wyjące tłumy na drodze do miejsca kaźni. Widział ich wzniesione pięści i rozwarte czerwone usta.

Słyszał wywrzaskiwane kpiny i plugastwa, gdy tego potwora, smoka, biesa z północy wieziono przed nimi nagiego i w więzach. Czuł słodko-kwaśny smród ich potu i podniecenia, kiedy tratowali się wzajem, żeby choć przez chwilę ujrzeć klęskę znienawidzonego wroga. Po twarzy spływała mu plwocina, czuł kopniaki odbijające ciało od kości i przeszywający trzewia strach, gdy u krańca drogi pojawiła się szubienica z pustą pętlą, obwisłym kręgiem na tle nieba, a nie był to przecież koniec, lecz dopiero początek cierpienia ponad ludzką miarę.

Wyobraził sobie palącą samotność kogoś, kto patrzy z szafotu na nieprzebrany wrogi tłum. Tylu ludzi, a tak mało ludzkich uczuć. Czuł, jak wiążą mu ręce, rzemień wrzyna się w ciało, a szorstka pętla już zsuwa się po policzku, opada na szyję, dusi. Tłum wiwatuje, a on, podciągnięty w górę przez odzianego w czerń kata, nie ma już tchu, dławi się własnym językiem.

Usiłował odpędzić od siebie te obrazy, lecz napływały śpiesznie, natrętnie, mieszając się z głosem Edwarda dochodzącym z klasztornej celi pod Stirlingiem:

„Opróżnia się pęcherz, po nim jelita, członek męski tryska ku uciesze gawiedzi...”

Przywoływał przed oczy obraz Wallace’a, jakiego zapamiętał cztery lata temu, kiedy się żegnali na paryskim nabrzeżu. Szukał w pamięci uścisku silnej dłoni i widoku jakże rzadkiego uśmiechu rozświetlającego niebieskie oczy Szkota. Ale widział tylko zmaltretowane ciało odcięte ze stryczka, jeszcze żywe, rzężące, czepiające się ostatnich wątłych nitek życia, przy którym trwać będzie tak samo posępnie i uparcie jak przy swojej nadziei na wolność.

Położą cię na stole i rozprują ci brzuch, żeby gawiedź widziała, co masz w środku — powiedział Edward.

Czuł dotyk twardej ławy i srebrzyście ostry ból, gdy odcinano mu genitalia, pozbawiając zarazem męskości i siły. Czuł brutalne szarpnięcia katowskich narzędzi w klatce piersiowej i brzuchu.

Dobry Boże, pomodlił się w duchu, mam nadzieję, że wtedy już wziąłeś go do Siebie.

Wyjmą każdy organ i spalą go na twoich oczach.

Zerwał się z miejsca. Podszedł do okna i wparł obie dłonie w kamienny gzyms. Zamknął oczy, czując na twarzy zimny powiew ciągnący ze szpary.

Czuł, jak to było, kiedy dłoń kata brutalnie wyszarpnęła z piersi bijące jeszcze serce i uniosła je w górę, naprzeciw wiwatującym tłumom. Zacisnął zęby i skupił się na innym obrazie: Wallace wsiada do łodzi, mocne pociągnięcia wi R O

oseł B Y

wiN

oz Yą O

g U

o N G

na środek błękitnej Sekwany. Unosi dłoń, jeden jedyny raz, a potem wystawia

twarz na wiatr. Wraca do domu.

Will wbił opuszki w kamień. Czy bez Wallace'a była jeszcze nadzieja?

Edward wygrał.

Trzymana siłą w ryzach nienawiść wybuchła w nim z wściekłym impetem. Gniew uderzył mu do głowy, wrzący i gorzki. Z krzykiem przewrócił stół, rozbijając dzbanek i rozsypując świece. Zamajaczyła butna, uśmiechnięta twarz Edwarda, więc wyrżnął pięścią w ścianę, a potem przylgnął do niej plecami i osunął się na ziemię, oddychając ciężko. Podniósł do ust zakrwawione knykcie. Ale w gniewie i rozpaczy poczuł drgnienie innego, wątłego jeszcze uczucia, które wszakże nabierało mocy. Twarz papieża Klemensa wyparła Edwarda z jego myśli. Jeśli wyda mu Nogareta, może zdoła wytargować pomoc dla Szkocji?

Wciąż mógł mieć nadzieję.

Więzienna twierdza Merlan, Królestwo Francji Dwudziesty piąty dzień grudnia roku Pańskiego 1305

Mężczyzna kulił się w ciemności. Nasłuchiwał słabych odgłosów: pobrzękiwania kluczy, trzaśnięcia drzwi, stuknięcia zasuwanego rygla, a także przejmujących dreszczem ech stłumionych krzyków. Kołysał się w przód w tył, dotykając plecami szorstkiej kamiennej ściany. Kiedyś liczył kolejno każde dotknięcie Raz. Dwa. Sto.

Tysiąc. Były miarą czasu w miejscu, gdzie nie istniały dni ani pory roku. Słońce nie wschodzi pod ziemią. Tu widział tylko różne odcienie czerni, zależne od tego, jak blisko zapędził się strażnik z pochodnią. Od jakiegoś czasu jednak po pierwszych paru setkach tracił rachubę. Myśli się rozbiegały i zaczynał bez celu dryfować we wspomnieniach.

Miejsca i osoby były w nich wyraźne, ale dziwnie wyprane z barw. Drzewa czarne, niebo popielate. O błękicie nawet nie marzył. Tu też wszystko było szare — jego włosy, skóra, łachmany, które go okrywały, ściany i posadzka, nawet jadło — wszystko szare i brudne. Z jednym wyjątkiem. Tym wyjątkiem była barwa krwi, grzechu i ognia, zła barwa. Miały ją także krzyże na płaszczach strażników. Raniła oczy, kiedy stali nad nim siekąc go batami; raniła umysł, gorącymi strużkami spływając z ramion uniesionych, by osłonić głowę. Nauczył

się jej bać; nauczył się zabarwionych nią słów, których w żadnym razie nie należało wypowiadać. Słów takich, jak wina i niewinność, kara, herezja, mord.

Pośród stałego szumu szeptów i westchnień, jęków i szlochów pojawił się nowy dźwięk zbliżających

się cichych kroków. Mężczyzna usiadł prosto, pobrzękując łańcuchami opasującymi kostki. Przechylił głowę, wsłuchując się w mrok. Kroki zatrzymały się pod jego celą. Widział poblask ognia tańczący w szparach wyszczerbionych drzwi i mocno zmrużył powieki, przygotowując się na oślepiający blask. Rygiel szczęknął i drzwi się otworzyły.

Przysłonił oczy. Zza pochodni pokazała się twarz młodego człowieka. W drugim ręku trzymał miskę. Postawił ją starannie na ziemi. Nie musiał nawet wchodzić do środka, cela była tak mała, że starczyło, by przykucnął w progu.

Więzień zerknął do miski. Z gęstej zawiesiny sterczało coś, co wyglądało jak mięso.

Co to jest, Gerard? — wychrypiał.

Przyniosłem ci resztki z kuchni — odszepnął młodzik. — Strażnicy już zjedli, mieli dość.

To mięso?

Chłopak kiwnął głową.

Przysłano nam jelenia na Boże Narodzenie.

Już Boże Narodzenie?

Tak, panie. Dzisiaj.

Więzień oparł się o ścianę, nie śmiejąc sięgnąć po miskę.

Lepiej to zabierz, Gerardzie. Jeśli ktoś się dowie, zostaniesz ukarany.

Nikt się nie dowie. Zresztą... — na obliczu młodzieńca troska zmieszała się z podnieceniem — to ostatni dzień, jutro jadę do Paryża.

Ojciec załatwił mi wreszcie przydział, na razie w stajniach. Ale jeśli będę się bardzo starał, może kiedyś zostanę rycerzem.

Więzień poczuł rozrywający serce ból na widok tej szczerej, ożywionej twarzy, tak podobnej do tamtej, którą kiedyś znał i kochał.

Nie jedź, Gerardzie. — Wyciągnął błagalnie skute, poranione ręce.

Nie jedź do Paryża. Tam są źli ludzie. Heretycy! — Podniósł głos.

R E Q U I E M

Mordercy!

Gerard obejrzał się spłoszony.

Nie mów tak, panie, bo usłyszą. Sam wiesz, co wtedy będzie.

Ale więzień nie słuchał. Złapał go za ramię, pod szorstką tuniką poczuł

ciepłe, żywe ludzkie ciało.

Zatem powiedz komuś, że tu jestem. Błagam cię. Powiedz im, że jestem niewinny. Ze wtrącono mnie tu niesprawiedliwie.

Młodzieniec cofnął rękę i wstał, kręcąc głową.

Cicho, panie. Będzie źle, jeśli ktoś usłyszy. Jedz, zanim wystygnie. Drzwi zamknęły się pośpiesznie i ciepły blask pochodni po chwili zgasł.

Prędkie kroki Gerarda ucichły w korytarzu. Esquin de Floyran oparł czoło na rękach i zapłakał w ciemności.

32

Templum w Paryżu Siódmy dzień listopada roku Pańskiego 1306

Młody człowiek krążył niespokojnie, wyłamując palce i szarpiąc luźną nitkę zwisającą z obrąbka tuniki. W

siodłami unosił się gryzący zapach wilgotnego siana, świeżego końskiego gnoju i garbowanej skóry. Chłopak przetarł oczy; zwłaszcza do tego ostatniego jeszcze się nie zdążył przyzwyczaić. Z haków wbitych w kamienną ścianę zwisały końskie rzędy, a na licznych półkach spoczywały równo ułożone siodła; sklepiony sufit obwie-szony był festonami pajęczyn. Zdumiewające, że było ich tak dużo; jakoś dotąd tego nie zauważył, choć większość minionego roku spędził w tym właśnie pomieszczeniu. Zerknął w górę i przesunął się nieco, widząc CZĘŚĆ TRZECIA

tuż nad głową szczególnie okazałą, gęsto oblepioną kurzem i muchami. Kiedyś wlazł prosto w taką sieć na ciemnym więziennym korytarzu i wielki pająk zbiegł mu po policzku. Do dziś wzdrygał się na to wspomnienie.

Drzwi się otworzyły i do siodłami weszli dwaj mężczyźni. Jednym był brat koniuszy, którego szczera, znajoma twarz i pogodny uśmiech podniosły go nieco na duchu. Drugi wszakże już z dala napawał respektem. Widywał

go czasem w preceptorium, lecz tylko raz, odbierając od niego konia, ośmielił się bąknąć doń parę słów. Wysoki rycerz miał jasne, przyprószone siwizną włosy, a jego szczupłą kościstą twarz okalała krótko przystrzyżona biała broda. W białej tunice i płaszczu, z długim mieczem u pasa wyglądał niezmiernie surowo.

Gerardzie — rzekł brat koniuszy — to jest rycerz Robert.

Młodzieniec skłonił się nisko i zmieszany znów skubnął wyprutą nitkę.

Rycerz przyjrzał mu się z uwagą.

Brat Szymon twierdzi, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

Gerard zerknął niepewnie na Szymona, który pokiwał uspokajająco

głową.

Nie bój się, chłopcze. Nie ma nic groźnego w mówieniu prawdy. Powtórz bratu Robertowi to, co opowiedziałeś mi wczoraj.

Gerard zdusił w sobie głos, który uparcie mu powtarzał, że jeżeli to, co zaraz powie, jest prawdą, znajdzie się w bardzo groźnym położeniu. Ale głos ten należał do człowieka, którego twarz prześladowała go we śnie i na jawie. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie spełni jego prośby. Długo nosił się z posiadaną wiedzą, przemyśliwując, z kim mógłby się nią podzielić. W końcu przed kilkoma tygodniami zwierzył się starszemu koniuszemu, w nadziei że zrzuci wreszcie z serca nieznośny ciężar, ale brat koniuszy orzekł, iż powinien zdać sprawę komuś wyższemu rangą.

Chłopak odchrząknął z wysiłkiem i zaczął mówić:

Zostałem rok temu przeniesiony do Paryża z twierdzy w Merlanie, gdzie mój ojciec jest strażnikiem. Był tam więzień imieniem Esquin de Floyran.

Esquin? — spytał ostro brat Robert. — Przeor z Montfaucon?

Tak, panie, wspominał, że ongiś był przeorem.

Robert spojrzał na Szymona.

Esquin zniknął jakieś trzy lata temu; mniej więcej w tym samym czasie, gdy jego bratanek został zabity.

Podejrzewano wówczas, że miał coś wspólnego z mordem i uciekł, by uniknąć kary.

Nie, panie. — Gerard gwałtownie potrząsnął głową. — Pan Esquin bardzo kochał swojego bratanka. Powiedział

mi, że Martin... że Martin...

Zaczerpnął głęboko tchu. — Powiedział mi, że Martin zginął z rąk rycerzy naszego zakonu.

Templariuszy?!

Gerard znów obejrzał się na Szymona, który ponaglił go ruchem głowy.

Tak, panie — bąknął. — Rycerzy z tutejszego preceptorium.

Skąd Esquin to wie?

Był przy tym, panie. Bratanek spotkał się z nim potajemnie w kościele, gdzie mu wyznał, że został skaptowany przez heretyków, którzy zmuszali go do grzesznych czynów. Ale młody pan Martin był śledzony i został zabity, a pana Esquina uwięziono w Merlanie. Przypuszczał, że ci ludzie bali się go zgładzić ze względu na jego rangę, a może dlatego, że on sam był bez grzechu. Może mieli nadzieję, że umrze w lochu. — Gerard spojrzał na swoje dłonie, z niechęcią przypominając sobie sceny, których był świadkiem. — Wielu tam umiera, panie. To straszne miejsce.

Muszę wiedzieć coś więcej o tych rycerzach. Martin de Floyran oskarżył ich o herezję?

Tak mówił pan Esquin. Ale nie znał ich imion. Ci, którzy go pojmali

zabili Martina, mieli na twarzach maski. Pan Esquin został wzięty na przesłuchanie. Sądzi, że ***8 1***

odbyło się tutaj,

ale nie jest pewny, bo zawiązano mu oczy...

Robert zaklął szpetnie i targnął się za włosy. Chłopak umilkł speszony.

Przez długi czas krzyczał, że jest niewinny — podjął po chwili.

Ilekroć ktokolwiek mógł go usłyszeć, wołał, że w Templum są heretycy, których trzeba ujawnić i ukarać za zbrodnie. Ale za każdym razem strażnicy okrutnie go bili, więc w końcu przycichł. Rozmawiał tylko ze mną.

Gerard wzruszył ramionami. — Mnie jakoś zaufał. Kiedy się dowiedział, że jadę do Paryża, błagał, żebym komuś o nim opowiedział.

Dlaczego czekałeś z tym tak długo?

Chłopak spuścił wzrok.

Bałem się, że spotka mnie to samo. — Spojrzał rycerzowi w oczy.

Nie wytrzymałbym w lochu. To już śmierć jest lepsza. Tylko że... ciągle go widziałem skulonego w ciemości, w tej ciasnej celi...

—' Słusznie postąpiłeś — zapewnił go Szymon.

Ja też tak uważam — dodał Robert. — Ale musisz solennie mi obiecać, że nikomu więcej słowa nie piśniesz.

R O B Y N Y O U N G

Zostaw tę sprawę nam.

Oczywiście, panie.

Możesz odejść.

Gerard skłonił się i prędko wyszedł z siodłami na rozsłoneczniony dziedziniec. Już czuł się lżejszy. Nareszcie pozbył się brzemienia, przekazał je w silniejsze ręce.

Kiedy chłopak wyszedł, Szymon zwrócił się do Roberta.

Pomyślałem, że powinieneś to usłyszeć. Kiedy mi się zwierzył, przypomniałem sobie twoją prośbę, żebym nadstawiał ucha na dziwaczne plotki krążące wśród serwientów. Muszę przyznać — dodał — że mocno wówczas wątpiłem, aby była w nich choć krztyna prawdy.

Doszedłem do tego samego wniosku. Wszystkie tropy wystygły.

Albo zeszły pod ziemię... do lochu. — Szymon zmarszczył brwi.

Wspominałeś, że wizytator wszczął wtedy śledztwo. Czyżby nie wiedział

o

uwięzieniu tego Esquina?

Starszego stopniem rycerza może skazać nie tylko wizytator, ale choćby marszałek, mistrz Francji czy jeszcze paru innych. Hugo niekoniecznie musiał o tym słyszeć, zwłaszcza jeśli tamtym zależało na zachowaniu tajemnicy. — Robert z rozdrażnieniem potrząsnął głową. — Tak czy owak, nie zdołam go o to zapytać. Jest teraz w Anglii.

Szymon zerknął na zamknięte drzwi siodłami, zza których dobiegało rżenie koni i śmiech chłopców stajennych.

Gerard wierzy w to, co powiedział mu więzień — rzekł z namysłem.

A skoro gdzie indziej też krążą pogłoski, to chyba coś więcej niż zbieg okoliczności. Ale templariusze heretykami... — Przyjrzał się sposępniałej twarzy Roberta. — To przecież nie może być prawda...?

Merlan

Dziewiętnasty dzień grudnia

Robert spojrzał w górę na wysokie szare mury. Brzydotę tego miejsca podkreślało otoczenie, puste zimowe pola i ciemne jak one niebo, po którym z posępnym krakaniem krążyły kruki zataczające koła wokół wież warowni.

Westchnął i wjechał w sklepioną bramę. Kopyta zastukały głośno na bruku dziedzińca. Zza jego pleców dobiegł

szczęk; opuszczono bronę, a rycerze, którzy wpuścili go do środka, wrócili na miejsca przy żelaznej kracie.

Słyszał o tym więzieniu, ledwie wyrósł z dzieciństwa, a pierwszego wrażenia bynajmniej nie zmieniły dalsze opowieści, powtarzane pełnym zgrozy szeptem w dormitoriach giermków. Kiedy zsiadł z konia na zimnym dziedzińcu i wręczył wodze serwientowi w czarnej tunice, przypomniał sobie wszystkie — te o torturach, jakim poddawano rycerzy, którzy złamali śluby, i te o osławionych celach śmierci, dziurach w ziemi tylko na tyle dużych, żeby mógł się w nich zmieścić skulony mężczyzna, którego zostawiano w całkowitej ciemności, bez jedzenia i picia, aż skonał. Po wstąpieniu do Anima Templi nachodziły go czasem te makabryczne wizje, nie pozwalając zasnąć.

Zarzuciwszy sakwę na ramię, wspiął się po wąskich schodach do ziejącego nad głową wejścia. Dwaj zbrojni rycerze stojący na warcie zlustrowali go wzrokiem w milczeniu.

Przyjechałem przesłuchać więźnia — powiedział.

Opowiedz się komandorowi. Jest w drugiej izbie na lewo.

Robert wszedł do chłodnego korytarza, stanął przed wskazanymi

drzwiami i zapukał dwukrotnie. Odpowiedział mu zniecierpliwiony głos nakazujący wejść. Pchnął drzwi i wszedł, schylając głowę pod nadpro- żem. Pomieszczenie było małe i duszne. Za stołem siedział tęgi mężczyzna. Ogryzał kurzą nogę i mrużąc oczy, odczytywał leżący przed nim pergamin, wodząc po nim palcem. Jego habit był raczej szary niż biały

wyglądał, jakby nie prano go od roku. Na widok Roberta mężczyzna zmarszczył brwi.

Tak?

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem Robert z Paryża. Przyjechałem z tamtejszego preceptorium, żeby przesłuchać jednego z więźniów.

Masz rozkaz?

Robert sięgnął ***8 2***

do sakwy i wyjął zwinięty pergamin.

Wciąż z marsem na czole komandor wziął dokument, przebiegł go wzrokiem i spojrzał za plecy Roberta, jakby spodziewał się tam ujrzeć jeszcze kogoś.

Czy mistrz Hugon z Pairaud także przybył?

Nie, tylko ja.

Kim jest więzień?

Kiedy padło imię Esquina, we wzroku komandora pojawiła się czujność.

Otrzymałem ścisłe instrukcje — rzekł zimno. — Nie wolno mu widywać nikogo z wyjątkiem strażników z dolnych cel.

Ten rozkaz także wydał wizytator. — Robert wskazał pieczęć z czerwonego wosku. Starał się mówić tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale jego niepokój rósł z każdą chwilą. Dziecinne lęki podszeptywały, że cele śmierci są tuż pod jego stopami, a ziemia zaraz się rozstąpi i pochłonie go ciemność. Bądź co bądź włamanie się do R E Q U I E M

komnaty Hugona i bezprawne użycie jego pieczęci było ciężkim przestępstwem. Postąpił głupio. Powinien był

dać sobie spokój.

Dobrze. — Komandor podniósł się sztywno i przeciągnął. — Zaprowadzę cię do niego.

Robert zabrał pergamin i wyszedł za nim z dusznej izby, uświadamiając sobie, że czoło ma pokryte kropelkami potu.

Labiryntem korytarzy i schodów dotarli na najniższe piętro lochów. Było tu znacznie ciaśniej i zimniej; stuknąwszy dwukrotnie głową o strop, Robert musiał iść zgięty, przytrzymując miecz, żeby nie obijał się o ściany. Komandor zdawał się nie mieć żadnych kłopotów; mimo tuszy swobodnie, niemal z wdziękiem prześlizgiwał się przez zakręty i wąskie gardła.

W końcu doszli do pomieszczenia, w którym stał stół i ława oraz kilka prycz nakrytych kocami. Grupka mężczyzn w czarnych tunikach serwien- tów siedziała przy stole. Dwóch grało w warcaby przy świetle pochodni. Na widok dowódcy wszyscy wstali.

Otwórzcie celę Floyrana.

Jeden z mężczyzn wyjął pochodnię z uchwytu i zdjął z haka pęk zardzewiałych kluczy. Minąwszy ich, podszedł

do dużych czarnych drzwi, zdjął z nich rygiel i podparłszy je ramieniem, otworzył. Mieli przed sobą tunel biegnący w ciemność. Po obu stronach majaczyły rzędy drzwi. Śmierdziało potwornie. Robert miał wrażenie, że z jednej z mijanych cel dobiegło żałosne kwilenie, gdy na drzwi padło światło pochodni. Poza tym było tu cicho jak w grobie. Strażnik zatrzymał się na końcu korytarza, odemknął kłódkę i odciągnął rygiel, otwierając maleńką celę.

Robert dojrzał skuloną postać, która osłaniała się rękami cienkimi jak gałązki. Przez strzępy odzieży widać było siatkę krzyżujących się szram, niektórych już zabliźnionych, innych świeżych i podbiegłych ropą. Uświadomił

sobie, że i komandor, i stażnik stoją tuż za nim.

Mam mówić z więźniem sam — rzekł chrapliwie, dusząc się smrodem.

Nie. — Komandor pokręcił głową. — Oznajmiono mi wyraźnie...

Taki rozkaz otrzymałem od wizytatora — przerwał mu ostro Robert. — Albo go wypełnisz, bracie, albo sam będziesz się przed nim tłumaczył.

Oczy komandora zwęziły się wrogo, ale po chwili milczenia kiwnął na strażnika:

Zostaw mu światło.

Robert odsunął się, pozwalając zapalić pochodnię tkwiącą w uchwycie na ścianie korytarza. Równocześnie przypomniał sobie o czymś, co wypadło mu z głowy, kiedy martwił się, że nie dopuszczą go do Floy- rana.

Jeszcze jedno — zatrzymał odchodzącego. — Kto wydał dyspozycje dotyczące przebiegu kary?

Wizytator. — Komandor wskazał sterczący z sakwy pergamin.

W każdym razie nosiły jego pieczęć.

Robert z trudem ukrył zaskoczenie. Zostawił pochodnię w korytarzu

zgięty wpół zajrzał do ciasnej celi przez uchylone drzwi. Więzień cofnął się, przycisnął do ściany. Kiedy opuścił

ręce, wyglądał jak widmo. Skóra, oczy, wychudzone ciało, wszystko to było jakby niematerialne. Szare, popękane usta krwawiły, skołtunione włosy zwisały na twarz. Na policzku

szyi więźnia coś się poruszało; zapewne roiły się na nim wszy. Zastanawiając się, jak przemówić do tego żywego trupa, Robert posłyszał jakby chrobot i uświadomił sobie, że więzień się odezwał.

Czy teraz już umrę? — W pytaniu zabrzmiała nadzieja.

Rycerz przykucnął w wejściu.

Nie, Esąuinie. Przyjechałem z tobą porozmawiać. — Mówił bardzo cicho, na wypadek gdyby komandor czekał

za zakrętem korytarza.

Muszę wiedzieć, dlaczego cię uwięziono.

Esquin z przerażeniem potrząsną! głową.

Nie skrzywdzę cię. Masz moje słowo. — Robert westchnął z irytacją, kiedy więzień zaczął się rytmicznie kołysać w tył i w przód. — Mamy mało czasu.

Odpowiedział mu szyderczy śmiech. Robert skrzywił się i wyjrzał za drzwi.

Gerard opowiedział mi o tobie. Ale muszę wiedzieć więcej.

8 3

Gerard? Żyje? — Więzień uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

To dobry chłopiec. Ojciec będzie z niego dumny. — Uśmiech zgasł.

Byłby dumny, gdyby go nie zabili.

Gerard żyje.

Nie on, głupcze! — Esąuin podciągnął pod brodę chude kolana.

Martin.

Twój bratanek?

Nic nie powiem! Nie dostaniecie go. Jest już bezpieczny u Boga.

Proszę cię, bracie. Potrzebuję...

To ja jestem w potrzebie, bracie — przerwał ostro więzień.

Muszę się stąd wydostać.

R O B Y N Y O U N G

To niemożliwe.

Zatem niczego się ode mnie nie dowiesz. Zabierz mnie stąd albo odejdź. — Esąuin oparł się o ścianę wyczerpany.

Robert zastanowił się przelotnie, jak go zastraszyć, ale nie umiałby przyczynić temu człowiekowi większych cierpień, niż już mu zadano.

Nie mogę — rzekł. — Nie teraz. Ale jeśli twoja opowieść się potwierdzi...

Straż! — wrzasnął Esąuin, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Wyprowadźcie tego człowieka!

Słysząc kroki w korytarzu, Robert zaklął. W sakwie miał list z pieczęcią Hugona, która dawała mu władzę, by uczynić to, czego żądał więzień, ale jeśli go stąd wywiezie, spali za sobą mosty. Gdyby chodziło tylko o pogłoski lub nawet opowieść Gerarda, mógłby stąd wyjechać i nigdy nie wracać. Lecz rozkaz nakazujący trzymanie tu rycerza w ścisłej izolacji wyszedł z tej samej kancelarii, w której stanowczo położono kres śledztwu w sprawie rzekomej herezji w zakonie. Nie mógt wrócić do Templum, nie poznawszy odpowiedzi na palące pytania. A okrytą zmową milczenia prawdę mógł mu wyjawić tylko ten człowiek.

Wycofał się z celi.

Rozkujcie więźnia — rzekł. — Zabieram go do Paryża.

Wejdźże dalej! — Robert ruchem ręki przynaglił dygoczącego więźnia. Obaj ociekali deszczem. Huk grzmotu przetoczył się nad dachem stodoły i wrócił, odbity echem od pobliskich wzgórz.

Następna błyskawica zalała świat widmową bielą. Esquin skulił się

objął ramionami. Woda lała się na niego przez dziury w dachu.

Robert wszedł głębiej, korzystając ze światła błyskawic. Klepisko zaśmiecały zwalone belki. Kopnął jedną; rozsypała się w próchno.

Chodź, tu nie jest tak mokro! — zawołał do Esquina. Kiedy ten się nie poruszył, rycerz zawrócił i ujął go za ramię. Esquin drgnął, ale bez oporu pozwolił się wyprowadzić z kałuży.

Robert zrzucił z ramion ociekający wodą płaszcz, przewiesił go przez pochyłą belkę opartą o ścianę. Rozpiął pas z mieczem i zdjął wierzchnią tunikę. Podał ją Esquinowi, ale ten szarpnął się w tył, jak gdyby rycerz podsunął

mu coś obrzydliwego lub groźnego.

Jest sucha. Zaziębisz się na śmierć w tych łachmanach.

Nie — szepnął więzień.

Były to pierwsze słowa, jakie Robert od niego usłyszał po opuszczeniu Merlanu. Po niebie znów przetoczył się kolejny grzmot.

Nie włożę tego.

Robert zerknął na trzymaną w dłoniach szatę. W świetle błyskawic przecinający ją krzyż był prawie czarny.

Trudno — burknął, wciągając ją z powrotem na kolczugę. — Znajdę ci coś innego. Trzeba by rozpalić ogień. —

Po chwili wahania zsunął pochwę z pasa. — Obejmij rękami tę belkę.

Esquin wbił w niego spojrzenie bez wyrazu i przez chwilę Robert myślał, że się nie poruszy. W końcu jednak usłuchał, żałosny jak zmaltretowany pies przysunął się i uniósł chude ramiona. Czując się jak okrutnik, rycerz starannie przykrępował mu ręce do belki. Potem przeszedł na przód stodoły, gdzie zostawił konia, odwiązał

sakwę od siodła

wyjął z niej pled. Okrył nim ramiona więźnia. Następnie rozejrzał się za nieco suchszym drewnem i garścią siana na podpałkę. Esquin przyglądał mu się bez słowa; kiedy między jedną a drugą błyskawicą zalegała ciemność, w mroku połyskiwały jego blade oczy. Wreszcie zaskwierczały pierwsze wątłe płomyki, dając trochę światła i zaczątek ciepła. Robert wyjął z sakwy kawał czerstwego chleba i odłamał połowę dla Esquina.

Uświadomiwszy sobie, że więzień nie zdoła jeść ze związanymi rękami, uwolnił jedną. Floyran wsunął pajdę między bezzębne dziąsła i zaczął żarłocznie ciamkać.

No dobrze — powiedział Robert, przełknąwszy parę kęsów.

Wydostałem cię z Merlanu, choć Bóg jeden wie, czy nie zajmę tam twojego miejsca. Teraz kolej na ciebie.

Chcę, żebyś opowiedział mi wszystko, co zaszło przed twoim uwięzieniem.

Esquin wyjął z ***8 4***

ust chleb umazany krwią z poranionych dziąseł.

Chcę sprawiedliwości — wyseplenił chrapliwie. — Chcę, żeby ludzie, którzy zamordowali Martina i znęcali się nade mną, musieli za to odpokutować. Pomożesz mi ich ukarać?

Kiedy Robert kiwnął potakująco głową, więzień zerknął na niego podejrzliwie, ale zaczął mówić. Rycerz słuchał

go w milczeniu. Zakończywszy na tym, jak wrzucono go do lochu, Esquin oparł się bezwładnie o deski z niedojedzonym chlebem w garści. Wyglądał na wyczerpanego.

Nie rozpoznałeś żadnego z tych mężczyzn?

Mówiłem ci już, bracie, że mieli zakryte twarze.

Ale może głos? Akcent? Czy któryś wymienił jakieś imię?

Patrzyłem na ciało Martina wywlekane z zaułka. Byłem jak porażony. Domagasz się ode mnie rzeczy niemożliwej!

Robert uspokoił go gestem.

R E Q U I E M

Rozpoznałbyś głosy, gdybyś je usłyszał ponownie?

Cienka jak papier skóra na czole Esquina zmarszczyła się w namyśle.

Być może... Ale nie. Nie. To by znaczyło, że musiałbym tam wrócić.

Gwałtownie potrząsnął głową. — Nie wejdę do Templum w Paryżu! To gniazdo heretyków! Bluźnierców!

Synów szatana! — W żółtym świetle ogniska oczy błyszczały mu jak w gorączce.

Powiedziałeś, że pragniesz sprawiedliwości.

To ją znajdę gdzie indziej. Nie wrócę tam! Nie mogę!

Robert pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach. Nie mając pojęcia, kto jest zamieszany w sprawę, nie był

pewien, jakie kroki powinien teraz podjąć, a także co zrobić z Esquinem. Zastanawiał się nad bezpiecznym miejscem, gdzie można by go przetrzymać do czasu, aż zbierze więcej informacji. Chyba jednak powinien pomówić z Hugonem, kiedy wizytator wróci z Anglii.

Prześpij się teraz — rzekł w końcu. — Kiedy burza minie, ruszymy dalej. Chcę się szybko znaleźć jak najdalej od Merlanu. Komandor musiał cię wypuścić, ale nie był z tego rad. Jeśli dojdzie do wniosku, że popełnił błąd, wyśle za nami pościg.

Esquin posłusznie oparł głowę o belkę i przymknął oczy. Robert dołożył do ognia, okrył się wilgotnym płaszczem i półleżąc, nasłuchiwał gromów przetaczających się nad wzgórzami, a w przerwach między nimi urywanego oddechu więźnia.

Esquin otworzył oczy. Ogień prawie całkiem zgasł, było cicho i mroźnie. Siedzący naprzeciw rycerz spal z głową opuszczoną na pierś, która miarowo podnosiła się i opadała. Przez dziury w dachu widać było jasne perlowobłękitne niebo. Ten widok przyprawił Esquina o dreszcz. Jak dawno nie widział nieba? Chciał wstać, ale obie dłonie przytwierdzone miał do belki. Rycerz musiał go związać ponownie, kiedy spał. Z wysiłkiem rozchylił spęka R

ne O

w Ba Y

r N

gi, Y

ż O

e U N

by g G

o zawołać. Z Merlanu już mogła iść za nimi pogoń. Lecz nim wyrzekł słowo,

zawahał się.

Dlaczego miałby ufać temu człowiekowi bardziej niż oprawcom z Merlanu? Nosili ten sam habit. Zamyśli! się, mierząc wzrokiem nienawistny czerwony krzyż na płaszczu. A jeśli rycerz go tylko mami? Może chcieli się dowiedzieć, ile naprawdę wie, zanim go zabiją? Siedząc w celi z perspektywą długich lat agonii, z radością powitałby szybką śmierć. Ale teraz, kiedy niebo jaśniało od wschodu, a mroźne powietrze przejmowało dreszczem, obiecując życie i wolność, uświadomi! sobie, że nie chce umierać.

Ostrożnie wysunął bosą stopę i szturchnął nią tlącą się jeszcze szczapę, Zwęglone polana osunęły się do ogniska i rycerz sapnął przez sen. Esquin znieruchomiał. Rycerz jednak spał dalej. Esquin ponownie namacał szczapę palcami i przepchnął ją pod belkę. Potem zaczą! mozolnie zsuwać w jej stronę pętlę z pasa, którym miał

związane ręce. W końcu, choć w głowie wirowało mu ze zmęcznia, znalazła się tuż nad ziemią. Zgięty wpół

pode- pchnął nogą głownię z ogniska. Żar spalił mu włosy na przedramieniu, skóra poczerwieniała i

zaczęła piec, ale pas w końcu się zatlił. Rozniósł się ostry zapach palonego rzemienia. Wydawało mu się, że czeka całą wieczność. Nareszcie przepalony pas pękł.

Uwolniony z więzów na palcach podkradł się do połamanych wrót stodoły. Tam otrzeźwił go widok ciągnących się w nieskończoność pól osnutych szarą mgiełką. Zawrócił i cichutko odwiązał konia.

Sainte-Chapelle w Paryżu Dwudziesty pierwszy dzień lutego roku Pańskiego 1307

Bóg nie słyszy moich modlitw!

Król Francji klęczał na kamiennej posadzce, jego stłumiony głos wlewał się w splecione dłonie.

Każdy człowiek na ziemi, niezależnie od liczby i wagi swoich grzechów, ma szansę na ich odpuszczenie. Jeśli szczerze żałuje.

Filip spojrzał na górującego nad nim spowiednika, który w sięgającej ziemi czarnej kapie zdawał się jeszcze wyższy. Twarz miał białą, obramowaną szarymi jak krzemień włosami ze starannie wygoloną tonsurą, a bijący od niego zapach kadzidła spowijał go świętością, jakby był drobną cząstką niebios odłamaną i postawioną przed Filipem, aby sądzić i karać. Na tę myśl wzrok króla uniósł się wyżej, ku rzeźbionym aniołom wieńczącym strzelisty ołtarz. Nieomal oczekiwał, że zejdą z piedestałów i staną przed nim, patrząc nań z potępieniem malującym się w małych złotych oczach.

Czy szczerze żałujesz za swe grzechy, panie?

Spojrzenie króla powróciło do twarzy dominikanina.

Sam wiesz, że tak.

A czy Bóg to wie?

Cóż więcej mogę zrobić? — szepnął Filip, zamykając oczy pod surowym wzrokiem spowiednika. — Co dzień się modlę i czynię pokutę. A jednak wciąż Go nie słyszę. Nie chce do mnie przemówić.

Może twoje modlitwy nie są wystarczająco szczere? Pokuta nie dość gorliwa?

Oczy Filipa otwarły się gwałtownie. Wstał.

Nie dość? Co dzień spływam krwią pod dyscypliną przez pamięć Jego ran, dla Jego miłości. Cóż więcej mogę zrobić? — powtórzył i targnął szatę na piersiach. — Dzień w dzień noszę włosiennicę. Sypiam w niej nawet! — Jego słowa odbiły się echem w pustej świątyni, ciemnej, jeśli nie liczyć plamy światła przed ołtarzem. — Czy to Ci nie wystarcza, Boże?

krzyknął, wznosząc ręce i padając na kolana przed ołtarzem, z którego anioły patrzyły obojętnie na jego udręczone ciało.

Sypiasz w niej, panie? — Głos zakonnika ciął jak bicz. — Nawet jeśli jesteś w łożu z kochanicą?

Filip spojrzał na niego bez słowa.

Dominikanin podszedł i nachylił się nad nim.

Możesz ukrywać swoje grzechy przede mną, ale nie zdołasz ich ukryć przed Bogiem. Ani też — dodał

kwaśno — przed dworem. To, że barłożysz ze służką, jest powszechnie wiadome. Jakże mam ci odpuścić grzech, który taisz? Jak Bóg ma ci wybaczyć, jeśli nie czujesz skruchy?

Tęsknię za żoną. Boleję po niej tak strasznie, że nie mogę znieść widoku dzieci, bo mi ją przypominają. Ta służka była tylko... — Filip pokręcił głową. — Ukojeniem.

Królowa Joanna jest już w niebie, panie. W pokoju wiecznym. Ty musisz zaprowadzić pokój w swojej duszy i swoim królestwie, zanim się z nią połączysz. Twój lud na ciebie patrzy, jesteś dla niego wzorem. Co dzień musisz dokładać wszelkich starań, by utwierdzać jego wiarę.

Lud? Wszystko robię dla niego, lecz mimo to lud mnie nienawidzi. Modlą się do świętego Ludwika, lecz nigdy za mnie. Jeśli zbiory są złe, mnie za to winią. Gdy podnoszę daniny, by umocnić granicę i ochronić ich przed najazdem, buntują się przeciwko mnie. — W głosie Filipa zabrzmiała gorycz. — Równie dobrze jak ja znasz nastroje w tym mieście. Mogłoby się zdawać, że każdy mój edykt witany jest zamieszkami na ulicach.

Ale Bóg mnie nie słyszy, jakże więc trafię do nieba, jeśli mój lud nie będzie się za mnie modlił? Potrzebuję wstawiennictwa, Wilhelmie.

Nie polegaj na innych w drodze do zbawienia, mój panie. Musisz poddać się szczerze i bezwarunkowo woli Boga. Powierz Mu się z ufnością, a On cię powiedzie. Kiedy twoja modlitwa i pokuta będą naprawdę szczere, Bóg je dojrzy, R O

co B Y N

do t eYg O

o U

niNe G

mam wątpliwości.

A więc jest jeszcze czas? — szepnął Filip. — Czas na odpuszczenie grzechów? Na Bożą miłość, choć nie jestem jej godny?

Oczywiście. — Stalowe ostrze znikło z głosu Wilhelma, choć wzrok pozostał surowy.—To niespokojne czasy. Teraz bardziej niż zwykle musisz świecić przykładem. Znasz moje zdanie na temat uczynków twojego legisty, ale nie ja będę decydował o jego zbawieniu. Pan de Nogaret pokłada wielką ufność w prawie i zgodnie z prawem Bożym zostanie osądzony. Tymczasem jednak, skoro

Kościół i król nie są już w stanie wojny, nakłaniam cię z całą mocą do zacieśnienia więzów z papieżem Klemensem dla dobra twoich

poddanych. Poprzez twoje uczynki i oni zrozumieją, o co w istocie walczysz. — Dominikanin podszedł do ołtarza. — Trzeba im pokazać słuszną drogę: tę, którą kroczą sprawiedliwi. W królestwie pleni się zabobon, brak bojaźni Bożej. Z pomocą Pana naszego udało się nam wytrzebić mieczem i ogniem katarską herezję na południu kraju. Ale po upadku Akki przekonaliśmy się, jak wątła jest nieraz ludzka wiara, skoro tak wielu gotowych było od niej odstąpić, przyjmując obrzydłe gusła Saracenów. Nie wolno dopuścić, by demon herezji znów podniósł obmierzły łeb.

Nie podniesie — powiedział ze znużeniem Filip. — Niedobitki katarów pochowały się w mysich norach, a i tak nie ma ich tylu, by zdołali zakazić innych. — Na twarzy króla zaigrał łobuzerski uśmiech. — Wilhelm de Nogaret może to potwierdzić.

Jednak jako inkwizytor nader często słyszę o nowych występkach przeciw wierze chrześcijańskiej. Ot, choćby w zeszłym tygodniu przedłożono mi sprawę, która wielce mnie zaniepokoiła. Do naszego kolegium trafił

człowiek, który twierdzi, że zakon Świątyni jest siedliskiem herezji.

Co?

Przybył dziesięć dni temu, zagłodzony i na wpół obłąkany, błagając nas o azyl. Zwierzył się jednemu z moich braci, ale ten zatrwożony wagą oskarżeń przyszedł do mnie. Kilkakrotnie rozmawiałem z tym człowiekiem.

Rzekł mi, iż jego bratanek wpadł w sidła heretyków odprawiających bluźniercze ceremonie i został przez nich zamordowany, gdy odmówił im posłuszeństwa. On sam, odkrywszy straszną prawdę, został uwięziony w lochach zakonu.

Filip w skupieniu powiódł oczyma za spowiednikiem, który podszedł do ołtarza, żeby poprawić kapiącą świecę.

Na ciele ma ślady tortur — podjął — i pała żądzą zemsty za długie uwięzienie, dlatego też postanowiłem być ostrożny. Aż nadto dobrze zdaję sobie sprawę, jak często powodem przedkładanych nam doniesień jest zwykła chęć zemsty na drugim człowieku. Zbyt wielu ludzi spłonęło niewinnie. — Wilhelm z Paryża nabrał

powietrza w płuca i wypuścił je powoli.

Ale też, jak uczą ojcowie naszego zakonu, lepiej niech niewinny spłonie, niźli miałby heretyk wieść dusze dzieci Bożych na manowce. — Obrócił się do Filipa. — Trzeba będzie ustalić, czy przemawia przezeń rozgoryczenie

chęć pomsty na krzywdzicielach czy też oskarżenia są prawdziwe. Tak czy owak, jego straszna opowieść jest spójna i przekonująca, przeto nie wolno jej zlekceważyć. Templum nie podlega mojej jurysdykcji, zamierzałem więc udać się z tą sprawą do papieża, ale chcę jeszcze zasięgnąć rady, nim

zacznę kłopotać jego świątobliwość niepotwierdzonym doniesieniem. Wiem, iż jesteś z nim w przyjaźni, najjaśniejszy panie.

Miałem nadzieję, że zechcesz mi pomóc.

Chcę mówić z tym człowiekiem.

Dominikanin uniósł ze zdziwieniem brwi, słysząc poruszenie w głosie króla, ale pokiwał głową.

Z uwagą wysłucham twej opinii, panie, o wiarygodności jego skarg. Muszę cię jednak ostrzec, że pełno w nim złości i wciąż błąka się na skraju szaleństwa.

Każę go tu zaraz sprowadzić.

Nie, panie. — Zakonnik uniósł rękę. — Najpierw dokończysz spowiedź.

Po chwili wahania Filip opadł z powrotem na kolana i próbując się skupić, jął wyliczać swoje grzechy. Na zasłoniętej złożonymi dłońmi twarzy widać było głęboki namysł.

Brzeg Sekwany, Paryż Drugi dzień marca

Znajdę go, potrzebuję tylko trochę czasu. — Ślizgając się w błocie, Robert podszedł do Willa, który przysiadł

na stercie pułapek na węgorze.

W każdym razie już wiemy, że w paryskim Templum rzeczywiście dzieje się coś złego i trzeba to zbadać.

Esąuin de Floyran twierdzi, że nie zdoła ich rozpoznać, toteż prawdę mówiąc, jego świadectwo jest niewiele warte, ale... — Urwał, widząc minę przyjaciela. — Co się stało?

Tak się składa, że wiem, gdzie jest Esąuin de Floyran.

Jakim cudem? Gdzie?

Trochę ponad tydzień temu do zamku sprowadzono pod silną strażą jakiegoś człowieka z kolegium

dominikańskiego. Król i Nogaret spędzili na rozmowach z nim kilka dni. Był przy nich obecny także spowiednik króla, Wilhelm z Paryża. Zwróciłem na to uwagę, ponieważ król odwołał z tego powodu ucztę i łowy. Oczywiście nie informował mnie

o

szczeRgO

ółBa Yc N

h, Y

al O

e U N

prz G

ypadkiem usłyszałem imię.

Robert zbladł.

Boże święty... Zatem jednak wrócił do Paryża? Kiedy ja mu to zaproponowałem, omal nie umarł ze strachu.

Powiedziałeś, że chce sprawiedliwości. Gdybym ja miał oskarżyć kogoś o herezję, udałbym się prosto do dominikanów. Gdzież indziej znalazłby wszystko, czego mu trzeba? Jadło, dach nad głową, obronę...

zemstę.

Chryste Panie... — Robert obiema dłońmi szarpnął się za włosy i zakręcił w miejscu. — Dasz radę go przejąć?

Pięć dni temu wyjechał z Nogaretem do Poitiers. Pod silną eskortą.

Dlaczego właśnie tam?

Papież Klemens objeżdża Francję, wizytując poszczególne prowincje kościelne. Od paru miesięcy jest w Poitiers. Jak sądzę, Esquina zabrano do niego.

Nad brzeg rzeki zbiegli dwaj chłopcy, okładając się patykami w wyimaginowanym rycerskim pojedynku. Ich pełne wigoru okrzyki mieszały się z głosami wodnych ptaków krążących wokół porośniętych trzcinami wysepek.

Zatem król dopiął swego — odezwał się Robert po długim milczeniu. — Zdobył to co potrzebne, żeby dobrać się do Templum. Kiedy papież usłyszy świadectwo Esquina, będzie musiał rozpocząć śledztwo. Oskarżenie o herezję pojedynczego człowieka jest wystarczająco poważne, ale w odniesieniu do najpotężniejszego zakonu w chrześcijaństwie... Jego świątobliwość znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Nie będzie mógł pozostać bezczynny. — Rycerz zapatrzył się na rzekę mieniącą się turkusowo w jaskrawym wiosennym słońcu. —

Żałuję teraz, że wywiozłem Esquina z Merlanu.

Will milczał przez chwilę.

Szkoda, że nie przyszedłeś do mnie zaraz, gdy Szymon przyprowadził ci tego chłopaka.

Robert spojrzał na niego spode łba.

Dawałeś do zrozumienia, że jesteś zajęty.

Jestem. — Twarz Willa stwardniała. — Usiłuję równocześnie zrobić coś dla Szkocji i ocalić córkę. Mówisz tak, jakby to była moja wina. Miałem się domyślić, czego mi nie mówisz?

Po odbiciu Raula zaszyłeś się w zamku i nie dałeś znaku życia

zdenerwował się Robert. — Mówisz, że się poczuwasz do członkostwa w bractwie, ale nawet ja cię nie widuję.

Papież kazał mi znaleźć dowód, że to Nogaret zamordował Benedykta. Jeśli mi się uda, może to oznaczać ratunek dla Templum. Mówiłeś

o

dyplomacji. Staram się. Zdołałem nakłonić Klemensa, żeby wysłał do Anglii list papieski, nakazując Edwardowi zakończyć wojnę ze Szkocją.

Po egzekucji Wallace'a widziałem w tym szansę na to, żeby Szkoci... także moja rodzina, Robercie... mogli unieść głowy z pogromu. Winisz mnie, że starałem się ją wykorzystać? — Nie czekając na odpowiedź, Will podjął:

Tyle tylko że stąpam po coraz cieńszym lodzie. Kiedy Filip musiał zrezygnować z zamachu na Templum, przestałem mu być potrzebny. Szczęście, że nie pokazano mi drzwi. O komitywie pozwalającej mi wniknąć w sprawy Nogareta nie mam co marzyć.

Wierzysz, że udałoby ci się znaleźć dowód?

Will milczał. Już w chwili gdy papież zleci! mu to zadanie, wiedział, że jego wykonanie graniczy z cudem.

Nogaret nie był człowiekiem, który pozostawiałby po sobie ślady, a już na pewno nie na piśmie.

Muszę próbować — powiedział na poły do siebie, na poły do Roberta. — Muszę zrobić co w mojej mocy, żeby utrzymać papieża po naszej stronie. Ale nie tylko Nogaret, także król patrzy na mnie coraz bardziej nieufnie. — Will westchnął. — Może jedynym powodem, dla którego jeszcze się mnie nie pozbył, jest Róża.

Ten łajdak chędoży moją córkę.

Co?! — Robert spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Will machnął tylko ręką i zszedł nad wodę.

Nie chcę o tym mówić — burknął, kiedy przyjaciel poszedł za nim.

Po prostu uwierz mi, że głównie ze względu na cele bractwa siedzę jeszcze w tym zamku, choć najchętniej udusiłbym drania.

Nie możesz wywieźć jej z Paryża? — spytał cicho Robert.

Wbrew jej woli? — Will parsknął z goryczą. — Mogę, tylko niewiele na tym zyskam. Róża już dawno wypowiedziała mi posłuszeństwo. Najchętniej udaje, że w ogóle mnie nie zna. Więc tkwię tam jak głupi, usiłując mieć na nią oko, a równocześnie mam oko na króla. Chcę być przy niej, gdyby kiedyś mnie potrzebowała.

Robert milczał dość długo.

Po koronacji Roberta Bruce'a sytuacja w Szkocji zmieniła się chyba na lepsze? — rzekł w końcu, zmieniając temat.

Z tego co osta Rt O

ni B Y

o sł Ny Y

sz O

ał U

e N

m, G

wynika, że nie tak znów bardzo. Na początku Bruce odniósł świetne

zwycięstwo, ale teraz siły szkockie są w odwrocie. Pomimo wysiłków papieża Edward zebrał wielką armię, która ma wyruszyć na północ. Jeśli sprawy się ułożą po jego myśli, jeszcze przed jesienią głowa nowego króla Szkotów będzie zdobić Most Londyński.

Robert przyjrzał się chłopcom, którzy teraz gonili się po błotnistych łachach, rozganiając białe chmary ptactwa.

Chyba bytem naiwny — powiedział — ale myślałem kiedyś, że po powrocie z Ziemi Świętej wszystko stanie się prostsze. Sądzisz, że przed śmiercią doczekamy się pokoju? Ze w ogóle jest możliwy?

Coraz częściej wydaje mi się, że nie. Ale potem przypominam sobie ojca, Ewerarda, sułtana Kalauna i innych ludzi, którzy wierzyli, że pokój to nie tylko mrzonka. Wierzyli tak bardzo, że poświęcili dla niego wszystko.

Muszę mieć nadzieję, że... — Will potrząsnął głową. — Zresztą to teraz nieważne. Nasze pragnienia

będą najmniej istotne, jeśli Filip ziści swój plan. Rozmawiałeś z Hugonem?

Nie. Wciąż jest w Anglii.

Uważasz, że miał coś wspólnego z uwięzieniem Esquina?

Trudno mi to sobie wyobrazić.

Ale rozkaz, by trzymać go w odosobnieniu, miał jego pieczęć?

Sam niedawno dowiodłem, że można użyć pieczęci Hugona bez jego wiedzy.

To prawda, ale jest coś, czego nie powinniśmy lekceważyć. Opowieść tego młodego człowieka, który zginął, przywodzi na myśl pewne mniej znane fragmenty Księgi Graala. Tajemna inicjacja. Picie krwi bratniej. Plucie na krzyż. A Księga Graala prowadzi nas wprost do Anima Templi.

Picie krwi?

Została napisana na zamówienie Armanda z Pćrigordu, ten zaś miał słabość do romansów arturiańskich, zwłaszcza o Percewalu.

Tak, wiem o tym — przerwał niecierpliwie Robert.

Armand chciał, żeby rytuały bractwa, zwłaszcza towarzyszące przyjmowaniu nowych członków, różniły się od stosowanych w zakonie. Miały być tajemnicze, mroczne. Przeto Ewerard puścił wodze wyobraźni. Podobnie jak w innych powieściach o Graalu, pełno tam było dziwnych, czasem nawet bluźnierczych alegorii.

Alegorii! — powtórzył, widząc, że Robert ściąga z niesmakiem brwi. — Nikt nie miał pić niczyjej krwi, to był symbol braterstwa. Podobnie jak inne; pamiętasz, że Ewerard często nazywał Akkę Kamelotem? Niemniej Księga Graala nie była subtelnym romansem, jakim trubadurzy raczą damy dworu. Była mocna, krwista i co tu kryć, tak daleka od ortodoksji jak samo bractwo. Stanowiła ponadto dowód jego istnienia, przeto była niebezpieczna, bardzo niebezpieczna. Pożądali jej wszyscy wrogowie Templum: Edward, joannici... Ewerard zawsze żałował, że nie spalił jej zaraz po śmierci Armanda w mameluckim więzieniu.

Ale w końcu ją spalił, więc kto mógł o niej wiedzieć? Ewerard od dawna już nie żyje, dzisiejsi członkowie to nowe pokolenie, zresztą i tak zostało ich ledwie kilku.

My o niej wiemy. Wie także Hugo. Wysłałem do niego pisma Ewerarda przed upadkiem Akki, wiele mógł z nich wyczytać.

Obaj znamy Hugona od dzieciństwa. Nie wierzę, że byłby zdolny zamordować niewinnego, a drugiego wsadzić do lochu. — Kiedy Will nie odpowiedział, Robert dodał ciszej: — Nie widziałeś Merłanu, Will.

Członek Anima Templi nie mógłby tego zrobić.

Zamek w Carlisle Jedenasty dzień marca

Paź wprowadził Hugona do komnaty. Było w niej ciemno, malowane okiennice zasłaniały okna i minęło kilka chwil, nim dostrzegł postać opartą na poduszkach w wielkim łożu, oświetloną tylko odblaskiem ognia, który palił się na kominie. Na gest leżącego paź wycofał się z komnaty, cicho zamykając za sobą drzwi.

Najjaśniejszy panie. — Hugo skłonił się nisko.

Król Edward miał na twarzy gorączkowe wypieki. Wyglądał jak sędziwy, sterany życiem starzec. Hugo był

tym zdumiony. W ciągu paru lat od ostatniego spotkania Edward stracił włosy na ciemieniu, skórę miał usianą żółtawymi plamami, policzki wiotkie i zapadnięte, oczy ledwie było widać spod brwi. Co prawda miał już sześćdziesiąt siedem lat, ale...

Bliżej — odezwał się Edward, a głos, choć słaby, wciąż miał dostatecznie rozkazujący, by Hugo odruchowo zrobił krok do przodu.

Przykro mi, że znajduję cię w chorobie, panie.

Gorączka, nic więcej — odparł król kwaśno. — W końcu dotarło do ciebie moje wezwanie? — W jego głosie wyraźnie było słychać przyganę.

Hugo skłonił głowę.

Wybacz, że musiałeś czekać, ale byłem w drodze; objeżdżałem posiadłości zakonu na angielskiej wyspie. —

Podszedł bliżej, czując żar buchający z paleniska. — Jednakże twój list ucieszył mnie bardzo, bo i sam pragnąłem z tobą mówić, zanim wrócę do Paryża.

Ach tak? — Wyblakłe oczy Edwarda łypnęły spod napuchniętych powiek.

Minione lata były ciężkie dla nas obu. Ty musiałeś zdławić szkocką rebelię, ja szukałem bezpiecznej siedziby dla zakonu. K RieO B Y N

dy oba Yj O

zgU N G

odziliśmy się sobie pomóc, żaden z nas nie przypuszczał, że po tak wielu latach

nadal będziemy w punkcie wyjścia. Pragnę jednak przypomnieć waszej wysokości, że z mojej strony umowa została dotrzymana. Templariusze walczyli dla ciebie w dwu kampaniach i stracili jednego z naszych najlep-szych mistrzów. — Hugo podszedł do komina i wyciągnął ręce do ognia. Z pewnym wahaniem podjął: —

Jakub de Molay wciąż obozuje na Cyprze

mimo moich ponawianych próśb, aby zajął się rosnącymi potrzebami zakonu na Zachodzie, oświadcza stanowczo, że tam pozostanie, dopóki nie otrzyma wojskowego wsparcia, by uderzyć na Ziemię Świętą.

Ostatnio otrzymałem wieść, że papież Klemens wyraził zgodę na planowany przez joannitów podbój wyspy Rodos, gdzie planują założyć swą stolicę. Wielki mistrz Szpitala Świętego Jana zobowiązał się wyruszyć na krucjatę, kiedy wyspa znajdzie się pod ich kontrolą.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałoby mnie to obchodzić

rzekł obojętnie Edward.

Hugo zgrzytnął zębami ze złością, widząc, że król nie zamierza mu ułatwić tej rozmowy.

Miałem nadzieję, panie, że i ty się wywiążesz z zawartej umowy. Obiecałeś nam zapewnić odpowiednią siedzibę.

Leżę tu na łożu boleści, złoto wycieka mi ze skarbca, moi poddani przelewają krew na polach bitew, a tym masz czelność w takiej chwili stawiać mi żądania? — Edward usiadł, na jego twarzy odmalował się gniew.

Jak śmiesz tak do mnie mówić, wizytatorze!

Zawarliśmy umowę, panie — powtórzył stanowczo Hugo.

Ba! — Edward opadł z powrotem na poduszki, wysilony oddech zaświszczał mu w krtani. — Zawarliśmy ją, zanim ten suczy syn Wallace wykrwawił mi królestwo. Teraz, kiedy Robert Bruce wciąż stawia zawzięty opór, nie mam ani czasu, ani chęci, żeby ci pomagać. — Oczy króla zwęziły się, spojrzał w płomienie. —

Rzucę Szkotów na kolana, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię przed śmiercią. W czasie tej wojny umarła mi żona i większość dzieci. Mój następca jest równie słabowity w garści jak na umyśle. Kto podniesie młot wykuty przeciw buntowniczej Północy, kiedy mnie już nie będzie pośród żywych? Nie mam komu pozostawić tego zadania, muszę sam doprowadzić je do końca. Nie poświęciłem osiemnastu lat królowania na to, żeby teraz wszystko zmarnować.

Zatem nie chcesz mi pomóc, panie?

Edward milczał przez chwilę. Gruba głownia osunęła się w głąb paleniska i w powietrze trysnął snop iskier.

Mówię, że nie mogę, a nie, że nie chcę. — Znów zamilkł. — Nie teraz. Kiedy zgniotę Bruce'a i jego popleczników, dam ci to, czego chcesz.

Ziemię — sprecyzował Hugo.

Jestem skłonny nadać wam jakiś niewielki obszar na terenie Szkocji, jeśli wreszcie ją podbiję. Ale mam pewien warunek. Prawdę mówiąc, z tego powodu cię wezwałem.

Hugo czekał.

Chcąc zwyciężyć Szkotów, potrzebuję wszelkiej pomocy, jaką zdołam uzyskać. Poparcia baronów, żeby wystawić armię, aprobaty poddanych, którzy będą za to płacić, i błogosławieństwa Kościoła, na który zamierzam nałożyć nową daninę. A to ostatnie będzie trudne. Wilhelm Wallace miał poparcie papieża Bonifacego, który był największym oponentem moich wcześniejszych działań. W ubiegłym roku jego

następca, papi Re O

ż B

K Yl N

e

m Ye O U

ns, N

pr Gzyjął podobny kurs. Kiedy wysłałem posłów z odpowiedzią na jego listy

protestacyjne, moi ludzie odkryli coś bardzo interesującego. Papież, jak się zdaje, zawarł sojusz z człowiekiem, który od dawna jest moim wrogiem. Nie znam szczegółów łączącej ich znajomości, ale te nie są istotne. Ważne jest to, aby się zakończyła. I tu potrzebna mi jest twoja pomoc.

Trzeba zabić tego człowieka? — Hugo ściągnął brwi.

Nie. Pojmać i dostarczyć do mnie.

Panie, jestem pewien, że władca tak potężny bez trudu zdoła go znaleźć i uwięzić bez mojej...

Ten człowiek jest obecnie gościem króla Filipa i siedzi na jego dworze w Paryżu, gdzie, nie wątpię, również spiskuje przeciw mnie.

Edward spojrzał Hugonowi w oczy. — To Wilhelm Campbell.

Kiedy templariusz nie odpowiedział, król pokiwał głową.

Widzę po twojej minie, że jesteś zaskoczony. Zastanawiałem się, czy

o

tym wiesz.

Myślałem, że nie żyje — szepnął Hugo.

Wiele lat temu po bitwie falkirskiej miałem go w niewoli, ale zdołał uciec. W przeszłości irytował mnie tylko jak dokuczliwa osa, ale teraz jego żądło zaczyna mnie ranić. Chcę, żeby zginął. Ale z mojej ręki, rozumiesz?

Edward wycelował w Hugona kościsty palec. — Przywieź mi Campbella, a będziesz miał swój kawałek ziemi, templariuszu.

Klasztor franciszkanów w Poitiers Osmy dzień kwietnia roku Pańskiego 1307

Wilhelm de Nogaret przygładził rzednące włosy, przeglądając się w zwierciadle, i włożył czapkę. Zatrzymał się na moment, patrząc z satysfakcją na swoje odbicie, potem narzucił na ramiona świeżo wyprany płaszcz podróżny. Rozległo się pukanie. Otwarłszy drzwi, ujrzał nowicjusza z koszykiem okrytym płótnem, spod którego dolatywał ostry zapach sera.

Jego świątobliwość kazał ci dać prowiant na drogę do Paryża, panie... — Młodzieniec wyciągnął koszyk w jego stronę.

Daj go mojemu słudze. — Kiedy nowicjusz skinął głową i obrócił się do wyjścia, Nogaret zawołał za nim: — A skoro już o tym mowa, dopilnuj, żeby zaraz osiodłano mi konia. Chcę wyjechać bez zwłoki.

Zamknąwszy drzwi za braciszkiem, wrzucił kilka rzeczy do sakwy

skierował się do wyjścia.

Śpiesząc galeryjką wychodzącą na wirydarz, posłyszał stłumiony przez ściany śpiew w górującej nad celami braci kaplicy. Przystanął na chwilę. Musiała już być pora tercji. Słońce ogrzewało mu twarz i zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. Zdziwił się; dźwięk modłów zwykle działał mu na nerwy. Po chwili uświadomił sobie, że nie pobożne śpiewy tak go radują, a fakt, że po raz pierwszy w życiu Kościół dał mu coś oprócz prześladowań —

dał mu długo oczekiwane zwycięstwo.

Błogie uczucie wkrótce jednak minęło i zanim zszedł na dziedzińczyk, czoło znów miał pokryte zastarzałymi zmarszczkami trosk. Zdarzyło mu się już w przeszłości błędnie sądzić, iż osiągnął cel. To, że papież wysłuchał

Esquina de Floyran z rosnącym niepokojem, było dopiero pierwszym krokiem. To, że po odrobinie perswazji Klemens wezwał z Cypru wielkiego

mistrza Templum, było krokiem drugim. Teraz, gdy list z wezwaniem wieziono już do portu, a Esąuin był

bezpiecznie ukryty, Nogaretowi nie pozostało nic oprócz powrotu do Paryża. Tam będzie czekać na stosowną porę, by zrobić krok następny.

Przeciął wirydarz i wszedł do budynku po przeciwnej stronie. W biegnącej na przestrzał jasnej sieni ujrzał

zbliżających się z przeciwka trzech zajętych rozmową mężczyzn. Franciszkanin w szarym habicie z kapturem towarzyszył dwóm podróżnym w długich zakurzonych płaszczach. Jednego z nich Nogaret poznał od razu. Już miał zawołać, ale coś go powstrzymało. Wśliznął się do pustego o tej porze skryptorium. Przez drzwi ułowił

tylko fragment rozmowy.

...ale jeśli zechcecie zaczekać... — mówił mnich.

Słowa ucichły i kroki się oddaliły. Nogaret uchylił drzwi; zobaczył plecy mężczyzn niknących w bocznym przejściu. Zamyślony wyszedł, omal nie przewracając nowicjusza, tego samego, który przyniósł mu żywność.

Złapał go za ramię.

Chcę wiedzieć, kim są ci dwaj ludzie, którzy weszli przed chwilą z jednym z braci. — rzekł, wskazując kierunek, w którym się oddalili.

Dowiedz się też, po co przyjechali.

Ale...

Natychmiast! — Nogaret zacisnął długie palce na ramieniu nowicjusza, aż ten syknął z bólu. — Tylko dyskretnie. Żaden z nich nie może się dowiedzieć, że o nich pytam. Zrozumiałeś?

Tak, panie. — Chłopak skwapliwie kiwnął głową.

Będę przy stajni.

Kiedy nowicjusz odbiegł, rozcierając ramię, Nogaret wyszedł na zewnątrz. Pachołek stał już z końmi, których juki wypełniał prowiant zapewniony przez franciszkanów. Nogaret kazał mu czekać i zajrzał pod okap stajni.

Dwóch młody R

c O

h lB Y N

udzi Y

z O

de Uj N

m G

owało siodła ze zdrożonych koni. Tego czarnego z białą strzałką na czole Nogaret

znał. Drugi był silnym ogierem, rząd miał zwykły, bez ozdób, ale starannie utrzymany. Zagadnął o jeźdźców, lecz chłopcy nic o nich nie wiedzieli. Czas mijał. Nogaret coraz bardziej się niecierpliwił. Msza dobiegła końca, w klasztorze wszczął się ruch. Wreszcie drzwi budynku się otworzyły i wybiegł z nich nowicjusz.

I co?

Mówiłem z bratem Alanem. Pytali, czy jest tu Esąuin de Floyran, a dowiedziawszy się, że wyjechał, poprosili o posłuchanie u jego świątobliwości.

Znasz ich imiona?

Wilhelm Campbell i Robert z Paryża.

Z Paryża?

Tak, panie. Czy trzeba ci czegoś jeszcze, zanim... Panie?

Nogaret nie słuchał. Wskoczył na siodło i kiwnął na pachołka.

Nie mów im, że pytałem — rzekł jeszcze, zawracając konia.

Rozkaz królewski.

Kiedy młodzieniec pośpieszył otworzyć bramę, królewski doradca obejrzał się na budynki klasztorne.

Campbell bez wątpienia wkrótce się dowie, że był tutaj, ale to nie ma znaczenia. Zanim się dowie, on będzie już w drodze do Paryża. Klemens był chory i od paru dni nie przyjmował nikogo, będą więc musieli zaczekać na posłuchanie.

Szturchnął piętami końskie boki i wyjechał za bramę, rad, że zaufał swemu instynktowi i nie zawołał do Szkota. W pierwszej chwili pomyślał, że wysłał go król Filip z dodatkowymi rozkazami. Ale powstrzymała go obecność drugiego, którego nie znał — to i brak zaufania do Camp- bella.

Jak się okazało, miał słuszność. Powtórzył to sobie z mocą. Podejrzenia w stosunku do Campbella okazały się uzasadnione i wszystko zdawało się je potwierdzać. Robert z Paryża... tak właśnie nazywał się templariusz, który uwolnił Esquina z Merlanu. Ale były i inne poszlaki. Obecność templariuszy w Anagni, odbicie dziecka Klemensa spod straży królewskiej gwardii — wszystkie tropy niczym strzałki na mapie wiodły w to samo miejsce. Wskazywały Campbella i Templum.

Klasztor franciszkanów w Poitiers Dwudziesty trzeci dzień kwietnia

Macie czas do nieszporów.

Mnich zamknął drzwi za Willem i Robertem, pozostawiając ich w komnacie z wybladłym, wychudzonym mężczyzną siedzącym na zaścielonym poduszkami krześle pod oknem.

Jego widok utemperował nieco niecierpliwość, która doprowadzała Willa do obłędu przez ostatnie dwa tygodnie. Papież wyglądał tak, jakby jedną nogą stał w grobie. Twarz miał niemal przezroczystą.

Z głębokiem żalem usłyszałem wieść o chorobie waszej świątobliwości — rzekł, uświadamiając sobie, że mówi szczerze. Klemens był teraz jego jedynym sojusznikiem.

Najgorsze minęło, Bogu niech będą dzięki — odpowiedział słabym głosem papież. W ręku trzymał płócienny woreczek, z którego dobywał się ostry zapach ziół. Zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, ale zrezygnował z westchnieniem. — Aczkowiek bardzo jestem jeszcze słabowity — dodał.

Uniósł woreczek, powąchał go i skrzywił się niemiłosiernie.

Infirmariusz zapewnił mnie, że zioła przepędzą słabość, ale chyba raczej mi szkodzą. — Podniósł przekrwione oczy na Willa. — Bracia mówili mi o waszym przybyciu. Jak się domyślam, sprowadza was to samo co królewskiego ministra?

Gdzie jest Esquin de Floyran, wasza świątobliwość? Nikt nie chciał nam odpowiedzieć na to pytanie.

Bo nikt nie wie, a większość w ogóle nie słyszała o tej sprawie. Długo rozmawiałem z Esquinem, zanim złożyła mnie choroba. Potem zabrał go ze sobą Nogaret. Powiedział, że w bezpieczne miejsce, ale widać nie ufał mi dostatecznie, aby wyjawić dokąd, mimo nalegań. Albo to jest gdzieś blisko, albo miał ludzi, który powieźli Esquina dalej, bo wrócił jeszcze tego samego dnia.

Co waszej świątobliwości powiedział Esquin?

Ze w Templum są heretycy, którzy zamordowali mu bratanka, a jego samego uwięzili w lochu.

Wasza świątobliwość mu wierzy?

Mówił przekonująco. — Klemens zamyślił się na chwilę. — Ale z drugiej strony jest to świadectwo jednego tylko człowieka, w dodatku pragnącego zemsty.

Zatem je oddaliłeś? Odesłałeś Nogareta z niczym?

Klemens wstał, mocno opierając się o krzesło.

To zbyt poważne oskarżenie, żeby je zlekceważyć. Musiałem poczynić pewne kroki.

Will rzucił Robertowi zatroskane spojrzenie.

Przecież wasza świątobliwość wie, dlaczego zostało przedstawione

rzekł powoli. — Król i jego doradca od dawna marzyli o czymś takim:

o

złośliwym oskarżeniu, dzięki któremu mogliby wprowadzić w życie dawno uknuty plan.

Złośliwym? — Głos Klemensa nabrał ostrości. — Chcesz powiedzieć, że oskarżenie jest fałszywe? Masz na to dowód?

Wasza świąt R

obl O

i B

w Y N

ość Y O U

— wł N

ą G

czył się do rozmowy Robert. — To, czy jest ono prawdziwe, powinno zostać

osądzone przez władze zakonu. Dyscyplina braci podlega jurysdykcji mistrzów. To sprawa wewnętrzna i jako taka winna być rozpatrywana.

A mistrzowie podlegają mnie — odparł sucho papież. — Zresztą właśnie dlatego wezwałem z Cypru Jakuba de Molay.

Nogaret tego żądał?

Ja podjąłem decyzję. W sprawach dotyczących herezji ostateczna decyzja należy zawsze do mnie.

Rozdrażniony ton papieża uświadomił Willowi, że legista wyprzedził go o całe mile. Zanim zdążył się zastanowić nad skutkami, Klemens podjął:

Mistrzowie zakonu pomogą mi rozstrzygnąć tę sprawę. Razem wydobędziemy ze świadectwa Floyrana

prawdę lub fałsz i stosownie do tego zapadnie wyrok. Król i jego minister mogą widzieć tu drogę do skarbca zakonu, ale wam obiecuję: dopóki nie uznam tego za konieczne, Templum w żaden sposób nie poniesie szkody. Poza tym — dodał — szczerze pragnę pomówić z mistrzem Jakubem. Wiele czasu minęło, odkąd miałem ostatnie wieści o jego wyprawie na Wschód. Chciałbym sam się przekonać, co mogę zrobić, żeby wesprzeć wasz zakon w walce. — Uśmiechnął się lekko.

W istocie cała ta sprawa może się jeszcze okazać błogosławieństwem raczej niż nieszczęściem.

Will nie odpowiedział. Zapewnienia papieża tylko wzmogły jego niepokój. Zawsze lekceważył marzenie Klemensa o odzyskaniu Ziemi Świętej, zakładając z góry, że opór takich władców, jak Edward i Filip, zwłaszcza po porażkach mistrza templariuszy, zmieni je w pobożną mrzonkę. Teraz jednak się okazywało, że spotkanie papieża z wielkim mistrzem Templum, niezależnie od jego wyniku, będzie miało opłakane skutki.

Zastanawiał się, czy jechać na Cypr i powstrzymać Jakuba, ale posłaniec z listem od papieża miał już nad nim dwa tygodnie przewagi. Poza tym wielki mistrz nie będzie miał wyboru — musi usłuchać wezwania, chyba że Will powie mu całą prawdę. To zaś samo w sobie mogłoby zniszczyć zakon.

Teraz — rzekł Klemens tonem sygnalizującym, że posłuchanie dobiega końca — powiedz mi, Campbell, jak daleko się posunąłeś ze śledztwem w sprawie Nogareta. Zdobyłeś jakikolwiek dowód, że uśmiercił

Benedykta?

Niestety, nie. Nogaret nie dopuszcza mnie do swoich spraw, a od śmierci królowej najjaśniejszy pan także zamknął się w sobie i nawet najbardziej zaufani doradcy nie mają do niego przystępu.

Powinieneś się pośpieszyć — rzekł w zadumie Klemens. — Jeśli pozwolimy mu działać swobodnie, ten wąż ma dość jadu, by wykończyć nas wszystkich.

Zamek królewski w Paryżu Czternasty dzień maja

Will był w swojej izbie, kiedy usłyszał cichy chrobot, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że ktoś puka do drzwi, ale tak cicho, jakby nie chciał, by go usłyszano. Nim otworzył, przepowiedział sobie w myślach wszystkie kłamstwa dotyczące rzekomej podróży do Anglii, na wypadek gdyby gościem okazał się Nogaret.

Różyczka! — szepnął, nazbyt zaskoczony, by wydukać coś ponadto. Nigdy w ciągu wszystkich lat, które przemieszkał w zamku, Róża nie przyszła go odwiedzić. Poczuł opętańczą radość. Zdusił ją prędko, nie ośmielając się mieć nadziei, że w uczuciach córki zaszła jakaś zmiana.

Róża otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Spróbowała jeszcze raz, potem bolesny skurcz przebiegł jej po twarzy, obróciła się i ruszyła z powrotem.

Czekaj! — Will dogonił ją i złapał za rękę — Proszę cię, wejdź.

Zawahała się, potem z ociąganiem pozwoliła się wprowadzić do

izby.

Zamknął drzwi i podszedł do łóżka, na którym leżała podróżna sakwa i miecz. Przełożył je na skrzynię.

Dopiero wróciłem — wyjaśnił, wskazując, żeby usiadła. Zakłopotany cofnął się, przeczesując dłonią włosy.

Przycupnęła na brzeżku, opierając obie dłonie o rant łóżka. W fał- dzistej niebieskiej opończy wydała mu się bardzo maleńka.

Nie wiedziałam, gdzie jesteś — powiedziała z rozpaczą.

Przepraszam — rzekł zdziwiony. Założył ramiona na piersi i westchnął. — Prawdę powiedziawszy, nie przyszło mi na myśl, żeby cię powiadomić o wyjeździe. Nie sądziłem, że cię to obchodzi.

Róża wbiła wzrok w podłogę i szepnęła coś, czego nie zrozumiał. Kiedy się nie odezwał, podniosła głowę.

Chciałam cię prosić o pomoc.

Podszedł i usiadł obok, starając się zapanować nad gwałtownym wzruszeniem. Z wahaniem ujął jej pokrytą bliznami dłoń w swoją, stwardniałą, poznaczoną nabrzmiałymi żyłami.

Jestem przy tobie. Mów, w czym kłopot.

Chodzi o Filipa.

Zamilkła i nie odzywała się przez długą chwilę. Już stracił nadzieję, że powie coś jeszcze. W końcu jednak podjęła, niepewnie, z wahaniem formułując oporne słowa.

On i ja byliśmy... jesteśmy... — zrobiła dłuższą pauzę. — Kochankami — dokończyła, podnosząc na niego wzrok, w którym było coś z dawnej zbuntowanej Róży.

Powstrzymał się od komentarza.

Ale w ostatnic R O B

h mi Ye N

si ą Yc O

ac U

h N

F G

ilip się zmienił. Stał się zimny...

spojrzenie Róży uciekło w bok — i brutalny.

Dłoń Willa zacisnęła się mocniej. Czuł, jak budzi się w nim coś groźnego, gwałtownego, ale milczał.

Boję się, co może zrobić. Słyszałam o jego planach, rozmawia o nich z Nogaretem, kiedy myślą, że nie słucham. Wiem, że chce zagarnąć cały majątek Templum.

Nie uda mu się to.

Wiesz z o tym?

Tak, od pewnego czasu. Ale to się nie stanie. Nie dopuszczę do tego.

Róża potrząsnęła głową.

Nie wiesz, do czego jest zdolny. — Zagryzła wargę. — Ma w sobie tyle złości. Czasem mnie przeraża.

To po co do niego chodzisz?

Uwolniła rękę i zerwała się na nogi.

Jak mam odmówić królowi?

Will też wstał, przerażony, że Róża wybiegnie i więcej jej nie zobaczy.

Wybacz, to było głupie pytanie. — Położył jej ręce na ramionach. —Posłuchaj mnie, Różyczko. Słusznie boisz się Filipa. To człowiek mściwy i bezwzględny, który zdepcze wszystko, co stanie mu na drodze.

Skądinąd rozumiem twoje... — zgrzytnął zębami — zauroczenie. Bo wiem również, że potrafi być pełen uroku i bardzo przekonujący. Przez wiele lat sam widziałem w nim sojusznika, dopóki oczy mi się nie otwarły na jego okrucieństwo. Ale trzeba położyć temu kres. Pozwól, żebym ci pomógł. Pozwolisz?

Kiwnęła głową. Uśmiechnął się i musnął palcem jej policzek.

Wywiozę cię stąd. Daleko.

Dokąd mogłabym uciec? — spytała cichutko.

Do twoich ciotek, Isendy i Edy. Do Szkocji.

A ty?

Will się zawahał. Niczego bardziej nie pragnął, niż zbiec z nią do stajen, skraść dwa konie i pognać jak wiatr na wybrzeże. W Honfleur znaleźliby jakiś kupiecki statek, ze sprzedaży miecza miałby dość na podróż. W

czerwcu byliby już w Szkocji.

Będę musiał zostać — rzekł, choć były to najtrudniejsze słowa, jakie w życiu wypowiedział. — Spróbuję przynajmniej ograniczyć szkody, jakie wyrządzą król z Nogaretem.

Jak?

Papież mi ufa. — Will podszedł do skrzyni, na którą rzucił płaszcz i miecz. — Nie dopuści do zniszczenia zakonu. — Zapiął pas z pochwą na biodrach i poprawił oręż.

Patrzyła na niego zmartwiona.

Dokąd idziesz?

Mam się spotkać z Robertem. Zamierzał mówić z wizytatorem o pewnej ważnej sprawie, chcę znać wynik tej rozmowy. Powiem mu

Szkocji, niech wyśle Szymona do portu. — Podszedł do niej i uścisnął jej ramiona. — Spakuj tymczasem trochę rzeczy, tylko tak, żeby nikt nie widział. Wrócę po ciebie za parę godzin. Mam nadzieję, że znajdziemy ci miejsce na statku. Tak czy owak dopilnuję, żebyś bezpiecznie stąd wyjechała.

Róża jak we śnie wyszła z ojcem na korytarz. Ruszył szybko, narzuciwszy płaszcz na szerokie ramiona.

Chciała za nim zawołać, ale lęk

niezdecydowanie zwyciężyły. Powoli wróciła do królewskich komnat powleczonych miedzianym blaskiem przez zachodzące słońce.

Kiedy weszła, Nogaret zerwał się niecierpliwie. Na twarzy miał wypieki. Filip siedział spokojnie, minę miał

chłodną i opanowaną.

No i co? — spytał.

Zaciążyły jej ich wyczekujące spojrzenia, spuściła głowę. Czuła za plecami drzwi, twarde i solidne, w sobie zaś rozpalający się wstyd, który sprawił jej nieoczekiwany ból. Ojciec patrzył na nią z miłością i troską. Nikt inny tak na nią nie spojrzał od czasu Akki. Czując mdłości, podniosła wzrok na Filipa, ale w jego twarzy nie dojrzała uczucia, tylko twardą, bezlitosną butę. Był nieludzki. Nawet kiedy miał ją w łożu, jego namiętność była zimna jak lód, przelotna. Zdawało jej się, że leży na niej posąg.

Mówże, kobieto! — huknął na nią Nogaret, aż podskoczyła.

Wie, że miłościwy pan chce przejąć majątek Templum — wymamrotała. Słowa więzły jej w gardle.

Filip wstał i podszedł do niej.

To i my wiemy! Co jeszcze powiedział? — Złapał ją pod brodę, zmuszając, by patrzyła mu w oczy. — Czy spiskuje przeciw mnie z papieżem?!

Panie, proszę... To boli!

Zniżył głos, ale jej nie puścił.

Pomyśl, co dla ciebie dobre, Różo. Komu powinnaś ufać? Ojcu, który porzucił cię przed laty? Czy królowi, który może dać ci wszystko, czego zechcesz? — Rozsunął fałdy opończy i stanowczo położył dłoń na jej nabrzmiewają R

c O

y B

m Y N

brz Y

uc O U N G

hu. — Ja zapewnię ci opiekę.

W oczach Róży zakręciły się łzy.

Kiedy skończyła mówić, puścił ją i pozwolił wyjść. Pobiegła do sąsiedniej izby, zatrzaskując za sobą drzwi.

Po chwili doleciał zza nich szloch.

Twarz Nogareta była purpurowa z wściekłości.

Zdradziecki kundel! — syknął, miotając się po komnacie. — Powinno się żywcem pasy z niego drzeć!

Filip podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Trzeba się dowiedzieć, ile szkód już narobił. Czy oprócz tego Roberta ktoś jeszcze w Templum wie o naszych zamiarach? Od jak dawna Campbell znosi się z Klemensem? Czy list, w którym papież wzywa do Francji Jakuba de Molay, został w ogóle wysłany?

Został. — Nogaret nadal krążył jak lew w klatce. — Pchnąłem gwardzistę wraz z papieskim gońcem, żeby mieć pewność. — Podszedł do Filipa i zniżył głos. — Przynajmniej pozbędziesz się naraz dwóch kłopotów, panie. — Wskazał drzwi, zza których wciąż było słychać płacz Róży.

Zdrajcy i jego córki.

Filip zerknął na niego.

Ona może się jeszcze przydać. Choćby po to, żeby skłonić Camp- bella do mówienia.

O, Campbell będzie mówić, panie. Za to ręczę. Będzie mówić, aż zabraknie mu słów! — Oczy Nogareta się zwęziły. — Baba natomiast staje się kłopotliwa. Nic w tym dziwnego, gdy wdowiec bierze sobie dziewkę do łoża, ale królewski bękart przysporzy ci tylko zgryzot. Masz prawowitych synów.

Dość! — uciął Filip. — Sprowadź tu Campbella. To rozkaz. Templum jest niedaleko; najlepiej, gdybyś go pojmał, zanim tam dotrze. Weź gwardzistów.

A kiedy już wyśpiewa to, co chcemy wiedzieć? Czynimy, co postanowione?

Oczy Filipa błysnęły.

Jeśli Jakub de Molay podporządkuje się wezwaniu papieża i wróci na Zachód, wtedy zaczniemy działać dalej.

Tymczasem dopilnujemy, żeby

o

oskarżeniach Esquina zrobiło się głośno. Jakiekolwiek są osobiste od

czucia Klemensa, będzie musiał wszcząć proces, jeśli lud zacznie się tego domagać. Kiedy załatwisz się z Campbellem, spisz zarzuty, na podstawie których uwięzimy mistrzów zakonu. Niech będą oparte na

zeznaniach Esquina, ale tak szokujące, żeby cała Francja domagała się dla nich stosów. Herezja to ciężki zarzut, lecz nie zapominajmy, z kim mamy do czynienia. W ciągu dwóch stuleci templariusze urośli w potęgę i sławę. Regułę napisał im sam święty Bernard, mienią się żołnierzami Chrystusa i nawet ich biały habit ma oznaczać niewinność. Zawartość aktu oskarżenia będzie bardzo ważna.

Wiem, co pisać, panie — mruknął Nogaret. — Doskonale pamiętam, o co oskarżono moich rodziców.

Rue du Tempie R

w O

P Ba Y

ryNż uY O

CzUt N

er G

nasty dzień maja roku Pańskiego 1307

Słońce schowało się już za zygzakowatą linią dachów, wąskie uliczki ciemniały wraz z zapadającym zmierzchem. Dzwon Najświętszej Maryi Panny zaczął bić na nieszpory. Potężny dźwięk przetoczył się nad rzeką, wprawiając całe miasto w drżenie, i zaraz skwapliwie dołączyły się do niego inne dzwony. Will biegł do Bramy Templariuszy, oddech palił go w piersi, próbował skupić myśli na tym, co usłyszy od Roberta, lecz nie zdołał, bo wszystkie wypełniała Róża. Kipiały w nim na przemian gniew i radość, lęk i nadzieja. Bał się, że nim wróci, Róża zmieni zdanie i nie zechce opuścić Paryża. Na tę myśl jeszcze przypieszyl, roztrącając grupkę kupców spierających się ze strażą w bramie.

Pędem przebył drogę do Templum. Tuż przed murami preceptorium zboczył w stronę kępy rozłożystych dębów.

Tu nareszcie zwolnił i przystanął, zgięty wpół próbując złapać oddech. Pot szczypał go w oczy. Pomiędzy drzewami zalegał cień, Roberta nie było widać. Wyprostował się, ocierając twarz zgięciem ramienia. Posłyszał

tętent; pięciu jeźdźców kłusem przejechało drogą, wzbijając za sobą kurz.

Campbell — doleciał go szept.

Obrócił się.

Robert? — spytał przyciszonym głosem, wytężając oczy. Wszedł głębiej, gałązki zatrzeszczały mu pod nogami.

Po paru krokach drogę zastąpił mu mężczyzna z mieczem w dłoni. Sięgnął po własny, ale już dobywając go z pochwy, wyczuł, że przeciwników jest więcej. Obejrzał się. Czterech — nie, pięciu. Wyszarpnął miecz i natarł

na pierwszego, który z łatwością sparował jego cios. Wymierzony z tyłu kopniak w kolano zwalił go na ziemię; zdążył podnieść miecz, by osłonić się przed ciosem, który zadał mu pierwszy przeciwnik. Ale ten nie miał go zabić, tylko zająć jego

uwagę tak, by nie zdążył się uchylić przed kolejnym kopnięciem w krzyże i następnym, które trafiło go między łopatki. Czyjaś stopa przygwoździła dłoń z mieczem do ziemi. Wolną ręką próbował się osłonić przed spadającymi zewsząd razami. W końcu coś twardego uderzyło go w głowę i stracił przytomność.

Skądś dobiegał rytmiczny głuchy dźwięk, prędki jak bicie serca. Miał uczucie, że znajduje się pod wodą. Świat unosił się gdzieś tam, o wiele wyżej. I nagle wynurzył się na powierzchnię. Wleczono go za ramiona, twarzą w dół. Widział odblask pochodni, czyjś płaszcz smagnął go po twarzy. Stopy ciągnęły się za nim po płytach posadzki. Dźwięk, który słyszał, okazał się odgłosem kroków. Był zdezorientowany i rozbity, nie mógł nawet unieść głowy. Posłyszał odgłos otwieranych drzwi i poczuł powiew; weszli do jakiegoś większego

pomieszczenia. Zatrzymali się. Rozległ się ostry zgrzyt. Potem buchnęło mu w twarz stęchłe powietrze cuchnące gorzkim kadzidłem i znów szli, tym razem w dół po wąskich stopniach, od których odbijały się jego bezwładne nogi. Znów się zatrzymali. Było tam cieplej i jaśniej. Posadzili go na stołku. Ktoś szarpnął mu ręce do tyłu i związał je sznurem. Zwalił się na niego potop lodowatej wody. Zakrztusił się i podniósł głowę. Woda ciekła mu po twarzy na pierś. Odzyskawszy widzenie, zobaczył oddalającą się postać z wiadrem.

Rozejrzał się. Był w komnacie rozjaśnionej paroma świecami. Jedną ze ścian okrywały czarne zasłony, przed nimi stał człowiek ubrany w płaszcz z mieniącego się różnymi barwami jedwabiu. Kiedy odrzucił kaptur, jeszcze niezupełnie przytomny Will ujrzał twarz Hugona z Pairaud.

Z wiekiem policzki wizytatora obwisły, nastroszoną czarną niegdyś brodę przetykały pasma siwizny. Milczał.

Patrzył na Willa z namysłem, pytająco.

W mroku coś się poruszyło, ukazała się kolejna postać w gładkim białym płaszczu i szkarłatnej masce z wymalowaną jelenią głową — tak jak tamci, którzy pobili go w gaju. Przybysz szepnął coś Hugonowi, który kiwnął głową i znów spojrzał na Willa.

Więc przez te wszystkie lata byłeś w Paryżu? Jak długo Robert wie, że mieszkasz w zamku?

Will z trudem przełknął ślinę, pełną krwi i ziemi. Od zapachu kadzidła kręciło mu się w głowie.

Co mu zrobiłeś? — spytał chrapliwie. — Gdzie jest Robert?

Hugo postąpił bliżej.

W jaki sposób nakłoniłeś go do zdrady?

Mówisz o zdradzie jak o czymś strasznym, a tymczasem tobie przychodzi ona bez trudu! — warknął Will.

Cios pięści w pancernej rękawicy omal nie zmiótł go ze stołka. Co dziwne, dopiero on go orzeźwił.

Wykrztusiwszy krew z ust, spojrzał na Hugona. Teraz widział go ostrzej.

Ufałem ci, stary druhu, dlatego cię wybrałem na jednego z braci. Ufałem, że zrozumiesz, co staramy się zdziałać i do czego zmierzamy. Nie sądziłem, że zmienisz bractwo w diaboliczne jasełka.

Zamaskowany mężczyzna zamierzył się jeszcze raz, ale Hugo powstrzymał go ruchem dłoni.

To ty porzuciłeś bractwo, Campbell. Skoro tak wiele dla ciebie znaczyło, powinieneś był zostać. Odchodząc, dałeś mi jednak szansę, by uczynić to co konieczne, a czego ty byś nie zrobił. Obaj z Robertem jesteście tak krótkowzroczni! Ewerard żył za wcześnie. On byłby nas powiódł do wielkości, bo w pełni rozumiał, czym naprawdę jest Dusza Świątyni.

Nic nie wiesz o Ewerardzie ani o tym, co mu przyświecało — syknął Will ze złością. On lepiej znał swojego mistrza i przyjaciela.

Nie?

Hugo podszedł do czegoś, co wyglądało jak ołtarz, i wziął z niego oprawną w skórę księgę. Kiedy wrócił do światła, Will pozR O

nałB Y

zaN

pi Y O

ski U N

Ew G

erarda, dzieło jego życia.

Chyba jednak poznałem go dość dobrze — rzekł Hugo, wertując stronice. — Ewerard wierzył w wartość ofiary i krew jako cenę wolności. Wierzył w wyższość Anima Templi nad wielkimi mistrzami, którzy nieraz wypaczali cele zakonu. Wiem też, że znał potęgę mitu. — Hugo pokręcił głową i odłożył kronikę na ołtarz. — Napisał

Księgę Graala. Niczego się z niej nie nauczyłeś?

Nawet nie wiesz, o czym mówisz. Księga Graala została zniszczona wiele lat przed tym, nim wstąpiłeś do bractwa. W tych pismach Ewerard starał się, by jego odniesienia do księgi były niezrozumiałe dla ludzi nie znających jej treści.

Ależ ja znam jej treść. Poznałem dzieje bractwa i dowiedziałem się bardzo wiele z różnych źródeł: od ciebie, Roberta, Tomasza, nawet od króla Edwarda, choć jego opinie o Księdze Graala ociekały pogardą. Z czasem złożyłem te wszystkie fragmenty i doszedłem do istoty rzeczy.

Złożyłeś je w niewłaściwej kolejności — przerwał mu szorstko Will.

Wypaczyłeś sens słów Ewerarda. Picie krwi! Plucie na krzyż! To były alegorie!

I wciąż nimi są. Teraz ich moc jest tym większa, że przybrały realną postać.

Na kartach księgi były niewinne, Przeniesione w sferę czynów są herezją.

Herezja! — parsknął Hugo. — Jesteś tak samo staroświecki jak Jakub. Choć Ewerard nieraz się natrząsał z Armanda de Périgord i jego zauroczenia Graalem, sam dobrze wiedział, jak potężny to symbol. Nigdy jednak nie wykorzystał tej potęgi. Nie miał sposobności. Ja przemieniłem mit w rzeczywistość, nie w bajkę dla dorosłych chłopców. Stworzyłem coś, co może ocalić zakon.

Jak, na rany Chrystusa, deprawacja młodych rycerzy może ocalić zakon?!

Krew oznacza więzy braterstwa — powiedział z przejęciem Hugo.

Dlatego Ewerard wykorzystał ją w swojej opowieści o Percewalu. Ja tylko poszedłem o krok dalej, a czyniąc tak, tchnąłem w symbol życie. Ci ludzie — kolistym gestem wskazał widoczne w mroku sylwetki — są prawdziwymi braćmi.

Martin de Floyran by się z tobą nie zgodził.

Hugo sposępniał.

Tamtej nocy moi ludzie posunęli się za daleko. Są bezgranicznie wierni mnie i sobie nawzajem, a zdrada Martina zraniła ich głęboko. To moja wina. Nie był jeszcze gotowy na inicjację. Niektórzy się nie nadają.

A Esquin?

Kolejna pechowa ofiara.—Hugo westchnął ciężko. — Nie jesteśmy grzesznikami ani heretykami, Campbell.

Wierzę w Boga tak samo mocno jak ty. Ludzie, których wybieram do Anima Templi, przychodzą do tej komnaty, by odtworzyć podróż Percewala ze mną jako przewodnikiem.

Wskazał swój lśniący płaszcz. — Jestem Królem Rybakiem, który pomaga im przejść kolejne próby. Mają do wyboru dwie drogi: jedną starą, pod przewodnictwem wielkiego mistrza, drogę krwi, przemocy i wojny, drogę, która zniszczy Świątynię... i drugą: nowy zakon. Ale ta nowa droga nie jest łatwa. Wybierając ją, sprzeniewierzą się ślubom złożonym przy pasowaniu, zdradzą swoich mistrzów, nawet swoje rody. Aby nią iść, muszą zaufać mi bezgranicznie i ja tak samo muszę ufać im. Plują na krzyż, by dowieść swojej lojalności wobec mnie; na znak, że w sprawach bractwa ja jestem dla nich najwyższą wolą i władzą. Ewerard pojmował wagę takich czynów, inaczej nie napisałby Księgi Graala. Idea walki o ocalenie mistycznego ideału jest bardziej nośna niż walka o jakiś piaszczysty kawałek ziemi, nieprawdaż?

Will kręcił głową z niedowierzaniem.

A więc to się dzieje już od dawna? Robert mówił mi, że nic nie robisz. Że bractwo nawet się już nie spotyka.

Kiedyś miałem nadzieję, że się do nas przyłączy. Ale Robert jest niewolnikiem starego porządku w takim samym stopniu jak ty i Jakub. Czas na nową Świątynię i jej odnowioną Duszę. Wiek krucjat przeminął w chwili, gdy upadła Akka. Dziś Krzyżacy podbijają Prusów, obrastając w ziemie i dobra. Joannici planują podbój Rodos.

Tylko nasi mistrzowie miotają się po Cyprze jak ślepcy, po omacku próbując schwytać Jeruzalem i ożywić sen, który już się prześnił. Nadszedł czas ekspansji, budowania mocarstw! Po co tracić ludzi i środki na jałowe święte wojny? Gdy wy próbowaliście ratować walący się gmach starych pojęć na

Wschodzie, świat się zmienił.

Królowie Zachodu rosną w siłę, umacniają się u władzy. Żeby przetrwać, musimy zrobić to samo. Też musimy się zmienić, a w tym celu potrzebne nam jest terytorium, na którym skonsolidujemy swoją siłę. Z czasem wy-ciągniemy ręce w nowy wiek, wiek wynalazczości i nauki, pokoju i dobrobytu. — W blasku świec oczy Hugona pałały. — Wiem jednak, że muszę dążyć do tego powoli, stopniowo, zmieniać zakon od wewnątrz. Zacząłem więc rekrutować rycerzy, którzy będą wierni mnie, a nie Jakubowi czy idei krucjat.

I co zamierzasz? Stworzyć własną armię i najechać jakiś kraj?

Nie muszę. Król Edward obiecał oddać nam część podbitej Szkocji.

Jeśli ją podbije.

Bez obaw — odparł spokojnie Hugo. — Robert Bruce ucieka z podkulonym ogonem, a w czasie gdy my tu rozmawiamy, wojska Edwarda maszerują na północ. To największa armia od bitwy pod Falkirkiem. Szkocja upadnie pod angielskim mieczem, a Templum będzie miało bezpieczną siedzibę z dala od burzliwej polityki Francji, Anglii, cesarstwa czy Rzymu.

Jesteś głupcem, R

H O B

ug Y N

oni e Y O U

— s N

ze Gpnął Will. — Edward walczy

o

władzę w Szkocji od osiemnastu lat. Naprawdę wierzysz, że odda ci choćby piędź ziemi? Oślepiły cię własne mrzonki. Żeby je urzeczywistnić, skalałeś bractwo. Nie o to walczył Ewerard i ci, co byli przed nim. To nie jest Dusza Świątyni.

Dziś nią jest. Nie było cię tu, Will. Wiele lat temu wziąłeś z nami rozbrat. I kiedy ty próbowałeś gryźć Edwarda po łydkach jak piesek obszczekujący lwa, ja poprowadziłem zakon ku świetlanej przyszłości.

Świetlana przyszłość! Posłaniec z wezwaniem dla wielkiego mistrza, aby stawił się przed sąd papieski, pewnie dotarł już na Cypr. Król Filip przy pomocy Wilhelma de Nogaret od lat starał się zawładnąć

Templum dla jego majątku. Swoimi czynami oddałeś im zakon w ręce. Skazałeś każdego z tych ludzi

na stos!

Bzdura. Nikt nie wie o Anima Templi.

Wie Esquin, a on jest w rękach króla.

To niemożliwe. Tylko ja mogłem go uwolnić... — Hugo urwał i spojrzał uważnie na Willa, mrużąc oczy. — A więc Robert okazał się podstępnym gadem?

Można to jeszcze odwrócić. Papież mnie wysłucha, ale musisz zniszczyć wszystkie dowody tego, co się tutaj działo, i rozwiązać bractwo

Rozwiązać?

R

— N O

a tB Y

waNr z Y O

y HU N

ug G

ona pojawiła się podejrzliwość.

Masz mnie za głupca, Campbell?

Przysięgam ci...

Dość! Nie będę słuchał tych łgarstw. — Hugo skinął na czekających w cieniu mężczyzn. — Zabierzcie go sprzed moich oczu.

Zamknięcie mnie w Merlanie niczego nie naprawi! — wrzasnął Will, kiedy zamaskowani mężczyźni

szarpnięciem postawili go na nogi.

Nie pojedziesz do Merlanu, tylko do Anglii. Edward zażądał cię w zamian za kawałek Szkocji.

Nie rób tego! — krzyknął Will. — Na litość boską, nie rób tego! Hugo!

Ale Hugo już się odwrócił, a na głowę Willa spadł ciemny kaptur, zasłaniając mu oczy.

Trakt do Carlisle Pierwszy dzień lipca roku Pańskiego 1307

Wóz kołysał się i podskakiwał na drodze. Will siedział skulony, czując każdy wstrząs w

sponiewieranym ciele.

Przez tkaninę kaptura łowił zmiany natężenia światła wpadającego skośnie przez otwarty tył wozu. Sądząc po sporadycznych przejaśnieniach i zapachu, jechali przez las. Zastanowił się przelotnie, gdzie się mogą znajdować, ale czas i odległość tak się zwichrowały, że po chwili dał sobie z tym spokój.

Zaraz w tamtą noc wywieziono go z Paryża. Ludzie Hugona zabrali go nad Sekwanę, gdzie weszli na pokład barki. Dochodząc powoli do siebie po obrażeniach, Will na przemian to odzyskiwał, to znów tracił przytomność.

Trzymali go związanego, z zakrytymi oczyma, w ciasnej cuchnącej ładowni; tylko krzyki mew słyszalne poprzez chlupot wody powiedziały mu, że dotarli do morza. W Honfleur — bo to musiało być Honfleur —

wywleczono go na pokład, gdzie zachłannie wciągnął do płuc słone powietrze, i przeprowadzono na większy statek. Nim zdołali wypłynąć, nad wybrzeżem rozszalał się letni sztorm i musieli czekać w porcie przez kilka dni.

Miotany pod pokładem wzburzonymi falami, Will skupił myśli na Róży. Świadomość, że czeka na niego w zamku, pewna, że znów ją opuścił, doprowadziła go do szału. Rzucał się w więzach i ciskał klątwy na swoich prześladowców, aż w końcu dwóch zeszło pod pokład i bili go, dopóki nie ucichł. Przeprawa do Anglii minęła mu jak we mgle. W Londynie przykuli go łańcuchem w piwinicy jakiegoś budynku przy nabrzeżu, gdzie przeżył

tydzień o chlebie i śmierdzącej pomyjami słonawej wodzie. Potem wrzucili go na wóz.

Przysłuchując się strzępkom rozmów w uciążliwej drodze na północ, dowiedział się, że konwojująca go grupa w sile trzydziestu paru ludzi stanowi część gwardii królewskiej Edwarda i wiezie dodatkowe zapasy w ślad za główną armią. Drogą ciągnęło wiele wozów; ten, na którym siedział, załadowano beczkami mdląco pachnącego wina. Dni były upalne; żar sączył się przez płótno, wysysając z ciała resztki potu, tak że szalał z pragnienia i ilekroć strażnik podetknął mu miskę z wodą, rzucał się do niej z obłędem w oczach jak pies.

Przerywane rozbłyski przeświecające przez kaptur zmieniły się w stałe światło, wyszli zatem na otwartą przestrzeń. Wilgotny zapach lasu ustąpił miejsca woni suchej trawy, a żołnierze narzekali na prześladujące ich muszki. Mniej więcej godzinę później Will poczuł dym z ognisk i doleciał go odległy jeszcze, niewyraźny gwar obozowy. Świergot ptaków stopniowo cichł, a gwar rozdzielił się na rozmowy, śmiechy i przekleństwa mężczyzn, rżenie koni, sporadyczne poszczekiwania psów, stukoty, brzęki i inne odgłosy. Wóz zjechał z traktu i stanął, a potem lekko się zakołysał pod ciężarem dwóch ludzi, którzy złapali Willa za ramiona i podnieśli. Długa podróż przebiegła we względnej ciszy; teraz glosy wydawały mu się ogłuszające. Żołnierze zdjęli mu kaptur i blask słońca uderzył go prosto w oczy.

Znajdował się na ogromnej trawiastej równinie pokrytej jak okiem sięgnąć setkami, a pewnie i tysiącami namiotów. Wszędzie wokół powiewały kolorowe proporce, prawdziwa orgia barw i

znaków herbowych.

Niektóre pamiętał jeszcze z czasów, kiedy walczył u boku Wallace'a. Rycerze stali w grupkach lub odpoczywali w cieniu namiotów, zaś słudzy i giermkowie uwijali się wokół nich jak pracowite mrówki. Kiedy prowadzono go przez obozowisko, Will zauważył kilku ludzi splatających kolczugi; misternie łączyli poszczególne kółka, a płachty gotowej siatki przesuwały im się w szybkich palcach srebrzyste i giętkie niczym rybia łuska. Kucharze mieszali w kotłach wiszących nad ogniskami, łucznicy opierzali strzały pod okiem dziesiętników. Hugo twierdził, że armia dorównuje tej, która rozbiła Szkotów pod Falkirkiem. Prawdopodobnie była jeszcze większa.

W głębi między kilkoma wymyślnie zdobionymi pawilonami stał wielki szkarłatny namiot królewski. Will rozpoznał złote lwy na zatkniętym przed nim sztandarze i poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Dalej teren lekko się wznosił. Pochyłość i wisząca w upalnym powietrzu mgiełka nie pozwalały dostrzec widnokręgu, nadal więc nie wiedział, gdzie się znalazł. Żołnierze podprowadzili go do klatki z powiązanych pali strzeżonej przez ludzi w barwach królewskich. Jeden otworzył drzwi i wepchnięto go do środka. Musiał się pochylić, bo klatka była niska, trawa w środku wydeptana i pożółkła. Zobaczył cztery posiniaczone, nieufne twarze, a potem drzwi zatrzaśnięto.

Burgh upon Sands nieopodal Carlisle Trzeci dzień lipca

Will żarłocznie wgryzł się w twardy kawałek mięsa. W ustach miał wrzody z niedożywienia; piekły, gdy jadł, ale mógł to być jego ostatni posiłek, toteż postanowił spożyć go ze smakiem. Zapadał wieczór, nad bursztynowym poblaskiem pochodni i ognisk niebo przybrało nasycony chabrowy odcień. Odkąd zamknięto go w klatce, słońce wzeszło dwukrotnie, lecz nie widział żadnych oznak, że armia przygotowuje się do wymarszu.

Nadciągnęły za tR O B Y

o koleNj Y

ne O U N

oddz G

iały, zwiększając jej siłę.

W ciągu minionych dwóch dni na równinę wpływały kolumny uzupełnień oraz kolebiące się wozy taborowe.

Piechurzy o twarzach spalonych letnim słońcem maszerowali znużeni, niosąc topory, włócznie i tarcze. Możni rycerze jechali konno w otoczeniu swoich pocztów. Wieczorami, kiedy rozdzielano żywność, słychać było śmiechy i obozowe pieśni. Ci żołnierze walczyli ze Szkotami od lat, znali teren i taktykę wroga; byli pewni, że tym razem także zwyciężą. Robert Bruce szykował się ponoć do przeciwnatarcia, lecz Anglicy śmiali się tylko pogardliwie, nie dając mu żadnych szans. Mimo kilku wcześniejszych sukcesów nowego króla Szkocji, Edward wciąż okupował większość kraju. Prawie dekadę po druzgoczącej klęsce przy moście pod Stirlingiem Anglicy zamierzali wyrównać resztę

rachunków, urządzając zbuntowanym sąsiadom ostateczną krwawą łaźnię.

Will dowiedział się tego wszystkiego od współwięźniów. Wszyscy czterej byli szkockimi zwiadowcami wysłanymi naprzeciw angielskiej ofensywy. Dwaj przybyli wprost z obozu Bruce'a. Torturowano ich w czasie przesłuchań, próbując wydobyć informacje o pozycji wojsk szkockich. Do tej pory trzymali się mężnie, choć Will nie był pewien, jak długo im się to jeszcze uda. Tego ranka jednego z nich znów zabrano i już nie wrócił.

Will się bał. Bał się nie tylko o siebie czy o wynik nadchodzącej wielkiej bitwy. Myślami wciąż wracał do Paryża. Do Hugona w jarmarcznym płaszczu Króla Rybaka i jego armii zamaskowanych rycerzy, czekających w paryskim preceptorium, aż Młot na Szkotów wygładzi im kawał ziemi. Do Roberta, jednego z najstarszych druhów, uwięzionego lub już zabitego. Przede wszystkim zaś do Róży uwięzionej w zamku jak w pułapce.

Nieraz myślał także o liście papieża Klemensa wiezionym na Cypr oraz o Es- quinie de Floyran ukrytym w jakiejś królewskiej twierdzy, gdzie niecierpliwie czekał, aż dopełni się jego zemsta.

Campbell!

Pośpiesznie przełknął resztki mięsa, widząc zbliżających się do klatki żołnierzy. Strażnik kiwnął na niego.

Wyłaź.

Przesunął się do wyjścia, wiedząc, że opór byłby bezcelowy. Jeden ze Szkotów pożegnał go solidarnym skinieniem głowy. Strażnik pomógł mu wstać i przekazał eskorcie, która poprowadziła go przez obóz. Żołnierze oglądali się za nim, któryś splunął. Will utkwił wzrok przed sobą, w szkarłatnym pawilonie.

Namiot był wystawnie urządzony i wyposażony we wszystko, czego król mógłby potrzebować podczas

wyprawy wojennej. Była tu wyścielana ława, balia do kąpieli, stół, a także słudzy i muzykanci, którzy mieli rozpraszać nudę. Mimo to pogodna atmosfera obozowiska zdawała się tu nie docierać; wewnątrz płóciennych ścian panował nastrój przygnębienia, słudzy byli cisi i zatroskani. Will zdążył to spostrzec i zastanowić się, co to oznacza, zanim wprowadzono go za zasłonę. Stało tam wielkie łoże z baldachimem podpartym czterema rzeźbionymi słupkami, który ledwie się mieścił pod czerwonym dachem namiotu. Dwa kosze z żarem dawały dym i ciepło, ale bardzo niewiele światła. W łożu spoczywał król Edward.

Angielski monarcha miał już prawie siedemdziesiąt lat i uginał się pod ich brzemieniem, jak gdyby były spłowiałym, za ciężkim płaszczem, który ktoś narzucił mu na plecy. Oddech trzeszczał mu w płucach niczym mięty pergamin, w powietrzu unosił się odór moczu i zastarzałego potu. Zniknęła dumna postawa, władcze spojrzenie i butna mina. Zamiast władcy, który odcisnął piętno na całym jego życiu, Will miał przed sobą starego, nieważnego człowieka.

Widziałeś moją armię, Campbell?

Głos starca wciąż miał w sobie moc i w jego szyderczym tonie dało się jeszcze odnaleźć dawnego Edwarda.

Trudno ją przeoczyć — odparł Will. W jego tonie zabrakło dostatecznej pokory i został skarcony przez gwardzistę bolesnym ciosem w plecy.

Przypatrz się jej dobrze — wychrypiał król — bo to ostatnie, co zobaczysz. Jutro oprawcy zrobią z tobą to, co z tym kundlem Wallace'em. A potem, kiedy psy będą się pożywiać twoimi szczątkami, poprowadzę tę armię do Szkocji i...

Przerwał mu atak kaszlu. Jeden z towarzyszących mu gwardzistów podbiegł do łoża, ale król powstrzymał go ruchem ręki. Kilkakrotnie odkrztusił w kawałek płótna i znów utkwił w Willu spojrzenie wodnistych oczu.

Ten zdrajca Bruce i jego hałastra pożałują dnia, w którym stawili mi opór. Rozniosę ich na strzępy, wdepczę w ziemię, wyrżnę synów i córki, wypruję płody z brzuchów ich samic! Obmyję ziemię Szkocji ich krwią, a potem w miejsce ich brudnych nor wzniosę piękne angielskie miasta.

Edward pochylił się do przodu. — Chcę, żebyś o tym wiedział, zanim każę cię stracić. Wiedz, że będą cierpieć podobnie jak ty. Wiedz...

Mówił dalej, ale Will już nie słuchał. Widział tylko wykrzywioną starczą twarz, ślinę tryskającą spomiędzy poszarzałych warg. Czuł jego nienawiść; biła wszystkimi porami ze schorowanego ciała, czarna i gorzka jak smoła, cuchnąca bezsilną złością. Edward nie mógł się już spod niej podźwignąć. Will uświadomił sobie nagle i przerażająco jasno, że on sam był o krok od tego, by dać sobą owładnąć nienawiści i zemście. Zatruwały go przez wiele lat, ale nie zdążyły w nim zabić duszy. Wciąż czuł ją w sobie; wydawało mu się, że płonie jasnym płomieniem naprzeciw tego zaplutego, skurczonego starca. Naraz zdał sobie sprawę, że choćby Edward pokonał

Szkotów, choćby urzeczywistnił wszystkie swoje plany, nie zazna spokoju, wyrzekł się go bowiem raz na zawsze.

Tyrada zakończyła się gwałtownym atakiem kaszlu. Sługa podał królowi świeże płótno.

Jutro, Campbell!R O B Y

— w N

yr zYę O

zi U

ł N G

Edward. — Jutro!

Gwardziści wypchnęli go z namiotu i odprowadzani coraz słabszym kaszlem, powiedli z powrotem przez cichnące obozowisko. Żołnierze już zasypiali, żeby dobrze wypocząć przed marszem do Szkocji i czekającą ich bitwą. Gwiazdy mrugały, naśladując gasnące ogniska.

Will zbył natarczywe pytania współwięźniów, ukląkł i złożył ręce. Wciąż kręciło mu się w głowie po niespodziewanym objawieniu. Ale przede wszystkim chciał się pomodlić. O to, żeby Róża dowiedziała się kiedyś, że nie chciał jej opuścić. O to, by odnalazła Szymona i żeby Szymon pomógł jej uciec z Paryża. Żeby Hugo przejrzał na oczy, a papież Klemens nie ugiął się pod naciskiem. O życie Roberta i o to, by wielki mistrz zrezygnował z krucjaty. A kiedy złożył już przed Bogiem wszystkie swoje prośby, legł na ciepłej trawie i zamknął oczy. Bał się jutra, ale wiedział, że ból w końcu minie, będzie tylko bramą prowadzącą do innego, piękniejszego świata.

Jutro znów zobaczy ojca i matkę. Spotka się z Ewerardem, Hasanem i Eliaszem, uściśnie dłonie Kalauna i Owena. Jutro wreszcie połączy się z Elwiną. Powita ich wszystkich ze spokojem w sercu, wiedząc, że szedł

właściwą drogą.

Lecz nazajutrz nikt po niego nie przyszedł. Poranne godziny mijały jak zwykle, obudzeni żołnierze posilali się, doglądali koni. Spokój, który wypełnił Willa zeszłego wieczoru, przerodził się w nieznośne napięcie.

Wolałby, żeby było już po wszystkim. To czekanie nie miało żadnego celu, doprowadzało go tylko do obłędu.

Ale czekał, bo musiał — przez cały dzień, potem następny. Niebo nad klatką zmieniało barwy z różowej i złotej na kolejne odcienie błękitu. Po południu drugiego dnia dało się wyczuć zmianę nastroju w obozie. Żadnego ze Szkotów nie wzięto na przesłuchanie, a żołnierze, którzy rzucali im skrawki jadła, nie odzywali się ani słowem.

Nikt nie śpiewał, nie śmiał się ani nie opowiadał sprośnych dowcipów. Jakby i oni na coś czekali.

Rankiem czwartego dnia od rozmowy z Edwardem nad równiną przeszła burza. Przemoknięci więźniowie siedzieli w klatce, zlizując deszcz spływający po twarzach. Kiedy nawałnica ucichła, w obozie wszczął się ruch.

Will podpełzł do prętów i zobaczył odchodzące oddziały. Ostatnie zabłąkane krople odbijały się dźwięcznie od hełmów i tarcz. W ciągu godziny wymaszerowała następna kolumna wojska. Na twarzach żołnierzy malowała się to gorycz, to znów ulga, ale żaden nie wyglądał na takiego, co idzie do boju. Przed królewskim pawilonem zebrał się spory tłum.

Jakiś czas później, kiedy słońce znów wyszło zza chmur, a exodus objął cały obóz, do klatki podszedł żołnierz ubrany w zwykłą tunikę, nie barwy straży królewskiej, która dotąd pełniła wartę. Otworzył drzwi i kiwnął na nich.

Możecie odejść.

Szkoccy zwiadowcy zerknęli po sobie i prędko wypełzli z klatki. Will jeszcze się wahał. Widząc, że żołnierz odchodzi, zawołał:

Kto kazał nas puścić?

Żołnierz obejrzał się przez ramię.

Młody król. Darował wam życie z okazji objęcia tronu.

Will poczuł, że nogi się pod nim uginają.

Król Edward nie żyje?

Zmarł dziś rano — odburknął żołnierz. — Książę nakazał odwrót. To nie wojownik.

Kiedy odszedł, Will opad! na kolana w wilgotną trawę. Klęczał tak jeszcze długo, podczas gdy armia powoli odchodziła z równiny. W końcu dźwignął się na nogi i ruszył w kierunku najbliższego wzgórza, szerokim tukiem omijając czerwony pawilon, nadal okolony wieńcem ludzi. Porośnięte trawą zbocze schodziło do bagniska otaczającego szerokie ujście rzeki. Za wodą, złocistą w burzowym świetle, poznał w dali wydłużony masyw ciągnący się aż do Dumfries. Za tymi górami była Szkocja spowita ciepłym letnim deszczem, a w niej Isenda i jej dzieci, i piękna rudowłosa Krystianna. Przywrócony życiu marzył o tym, by zobaczyć znów żywych.

Pokusa była silna. Ale pozwolił sobie tylko na krótki odpoczynek, potem się odwrócił i ruszył na południe.

Klasztor franciszkanów w Poitiers Osiemnasty dzień sierpnia roku Pańskiego 1307

Bądź pozdrowiony, Ojcze Święty. — Szorstki głos Jakuba de Molay poniósł się po sali kapitulnej. Wielki mistrz ukląkł na jedno kolano, ujął podaną mu dłoń i ucałował papieski pierścień.

Klemens uśmiechnął się serdecznie.

To ja powinienem zgiąć kolano przed tymi nielicznymi, którzy wciąż walczą o oswobodzenie Jerozolimy. —

Przeniósł wzrok na rycerzy stojących za wielkim mistrzem.

Było ich około czterdziestu, a wszyscy wyprostowani i surowi w kolczych zbrojach, z mieczami u boków i hełmami pod pachą. Większość stanowili mistrzowie i komandorzy zakonu. Klemens rozpoznał kilku starszych rycerzy: mistrza Francji stojącego za Jakubem oraz mistrza Normandii, szarookiego mężczyznę o orlim nosie, imieniem Godfryd de Charney. Templariuszom zaproponowano skorzystanie z łaźni i odpoczynek przed posłuchaniem u papieża, lecz odmówili, chcąc stawić się przed nim natychmiast po przybyciu. Ogorzali, zmęczeni, w splamionych po podróży szatach wyglądali, jakby świeżo zeszli z pola bitwy.

Patrząc na nich, Klemens poczuł żal, że uległ Nogaretowi i odwołał tych mężnych ludzi od ich

obowiązku.

Równocześnie ich widok sprawił mu radość, potwierdził pragnienie, by podjąć walkę o Ziemię Świętą — walkę kulejącą przez R

bra O B

k z Ya N

a Y

ngaOż U N

ow G

ania chrześcijańskich władców. Może teraz otrzyma odpowiedź, której tak

gorliwie szukał.

Powłócząc nogami, podszedł do wyścielanego krzesła, które wstawili tu dla niego mnisi, i skinął na swych służących stojących w pogotowiu pod ścianą komnaty.

Przynieście naszym szlachetnym gościom wino i jadło.

Szeroka twarz wielkiego mistrza, obramowana grzywą szorstkich szpakowatych włosów, pozostała jednak posępna.

Wasza świątobliwość, przybyliśmy na twe wezwanie z bardzo daleka. Pisałeś, że wynikł problem wielkiej wagi dotyczący naszego zakonu. Ja sam o takowym nie wiem, zanim więc jeszcze przełamię z tobą chleb, pilno mi usłyszeć, jaka to arcyważna sprawa ściągnęła mnie i moich braci tyle setek mil z Cypru.

Klemens się zająknął zbity z tropu cierpkim tonem Jakuba. Po chwili kiwnął głową.

Zostawcie nas. Bracia zjedzą później.

Kiedy drzwi się zamknęły, poprawił się na krześle, speszony przygnębiającym milczeniem stojących przed nim w równych rzędach rycerzy. Czuł się jak nieudolny dowódca osądzany przez swoje wojska.

Znasz człeka imieniem Esquin de Floyran? — spytał.

Jakub pokręcił głową.

Mam pod komendą wielu rycerzy. Nie znam imion wszystkich.

To imię byłego przeora Montfaucon. Kilka lat temu dotarł do mnie raport waszego wizytatora o jego

uwięzieniu za herezję. Został osadzony w Merlanie.

Zza pleców Jakuba odezwał się mistrz Francji:

To prawda. Jednakże niedawno mi doniesiono, że więzień zbiegł i opiekę nad nim roztoczył król Francji.

Rzeczony Esquin twierdzi, iż jest niewinny, i oskarża rycerzy paryskiego preceptorium o herezję i mord.

Jakub zmarszczył brwi.

Czemuż to król objął opieką heretyka?

Klemens starannie zastanowił się nad odpowiedzią. Nie był jeszcze pewien, ile chce templariuszom wyjawić z zamiarów Filipa względem zakonu. Nie byłoby dobrze, gdyby ci rycerze, miast skupić wysiłki na odbiciu Ziemi Świętej, wszczęli wojnę z królem Francji. Równocześnie jednak nie chciał utracić ich zaufania.

Król bardzo się zaniepokoił — rzekł zdawkowo. — Pragnie się upewnić, że oskarżenia Esquina są

bezpodstawne. Jak sądzę, jemu także zależy, aby dobra sława Templum nie została skalana. Obaj uznaliśmy za nieodzowne przeprowadzenie śledztwa w tej materii przez mistrzów zakonu. Ostatecznie nikt z nas nie chce, aby chrześcijanie zwątpili w honor wojowników Chrystusa. Dość goryczy przyniósł im upadek Akki.

Mars na czole Jakuba się pogłębił, a białe szeregi lekko zafalowały. Na twarzach rycerzy odbiła się jednak uraza, a nie lęk. Wielki mistrz z powagą skłonił głowę.

To ciężkie oskarżenie i jego zasadność zostanie zbadana w najdrobniejszych szczegółach. Osobiście przesłucham rzeczonego Esquina i osądzę jego słowa, a potem każę się przed sobą stawić tym, którzy wtrącili go do Merlanu, i wysłucham, co oni mają do powiedzenia.

Jestem przekonany, że to będzie możliwe. — Podniesiony na duchu stanowczą odpowiedzią Jakuba papież zmienił temat na bliższy sercu.

Drugim powodem, dla którego cię wezwałem, była gorąca chęć dowiedzenia się o postępach na Wschodzie.

Jakże rzadko dochodzą do nas z Cypru jakiekolwiek wieści o waszych dokonaniach lub chociażby planach!

Każdy, z kim rozmawiam, jest absolutnie pewny, że wyprawa krzyżowa jest dla ciebie, mistrzu, najważniejsza, lecz zarazem nic więcej o tym nie wiadomo.

Wielki mistrz leciutko się odprężył, choć na jego twarzy wciąż gościła powaga.

Od utraty ostatniej bazy na wyspie Ruad nasze postępy zahamował brak wsparcia z Zachodu. Nawet własny zakon wysyła nam tylko skromne uzupełnienia, co zamierzam naprawić, korzystając z tego, że tu jestem. Kiedy przed laty objeżdżałem całe niemal chrześcijaństwo, mówiłem wszem wobec: nowa wyprawa ma szanse powodzenia tylko wówczas, gdy wszyscy ją poprą. Niewielkie armie, nie zjednoczone wspólnym jasno określonym celem, poniosą klęskę.

Klemens nie zdołał ukryć rozczarowania.

Mówisz zatem, że odzyskanie Ziemi Świętej jest niemożliwe? Miałem nadzieję usłyszeć od ciebie lepsze wieści.

Byłem zdecydowany wspomóc twe wysiłki, mistrzu.

Radzi to słyszymy, wasza świątobliwość — odezwał się Godfryd de Charney — ale jesteśmy całkowicie pewni, że tylko przemyślanym, silnym i zgodnym uderzeniem na Wschód możemy wyprzeć Saracenów z ziem, które nam odebrali. Staramy się zapewnić sobie pomoc króla Cypru, jak również ord mongolskich, ale zawarcie takich sojuszy wymaga czasu.

Jakub przyświadczył skinieniem swojej lwiej głowy.

A najbardziej nam trzeba szczerego i solidarnego przymierza najpotężniejszych monarchów. Gdyby choć jeden wziął krzyż i pociągnął za sobą ludzi, gdyby objął dowództwo, wierzę święcie, że mogłoby się nam udać. Może właśnie król Filip albo władca angielski...

Stary król Edward zmarł w lipcu, przed paroma dniami nas o tym powiadomiono. Tron objął jego syn, także Edward. Tem

R

u w O

sz B

a Y

kż Ne Y

, jaO U N

k wi G

eść niesie, bliższe są uczty i wszeteczne rozrywki niż święta wojna.

Papież skrzywił usta z niesmakiem.

Oparł się wygodniej, gdy goście trawili niedobrą nowinę. Czuł się przybity. Marzenia o rosnącej w siłę armii wojowniczych rycerzy skurczyły się do tej garstki dzielnych, lecz znużonych mężczyzn,

którzy przed nim stali.

Gdy kardynałowie włożyli mu na głowę papieską tiarę, Klemens mial widzenie: będzie tym papieżem, który wezwie chrześcijaństwo do nowej krucjaty. Całe jego życie prowadziło do tego wzniosłego celu. Tymczasem wytęskniona chwila, gdy śladami Zbawiciela wejdzie w bramy świętego miasta, oddalała się w szarą, coraz mniej pewną przyszłość. Wielki mistrz Templum niewątpliwie miał słuszność, pozwalał dojrzeć szansę. Dziś najpotężniejszym monarchą Zachodu był Filip. Uwaga Filipa skupiona jednak była na czym innym.

Zamek królewski w Paryżu Trzynasty dzień września

Róża siedziała opatulona w swą niebieską opończę, choć w wielkiej sali było gwarno i gorąco. Przy olbrzymich stołach ciągnących się między rzędami wyprężonych kolumn ucztowała elita szlachty królestwa. Gdziekolwiek zwróciło się wzrok, widać było otwierające się usta i wpychane do nich kawały krwistego mięsiwa. Jakiś diuk opowiadał sprośny dowcip, parskając kawałkami jedzenia, a siedzące obok niego damy rżały ze śmiechu.

Sztywni juryści i obwieszeni klejnotami biskupi siorbali wino, które plamiło im wargi. Na lśniących srebrnych misach piętrzyły się stosy jadła. Pośrodku każdego stołu pysznił się koronny przysmak dnia

wielki pasztet nadziany przepiórkami, skowronkami i tuzinem maleńkich wróbli.

Pasztet stał dokładnie naprzeciw niej, już nadkrojony. Nie mogła oderwać oczu od upchniętych w cieście rzędów maleńkich ciemnych ciałek, lśniących od tłuszczu. Czuła zapach jaj, ostry aromat rozmarynu i tymian- ku.

Wszystkie zmysły miała wyostrzone do granic możliwości. Nóż, którym ktoś kroił ser, uderzał o deskę jak topór, gromki głos biskup zdawał się uderzeniem grzmotu.

Różo, zjedz coś.

Blanka patrzyła na nią z troską.

Choćby parę kęsów. — Malutka dworka uśmiechnęła się zachęcająco i jeszcze bardziej zniżyła głos: — Musisz myśleć o dziecku.

Róża spuściła wzrok na ukryte za stołem sterczące fałdy sukni. Myśleć

o

dziecku? Nie myślała o niczym innym.

Brzuch miała już napięty jak bęben i wiedziała, że kiedy wstanie, skierują się ku niemu ukradkowe spojrzenia większości obecnych. Dłonie zakryją usta, usta przekażą dalej nienową już plotkę, że królewska nałożnica urodzi bękarta. Damy będą kręcić głowami w strojnych czepcach, a panowie czynić nieprzystojne gesty lepkimi od tłuszczu palcami. Dwór nigdy nie był dla niej przyjaznym domem, ale dotąd nie wiedziała, że może być aż tak wrogi. Czasem, leżąc nocą w sypialni dworek,

nasłuchiwała z trwogą zbliżających się kroków.

Kiedyś, dawno temu, wkrótce po przyjeździe do Paryża, widziała dwóch pachołków wynoszących ze stajni miot świeżo narodzonych kociąt. Przystanęła wówczas, patrząc z uśmiechem na ślepe jeszcze maluchy wiercące im się w dłoniach, lecz nagle zdrętwiała, gdy słudzy pochylili się nad cebrem z wodą. Chyba najgorsze wydało jej się to, że spośród wielu ludzi przechodzących przez dziedziniec nikt nawet nie zauważył, że jedno po drugim ledwie zrodzone życie gaśnie w wodzie. Poszła potem do stajni, gdzie kotka wylizywała krew z futerka i głośno miauczała, rozglądając się za dziećmi. Siedziała tam chyba z godzinę, głaszcząc kotkę i szepcząc do niej, aż ta w końcu zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Jeśli przyjdą ją zabić, czy ktokolwiek to zauważy?

Znowu przywidziała jej się twarz ojca. Dawniej był dla niej niewyraźnym cieniem, duchem, który czasem ją prześladował. Jakże okrutny bywa los! Dziś, gdy już go nie było, pamiętała każdą najdrobniejszą zmarszczkę.

Król ze złością zaprzeczył, jakoby kazał go stracić wtedy w maju, oskarżył nawet Różę, że go ostrzegła, ale wiedziała, że kłamie. Ojciec nie żył. Czasem kiedy dziecko budziło ją w nocy kopnięciem, przyjmowała ból jako pokutę, zasłużoną karę za popełniony grzech. Zdradziła własnego ojca. Wysłała go na śmierć.

Spojrzała na Filipa. Siedział na podwyższeniu w przeciwległym końcu wielkiej sali. Przy stole królewskim, wyniesionym ponad inne, towarzyszyła mu rodzina — bracia i synowie, dziś już przystojni młodzieńcy, oraz ukochana córka, dwunastoletnia Izabela. Królewna została zaręczona z młodym królem Edwardem i za miesiąc miała odpłynąć do Anglii na weselisko. Filip wywianował ją sporną Gaskonią, mającą na wiek wieków' przejść w ręce angielskie. Ostatnimi czasy prawie nie rozstawał się z córką, jakby chciał się jeszcze nacieszyć ostatnimi chwilami jej dzieciństwa. Po obu stronach króla siedzieli spowiednik Wilhelm z Paryża oraz mianowany oficjalnie kanclerzem Wilhelm de Nogaret. Odległość, jaka dzieliła ten stół od innych, miała uświadomić reszcie biesiadników, w czyich rękach spoczywa władza. Róża nie musiała pytać, gdzie jest miejsce dla niej i jej dziecka. Wąska ława przy szarym końcu stołów mówiła wszystko.

Nogaret szepnął coś do ucha króla i Filip skinął głową. Wstał, czarny płaszcz haftowany w złote kwiaty lilii spłynął mu majestatycznie z ramion. Paź podbiegł, żeby odsunąć tron. Grajkowie odłożyli instrumenty, wszyscy zaś biesiadnicy podnieśli się z miejsc. Ignorując ukłony i dygi, Filip skierował się do rzeźbionych drzwi prowadzących na komnaty. Nogaret truchtem pobiegł za nim. Ucztujący zasiedli z powrotem do stołów, a minstrele podjęli przerwaną melodię. Róża stała dalej. Poczuła dłoń Blanki na swoim ramieniu, ale strąciła ją i prędko wyszła z sali innymi drzwiami, wbijając wzrok w dal, żeby nie widzieć odwracających się za nią twarzy.

Chłód i cisza na R

z O

e B

w Y

nąNtr Y

z O

pr U

z N

y G

niosły jej ulgę. Przeszła szybko otwartą galeryjką; krople deszczu niesione przez

wiatr nad dziedzińcem osiadły jej na twarzy. Padało od trzech dni bez przerwy, teren wokół zamku był

nasiąknięty wodą. W dole błyszczały czarne jak inkaust kałuże, a rozmowy wartowników obchodzących mury zagłuszał jednostajny plusk. Za murami wezbrana aż po brzegi Sekwana płynęła wartko, niosąc w mroku białe strzępy piany.

Róża skręciła w szerokie przejście i zbliżając się do królewskich komnat, zwolniła, by złapać oddech, a przede wszystkim po to, żeby zebrać myśli. Impuls, który wypędził ją z sali, pozostał, lecz teraz dołączył do niego strach. W ciągu ubiegłych paru miesięcy Filip prawie jej nie zauważał i nie potrafiła już wyczuć, w jakim jest nastroju. Dzisiejsza uczta, wszystkie te wzgardliwe, potępiające spojrzenia tylko potwierdziły obawy. Jej pozycja na dworze była bardzo krucha. Od kilku tygodni nosiła się z marzeniem, żeby król pozwolił jej wyjechać do Vincennes. Skoro Izabeli nie będzie już na dworze, może nawet pozwoliłby Blance jechać z nią.

Urodziłaby dziecko w spokoju, z dala od dworskich intryg i jadu, który Nogaret sączył do królewskiego ucha.

Posłyszała zza drzwi rozmowę. Głos króla był zadumany.

Jesteś pewien, że Klemens zrobił, co mu kazałeś?

Wikariusze sądowi przypuszczalnie wyjechali już z Paryża do Poitiers.

Przypuszczalnie? Chcę to wiedzieć na pewno. Dowiedz się.

Tak jest, wasza wysokość.

W chwili ataku Templum ma być bezbronne. Trzeba oddzielić mistrzów od szeregowych rycerzy. Pozbawiony przywódców zakon się nie obroni. Molay jest już we Francji. Musimy działać szybko, zanim się zorientują.

Panujemy nad wszystkim. Mistrzowie wraz z papieżem jeszcze przez jakiś czas podebatują nad

oskarżeniami Floyrana. Zanim skończą, nasi ludzie będą przygotowani do działania. Goniec dostarczy Jakubowi de Molay wezwanie, gdy tylko rozkażesz.

Ich słowa raniły Różę jak noże, boleśnie przypominały o tym, co zrobiła. Usunięcie jej ojca przyśpieszyło upadek Templum. Ileż krzywd i zniszczenia może sprawić kilka słów! Nie zdawała sobie sprawy, że nawet ona ma taką straszliwą moc.

Zebrawszy się na odwagę, zapukała. Rozmowa urwała się raptownie. Drzwi się otwarły i stanął w nich Nogaret.

W głębi widziała Filipa przy kominku, płomienie oświetlały jego surową twarz. Stół zasłany był dokumentami w czarnych skórzanych futerałach. Na jej widok niepokój zniknął z twarzy obu mężczyzn. U Nogareta zastąpiła go złość, u króla — zniecierpliwienie. Zrozumiała, jak niewiele znaczy. Nie troszczyli się nawet, czy coś usłyszała.

Była nikim, jakby w ogóle nie istniała. Otworzyła usta, żeby poprosić króla o pozwolenie na wyjazd do Vincennes, ale słowa, których w' ogóle nie zamierzała powiedzieć, wyrwały się jej same:

Błagam, panie, powiedz, co zrobiłeś z moim ojcem!

Nogaret okręcił się na pięcie i zaklął. Flip zmrużył oczy ze złością.

Jak śmiesz znów mnie o to wypytywać?

Panie, błagam! — Róża rzuciła mu się do kolan. — Powiedz mi, co się stało tamtej nocy, a już nigdy o tym nie wspomnę. Muszę wiedzieć.

Ty musisz? — Nogaret przyskoczył do niej. — Jestem prawie pewien, że to przez ciebie Campbell nie gnije jeszcze w lochu! Ostrzegłaś go?

Złapał ją za ramię, wpijając mocno palce. — Ostrzegłaś go, tak?

Jęknęła z bólu. Król bez pośpiechu podszedł do stołu i nalał sobie wina.

Zostaw ją, Nogaret — powiedział leniwie i upił łyk. — To nie ona. Róża wie, co bym zrobił, gdyby mnie zdradziła. — Wypił wino do końca i spojrzał na nią. — Wiesz, prawda?

Roztarła obolałe ramię.

Teraz żałuję, że go nie ostrzegłam — rzuciła zdławionym głosem, dźwigając się na nogi. — O, jakże żałuję!

Nienawidzę siebie za to, co zrobiłam. A was za to, żeście mnie do tego zmusili.

Nogaret ruszył ku niej, ale król powstrzymał go uniesieniem ręki.

Ktoś cię zmuszał? — Usta wygiął mu złośliwy uśmiech. — Nachodziłaś mnie w dzień i w nocy, suko.

Odwrócił się i podszedł do stołu. Zwojów było multum, chyba parę tuzinów. Filip wskazał je gestem.

To trzeba jutro rano rozesłać do seneszali w całym królestwie.

Rozumiem, że nie dbasz o mnie. — Róża podniosła głos. — Ale chyba masz w sercu choć odrobinę litości dla swego dziecka?

Filip cisnął pucharem o ścianę.

Dziecka? — wysyczał. — To co w tobie pęcznieje, nie jest dzieckiem! To narośl, guz pełen jątrzącego się żalu i grzechu! Zaprawdę, trzeba było spędzić płód, gdy się począł, zanim rozrósł się w tę potworność!

Popchnął ją na drzwi. — Wynocha, bo naprawię tamten błąd!

Potykając się, wybiegła na korytarz. Drzwi się zatrzasnęły. Siłą rozpędu uderzyła o ścianę i osunęła się po niej, czując, jak dziec R O B

ko wYi N

er c Yi O

si U

ę N G

po omacku w jej łonie.

38

Templum w Paryżu Czternasty dzień września roku Pańskiego 1307

Było już po północy, w strugach deszczu Paryż jawił się tylko rozwodnioną smugą ciemności. Tu i tam mrugały pochodnie na wieżach, przygasając pod naporem gęstniejącej ulewy.

Will przykucnął przy drodze. Deszcz bębnił w skórzany kaptur niczym czyjeś zniecierpliwione palce.

Otrząsnąwszy wodę z rzęs, skupił wzrok na bramie preceptorium widocznej między kołyszącymi się

drzewami. Na wieży bramnej wiatr wykręcał mokrą chorągiew Templum. Wejścia strzegło dwóch ludzi, w świetle dławiących się pochodni pobłyskiwały ich kolczugi. Skulony przekradł się w zarośla otaczające mur.

Paryskie preceptorium było ogromne, przejście od głównej bramy do furty na tyłach zajmowało dobre kilka pacierzy. W ulewnym deszczu, ciemności i błocie Will przedzierał się o wiele dłużej. Zanim krzaki się rozstąpiły i wyszedł na ścieżkę wiodącą do małej furty w gładkim murze, był

wykończony.

Znad szkockiej granicy wrócił do Londynu, żywiąc się orzechami, jagodami i wodą z rzek. W mieście strawił

prawie dwa tygodnie, nim udało mu się uprosić jakiegoś szypra, żeby wziął go do Franqi. To był najcięższy okres. W porcie roiło się od żebraków, sprzedajnych dziewek i złodziei; każdy próbował zarobić na kęs chleba albo dostać się na statek. Tu jedzenie nie rosło, musiał wygrzebywać resztki spomiędzy śmieci wyrzucanych na ulicę z oberży i zamtuzów.

W końcu, po rzetelnie odpracowanym rejsie na statku przewożącym konie, wylądował w Honfleur i trzymając się szerokich zakoli Sekwany, powędrował do Paryża. Nie golił się od dawna i broda zarosła mu pół twarzy jak za dawnych zakonnych czasów. Tego ranka, przykucnąwszy, żeby zaczerpnąć w dłonie wody ze strumienia, nie poznał własnego odbicia: otoczone zmarszczkami jasnozielone oczy patrzyły na niego ze spalonej przez słońce i pokrytej szramami twarzy ukrytej pod zmierzwioną, prawie już białą grzywą.

Pokonując znużenie ociężałych kończyn, podszedł do furty. Tak jak przypuszczał, była zamknięta. Odczekał

chwilę, nasłuchując, ale słyszał tylko plusk deszczu. Był środek nocy, między jutrznią a prymą, wszyscy oprócz wart spali. Podszedł do starego kasztana, którego sękate konary wyciągały się nad murem. Kiedyś, wiele lat temu, gdy spóźnił się, załatwiając coś dla Ewerarda, a nie chciał się opowiadać strażom, skorzystał z niego, by przedostać się na drugą stronę. Tylko że dziś miał lat sześćdziesiąt, nie szesnaście.

Zebrawszy siły, podciągnął się niezdarnie, z trudem, na pierwszą gałąź. Mokre liście zaklaskały wokół niego.

Wspiął się wyżej, zaciskając dłonie na śliskich gałęziach. Czwarty gruby konar był już na dobrej wysokości.

Siadł na nim okrakiem i ostrożnie przesuwał się tyłem dotąd, aż znalazł się tuż nad murem. Namacał go stopą, zsunął się i przykucnął na chwilę, żeby złapać oddech. Rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby miękko wylądować. W dole panowała nieprzenikniona ciemność, a ziemia wydawała się bardzo daleko. Po chwili wahania zacisnął zęby i skoczył. Mocno uderzył obiema stopami w ziemię, impet przeniósł go dalej i przewrócił. Leżąc na plecach, spojrzał w deszczowe niebo, jakby oczekiwał, że za chwilę dotrze do niego przeraźliwy ból złamanych kości. Ale nic nie bolało. Podniósł się i ruszył dalej.

Pobiegł przez tonący w błocie warzywnik i ociekający wodą sad, obok stawu i piekarni. Znał tu wszystko na wylot. Nawet w ciemności, nawet po tylu latach bez trudu znajdował drogę. Przed sobą miał główne zabudowania preceptorium. W kilku oknach widać było światło i raz musiał rozpłaszczyć się przy ścianie, bo ktoś przebiegł przez dziedziniec, osłaniając głowę przed deszczem. Poza tym jednak było pusto i cicho. Bez przeszkód dotarł do stajen. Dobiegały z nich stłumione chrapnięcia i przytupywania koni. Na przedłużeniu części przeznaczonej dla zwierząt mieściły się

dormitoria służby stajennej. Mając nadzieję, że ostatnie drzwi w rzędzie jak dawniej prowadzą do kwatery brata koniuszego, Will uchylił je i wszedł do środka.

Izbę oświetlał ciepły poblask tlącego się na palenisku ognia. Obok stał stołek, na polepie leżał kłąb splątanej uprzęży i narzędzia. Drabina wiodła na wyżkę. Will wszedł głębiej. Posłyszał skrzypienie desek i zaspany głos: Gerard, to ty? Co się dzieje?

Szymonie, to ja.

Zapadła cisza, potem tuż nad głową posłyszał ciężkie kroki. W otworze pojawiły się stopy, za nimi nogi, w końcu reszta Szymona gramolącego się na dół.

Kiedy stanął na ziemi, Will uśmiechnął się mimo woli. Niesforna czupryna Szymona, siwa jak jego własna, spłaszczyła się we śnie w sterczący na boku głowy czub, z którego wystawało źdźbło słomy. Koszulę Szymon miał zmiętą, oczy wielkie jak u sowy.

Myślałem, że nie żyjesz — wymamrotał i porwał go w objęcia, nie bacząc, że Will jest mokry i ubłocony od stóp do głów. — Już parę miesięcy temu wysłałem chłopaka z wiadomością do zamku, ale powiedziano mu, że zniknąłeś bez wieści. Na rany Chrystusa, gdzie się podziewałeś?

W Anglii, długo by mówić. Muszę się śpieszyć. Gdyby Hugo mnie tu znalazł...

Hugona nie ma. — Ton Szymona był poważny. — Pięć dni temu wyjechał ze wszystkimi mistrzami i

większością komandorów. Przed paroma tygodniami przyszła do nas wieść, że wielki mistrz jest we Francji, ma się spotkać z papieżem. Wezwał wizytatora i całą resztę do Poitiers. Will, ludzie mówią, że król oskarżył

Templum o herezję. Czy to ma coś wspólnego z tym przeorem? Naprawdę wykrył heretyków?

Czekaj — przerwał mu Will. — Czy widziałeś się z Robertem od maja?

Nie. Ale wiem R O

, g B

dz YieN j eY O

st. U N G

Gdzie?

W lochu. Próbowałem się dowiedzieć, co przeskrobał, ale wszyscy nabrali wody w usta. Mówiąc szczerze, Will, straszny tu ostatnio bałagan. Teraz, gdy na dodatek mistrzowie wyjechali i nikt nie ma pojęcia, co się właściwie dzieje, już w ogóle nie sposób się rozeznać. Usiłowałem się porozumieć z tobą, ale kiedy i to spełzło na niczym, niewiele więcej mogłem zrobić.

Will kiwnął głową.

Dobra. Najpierw trzeba uwolnić Roberta. Będzie mi potrzebny.

Spojrzał Szymonowi w oczy. — Ty też, stary druhu. Zgadzasz się?

Jeszcze pytasz? Idę!

Świetnie. — Will uśmiechnął się lekko. — Ale najpierw się ubierz.

Wciągnąwszy pośpiesznie nogawice, buty i czarną serwiencką tunikę,

Szymon wyjrzał na dziedziniec i kiwnął mu ręką. Rozchlapując kałuże, dotarli do wieży sterczącej nad lochami. Na zewnątrz nie było strażników. Zważywszy na porę i pogodę, siedzieli pewnie w wartowni albo na niższych poziomach. Will przycisnął się do ściany i przepuścił Szymona, który nurknął do środka, odgarniając włosy przylepione do czoła. Po chwili usłyszał jego głos, potem głos innego człowieka i kroki.

Jesteś pewien, że to nie był jakiś sługa, bracie? — Młody rycerz przystanął w wejściu, westchnął i wyszedł na dziedziniec.

Will złapał go za gardło i wciągnął do środka. Kiedy twarz rycerza zaczęła sinieć, pchnął go do przodu, uderzając jego głową o ścianę. Templariusz osunął się na posadzkę.

Jezu! — mruknął Szymon.

Nic mu nie będzie — sapnął Will. — Weź go za nogi.

Razem wnieśli nieprzytomnego strażnika do wartowni.

Ciekawe, co będzie, jak Rainier się obudzi i przypomni sobie, że to ja wywabiłem go na dwór — gderał

Szymon.

Will zrzucił ubłoconą kapotę, przyklęknął, zdjął z rycerza biały płaszcz i odpasał mu miecz.

Przyzna ci rację; w preceptorium rzeczywiście był intruz — powiedział, wkładając płaszcz Rainiera i okrywając głowę kapturem.

Ruszył pierwszy po ciemnych spiralnych schodach. Niżej zatknięta na ścianie pochodnia oświetlała biegnący w bok korytarz.

Zaczekaj tu — szepnął do Szymona. — Pilnuj, czy ktoś nie nadchodzi. Schowaj się, tutaj twoją obecność trudno byłoby wytłumaczyć.

Szymon cofnął się do klatki schodowej, zaś Will z mieczem w dłoni ruszył naprzód. Minął otwartą

izbę, w której kilku ludzi chrapało na pryczach. Korytarz prowadził dalej, odchodziły od niego cele zamknięte żelaznymi kratami. Przy stole drzemał giermek z głową opartą na ręce. Słysząc kroki, podniósł ją z trudem.

Czy coś się stało, bracie Rainierze? — Jego spojrzenie przeniosło się z nagiego miecza na twarz ukrytą pod kapturem. Zerwał się, sięgając po oręż, ale Will skoczył jak ryś i wyrżnął nim o ścianę.

Odepnij pas — szepnął, przyciskając ostrze do gardła giermka.

Powoli i cicho.

Giermek zrobił, co mu kazano.

Połóż broń na stole.

Wyczuwając wahanie, Will lekko nacisnął ostrze. Młodzieniec syknął z bólu i odłożył miecz.

Teraz prowadź mnie do brata Roberta z Paryża. — Will pozwolił mu oderwać się od ściany i puścił go przodem, nie cofając ostrza.

Przy trzeciej kracie giermek odczepił od pasa pęk kluczy, przekręcił go w zamku i otworzył kratę. Skulona w kącie postać podniosła się na nogi.

Jedziemy do Merlanu, czy tak? — rozległ się ochrypły głos.

Jeszcze nie — odmruknął Will, wpychając wartownika do celi.

Na twarzy Roberta odbiło się zaskoczenie. Will obrócił miecz, huknął

giermka głowicą, a gdy ten upadł, ponaglił Roberta gestem. Na palcach minęli śpiących strażników. Robert porwał miecz leżący na stole i już na schodach złapał Willa za ramię.

Wybacz — szepnął. — W chwili gdy zadałem Hugonowi pierwsze pytanie, kazał mnie pojmać i... Próbowałem być twardy, ale nie wytrzymałem. Powiedziałem mu, gdzie się mamy spotkać. — Zwiesił głowę.

Rozumiem. Chodź.

U wylotu schodów wiercił się zdenerwowany Szymon.

Gdzie jest Hugo? — zapytał Robert, gdy wyszli. — Jak się tu dostałeś?

Wyjaśnię ci wszystko w drodze do Poitiers.

Poitiers? — mruknął Szymon, mierząc ich zdziwionym wzrokiem.

Gdzie jak gdzie, ale tam żaden z was nie powinien się pokazywać.

Papież przyrzekł, że nie pozwoli królowi Filipowi zniszczyć Templum — sapnął Will zmęczony wspinaczką po schodach. R O B

— W Y

ol Nał Y O

by U

m N

si G

ę jednak upewnić, że dotrzyma słowa.

I jak chcesz to zrobić? — wydyszał Robert.

Najlepiej byłoby zmusić Nogareta, żeby się przyznał do zamordowania papieża Benedykta. Tak, wiem, co chcesz powiedzieć. To niemożliwe. Ale to być może nasza jedyna szansa.

Zamek królewski w Paryżu Czternasty dzień września

Filip otworzył oczy i usiadł w łożu niepewny, co go obudziło. Płomień stojącej przy łożu świecy chybotał się w przeciągu. Z zewnątrz dobiegał jednostajny szum ulewy.

Spuścił bose stopy na zimną posadzkę, zbliżył się do okna i odciągnął zasłonę. Na wschodzie niebo przybrało szarą barwę. Zaczynało świtać. Opuścił zasłonę, narzucił podbitą gronostajowym futrem kamizelę i podszedł

do stojącej pod ścianą misy, żeby obmyć tw arz. Po chwili rozległo się cichutkie pukanie i wszedł Nogaret.

Widząc króla na nogach, skłonił się nisko.

Filip otarł twarz suchym ręcznikiem i zmarszczył brwi.

Dopiero świta. Co tu robisz? — Jego spojrzenie powędrowało w stronę dużej sakwy przewieszonej przez ramię kanclerza.

Błagam o wybaczenie, panie. Chciałem zabrać rozkazy. — Nogaret wskazał stertę opieczętowanych

pergaminów. — Wołałbym wyprawić gońców jak najszybciej. Przy tej pogodzie droga zajmie im więcej czasu.

Filip przystanął, czując się jak zbesztany chłopiec. Gorliwość kanclerza rodziła w nim wrażenie, że to nie on trzyma ster rządów. Pohamował jednak rozdrażnienie. Nogaret miał rację. Aby plan się powiódł, seneszale wszystkich większych miast Francji muszą otrzymać rozkazy na czas, by zadziałać

jednocześnie. Była to zaiste delikatna operacja. Jedno potknięcie tu czy tam mogło zaważyć na jej powodzeniu, a wynik wojny z Templum wcale nie był pewny.

Słusznie — mruknął, przyglądając się, jak kanclerz kolejno wkłada zwoje do torby.

Przy ostatnim Nogaret ściągnął brwi i zaklął pod nosem.

Co się stało? — zaniepokoił się król.

Musiałem źle policzyć. — Nogaret zaczął wyjmować pergaminy, licząc je na głos. — Nie — powiedział, kiedy wyjął ostatni. — Jednego brakuje.

Sam je wczoraj liczyłem. Musiałeś się pomylić.

Nogaret potrząsnął głową, ale przerzucił zwoje jeszcze raz. Filip podszedł i zrobił to samo. Wynik pozostał

niezmienny. Król okrążył stół, przepatrując podłogę.

Czy ktoś mógł go stąd wziąć? — Kanclerz wiódł za nim zatroskanym wzrokiem.

Nie. — Filip zerknął na niego. — Po co? Tylko my dwaj wiemy, co zawierają.

Spojrzenie Nogareta pobiegło ku drzwiom łączącym komnatę z izbą dworek.

Nie... — powtórzył Filip, ale w jego głosie zabrakło przekonania. Przypominał sobie nagle, ile nienawiści gorzało w oczach Róży, gdy wypchnął ją z komnaty.

Nogaret wziął świecę i wszedł do sąsiedniej izby. Jego patykowaty cień zakołysał się na ścianie. Nawet w wątłym świetle już z dala było widać, że łóżko Róży jest puste.

Róża biegła korytarzem w kierunku wielkiej sali, jej bose stopy klapały cichutko o zimny kamień. Ciżmy niosła w ręku, podbite twardą skórą robiłyby nazbyt dużo hałasu w przenoszących echa korytarzach. Ciężkie wyszywane zasłony okienne kołysały się pod naporem wiatru i przez szpary widziała bladą zapowiedź

świtania. Drugą ręką przyciskała do siebie wypchaną sakwę. Zwinięta odzież głuszyła pobrzękiwanie twardej skórzanej pochewki pergaminu o złamany miecz ojca. Zabrała go ze skrzyni w jego izbie, kiedy zniknął. Nie mogła znieść myśli, że zostawi w zamku coś, co do niego należało. Ocalała po nim ta jedyna pamiątka, którą kiedyś pochowa, gdy przyjdzie czas.

Uchyliła drzwi sali i wśliznęła się do środka. Bez ludzi i wypełniającego ją gwaru komnata wydawała się ogromna, rzędy filarów ginęły w górze jak potężne drzewa, cały las skąpany w czerwonawej poświacie dogasającego ognia. Kryjąc się za nimi, pobiegła do przeciwległych drzwi. W połowie drogi zamarła, widząc masywną, skradającą się przy ziemi postać. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to pies. Obrzuciwszy ją niechętnym spojrzeniem, zwierzę ułożyło się przy ogniu z wyszperaną skądś kością.

Ruszyła dalej, ściskając w spoconej dłoni wilgotny pasek sakwy. Uszła ledwie parę kroków, kiedy przed nią stuknęły drzwi i rozległy się kroki. Schowała się prędko za filarem. Gdy idący mijał jedno z palenisk, rozpoznała ściągniętą, woskowobladą twarz Nogareta. Strach ścisnął ją za gardło. Kanclerz miał na ramieniu pusty skórzany wór i szedł prędko w stronę komnat królewskich. Kiedy brała pergamin, Filip spał, ale Nogaret zaraz go obudzi. Nie miała pojęcia, czy zauważą brak jednego zwoju. Niemniej za godzinę, kiedy zbudzą się dworki, jej nieobecność zacznie się rzucać w oczy. Czekała bez tchu, aż legista zniknie w korytarzu, i gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, dopadła paru stopni prowadzących w górę do wyjścia na dziedziniec.

Wiatr wiał prosto na drzwi, musiała je pchnąć całym ciałem. Uderzyły ją w twarz strugi lodowatego deszczu.

Wzuła prędko buty, naciągnęła na głowę kaptur i ostrożnie, bo przeszkadzał jej sterczący brzuch, zeszła po zewnętrznych schodach na dziedziniec. Wbiła sobie w pamięć, co powie strażnikom, ale choć widziała światło na wartowni, przy bocznej furcie, z której korzystali dostawcy, nie było nikogo. Ogarnęło ją upajające poczucie, że jest wolna. Odsunęła rygiel i pociągnęła furtę. Jeden krok i była już za murem. Wąskie uliczki île de la Cité otwierał R

y si O

ę B Y

przNe dY O

ni U

ą N

ja G

k wejście do labiryntu, ale znała drogę. Pewnym krokiem ruszyła w kierunku

nadbrzeżnej ulicy wiodącej do Wielkiego Mostu. Nie udało jej się wszakże do niej dotrzeć.

W ciągu nocy Sekwana gwałtownie wezbrała i wystąpiła z brzegów. Przed Różą rozlewało się wielkie szare morze, korony kasztanów rosnących nad brzegiem kołysały się niczym statki stojące na kotwicy w kłębiącej się wodzie. A woda podnosiła się nadal, sięgała jej do stóp, cała ulica znikała pod falą przyboru. Most było jeszcze widać w oddali, tam brzeg był wyższy. Róża zdusiła krzyk rozpaczy. Czy Bóg ją karał? Poddawał

próbie? Przemknęły jej przez myśl obrazy z Pisma Świętego. Jezus kroczący po wodzie. Morze rozstępujące się przed Mojżeszem. Noe zbierający zwierzęta do arki. Ale Jezus był Bogiem, tamci zaś mężami, których Bóg natchnął mocą, ona zaś — przerażoną brzemienną niewiastą z sercem ciężkim od grzechu. Szansę na odkupienie mogła jeszcze zyskać za pośrednictwem nowego życia, które w sobie nosiła, i pergaminu w ciężkiej, przerzuconej przez plecy sakwie.

Obejrzała się przez ramię. Mogła wrócić do zamku, odłożyć zwój na miejsce, wśliznąć się

ukradkiem do łóżka.

Ale wciąż widziała wściekłość malującą się na twarzy Filipa. Trzeba było spędzić płód, gdy się począł...!

Spełniła rolę pustego naczynia, w które król przelał swoje cierpienie i rozpacz. Sama nie znaczyła nic.

Nienarodzone jeszcze dziecko, które w jej łonie śniło własne sny, także było dla niego niczym, chwastem, który należałoby wyrwać. Ale kiedy podrosło, Róża nagle odkryła, że dźwiga nie tylko ból i gniew, ale też radość. Życie. Cud. Miała nadzieję, że urodzi się chłopiec. Dałaby mu na imię Wilhelm i zadbała o to, by nie żył w smutku jak ona. Ale jeśli tak miało być, nie mogła zawrócić.

Spojrzała przed siebie na zalane ulice, ciemne w bladym świtaniu. Przed rozstaniem ojciec mówił jej o Robercie z Paryża i Szymonie. Oni mogli jej pomóc. Preceptorium stało na drugim brzegu rzeki. Tam była nadzieja. Zaciskając zęby, Róża weszła do lodowatej toni i zaczęła iść w stronę mostu.

Podłoże szybko opadało, woda wkrótce sięgnęła ud. Jęknęła, kiedy wiatr zerwał jej kaptur z głowy i deszcz smagnął boleśnie po policzkach. Płaszcz ciągnął się za nią jak kotwica, suknia nabrała wody, utrudniając ruchy. Wielki Most majaczył przed nią, wciąż jeszcze ponad nurtem, choć pędząca woda lizała już przęsła. W

kipieli mknęły śmieci i gałęzie, biły ją po nogach, czepiały się odzieży. Parę razy potknęła się i omal nie upuściła sakwy. Zobaczyła na moście dwóch ludzi wpatrujących się z niepokojem w prędki nurt. Jeden krzyknął do niej, żeby wracała. Ale szła dalej, czubkami palców sięgając dna, wgniatana pod wodę przez ciężar sakwy. Kiedy dysząc z wysiłku, zbliżyła się do mostu, ten, który do niej wołał, zeskoczył i ruszył jej naprzeciw, wyciągając rękę. Chwyciła ją ostatkiem sił.

Głupia baba! — wrzeszczał, przekrzykując szum i bolesne skrzypienie belek mostu. — Mogłaś utonąć!

Podsadził ją na górę. Szczękając zębami, podziękowała mu za ratunek i ruszyła biegiem przez trzeszczący most. Drugi brzeg był wyższy, woda sięgała tu tylko do kostek, przyśpieszyła więc kroku, omijając kościół, którego gargulce rzygały strugami wody. Nim krętymi uliczkami dotarła do Bramy Templariuszy, bolało ją całe ciało i już nie biegła, tylko się wlekła. Było jeszcze za wcześnie, bramę otwierano dopiero za pół godziny, ale dotąd rozpaczliwie błagała strażników, aż z litości lub zniecierpliwienia przepuścili ją przez furtę.

Teraz szła wolniej. Jasna smuga na wschodzie się poszerzyła i zaczęło się z niej sączyć żółtawe światło.

Deszcz zelżał. Dziecko drgnęło niespokojnie. Róża złapała się za bok i przystanęła, czekając, aż ból minie.

Wyrównała nieco oddech i powlekła się dalej w stronę bramy precepto- rium. Po jakimś czasie usłyszała za sobą okrzyk. Wiatr go zagłuszył i dopiero gdy okrzyk się powtórzył, dotarło do niej, że

słowo jest znajome.

Ktoś wołał jej imię. Obejrzała się; na tle murów miejskich zobaczyła czterech ludzi biegnących gościńcem.

Trzech miało na sobie barwy królewskie, szkarłat i błękit. Czwarty odziany był na czarno.

Przez chwilę stała jak wryta. Potem mimo wstrząsu uświadomiła sobie, że to było do przewidzenia. Gdzie indziej w całym mieście mogła szukać pomocy? Wołanie rozległo się znowu, ostrzej. Poderwała się do biegu.

Nogi ją paliły, płuca omal nie pękły. Mur preceptorium zbliżał się bardzo powoli. Przytrzymując torbę, obejrzała się przez ramię. Dystans znacznie się zmniejszył, zaczynali ją doganiać. W jaśniejącym brzasku potrafiła już wyróżnić rysy twarzy Nogareta zastygłe w maskę wściekłości. Potknęła się

kamień, upuściła torbę, szybko poderwała ją z ziemi. Kłucie w boku stawało się nie do wytrzymania.

Bramę miała przed sobą. Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze piętnaście, dziesięć. Całym ciałem uderzyła w twarde deski, załomotała pięściami.

Pomocy! Na miłość boską, otwórzcie!

Łapcie ją! — doleciał z tyłu krzyk Nogareta.

Błagam, pomóżcie mi!

Mała furta w bramie otworzyła się na oścież i Róża wpadła do środka. Podtrzymały ją mocne ręce. Zobaczyła twarze dwóch rycerzy, zaskoczone

zatroskane. Jeden z nich, widząc nadbiegających, zatrzasnął furtę i założył na nią ciężki rygiel. Już po chwili z zewnątrz dobiegło bębnienie.

Kim jesteś? I dlaczego ściga cię straż królewska? — spytał templariusz.

Proszę cię, panie — wydyszała. — Muszę się zobaczyć z Robertem z Paryża. — Trzęsącymi się rękami wyciągnęła z sakwy pergamin. — Brat Robert musi to przeczytać.

Łomot rozległ się znowu, po nim głos Nogareta.

Otwórzcie! Na R O

kaz B Y

ujęN

wYa O

m U N

w G

imieniu króla!

Jeden z braci ruszył do bramy.

Błagam, nie! — Róża cofnęła się przerażona. — Oni mnie zabiją.

Spojrzenie rycerza przeniosło się z pergaminu na jej brzuch sterczący

pod suknią. Podszedł do bramy. Róża zagryzła palce, ale odsunął tylko klapkę zasłaniającą wizjer i spytał: Czego chcecie?

Zza bramy doleciała odpowiedź Nogareta:

Ta kobieta zbiegła z zamku. Skradła coś, co należy do króla.

Masz na to dowód?

Dowód! — prychnął Nogaret. — Niepotrzebny mi żaden dowód! Macie mi ją natychmiast wydać albo

poniesiecie surowe konsekwencje!

Nie mogę tego uczynić. Sam rozumiesz, niewiasta jest teraz na naszej ziemi. Teren preceptorium jest wyłączony spod jurysdykcji królewskiej i dotyczy to także wszystkich znajdujących się na nim osób.

Głuchy jesteś? Mówię, że to złodziejka, niech cię wszyscy diabli!

Na twarzy rycerza odmalował się niesmak.

Powszechnie wiadomo, że król Filip lubi rzucać bezpodstawne oskarżenia. Tak więc dopóki nie dostarczysz nam dowodu, że niewiasta popełniła przestępstwo, nie widzę przyczyn, dla których miałbym ci pomagać.

Dobrego dnia życzę.

Zatrzasnął wizjer i podszedł do Róży, puszczając mimo uszu łomotanie do bramy, które rozległo się ze zdwojoną siłą.

A teraz—rzekł — skoro już zlekceważyłem rozkaz królewski, lepiej powiedz mi, kim jesteś. — Wskazał

pergamin. — I co to jest.

Róża zacisnęła usta.

Muszę to dać Robertowi z Paryża — powtórzyła.

Brat Robert siedzi w lochu. — Po twarzy rycerza przemknęło coś jakby gniew, ale znikło za szybko, aby mogła mieć pewność. Po chwili namysłu kiwnął głową do towarzysza. — Zostań tutaj. Przyślę ci wsparcie na wypadek, gdyby zachciało im się głupot. Zaprowadzę ją do palatium.

Tam nikogo nie ma.

Wiem — burknął rycerz — ale nie może zostać tutaj. Lada chwila bracia wyjdą do kaplicy. — Skinął na Różę i poprowadził ją do wysokiego budynku.

Podreptała za nim, z trudem nadążając za długimi krokami rycerza. Byli już prawie w drzwiach, kiedy z wieży po przeciwnej stronie dziedzińca wypadło trzech ludzi. Na widok Roberta twarz Róży rozpromieniła się nadzieją. Uśmiech zamarł, gdy jej wzrok padł na człowieka idącego za nim.

Will przystanął gwałtownie. Najpierw zobaczył rycerza i na mgnienie oka ogarnęła go panika, ale zanim zmusił nogi z powrotem do ruchu, ujrzał kobietę. Patrzyła na niego, osuwając się na kolana w błoto, jej spopielała twarz przedstawiała obraz zgrozy. Welon miała przylepiony do głowy, szaty nasiąknięte wodą i brudne, pasma mokrych włosów opadały jej na ramiona. Ale była tutaj, żywa i zdrowa. Z ust Willa wyrwała się modlitwa dziękczynna. Zrobił krok w jej stronę i znowu przystanął, patrząc ze zdumieniem na jej wzdęty brzuch. Szymon minął go spiesznie i podtrzymał Różę, zanim upadła.

Robert stanął naprzeciw towarzyszącego jej rycerza, odgrodzony od niego długością nagiego miecza.

Bracie Laurenty — powiedział głośno i wyraźnie — nie chcę z tobą walczyć. Ale muszę stąd wyjść.

Tamten powoli opuścił własny miecz.

Nie będę cię zatrzymywał, bracie.

Robert podszedł do niego z ulgą wypisaną na twarzy i mocno uścisnął mu dłoń.

Dziękuję. Wiem, że wstawiałeś się za mną do Hugona

Nie ja jeden.

Will ledwie ich słyszał, bo wreszcie oprzytomniał i rzucił się do córki. Szymon podniósł ją z błota, ale wyciągnęła przed siebie ręce, upuszczając to, co ściskała w dłoni.

Nie — zaszlochała. — Nie dotykaj mnie. To ja cię zdradziłam. Zdradziłam cię!

Nie zważając na jej protest, Will zamknął ją w ramionach. Przez jedną rozdzierającą serce chwilę znów był w Akce, znów tulił ją do siebie

cudem odzyskaną, gdy już myślał, że ją stracił.

Robert schylił się i podniósł ubłocony futerał.

Chciała ci to dać, bracie — wyjaśnił Laurenty. — Ścigali ją królewscy. Żądali, byśmy ją wydali w ich ręce. —

Zerknął na bramę, za którą już ucichło. — Chyba sobie poszli.

Robert wyjął pergamin, podniósł go do oczu, mrużąc powieki w półmroku.

Pismo niniejsze ma zostać otwarte przez seneszala Troyes wieczorem dwunastego dnia miesiąca października, nie wcześniej ani później pod karą śmierci — przeczytał. Zerknąwszy na Willa złamał pieczęć i zaczął czytać na głos:

Stała się rzecz pożałowania godna, rzecz potworna, o której strach słuchać i zgroza nawet myśleć; rzecz zaprawdę odra R

ż O

aj B

ącYa N

i Y

ni O

el U N

udz Gka, bo iście bestia tylko byłaby do niej zdolna. Oto przed moje królewskie

oblicze zaniesiono świadectwa zacnych i cnotliwych mężów, którzy ze smutkiem wielkim, lecz prawdziwie oskarżają rycerzy Świątyni Salomona o najohydniejsze zbrodnie. Żyjąc pośród nas niczym wilki w skórach baranków, owi samozwańczy żołnierze Chrystusowi grzeszyli przeciw Bogu i wyrzekli się wiary.

Bracia tegoż zakonu, jak zostało wykryte, podczas swoich tajnych ceremonii i kapitid oddają się herezji i bałwochwalstwu. Co zaś najohydniejsze, wyrzekają się Chrystusa i plują na krzyż. Oddają się czamoksięstwu, czczą szatana, a pozbawieni towarzystwa niewiast, jeden z drugim dopuszczają się najwszeteczniejszych praktyk. Zbrodniarze ci plugastwem swoim kalają chrześcijańską ziemię, aby ni rosa na nią nie padła, ani promień słońca, ani ożywczy wiatr jej nie odwiedził. Dlatego też z ciężkim sercem, ale pewną ręką, ja, król wasz pomazany przez Boga, rozkazuję, co następuje:

Zbierz zbrojnych, jakich masz pod wodzą, i pojmij wszystkich rycerzy, kapelanów, służebnych, jak też pozostających w gościnie zakonu Świątyni Salomona, którzy bytują na podległych ci ziemiach. Ma to być uczynione

o

świcie w dniu świętego Geralda, czyli jutro, czyli trzynastego dnia miesiąca października roku Pana naszego 1307.

Gdy już grzeszników osadzisz w lochu, otocz strażą zbrojną ich komandorie i domy, i majątki. Wszelkie kosztowności, relikwie i dokumenty zgromadź w bezpiecznym miejscu i strzeż pilnie do czasu, gdy zostaną zabrane do Paryża. Ziemie i ruchomości Templum są bowiem odtąd własnością króla Francji. Kiedy to zostanie uczynione, oczekuj dalszych rozkazów.

Z poruczenia najmiłościwiej nam panującego króla Francji Filipa spisał Wilhelm de Nogaret, pierwszy legista i strażnik królewskiej pieczęci.

Kiedy słowa przebrzmiały, Laurenty okręcił się w miejscu i złapał za głowę. Szymon patrzył na nich osłupiały.

Robert spojrzał na Willa.

Chyba nie ma władzy, żeby to uczynić? Na coś takiego musiałby wyrazić zgodę papież!

Wtulona policzkiem w pierś Willa Róża odwróciła ku niemu głowę.

Król zamierzał rozesłać dziś te listy Jest ich o wiele więcej, miały zostać doręczone wszystkim seneszalom królestwa.

Will pogłaskał ją z roztargnieniem, czując mieszaninę dumy z jej odwagi i zgrozy na myśl, że ledwie uniknęła śmierci. Wciąż jeszcze trudno było mu zebrać myśli, lecz uczynił wysiłek, by nad nimi zapanować.

Myślę, że król jest pewny poparcia wszystkich trzech stanów

powiedział. — Tak bardzo pewny, że nie dba nawet o papieską zgodę. Zresztą jeśli lud jednym głosem zażąda procesu, papież nie będzie miał innego wyjścia i usankcjonuje jego kroki. Pamiętajcie, że ponad połowa kardynałów w Collegium Sacrum to zwolennicy Filipa. Mogą wywrzeć silny nacisk na jego świątobliwość.

Laurenty, który nie znał Willa, przyjrzał mu się podejrzliwie i pokręciwszy w oszołomieniu głową, zwrócił się do Roberta.

Przecież wszyscy mistrzowie wraz z Jakubem de Molay są u papieża w Poitiers, gdzie badają tę właśnie sprawę. Nie rozumiem, co ma na celu ten rozkaz, skoro śledztwo już się rozpoczęło?

Zostali tam ściągnięci celowo — powiedział z rozpaczą Will, zanim Robert zdążył się odezwać. — Król chciał

odseparować władze zakonu od reszty. Atak przeprowadzony o świtaniu zaskoczy ludzi, minimalizując skuteczność obrony, a bez dowódców bracia będą rozproszeni i zdezorientowani.

A zatem i papież bierze udział w spisku? — rzekł posępnie Robert.

W to nie wierzę. Myślę, że Filip chytrze się nim posłużył, aby odwrócić uwagę przełożonych Templum.

Wątpię, by wynik narad w Poitiers czy opinia, jaką o sprawie poweźmie papież, miały jakiekolwiek znaczenie.

Król uderzy tak czy owak, a skutków brutalnego ataku nie da się już łatwo cofnąć. Kiedy templariusze znajdą się w jego rękach, trudno im będzie się bronić. Proces o herezję stanie się nieunikniony.

Zamilkli.

Jeśli nic się nie zmieni, mamy cztery tygodnie — mruknął nagle Szymon. — Co robimy?

Nie starczy czasu, żeby ostrzec wszystkie komandorie — zamyślił się Laurenty — lecz przynajmniej największe; niech zbiorą ludzi i...

Urwał. — Nie. Nie możemy opuścić posterunków bez rozkazu marszałka lub wizytatora. Pamiętam, jaką hańbą okryli się rycerze, którzy w Ziemi Świętej samowolnie opuścili preceptorium, uchodząc przed Saracenami. Wszystkich pozbawiono płaszczy. Nie możemy po prostu uciec. — Ściągnął brwi. — Ja tego nie zrobię.

Trzeba ostrzec papieża — odezwał się Will. — I tak zamierzałem jechać do Poitiers. — Zerknął na Roberta. —

Pomówię przy okazji z wielkim mistrzem. To on musi zadecydować o strategii. Tu obecny brat ma rację: jeśli pominie się hierarchię dowództwa, zapanuje zupełny chaos.

Will zmarszczył czoło, myśląc szybko, gorączkowo. — Jedno możemy zrobić już teraz. Wiemy, że oskarżenie zostało oparte na zeznaniach

Esquina de Floyran. Jeśli nie znajdą się namacalne dowody na ich poparcie, pozostaną gole słowa jednego człowieka. To za mało, żeby wydać skazujący wyrok. Wiemy, że Hugo urządzał tu swoje ceremonie. Trzeba znaleźć i znisz R

czOy Bć Y N

ws zYy O

st U N

ko, G

co mogłoby obciążyć zakon. Możemy utrudnić królowi zadanie...

Nagle umilkł, po twarzy rozlał mu się posępny uśmiech.

...i odebrać mu wytęskniony łup — dokończył. — Zdaję sobie sprawę, że nie zabezpieczymy całego

mienia Templum. Ale jesteśmy właśnie w najbogatszym preceptorium na świecie. — Ruchem dłoni objął ciemny jeszcze dziedziniec i otaczające ich budynki.

O czym ty mówisz? — zaniepokoił się Laurenty. — Bracie Robercie, kim jest ten człowiek?

Robert go nie słuchał. Patrzył na Willa, odsłaniając zęby w takim samym wilczym uśmiechu.

Wywieziemy skarbiec.

Potrzebny będzie statek z pełną załogą — ciągnął Will, puszczając mimo uszu sprzeciwy Laurentego. Kiwnął

na Szymona. — Ty też nim popłyniesz. I ty, Różyczko — dodał, patrząc na córkę.

Są tu ludzie, na których można polegać... — odparł Robert. — Na których Hugo nie miał wpływu. — Obrócił

się do Laurentego. — Pomożesz nam?

Rycerz patrzył na niego z niedowierzaniem, ale po dłuższej chwili pokiwał głową.

Do wieczora statek może być gotowy, ale...

Do roboty. Wyjaśnię braciom wszystko przed wyjazdem do Poitiers.

Ty też popłyniesz — wtrącił Will.

Co? Nie.

Ja nie mogę objąć dowództwa na waszym statku, a musi na nim być ktoś, kto ma pełne rozeznanie w tym, co się dzieje. Zresztą nikomu nie ufam bardziej niż tobie. Musicie opuścić Francję, zanim rozpoczną się aresztowania. To bardzo ważne. Do rozmowy z papieżem wystarczy jeden z nas.

Robert milczał. W końcu spytał:

Dokąd mamy płynąć?

Do Szkocji. Jest daleko, prawie na końcu świata. Zdołacie tam bezpiecznie przeczekać zamieszanie, a teraz, gdy Edward nie żyje, Anglicy nie będą wam już sprawiać wielu kłopotów. — Will ucałował Różę w czoło i delikatnie wyswobodził się z jej objęć. — Idź z Szymonem, córeczko, niech ci da jakąś suchą odzież. Zostań z nim. Kiedy nadejdzie czas, przeprowadzi cię na statek. — Spojrzał na Szymona. — Po przyjeździe do Szkocji zawieź ją do moich sióstr w Elginie.

Dopilnuję jej. — Szymon uśmiechnął się blado.

Róża zawahała się, gdy wziął ją za rękę.

Ojcze...

Porozmawiamy jeszcze, dziecko. Ale nie dzisiaj.

Will patrzył przez chwilę, jak odchodzi, oglądając się przez ramię. Potem obrócił się do Roberta.

Chodź. Nie mamy wiele czasu.

Zajrzyjcie do lochów — rzeki Robert do Laurentego. — Musieliśmy ogłuszyć dwóch braci, ale myślę, że wkrótce odzyskają przytomność. Powiedz im... — Wzruszył ramionami. — Powiedz im, co chcesz.

Razem z Willem ruszyli biegiem do palatium.

Drzwi świetlicy Hugona były zamknięte na klucz, musieli je wyważyć. Will wziął z korytarza pochodnię.

Światło oblało wnętrze pomieszczenia, prawie puste, jeśli nie liczyć stołu z pulpitem, dużej almarii, paru stołków

skrzyń.

Robert ruszył do skrzyń, Will zaczął przeglądać pergaminy leżące na stole.

Jest tam coś? — spytał, podnosząc głowę.

Tylko odzież.

Will rozejrzał się dookoła.

To nie jest komnata, do której mnie wzięli. Muszą przeprowadzać inicjacje gdzie indziej.

W sali kapitulnej?

Nie, to nie było tam. Zresztą sala jest łatwo dostępna, ktoś by ich zauważył. Czekaj. — Will zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

Wlekli mnie po schodach w dół. Schody były dość krótkie, wąskie.

Loch?

Nie sądzę.

Will podszedł do almarii, otworzył ją. Wewnątrz ujrzał puchar, modlitewnik i kilka pergaminów. Nic podejrzanego. Już miał zamknąć z powrotem, kiedy poczuł zapach, gorzki i mgliście znajomy. Wsadził głowę do środka, zastanawiając się, gdzie się z nim spotkał. Nagle sobie przypomniał. Zamknął drzwi i obszedł szafę dokoła. Z tyłu zapach był silniejszy. Krew zatętniła mu w skroniach,

kiedy poczuł chłodny powiew.

Pomóż mi! — zawołał do Roberta, wsuwając dłoń między almarię a ścianę.

Data się odsunąć nadspodziewanie łatwo, jak gdyby wiele razy ją przemieszczano. Istotnie, na kamieniach posadzki byty wyżłobione ślady. Wąskie przejście prowadziło w dót kamiennymi schodami. Zerknąwszy na siebie nawzajem, weszli do środka; Robert dzierżył miecz, Will pochodnię.

Schody kończyty się w mniejszej komnacie o nieobrobionych kamiennych ścianach. Kiedy Will obszedł ją wkoło z poc

R O

hodni B

ą Y N Y

, odbl O

a U N G

sk płomienia zatańczył na z grubsza tylko wyciosanych z kamienia postaciach

nachylających się z filarów. Kiedyś pewnie miały stać się świętymi i aniołami. Jedną ze ścian okrywały czarne zasłony, które rozpoznał. Rozsunął je. Wewnątrz było zbite z desek podwyższenie, na nim prosty tron bez ozdób. Posadzka zdawała się umyta, ale dały się na niej dostrzec ślady krwi, a metaliczny odór przebijał spod stęchłego kadzidła.

Co to za miejsce? — szepnął Robert, przyglądając się niedokończonej figurze z tarczą, na której widniał krzyż świętego Jerzego. Twarz była jeszcze pozbawiona rysów, nieludzka.

Pewnie kaplica. — Will spojrzał na niego. — Może zaczął ją budować jeden z dawnych mistrzów i zabrakło mu środków albo wyjechał do Ziemi Świętej i tam zginął, a o kaplicy zapomniano. Wygląda na starą.

Podszedł do ołtarza. Stały na nim świeczniki i kadzidła, leżały pergaminy zapisane ręką Hugona. Dotknął

wysłużonej księgi, którą rozpoznał z drgnieniem smutku. Kronika Ewerarda.

Robert otworzył jedną z paru skrzyń.

Jezu — wykrztusił.

Will się obejrzał. Rycerz trzymał w dłoniach połyskującą żółto trupią czaszkę o wysuniętej do przodu żuchwie i pustych, ciemnych oczodołach. Przekręcił ją, ukazała się twarz młodzieńca zręcznie

wyrzeźbiona z drewna.

Obrócił ją jeszcze dalej i Will ujrzał twarz starca, surową i pobrużdżoną, nad której czołem zwisały siwe kosmyki.

Hugo mówił, że w czasie inicjacji odgrywa postać Króla Rybaka.

wyjaśnił. — Ewerard tłumaczył mi kiedyś, że w opowieści o Percewalu Król Rybak ucieleśnia Chrystusa. —

Wskazał trzy twarze maski. — To jest Trójca. Ojciec, Syn i Duch Święty.

Robert parsknął zduszonym głosem:

Wiedziałem, że Hugo jest ambitny, ale to...

Will pochylił się nad skrzynią. Zobaczył lśniący rybi płaszcz Hugona.

Musimy zniszczyć to wszystko.

Zapalił od pochodni świece na ołtarzu i biegiem wrócił na górę. Obok paleniska w świetlicy leżał stos drew.

Wrzucił kilka do komina, nakrył

pergaminami i przytknął do nich pochodnię. Wysuszone zajęły się bez trudu. Zbiegł z powrotem, żeby pomóc Robertowi.

W innych skrzyniach były płaszcze — białe, dziwnie puste bez czerwonego krzyża — a także malowane na czerwono maski z jelenią głową, wedle Ewerarda pradawnym symbolem powtórnych narodzin. Dwie

zawierały księgi, wszystkie o Graalu, od znanego romansu Chretiena z Troyes po autorów, o których Will nigdy nie słyszał.

R E Q U I E M

Wynieśli wszystkie na górę i wrzucili partiami do komina. Ogień trzeszczał, czerniąc i pożerając wyschnięty pergamin.

Dawaj maski. Płaszczy nie trzeba palić, starczy je wynieść do szatni. Wyglądają jak niedokończone płaszcze zakonne.

To też spal. — Robert podał mu maskę o trzech twarzach i połyskliwą szatę Rybaka. Will wrzucił je do ognia.

Cienki jedwab zajął się natychmiast i spłonął w opalizującym błysku.

A to? — Robert wskazał kronikę Ewerarda, którą Will położył na podłodze.

Po chwili namysłu Will potrząsnął głową.

To nie.

Robert pokiwał głową ze zrozumieniem.

Zabiorę ją razem ze skarbcem.

Dorzucili do ognia resztę pergaminów i patrzyli przez chwilę, jak dym bucha z oczodołów potrójnej maski, a rozwidlone języki ognia wysuwają się z jej ust. Z wieży odezwał się dzwon. Will wepchnął tracącą już kształty maskę głębiej w ogień i wybiegli z komnaty.

Templum w Paryżu Dwunasty dzień października roku Pańskiego 1307

Chcę wiedzieć wszystko — zażądał Jakub, krocząc korytarzem palatium. — Słyszysz, Rainierze?

Tak jest, panie — odparł rycerz, wyciągając nogi, żeby nadążyć za wielkim mistrzem, którego masywna postać wypełniała prawie całą szerokość korytarza. Przed paroma godzinami Jakub przybył do Paryża bez uprzedzenia, w towarzystwie jedynie Godfryda de Charney, czterech giermków i dwóch sług.

Kto, powiadasz, był w to zamieszany?

Nie znam wszystkich szczegółów, panie, ale mam wrażenie, że brat Szymon, koniuszy, był w spisku z człowiekiem, który na mnie napadł

uwolnił brata Roberta. Odpłynęli miesiąc temu wraz z dwudziestu braćmi. Ja i paru innych próbowaliśmy ich powstrzymać, ale przewyższali nas liczebnie.

Powinniście byli raczej złożyć głowy, nim oddaliście skarbiec!

huknął na niego Jakub.

To prawda. — Rainier zwiesił głowę, na której wciąż było widać blednącą szramę.

Wielki mistrz przyjrzał się młodemu rycerzowi.

Kto wyprawił okręt?

Brat Laurenty, panie.

On także odpłynął?

Nie, został w Paryżu.

Oczy wielkiego mistrza błysnęły.

Przyprowadź go.

Kiedy rycerz pośpieszył spełnić rozkaz, Jakub z rozmachem otworzył drzwi swoich komnat.

To ponura wieść, mistrzu — rzekł, idąc za nim, Godfryd. — Jakby mało było królewskich oskarżeń i papieskiego śledztwa, trzebaż nam jeszcze tego, żeby nasi bracia działali na szkodę zakonu. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Nie mogę uwierzyć, by gromadnie wzięli udział w zuchwałym rabunku.

Przekonamy się, Godfrydzie — mruknął Jakub, podchodząc do stołu świeżo otartego z kurzu, który zaległ pod jego nieobecność. Stał na nim dzban z czystą wodą i kubek. Mistrz nalał sobie wody i ciężko usiadł na stojącym obok krześle. Ręka mu zadrżała, kiedy niósł kubek do ust, skrzywił się, sarkając w duchu na własną słabość. Ostatnimi czasy zdarzało mu się to coraz częściej i ze smutkiem dopatrywał się w tym pierwszych oznak starczego zniedołężnienia, przekroczył już bowiem sześćdziesiąty rok życia. Ale być może dawało mu się jeszcze we znaki wyczerpanie podróżą z Cypru.

Przybył do Poitiers w sierpniu i mimo okoliczności rad był z wypoczynku u franciszkanów w towarzystwie papieża Klemensa. Wypoczynek ten jednak okazał się zbyt krótki. Ledwie parę dni po przybyciu wizytatora

pozostałych paryskich przełożonych Templum u bram klasztoru pojawił się królewski goniec z wezwaniem do króla. Ponieważ papież tymczasem zachorował, Jakub uznał, iż powinien wykorzystać przerwę w debatach, by rozmówić się z królem, a przede wszystkim osobiście się spotkać z Esąuinem de Floyran. Wyjechali więc we dwóch z mistrzem Normandii. Na świętego Michała zatrzymali się w Orleanie i spędzili tam parę dni, lecz mimo to droga bardzo go zmęczyła.

Wychylił duszkiem wodę.

Ciekawi mnie, za co Robert z Paryża został wtrącony do lochu. Poznałem go, objeżdżając

ziemie chrześcijańskie po upadku Akki, mniemam, że całkiem dobrze. Wizytator Pairaud znał go od dzieciństwa. Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, czym mógł zgrzeszyć ten człowiek. Może ów Laurenty będzie wiedział.

R E Q U I E M

Jakub chrząknął w odpowiedzi i podszedł do okna. Wyjrzał na dziedziniec, patrząc, jak bracia krzątają się w zapadającym zmierzchu. Giermek wiódł kasztanowatego rumaka do stajen, dwaj słudzy nieśli kosze z warzywami, czterej rycerze rozmawiali o czymś z ożywieniem. Jakub zmarszczył ogorzałe czoło na myśl o czynach zarzucanych tym ludziom. To, o co ich oskarżano, nie było już tylko przestępstwem, ale śmiertelnym grzechem. Na samą myśl krew w nim zawrzała. Aby wojowników Jezusa Chrystusa, którzy od dwustu lat przelewali krew i pot w obronie chrześcijaństwa, zwać heretykami... to nie mieściło się w głowie, obrażało honor, wołało o pomstę do nieba.

Debata w Poitiers, rozpoczęta, nim papież zachorował, nie wyjaśniła niczego. Jakub wciąż nie rozumiał, po co ktoś przysporzył mu tyle fatygi z powodu bredni rozpowiadanych przez jednego człowieka. Słyszał dziś od któregoś z braci, że król Filip dał im wiarę i ogłosił je publicznie. Nowina ta mocno go zaniepokoiła, ale po namyśle uznał ją za plotkę i odłożył do czasu spotkania z Filipem, które miało się odbyć jutro. Zakon bywał już w takich czy innych tarapatach. Nie dalej niż dwanaście lat temu sam bronił go przed zakusami papieża Bonifacego, który chciał połączyć Templum z konkurencyjnym Szpitalem Świętego Jana. Jeśli się nie ugną, nikt ich nie pokona.

Odwrócił się od okna, słysząc hałasy w korytarzu. Skinął na Charneya, żeby otworzył drzwi. Pojawił się w nich Rainier wraz z drugim rycerzem, prowadzący między sobą trzeciego. Ten trzeci szamotał się i obrzucał ich klątwami, ale widok wielkiego mistrza w szacie obszytej złotem natychmiast przywołał go do porządku.

Panie! — rzekł zadyszany. — Słysząc o twym przybyciu, chciałem z tobą mówić już wcześniej, lecz nie dopuszczono mnie do ciebie.

A o czymże to chciałeś ze mną mówić, bracie Laurenty? — spytał zimno Jakub. — Może przyznać się do przewinienia i prosić

o

łaskę?

Chciałem cię ostrzec, panie. Pewien mężczyzna miał ci zawieźć wiadomość do Poitiers, ale widać nie zdołał tam dotrzeć, nie wierzę bowiem, abyś przybył na wezwanie króla, wiedząc, że to pułapka.

Pułapka? — powtórzył z niepokojem Charney. — Co masz na myśli?

Jakub uciszył go gestem i huknął:

Co się stało ze skarbcem? Kto go wywiózł i gdzie? Mów mi tu zaraz wszystko jak na spowiedzi!

Zabrano go, by nie wpadł w ręce króla, panie. W zeszłym miesiącu przybiegła tu niewiasta, dworka z zamku. Przyniosła ze sobą wykradziony z dworskiej kancelarii rozkaz uwięzienia wszystkich templariuszy we Francji pod zarzutem herezji. Ma się to stać w dniu świętego Geralda z Aurillac, czyli jutro! Zapewne do tej chwili seneszale Francji złamali pieczęcie i czytają królewskie pismo. Skoro król cię tu wezwał, jak mówi mi brat Rainier, to znaczy, że ciebie też chce uwięzić. Człowiek, który uwolnił brata Roberta, ruszył co koń wyskoczy do Poitiers, ale na wszelki wypadek dwudziestu rycerzy wywiozło skarbiec statkiem do Szkocji.

Skąd wiesz, że nie był to chytrze uknuty spisek, abyście oddali skarbiec bez walki? — spyta! mistrz Normandii. — Bracia mogli wpaść w zasadzkę, a skarb paść łupem rabusiów.

Sam widziałem to pismo, mistrzu Godfrydzie. Opatrzone było królewską pieczęcią. — Laurenty zwrócił się do Jakuba. — Uwierz mi, panie, że zrobiliśmy to dla dobra zakonu, choć

haniebnie pogwałciliśmy regułę.

Czy ktoś może potwierdzić twoje słowa? — spytał Charney.

Rycerz pokręcił głową.

Nie ujawniliśmy zawartości pisma wszystkim braciom, żeby przedwcześnie nie budzić w nich lęku. Mieliśmy nadzieję, że zdążysz nam wydać rozkazy, jak mamy dalej postępować.

Godfryd de Charney spojrzał na Jakuba.

Jeśli to prawda...

Nie—warknął Jakub. — To jakieś nieporozumienie. Król Filip nie ma prawa porywać się na członków rycerskiego zakonu. Tylko papież ma taką władzę, a wiem na pewno, że jego świątobliwość nie wydał takiego rozkazu. Spotkam się z królem, jak zostało umówione, i dotrę do źródła tych kłamliwych plotek. — Obrzucił Laurentego pogardliwym spojrzeniem. — Choćby tym, którzy wywieźli skarbiec, przyświecały najczystsze intencje, nie ujdzie im to na sucho. Po powrocie zostaną surowo ukarani, a jeśli nie wrócą, ja ich znajdę. — Kiwnął na Rainiera i drugiego rycerza.

Zamknijcie tego grzesznika w lochu. Dajcie mu świecę i wyciąg z reguły, ten o posłuszeństwie. Niech sobie przypomni, jakie zasady go obowiązują.

Mistrzu! O świcie przyjdą tu królewscy żołnierze! Nie możesz zostać w Paryżu!

R E Q U I E M

Godfryd odczekał, aż krzyki Laurentego ucichły za drzwiami, i rzekł cicho:

Najrozsądniej byłoby, gdybyś wyjechał. Choćby na dzisiejszą noc. Możemy...

Nie, Godfrydzie — uciął ostro Jakub. — Nie pozwolę się wypędzić z własnego preceptorium strachliwym pogłoskom. Jak by to wyglądało, gdybym uciekł? Czyż nie przydałbym wiarygodności fałszywym oskarżeniom? Poza tym nie splamię honoru rycerzy Świątyni, hańbiąc się tchórzostwem. Jesteśmy mieczem Bożym! — rzekł z mocą. — Składając śluby,

przysięgaliśmy stawiać czoło nieprzyjaciołom do ostatniej kropli krwi. Nie ulękłem się dwudziestu tysięcy Saracenów na pustyni, nie ulęknę się i paru tuzinów królewskich pachołków.

Templum w Paryżu Trzynasty dzień października

Zaczęło się od głuchego dudnienia, jakby ktoś bardzo powoli uderzał w bęben. Hałas zmącił ciszę przed świtaniem i spłoszone ptaki wyfrunęły z gołębnika. Konie kręciły się niespokojnie w boksach, zaspani stajenni gramolili się z posłań. Kucharze przygotowujący śniadanie odłożyli noże i spojrzeli po sobie. Słudzy przystanęli niepewnie, trzymając w garściach jarzyny i nieodarte jeszcze ze skóry króliki. Kapelani zastygli w drzwiach ciemnej kaplicy, palące się smolne drzazgi zadrżały im w rękach. Rycerze i serwienci wstawali, potrząsali śpiących towarzyszy, naciągali buty i tuniki. Kilku weteranów krucjat, rozpoznając dźwięk, porwało za miecze, wrzeszcząc na młodych braci, żeby chwytali broń. Mężczyźni i chłopcy wysypali się na dziedziniec pod zimnym, twardym, ciemnoniebieskim niebem.

Jakub de Molay, klęczący obok łóżka, podniósł głowę. Wstał, kolczuga z lekkim brzękiem naciągnęła się na ciele. Nie mógł zasnąć i spędził noc na modlitwie. Powoli podszedł do ściany, o którą oparty był miecz. Jakub wetknął go do pochwy, wziął płaszcz z czerwonym krzyżem w złotym otoku i narzucił na ramiona. Przygładził srebrzystą brodę, króra spływała mu na pierś. Potem wyszedł. Słyszał nawoływania, trzaskanie drzwiami, a ponad wszystkim rytmiczny huk tarana walącego w bramę precepto- rium.

Na parterze spotkał Godfryda de Charney.

Jak się okazuje, brat Laurenty miał jednak rację — rzekł mistrz Normandii. — Jakie rozkazy? Walczymy?

Przez chwilę wielki mistrz nie odpowiadał. Zatrzymał się na stopniach przed palatium, mierząc wzrokiem zebranych na dziedzińcu ludzi. Miał tu stu pięćdziesięciu rycerzy, nie licząc giermków, braci służebnych i świeckich. Mogli odeprzeć ten atak i następne; w razie potrzeby

mogli tu wytrzymać wielomiesięczne oblężenie, rażąc wroga z murów. Ale nie znajdowali się w Palestynie. Od ludzi szturmujących bramę nie dzieliło ich dwieście lat rzezi, a tylko poważne nieporozumienie i arogancki monarcha.

Nie będziemy walczyć — powiedział. Zszedł ze stopni i ruszył w stronę bramy między rozstępującymi się braćmi. — Osobiście spotkam się z królem Filipem, żeby rozsądzić tę sprawę. Jeśli rozlejemy dziś krew straży królewskiej, damy rzeczywisty powód, by nas potępiono. Nie możemy zachowywać się jak ludzie winni. Niech świadczą za nami słowa uczynki, nie miecze.

Przed bramą stała grupa zbrojnych rycerzy gotowa do walki. Taran znów uderzył i deski zadygotały. Słychać było okrzyki wielu ludzi, rżenie koni i ujadanie okolicznych psów.

Otwórzcie — rozkazał Jakub. — Natychmiast!

Dwaj rycerze zdjęli gruby dębowy rygiel. Dwaj inni podskoczyli z pomocą i wspólnymi siłami rozwarli skrzydła bramy.

Na zewnątrz czekała armia. Ponad dwustu zbrojnych w barwach królewskich, a także prewot i spora grupa urzędników. Obsługa tarana, przygotowana do kolejnego uderzenia, odsunęła się na rozkaz dowódcy. Do przodu wystąpili kusznicy, celując w pierś wielkiego mistrza.

Jakub zacisnął zęby i ruszył naprzód, pomny, że ma za sobą własnych ludzi. Poza szeregami zbrojnych widział na drodze grupy gapiów przyglądających się z zachłanną ciekawością. Przypominali kruki wyczekujące na skraju pola bitwy. Z lewej strony wyjechał konno mężczyzna w czarnym płaszczu obszytym szkarłatem.

Jakub de Molay? — zawołał. Kiedy wielki mistrz skinął głową, mężczyzna uniósł w górę pergamin i grzmiącym głosem oznajmił:

Z rozkazu króla Francji macie zostać pojmani, a wasze preceptorium przekazane pod straż królewską do czasu zbadania popełnionych przez was zbrodni i wydania wyroku. Jakubie de Molay, złóż broń i rozkaż swoim braciom, by się poddali.

Kim jesteś, że śmiesz mi to nakazywać?

Nazywam się Wilhelm de Nogaret. — Mężczyzna zeskoczył z siodła

podszedł bliżej. — Jestem kanclerzem i pierwszym legistą jego wysokości Filipa, króla Francji.

Jeśli chcesz, możesz sam przeczytać jego rozkaz.

R E Q U I E M

Twarz wielkiego mistrza stwardniała. Nogaret uśmiechnął się lekko.

A, prawda, zapomniałem, że większość templariuszy nie umie czytać. Zaraz ktoś cię w tym

wyręczy — kiwnął na najbliższego urzędnika.

Dość! — Jakub ze złością podniósł rękę. — Chcę mówić z królem Filipem.

Miłościwy pan nie rozmawia z heretykami.

Ani ty, ani sam król nie macie prawa nas napadać i zajmować naszych posiadłości — rzekł

Godfryd de Charney, stając u boku Jakuba. Jego stalowe oczy patrzyły na Nogareta z gniewem.

— Twój rozkaz, cokolwiek zawiera, jest nieważny.

Nogaret wskazał stojącego za nim wysokiego mężczyznę o ziemistej twarzy, odzianego w

dominikański habit.

Ojciec Wilhelm z Paryża jako przełożony tutejszego kolegium dominikanów ma władzę

pojmać każdego człowieka podejrzanego o he

rezję. Prawo to dał inkwizytorom papież Grzegorz Dziewiąty ponad siedemdziesiąt lat temu.

Odnosi się ono do świeckich — sprostował Charney. — Zgodę na uwięzienie członków

naszego zakonu musiałby wydać sam Ojciec Święty

W moim pojęciu już jej udzielił, wszczynając śledztwo — odparował Nogaret.

Jakie śledztwo? — spytał z oburzeniem Jakub. — Rozmawiałem z jego świątobliwością.

Niepokoi się pogłoskami i pragnie je wyjaśnić, ale wcale nie wierzy w oskarżenia Esquina.

R O B Y N Y O U N G

Sam mi rzekł, że człek ów pała nienawiścią do Templum.

Jeśli tak, nie macie się czego obawiać. Proces dowiedzie waszej niewinności.

Wszyscy wiemy, że inkwizytorzy mają za zadanie dowodzić winy, a nie niewinności.

Nogaret twardo spojrzał mu w oczy.

Poddaj się. Moi ludzie otrzymali rozkaz użycia siły. — Kiedy Jakub się nie poruszył, Nogaret niecierpliwym gestem wskazał kuszników.

Złóż broń, bo cię zastrzelą!

Jakub się obejrzał, czując, że rycerze przesuwają się do przodu, gotowi do ataku. Chciał ich powstrzymać, ale zanim wyartykułował słowa, Nogaret opuścił rękę i dwa bełty śmignęły w powietrzu. Jeden wbił się w pierś młodego rycerza stojącego tuż za Jakubem. Wielki mistrz ujrzał, jak rycerz pada z rozrzuconymi rękami, wypuszczając miecz z dłoni. Drugi runął, dławiąc się krwią, gdy bełt utkwił mu w krtani.

Na mgnienie oka zamarł, wpatrując się z niedowierzaniem w zabitych. Obraza templariusza słowem była poważnym wykroczeniem, zranienie go karano ekskomuniką. Szczęknęła broń, bracia zwartą ławą ruszyli naprzód. Jakub ocknął się nagle. Nie mógł dopuścić do masakry.

Stać! — ryknął. Usłuchali rozkazu. — Złóżcie broń! To rozkaz!

Z ociąganiem jeden po drugim kładli miecze na ziemi. Kiedy uczynili

to wszyscy, Nogaret z uśmiechem dał znak swoim ludziom.

Gwardziści weszli na dziedziniec. Systematycznie i brutalnie wzięli się do wiązania jeńców, wyłamując im ręce, kopiąc i bijąc. Służebnych i kapelanów traktowano tak samo i wkrótce w niebo wzbiły się bolesne jęki. Żołnierze jak podniecone mrówki roili się w obrębie murów preceptorium, przebiegając budynek kapituły i palatium, wieże i cichą kaplicę. Wychowali się na powtarzanych z nabożną czcią legendach o dumnych, nietykalnych rycerzach, czystych jak ich białe płaszcze, o ich wielkich czynach i tajnych ceremoniach, o ich niezmierzonym

bogactwie. Teraz legenda klęczała przed nimi w błocie, upokorzona i złamana. Mogli się napawać jej upadkiem.

Rycerzy i serwientów zamknięto pod strażą w preceptorium, mającym tymczasowo stać się ich więzieniem. Jakuba de Molay i Godfryda de Charney, odartych z białych płaszczy, wrzucono na wóz, który potoczył się do Luwru — królewskiej warowni na brzegu Sekwany. Wstał świt, jasny

zimny, ale po raz pierwszy od niemal dwustu lat dzwon na wieży paryskiego Templum milczał.

Dzielnica Łacińska w Paryżu Dwudziesty siódmy dzień października

Jadąc krętą ulicą, Will przyglądał się budynkom. Żebrowane drewnianymi belkami ściany, brudnobiałe albo pomalowane na blady róż, chyliły się nad rozdeptanym traktem. Zygzakowatą linię dachów wieńczyły wieże kościoła. Niebo było ołowiane, poznaczone smużkami dymu. Panował dotkliwy ziąb, ludzie poruszali się szybko, opatuleni płaszczami, wypuszczając z ust kłębki pary. Większość stanowili szkolarze i magistrowie licznych kolegiów paryskiej wszechnicy, które razem tworzyły serce tej dzielnicy. W wytartej i splamionej skórzanej kapocie, z włosami i brodą w strąkach, z butami oblepionymi błotem Will zdawał się tu intruzem. Jego koń — kary ogier, którego Szymon mu osiodłał, kiedy wyjeżdżał z preceptorium — wyglądał, jakby został skradziony. Will wyczuwał zaciekawienie przechodniów, którzy próbowali pogodzić w myślach obdartego jeźdźca ze szlachetnym rumakiem. Gdyby ktokolwiek spytał, pewnie starałby się wyłgać, mówiąc, że jest giermkiem, ale świadczył przeciw niemu wiek. Przestał myśleć o wymówkach i skoncentrował się na otoczeniu. Nie chciał kręcić się tu tak długo, żeby dać powód do pytań. Znajdzie to, czego szuka, a potem ruszy dalej.

Droga do Poitiers zajęła mu więcej czasu, niż przypuszczał, zatrzymały go jesienne burze.

Dotarłszy do celu, ukradkiem — żeby nie dać Hugonowi okazji do dokończenia dzieła — porozumiał się z franciszkaninem, którego znał z poprzedniej bytności w klasztorze, i dowiedział się od niego, że minął się z wielkim mistrzem o dwa dni. Jakub wyjechał już do Paryża, pozostawiając wizytatora i resztę mistrzów w miejscowym domu Templum, gdzie mieli czekać na jego powrót. Papież Klemens był ciężko chory. Mimo ponawianych błagań franciszkanie dopuścili do niego Willa dopiero na dzień przed świętym Geraldem. Posłuchanie nie trwało nawet godziny. Wyczerpany chorobą papież nie był w stanie ani mu doradzić, ani pomóc. Will pozostał w klasztorze, mając nadzieję, że Klemens dojdzie do siebie na tyle, by podjąć naglące decyzje

położyć tamę poczynaniom króla. Nazajutrz dowiedział się, że precep- torium w Poitiers zostało o świcie zdobyte po zawziętej walce przez duży oddział wojsk królewskich. Nikomu

nie udało się zbiec. Mistrzów zakuto w łańcuchy i powieziono do Paryża. Will błagał papieża, żeby wystosował do króla pismo, w którym stanowczo potępiłby jego działania, domagając się natychmiastowego uwolnienia templariuszy i zwrotu zagarniętego mienia. Klemens obiecał rozmówić się z królem, gdy tylko wyzdrowieje, lecz w najbliższym czasie na to się nie zanosiło. Zrozpaczony Will postanowił wrócić do Paryża i rozeznać się w sytuacji. Nie wiedział nawet, czy statek Templum bezpiecznie opuścił Francję. Miał tylko nadzieję, że gdy zbierze dowody nadużyć Filipa, papież wreszcie się ocknie i być może podejmie bardziej zdecydowane kroki.

Paryskie preceptorium było pełne żołnierzy, nie ośmielił się więc do niego zbliżyć. Miasto huczało od sensacyjnych plotek. W emocjach, jakie budził upadek Templum, było coś brzydkiego. Mówiono o sprawiedliwości, o utracie Ziemi Świętej, lecz ze wszystkich tych słów

wyzierała zawiść. Największą rozkoszą napawały plotkarzy oskarżenia o herezję. Kiwali znacząco głowami u rzeźnika, powtarzając, iż oni od dawna wiedzieli, że ci templariusze to nic dobrego. Przysłuchując się ludziom, Will odkrył, że nie wszystkich braci owego dnia ujęto. W zamieszaniu część uciekła do miasta. Przez ostatnie kilka dni starał się odnaleźć uciekinierów, dlatego błąkał się po dzielnicy uniwersyteckiej, z uwagą oglądając każdy dom.

W końcu znalazł wymalowane na czarno drzwi z łuszczącym się złocistym krzyżem. Okiennice na parterze były jeszcze zamknięte. Wprowadził konia sklepionym przejściem na tyły budynku, gdzie znajdowało się ciasne podwórko z niewielką stajnią naprzeciw. Machający pracowicie miotłą chłopiec zaszczycił Willa tylko przelotnym spojrzeniem; całą uwagę poświęcił rumakowi, oglądając go od łba do pęcin.

Gdzie znajdę oberżystę? — spytał Will, podając mu wodze.

Jest w kuchni. — Malec fachowo zawrócił konia i poprowadził do stajni.

Nie zdejmuj siodła — zawołał za nim Will. — Długo nie zabawię.

W kuchni zastał dwóch mężczyzn, którzy przyjrzeli mu się podejrzliwie.

Czego szukasz? — spytał jeden, unosząc nieco nóż, którym patroszył ryby.

Oberżysty.

Jest z przodu. — Mężczyzna kciukiem wskazał drzwi za swoimi plecami i z rozmachem opuścił nóż na deskę, odcinając rybi łeb. — Ale

tak nie mamy wolnych łóżek.

Will wyminął go i wyszedł do ciemnej, pachnącej pleśnią izby, w której niski mężczyzna o

marchewkowych włosach toczył z wysiłkiem beczkę po nierówno ułożonych kamiennych płytkach. Zawadził o jedną ze stojących pod ścianami ław i zaklął sprośnie.

Pomogę. — Will zaszedł z drugiej strony i złapał za beczkę.

Oberżysta zdziwił się trochę, ale nic nie powiedział i razem ustawili

beczkę w rzędzie innych. Rudzielec wyprostował się ze stęknięciem.

Szukasz noclegu? Nie mamy...

Nie —wpadł mu w słowo Will.—Szukam dwóch ludzi, którzy chyba u ciebie mieszkają.

Ach tak? — Ton zdawał się lekki, ale w głosie mężczyzny słychać było niepokój.

Pewnie wiesz, kogo — dokończył Will.

Jak mam wiedzieć, skoro nie podałeś mi ich imion? — Oberżysta zaśmiał się nerwowo.

To templariusze.

Mężczyzna rozłożył ręce i potrząsnął głową.

Wybacz, ale... — Krok za krokiem odsuwał się w kierunku kuchni.

Nie chcę ich wydać — powiedział Will szybko. — Chcę tylko z nimi pomówić. Proszę. To bardzo ważne.

Oberżysta zahaczył o ławę i wzdrygnął się. Twarz miał bladą, przestraszoną.

Słuchaj, ja nie jestem żadnym heretykiem — rzekł półgłosem.

Pozwoliłem im tylko przeczekać w gospodzie, aż będą mogli się wydostać z miasta.

Handlowałem z preceptorium i zawsze traktowano mnie uczciwie. Poczułem, że jestem im coś winien, kiedy przyszli prosić o schronienie.

Will kiwnął głową krzepiąco.

Kiedy sprawa się wyjaśni, na pewno hojnie cię nagrodzą.

Mężczyzna zawahał się, potem spojrzeniem wskazał schody.

Jest ich czterech, trzech rycerzy i serwient. Na samej górze.

Dziękuję.

Trzeszczącymi schodami dotarł do drzwi na trzecim piętrze. Zapukał. Posłyszał lekkie kroki, przyciszone głosy. Drzwi się uchyliły i pokazał się w nich fragment twarzy.

Tak?

Nazywam się Wilhelm Campbell. Jestem przyjacielem Roberta z Paryża i Szymona Tannera.

Muszę z wami porozmawiać.

Wybacz — powiedział głos. — Nie znam ich.

Czekaj, Gwido — rozległ się inny głos. — Wpuść go.

Drzwi się zamknęły i znów dobiegły zza nich szepty. Po chwili otworzyły się szerzej. Kiedy

wszedł do izby, poczuł ostrze miecza na gardle. Znieruchomiał

Odbierz mu broń, Albercie — powiedział stojący za nim mężczyzna, nogą zamykając drzwi.

Młody człowiek o szerokiej, rumianej twarzy odpiął mu pochwę z mieczem. Will zerknął na

pozostałych. Obaj byli uzbrojeni i czekali tylko na jego podejrzany ruch. Zgolili brody, lecz

zdradzała ich biała, od lat nie wystawiana na słońce skóra w miejscach po zaroście. Ubrani byli w niedopasowaną, za ciasną lub za luźną odzież i wszyscy czterej mieli w oczach czujny,

nieufny wyraz zaszczutej zwierzyny.

Czego chcesz? — spytał Gwido, trzymając miecz na jego szyi.

Muszę się czegoś dowiedzieć.

Jak nas znalazłeś? — spytał strapiony Albert.

Spotkałem sługę z preceptorium, któremu udało się uciec.

Gwido zaklął pod nosem.

Mówiłem, że nie możemy tu zostać. Jeśli on nas znalazł, to i straż królewska nas znajdzie.

Musimy się wydostać z Paryża.

Jak? — zdenerwował się jeden z pozostałych. — Widzisz, jak wyglądamy? Nie mamy ani

pieniędzy, ani koni i wystarczy na nas spojrzeć... Zresztą słyszałeś, co mówił Marcin.

Kontrolują każdego, kto chce przejść przez bramę. Bez pomocy nie mamy szans.

Co chcesz wiedzieć? — spytał przybysza Gwido.

W zeszłym miesiącu z przystani Templum powinien był odbić statek z grupą templariuszy. Wśród nich mieli być Robert z Paryża i Szymon, koniuszy. Udało im się wypłynąć?

Gwido milczał przez chwilę. W końcu opuścił nieco miecz.

Tak. Nikt nie zna szczegółów, ale później krążyła plotka, że na polecenie wizytatora zabrali skarbiec.

Will odetchnął z ulgą.

Co się tutaj działo? Potraficie mi opowiedzieć? Czy król wszczął jakikolwiek proces? Braci tylko uwięziono czy są przesłuchiwani?

Nie wiemy. — Albert potrząsnął głową. — My czterej byliśmy w infirmerii, kiedy zaczął się tumult. Zobaczyliśmy, że królewscy żołnierze zabijają braci, i uciekliśmy przez mur. Zamierzaliśmy dotrzeć do innego preceptorium.

Na nic by się to nie zdało — mruknął Will. — W tym samym dniu zaatakowano wszystkie domy Templum w całej Francji.

Skąd wiesz? — Gwido przyjrzał mu się bacznie. — Kim właściwie jesteś?

Kimś, kto chciałby rzucić królowi pod nogi parę kłód. Filip bezprawnie wkroczył w jurysdykcję Kościoła. Trzeba uzmysłowić to papieżowi.

Papieżowi...? — powtórzył z nadzieją Albert.

Doszedł ich basowy grzechot kopyt na obłoconym bruku zmieszany z alarmującymi okrzykami. Rzucili się do okna. Oddział straży królewskiej jechał w stronę gospody, płosząc ludzi na ulicy. Zatrzymali się przed drzwiami. Will zaklął.

Ty ich tu sprowadziłeś? — spytał ostro jeden z templariuszy.

Nie!

Z dołu dobiegło wołanie:

Otwierać z rozkazu króla!

Psiakrew! — Gwido skoczył do drzwi.

Zbiegli na półpiętro.

Na podwórze! — zawołał Gwido. — Uciekniemy tylnym wyjściem!

Na pewno je obstawili! — sprzeciwił się Will. — Oknem! Może uda się przeskoczyć na sąsiedni ***1 4 7***

dach!

Tamci jednak zlekceważyli radę i pobiegli w dół po chwiejnych schodach. Wszędzie otwierały się drzwi, pobudzeni o świcie mieszkańcy oberży wyglądali z izb.

Co tu się u diabła dzieje? — spytał groźnie jakiś mężczyzna i prędko cofnął się za próg z obawy, że Will go stratuje.

Odepchnąwszy go, Will wpadł do izby i podbiegł do okna. Zaklął, widząc tylko podwórze daleko w dole. Żołnierze sforsowali właśnie tylne drzwi. Z dołu dobiegły wrzaski. Wybiegł z izby i ruszył naprzeciw. Jedne drzwi były zaryglowane, przy drugich pomógł sobie barkiem. Lokator rzucił się na niego z nocnikiem. Will się uchylił, uderzył go kolanem w brzuch i mężczyzna zgiął się wpół. Powietrze rozdarł krzyk, ze zmiętego łóżka zerwała się naga kobieta, otwierając usta do kolejnego krzyku. Kroki na schodach były coraz bliższe. Will pchnął okiennicę. Pod oknem biegła belka, przy odrobinie szczęścia mógł po niej przejść do sąsiedniego domu. Trzymając się futryny, przełożył nogę na zewnątrz i w tej samej chwili do izby wpadło trzech gwardzistów. Krzyk kobiety przybrał na sile. Ktoś

szarpnął Willa za kaptur płaszcza, wciągnięto go do izby i rzucono na podłogę. Jeden z żołnierzy kopnął go w twarz i krew załała mu gardło. Krztuszącego się, oszołomionego, wywlekli na zewnątrz.

Tamtym czterem też nie udało się uciec. Gwido leżał na ziemi z twarzą skrzywioną z bólu. Gwardziści metodycznie okładali Alberta, budząc aplauz wśród zwabionych awanturą gapiów.

Kolejne stadko szczurów chciało uciec ze statku — rozległ się zimny głos. — Zabierzcie też oberżystę i służbę. — Rozkaz był na tyle głośny, żeby gapie mogli go usłyszeć. — Każdy, kto

R O

da BjeY N

sc Y

hr O U

oni N

e G

nie heretykom, spłonie razem z nimi.

Widząc zbliżającego się człowieka w czarnych szatach, Will pośpiesznie spuścił głowę.

Kto to? Rycerze czy serwienci?

Jeszcze nie wiemy — odparł jeden z gwardzistów. — W lochu prędko się wyspowiadają.

Istotnie. Na razie zamknijcie ich w preceptorium.

Kątem oka Will dojrzał, że czarna szata się oddala. Żołnierze poprowadzili go ulicą i nagle zimny głos rozległ się ponownie:

Stać! Pokażcie mi tego siwego!

Jeden z żołnierzy złapał go za włosy i obrócił. Stężały z napięcia Will spojrzał wprost w czarne oczy Nogareta.

Na twarzy kanclerza odmalowało się niedowierzanie, dopiero potem satysfakcja.

Zabrać go razem z tamtymi? — spytał żołnierz.

Nie — uśmiechnął się Nogaret. — Tego zabierzemy do Luwru. Dawno już przygotowałem tam

dla niego celę.

Królewska warownia w Luwrze Trzydziesty pierwszy dzień października roku Pańskiego 1307

Will odmierzał krokami podłogę dusznej celi, pięć kroków w przód, pięć z powrotem. Przez minione cztery dni wypełniał ciągnący się w nieskończoność czas takimi właśnie skromnymi aktami wolności. Nie związano go, miał więc swobodę wyboru, czy posiedzieć i pomyśleć, czy się położyć i zasnąć, żeby zaoszczędzić sił, czy też przespacerować się, żeby rozruszać mięśnie.

Względny komfort w ramach czterech nagich ścian bez okna bardzo go zaskoczył. Wtedy, przed gospodą, Nogaret patrzył na niego tak, że Will się spodziewał najokrutniejszych tortur. Tymczasem pozostawiono go samemu sobie. Nie widywał nawet strażników, jedzenie wsuwano mu przez mały otwór w drzwiach. Pod pewnymi względami to zawieszenie w próżni było jeszcze gorsze. Wyobrażając sobie, co go czeka, przez cały czas pozostawał w tak silnym napięciu, że w końcu nawet jego umysł zaczynał dygotać. Kosztowało go bardzo wiele wysiłku, żeby nie wpaść w obłęd. Powtarzał sobie, że musi zachować spokój. Musi się przygotować. A więc spacerował, skupiając się na prostej czynności stawiania jednej bosej stopy przed drugą.

W korytarzu rozległy się kroki. Przystanął, nasłuchując. Szło trzech, może czterech mężczyzn w pobrzękujących kolczugach. Kroki zatrzymały się pod jego drzwiami, rygiel szczęknął, odskoczył. Will przycisnął się plecami do ściany celi.

Twarzą do muru — oznajmił szorstki głos.

Zawahał się. Nie chciał okazać słabości, lecz zarazem po cóż by się miał sprzeciwiać tak prostemu rozkazowi?

Odwrócił się posłusznie. Po odsłoniętych plecach przebiegł mu lekki dreszcz w oczekiwaniu na niewiadome.

Potem drzwi się otwarły, ogarnął go chłodny powiew. Chwycili go za

ramiona, wyginając je do tylu, i związali rzemieniem ręce w przegubach. Słyszał za sobą ich oddechy. Rzemień zaciągnięto, poczuł bolesne pulsowanie krwi, dłonie zrobiły się gorące i zaczęły nabrzmiewać. Szarpnięciem odwrócili go do wyjścia i wyprowadzili, flankując po dwóch z każdej strony.

Szli w milczeniu. Will próbował skupić całą swoją świadomość w jednym punkcie, głęboko ukrytym, gdzie nie mogły go dosięgnąć groźby ani ból. Było mu trudno, bo myśli miotały się chaotycznie. To nachodziło go wspomnienie oglądającej się za nim Róży, to znów wyobrażenie Wallace'a odcinanego ze stryczka. Zacisnął

zęby i odpędził je z głowy, koncentrując się na stawianiu jednej stopy przed drugą — tak samo jak w celi.

W końcu otworzyły się przed nim jakieś drzwi. Buchnęło zza nich rozgrzane powietrze i czoło natychmiast okryły mu krople potu. Pierwszy i wyraźny sygnał ostrzegający o zagrożeniu ujrzał w bezlitosnych twarzach wszystkich mężczyzn znajdujących się w pomieszczeniu. Nogareta zauważył od razu. Prócz czterech gwardzistów, którzy go wprowadzili, było tu jeszcze czterech dominikanów. Jednego — wysokiego i chudego mężczyznę o zimnych oczach — znał z widzenia. Był to Wilhelm z Paryża, spowiednik króla Filipa i naczelny paryski inkwizytor.

Kiedy drzwi się zamknęły, ujrzał mnogość rozmaitych narzędzi, które przez to, że niezrozumiałe, wydały mu się jeszcze bardziej złowieszcze.

Przez biegnącą pod stropem belkę przewieszona była lina z hakiem. Obok stała trójkątna rama z kołowrotem, również opleciona linami. Przed paleniskiem, na którym żarzyły się węgle drzewne, oparto poczerniałą deskę, a obok stał garnek z jakąś oleistą substancją. Ławę na krzyżakach zdobi! duży dzban i metalowy lejek; na drugiej, okrytej płótnem, ułożono przybory, których przeznaczenia móg! się tylko domyślać. Jeszcze gorsze wrażenie wywierały widoczne na posadzce plamy, jedne zastarzałe, inne świeże. Wyczuwał odór krwi, uryny, kału i potu.

Każda taka plama była echem bólu, krzykiem lub skowytem. Znalazł się w jaskini grozy, gdzie człowieka można odrzeć z godności i człowieczeństwa — odrzeć dosłownie, bo do nagich kości. Przypomniał sobie mgliście opowieści Ewerarda

o

torturach, jakim poddawano katarów. W tamtych czasach inkwizytorzy dopiero nabierali wprawy.

Kościół zakazał im rozlewu krwi, wymyślili więc finezyjne metody zadawania bólu ludziom oskarżonym o herezję, którym trzeba było wydrzeć przyznanie się do winy. Kończyny łamano, przypalano, zgniatano, wyrywano ze stawów, rany przyżegano tak, by ani jedna kropla krwi nie splamiła Kościoła.

Nogaret zaczeka Rł O

, a B

ż Y N

Wi l Yl O U N

dobrzGe się wszystkiemu przyjrzy. Potem rzekł:

Wilhelmie Campbellu, zostałeś oskarżony o zbrodnię herezji. Zostaniesz teraz przesłuchany przez inkwizytorów w celu ustalenia, czy rzeczone oskarżenie jest prawdziwe czy też nie. Dadzą ci sposobność wyznania winy, a jeśli twoja skrucha będzie szczera, grzechy zostaną ci odpuszczone. Co na to odpowiesz?

Will zerknął na pozostałych i spojrzał Nogaretowi w oczy.

Jak mogę być winny? Nie jestem templariuszem. Opuściłem zakon przed wieloma laty. Czy macie choć jeden dowód, który by mnie obciążał?

Nogaret się uśmiechnął. Najwyraźniej ten słowny pojedynek sprawiał mu przyjemność.

Zeznanie wysoko postawionego członka zakonu Świątyni. — rzekł.

Czym jest Anima Templi?

Will nie odpowiedział.

Twoje milczenie mnie zaskakuje, Campbell. Wizytator zakonu, Hugon z Pairaud, powiedział tu obecnym, że byłeś zwierzchnikiem tej organizacji.

Will nadal milczał.

W gruncie rzeczy — podjął Nogaret — spora część zeznań wizytatora dość wiernie odzwierciedla świadectwo Esquina de Floyran, a także zeznania innych, w tym wielkiego mistrza.

To kłamstwo.

Czyżby? — Nogaret podszedł do trójkątnej ramy. — Jakub de Molay przyznał się tu, na tym łożu. Powiedział, że zaparł się Chrystusa i pluł na krzyż. Powiedział, że czcił trójgłowego bożka podczas spotkań kapituły i zachęcał rycerzy, by czynili to samo, i całował ich w usta i inne części ciała.

Na twarzy Wilhelma z Paryża wykwitł grymas niesmaku. Jeden z dominikanów się przeżegnał. W upale bijącym od ognia wszyscy ociekali potem. Will uświadomił sobie nagle, że choćby zaprzeczył każdemu słowu, i tak niczego to nie zmieni. Podobnie nie zmieni niczego przyznanie się do herezji. Jego los był z góry przesądzony, Nogaret o to zadbał. Ale może uda mu się zaapelować do ludzkich uczuć inkwizytora, oszczędzić cierpień niewinnym, przynajmniej do czasu, gdy zainterweniuje papież. Zwracając się do wysokiego dominikanina, powiedział:

Anima Templi istnieje i rzeczywiście byłem ongiś jej przywódcą. Nigdy jednak nie odeszła od wiary chrześcijańskiej. Była to grupa pobożnych ludzi, którzy postawili sobie za cel krzewienie pokoju Bożego. Na nieszczęście, kiedy opuściłem zakon, znaleźli się tacy, którzy zapragnęli wykorzystać Duszę Świątyni dla własnych niskich celów. Wypaczyli jej przesłanie, zwiedzeni z dobrej drogi chciwością i żądzą władzy; pychą, lecz nie brakiem wiary. Po prostu pobłądzili, lecz to nie oznacza, iż stali się heretykami. Ich błąd osądzić winna jedyna instancja powołana do zwierzchności nad rycerzami Templum, to jest Ojciec Święty. Tych ludzi jest garstka. Oszczędźcie reszcie braci tortur, albowiem żaden z nich nie otarł się nawet o herezję, także wielki mistrz.

Znasz ich imiona? — zapytał surowo Wilhelm z Paryża.

Will namyślał się, co odpowiedzieć, kiedy wtrącił się Nogaret.

Nie pozwól mu cię zwieść, czcigodny bracie. Ledwie wczoraj sam słyszałeś, że Jakub de Molay przyznł się do winy.

Oczy Willa się zwęziły.

W rękach oprawców każdy człowiek przyzna się do wszystkiego

syknął. — Ty także.

Na policzkach Nogareta wykwitły jaskrawoczerwone plamy, lecz zdołał się opanować, nim odparł:

Rad jestem, że tak szybko się przyznałeś, Campbell. To dobrze wróży następnym pytaniom, które chcę ci postawić, a na które król żąda pilnej odpowiedzi. Obnażcie go — skinął na strażników.

Will zesztywniał. Rozdarto mu koszulę na piersi, rękawy rozcięto nożem, który przeorał mu skórę. Podobny los spotkał nogawice i nagle byt nagi i straszliwie bezbronny. Pamiętał, że doznał podobnego uczucia przed pasowaniem na rycerza, ale wówczas krzepiła go obietnica nagrody za przebytą próbę. Teraz niewiele mógł

mieć nadziei.

Podprowadzono go do stołu z lejkiem i dzbanem. Oderwał wzrok od ciemnych plam na posadzce i przyjrzał się tym zwyczajnym przedmiotom, zastanawiając się, do czego mogą służyć.

Gdzie jest skarbiec? — zapytał Nogaret.

Nie mam pojęcia. Zapytajcie braci.

Już pytałem. Kilku poświadczyło, że byłeś tamtej nocy w Templum.

Głos kanclerza zmienił się w nienawistny warkot. — Ty i ta wszeteczna dziewka, twoja córka, która ośmieliła się wykraść królewski rozkaz! Powinienem był wcześniej poderżnąć suce gardło!

Will rzucił się na niego, lecz szarpnięto go w tył i uniesiono w powietrze. Żołnierze położyli go na stole, z którego jeden z dominikanów zdjął dzban, a drugi lejek. Szamotał się zawzięcie, ale gwardziści przygwoździli go we czterech, miażdżąc ciężarem skrępowane na plecach ręce.

Gdzie jest skarbiec? — powtórzył Nogaret, nachylając się nad nim tak nisko, że Will czul woń jego oddechu.

Odwrócił głowę, ale jeden z żołnierzy ujął ją jak w kleszcze i przytrzymał. Inkwizytor chwycił go za wargi, odwinął i ciągną R

ł O B

dot Y

ą N

d, Y

ażO U

W N

illG otworzył usta. Wepchnięto mu do gardła wylot lejka; nagle zobaczył nad sobą

brzeg dzbana i strumień lejącej się z niego wody. Wypełniła mu usta, zalała krtań, nie dając szans na przełknięcie. Dławił się, dusił, konwulsyjne torsje wstrząsały mu całym ciałem; miał wrażenie, że do lejka skierowano bieg rzeki. Tonął. Umierał, słysząc nad sobą głos Nogareta:

Gdzie jest skarbiec? Gdzie?

Królewska warownia w Luwrze Dwudziesty czwarty dzień grudnia

Will drgnął, wyrwany z nieświadomości trzaśnięciem drzwi celi. Spróbował się unieść na rękach, ale ciało osłabione z głodu i wyczerpania nie chciało się poruszyć. Strażnicy szarpnęli go z ziemi, postawili na nogi. Ich dłonie wpijały się w niego jak szpony. Znów nie widział nikogo od paru tygodni i nagły kontakt fizyczny sprawił mu ból. Ubrali go w szorstką wełnianą tunikę. Obciągnęli ją starannie, żeby zakryć rany. Kiedy go wyprowadzili, poczuł narastający strach. Ostatnim razem posunęli się bardzo daleko, używali różnych narzędzi, wybierając najwrażliwsze części jego ciała; parokrotnie z bólu stracił przytomność. Teraz mogą posunąć się jeszcze dalej i nie zdoła już im uciec w głąb siebie.

Prześladował go okrutny, szyderczy głos Nogareta, rozprawiającego ze swadą o rycerzu, którego stopy nasmarowano tłuszczem i wetknięto między węgle. Dostał potem w mieszku kości, które wysypały się ze spalonych stóp. Rozgorączkowane myśli Willa wypełniały obrazy niezliczonych mężczyzn, skatowanych i potwornie okaleczonych, skowyczących z bólu w lochach rozsianych po całej Francji. Wiedział od Nogareta, że ujęto piętnaście tysięcy templariuszy. Większość przyznała się do wszystkiego, co inkwizytorzy chcieli usłyszeć.

Will także. Poddawali mu słowa, a on je potwierdzał w nadziei, że przerwą tortury. Polewali go wrzącym woskiem, kładli pochodnie na jego nagich udach, aż czuł zapach pieczonego ciała. Najgorsze było łoże.

Przytwierdzano mu kostki i przeguby do ramy, a potem jeden z inkwizytorów zaczynał obracać kołowrotem, stękając z wysiłku. Kończyny naprężały się stopniowo, lecz bezlitośnie, a ból pękających ścięgien był nie do zniesienia.

Ale nawet w najgorszych chwilach część jego umysłu pozostawała świadoma, ze nie mogą go zamęczyć na śmierć. Nogaret sądził, że Will wie, gdzie jest skarbiec. Dopóki w to wierzył, nie pozwoliłby go zabić. Will powiedział mu na łożu, że statek popłynął na Cypr. Wkrótce potem, kiedy kazali mu powtórzyć zeznania, wymienił Portugalię. Nogaret nie miał możliwości zweryfikować jego słów i był bliski furii. To jedno osładzało Willowi męczarnie.

Strach zmienił się w dezorientację, gdy strażnicy ruszyli schodami pod górę. To nie była droga do izby tortur. Po kilku skrętach w pozbawione okien korytarze zobaczył masywne podwójne drzwi. Kiedy je otwarto, jęknął.

Dzienne światło uderzyło weń jak piorun. Było wcześnie rano i niezwykle zimno, ale rozkoszował się czystym powietrzem. Od bardzo dawna nie czuł się tak ożywiony. Obejrzał się, słysząc głosy i klaskanie końskich kopyt.

Na podworcu stały cztery wozy otoczone rojem żołnierzy. Zauważył Nogareta i Wilhelma z Paryża. Kanclerz był spięty i chyba poirytowany. W tłumie ludzi Will dostrzegł sponiewiernych więźniów ubranych w podobne tuniki jak ta, którą miał na sobie. Poznał wielkiego mistrza i Godfryda de Charney. Jakub był straszliwie wychudzony i słaby; podtrzymywało go dwóch żołnierzy. Brodę miał ostrzyżoną, twarz usianą ranami. Willa wepchnięto do najbliższego wozu, a w ślad za nim innych, których nie znał. Czterej gwardziści wdrapali się na tył, woźnica strzelił z bata i wozy potoczyły się przez dziedziniec.

Will napotykał spojrzenia innych więźniów, ale wszyscy milczeli. Widok uzbrojonych żołnierzy zniechęcał do rozmów. Próbując zgadnąć, gdzie ich wiozą, Will usiadł prościej. Za bramą poczuł nadrzeczną wilgoć i usłyszał

poranny chór ptaków w koronach drzew rosnących wzdłuż brzegu. Powietrze pachniało mokrą trawą i dymem i nigdy chyba nie było równie upojne. Po pewnym czasie wozy zwolniły i wtoczyły się przez bramę do Paryża.

Koła zaturkotały na moście. Will poczuł się nieswojo, lecz znalazłszy się na île de la Cité, wóz nie pojechał

prosto w stronę zamku, tylko skręcił w jedną z ulic prowadzących do katedry.

Kazano im wysiąść na małym placyku przed świątynią. Jeden z więźniów się potknął, zeskakując z wozu, i Will złapał go za ramię. Strażnicy już biegli, wrzeszcząc, żeby się cofnął. Zrobił krok w tył i wpadł na innego więźnia. Odzyskując zachwianą równowagę, znalazł się nagle twarzą w twarz z Hugonem. Wychudzone policzki wizytatora miały barwę popiołu, włosy i broda były pozlepiane krwią, usta spękane.

Wybacz — szepnął ochryple. Jeden z żołnierzy pchnął go naprzód.

Wybacz...

Wprowadzono ich pod strażą w ciemną paszczę katedry. Poczuł zapach kadzidła, posłyszał głosy kanoników śpiewających poranną mszę. Ich jednak zagnano do kapitularza.

Na podwyższeniu siedzieli tam trzej mężczyźni w czarnych i szkarłatnych szatach. Piersi zdobiły im krzyże z litego złota wysadzane klejnotami. Na samym dnie duszy Willa drgęła iskierka nadziei. Sądząc po niezadowoleniu Nogareta, trzej kardynałowie nie przybyli tu na zaproszenie króla Francji.

Może papież nareszcie się wtrącił? Żołnierze ustawili ich w rzędach na środku sali. Potem się cofnęli, pozostawiając dwudziestu czterech wycieńczonych rycerzy surowemu oglądowi kardynałów.

Po chwili powstał ten, który siedział w środku — sędziwy już starzec

nobliwej twarzy. Trzymał w dłoni pergamin.

Zostaliśmy mianowani przez Ojca Świętego Klemensa, abyśmy w jego imieniu wysłuchali sprawy przeciwko zakonowi Ubogi Rc O

h B

R Yy N

ce rYz O U

y C N G

hrystusa i Świątyni Salomona. Jego świątobliwość był wstrząśnięty, podobnie jak

my wszyscy, słysząc, że każdy z was tu obecnych przyznał się do ohydnych zbrodni, o które was oskarżono. Z

wielkim smutkiem zatem poruczyl nam osądzenie waszych zeznań, abyśmy mogli pojąć, jakimże sposobem tak stary i szanowany zakon mógł się odwrócić od Boga.

Odchrząknął. — Jakubie de Molay, wystąp, byśmy ci odczytali zarzuty ciążące na tobie i twoich braciach.

Nastała chwila ciszy. Potem wielki mistrz powoli ruszył z miejsca. Utykał, krzywił się z bólu przy każdym kroku, ale głowę trzymał wysoko.

Wysłuchali w milczeniu stu dwudziestu siedmiu zarzutów. W każdym znać było rękę Nogareta. W istocie na twarzy kanclerza odmalowała się duma, gdy usłyszał je z ust starego kardynała. Rycerzy oskarżono o kałanie krzyża moczem, kałem i śliną, oddawanie czci boskiej kotu i trójgłowemu bożkowi, przywłaszczanie jałmużny przeznaczonej dla ubogich, odbywanie zebrań kapituły w sekrecie. Mimo wyczerpania, gniewu i niedowierzania Will docenił mistrzostwo tego sążnistego elaboratu. Zawierał on oskarżenia wytaczane przeciwko wszystkim wrogom Chrystusa — katarom, Żydom i Saracenom — i przemawiające gminowi do wyobraźni, napawające prostych ludzi lękiem. Niektóre były nawet prawdziwe: zebrania kapituły istotnie otaczała tajemnica, a regułę zakonu mogli czytać tylko ci bracia, którzy złożyli śluby i otrzymali specjalne przyzwolenie. Joannitów Krzyżaków by to nie zdziwiło. Skrawki prawdy przydawały wiarygodności reszcie. Osłodzone nimi kłamstwo łatwiej było przełknąć, a Nogaret dokonał cudów zręczności, przedstawiając codzienne praktyki zakonu, często powszechnie znane, tak, że nabrały złowieszczego charakteru.

Podczas długiego czytania wielki mistrz unosił dumnie głowę. Wizytator przeciwnie, wbił wzrok w posadzkę, ręce mu drżały. Jeden z rycerzy zemdlał z wyczerpania lub wzburzenia. Pozostawiono go

na podłodze.

Skończywszy, kardynał podniósł wzrok na Jakuba.

Przyznałeś się do wszystkich tych czynów przed inkwizytorem Wilhelmem z Paryża. Czy przyznajesz się do winy i teraz przed nami?

Jakub milczał przez chwilę. Potem uniósł ręce i złapał przy szyi wytartą tunikę, w którą był odziany. Z

widocznym wysiłkiem jął rozdzierać materiał, aż stanął przed legatami z odkrytą piersią. Podobnie jak plecy i ramiona, znaczyłRyO j B

ą Y

g N

łę Y O U

bokie N G

wyrwy, poczerniałe i otoczone wiankami pęcherzy. Oprawcy użyli kleszczy

rozgrzanych do czerwoności, przyżegając równocześnie zadawane rany, przez co unikali rozlewania krwi. Z

niektórych nadal sączył się płyn; musiały wciąż sprawiać potworny ból, choć nie były już świeże.

Przewodniczący legacji zbladł, uniósł rękę, jakby chciał zakryć oczy, ale ją opuścił i odwrócił wzrok. Jeden z pozostałych odchylił się do tyłu, zieleniejąc na twarz}', drugi wpatrywał się w Jakuba ze zgrozą.

Przyznałem się — rzekł chrapliwie Jakub. — Ale jedyne, czym zgrzeszyłem, to słabość. Jak nasz Zbawiciel, gdy go siła odeszła i błagał Ojca, by oddalił od niego ten kielich, tak i ja jej uległem. Powiedziałem oprawcom to, co chcieli usłyszeć, aby położyli kres torturom. Pozwólcie, że naprawię to, co powinienem był zrobić wówczas, i odwołam słowa wypowiedziane w męce.

Twarz Nogareta stężała.

Wasza dostojność... — zaczął.

Kardynał nie pozwolił mu skończyć. Zszedł z podwyższenia na środek sali.

Panie de Nogaret, jego świątobliwość musi mieć jasny i jednoznaczny dowód winy, zanim zgodzi się na żądanie króla, by zakon rozwiązano. To — wskazał ze zgrozą na Jakuba — się nie liczy.

Wasza dostojność, wszak za przyzwoleniem Stolicy Apostolskiej inkwizytorzy mają prawo uciekać

się do tortur podczas badania. Każdy z tych ludzi przyznał się do zarzucanych czynów!

A gdy rozkażemy im zdjąć szaty, cóż zobaczymy? Przykro mi, panie kanclerzu. Muszę powiadomić Ojca Świętego, że zeznań tych ludzi w ogóle nie można brać pod rozwagę, gdyż zostały z nich wydarte w straszliwych mękach.

Klasztor franciszkanów w Poitiers Dwudziesty' szósty dzień maja roku Pańskiego 1308

Z drogi!

Najjaśniejszy panie! — Franciszkanin zastąpił Filipowi drogę, nie dopuszczając go do drzwi. — Ojciec Święty nie jest jeszcze gotowy. Proszę cię, zaczekaj chwilę, a...

Precz! Bo trafisz do lochu za obrazę królewskiego majestatu!

Mnich zawahał się w rozterce, ale widząc zmierzających ku niemu

gwardzistów, niechętnie odstąpił od drzwi. Filip go odepchnął i otworzył je z rozmachem, a wszedłszy, gwałtownie zatrzasnął.

Huk przyprawił o wzdrygnięcie drobnego człowieka, który wkładał przez głowę szkarłatną szatę.

Król Filip — stwierdził, obciągnąwszy ją na sobie. — Po cóż ta niecierpliwość? Powiedziano mi, że czekasz w sali kapitulnej.

Znużyło mnie czekanie. — W błękitnych oczach Filipa błysnęła wściekłość. Dawniej przewyższał Klemensa o głowę, teraz ten przygarbiony schorowany człowiek, zgięty bólem, który ponoć trapił go bez ustanku, sięgał mu ledwie pod pachę. Filip bynajmniej nie czuł dlań współczucia. Przybył tu wbrew woli, pośpieszając tak, że omal nie zagonił na śmierć ludzi i koni. Jego cierpliwość, mocno nadwerężona mordęgą, jaką stało się minione siedem miesięcy, właśnie się wyczerpywała.

Atak na Templum rozpoczął się dobrze, nawet doskonale, zważywszy, że skradziono jeden z tajnych rozkazów.

Co prawda nie udało się położyć ręki na paryskim skarbcu, ale zdążył zająć setki mniejszych i większych placówek zakonu rozsianych po całej Francji. Nogaret był pewny, że Campbell i paru innych wie, dokąd wywieziono skarbiec. Inkwizytorzy stanęli na wysokości zadania. Jakub de Molay załamał się w ciągu kilku dni i przyznał do zarzucanych czynów, a kiedy to rozgłoszono, inni rycerze

szybko poszli w jego ślady. W miarę jak jeden po drugim poddawali się na torturach, coraz więcej gremiów żądało publicznego procesu. Klemens wysłał do niego pełen oburzenia list, oskarżając go o bezprawie, ale Filip miał już pełne poparcie poddanych, nie zniżył się więc do odpowiedzi. Wkrótce potem do Paryża przybyło trzech kardynałów, żądając osobistego przesłuchania uwięzionych.

Kiedy legaci złożyli papieżowi sprawozdanie, ten zawiesił w czynnościach francuskich inkwizytorów i pozbawiony głównego narzędzia Filip musiał wstrzymać bieg sprawy. Próbując obejść przeszkodę, wezwał z paryskiego uniwersytetu znawców prawa kanonicznego, aby ocenili

przebieg procesu, ale ich werdykt, ogłoszony w tym miesiącu, okazał się kolejną kłodą rzuconą mu pod nogi. Uczeni orzekli, że świecki monarcha może się podjąć ścigania herezji tylko na jasno wyrażone życzenie papieża. I dlatego Filip znalazł się tu dzisiaj, stał przed nieposłusznym wikariuszem Chrystusa, a krew wrzała mu w żyłach.

Mam tego dość — syknął. — To się musi skończyć, Dziś, zaraz!

Klemens pokręcił głową.

Nie rozumiem, o czym mówisz, synu.

Filip pohamował ogarniające go pragnienie, żeby złapać miecz i skrócić jeszcze o głowę tego niskiego człowieczka.

O templariuszach! Nie pozwolę, żebyś zniweczył moje zamiary względem nich!

Zamiary? — Klemens spiął szatę pod szyją. — Czyżby wynik procesu nie zależał od ich winy bądź

niewinności?

Nie baw się ze mną, Bertrand — warknął Filip. — Nie zapominaj, że to ja cię posadziłem na papieskim tronie.

Równie łatwo mogę cię z niego zdjąć!

Klemens przyjrz RałO B

m Y N

u si ęY O

z lUe N G

kkim rozbawieniem.

Jak? Namiestnik Chrystusowy wybierany jest dożywotnio.

Filip odwrócił wzrok, zbity z tropu przenikliwym spojrzeniem papieża i dręczony poczuciem, że powiedział coś, czego nie powinien był mówić. Czyżby tamten czytał mu w grzesznych myślach? A może duchy jego

poprzedników szeptały mu do ucha, wskazując palcem tego, kto był odpowiedzialny za ich zgon?

Zawarliśmy umowę — rzekł zimno. — Podpisałeś dokument, w którym zgodziłeś się na pięć moich żądań.

Jednym z nich było rozwiązanie zakonu templariuszy i przekazanie ich majątku mnie i moim

potomkom.

Ta umowa została zawarta pod przymusem. Ma więc taką samą wartość jak wydarte torturami zeznania rycerzy Templum. Obaj wiemy, ¿e ją podpisałem, aby ratować życie pewnego chłopca. Zatem powiedz mi, drogi synu, jakim sposobem zamierzasz mnie usunąć ze Stolicy Piotrowej? Każesz mnie zabić jak Bonifacego i Benedykta?

Filip poczuł lęk. Zmusił się, żeby spojrzeć papieżowi w twarz, szczupłą i zmizerniałą po chorobie.

Nie miałem z tym nic wspólnego. Jedyne co możesz mi zarzucić, to próbę uwięzienia heretyka i bluźniercy.

Lękam się o twoją duszę, synu.

Poszerzyłem i umocniłem królestwo, dawałem odpór wrogom, nagradzałem wiernych przyjaciół Francji. Jestem dobrym chrześcijańskim królem. Nie musisz się o mnie martwić.

Nie zrobiłeś nic dla swego ludu, a wszystko dla siebie. Owszem, powiodłeś swych poddanych na wojnę, ale przeciw braciom w Chrystusie, nie przeciw pogańskim zdobywcom Palestyny. Nadużyłeś swego świętego urzędu, dając wielką władzę ludziom złym. Działałeś na szkodę matki naszej Kościoła słowem i czynem, bezwzględnie nękając tych, którzy pełnią służbę Bożą, lub choćby pozbawiając ich mienia. Zepsułeś monetę, przez co twoi poddani żyją w nędzy i niepewności jutra. Na koniec zaś zdradziecko zaatakowałeś tych właśnie ludzi, z których winieneś był brać przykład, oni to bowiem walczyli o chrześcijaństwo za morzem. Dobry król?

— Głos papieża stwardniał. — Dobrym królem był twój dziad, święty Ludwik. Wziął Krzyż i poprowadził dwie wyprawy, by uwolnić Jeruzalem. Gdyby nie ambicje jego brata, z pewnością by mu się to udało, bo wielki był to człowiek, nieustraszony i rycerski, pobożny i pełen pokory. Szermujesz jego pamięcią jak mieczem, ale w twoim ręku ten oręż jest tępy. Nie jesteś do niego podobny, Filipie. Masz tylko w żyłach trochę jego krwi.

Filip czuł, jak przygniata go prawda zawarta w tych słowach. Cofnął się z grymasem nienawiści, lecz zawrócił.

Nie wyssałem z palca zarzutów przeciw Templum. Słyszałeś zeznanie Floyrana i jak ja dobrze wiesz, że ten człowiek nie kłamie. Możesz

mnie myśleć, co chcesz, ale nie powstrzymasz już tego, co rozpętałem. Lud domaga się procesu.

Klemens milczał przez chwilę, splótłszy ręce na plecach.

To prawda — przyznał. — Sprawa zaszła za daleko. Templariusze nie zdołają się oczyścić z podejrzeń, choćby ich uniewinniono. Widzę to

rozumiem. Ludzie chcą wiedzieć, czy doszło do herezji. Trzeba dać im pewność, że ich duchowi i świeccy opiekunowie stoją czujnie na straży, chroniąc królestwo przed rozprzestrzenieniem się tej zarazy. — Pokiwał

wolno głową, jakby podejmował jakąś decyzję. — Nie zamknę śledztwa.

Powołam legację, która dopilnuje, aby proces był uczciwy. Jeśli dowiedzie on ponad wszelką wątpliwość istnienia herezji w łonie Templum, rozwiążę zakon.

Filip patrzył na papieża, nie wierząc własnym uszom.

A... a jego majątek? — bąknął, usiłując zapanować nad głosem. Klemens spojrzał mu w oczy.

Dostaniesz go — rzekł sucho i widząc, że król otwiera usta, podniósł rękę. — Pod jednym warunkiem.

Mów.

Weźmiesz Krzyż i poprowadzisz wojska do Ziemi Świętej.

Królewska war R

owO

niBa Y N

w Y

L O

u U

wr N

zeG Os my dzień września roku Pańskiego 1308

Kiedy czterej mężczyźni weszli do celi, Will skulił się pod ścianą, osłaniając rękami twarz. Światło go raniło.

Krzyknął, kiedy złapali go za ramiona. Z wychudzenia był już tak lekki, że mimo woli poderwali go w powietrze.

Nie wiem, gdzie jest! — chrypiał, kiedy wlekli go na korytarz. — Nie wiem!

Zaszamotał się, ale żołnierze nawet nie zwolnili kroku. Tym razem wciągnęli go do słabo oświetlonej komnaty.

Na środku stał stół, za którym siedzieli dwaj mężczyźni w czarnych urzędniczych szatach. Jeden miał przed sobą pergamin, a w ręku pióro. Strażnicy puścili Willa i cofnęli się pod ścianę. Pozbawiony podpory omal nie upadł, ale udało mu się utrzymać na nogach, chociaż dość chwiejnie. Podniósł dygocącą rękę i poprawił brudny gałgan zasłaniający prawe oko.

Wilhelm Campbell? — spytał kwaśno jeden z siedzących mężczyzn.

Will obejrzał się na strażników, którzy stali za nim po obu stronach drzwi, a potem kiwnął głową.

Odpowiedz głośno — pouczył go urzędnik.

Will odkaszlnął i z trudem zwilżył śliną wyschnięte gardło.

Tak.

Rycerze Templum odwołują zeznania, twierdząc, iż są niewinni zarzucanych im czynów. Wedle komisji, ustanowionej przez Ojca Świętego Klemensa, mają prawo się bronić. Dwóch członków zakonu zostało wybra-nych wikariuszami; ci będą reprezentować braci przed sądem, a wielu deklarowało im swoją pomoc. Czy ty także chcesz stanąć przed trybunałem i publicznie zaświadczyć o swej niewinności?

Tak. — Myśli Willa, dotychczas przyduszone strachem, zaczęty się przejaśniać. — Chcę.

Jesteś pewien?

Tak.

Urzędnik naskrobal coś na pergaminie, po czym skinął na strażników.

Kiedy to będzie? — zawołał Will, gdy pociągnęli go do wyjścia.

Kiedy?!

Nie otrzymał odpowiedzi.

Znalazłszy się z powrotem w celi, opart się bezwładnie o wilgotną ścianę i usiadł, patrząc na drzwi.

Znaczyły je wydrapane ślady. Nieraz rzucał się na te deski, walił pięściami i darł je paznokciami, oszalały z głodu, pragnienia i bólu.

Minął prawie rok, odkąd zaczęły się aresztowania; prawie rok, odkąd zamknięto go w tej celi. W tym czasie znosił takie tortury, o jakich nie myślałby nawet, że są możliwe. Katowali go sumiennie i długo, doprowadzając na skraj obłędu. Były chwile, kiedy błagał Boga, żeby zakończył jego cierpienie, żeby popchnął

śledczych o ten jeden krok za daleko. Ale śledczy zawsze wiedzieli, ile zniesie jego ciało, zanim się podda.

Przeżył wszystko

głodzenie i izolację, groźby i lukrowane obietnice, przypalanie i naciąganie, nawet wyłupienie oka. Wciąż widywał we śnie zbliżający się nóż i budził się, dławiąc własnym krzykiem.

Był taki okres, gdy tortury na parę miesięcy ustały. Nasłuchując strzępków rozmów strażników, dowiedział

się wówczas, że papież zainterweniował. Nadzieje Willa ożyły, potem jednak zgasły. Zrozumiał, że Klemens nie walczył o nich, a o prawo decydującego głosu; ustanowił komisję kardynalską, żeby nadzorowała proces, a bynajmniej nie po to, żeby go przerwała. Tortury zaczęły się od nowa, chociaż w obecności któregoś z legatów byty mniej brutalne. Will sięgnął dna rozpaczy w dniu, kiedy Nogaret mu oznajmił, że papież rozesłał listy do wszystkich królów Zachodu, nakazując im więzić templariuszy i zajmować mienie zakonu.

Próbował sam siebie przekonać, że kanclerz kłamie; chce go tylko złamać, zmusić, by wreszcie ujawnił, dokąd zabrano paryski skarbiec. W głębi duszy wiedział jednak, że Klemens ich opuścił.

Aż do teraz.

Usiłował pobudzić ociężały umysł do rozumowania. Co mogła oznaczać proponowana im obrona? W

publicznym procesie królewscy pełnomocnicy nie zdołają ukryć faktu, że wymusili na uwięzionych

przyznanie się do winy za pomocą długotrwałych tortur. Ich los wstrząsnął legatami, wzbudził ich współczucie. Może tak samo podziała na innych?

Odgłos kroków przerwał mu rozmyślania. Stężał z bijącym sercem, gdy niesiona korytarzem pochodnia wyłuskała z ciemności zarys drzwi. Rygiel odskoczył. Przysłaniając ręką oko, Will zdołał dojrzeć twarze paru strażników, a potem ktoś wszedł do celi, trzymając przed sobą światło. Był to Nogaret.

Na chudej twarzy kanclerza malował się dziwny, jakby zachłanny wyraz.

Cieszę się, że chcesz się bronić, Campbell. Teraz mogę ci odebrać to ostatnie, co ci jeszcze zostało.

Na obliczu Willa odbiło się niezrozumienie, co widząc, Nogaret dał upust wściekłości:

Naprawdę wierzysz, że pozwoliłbym ci się wywinąć? Tobie i innym?

A zatem to było kłamstwo? — Will zatoczył się na ścianę. — Ci ludzie kłamali?

Przeciwnie, mówili prawdę. Ten głupiec Klemens usiłuje wam zapewnić uczciwy proces. Chce, by

dostrzeżono jego praworządność i myślano, że to on ma władzę, poczas gdy zawsze był tylko kukłą na sznurku. Zawsze!

Will odwróc Rił O

g Bł Y N

owę Y

i O

prUz N

y G

mknął ocalałe oko, żeby nie patrzeć na wykrzywioną złością twarz kanclerza.

Za co ty nas tak nienawidzisz? — szepnął.

Nogaret wydawał się zaskoczony pytaniem.

Ciebie, Campbell? Jesteś za mało ważny, żeby trwonić na ciebie jakiekolwiek uczucia.

A więc Klemensa? Bonifacego? Benedykta? Co cię pchnęło do mordu?

Nogaret szybko przymknął drzwi celi, zerkając na stojącego za nimi strażnika.

Nie powinieneś tyle mleć ozorem — syknął. — Jeszcześmy ci go nie wyrwali, ale nic straconego.

Przecież to nie tajemnica.

Jakoś nikt nie postawił mnie przed sądem.

W tym życiu może nie. Ale w przyszłym...

W przyszłym? — Nogaret zaśmiał się sucho. — Musiałbym najpierw wierzyć w życie przyszłe, żeby się bać.

Przykucnął przed Willem oddzielony od niego płonącą pochodnią.

Ty wciąż wierzysz, prawda? Nawet po tym wszystkim wciąż sobie wyobrażasz, że Bóg na ciebie patrzy, miłuje cię albo sądzi. — Głos opadł mu do szeptu. — Moi rodzice wierzyli w Boga, chociaż był to inny Bóg niż wasz, chrześcijański. Zanim się urodziłem, rzeź katarów dobiegła już końca.

Twierdza Montsegur padła prawie dwadzieścia lat wcześniej i wkrótce ustał jakikolwiek opór. Moim rodzicom udało się ujść przed stosem. Jak wielu innych, osiedlili się w jakimś małym miasteczku na południu Francji. Udawali dobrych chrześcijan, obchodzili święta kościelne, co niedziela chodzili na mszę.

A w nocy modlili się po swojemu. Po heretycku. Przez lata patrzyłem na ich podwójne życie. Umierali ze strachu, że ktoś ich w końcu przejrzy, a jednak nie chcieli odrzucić dawnych wierzeń. Ja z kolei udawałem dobrego syna i czyniłem to co oni, ale nie wierzyłem. Siedzieliśmy stłoczeni w piwnicy przy świeczce, ojciec pocił się i jąkał, i nigdy nie podniósł głosu wyżej niż do szeptu. Jakież to było żenujące!

Usta Nogareta skrzywiły się ze wzgardą. Po chwili podjął:

Udałem się do Montpellier. Studiowałem tam prawo rzymskie i kanoniczne, dzięki czemu arkana wiary stały się dla mnie całkiem przejrzyste. Zobaczyłem, jak Kościół manipuluje i rządzi, jak jego przywódcy bogacą się na łatwowierności swych owieczek. Oczy mi się otwarły. Zrozumiałem, że ja, człowiek świecki, mogę wykorzystać prawo dla własnych celów i że władza świecka może stać się potężniejsza od Kościoła. Popeł-

niłem błąd: chciałem to wytłumaczyć ojcu. Przekonać go, że te śmieszne rytuały nie są mu potrzebne.

Pokłóciliśmy się i wykluczył mnie z rodziny. Jawnie i głośno. A że mimo swej przeszłości był człowiekiem szanowanym, usunięto mnie z uniwersytetu w Montpellier, gdzie wówczas wykładałem.

Milczał przez chwilę, zapatrzony gdzieś w dal, może w przeszłość.

Wiedziałem, jak go zdyskredytować. Doniosłem dominikanom, że nadal w tajemnicy wyznaje katarską wiarę. Chciałem mu udowodnić, że to ja mam rację, że prawo jest potężniejsze od jakiegokolwiek Boga.

Byłem pewien, że się ukorzy, będzie błagać o litość i odpuszczenie grzechów. Chciałem go ujrzeć na kolanach, skruszonego, odartego z tej swojej bzdurnej religii. — Spojrzał na Willa. — Mimo tortur, jakim poddali ich inkwizytorzy, ani on, ani matka i siostra nie wyparli się wiary. Poszli na stos niemal dumnie.

Kiedy podłożono ogień, wszyscy troje zaczęli odmawiać te same modlitwy, do których mamrotania

zmuszali mnie w dzieciństwie, tak aby cały tłum je słyszał.

Zapragnąłeś więc zemsty na Kościele?

Nie — odparł ostro kanclerz. — Chciałem dowodu. Tylko człowiek może skazać drugiego człowieka.

Kościół dowiódł tego, kiedy zamordował mi rodzinę. Ja tego dowiodłem, zabijając Bonifacego i Benedykta.

I dowiodę ponownie, ścierając z powierzchni ziemi wojowników Chrystusa.

Wyprostował się gwałtownie i otworzył drzwi.

Bierzcie go.

Na głównym dziedzińcu twierdzy czekał wóz i ponad dwa tuziny konnych w barwach królewskich. Była noc, na ciemnoszafirowym niebie świeciły gwiazdy. W głębi wozu majaczyło pięć wybladłych twarzy.

Okazało się, że nie jadą do miasta. Wóz skręcił na północ drogą wijącą się przez pola. Więźniowie nie rozmawiali, nie patrzyli nawet na siebie. Will przypuszczał, że jak on czują, że to ich ostatnia podróż. Każdy przygotowywał się do niej w ciszy, w modlitwie lub zadumie. Will myślał o ojcu.

Zastanawiał się, co czuł

Jakub, idąc po rozgrzanym piasku na miejsce kaźni pod zamkiem w Safedzie. Wyobraził sobie, że szedł

śmiało, z

R O

podni B

e Y

si N Y

oną O

gł U N

ow G

ą, mamelucy nie musieli go wlec pod groźbą mieczy.

Po kilku milach wóz skręcił z gościńca w szczere pole i za chwilę stanął. Żołnierze kazali im wysiąść.

Templariusze niezdarnie wyskoczyli kolejno w wysoką trawę. W dali widać było jaśniejszy na tle nieba zarys murów Paryża. Nieco bliżej szumiał ciemny dębowy las, konary drzew skrzypiały na wietrze.

Kilkunastu żołnierzy utworzyło krąg wokół wozu, unosząc tarcze i dzierżąc broń w pogotowiu. Co dziwne, nie byli zwróceni do więźniów, lecz na zewnątrz. Zanim Will zdążył się zastanowić nad przyczyną, posłyszał trwożny szept. Jeden z templariuszy wpatrywał się w coś, co jemu zasłaniał wóz. Zrobił parę kroków i ujrzał nieopodal, na grzbiecie niskiego wzgórka, trzy krępe rosochate stosy celujące w niebo wbitymi pośrodku palami. Inny rycerz przeżegnał się i zaczął modlić.

Przywiążcie więźniów — rozkazał Nogaret. — Prędko. Po dwóch na stos.

Opanowanie templariuszy prysło. Zaczęli się szarpać, ale po roku więzienia i tortur nie byli przeciwnikami dla silnych żołnierzy, którzy bezlitośnie powlekli ich na wzgórek. Willa cios wymierzony przez gwardzistę powalił na kolana.

Po co tyle fatygi? — spytał, kiedy Nogaret podszedł do niego.

Dlaczego nie zarżnęliście nas w celach?

Głupcze! — syknął kanclerz. — Klemens nie dałby nam tknąć majątku Templum, gdybyśmy was

wymordowali z zimną krwią. Prawo jednak stanowi, że heretyk, który odwoła przyznanie do winy, ergo nie przejawia skruchy, uznany zostaje za zatwardziałego. Nie ma już dla niego nadziei na zbawienie. Można go więc przekazać władzy świeckiej, która wykona wyrok. I tak możemy się pozbyć tych rycerzy, którzy chcieli publicznie dowodzić swej niewinności. Wilhelm z Paryża rozumie, że musimy działać szybko i bez zbędnego rozgłosu. Wszystko odbywa się w granicach prawa. Klemens niczego nie mógłby nam zarzucić.

Oparte o ziemię dłonie Willa namacały coś twardego.

Kiedy reszta braci dowie się o waszym losie, nie będą się dłużej kwapić do obrony. Proces się zakończy i król zgarnie nagrodę. — Nogaret już miał odejść, ale zatrzymał się i dodał: — A tak przy okazji, Campbell, powinieneś wiedzieć, że całkiem niedawno jeden z rycerzy, niejaki Lauren- ty, załamał się podczas przesłuchania. Wyznał mi, że skarbiec Templum jest w Szkocji.

Długi cienki drążek zakończony stalowym grotem. Strzała. Zdziwienie, skąd wzięła się strzała na ornym polu, trwało tylko chwilę. Bóg uznał, że miała się tu znaleźć i Will miał na nią natrafić.

Zabrało go R O

dw B

ud YziNe Y

st O

u r Uy N

ce Grzy — mówił Nogaret — wraz z brzemienną niewiastą. To była Róża, prawda?

Znakomicie. Kiedy odnajdę skarbiec, znajdę i ją.

Will zacisnął palce na brzechwie. Nie miał złudzeń, że uda mu się ujść z życiem, ale musiał spróbować zabrać ze sobą Nogareta. Tak to się powinno skończyć.

Z wysiłkiem dźwignął się na nogi, lecz nim zdołał się wyprostować, wokół wybuchła kakofonia dźwięków.

Wśród końskich kwików i ludzkich wrzasków ktoś wydał rozkaz ataku, grupa konnych pogalopowała w stronę dąbrowy. Zobaczył ruchome czarne cienie; dwa wierzchowce zwaliły się, przygniatając jeźdźców.

Błysnęła stal.

Nogaret zniknął; schowany za wozem krzyczał:

Bierzcie ich żywcem!

Część gwardzistów biegła do koni. Jeden już miał nogę w strzemieniu, lecz gdy chwyciwszy łęk, podciągnął

się do góry, coś uderzyło go w plecy, upadł w tył, a spłoszony wierzchowiec powlókł go po ziemi. Inny żołnierz osunął się na kolana, upuszczając pochodnię, od której zajęła się kępa suchych traw.

Zabijcie więźniów, niech was diabli! — krzyczał Nogaret. — Więźniów!

Jeden z templariuszy upadł przebity mieczem. Dwóch innych zdołało się wyrwać, korzystając z

zamieszania. Will posłyszał za sobą chrzęst kolczugi i zobaczył miecz uniesiony do ciosu. Z mroku wyprysnęła strzała i wbiła się w gardło gwardzisty. Półprzytomny z wysiłku Will chwycił broń zabitego, lecz nim zdołał ruszyć za Nogaretem, z ciemności wychynęła biegnąca ku niemu postać.

Był to wysoki mężczyzna o długich jasnych jak piasek włosach i mocnych, surowych rysach twarzy.

Trzymał w ręku łuk. Will zagapił się na niego, ze zdumienia opuszczając miecz, którego sztych wbił się w ziemię. Ostatni raz widział siostrzeńca przed dziesięcioma laty.

Odwrót! — krzyczai któryś z żołnierzy. — Wycofujemy się! Nogaret ochryple zagrzewał ich do walki, lecz w powietrzu było gęsto

od strzał i mogli co najwyżej wycofać się z ich zasięgu, osłonięci tarczami. Następny żołnierz spadł z siodła przeszyty grotem; dwa kolejne pociski utkwiły w końskim zadzie. W parę chwil było po wszystkim: eskorta uciekła, pozostawiając na polu wóz i więźniów.

Wciąż patrząc z niedowierzaniem na swego wybawcę, Will nawet nie zauważył odwrotu prześladowców.

Kiedy młody człowiek objął go mocno, poczuł falę niewysłowionej ulgi.

Jesteś ranny? — Dawid przyjrzał mu się w słabym świetle pełgających po ziemi płomyków. Ściągnął brwi, widząc poplamiony gałgan zakrywający oko. — Co oni ci zrobili?

Nie dotykaj! — Will złapał go za rękę.

Od ciemnej ściany lasu oderwało się jeszcze kilka cieni. Rozbiegły się, dobijając rannych gwardzistów i pomagając trzem ocalałym rycerzom. Jeden zbliżył się do Willa i Dawida.

To on? — spytał.

Głos należał do Roberta. Po chwili — dłuższej, bo żaden nie był w zakonnym stroju — Will rozpoznał paru innych templariuszy, którzy odpłynęli statkiem. Na widok Willa Robert zatrzymał się jak wryty.

Chryste Panie! — syknął.

Will chwycił go za ramię.

Robercie, skąd...

Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia — przerwał mu rycerz.

Błagam. — Will zacieśnił uchwyt, wkładając w to niemal wszystkie siły.

Robert zawahał się i skapitulował. Obrócił się do swoich towarzyszy.

Baczcie, czy tamci nie mają zamiaru wrócić. Tym razem się nas spodziewali, mogą tylko udawać odwrót.

Więźniów rozwiążcie i na wóz.

Wziął Willa pod rękę i prowadząc go w stronę wozu, mówił pośpiesznie:

Ominęliśmy Aberdeen i rzuciliśmy kotwicę na wysokości Elginu. Zostawiłem większość ludzi na statku i pojechaliśmy z Szymonem odstawić Różę. Okazało się to szczęśliwym zrządzeniem losu — zerknął na Dawida

bo twój siostrzeniec znalazł dla nas bezpieczną przystań.

Will poczuł, jak rozpiera go duma.

Czekaliśmy tam dość długo, ale ciebie nie było — ciągnął Robert.

Latem przyszła wieść, że w Paryżu rozpoczął się proces templariuszy. Więc wróciliśmy, żeby pomóc braciom, gdy będą się bronić.

Filip do tego nie dopuści. Zrobi wszystko, żeby przeprowadzić swój plan do końca. Jeśli was złapią, zostaniecie uwięzieni i straceni.

Teraz już wiemy — odparł ponuro Robert. — Toteż nie zamierzamy długo tu zabawić. Dzisiejszy atak jest ostatni.

Nogaret już to robił?

Z tego co wiem, kilkakrotnie. Wywożono więźniów i palono ich bez rozgłosu. Ukrywaliśmy się w mieście, zbierając informacje, kto jest uwięziony i gdzie, i...

I mieliśmy R

na O

dzBi Y

ej N

ę Y

, ż O

e U

ci N

ę G

odnajdziemy — wpadł mu w słowo Dawid. — Ale nikt o tobie nie słyszał i już

pogodziliśmy się z myślą, że nie ma cię pośród żywych, kiedy nagle zobaczyłem cię obok wozu.

Ostatnim razem udało nam się uratować sześciu braci — dodał Robert. — Ale dwóch naszych poległo.

Will pokiwał głową. Teraz rozumiał, dlaczego gwardziści byli tacy spięci, strzała też nie znalazła się tu na skutek cudu. Jeszcze raz przeanalizował w myśli to, co się wydarzyło.

Tym razem Nogaret chciał was schwytać — rzekł. — Dokłada niesłychanych wysiłków, tropiąc wszystkich templariuszy, którym udało się wyśliznąć z matni. Zależy mu na tym, żeby nie został nikt, kto mógłby stanąć w obronie zakonu. Chce... — Will urwał, przypomniawszy sobie ostatnie słowa kanclerza, i zaczął

gorączkowo odwracać zabitych, przyglądając im się pilnie. Domyśliwszy się, do czego zmierza, Robert ruszył mu z pomocą.

Po chwili Will się poderwał. Zakręciło mu się w głowie, byłby upadł, gdyby przyjaciel w porę go nie podtrzymał.

Nie ma go tu. Musimy go znaleźć!

Musimy cię stąd wywieźć, — Robert gestem wezwał jednego ze swoich ludzi. — Pomóż mi go podsadzić.

On wie, że skarbiec jest w Szkocji!

Nie znajdzie go. To ci mogę obiecać.

Mógł zapamiętać, że mam siostry w Elginie. Znajdzie Różę i zabije je wszystkie!

Już tam nie mieszkają. Błagam cię, Will, to trwa zbyt długo. Musimy jechać. W dole rzeki czeka na nas barka.

Papież musi nam pomóc...

Wątpię, czy to zrobi. Wydał bullę, w której przedstawił plan nowej wyprawy krzyżowej. Ponoć ma ją poprowadzić Filip. Moim zdaniem zawarli umowę: Templum za krucjatę.

Will w milczeniu dał się wsadzić na wóz.

Nogaret przyznał mi się, że zabił Benedykta—rzekł jeszcze. — Jeśli Klemens się o tym dowie, może zerwie sojusz z Filipem. — Złapał Roberta za rękę. — Warto chociaż spróbować!

Po chwili wahania Robert kiwnął głową.

Dobrze. Zanim wyruszymy, prześlę mu list przez zaufanego posłańca. To wszystko, co możemy zrobić.

Reszta jest w jego rękach.

Wóz ruszył, zostawiając za sobą niezapalone stosy.

Klasztor franciszkanów w Poitiers Dwudziesty czwarty dzień listopada

Papież Klemens stał przy oknie, spoglądając na oblane światłem księżyca budynki klasztorne. W komnacie było ciemno. Słudzy chcieli rozniecić ogień i zapalić świece, ale ich odprawił. To co miał do załatwienia, powinno się odbywać w mroku. W ręku trzymał zmięty kawałek pergaminu. Rozwinął go i spojrzał. Nie widział liter, wzrok miał już bardzo słaby, zresztą było za ciemno na czytanie. Wiedział jednak, co zawiera.

Znał na pamięć każde słowo.

W ciszy rozległo się pukanie do drzwi.

Papież odłożył pergamin na siedzisko przy oknie i odwrócił się, czując, jak żrący kwas przelewa mu się w żołądku.

Wejść.

W progu stanęło dwóch ludzi. Jeden miał na sobie szary franciszkański habit. Skłonił się i rzekł: Przybył twój gość, wasza świątobliwość.

Klemens kiwnął głową.

Dziękuję, Renaudzie. Możesz nas zostawić.

Mnich wycofał się z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Drugi mężczyzna pozostał w cieniu. Był wysoki i szeroki w ramionach, tyle Klemens widział mimo mroku.

Odchrząknął.

Dotarłeś tu bez przeszkód?

Czcigodny Ojcze Święty, już noc, a ja mam za sobą długą drogę. Darujmy sobie uprzejmości i przejdźmy do rzeczy. Po co mnie wezwałeś?

zapytał przybyły. Mówił po francusku z silnym włoskim akcentem.

Klemens skinął głową, ale jeszcze przez chwilę zastanawiał się, od czego zacząć.

Twój ród nie zaznał od papieży wielu dobrodziejstw — rzekł. — Za sprawą mego poprzednika ponieśliście ciężkie straty w ludziach i majątku.

Wasza świątobliwość nie musi mi tego przypominać. Doskonale wiem, jakie krzywdy nas spotkały.

Papież Benedykt nie zgodził się zdjąć z was ekskomuniki nałożonej przez Bonifacego. Żyjecie na wygnaniu, nie mogąc ani wrócić do dawnego życia, ani odbudować swej potęgi tu, we Francji. Uchylę klątwę.

Czego chcesz w zamian? — spytał podejrzliwie mężczyzna.

Będzie to nagroda za oddaną mi przysługę. — Klemens przycisnął dłonie do żołądka, który palił go żywym ogniem.

Wymień ją.

Papież spojr R

z O

ał B Y

na N

w Y

y O

miUętN G

y pergamin kołyszący się lekko w zimnym wietrze wpadającym przez okno.

Chcę, żebyś pozbawił życia kanclerza króla Francji, Wilhelma de Nogaret, za skrytobójczy mord na Bonifacym i Benedykcie.

Mężczyzna milczał. Klemens słyszał tylko jego oddech.

I cóż? — spytał. — Zechcesz to dla mnie zrobić?

Spod odrzuconego kaptura błysnęły czarne oczy. Sciarra Colonna przyklęknął przed papieżem, kłoniąc potakująco głowę.

Argyll

Dwudziesty dzień grudnia roku Pańskiego 1308

Konie brnęły mozolnie, zwiesiwszy głowy, kopyta kruszyły cienką skorupę lodu na kałużach. Deszcz, który zacinał im w plecy od rana, na szczęście już ustawał i teraz słychać było dobiegający z przodu łoskot fal. Ciemne baszty gór, towarzyszące im przez pięć ostatnich dni, rozmywały się w chmurach na północnym widnokręgu.

Najwyższy, Ben Cruachan, przycupnął niczym granitowy olbrzym na brzegu jeziora Awe. Niedawno minęło południe, a już dzień zaczynał się zmierzchać, rozpinając między drzewami pajęczynę cieni. Jezioro zmieniło barwę z jadowitej zieleni na szklistą czerń. Wciąż widzieli je za sobą, bo trakt biegnący na wybrzeże wspinał się pod górę.

Zgarbiony w siodle Will trząsł się z zimna w podbitej futrem, ale mokrej opończy. Zdążył już zapomnieć, jak krótkie są zimowe dni na północy. Na kąsanym przez morze zachodnim wybrzeżu wydawały się jeszcze krótsze.

To nie była ta sama Szkocja, którą znał, lecz dzikie królestwo gór i rwących rzek, z którego wywodzili się Campbellowie. Jego dziad, Angus, wyruszył z tej krainy na żyzny i łagodny wschód, dając początek bocznej gałęzi rodu. Tymczasem w ciągu czterech pokoleń główny pień Campbellów nie próżnował. Dziś był

rozrośnięty i potężny, niektórzy krewniacy cieszyli się wielką przyjaźnią króla Roberta, dzierżąc najpotężniejsze zamki w Argyl- lu. Kilka leżało na ich szlaku, który zataczał łuk skręcający na południe. Dawid opowiadał mu dzieje każdej warowni i wyliczał imiona ich właścicieli. Will poczuł wówczas dziwną nostalgię. Był to kraj, w którym liczyły się więzy krwi. Nieprzyjazna natura sprzyjała zbliżeniu ludzi, tylko działając wspólnie mogli sobie zapewnić schronienie i bezpieczeństwo. Ale jego ceną była izolacja. Niełatwo tu było dotrzeć, zwłaszcza zimą, toteż po roku głodzenia i tortur Will dotkliwie odczuł tę najcięższą podróż w swoim życiu.

Odpłynęli z Francji we wrześniu. Załoga Roberta przewiozła Willa i trzynastu templariuszy ocalonych z rąk Nogareta do Londynu, gdzie czekali już na nich dwaj rycerze zakonni z końmi i zapasami. Edward II przez dłuższy czas nie reagował na list papieski wzywający do działań przeciwko templariuszom rezydującym na jego ziemiach, ale w końcu pod rosnącym naciskiem Klemensa i Filipa dał wolną rękę inkwizytorom. Kiedy statek przybił do brzegu Tamizy, proces przeciwko angielskim templariuszom był już w toku. W drodze na północ cały czas bacznie oglądali się za siebie. Podróż nie była łatwa; w górach leżał już śnieg, a po lasach zaczynały grasować wilki. Podczas najmroźniejszej nocy zamarzł jeden z ich towarzyszy. Ale pomimo trudów Will był w głębi ducha rad, że jego ojczyzna okazała się tak niegościnna. Wraz z każdą bagnistą doliną, przez którą mozolnie się przeprawiali, z każdą górską stromizną, na którą musieli się wspinać, każdą wąską i długą morską odnogą, która przegradzała im drogę, wzrastało jego poczucie bezpieczeństwa. Nogaret mógł ich tu szukać do parszywej śmierci.

Już niedaleko — odezwał się Dawid.

Will zerknął na siostrzeńca, który się z nim zrównał. Twarz miał zaczerwienioną z zimna i uśmiechał się lekko.

Denerwujesz się, wuju?

Jestem po prostu zmęczony — odburknął wytrącony z równowagi spostrzegawczością Dawida. Istotnie, denerwował się. Na końcu tego nieznanego szlaku, u którego stóp coraz głośniej huczało morze, czekało tyle nadziei, z których każda mogła się spełnić lub nie.

Obejrzał się przez ramię na długi rząd wyczerpanych podróżą ludzi.

Ufam, że twoja matka ma wystarczająco wielki kocioł, żeby nakarmić tyle wygłodniałych gąb? Czy my się tam w ogóle pomieścimy?

Na razie tak, a w przyszłości też nie będzie kłopotu ze znalezieniem miejsca dla każdego. Mnie samemu przyda się paru ludzi w Elginie, a król z radością przyjmie do służby wiernych rycerzy. Już wziął do drużyny siedmiu templariuszy, którzy przybyli z Robertem w zeszłym roku.

Will dotrzegł na twarzy Dawida znajomy wyraz — oddanie i dumę, które pojawiały się na niej, ilekroć mówił o nowym władcy Szkocji. W drodze na północ wysłuchał z ust siostrzeńca licznych opowieści o królu Robercie i jego drużynie, począwszy od historii zmagań z z Anglikami, a skończywszy na ambitnej kampanii, by zjednoczyć całą Szkocję pod swoim berłem. Kilku rywali podważało jego prawo do tronu. Po odejściu Anglików kraj był okaleczony kilkunastoletnią wyniszczającą wojną. Niepewność przyszłości i trucizna waśni rodowych doprowadziły w końcu do bratobójczych starć. Robert Bruce miał przed sobą ciężkie zadanie, ale sądząc z szacunku, jakim się cieszył, można było przyjąć, że wygrywa.

Każdy dwór w okolicy będzie dla nich otwarty — mówił Dawid.

Ojczym pozostaje w zażyłych stosunkach z wieloma rodami.

Will bez słowa kiwnął głową. Wciąż próbował się przyzwyczaić do zmian, jakie zaszły w jego otoczeniu.

Choćby do tego, R

ż O

e B

siYe N Y

dmi O U

u l N G

udzi w tej dzielnej kompanii, która ryzykowała dla niego życie, było jego

krewnymi.

Z początku niewiele do niego docierało. Był śmiertelnie wyczerpany, otępiały tak, że nie czuł nawet ulgi.

Odzyskawszy nieco sił, zaciekawił się, kto go ocalił. Towarzyszących Robertowi sześciu byłych templariuszy poznał przed laty. Dwaj bystrzy młodzi ludzie, z których jeden także nosił nazwisko Campbell, byli giermkami Dawida. Dawid osiadł na niewielkim majątku pod Elginem wniesionym mu przez żonę. Kraśniejąc z radości, opowiadał teraz Willowi o swoich dwojgu dzieciach. Na czas nieobecności ulokował je wraz z matką w grodzie, pod opieką męża Małgorzaty, która także miała już gromadkę dziatwy. Will słuchał tego wszystkiego z cichym oszołomieniem. Zaskoczyła go wieść o powtórnym zamążpójściu Isendy. Wyszła za potomka innej gałęzi rodu

— Jana Campbella, wdowca i zacnego rycerza, który dzierżył rozległe ziemie w Argyll. Poznali się, kiedy Robert Bruce wojował na północy, i wkrótce odbyło się weselisko. W ratowniczej grupie Roberta było dwóch najmłodszych synów Jana, żylastych rudowłosych dryblasów. Ale chyba najbardziej zdumiało Willa poznanie kolejnego siostrzeńca, o piętnaście lat odeń młodszego — syna Edy. Przyjechał do Francji wraz z trzema synami. Wszyscy mieli mocną budowę i kruczoczarne włosy, a ich rysy przywodziły Willowi na pamięć twarz ojca.

Trudno mu było uładzić uczucia, jakie budziło w nim przybycie na pradawne ziemie rodu w otoczeniu ludzi, z którymi łączyły go więzy krwi. Przez ostatnie dwanaście lat żył w przekonaniu, że jego życie i wszystko, co je dotąd wypełniało, skończyło się bezpowrotnie. Znalazłszy się tutaj, wiedząc, że pod pewnymi względami wszystko się dopiero zaczyna, czuł się tak, jakby otrzymał niezasłużony dar od Boga — ale dar kruchy, który piastował z trwogą, że go zaprzepaści. Dawid oznajmił mu, że wszyscy powitają go z radością, lecz Will po prostu bał się spytać siostrzeńca, skąd czerpie tę pewność. Kiedy powoli wyjechali z lasu i otwarła się przed nimi sięgająca horyzontu ciemna polać morza, poczuł, że znów ogarnia go zwątpienie.

Synowie Jana poprowadzili ich zbiegającą z urwiska ścieżką, z wprawą prowadząc konie. Wiatr był tu mroźny i porywisty, zrzucał z głów kaptury i wyciskał łzy z oczu. Poniżej morze rozbijało się o klif, wypluwając w powietrze bryzgi piany. Widać było rząd sterczących z morza wysepek, nad którymi toczyły się ciężkie, ołowiane chmury. Bliżej, niemal tuż pod ich stopami, w osłoniętej kotlinie nad spokojną zatoczką rozsiadła się wioska — kilkanaście domów skupionych przy kościele na stromym trawiastym zboczu. Wiatr niósł zapach dymu i głosy bydła.

Minąwszy wioskę, synowie Jana popędzili konie znów pod górę. W połowie porośniętego krzewami stoku stał

pokaźny kamienny dwór

dachu poszytym brązową trzciną, otoczony murem, który okalał także kilka przybudówek, oborę, stajnie i podwórzec. Przypominał trochę Willowi dawny dom rodzinny. Zza uchylonej okiennicy sączył się ciepły blask ognia. Potem drzwi się nagle otworzyły i wypadła z nich gromadka dzieci,

wrzeszcząc z uciechą. Synowie Jana cwałem ruszyli im na spotkanie. Tymczasem w ślad za dziećmi wylegli z domu starsi, w powietrzu zaroiło się od radosnych głosów. Will zeskoczył z siodła i zobaczył biegnącą ku niemu Isendę. Jasne włosy siostry były już mocno przetykane srebrem, lecz pędziła jak łania, a z rumieńcem emocji na policzkach mogła się wydawać młodą dziewczyną. W ślad za nią wybiegła z domu Krystianna, jej oczy szukały go i znalazły. Potem Szymon; jego pyzata gęba zwiotczała z ulgi

rozpłynęła się w szerokim uśmiechu. Za Szymonem wyszła białowłosa staruszka, tak uderzająco podobna do matki Willa, że serce omal nie stanęło mu w piersi. Była zgięta wpół i najwyraźniej ślepa, prowadziła ją ładna młoda niewiasta. Will z drgnieniem rozpoznał w niej Alicję, młodszą córkę Isendy. Było też wielu innych, których nie znał, biegli naprzeciw przybyłym, chwytali ich w objęcia. Jego wzrok błądził po obcych twarzach.

I nagle ją zobaczył.

Goniła pulchnego, ledwie toczącego się na nóżkach berbecia, który się zaplątał między starsze dzieci.

Doścignąwszy, porwała go w ramiona i wycisnęła całusa na różowym policzku. Will zapatrzył się na nią z zachwytem. Przytyła, wreszcie wyglądała na zdrową i szczęśliwą. Po chwili znów stracił ją z oczu, bo w ramiona wpadła mu Isenda. Wyściskała go, potem Dawida, a później śmiejąc się i płacząc, całowała ich obu na przemian. I dopiero wtedy Will przestał się bać.

Ile de la Cite Dwudziesty pierwszy dzień grudnia

Wilhelm de Nogaret uniósł rękę, żeby stłumić ziewnięcie, drugą zaś szarpnął wodze, kierując konia na Wielki Most. Było późno i mimo pod

bitego futrem płaszcza ziąb przenikał go aż do kości. Brzegi rzeki srebrzył pierwszy szron, skrzący się w świetle bladego półksiężyca. Jadący za nim dwaj gwardziści pozdrowili strażników przy moście, którzy skłonili się nisko, widząc kanclerza.

Nogaret miał za sobą kolejny pracowity dzień. Przesłuchiwał templariuszy najpierw w preceptorium, a później w Luwrze. Wszystko co udało mu się osiągnąć, to dwa zgony. Bywały wszakże dni, gdy wracał z niczym.

Tymczasem król był coraz bardziej rozwścieczony przedłużającym się procesem, który jeszcze zwolnił tempo, odkąd kardynałowie zakazali palenia więźniów.

R E Q U I E M

Po napaści, podczas której wymknął mu się Capbell, Nogaret przeprowadził jeszcze dwie egzekucje, tym razem w bezpiecznych murach Luwru. Jednakże wieść, że rycerze, którzy chcą się bronić, są natychmiast paleni, jakąś drogą dotarła do papieża, ten zaś zagroził, że odwoła inkwizytorów, jeśli choć jeden stos zapłonie bez jego przyzwolenia. Filip i Nogaret prostestowali zaciekle, powołując się na przepisy prawa mówiące o zatwardziałych heretykach, ale papież pozostał nieporuszony i musieli brnąć dalej przez powolne tortury.

Irytujące było to, że zwykle poddawali się serwienci i słudzy. Większość z nich nigdy nie stała na polu bitwy i nawet nie uczyła się władać mieczem. Nie przywykli do znoszenia bólu i ran jak rycerze. Niektórzy byli bardzo młodzi, inni przeciwnie, starzy i słabi. Wprowadzeni do izby tortur wpadali w popłoch. Fakt, iż wielu już z niej nie wychodziło. Reszta prędzej czy później oskarżała pasowanych rycerzy o przestępstwa z listy Nogareta. Jako winni współudziału, mogli się ukorzyć i spędzić resztę życia w zamknięciu. Wszyscy błagali o spowiedź, ale zakatowani na śmierć templariusze grzebani byli bez ostatniej posługi w niepoświęconej ziemi. Było to ostrzeżeniem dla reszty, by nie opierała się inkwizytorom. W ten sposób liczba piętnastu tysięcy więźniów kurczyła się z miesiąca na miesiąc. Na nieszczęście dla króla dostojnicy zakonu, komandorzy i zaprawieni w walkach rycerze, gdy tylko wrócili do przytomności, odwoływali zeznania złożone na mękach.

Nogaret próbował wszystkiego, co jego prawniczy umysł zdołał wymyślić, aby przyśpieszyć chwilę, w której papież rozwiąże zakon i przekaże królowi jego mienie. Zawarli umowę; problem polegał na tym, że Filip nie kwapił się do wzięcia Krzyża, zanim nie zapadnie wyrok, papież zaś uparcie obstawał przy tym, że proces ma być uczciwy. Ponadto Klemens często zapadał na zdrowiu, co prowadziło do licznych i uciążliwych przestojów.

Walka ta nabrała już dla kanclerza osobistego wymiaru. Na szali leżała jego duma. Po pierwsze, plan zamachu na Templum narodził się w jego głowie. Po wtóre, poświęcił zniszczeniu zakonu bardzo wiele czasu i wysiłku.

Co więcej, ucieczka Campbella boleśnie go ubodła. Przede wszystkim zaś Filip nie mógł mu darować wypuszczenia z rąk skarbca. Nogaret przysiągł mu solennie, że kiedy papież rozwiąże zakon, osobiście poprowadzi wyprawę do Szkocji, odnajdzie skarb i pozbawi życia rycerzy pozostających na wolności, a także Różę i jej bękarta. Król, którego wyraźnie zawstydzało wspomnienie niesławnego związku, zobowiązał go do dotrzymania obietnicy.

Dźwięk własnego imienia wyrwał kanclerza z rozmyślań. W pierwszej chwili sądził, że woła go któryś z gwardzistów, ale kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył, że obaj ściągnęli wodze i wpatrują się w jedną z ciemnych uliczek wiodących do katedry. Zawrócił.

Kto mnie wołał?

Ktoś stamtąd, wasza dostojność — odparł jeden z żołnierzy, wskazując mroczny wylot ulicy.

Spod okapu domu oderwała się postać i ruszyła w ich stronę.

Kto tam? — zawołał gwardzista dobywając miecza. — Mów, z czym przychodzisz!

Mężczyzna podszedł bliżej i Nogaret świsnął przez zęby ze zdumienia. Skinął na żołnierza, żeby opuścił broń.

Cołonna? A to niespodzianka. Co cię sprowadza?

Mam dla ciebie wiadomość.

Legista zerknął na wznoszące się nieopodal wieże zamku, potem znów na Włocha.

Pomówimy jutro. Muszę zdać królowi sprawozdanie.

Chodzi o papieża Klemensa. Uwierz mi, kanclerzu, powinieneś mnie wysłuchać.

Nogaret się zawahał, ale ciekawość przeważyła.

Dobrze. — Zsunął się z siodła.

Na osobności — zastrzegł się Sciarra, widząc, że jeden z gwardzistów także zsiada. — To rozmowa w cztery oczy.

Kanclerz obróci! się do swej eskorty.

Zaczekajcie tutaj

Sciarra cofnął się w uliczkę. Ruszył za nim, omijając kupy gnijących śmieci. Wzdrygnął się i zaklął, gdy spod nóg pierzchło mu kilka szczurów.

Pośpiesz się — rzekł z rozdrażnieniem.

Colonna nie odpowiedział, lecz szedł dalej, mijając ciemne wejścia do budynków. Ulica skręciła w prawo. Nad dachami widać było bielejące

w ciemności bliźniacze wieże Notre Dame W końcu się zatrzymali. Rzuciwszy okiem przez ramię, Nogaret zauważył, że żołnierze znikli im z oczu.

Mówże — ponaglił Włocha.

Sciarra oddychał szybko, twarz przesłaniał mu obłoczek pary. Nogaret poczuł ukłucie niepokoju. Jego dłoń powędrowała do miecza. Już zaczął tracić cierpliwość, gdy Colonna wreszcie się odezwał.

W Anagni zostawiłeś nas na pożarcie wilkom — rzekł cicho, głosem drżącym z powściąganej emocji. —

Podczas ataku straciłem wielu ludzi. Obiecałeś, że król Filip hojnie nas wynagrodzi za to poświęcenie. Ale Filip nas zapomniał, ty także. Nie doczekaliśmy się ani ułaskawienia, ani bogactw, ani nawet zwykłego „dziękuję".

Wiele razy pisałem do króla, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. Potem się dowiedziałem, że papież Klemens R O B Y N Y O U N G

uchyli! ekskomunikę nałożoną na ciebie za Bonifacego. Dla mnie tego nie zrobił. A przecież wystarczyłoby jedno królewskie słowo.

Niepokój kanclerza przemienił się w gniew.

Ściągnąłeś mnie tu, żeby mnie besztać? Niech cię diabli, Colonna, nie mam czasu na bzdury! — Ruszył z powrotem, rzucając na ochodnym:

Dostałeś to, czegoś chciał.

Nie! —warknął Sciarra. — Zemsta na Bonifacym to nie wszystko. Chciałem przywrócenia potęgi mego rodu, zwrotu zagrabionych zamków, przywrócenia Colonnów do Collegium Sacrum. Imię Colonna miało znów

znaczyć tyle co dawniej! — Z wysiłkiem ściszył przesycony goryczą głos.

Zdradziłeś nas, Nogaret. Ty i twój król.

Wzrok Sciarry uciekł w lewo, za plecy Nogareta. Ulicą śmignął szczur, dał się słyszeć szmer kroków na zmrożonej ziemi. Kanclerz obrócił się, chwytając miecz. Dwaj ludzie szli w jego kierunku. Jeden trzymał coś jakby linę. Wiedząc, że wszystkich trzech nie pokona, rzucił się na Colonnę. Ostrza zderzyły się głośno. Nogaret wrzasnął na gwardzistów, ale odpowiedziało mu milczenie i zgadł, że

nie mogą mu już pomóc. Rzutem całego ciała wywinął się spod miecza Sciarry i mocno kopnął go w brzuch. Włoch wyrżnął plecami w stertę spróchniałego drewna. W pobliżu rozszczekał się pies. U góry otworzyło się okno i ktoś wrzasnął, żeby byli cicho. Nogaret zaczął uciekać. W połowie ulicy pośliznął się na zamarzniętej kałuży

przewrócił, raniąc dłonie o zlodowaciałą grudę. Miecz wymknął mu się z ręki i przepadł w ciemności. Nie było czasu szukać; zerwał się na nogi i pobiegł dalej. Widział rosnącą w oczach bryłę kościoła Maryi Panny.

Ktoś wpadł na niego całym ciałem. Nogaret rozciągnął się jak długi, tracąc dech. Przygniatający go napastnik uniósł się, wykręcił mu ręce

i podciągnął go do pozycji klęczącej. Kanclerz z przerażeniem poczuł linę opasującą mu szyję.

Dam ci wszystko! — wydyszał. — Pomówię z królem, z papieżem, zdobędę ci to ułaskawienie! Przysięgam!

Sciarra przykucnął przed nim, jego spocona twarz lśniła blado w świetle księżyca.

To wszystko i więcej obiecał mi już papież. Potrzeba mu tylko w zamian twojego trupa.

Dał znak ludziom, którzy trzymali Nogareta.

Nie! — krzyknął kanclerz, czując, że pętla się zaciska. Ogarnęła go wściekłość. Przecież Klemens był jego kukłą! Jego narzędziem! Kiedy zaczął się dusić, furia ustąpiła miejsca panice. Język przestał mu się mieścić w ustach. Ciałem t R

ar O

g B

nęYł N

y Y O U

konw N

ul Gsje. Trzymający go mężczyźni zaparli się ze wszystkich sił. Utrzymali go.

Zobaczył jeszcze, że Sciarra wstaje, a potem zaczęło mu ciemnieć w oczach. Ostatnim, co ujrzał, były dumne białe wieże Notre Dame, sięgający niebios pomnik niezachwianej wiary.

44

Zamek królewski w Paryżu Osiemnasty dzień marca roku Pańskiego 1314

Filip patrzył w zwierciadło, podczas gdy wokół niego krzątali się słudzy. Jego odbicie lśniło.

Pierścienie odbijały światło wpadające przez wysokie okna komnaty. Między ukośnymi

belkami wirowały drobiny kurzu, połyskując wśród widmowych smużek kadzidła. Uniósł rękę i

poprawił koronę. Wyglądał jak rzeźba w katedrze: król idealny w całym majestacie. Długa do

ziemi szata z biało-złotego samitu była esencją czystości, korona zdobiąca siwiejące włosy

znamionowała godność.

Uśmiechnął się zimno, triumfalnie, kiedy słudzy z czcią rozwinęli spłowiały szkarłatny płaszcz podbity gronostajem. Ta ceremonialna szata należała do jego dziada, a teraz on, Filip, okryje się płaszczem świętego. Słudzy udrapowali mu ją na ramionach, wygładzając zmarszczki, i spięli złotą broszą na ramieniu. Teraz obraz był kompletny. Gotowy. Po siedmiu latach oczekiwania nareszcie był gotowy.

Proces templariuszy byl najtrudniejszą przeprawą w całych jego rządach, właściwie w całym życiu. Musiał pokonać więcej przeszkód i znieść więcej opóźnień, niż zdołałby sobie wyobrazić, kiedy Nogaret po raz pierwszy wpadł na ten zamysł w podziemiach Luwru. Tajna umowa zawarta z papieżem nie uchroniła go przed nużącą przepychanką. W miarę jak Klemensowi przybywało lat, a ubywało zdrowia, stawał się coraz bardziej uparty. Miesiące inkwizytorskich przesłuchań rozciągnęły się w lata debat i zaciekłych sporów. Wciąż niewyjaśniony i nieukarany mord na Nogarecie był dla króla ciężkim ciosem. Chociaż jednak stracił głównego architekta procesu, sporządzona przez niego lista zarzutów, owiana już posępną sławą, żyła własnym życiem, podobnie jak wstrząsające świadectwo Esquina de Floyran. Rycerzy Templum ścigano w całym niemal zachodnim świecie. Początkowe zdumienie i niedowierzanie prędko ustąpiły miejsca żądaniom sprawiedliwej kary. Doradcy Filipa ciężko pracowali nad tym, żeby nikt nie ośmielił się bronić zakonu. Na majątku templariuszy położył rękę papież, zamierzając go przekazać Szpitalowi Świętego Jana. Mało kto natomiast wiedział o tym, że król Francji miał zostać obwołany nowym wielkim mistrzem joannitów.

Wreszcie przed trzema laty Klemens zwołał sobór powszechny w Vienne. On sam chciał skorzystać z tej okazji, by poruszyć sprawę nowej wyprawy krzyżowej, ale jedynym punktem długich obrad, który miał znaczenie dla Filipa, była wydana przez papieża bulla „Vox in excelso". Nie zawierała co prawda jednoznacznego uprawomocnienia jego działań, ale wynik był w

gruncie rzeczy ten sam. Klemens uznał templariuszy za niewinnych stu dwudziestu siedmiu zarzucanych im przestępstw, przytaczając werdykt legatów, że oskarżeń nie da się udowodnić. Wszelako dalej pisał, że w wyniku procesu dobre imię zakonu zostało nieodwołalnie skalane, nie może więc już służyć chrześcijaństwu. Dlatego winien zostać rozwiązany, a zgromadzone przezeń w ciągu dwustu lat środki przeznaczone na to, czego rycerzom Templum nie udało się osiągnąć — wyzwolenie Jerozolimy.

Mimo obietnicy złożonej papieżowi Filip przez długi czas starał się wykręcić od deklaracji, że weźmie Krzyż. Nie miał najmniejszej ochoty ryzykować życia na wyprawie, którą uznawał za bezcelową i głupią. Obok wielu innych także jego dziad znalazł śmierć na tych zamorskich piaskach. Lecz w końcu, nie widząc innego sposobu na dobranie się do majątku Templum, uległ.

Wychodząc z komnaty w otoczeniu doradców i dworzan, słysząc stłumione przez zamkowe mury owacje tłumu i bicie bębnów, które nadawały rytm jego sercu, Filip poczuł nagle radosne uniesienie. Wcale nie musi jechać do Ziemi Świętej. Wielu królów przed nim brało Krzyż i nie czyniło nic więcej. Ważne było to, co lud dziś o nim myślał. Ważne, że gdy wyszedł z zamku, unoszony wiwatami tłumu, wstąpił w ślady świętego Ludwika.

Na czele królewskiego orszaku szedł Wilhelm z Paryża, królewski spowiednik i wielki inkwizytor. Obok kroczył biskup paryskiej diecezji, wysoko unosząc pastorał, a za nimi rój dygnitarzy Kościoła, arcybiskupów, biskupów i prałatów przyodzianych w bogate ceremonialne szaty. Klerycy machali kadzielnicami i śpiewali hymny, zagłuszani przez tłum, który szczelnie obstawił drogę z zamku do katedry. Rumiane dzieci w złotolitych

sukienkach i wiankach laurowych na głowach rzucały przed królem kwiaty, tak że stąpał po barwnym dywanie z wiotkich płatków. Towarzyszyli mu synowie z żonami, bracia i ich dzieci. Dalej szli też diukowie i hrabiowie, książęta i lordowie z całego królestwa, a za każdym rycerska świta w wypolerowanych srebrzystych zbrojach, z hełmami pod pachą. Największy poczet należał do króla Anglii Edwarda II i jego żony Izabeli, córki Filipa.

R O B Y N Y O U N G

Tych dwoje szło oddzielnie: Izabela wśród swoich dam, Edward w otoczeniu rycerzy.

Gwardia królewska utworzyła szpaler wzdłuż drogi, rozpychając napierający tłum. Król ogłosił tygodniowe święto i przez kilka ostatnich dni słudzy zamkowi pracowali w pocie czoła, rozwieszając w całym mieście girlandy i proporce, aż ulice wypełniła feeria barw. Po ulicach krążyły wozy, z których rozdawano kołacze i pierniki; goniły za nimi czeredy dzieci i psów. Na cały tydzień zawieszono pobieranie podatków i zwolniono podróżnych od myta. Filip chciał, żeby jak najwięcej ludzi przybyło do Paryża w dniu jego triumfu; zależało mu na pokazaniu możnym, że lud go uwielbia. A lud jak to lud — zapamięta paradę, nie zaś uciążliwe daniny i liche żniwa; nie spadek wartości monety, nie długi i żmudny proces, nie masakrę Żydów i wojnę z Kościołem, lecz dzisiejszy splendor, znamię wielkości swego władcy. To dzień dzisiejszy pozostanie w pamięci na długie pokolenia. Filip był tego pewny. Minął wielki portal katedry, po raz pierwszy w życiu wchodząc do domu Bożego bez lęku. Wewnątrz czekał papież i pięciu kardynałów z Collegium Sacrum. Klemens,

blady i zgarbiony jak karzeł, siedział na papieskim tronie przed ołtarzem, ściskając prosty złoty krzyż w trzęsących się dłoniach. Kiedy damy i rycerze ustawili się w nawach, a drżący głos chóru uleciał do wysokiego sklepienia, Filip ukląkł, a płaszcz świętego Ludwika legł wokół niego na posadzce. Odmówiono psalmy i modlitwy. Potem papież nachylił się nad królem, a król wyciągnął rękę i wziął od niego złoty krzyż.

Zaciskając na nim palce, Filip poczuł, jak wypełnia go niezaznana dotąd świętość. Zarumienił się, oczekując, że w końcu, nareszcie, posłyszy przenikający go głos Boga. Nim wszakże zdążył się wsłuchać, otoczyli go nobile, jeden po drugim ślubując, że pójdą wraz z nim na wojnę przeciw Saracenom. Filip patrzył na nich z roztargnieniem, jego rozpierzchłe myśli zaczęły się skupiać na sposobach skierowania majątku Templum do własnego skarbca z pominięciem joannitów. Kiedy ceremonia dobiegnie końca, Klemens nie będzie miał wyboru: musi dać mu to, co obiecał. On, Filip, wypełnił swoją część umowy. Nim jednak zgłosi się po nagrodę, pozostało jeszcze coś do zrobienia.

Po rozwiązaniu zakonu templariusze, którzy przeżyli proces, zostali albo skazani na uwięzienie, albo rozesłani po różnych klasztorach, aby dokonali w nich żywota na modlitwie i pokucie. W innych królestwach wyroki były łagodniejsze, rycerzom pozostawiono wybór dalszej drogi. Wielu z nich spędziło całe życie w służbie Świątyni i nie musiało się nigdy troszczyć o doczesne potrzeby, toteż poza życiem zakonnym nie mieli wielu możliwości. Niektórzy zostawali najemnikami, ale byli i tacy, którzy przymierali głodem. Jedynie pozostali przy życiu najwyżsi dostojnicy zakonu, przetrzymywani w

Paryżu, nie usłyszeli jeszcze wyroku. Wprowadzono ich teraz na stopnie katedry pośród drwin i przekleństw rozgorączkowanego tłumu.

Przed papieżem uklękli rzędem Jakub de Molay, Godfryd de Charney, Hugo de Pairaud i Godfryd de Gonneville, mistrz Akwitanii. Wszyscy byli wychudzeni jak szkielety, twarze mieli szare z braku słońca, włosy i brody długie i skołtunione. Wielki mistrz, choć zgięty wpół od doznanych obrażeń,

wciąż jednak dumnie podnosił głowę.

Mimo że zakonowi nie dało się udowodnić win, ci czterej wielokrotnie przyznali się do herezji. Dlatego też, oznajmił Klemens, czekało ich ciężkie dożywotnie więzienie. Hugo i Godfryd de Gonneville słuchali obojętnie, obaj z trudem utrzymywali się w pozycji pionowej i chyba w ogóle już nie rozumieli wygłaszanych słów. Jakub z grymasem bólu dźwignął się na nogi i rozłożył szerokie ramiona. Nawet stojąc znacznie niżej od króla i zgromadzonych możnych, zdawał się górować nad nimi wszystkimi

Zakon nasz powstał, aby bronić chrześcijan. Nasi bracia przelewali za was krew na piaskach Palestyny. Byli szlachetni w swych poczynaniach, waleczni na polu bitwy i czyści w służbie Bożej. Pozostaliśmy tacy do dziś dnia i pozostaniemy nadal, jeśli nie na tym świecie, to na tamtym. — Stare oczy Jakuba spoczęły na twarzy króla. — Fałsz, jakim nas opletli zdrajcy, snujący sieć pomówień niczym jadowite pająki, pewnego dnia zostanie osądzony i

świat się dowie, żeśmy niewinni. Odwołuję słowa, do których zmusiliście mnie torturami. — Podniósł głos, zwracając się do tłumu, który zastygł z zapartym tchem. — Zaprzeczam wszelkim oskarżeniom, jakie zostały rzucone na mnie i moich braci. Jesteśmy niewinni!

Filip patrzył z wściekłością, jak Godfryd de Charney staje obok Jakuba. Pozostali dwaj milczeli, ale król nie miał zamiaru umożliwić im wypowiedzi. Tłum zaszemrał niespokojnie, z podnieceniem. Podziw i cześć dla władcy gasły wyparte przez zaciekawienie, nieraz nawet szacunek do mistrza

templariuszy, który przemawiał z tak wielką pasją. Filip prędko podszedł do papieża, który zbity z tropu patrzył na więźniów.

/

1 9 3

Wasza świątobliwość — syknął przez zęby. — Ci dwaj to zatwardziali heretycy. Trzeba się szybko z nimi uwinąć, bo inaczej zaraza się rozniesie. Musisz ich skazać.

Skazać? — Klemens zerknął na niego zmieszany.

Na stos. — Filip twardo spojrzał mu w oczy. — Muszą zostać przekazani władzy świeckiej i straceni. Tak stanowi prawo.

Klemens popatrzył na Jakuba, który stał przed milczącym tłumem niczym ukrzyżowany

R E Q U I E M

Chrystus. Zamknął oczy. Wielki mistrz mógł wyrazić skruchę i ocalić życie. Swoimi słowami sam skazał się na śmierć. Filip miał rację: tak stanowiło prawo.

Zamek królewski w Paryżu Osiemnasty dzień marca roku Pańskiego 1314

Trawa w królewskich ogrodach była mokra, połyskiwała w promieniach słońca wciśniętego między horyzont a wielką czarną chmurę. Deszcz, który po południu przeszedł nad miastem, przesunął się na zachód, pozostawiając na ciemniejących ulicach bioto i kałuże jaśniejące teraz odbiciem bursztynowego nieba. Cienie ludzi wyciągały się daleko w stronę wschodniego widnokręgu.

Procesja przeszła przez niewielką furtę w murze, na poły ukrytą pod ociekającym bluszczem. Potężny głos dzwonu Najświętszej Maryi Panny wstrząsnął wyspą Cité, lecz na obu brzegach rzeki panowała niezwyczajna cisza, choć i tam dzwony wzywały już na nieszpory. Mieszkańcy Paryża nie zamierzali dziś się modlić. Oblepili gęsto nadrzeczne łęgi, wpatrując się w nagą wysepkę pośrodku nurtu; tę, którą czasem zwano Trzcinówką, a czasem Wyspą Żydowską. Wzniesiono na niej wielki stos. Tłum zbierał się od południa, kiedy to wyrok papieża obiegł miasto. Był cichy, wyczekujący. Dopiero teraz, gdy procesja wyłoniła się z furty i zbliżyła do mostku, poderwały się szepty na widok dwóch ludzi, których śmierć wszyscy przyszli zobaczyć.

Jakub de Molay i Godfryd de Charney otoczeni byli grupą straży. Szli potykając się, bosi i nadzy, tylko w przepaskach na biodrach. Ogolone brody i głowy broczyły krwią w miejscach, gdzie nóż ściął skórę. Okaleczone siedmioma latami tortur ciała przedstawiały straszny widok. Za nimi kroczyli: inkwizytor Wilhelm z Paryża, trzej kardynałowie i dwaj odziani na czarno kaci. Król pozostał na cyplu, pod murem zamkowym. Papieża nie było.

Jakub pośliznął się w błocie i upadł przed mostem. Żołnierze skoczyli go podnieść, ale ich odtrącił, chwycił się chwiejnej balustrady i podciągnął. Potem powoli wszedł na most. Godfryd de Charney kulejąc powlókł się za nim ze wzrokiem utkwionym w pokrytych szramami plecach wielkiego mistrza. Podniecony szmer tłumu zamarł. Oto każdy krok przybliżał skazańców do stosu. Twarde buty

gwardzistów uderzały o deski, dobywając z nich głuchy dźwięk.

Za mostem komendę przejęli kaci, wskazując żołnierzom, jak mają przywiązać obu mężczyzn do pala sterczącego pośrodku stosu. Na spiętrzonych wiązkach siana i chrustu oparto szeroką deskę, po której można było wejść na górę. Mistrzowi Normandii nogi odmówiły posłuszeństwa i osunął się na ziemię. Tłum poszturchując się, z zaciekawieniem patrzył, jak gwardziści go szarpią, miotając obelgi, a wielki mistrz przyklęka przy swoim bracie i bierze go za rękę. Król też zmrużył oczy, przyglądając się bacznie. Nikt z brzegów nie słyszał, co mówi Jakub, ale kiedy skończył, Godfryd z jego pomocą dźwignął się na nogi.

Trzymając się za ręce, obaj starzy rycerze wspięli się na stos.

Żołnierze przykrępowali ich do pala, plecami do siebie. Stos był na tyle wysoki, że z obu brzegów rzeki było go dobrze widać. Twarze skazańców oświetlił złocisty blask zachodzącego słońca. Kaci sprawdzili więzy i zeszli po desce, którą odstawiono na bok. Jeden wziął pochodnię od inkwizytora. Przytknął ją do wyschniętych źdźbeł

siana poutykanych między drwa. Pojawiły się smużki dymu i drobne płomyki zaczęły lizać wyschnięty chrust.

Tłum ryknął z aprobatą. Drugi kat wziął inną pochodnię i zrobił to samo. Podpaliwszy stos z czterech rogów, cofnęli się, by czekać i patrzeć wraz z resztą widzów.

Dolna warstwa stosu rozjarzyła się ogniem, drzewo zaczęło trzeszczeć, poleciały iskry. Dym zgęstniał; skazańcy zaczęli się krztusić, napinając więzy. Kaci jednak znali swoje rzemiosło i po chwili buchnął czysty płomień. Sam król nakazał, by siana było jak najmniej, a drewno suche. Ofiary miały ponieść śmierć od ognia, nie udusić się dymem. Zwykle, gdy płomienie lizały stopy ofiar, te zaczynały krzyczeć, protestować, zapewniać o swej niewinności albo modlić się na głos. Nikt się więc nie zdziwił, kiedy Jakub de Molay otworzył usta. Nikt się wszakże nie spodziewał słów, jakie z nich padły.

Przed Bogiem wszechmogącym i w przytomności was wszystkich tu obecnych świadczę, że rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona są niewinni!

Glos miał schrypły od dymu, lecz tak mocny i władczy, że wszyscy umilkli.

Chrystus widzi, że mamy czyste serca, podobnie jak przenika zbrodnicze dusze ludzi, którzy sprowadzili na nas to nieszczęście. Powiadam wam, że ci ludzie, ci zbrodniarze odpowiedzą za swe czyny przed trybunałem Bo-

żym! Bóg widzi bowiem wszystko i nie ukryje się przed Jego sądem nikt, ani król, ani papież!

Na obu brzegach rzeki zapadła martwa cisza. Nikt już nie wiwatował i nie rzucał obelg. Płomienie wzniosły się wyżej, obejmując nogi skazanych ofiar. Ludzie odwracali oczy. Za mostem blady jak ściana Filip przyglądał się, jak płoną ciała jego ofiar.

Kiedy przebrzmiały słowa Jakuba, stojący na lewym brzegu rzeki dwaj mężczyźni w nisko

nasuniętych kapturach unieśli nieco głowy. Jeden był wysoki i krzepki na swój wiek, drugi — też rosły, ale przygarbiony—

opierał się na kosturze.

Zupełnie jakby wiedział.

Will obrócił głowę, żeby spojrzeć na Roberta lewym okiem. Pusty prawy oczodół zakrywała skórzana przepaska. Ściągnięte do tyłu siwe włosy wyostrzały mocną linię podbródka i zapadniętych policzków.

Wie, że jest niewinny i że Bóg to osądzi — odpowiedział.

A my? Czy nie powinniśmy się poczuwać do winy? — Robert nie odrywał wzroku od dwóch ciał wijących się w R E Q U I E M

płomieniach.

Will spojrzał na miejsce kaźni. Odblask stosu kładł się na spokojnej wodzie Sekwany, zmieniając toń między wyspą a brzegiem w płynne złoto.

Nie.

Robert przyjrzał mu się uważnie.

Pierwszy raz słyszę, żebyś mówił z takim przekonaniem.

Przebyłem daleką drogę i miałem mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć. — Czując, że druh czeka na coś więcej, Will dodał: — Wszystkie potęgi w końcu upadają, Robercie. Nic nie trwa wiecznie. Świat się zmienia i miele w swoich trybach tych, którzy nie zmieniają się wraz z nim. — Urwał na chwilę i zmarszczył brwi. — Ewerard chyba tego nie rozumiał. Miał w sobie wielką wiarę, znacznie silniejszą niż moja, ale właśnie przez to zamknął

ideę w granicach, które sam jej narzucił; w granicach własnych niewzruszonych przekonań. Nie rozumiał, że świat jest nieprzewidywalny i niektóre z jego planów okażą się mrzonką. Zawsze mówił, że Dusza Świątyni może przetrwać jedynie wraz z Templum, że niezbędne jej są pieniądze i wpływy zakonu. Nie wierzę w to.

Marzenie jest czymś, co nie da się zamknąć w murach czy hierarchii, ograniczyć prawami albo ilością złota.

Podobnie nadzieja. One istnieją w nas, czekają, by się urzeczywistnić poprzez nasze słowa i uczynki. Są nami, a my nimi. Prawdziwsze byłoby stwierdzenie, że Dusza Świątyni nie może istnieć bez nas.

Sądzisz, że możemy działać dalej?

Już to robimy.

Istotnie. — Robert zaśmiał się sucho.

Odwróciwszy się od stosu, Will zaczął się mozolnie przepychać przez ciżbę, podpierając się kijem. Wciąż doskwierały mu obrażenia zadane przez inkwizytorów i podróż ze Szkocji bardzo go wyczerpała. Robert ruszył

za nim; tłum zafalował i zajął opuszczone przez nich miejsca. Kiedy oddalili się od zwartego zbiegowiska, Will podał druhowi sakwę, którą niósł na ramieniu.

Robert zerknął do środka, twarz mu jakby zmiękła na widok skrawka białej materii. Potem zarzucił ją na plecy.

Ostatni raz — szepnął.

Will odwrócił wzrok.

Powinienem jechać z tobą.

Nie będę sam. — Robert nieznacznym ruchem głowy wskazał czekających przy końcu ulicy dwóch mężczyzn, odzianych w takie same proste wełniane płaszcze jak on i Will. Uśmiechnął się. — Poza tym... nie obraź się, ale zwłaszcza teraz nie dałbym ci strzelać z łuku. To się musi stać

rzekł, poważniejąc. — Podjąłeś słuszną decyzję. Nie możemy ryzykować następnej krucjaty.

Wiem. Ale dzisiaj czuję się tak, jakby kierowała mną tylko zemsta.

Znasz cCnę pokoju. Bywa wysoka.

Will pokiwał głową. Za pokój płaci się krwią. Długo nie zgadzał się z tym stwierdzeniem. Ostatnio coraz częściej dochodził do wniosku, że tu Ewerard miał rację. Uścisnął wyciągniętą dłoń Roberta. Zaczekał, aż on i jego towarzysze znikną za rogiem, i sam też odszedł. Za jego plecami stos gorzał jak słońce w zenicie, spowijając szczątki dwóch ludzi nieziemskim światłem.

Klasztor dominikanów pod Carpentras Dwudziesty dzień kwietnia

Niestety, podróż z Paryża osłabiła go tak, że nie jestem w stanie go uleczyć. Może gdyby uniknął wszelkiego wysiłku do czasu, gdy atak minie...

Chciał omówić plany wyprawy krzyżowej. — Czoło kardynała przecięła zmarszczka. — Czy możemy coś dla niego zrobić?

Módlcie się za niego — powiedział cicho medyk.

Po krótkim wahaniu kardynał pokiwał głową.

No tak. Dziękuję ci.

Zaczekał, aż dwaj zakonnicy odprowadzą medyka, potem wszedł do komnaty. Czekali w niej trzej dostojni członkowie Collegium Sacrum skupieni wokół szerokiego łoża. Kiedy zamknął za sobą drzwi, obejrzeli się pytająco. Pokręci! głową.

W pościeli leżał papież Klemens. Oddychał płytko, nabrzmiałe powieki zakrywające oczy trzepotały co chwila.

Kardynał usiadł obok i ujął go za rękę. Papież drgnął. Twarz miał śmiertelnie bladą, skórę ciasno napiętą na kościach, jak gdyby nie rozdzielało ich już nic, ani mięśnie, ani krew. Trawiąca go od wielu lat choroba w końcu wygrała, pochłonęła wszystko, zostawiając pustą skorupę, w której tłukły się jeszcze nadzieje i plany.

Na zewnątrz zaczął bić dzwon na nonę. Gdzieś w głębi korytarza stuknęły drzwi, dominikanie śpieszyli do kościoła. Klemens otworzył oczy. Nad schylonymi głowami kardynałów dojrzał wyszywany jedwabiem widok Jeruzalem przyszpilony do ściany. Na widok białych i złotych kopuł zwieńczonych wiecznotrwałym lazurowym niebem po policzku spłynęła mu łza.

Nie — szepnął, czując, że jego serce kołacze się trwożnie. — Jeszcze nie. Muszę doprowadzić to do końca.

Co wasza świątobliwość mówi?—Kardynał nachylił się niżej, łowiąc uchem cichy, szeleszczący głos.

Klemens z wysiłkiem obrócił ku niemu głowę.

Obiecałem Raulowi.

R E Q U I E M

Kim jest Raul? — spytał łagodnie kardynał. Kiedy papież nie odpowiedział, zerknął na pozostałych, ale zdziwieni pokręcili tylko głowami.

Dzwon umilkł. Dłoń papieża wyśliznęła się z ręki kardynała, głowa opadła na poduszkę.

Zamek Vincennes Dwudziesty dziewiąty dzień sierpnia

Filip popędził konia, nie czekając na pozostałych. Zieleń lasu wabiła wytęsknioną swobodą. Biały koń zwinnie pomknął krętą ścieżką pomiędzy drzewami, podkute kopyta wzbijały kurz z suchej ściółki. Król dostosował się do rytmu wierzchowca, wodze trzymał lekko w jednej ręce, na drugiej wiózł ptaka, którego pęta zamotał wokół

palców. Była to młoda, szybka jak piorun samica sokoła wędrownego, dar od jego zięcia, Edwarda. Panna zeszłego roku pożegnała się z życiem i od tamtego czasu nie polował z sokołem. Brakowało mu łowów, w ostatnich miesiącach coraz częściej śniły mu się lasy i nadrzeczne łęgi wokół Vincennes. Stary Henryk wyszkolił

tę młodą sokolicę i teraz oboje, Filip i ptak, mogli się nawzajem sprawdzić.

Przez wiele miesięcy musiał tkwić w Paryżu, czując się jak więzień i coraz bardziej tracąc cierpliwość. Śmierć papieża Klemensa skomplikowała sprawy. Pozostawił bullę, na mocy której wszelkie dobro po rozwiązanym zakonie templariuszy miał otrzymać Szpital Świętego Jana — i żadnego dokumentu, który pozwalałby je przejąć Filipowi. Król spędził wiele bezsennych nocy, dyskutując zawzięcie z Piotrem Dubois i rozpaczliwie poszukując wyjścia. W końcu jego prawnicy przedłożyli wielkiemu mistrzowi joannitów sążnistą listę wydatków, jakie poniósł król w toku wszelkich działań towarzyszących zabezpieczaniu majętności Templum. Jeśli szpitalnicy chcieli je przejąć — a było się o co kusić — musieli najpierw spłacić rachunek. Ostatecznie więc dopiął swego.

R E Q U I E M

Śmierć Klemensa uwolniła go od niechcianej krucjaty, joannici zaś powoli napełniali jego pusty skarbiec.

Włosiennica gryzła go niemiłosiernie. Ostatnio miał na głowie tyle różnych spraw, że przez dłuższy czas jej nie nosił. Przezierające wśród drzew niebo na wschodzie miało złotawo-różowe zabarwienie. Było wcześnie, słońce dopiero wzeszło. W powietrzu czuło się już zapowiedź spiekoty, nad trawą unosiła się mgiełka parującej rosy.

Las zdawał się baśniową krainą, w której pośród srebrzystych pajęczych zasłon przemykały ruchliwe cienie.

Koń spłoszył drobne ptactwo, które trzepoczącą chmarą zerwało się z korony drzewa. Z tyłu dobiegło szczekanie psów. Filip obejrzał się, zwolni! i zdecydowanym ruchem wodzy zawrócił konia. Posłyszał

nawoływania i granie rogu. Za zakrętem ścieżki ujrzał resztę świty. Stali w grupie na skraju polnej drogi, patrząc w głąb lasu. Psiarczykowie, biegnący za końmi, z trudem utrzymywali rwące się ze smyczy ogary.

Złapały trop, najjaśniejszy panie — zameldował pachołek, uciszając psa rózgą. — Musi to jeleń.

Tak blisko zamku? — skrzywił się z powątpiewaniem syn Filipa, Ludwik.

Co powiesz, panie? — spytał podjeżdżając nadworny sokolnik. Uśmiech zmarszczył mu pobrużdżoną twarz. —

Spróbujemy tu czy jedzie- my nad rzekę?

Spuśćcie psy. — Filip kiwnął na nagonkę.

Dworzanie poprawili się w siodłach, wymienili ostatnie pośpieszne uwagi. Psy z głośnym ujadaniem wpadły do lasu. Rozpoczął się pościg.

Filip ruszył pierwszy, zjechał trawiastą pochyłością z traktu i garbiąc się w siodle, żeby nie zahaczyć o zwisającą gałąź, śmignął pomiędzy drzewa. Świta rozsypała się za nim po lesie, każdy obrał sobie

własny kierunek. Filip znów jechał sam, zostawił wszystkich za sobą. Nikt nie potrafił albo nie śmiał go dogonić. Pęd konia wprawiał

w wirowanie pasma mgły. Król uśmiechnął się dziko ogarnięty łowieckim podnieceniem. Był ucieleśnioną potęgą, panem wszystkiego — konia, na którym jechał, ptaka zabójcy na przegubie, ziemi, po której mknął.

Pokonał wrogów, rzucił ich sobie do stóp. Rozszerzył swą władzę i napełnił skarbiec. Teraz Bóg na pewno go zauważy. Nie było nikogo potężniejszego i sławniejszego w całym chrześcijaństwie.

Szczekanie psów zdawało się dobiegać z dwu różnych stron. Ujrzał ogary przed sobą, sfora się rozdzieliła i pomknęła w dwóch kierunkach.

Mamy drugi trop! — krzyknął, pędząc za trzema psami, które skręciły w lewo. Zakołysał się w siodle, kiedy koń przesadził płytki potok. Z tyłu i na prawo las wypełnił się głosami pozostałych, którym pilno było dojrzeć zwierza. Dźwięki były zniekształcone, odbite i powielone przez echa krążące pośród drzew. Z przodu ujadanie rozległo się głośniej, bardziej nagląco. Wjeżdżając na polanę, Filip ściągnął wodze. Nie widział psów, ale słyszał

ich wściekłe warczenie. Między dwoma dębami coś chrzęściło w poszyciu. Możliwe, że psy osaczyły dzika.

Zeskoczył z siodła, wciąż trzymając na lewej ręce sokolicę. Prawą dobył miecza, ostrożnie ruszył naprzód, wiedząc, jak niebezpieczny potrafi być rozjuszony odyniec. Koń zatoczył kółko za jego plecami, prychnął

głośno. Słońce podnosiło się wyżej i między drzewami zamigotały złociste odblaski. Las był pełen ludzi, na-woływań, odgłosu rogów. Wyglądało na to, że psy prowadziły ich okrężną drogą. Fillip skrzywił się rozczarowany. Czyżby podjął błędny trop? Podszedł bliżej ogarów uwijających się w zaroślach. Rozchylił

krzaki. Za nimi leżał martwy jeleń, psy wyrywały mu mięso z podbrzusza. Filip już miał wezwać resztę myśliwych, kiedy jego uwagę przykuła rana w boku zwierzęcia. Wyglądała jak otwór po strzale. Wyprostował

się ze złością. Kłusownicy? Na jego ziemi?

Coś za nim zaszeleściło. Obrócił się.

Spośród wilgotnej, przymglonej zieleni wychynęły trzy sylwetki. W pierwszych promieniach słońca ich białe okrycia zdawały się jaśnieć własnym światłem, krzyże na piersiach raziły oczy krwistą czerwienią. Jedna z nich uniosła napięty łuk. Brzęknęła cięciwa, strzała śmignęła w powietrzu. Filip patrzył na jej lot, wszystkie jego zmysły nagle eksplodowały, mięśnie już się kurczyły do skoku, ale strzała była szybsza. Zimny stalowy grot wniknął mu w pierś. Zachwiał się, rozrzucając szeroko ramiona. Miecz wypadł mu z dłoni; uwolniona z pęt sokolica krzyknęła, mocno zagarnęła skrzydłami powietrze. Filip upadł na plecy. Widział, jak ptak zatacza zmniejszające się kręgi i wzbija się

wysoko, wysoko w błękitne niebo. On pozostał przyszpilony do ziemi, osuwając się coraz głębiej w ciemność.

1 9 1

W

Argyll

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1314

Nawoływania dzieci odbijały się głośnym echem od zbocza, wiatr porywał je i niósł na dół, do uszu dorosłych, którzy bez pośpiechu wspinali się stromą drogą. Morze szeptało i wzdychało, rozwijało się na piasku i znów cofało. Will przystanął na kruchym skraju urwiska. Wiatr chłostał go po nogach sztywnymi źdźbłami traw.

Słońce już zaszło, ale niebo na zachodzie wciąż jaśniało, nierówny rząd wysepek na horyzoncie rysował się czarnymi kształtami na złotym tle.

Lubił tu siadywać. Bywało, że spędzał na urwisku całe godziny. Po tylu latach ciągłej niepewności czuł

krzepiącą ulgę, widząc wszystko przed sobą. Choć pozornie niezmienny, krajobraz ten jednak wciąż się zmieniał. Morze w jednej chwili zielone, w następnej było szare, nad orlimi szczytami przetaczały się mgły zasnuwające bielą jeziora często tak głębokie, że mogłyby pomieścić w swej toni górę. Lata były tu piękne, łagodne, ale zimy srogie. Tutaj wspólnota miała olbrzymie znaczenie, nie tak jak w bezimiennej masie Londynu R O B Y N Y O U N G

czy krętym labiryncie paryskich ulic. Argyll przypominało trochę Akkę. To samo surowe piękno, morze i białe piaski. I ludzie zmuszeni polegać na sobie nawzajem, żeby przetrwać na skalistym skrawku wybrzeża.

Ewerardowi też by się tu spodobało. I Elwinie.

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

Nie wejdziesz do domu? — uśmiechnęła się Isenda. — Wieczór będzie chłodny.

Jan podszedł do nich i objął żonę w pasie. Kiwnął głową do Willa.

Msza była dziś bardzo piękna, nie sądzisz?

Z góry dobiegło wołanie i ogorzałe lico Jana zmarszczyło się w uśmiechu. Ścieżką zbiegł na łeb na szyję niespełna siedmioletni chłopiec.

Mogę wziąć ze spiżami trochę jabłek?—wysapał, odrzucając grzywkę, która wpadła mu do oczu.

A po co? — Jan sapnął z wysiłku, podrzucając go w górę.

Malec był szczupły, żylasty jak chart, ale wysoki na swój wiek. Will

czasem dostrzegał w jego twarzy rysy Filipa i przez jakiś czas bardzo się tym martwił. Kiedy lepiej poznał

wnuka, niepokój minął. Charakterami skrajnie się różnili.

Będę robił grzane piwo. Krystianna mówi, że ja mam się tym zająć.

To poważne zadanie dla kogoś tak młodego. — Jan uśmiechnął się szeroko. Ciemne piwo, zagrzane z tartymi pieczonymi jabłkami i odrobiną gałki muszkatołowej, było smakołykiem, za którym przepadali wszyscy domownicy.

Dam sobie radę!

Tego jestem pewien — zachichotał Jan i postawił chłopca. — Może dziadek by ci pomógł?

Widząc utkwione w sobie proszące spojrzenie, Will skinął głową i rzekł z powagą:

Zaraz tam przyjdę, Wilhelmie.

Isenda przyjrzała mu się bacznie, wzięła malca za rękę i objęła męża. Ruszyli pod górę ciemniejącą ścieżką w ślad za resztą dzieci i dorosłych.

Niedługo się od niego nie opędzisz, wiesz o tym?

Nie oglądał się. Zimne palce wplotły mu się w dłoń, a na jego ramieniu spoczęła głowa córki. Przez jakiś czas stali przytuleni w milczeniu.

W końcu Róża uścisnęła jego rękę i owinęła się mocniej płaszczem, który wiatr usiłował zedrzeć jej z ramion.

Idę. Muszę pomóc przy uczcie — powiedziała rzeczowo. — Nakryjemy też dla nich.

Will zapatrzył się na morze.

Dzisiejszy wieczór był świąteczny. Kończył się rok. Będą pić i dziękować Bogu za to, że miał ich w opiece. Ale była to również noc żałoby poświęcona zmarłym, których należało wspomnieć. Modlili się za nich w kościele, a teraz pozostawią przy stole wolne miejsce dla tych, którzy odeszli. Dziś w powietrzu było gęsto od dusz. Kiedy złota poświata zachodu zapadła się w ciemny błękit, Will poczuł, jak na skraju urwiska tłoczą się obok niego ojciec i matka, Elwina i Owen, Ewerard i Eliasz, Wallace, Jakub de Molay, nawet Garen. Powspominał wraz z nimi przez jakiś czas, potem ruszył dalej, podpierając się mocno kijem.

Z domu dobiega! dźwięczny głos Dawida. Siostrzeniec przybył do Argyllu przed tygodniem, sypiąc

opowieściami o królu Robercie. W mi

nionych latach nieraz dochodziło do starć z Anglikami, ale Edward II nie był wojownikiem jak jego ojciec i w decydującej bitwie na przesileniu lata Robert Bruce przegnał go poza granice Szkocji. Wszystkie te wydarzenia zdawały się Willowi bardzo odległe od przycupniętego nad morzem dworu. Teraz młode pokolenie wykuwało historię i przechodziło do legendy, dla takich jak on nadszedł czas przemyśleń. W minionym roku zaczął

dodawać własne zapisy do kroniki rozpoczętej przez Ewerarda. Stary, zżółkły pergamin chciwie wpijał inkaust spływający z pióra. Dziś nie było już konieczne utrzymanie w tajemnicy istnienia Anima Templi, przeciwnie, godziło się napisać prawdę o Świątyni Salomona i jej Duszy — i ludziach, którzy niegdyś ją tworzyli.

R E Q U I E M

Dochodził już do drzwi, kiedy usłyszał grzechot kopyt na kamieniach. Ścieżką wspinał się jeździec. Will wytężył wzrok, usiłując w zapadającym zmroku poznać, kto to. Wiatr przyniósł znajomy głos Roberta.

Rycerz wjechał na podworzec i sztywno zsunął się z siodła. Will obwieścił jego przybycie domownikom i zawrócił, z ulgą witając starego towarzysza.

Dokonało się — rzekł Robert cicho.

Jan wyjrzał przez próg, ponaglając sługę, żeby ulokował w stajni zmęczonego wierzchowca.

Jeszcze jeden puchar! — ryknął co sił w płucach i wprowadził gościa do domu.

Robert przystanął w sieni, podał Willowi paczkę, którą wyjął z sakwy.

Przywiozłem je tutaj. Nie chciałem ich niszczyć.

W drzwiach kuchni pojawiła się roześmiana twarz małego Willa.

Krystianna woła cię do pomocy.

Ach tak? — uśmiechnął się Will. — Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

Skinął na Roberta i skierował się do pustej izby w końcu sieni. Mijając

kuchnię, dostrzegł wnuka, który klęknął na stołku, żeby móc swobodnie krajać jabłka na blacie. Krystianna wyjęła z pieca stertę pomarszczonych owoców. Róża już nadgryzła gorące jabłko, dmuchając w palce. Isenda przykucnęła obok Edy przy ogniu, a Szymon rozmawiał z Dawidem, popijając piwo.

Powiesz mu? — spytał Robert, kiedy weszli do izby. Słudzy i tu rozpalili ogień, wiatr huczał w kominie, wypełniając pomieszczenie cierpkim zapachem drzewnego dymu. — Wnukowi — dodał.

Will zamknął drzwi.

Czyim jest synem? Tak, w stosownym czasie. Ma prawo wiedzieć. W tej rodzinie padło już za wiele kłamstw.

Otworzył skrzynię stojącą pod oknem. Odwinął z płótna trzy złożone białe płaszcze i umieścił je obok kroniki Ewerarda i złamanego falcjona, który Róża wyniosła z zamku.

Niewiele nam zostało, co? — mruknął Robert, zaglądając mu przez ramię. — Po dwustu latach...

To przecież nie wszystko. — Will uśmiechnął się figlarnie. — Mamy jeszcze skarbiec.

Postanowiłeś już, co z nim zrobimy?

Nie jestem pewien, czy to my powinniśmy o tym decydować

odparł po chwili.

A zatem kto?

R O B Y N Y O U N G

Ci, którzy przyjdą po nas. — Will obrzucił spojrzeniem złamany miecz i białe płaszcze. — Nowe pokolenie...

A my? Co teraz będziemy robić?

Will opuści! wieko i wstał, podpierając się kijem. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela, mówiąc z uśmiechem: O tym pogwarzymy jutro. Dziś będziemy jeść i pić.

Wziął Roberta pod rękę i poprowadził go do ciepłej kuchni, pełnej życzliwych głosów i beztroskiego śmiechu.

W roku 1999 siedziałam sobie w barze, przysłuchując się rozmowie dwóch moich przyjaciół. Mówili o templariuszach. Temat był mi całkiem obcy, ale obraz walecznych rycerzy zakonników mocno przemówił mi do wyobraźni. Kilka miesięcy później wpadła mi w ręce książka Malcolma Barbera pod tytułem The Tŕal of the Templars. Opisano w niej ze szczegółami upadek zakonu. Pochłonęłam ją w ciągu jednego popołudnia zanim skończyłam, już wiedziałam, że muszę opowiedzieć tę historię. Zabrałam się do pisania skromnej powieści, lecz im więcej dowiadywałam się o templariuszach, tym wyraźniej odkrywałam bogactwo epoki, w której żyli. Krucjaty, dojście do władzy mameluków, polityka i dworskie intrygi

wszystko to sprawiło, że książka przerodziła się w trylogię. Rozpoczynając w zeszłym roku Requiem, czułam się tak, jakbym zatoczyła pełny krąg, albowiem właśnie koniec zakonu zainspirował cały cykl. Głosami bohaterów, którzy od dziesięciu prawie lat dojrzewali w mojej głowie, opisywałam najlepiej chyba znany spośród okresów dziejowych ujętych w trylogii.

Podobnie jak w Bractwie i Krucjacie dokonałam pewnych manipulacji, głównie chronologicznych, ponieważ jednak większość wydarzeń opisanych w Requiem dotyczy faktów i istniejących postaci,

pomyślałam, że dobrze byłoby wynotować część miejsc, w których fikcja zderza się z rzeczywistością. Większość dokonanych przeze mnie zmian polega na uproszczeniu prawdziwych zdarzeń, które albo trwały znacznie dłużej, albo miały znacznie bardziej skomplikowany przebieg, niż to przedstawiłam. Autor powieści historycznych często staje przed dylematem, czy trzymać się wiernie faktów, czy też nagiąć je tak, żeby stały się atrakcyjniejsze lub zrozumialsze dla czytelnika. Kiedy zaś fabuła obejmuje dziewiętnaście lat, staje się to już konieczne.

Uprościłam na przykład przebieg wojny francusko-flandryjskiej, choć brugijska jutrznia czy klęska Francuzów pod Courtrai rzeczywiście miały miejsce, podobnie jak sojusz Edwarda I z Gwidonem de Dampierre. Powstanie w Gaskonii przeciw okupującym ją francuskim wojskom wybuchło w roku 1303, nie 1302, a Bertrand de Got był w tym czasie w Rzymie. Filip IV rzeczywiście wygnał Żydów z Francji, lecz dopiero w roku 1306, zaś jego dziad, Ludwik IX, został kanonizowany nieco wcześniej niż w powieści. Bulla „Clericis laicos" została wydana w lutym 1296 r., a „Unam sanctam" w listopadzie 1302 r. Wilhelm de Nogaret zakończył życie w roku 1313, nie

13081, a choć Filip rzeczywiście wziął Krzyż, stało się to o rok wcześniej, niż opisałam. On sam zmarł po upadku z konia w listopadzie 1314 r.

Aby zachować pewną przejrzystość w hierarchii Templum, pominęłam wielu dygnitarzy, którzy odgrywali ważną rolę w zakonie — na przykład mistrza Francji. Czasem jakieś stanowisko długo wakowało po śmierci piastującego je brata; zdarzało się również, że dana osoba sprawowała dwie funkcje równocześnie. Na przykład Hugo de Pairaud był przez pewien czas

mistrzem Francji, i wizytatorem.

Choć może się to wydać niewiarygodne, atak na papieża Bonifacego VIII w Anagni przebiegł w ogólnych zarysach tak, jak to przedstawiłam (istnieją nawet zapisy sugerujące, że po przybyciu do Anagni Nogaret Sciarra Colonna musieli stawić czoło templariuszom broniącym papieża), ale znów skondensowałam przebieg wydarzeń, żeby nie rozwlekać akcji. Wysuwano przypuszczenia, że uciekający z miasta orszak Bonifacego mógł

zostać zaatakowany przez ludzi Colonny, lecz nie wiadomo tego na pewno. Wiemy natomiast, że papież umarł w Rzymie kilka tygodni później. Jedni twierdzili, że przed śmiercią oszalał, inni, że serce nie wytrzymało przeżyć związanych z napaścią. Nieznana jest przyczyna śmierci jego następcy, Benedykta XI, choć jeden z kronikarzy twierdzi, że zmarł po zjedzeniu zatrutych fig. Historycy dopuszczają myśl, że Filip IV i jego agenci rzeczywiście mogli mieć z tym coś wspólnego.

Co się tyczy pierwszej kampanii szkockiej króla Edwarda I, to Jan Balliol zerwał traktat z Francją dopiero w lipcu, a Edward dowiedział się

o

tym, przebywając w Perth, nie w Edynburgu. Balliol stawił się następnie przed Edwardem w Montrose i 1 Źródła podają na ogól 1314 r. Także warunkowe rozgrzeszenie Nogaret uzyskał nie w 1308 lub wcześniej, a dopiero w 1311 roku podczas soboru w Vienne (przyp. tłum.).

został pozbawiony insygniów królewskich, a słynne pogardliwe zdanie Edwarda o pozbywaniu się gówna zostało przypuszczalnie wypowiedziane, gdy przekracza! granicę, wracając do Anglii jesienią 1296 r. Podobnie poczynania Szkotów w 1297 r. miały inny przebieg. W sierpniu Wallace podjął próbę odbicia Dundee i stamtąd, nie z lasu Selkirk, pomaszerował na Stirling. W lesie tym spędził jednak większość poprzedniego roku, zbierając i szkoląc wojska, i często używał go jako bazy.

Proces templariuszy był niewiarygodnie długi i zagmatwany, a choć właśnie jego sensacyjny przebieg skłonił

mnie do napisania powieści, ujęty szczegółowiej, rozsadziłby jej fabułę. Wszystkim, którzy chcą poznać tę historię, serdecz R

ni O

e B Y

polNe cYa O

m U

kNsiGążkę Malcolma Barbera. To jednakże, co zmieściłam w książce, jest oparte lub

przynajmniej wzorowane na faktach.

Jeden z kronikarzy stwierdza, że Filip IV spotkał się w sekrecie z Bertrandem de Got, zanim jeszcze ten został

papieżem, i nakłonił go do podjęcia pewnych zobowiązań. Współcześni badacze na ogół odrzucają tę relację, ale jakkolwiek było naprawdę, faktem jest, że król Filip zadał sobie wiele trudu, by wpłynąć na wynik głosowania.

Nogaret wywierał w jego imieniu silny nacisk na Collegium Sacrum, forując profrancuskiego kandydata.

Wymyśliłam Bertrandowi syna, choć faktycznie oskarżano go

romans z miejscową szlachcianką. Esąuin de Floyran to osoba, o której niewiele wiadomo — tylko tyle, że był

templariuszem, odbywał jakąś karę w zakonnym więzieniu i pierwszy oskarżył braci o herezję, pisząc w tej sprawie zarówno do Filipa Pięknego, jak i do króla Aragonii, Jakuba II. Zapewne przytoczył w tych listach jakieś fakty na poparcie swoich słów. Jego bratanek Martin to postać fikcyjna. Ustanowienie legacji papieskiej obrona templariuszy miały miejsce w późniejszej fazie procesu, podobnie jak cykliczne palenie rycerzy poza murami Paryża. Nie wiadomo, co stało się z osławionym skarbcem Templum. Uważa się jednak, że około dwudziestu paryskim rycerzom udało się uniknąć aresztowania, i można przypuszczać, że ktoś ich ostrzegł. Kim byli ci ludzie i czy zabrali skarbiec

na ten temat snuto rozliczne spekulacje przez paręset lat.

Sam zakon nigdy nie został uznany winnym zarzucanych mu stu dwudziestu siedmiu przestępstw. Papież Klemens rozwiązał go tylko dlatego, że w toku procesu została doszczętnie zniszczona reputacja Templum. Nie dotyczy to natomiast jego dygnitarzy. Jakub de Molay i Godfryd de Charney spłonęli na stosie w marcu 1314

roku jako zatwardziali heretycy. Słynna klątwa wielkiego mistrza przetrwała wieki i choć relacja o niej może być apokryfem, faktem jest, że i król, i papież zmarli jeszcze w tym samym roku, a dynastia kapetyńska, z której dziedzictwa Filip był taki dumny, wygasła

tragicznie w ciągu kilkunastu lat, kiedy to jego kolejni synowie umierali w niezupełnie jasnych okolicznościach.

Templariusze we Francji i gdzie indziej przyznali się do większości zarzucanych im czynów, ale były to zeznania wymuszone torturami. Wielu później je odwołało, między innymi Jakub de Molay i Godfryd de Charney, którzy poszli na stos, twierdząc, że są niewinni. Zarzuty wytoczone przeciwko templariuszom wykazują uderzające podobieństwo do tych, które stawiano katarom, a także innym grupom okrzykniętym przez Kościół heretyckimi. W wiekach średnich, jeśli chciało się mieć opinię publiczną po swojej stronie, można to było skutecznie osiągnąć, grając na strachu przed czarnoksięstwem i satanizmem. Filip i jego doradcy nieraz dowiedli, że są R

mi O

st Br Y

zaN

miY tOe U

goN rGodzaju propagandy. Jedno oskarżenie wszakże pojawia się raz po raz w toku

procesu i zawsze ma związek z postacią Hugona de Pairaud — mowa tu o pluciu na krzyż. Jedna z teorii zakłada, że mógła to być swoista próba posłuszeństwa praktykowana przez część braci. Wątpliwe, byśmy kiedykolwiek poznali całą prawdę o zdarzeniach związanych z procesem i motywach biorących w nim udział

osób, ale niezależnie od tego, co się stało naprawdę, być może najlepiej świadczy

o

templariuszach to, że ci zakonni rycerze w białych jak śnieg płaszczach nadal żyją w naszej

świadomości, choć minęło już prawie siedemset lat, odkąd zeszli z tego świata.

Robyn Young Brighton, lipiec 2008 r.

SPIS POSTACI HISTORYCZNYCH WYSTĘPUJĄCYCH W POWIEŚCI

(daty w nawiasach odnoszą się do piastowanego stanowiska, kursywą zaznaczono osoby nieżyjące już w czasach, gdy toczy się akcja)

Adam, krewniak Wilhelma Wallace'a

Andrzej de Moray, zm. 1297, możnowładca szkocki, przywódca powstania przeciw Anglikom Antoni Bek, biskup Durhamu w randze księcia (1283—1311)

Armand de Périgord, wielki mistrz zakonu templariuszy (1232—1244?) Benedykt XI, papież (1303—1304) Bernard Saisset, biskup Pamiers, langwedocki szlachcic, przeciwnik Filipa IV, oskarżony przez niego o herezję Bonifacy VIII, ur. 1264, papież (1294—1303)

Brian le Jay, mistrz prowincji angielskiej zakonu templariuszy Celestyn V, papież (1294), zm.1296 Dawid Graham, szkocki szlachcic

Edward I zwany Długonogim, ur. 1239, król Anglii (1272—1307) Edward II, ur. 1284, król Anglii (1307—

1327)

Eleonora Kastylijska, królowa Anglii, pierwsza żona Edwarda I, zm. 1290 Esquin (Esquieu) de Floyran, jeden z wyższych rangą braci w komandorii Montfaucon, oskarżyciel zakonu templariuszy Filip IV zwany Pięknym, ur.

1268, król Francji (1285—1314)

Godfryd Bussa, dowódca gwardii papieskiej

Godfryd (Galfryd) de Charney, mistrz prowincji normandzkiej zakonu templariuszy

Godfryd (Galfryd) de Gonneville, mistrz prowincji akwitańskiej zakonu templariuszy

Gwidon I de Dampierre, od 1251 współwładca, później hrabia Flandrii (1278—1304)

Henryk Percy, angielski szlachcic

Hugo Cressingham, urzędnik na dworze angielskim, skarbnik Szkocji (1296—1297)

Hugo de Pairaud, mistrz prowincji francuskiej zakonu templariuszy od 1296, następnie wizytator zakonu Izabela, córka Filipa IV, od 1308 żona Edwarda II Angielskiego Jakub de Molay, wielki mistrz templariuszy (1293—1314)

Jan Balliol, król Szkocji (1292—1296)

Jan Blair, kapelan Wilhelma Wallace'a Jan de Warenne, hrabia Surrey

Joanna z Nawarry, żona Filipa IV, królowa Francji i Nawary Kalaun, sułtan Egiptu i Syrii (1280—1290) Karol de Valoi R O

s, braBt Y

FNil i Y O

pa U

I N

V, G

hrabia Valois, Andegawenii, Maine, Alençon i Chartres Ludwik IX, król Francji

(1226—1270), kanonizowany przez papieża Bonifacego VIII w 1297 r.

Patryk Graham, szlachcic szkocki Piotr Dubois, prawnik i doradca Filipa IV

Piotr Flotte (Flote), prawnik i doradca króla Filipa IV, kanclerz (1297— —1302)

Rainald, kasztelan Ferentino

Robert Bruce, hrabia Carrick, król Szkocji (1306—1329)

Robert de Sablé, wielki mistrz zakonu templariuszy (1191—1193) Sciarra Colonna, możnowładca włoski na wygnaniu we Francji Wilhelm de Nogaret, zm. 1313, prawnik i doradca króla Filipa IV, kanclerz (1307—1310 i 1311—1313)

Wilhelm de Plaisans, prawnik i doradca Filipa IV Wilhelm Wallace, ur. ok. 1270, zm. 1305, szlachcic szkocki, przywódca powstania przeciw Anglikom Wilhelm z Paryża, dominikanin, spowiednik Filipa IV

Dominikanie, Zakon Braci Kaznodziejów, założony przez Dominika Guzmana i zatwierdzony w 1216 r. zakon powołany do głoszenia słowa Bożego i promowania ewangelicznego ubóstwa w połączeniu z głęboką wiedzą teologiczną. Wykorzystany przez Kościół do wykorzenienia herezji katarów; w 1233 r. otrzymał od papieża oficjalne zadanie walki z herezją; mianowano inkwizytorów, którym ok. 1252 r. przyznano prawo stosowania tortur do wymuszania zeznań. Dominikanie stworzyli trzon nowo powstałej instytucji znanej później pod nazwą Świętego Oficjum, a popularnie zwanej inkwizycją.

Falcjon, jednosieczny miecz (właściwie tasak) o szerokiej, nieco wygiętej głowni.

Flandria, hrabstwo w Niderlandach, po rozpadzie cesarstwa karolińskiego lenno Francji. Od XII w. najgęściej zaludniony i najbogatszy rejon Europy (rozwinięte tkactwo i sukiennictwo oraz handel), przez to przedmiot zawziętej rywalizacji anglo-francuskiej. Próby rozciągnięcia nad hrabstwem bezpośredniej władzy przez królów francuskich zaowocowały buntami cechów, a następnie zbrojnym

powstaniem, którego punktem przełomowym stała się klęska Francuzów pod Courtrai w 1302 r. Po 1384 r. region przeszedł w ręce książąt burgundzkich.

Franciszkanie, Zakon Braci Mniejszych, założony w 1209 r. jako zakon żebrzący przez świętego Franciszka z Asyżu w ramach reformatorskiego nurtu w Kościele, odwołującego się do wartości ewangelicznych.

Gaskonia, kraina na zachodnim pogórzu Pirenejów, od jedenastego wieku część księstwa Akwitanii, w 1152 r.

wniesiona we wianie Henrykowi II Angielskiemu przez Eleonorę Akwitańską. Przynależność Gaskonii do domeny angielskiej potwierdzi! w 1258 r. Ludwik IX w zamian za rezygnację Anglii z pretensji do innych ziem.

Gujenna, nazwa księstwa w południowo-zachodniej części dzisiejszej Francji, ze stolicą w Bordeaux; na ogół

utożsamiana z Akwitanią, w zasadzie obejmowała też Gaskonię. Nazwa pojawia się w roku 1229; sam region od 1154 r. był w rękach angielskich Plantagenetów. Rywalizacja angielsko- -francuska o Gujennę, rozpoczęta już po śmierci Ludwika IX, stała się później głównym powodem wojny stuletniej.

Joannici (zwani też szpitalnikami), Zakon Świętego Jana Chrzciciela Szpitala Jerozolimskiego, założony w końcu XI w. przez Gerarda z Mar- tigues przy Szpitalu św. Jana w Jerozolimie; początkowo opiekował się chorymi pielgrzymami, po zwycięstwie pierwszej krucjaty przyjął także funkcje zakonu rucerskiego. Dorównał

niemal potęgą i znaczeniem zakonowi templariuszy, z którym często rywalizował. Podobnie jak templariusze, joannici mieli sieć komandorii w całej Europie (także w Polsce); organizowali pierwsze europejskie szpitale. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego zakon przeniósł się na Cypr, później na Rodos, a w 1530 r. osiedlił się na Malcie, od której pochodzi zwyczajowa nazwa kawalerów maltańskich.

Krucjaty, wyprawy krzyżowe, ruch mający na celu zaprowadzenie chrześcijańskiego władztwa w Ziemi Świętej, zapoczątkowany przez papieża Urbana II na synodzie w Clermont w 1095 r. Będąc odpowiedzią na apel cesarza Bizancjum, nękanego przez seldżuckich Turków, którzy w 1071 r. zdobyli Jerozolimę, pierwsza i dalsze wyprawy krzyżowe miały jednak również podłoże gospodarcze i społeczne. Zdobycie Jerozolimy przez krzyżowców w 1099 r. zaowocowało utworzeniem tzw. Królestwa Jerozolimskiego. Prócz niego w skład federacji chrześcijańskich państw na Bliskim Wschodzie wchodziły także księstwo Antiochii, hrabstwo Trypo-lisu i hrabstwo Edessy. Po czwartej wyprawie w 1204 r. można mówić

o

krótkotrwałej dominacji chrześcijaństwa w tym regionie. W ciągu dwóch stuleci do Ziemi Świętej

wyruszyło siedem wypraw (jeśli zaś doliczyć krucjaty ludowe, dziecięcą oraz misję Fryderyka II — jedenaście).

Za koniec epoki krucjat przyjmuje się upadek Akki (1291 r.).

Krzyżacy, Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, założony ok. 1190 r.

przez mieszczan z Bremy

Lubeki przy szpitalu, od którego wziął nazwę. Zatwierdzony w 1198 r. jako zakon rycerski. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego i krótkim epizodzie węgierskim stolicą krzyżacką stal się zbudowany po 1274 r.

Malbork. Dzięki licznym nadaniom (wśród których należy wymienić scedowaną przez Konrada Mazowieckiego ziemię chełmińską) i podbojowi Prus z czasem zyskał w Europie większe wpływy niż templariusze

joannici.

Mistrz, przywódca zakonu rycerskiego. Wielki mistrz templariuszy wybierany był dożywotnio przez radę najwyższych rangą rycerzy zakonu

do końca epoki krucjat rezydował w Palestynie. Jego zastępcą był seneszal. Trzeci w hierarchii marszałek odpowiadał za dyscyplinę, zaopatrzenie w broń i wierzchowce; w bitwie osobiście prowadził wojsko, niosąc sztandar. Począ R

w O

sz B

y Y N Y

od X O

IIIU N

w G

. zwierzchnikiem wszystkich jednostek zakonu templariuszy w Europie był

mistrz noszący tytuł wizytatora.

Preceptorium, termin używany dla określenia głównej siedziby zakonuwdanej prowincji.

Mniejszymijednostkami były komandorie (kom- turie). Każda taka posiadłość oprócz budynków klasztornych obejmowała zwykle również ziemie i folwarki.

Reguła zakonu templariuszy została spisana w 1129 r. z pomocą św. Bernarda z Clairvaux i zatwierdzona na synodzie w Troyes. Określała szczegółowo tryb życia i obowiązki braci, zarówno zakonne, jak wojskowe.

Rozbudowywana i redagowana z biegiem czasu, w XIII w. miała już około sześciuset punktów.

Scone, miejscowość w środkowej Szkocji, nieopodal Perth; w średniowieczu opactwo, w którym

przechowywany był kamień koronacyjny królów Szkocji (tzw. Kamień Przeznaczenia). Od połowy IX w.

sadzano na nim podczas intronizacji każdego kolejnego władcę Szkotów. W 1296 r. przeniesiony przez Edwarda I do Westminsteru, odtąd w podobny sposób służył królom angielskim.

Seneszal, we Francji początkowo najwyższy pełnomocnik królewski

administrator domeny królewskiej, później urzędnik administracji terytorialnej; w zakonach rycerskich zastępca wielkiego mistrza.

Templariusze, Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, założony ok. 1119 r. przez Hugona z Payns, który udał się do Jerozolimy w towarzystwie ośmiu francuskich rycerzy. Nazwa zakonu pochodzi od jego pierwszej siedziby w Jerozolimie. Zatwierdzony w 1128 r., przestrzegał zarówno reguły zakonnej, jak i kodeksu wojskowego. Pierwotnym zadaniem była ochrona pielgrzymów w Ziemi Świętej, wkrótce jednak templariusze podjęli się wielu militarnych i handlowych przedsięwzięć na Bliskim Wschodzie i w Europie, dzięki którym stali się jedną z najbogatszych

najpotężniejszych organizacji swej epoki. Zakon obejmował trzy klasy braci: służebnych (serwientów), kapelanów oraz R

ryOc B

erYz N

y. Y

T O

yl U N

ko G

tym ostatnim po złożeniu ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa wolno było

nosić charakterystyczne białe szaty z czerwonym krzyżem.

Malcolm Barber, Katarzy, Warszawa 2004.

Malcolm Barber, Templariusze, Warszawa 2000.

Georges Bordonove, Zycie codzienne zakonu templariuszy, Poznań 1998. Franco Cardini, Marina Montesano, Historia Inkwizycji, Kraków 2008. Kazimierz Dopierała, Księga papieży, Poznań 1996.

Jacques le Goff, Sakiewka i życie: gospodarka i religia w średniowieczu, Gdańsk 1995.

Elizabeth M. Hallam, Judith Everard, Francja w czasach Kapetyngów 987—1328, Warszawa 2007.

Malcolm Lambert, Herezje średniowieczne: od reformy gregoriańskiej po reformację, Gdańsk—Warszawa 2002.

Marian Małecki, Proces templariuszy we Francji (1307—1314), Kraków 1998.

Mieczysław Mazaraki, Z sokołami na łowy, Warszawa 1977.

Marion Melville, Dzieje templariuszy, Warszawa 1991.

Helen Nicholson, Rycerze templariusze, Warszawa 2005.

Régine Pernoud, Templariusze, Gdańsk 1996.

Edward Potkowski, Rycerze w habitach, Warszawa 2004.

Jerzy Prokopiuk, Proces templariuszy, Warszawa 2005.

Steven Runciman, Dzieje wypraw krzyżowych, Warszawa 1987.

Jean Testas, Guy Testas, Inkwizycja, Warszawa 2002.

Jarosław Wojtczak, Bannockburn 1314, Warszawa 2003.

Stefan Zabieglik, Historia Szkocji, Gdańsk 2000.

Table of Contents

13081, a